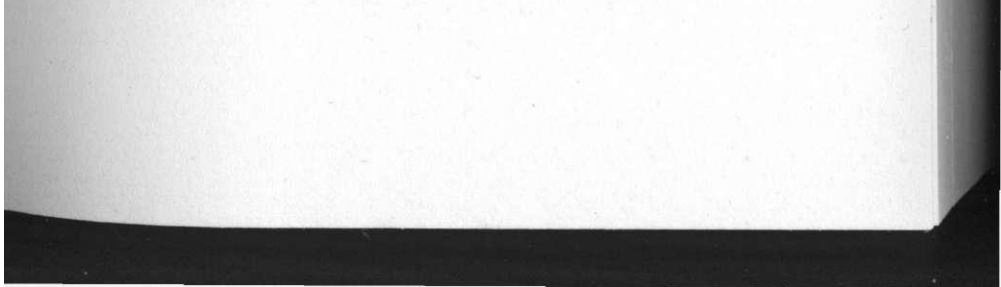


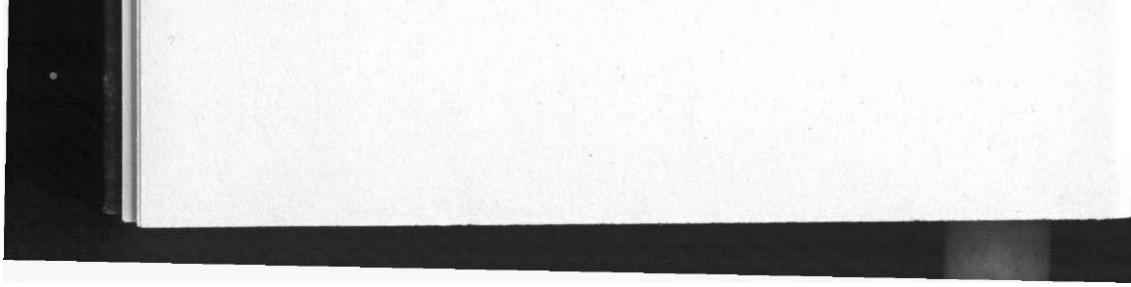
J EFFERY
DEAVER
pod
napięciem
Przełożył Łukasz Praski
T-VoszynsUi i S-l<a

Tytuł oryginału THE
BURNING WIRE
Copyright © 2010 by Jeffery
Deaver All rights reserved
Projekt okładki ©
Stone/Getty Images/Flash
Press Media
Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka
Redakcja Wiesława
Karaczewska
Korekta Grażyna Nawrocka
Łamanie Ewa Wójcik
ISBN 978-83-7648-512-6
Warszawa 2010
Wydawca Prószyński Media
Sp. z o.o. 02-651 Warszawa,
ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl
Druk i oprawa Drukarnia
Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji
Prasowej SA 03-828
Warszawa, ul. Mińska 65



*rnJnvch reguł. Staramy się coś osiągnąć- Do
diabła, nie mamy żadnych reg*

nał a, va Edison o tworzeniu pierwszej
sieci
thomas Alva Edison elektroenergetycznej



Trzydzieści siedem godzin przed Dniem Ziemi

|

Specmonter

*Człowiek od szyi w dół jest wart parą dolarów
dziennie, od szyi w górę jest wart tyle, ile zdoła
wypracować jego mózg.*

Thomas Alva Edison



Rozdział 1

S

iedząc w centrum sterowania wielkiego kompleksu koncernu energetycznego Algonquin Consolidated Power and Light nad East River w nowojorskim Queens, kierownik dziennej zmiany zmarszczył brwi na widok czerwonego komunikatu, jaki zaczął migotać na ekranie monitora.

Awaria krytyczna

Poniżej wyświetliła się dokładna godzina zdarzenia: 11.20:20:003.

Odstawił kawę w kartonowym biało-niebieskim kubku, ozdobionym postaciami greckich sportowców, i wyprostował się na skrzypiącym krześle obrotowym.

Pracownicy centrum sterowania przedsiębiorstwa energetycznego siedzieli przy pojedynczych stanowiskach roboczych jak kontrolerzy ruchu lotniczego. W przestronnym, rześńście oświetlonym pomieszczeniu centralne miejsce zajmował ogromny płaski monitor, informujący o przepływie energii elektrycznej przez sieć Northeastern Interconnection, która zaopatrywała w prąd Nowy Jork, Pensylwanię, New Jersey i Connecticut. Układ i wystrój centrum wyglądałyby całkiem nowocześnie - gdyby był rok 1960.

Kierownik zerknął na tablicę pokazującą przepływ prądu z elektrowni w całym kraju: z turbin parowych, reaktorów i hydroelektrowni na wodospadzie Niagara. Jedna z maleńkich nitek płataniny spaghetti, przedstawiającej linie elektryczne, nie działała tak, jak należy. Pulsowało czerwone kółeczko.

Awaria krytyczna...

- Co jest? - zapytał kierownik. Siwowłosa mężczyzna o wydatnym brzuszku, rysującym się pod białą koszulą z krótkim rękawem, z trzydziestoletnim doświadczeniem w branży energetycznej, był przede wszystkim zaciekawiony. Choć lampki alarmowe, sygnalizujące

zdarzenia krytyczne, zapalały się od czasu do czasu, prawdziwe zdarzenia krytyczne należały do rzadkości.

- Mam komunikat o całkowitym odłączeniu MH-12. Ciemna, automatyczna podstacja Algonquin numer 12, znajdująca się w Harlemie - skrót MH oznaczał Manhattan - była ważnym węzłem sieci w tym rejonie. Odbierała 138 000 woltów i przepuszczała je przez transformatory, które redukowały napięcie do dziesięciu procent wartości wejściowej, rozdzielały je i przesyłały dalej.

Na wielkim ekranie, pod godziną zdarzenia i suchym komunikatem o awarii krytycznej, rozbłysły czerwienią kolejne słowa.

MH-12 wyłączone z sieci

Kierownik zaczął stukać w klawiaturę komputera, przypominając sobie o czasach, gdy pracowano przy użyciu radia, telefonów i izolowanych przełączników, w zapachu oleju, mosiądzu i rozgrzanego bakelitu. Przeczytał gęsty, skomplikowany fragment tekstu na ekranie.

-Automaty się otworzyły? - rzekł cicho, jak gdyby do siebie. - Dlaczego? Przecież obciążenie jest normalne.

Ukazała się następna informacja.

MH-12 wyłączone z sieci. PK do rejonu zasięgu awarii z MH-17, MH-10, MH-13, NJ-18

- Mamy przekierowanie obciążenia - zawołał ktoś niepotrzebnie.

Na przedmieściach i na wsi sieć jest widoczna gołym okiem - linie wysokiego napięcia, słupy i przewody, doprowadzające prąd do domu. Kiedy siądzie linia, bez kłopotu można zlokalizować i usunąć usterkę. W wielu miastach jednak, takich jak Nowy Jork, energia elektryczna płynie izolowanymi kablami pod ziemią. Ponieważ z czasem izolacja ulega powolnemu zniszczeniu i uszkodzeniu przez wody gruntowe, w wyniku czego dochodzi do zwarć i przerw w dostawach prądu, firmy energetyczne stosują podwójną, a nawet

potrójną redundancję zasilania. Gdy padła podstacja MH-12, komputer automatycznie zaczął kierować do klientów prąd z innych węzłów sieci.

- Nie ma zaników ani spadków napięcia! - zawołał inny technik.

Energia elektryczna w sieci przypomina wodę doprowadzoną do budynku pojedynczą rurą i wypływającą z wielu odkręconych kranów. Kiedy jeden z nich zostaje zakręcony, w pozostałych wzrasta ciśnienie. Prąd elektryczny zachowuje się tak samo, choć porusza się znacznie szybciej od wody - ponad miliard kilometrów na godzinę. A ponieważ Nowy Jork potrzebował ogromnej ilości energii, w podstacjach wykonujących dodatkową pracę napięcie - odpowiednik ciśnienia wody - było wysokie.

Ale system został tak skonstruowany, by poradzić sobie z takim zdarzeniem i wskaźniki napięcia nie wykraczały poza zieloną część skali.

Kierownika niepokoiło jednak pytanie, dlaczego w ogóle automatyczne wyłączniki odcięły podstację MH-12. Najczęściej automaty puszczały albo z powodu zwarcia, albo wyjątkowo dużego zapotrzebowania na energię w porze największego obciążenia sieci - wcześniej rano, podczas godzin szczytu i wczesnym wieczorem, lub podczas upałów, gdy prądożercze klimatyzatory domagały się zwiększonej porcji paliwa.

Żadna z tych sytuacji nie wchodziła w grę o godzinie 11.20:20:003 przyjemnego kwietniowego dnia.

- Wyślijcie do MH-12 specmontera. Może to felerny kabel. Albo zwarcie w...

W tym momencie zapaliło się drugie czerwone światełko. Awaria krytyczna NJ-18 wyłączone z sieci

Padła następna lokalna podstacja znajdująca się niedaleko Paramus w New Jersey. Był to jeden z węzłów, które przejęły pałeczkę po odłączeniu MH-12.

Kierownik wydał z siebie ni to śmiech, ni to kasznięcie. Jego twarz zmarszczyła się w konsternacji.

- Cholera, co się dzieje? Obciążenie jest w granicach tolerancji.

-Wszystkie czujniki i wskaźniki działają - zameldował jeden z techników.

- SCADA nawala? - zawołał kierownik. Imperium energetyczne Algonquin nadzorował skomplikowany system SCADA, pracujący na potężnych uniksowych komputerach. Pamiętna awaria na północnym wschodzie w 2003 roku została spowodowana między innymi serią błędów oprogramowania. Dzisiejsze systemy nie dopuściłyby do podobnej katastrofy, co nie oznaczało jednak, że nie mogło dojść do innego komputerowego kiksa.

- Nie wiem - rzekł wolno jeden z jego asystentów. - Ale wydaje mi się, że raczej tak. Według diagnostyki, nie ma żadnego fizycznego problemu z liniami ani rozdzielnicami.

Kierownik patrzył na ekran, czekając na kolejny logiczny komunikat o tym, która nowa podstacja - lub podstacje - wypełnią lukę po stracie NJ-18.

Ale nie pojawiała się żadna informacja.

Tylko trzy podstacje na Manhattanie, 17, 10 i 13, zasilają dwa rejony, które w przeciwnym razie pozostałyby bez prądu. Program SCADA nie robił tego, co powinien: nie sprowadzał na pomoc innych stacji. Ilość energii przyjmowanej i wysyłanej przez każdą z trzech stacji drastycznie wzrastała.

Kierownik potarł brodę i nie doczekawszy się włączenia innej podstacji, która przyszłaby z pomocą zagrożonej części miasta, polecił starszemu asystentowi:

-Włącz ręcznie dostawę z Q-14 do wschodniego rejonu MH-12.

- Tak jest.

Po chwili kierownik warknął:

- Nie zaraz - teraz.

- Hm, właśnie próbuję.

- Próbujesz. Jak to próbujesz?! - Wykonanie zadania wymagało kilku uderzeń w klawiaturę.

- Urządzenia rozdzielcze nie reagują.

- Niemożliwe! - Kierownik pokonał kilka kroków dzielących go od komputera asystenta. Wstukał polecenia, które mógłby wpisać z zamkniętymi oczami.

Nic.

Wskaźniki napięcia pokazywały koniec zielonej skali, zbliżając się do żółtej.

- Niedobrze - mruknął ktoś. - Mamy problem.

Kierownik wrócił pędem za swoje biurko i opadł na krzesło. Kubek z greckimi sportowcami i batonik musli poleciały na podłogę. Nie zwrócił na to uwagi.

Potem przewróciła się kolejna kostka domina. Zaczęła pulsować trzecia czerwona kropka jak środek tarczy, a system SC AD A w swój beznamiętny sposób zakomunikował:

Awaria krytyczna MH-17 wyłączone z sieci

- No nie, jeszcze jedna? - rozległ się czyjś szept.

I tak jak poprzednio, żadna podstacja nie pośpieszyła z pomocą, by zaspokoić wilczy apetyt nowojorczyków na energię. Dwie stacje wykonywały pracę pięciu. Rosła temperatura przewodów elektrycznych, wchodzących i wychodzących ze stacji, a wskaźniki napięcia na wielkim ekranie były już w połowie żółtej strefy.

MH-12 wyłączone z sieci. NJ-18 wyłączone z sieci.

MH-17 wyłączone z sieci. PK do rejonu zasięgu awarii z MH-10, MH-13

- Zwiększyć dostawy do tych rejonów - rzucił kierownik. - Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Skądkolwiek.

Kobieta na stanowisku kontrolnym obok raptownie się wyprostowała.

- Mam czterdzieści kilowoltów na liniach z Bronksu. Czterdzieści tysięcy woltów - niewiele, zwłaszcza że trudno byłoby przesłać je przez linie średniego napięcia, przeznaczone na około jedną trzecią takiej wartości.

Komuś innemu udało się sprowadzić prąd z Connecticut. Może jednak uda się opanować sytuację.

-Jeszcze!

Ale nagle kobieta kradnąca zasilanie z Bronksu powiedziała zduszonym głosem:

- Zaraz, przesył zmniejszył się do dwudziestu tysięcy. Nie mam pojęcia dlaczego.

To samo działo się w całym regionie. Gdy tylko któremuś z techników udało się sprowadzić trochę więcej prądu, by zmniejszyć obciążenie, nowe źródło wkrótce wysychało.

Dramat rozgrywał się w zawrotnym tempie.

Miliard kilometrów na godzinę...

Zobaczyli jeszcze jedno czerwone kółeczko, jeszcze jedną ranę od kuli.

Awaria krytyczna MH-13 wyłączono z sieci

Szept:

- Nie wierzę, że to się naprawdę dzieje.

MH-12 wyłączono z sieci. NJ-18 wyłączono z sieci.

MH-17 wyłączono z sieci. MH-13 wyłączono z sieci. PK do rejonu zasięgu awarii z MH-10

Przypominało to sytuację, gdy woda zgromadzona w ogromnym zbiorniku próbuje się przecisnąć przez wąski kranik, taki jak w drzwiach lodówki, z którego nalewa się zimną wodę. Napięcie prądu płynącego do stacji MH-10, znajdującej się w starym budynku przy Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej w dzielnicy Clinton na Manhattanie, było cztero- czy pięciokrotnie wyższe od normalnego i wciąż rosło. Wyłączniki automatyczne mogły się lada chwila otworzyć, zapobiegając eksplozji i pożarowi, ale cofając sporą część środkowego Manhattanu do czasów kolonialnych.

- Północ chyba lepiej działa. Spróbujcie sprowadzić coś z północy. Na przykład z Massachusetts.

- Mam coś: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilowoltów. Z Putnam.

- Dobra.

- Chryste Panie! - krzyknął ktoś nagle.

Kierownik nie wiedział, kto to; wszyscy siedzieli pochyleni nad swoimi stanowiskami, wpatrując się jak zahipnotyzowani w ekrany monitorów.

- Co jest? - wybuchnął. - Nie chcę słyszeć w kółko tego samego. Co?

- Ustawienia automatów na MH-10! Patrzcie! Ustawienia!

Och, nie. Nie...

Wyłączniki automatyczne w podstacji MH-10 zostały zresetowane. Mogły przyjąć na wejściu dziesięciokrotność dopuszczalnej mocy.

Gdyby centrum Algonquin nie zdołało szybko zredukować napięcia atakującego stację, jej linie i rozdzielnice przepuściłyby śmiertelnie wysoką falę energii elektrycznej. Nastąpiłby wybuch stacji. Ale wcześniej prąd przemknąłby liniami średniego napięcia do podziemnych transformatorów pod ulicami na południe od Lincoln Center i do sieci w biurowcach i wieżowcach. Niektóre wyłączniki automatyczne przerwałyby obwód, ale niektóre starsze transformatory i tablice rozdzielcze stopiłyby się po prostu w bryły metalu, nie stawiając żadnego oporu prądowi, który ruszyłby dalej, wywołując pożary i gwałtowne wyładowania łukowe, które śmiertelnie poparzyłyby każdego, kto znalazłby się w pobliżu jakiegoś urządzenia albo gniazdka.

Po raz pierwszy kierownik pomyślał: terroryści. To zamach terrorystyczny.

- Dzwońcie do Bezpieczeństwa Krajowego i na policję! - krzyknął. -1 ustawcie je. Ustawcie te pieprzone automaty!

- Nie reagują. Nie mogę się dostać do MH-10.

- Jak to, cholera, nie możesz się dostać? -Nie...

- Ktoś tam jest? Jezu, jeżeli ktoś tam jest, natychmiast każcie mu wiać! - Podstacje działały bezobsługowo, lecz od czasu do czasu robotnicy

wchodzili do nich wykonać rutynowe konserwacje i naprawy.

- Jasne, robi się.

Paski wskaźnika sięgały już czerwonej części skali.

- Szefie? Może powinniśmy zrzucić obciążenie?

Kierownik zgrzytnął zębami, zastanawiając się nad tym. Planowane wyłączenie, czyli zrzut obciążenia, należało do nadzwyczajnych środków, stosowanych w elektroenergetyce. „Obciążeniem” nazywano ilość energii używanej przez odbiorców. Zrzut polegał na ręcznym, kontrolowanym odłączaniu pewnych elementów sieci, aby zapobiec poważniejszej awarii systemu przesyłowego.

Było to ostateczne narzędzie operatora w walce o utrzymanie funkcjonowania sieci i mogło przynieść katastrofalne skutki w gęsto zaludnionej części Manhattanu, która znalazła się w zagrożeniu. Straty wynikające z samego uszkodzenia komputerów mogłyby sięgać dziesiątków milionów, niewykluczone też, że nie obyłyby się bez ofiar, nawet śmiertelnych. Ludzie nie mogliby się dodzwonić pod dziewięćset jedenaście. Karetki i radiowozy policyjne utknęłyby w korkach na skrzyżowaniach pozbawionych sygnalizacji świetlnej. Zatrzymałyby się windy. Wybuchłaby panika. Podczas awarii sieci elektrycznej zawsze zwiększała się liczba rozbojów, kradzieży i gwałtów, nawet w biały dzień.

Dzięki energii elektrycznej ludzie byli uczciwsi.

- Szefie? - powtórzył rozpaczliwym tonem technik.

Kierownik patrzył na rosnące wskaźniki napięcia. Chwycił telefon

i zadzwonił do swojego przełożonego, wiceprezesa w Algonquin.

- Herb, mamy problem. - Poinformował go o sytuacji.

- Jak do tego doszło?

- Nie wiemy. Wydaje mi się, że to mogą być terroryści.

- Boże. Dzwoniłeś do Bezpieczeństwa Krajowego?
- Tak, przed chwilą. Staramy się przede wszystkim ściągnąć więcej prądu do rejonu awarii. Nie mamy szczęścia.
- Przyglądał się, jak wskaźnik wspina się po czerwonej strefie skali.
- No dobrze - powiedział wiceprezes. - Co radzisz?
- Nie mamy wielkiego wyboru. Zrzut obciążenia.
- Kawał miasta zostanie bez prądu na co najmniej jeden dzień.
- Nie widzę innego wyjścia. Przy takim napięciu na wejściu stacja wyleci w powietrze, jeżeli czegoś nie zrobimy.
- Jego szef zamyślił się na moment.
- Przez Manhattan dziesięć biegnie jeszcze jedna linia przesyłowa, zgadza się?
- Kierownik spojrzął na tablicę. Kabel wysokiego napięcia, przechodzący przez podstację, biegł na zachód i zaopatrywał w energię część New Jersey.
- Tak, ale jest wyłączony z sieci. Po prostu jest tam w kanale.
- Ale mógłbyś go przyłączyć i wykorzystać do odciążenia linii?

- Ręcznie?... Chyba tak, chociaż... to by oznaczało, że muszę wysłać ludzi do MH-10. A jeżeli nie uda się zredukować napięcia, dopóki nie skończą, powstanie łuk. Zabije ich. Albo będą mieli poparzenia trzeciego stopnia na całym ciele.

Chwila ciszy.

- Zaczekaj. Zadzwoń. Zobaczymy, co powie Jessen.

Czyli prezes zarządu koncernu Algonquin. Załoga nazywała swojego szefa „Wszech-Moc”.

Czekając, kierownik patrzył na otaczających go techników.

Wciąż patrzył też na tablicę. Na rozjarzone czerwone kółka.

Awaria krytyczna...

Wreszcie w słuchawce ponownie odezwał się wiceprezes. Głos nieco mu się łamał. Szef odchrząknął i po chwili oznajmił:

- Masz wysłać ludzi. Ręcznie podłączyć kabel do sieci.

- Tak mówi Jessen?

Znów chwila ciszy.

-Tak.

- Nie mogę nikomu kazać tam wejść - szepnął kierownik. - To samobójstwo.

- To znajdź ochotników. Jessen mówi, że pod żadnym, słyszysz, pod żadnym pozorem nie wolno ci robić zrzutu obciążenia.

Rozdział 2

K

ierowca sunął autobusem M70 wraz ze sznurem samochodów w kierunku przystanku na Pięćdziesiątej Siódmej, niedaleko miejsca, gdzie Dziesiąta Aleja przechodzi w Amsterdam. Był w niezłym nastroju. Nowy autobus - niskopodłogowy model z przyklękaniem, który opuszczał się przy chodniku, by ułatwić wsiadanie - wyposażono w pochylnię dla niepełnosprawnych,

fantastyczny układ kierowniczy oraz, co najważniejsze, siedzenie przyjazne dla siedzenia kierowcy.

Bóg mu świadkiem, że bardzo tego potrzebował, spędzając za kółkiem osiem godzin dziennie.

Nie interesowało go metro ani kolejki Long Island czy Metro North. Nie, uwielbiał autobusy, mimo obłądnego ruchu, wrogości i arogancji na ulicach. Uważał jazdę autobusem za wyjątkowo demokratyczną. Taksówki były drogie i cuchnące; metro nie zawsze dowoziło pasażera tam, gdzie chciał. A poruszać się pieszo? Przecież to Manhattan. Jeżeli ktoś miał na to czas, świetnie, ale kto miał? Poza tym lubił ludzi i podobało mu się, że każdą osobę, która wsiadała do jego autobusu, mógł powitać skinieniem głowy i uśmiechem. Nowojorczycy, w przeciwieństwie do opinii wielu ludzi, nie byli wcale nieprzyjaźni. Czasem po prostu nieśmiali, niepewni, zamyśleni.

Często wystarczył uśmiech, jedno słowo, kiwnięcie głowy... i zyskiwał nowego znajomego.

Lubił to, nawet gdyby znajomość miała się zakończyć sześć czy siedem skrzyżowań dalej.

Witając pasażerów, miał też okazję wypatrzeć psycholi, pijaczków, speedziarzy i ćpunów i zdecydować, czy powinien wcisnąć przycisk alarmowy.

W końcu to był Manhattan...

Dziś wstał piękny, bezchmurny i rześki dzień. Kwiecień. Jeden z jego ulubionych miesięcy. Około wpół do dwunastej w autobusie tłoczyli się ludzie zmierzający na wschód, gdzie umówili się z kimś na lunch albo chcieli wykorzystać wolną godzinę na załatwienie jakiejś sprawy. Jadąc w poruszającym się wolno strumieniu aut, skierował swój wielki pojazd na przystanek, gdzie czekało kilka osób.

Zbliżając się tam, przypadkiem rzucił okiem na stary brązowy budynek. Pochodził on z początku dwudziestego wieku, miał okratowane okna, ale wewnątrz zawsze panował mrok; kierowca nigdy nie widział, by ktokolwiek tam wchodził lub stamtąd wychodził. Trochę straszne miejsce, przypominające więzienie. Na froncie wisiała łuszcząca się tablica z białym napisem na niebieskim tle.

ALGONQUIN CONSOLIDATED POWER AND LIGHT
PODSTACJA MH-10 UWAGA: WYSOKIE NAPIĘCIE.
WSTĘP WZBRONIONY

Rzadko zwracał uwagę na budynek, ale dziś jego wzrok przyciągnęło coś niecodziennego. Nigdy czegoś takiego nie widział. Z okna na wysokości około trzech metrów zwisał przewód o średnicy ponad centymetra, pokryty ciemną izolacją prawie do końca, gdzie plastik czy gumę

zdarło, odsłaniając srebrzyste pasma metalu, przyśrubowane do jakiegoś elementu, płaskiego kawałka mosiądzu. Grubaśny kabel, pomyślał kierowca.

I wywiesili go z okna. Czy to w ogóle bezpieczne?

Zahamował, zatrzymując autobus na przystanku i wciskając guzik otwierający drzwi. Uruchomił się mechanizm przyklęku i podłoga obniżyła się nad chodnikiem, a metalowy stopień zawisł parę centymetrów nad ziemię.

Kierowca odwrócił szeroką, rumianą twarz w stronę drzwi, które rozsunęły się z miłym dla ucha hydraulicznym sykiem. Ludzie zaczęli wsiadać.

- Dzień dobry - powiedział wesoło kierowca.

Osiemdziesięcikilkuletnia kobieta, ściskając w rękę torbę z butiku Henriego Bendela, skinęła mu głową i podpierając się laską, poczłapała do tyłu, nie zważając na puste miejsca z przodu, zarezerwowane dla osób starszych i niepełnosprawnych.

Jak można nie uwielbiać nowojorczyków?

Dostrzegł nagły ruch w lusterku wstecznym. Migające żółte światła. Z tyłu nadjeżdżała furgonetka. Z Algonquin Consolidated. Wysiedli z niej trzej robotnicy i stanęli przed budynkiem, rozmawiając. Mieli skrzynki z narzędziami, grube rękawice i kurtki. Nie wyglądali na zadowolonych, ruszając wolnym krokiem do stacji transformatorowej; z pochylonymi ku sobie głowami naradzali się po drodze. Jedna z trzech głów pokręciła się złowróźnie.

Kierowca spojrzął na ostatniego pasażera, który zamierzał wsiąść do autobusu, młodego Latynosa, trzymającego w ręku MetroCard. Mężczyzna zatrzymał się przed otwartymi drzwiami autobusu. Patrzył w stronę stacji transformatorowej spod zmarszczonych brwi. Unosił głowę, jak gdyby pochwycił jakiś zapach.

Ostra, gryząca woń. Coś się paliło. Kierowca pamiętał, że taki sam zapach towarzyszył awarii pralki, gdy doszło do zwarcia w silniku i spaliła się izolacja. Obrzydliwy, mdlący smród. Zza drzwi stacji unosiła się smużka dymu.

A więc dlatego zjawili się tu ludzie z Algonquin.

Będzie bałagan. Ciekawe, czy odetną prąd i wyłączą się światła na skrzyżowaniach. Dla niego to będzie koniec. Droga przez miasto, trwająca zwykle dwadzieścia minut, przeciągnie się do kilku godzin. Tak czy inaczej, lepiej będzie, jeżeli zrobi miejsce dla strażaków. Dał znak pasażerowi.

- Halo, proszę pana. Muszę jechać. Niech pan już wsia... Gdy pasażer, wciąż z podejrzliwą miną wciągający zapach dochodzący z budynku, odwrócił się i wsiadł do autobusu, kierowca usłyszał jakieś trzaski z wnętrza stacji. Ostre i krótkie, przypominające wystrzały. Chwilę później cały chodnik między autobusem a kablem zwisającym z okna wypełnił błysk światła, jakby naraz zapłonęło kilkanaście słońc.

Pasażer zniknął w tumanie białego ognia.

Wzrok kierowcy przesłoniła seria szarych powidoków. Ogłuszył go grzmot, który brzmiał jak terkot i huk strzelby jednocześnie. Choć sam był przypięty pasami bezpieczeństwa, cisnęło go plecami na boczne okno.

Porażonymi uszami pochwycił echo wrzasku pasażerów. Na wpół oślepionymi oczami dojrzał płomienie.

■

illli

-d

Tracąc przytomność, zastanawiał się, czy to nie on sam
jest źródłem ognia.

Rozdział 3

M

uszę wam powiedzieć. Wydostał się z lotniska. Godzinę temu widziano go w centrum Meksyku.

- Nie - powiedział z westchnieniem Lincoln Rhyme, zamykając na moment oczy. - Nie...

Amelia Sachs, siedząca obok jego cukierkowo czerwonego wózka Storm Arrow, pochyliła się nad czarną skrzynką telefonu głośno- mówiącego i spytała:

- Co się stało? - Odgarnęła z twarzy rude włosy i ściągnęła je ciasno w koński ogon.

- Samolot wylądował, zanim dostaliśmy z Londynu informacje o locie

- padła lakoniczna odpowiedź z głośnika. W głosie kobiety wyczuwało się energię. - Wygląda na to, że ukrył się w samochodzie dostawczym i wymknął przez wejście służbowe. Pokażę wam nagranie z kamery monitoringu, które dostaliśmy od policji meksykańskiej. Mam link. Chwileczkę. - Jej głos przycichł, gdy zwróciła się do swojego współpracownika, wydając mu polecenia dotyczące odtworzenia wideo.

Przed chwilą minęło południe. Rhyme i Sachs siedzieli w salonie na parterze jego domu przy Central Park West, niegdyś gotyckiego wiktoriańskiego budynku, który być może - jak lubił myśleć Rhyme

- zamieszkiwali ludzie mający mało wspólnego ze staroświecką epoką wiktoriańską. Twardzi biznesmeni, podejrzani politycy, oszuści z klasą. Albo nieprzekupny komendant policji, znany z twardej ręki. Rhyme napisał kiedyś książkę o dawnych zbrodniach w Nowym Jorku i korzystając ze swoich źródeł, próbował prześledzić genealogię budynku. Nie udało mu się jednak ustalić rodowodu.

Rhyme zakładał, że kobieta, z którą rozmawiali, znajdowała się w nowocześniejszym obiekcie, trzy tysiące mil dalej: w Monterey,

w siedzibie Biura Śledczego Kalifornii. Przed kilku laty agentka Kathryn Dance współpracowała z Rhyme'em i Sachs nad sprawą tego samego człowieka, którego właśnie ścigali. Przypuszczali, że naprawdę nazywa się Richard Logan. Mimo to Lincoln Rhyme, myśląc o nim, zazwyczaj używał jego pseudonimu - Zegarmistrz.

Był zawodowym przestępcą, planującym zbrodnie z taką samą precyzją, jaką poświęcał swojemu hobby i pasji - konstruowaniu zegarów. Rhyme i Zegarmistrz kilka razy starli się ze sobą: Rhyme pokrzyżował mu jeden plan, ale nie zdołał zapobiec innemu. Lincoln uważał się jednak za

przegranego w tym pojedynku, ponieważ Zegarmistrz wciąż przebywał na wolności.

Rhyme oparł głowę o zagłówek wózka, wyobrażając sobie Logana. Widział go na własne oczy, z bliska. Szczupły, o chłopięcej czuprynie, patrzył na niego, jak gdyby rozbawiony faktem, że przesłuchuje go policja, która w ogóle się nie domyśliła, że planuje masowe morderstwo. Miał w sobie wrodzony spokój, który Rhyme uznał za najbardziej niepokojącą cechę jego charakteru. Emocje powodują nieostrożność i zwiększają prawdopodobieństwo popełnienia błędu, a nikt nie mógł podejrzewać Richarda Logana o emocjonalną osobowość.

Można go było wynająć do kradzieży, nielegalnego handlu bronią czy jakiegokolwiek innego przedsięwzięcia, które wymagało misternego planowania i bezwzględного wykonania. Na ogół jednak wynajmowano go do morderstw - likwidował świadków, informatorów albo niewygodnych ludzi ze świata polityki i biznesu. Według ostatnich informacji, dostał zlecenie na kogoś w Meksyku. Rhyme zadzwonił do Dance, która miała liczne kontakty za południową granicą - i sama przed kilku laty omal nie zginęła z rąk współnika Zegarmistrza. Związana w ten sposób ze sprawą, reprezentowała stronę amerykańską w operacji, która miała na celu aresztowanie i przeprowadzenie ekstradycji podejrzanego, współpracując z oficerem śledczym Ministerialnej Policji Federalnej, młodym i pracowitym funkcjonariuszem Arturo Diazem.

Wczesnym rankiem dowiedzieli się, że Zegarmistrz wylądował w stolicy Meksyku. Dance zadzwoniła do Diaza, któremu udało się uzyskać zgodę na wysłanie dodatkowych funkcjonariuszy na miejsce, żeby zatrzymali Logana. Ale według ostatnich relacji Dance, policjanci nie zdążyli.

- Jesteście gotowi obejrzeć wideo? - spytała Dance.

- Włączaj. - Rhyme poruszył jednym z niewielu funkcjonujących palców - wskazującym prawej ręki - i podjechał elektrycznym wózkiem bliżej ekranu. Był tetraplegikiem z uszkodzonym czwartym kręgiem szyjnym, prawie zupełnie sparaliżowanym od ramion w dół.

Na jednym z kilku płaskich monitorów w laboratorium ukazał się ziarnisty obraz z widokiem nocnego lotniska. Po obu stronach ogrodzenia na pierwszym planie wały się śmieci, porzucone kartony, puszki i beczki. W kadrze pojawił się kołujący prywatny odrzutowiec transportowy, a kiedy się zatrzymał, otworzył się tylny luk i wyskoczył z niego jakiś mężczyzna.

- To on - powiedziała cicho Dance.

- Nie widzę wyraźnie - odrzekł Rhyme.

- Nie ma wątpliwości, że to Logan - zapewniła go Dance. - Zdjęli częściowy odcisk palca - za chwilę zobaczysz.

Mężczyzna przeciągnął się i rozejrzał, orientując się w terenie. Następnie zarzucił na ramię torbę, skulony pobiegł w kierunku hangaru i ukrył się za nim. Kilka minut później zjawiał się jakiś robotnik, niosąc paczkę wielkości dwóch pudełek na buty. Logan przywitał się z nim i wziął pudło, wręczając mu w zamian dużą kopertę. Robotnik rozejrzał się i szybko odszedł. Potem przy hangarze zatrzymał się pikap obsługi. Logan wsiadł do niego i schował się pod plandeką. Samochód zniknął z pola widzenia kamery.

- Co z samolotem? - spytał Rhyme.

- Poleciał do Ameryki Południowej w czarterowy lot. Obaj piloci twierdzą, że nie mieli pojęcia o pasażerze na gapę. Oczywiście kłamią. Ale nie mamy uprawnień, żeby ich przesłuchać.

- A ten robotnik? - włączyła się Sachs.

- Zdjęła go policja federalna. Zwykły pracownik lotniska z minimalną płacą. Twierdzi, że jakiś nieznajomy

obiecał mu dwieście dolarów za dostarczenie paczki. Pieniądze były w tej kopercie. To z nich zdjęli odcisk.

- Co było w paczce? - zapytał Rhyme.

- Mówi, że nie wie, ale też kłamie - widziałam wideo z przesłuchania. Maglują go nasi ludzie z DEA. Chciałam sama spróbować wydobyć z niego jakieś informacje, ale uzyskanie pozwolenia trwałoby za długo.

Rhyme i Sachs wymienili znaczące spojrzenie. Wspominając o próbie „wydobycia informacji”, Dance zbyt skromnie mówiła o swoich umiejętnościach. Była specjalistką w dziedzinie kinezyki

- mowy ciała - i jednym z najlepszych fachowców od przesłuchań w kraju. Ale między dwoma państwami panowały tak skomplikowane stosunki, że policjant z Kalifornii, chcąc oficjalnie przeprowadzić przesłuchanie w Meksyku, musiałby pokonać potężne przeszkody biurokratyczne, podczas gdy działalność amerykańskiej agencji antynarkotykowej została już tam usankcjonowana.

- Gdzie w stolicy widziano Logana? - dopytywał się dalej Rhyme.

- W dzielnicy biznesowej. Wyśledzono go w hotelu, ale się w nim nie zatrzymał. Ludzie Diaza przypuszczają, że miał tam spotkanie. Zanim zdążyli zacząć obserwację, zniknął. Ale wszystkie organa ścigania w kraju i hotele mają już jego zdjęcie. - Dance dodała, że śledztwo przejmie szef Diaza, funkcjonariusz bardzo wysokiego szczebla.

- Pocieszające, że traktują tę sprawę poważnie.

Tak, pocieszające, pomyślał Rhyme. Czuł się jednak sfrustrowany. Miał ofiarę na wyciągnięcie ręki i równocześnie prawie żadnej kontroli nad sprawą... Zauważył, że szybciej oddycha. Zastanawiał się nad swoim ostatnim starciem z Zegarmistrzem; Logan przechytrzył wszystkich. I bez trudu zabił człowieka, na którego dostał zlecenie. Rhyme miał do dyspozycji

wszystkie fakty, aby rozszyfrować plan Logana. Mimo to zupełnie nie zrozumiał jego strategii.

- Przy okazji, jak minął romantyczny weekend na wyjeździe?

- usłyszał głos Sachs. Pytanie musiało dotyczyć uczuciowej sfery życia Kathryn Dance. Samotna matka dwojga dzieci od kilku lat była wdową.

- Było wspaniale - odparła agentka.

- Dokąd pojechaliście?

Rhyme zachodził w głowę, po co Sachs wypytuje Dance o prywatne sprawy. Rudowłosa policjantka zignorowała jego zniecierpliwione spojrzenie.

- Do Santa Barbara. Zatrzymaliśmy się na Zamku Hearsta... Słuchajcie, ciągle czekam, żebyście mnie odwiedzili. Dzieci bardzo chcą was poznać. Wes napisał pracę do szkoły o kryminalistyce i wspominał w niej o tobie, Lincoln. Jego nauczyciel mieszkał kiedyś w Nowym Jorku i mnóstwo wie o twoich osiągnięciach.

- Tak, chętnie przyjedziemy - powiedział Rhyme, myśląc wyłącznie o Meksyku.

Sachs skwitowała uśmiechem jego zniecierpliwienie i poinformowała Dance, że muszą kończyć.

Kiedy się rozłączyli, otarła pot z czoła Rhyme'a - nie zdawał sobie sprawy, że jest wilgotne - i przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc przez okno na zbliżającą się do nich niewyraźną plamę. To był sokół wędrowny, który zatoczył koło i wylądował w gnieździe na parapecie okna na piętrze. Choć te drapieżne ptaki nie należały do rzadkości w dużych miastach - miały tuż pod dziobem mnóstwo tłustych, smakowitych gołębi - to zwykle wiły gniazda wyżej. Ale z niewiadomego powodu sokoły od kilku pokoleń zadomowiły się u Rhyme'a. Gospodarz lubił ich obecność. Inteligentne i fascynujące ptaki były idealnymi gośćmi, nie domagając się od gospodarza niczego.

- No i co, dopadliście go? - odezwał się męski głos.

- Kogo? - warknął Rhyme. - I cóż to za oryginalny czasownik: „dopadliście”?

- Pytam o Zegarmistrza-wyjaśnił Thom Reston, opiekun Lincolna Rhyme'a.

- Nie - burknął Rhyme.

-Ale już prawie, zgadza się? - dodał szczupły mężczyzna w ciemnych spodniach, wykrochmalonej żółtej koszuli i kwiecistym krawacie.

- Och, prawie - mruknął Rhyme. - „Prawie”. Bardzo precyzyjne słowo. Thom, wyobraź sobie, że zaatakowała cię puma -jak byś się czuł, gdyby strażnik leśny strzelił i prawie ją trafił? A nie naprawdę trafił?

- Czy pumy nie są gatunkiem zagrożonym? - spytał Thom, nie przejmując się ironicznym tonem. Był nieczuły na humory Rhyme'a. Od dawna pracował u kryminalistyka i spędził z nim więcej czasu, niż przeżyło ze sobą niejedno małżeństwo. Lata wspólnego życia zahartowały go w bojach z chlebobdawcą.

- Cha, cha. Zagrożonym. Bardzo zabawne.

Sachs obeszła wózek, położyła ręce na ramionach Rhyme'a i zaczęła improwizowany masaż. Wysoka Sachs była w lepszej formie fizycznej niż większość detektywów nowojorskiej policji w jej wieku i choć jej kolana i nogi dręczył artretyzm, ręce i dłonie miała silne i zdrowe.

Oboje mieli na sobie strój roboczy: Rhyme spodnie od dresu i zieloną koszulkę polo. Sachs zrzuciła granatową marynarkę, ale miała spodnie w tym samym kolorze oraz białą bawełnianą bluzkę z rozpiętym guzikiem u kołnierzyka, spod którego połyskiwały perły. Na jej biodrze spoczywał glock w polimerowej kaburze, a obok w osobnych ładownicach dwa dodatkowe magazynki i paralizator.

Rhyme czuł miarowy nacisk jej palców; powyżej miejsca, w którym przed kilku laty doznał niemal śmiertelnego urazu rdzenia kręgowego - czwartego kręgu szyjnego - zachował czucie. Choć w pewnym momencie rozważał

poddanie się ryzykownej operacji, która mogła poprawić jego stan, wybrał inną formę terapii. Dzięki wyczerpującemu reżimowi ćwiczeń i rehabilitacji zdołał częściowo odzyskać zdolność poruszania palcami i dłonią. Mógł też posługiwać się serdecznym palcem lewej ręki, który z niewiadomego powodu przetrwał bez szwanku wypadek, kiedy to belka w metrze przetrąciła mu kark.

Dotyk palców zagłębiających się w jego ciało sprawiał Rhyme'owi przyjemność. Miał wrażenie, jak gdyby powiększał się ułamek ocalonego czucia. Zerknął na swoje bezużyteczne nogi. Zamknął oczy.

Thom przyglądał mu się uważnie.

- Dobrze się czujesz, Lincoln?
- Dobrze? Jeżeli nie liczyć tego, że sprawca, którego szukam od lat, wymknął się nam z ręki i ukrywa się w drugiej co do wielkości metropolii na tej półkuli, czuję się po prostu wyśmienicie.
- Nie o to pytam. Nie wyglądasz za dobrze.
- Masz rację. Szczerze mówiąc, potrzebuję lekarstwa.
- Lekarstwa?
- Whisky. Dobrze mi zrobi odrobina whisky.
- Nie, nie zrobi.
- No to może spróbujemy przeprowadzić eksperyment. Naukowy. Kartezjański. Racjonalny. Kto mógłby negować jego wynik? Wiem, jak się teraz czuję. Napiję się whisky i potem zawiadomię cię o swoim samopoczuciu.
- Nie. Jest za wcześnie - zauważył rzeczowo Thom.
- Już jest popołudnie.
- Brakuje kilku minut.
- Niech to szlag. - Rhyme zrzędził jak zawsze, ale w rzeczywistości z rozkoszą poddawał się masażowi. Kilka kosmyków rudych włosów wymknęło się z końskiego ogona Sachs i łaskotało go w policzek. Nie odsunął twarzy. Ponieważ najwyraźniej przegrał bitwę o dostęp

do butelki szkockiej, przestał zwracać uwagę na Thoma, lecz asystent nie dał o sobie zapomnieć, mówiąc:

- Kiedy rozmawiałeś przez telefon, dzwonił Lon.
- Lon? Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Mówiłeś, że nie chcesz, żeby ci przeszkadzać, kiedy będziesz rozmawiać z Kathryn.
- No więc powiedz mi teraz.
- Zadzwoń jeszcze raz. Chodzi o jakąś sprawę. Ma kłopot.

- Naprawdę? - Na tę wiadomość Zegarmistrz usunął się nieco w cień. Rhyme zrozumiał, że jego kiepski nastrój ma jeszcze jedną przyczynę: nudę. Właśnie skończył analizę dowodów w skomplikowanej sprawie przestępczości zorganizowanej i groziło mu kilka tygodni nieróbstwa. Myśl o nowym zadaniu podniosła go na duchu. Tak jak Sachs pragnęła szybkości, tempa, Rhyme potrzebował problemów do rozwiązania, wyzwania, pożywki dla umysłu. Jednym z problemów osób z dużym stopniem niepełnosprawności, który umyka uwadze większości ludzi, jest brak jakichkolwiek nowości. Wciąż to samo otoczenie, te same twarze, te same czynności... i te same banały, te same puste słowa pociechy, te same informacje od obojętnych lekarzy.

Niepewny i stopniowy powrót do dawnej pasji, czyli wykorzystania nauki do wyjaśniania przestępstw, uratował mu życie po wypadku - dosłownie, ponieważ przez jakiś czas zastanawiał się nad wspomaganym samobójstwem.

W obliczu tajemnicy nie ma miejsca na nudę.

- Na pewno czujesz się na siłach? - nie ustępował Thom. - Wyglądasz trochę blado.

- Wiesz, ostatnio rzadko bywam na plaży.

- Dobrze, po prostu pytam. Aha, później ma przyjść Arlen Kopeski. Kiedy chcesz się z nim spotkać?

Nazwisko brzmiało znajomo, ale lekko poruszyło w nim strunę niepokoju.

-Kto?

- Ten człowiek z organizacji praw niepełnosprawnych. Chodzi o nagrodę, którą ci mają przyznać.

- Dzisiaj? - Rhyme mogliście przypominać sobie jakieś telefony.

Jeśli nie chodziło o informacje związane ze sprawą, rzadko poświęcał im uwagę.

- Sam wyznaczyłeś mi na dzisiaj spotkanie.

- Och, rzeczywiście potrzebna mi ta nagroda. Co z nią zrobię? Będę jej używać jako przycisku do papierów? Czy któryś z twoich znajomych kiedykolwiek używał przycisku do papierów? Sam kiedykolwiek używałeś przycisku do papierów?

- Lincoln, masz ją dostać za to, że zainspirowałeś młodych niepełnosprawnych ludzi.

- Mnie nikt nie inspirował, kiedy byłem młody. I źle na tym nie wyszedłem. - Słowa o inspiracji nie do końca były prawdą, ale Rhyme robił się małosłowny, ilekroć na horyzoncie pojawiały się jakieś zakłócenia, zwłaszcza gdy wiązały się z czyjąś wizytą.

- Pół godziny.

- To pół godziny, której nie mam.

- Za późno. Kopeski jest już w mieście.

Czasem nie sposób było pokonać asystenta.

- Zobaczymy.

- Kopeski nie będzie sterczał pod drzwiami jak dworzanin czekający na audiencję u króla.

Rhyme'owi spodobała się ta metafora.

Po chwili jednak zupełnie zapomniał o nagrodach i królewskim majestacie, gdy rozjazgotał się telefon, a na wyświetlaczu ukazał się numer porucznika detektywa Lona Sellitta.

Rhyme odebrał, wykonując ruch funkcjonującym palcem prawej dłoni.

-Lon?

- Słuchaj, Linc. - Miał zdyszany głos, a sądząc z dźwięków w tle, dobiegających z głośnika, mówił z szybko jadącego samochodu. - Mamy chyba jakąś robotę terrorystyczną.

- Robotę? Wyrażasz się mało konkretnie.

- Dobra, a co powiesz na to? Ktoś się władował do systemu firmy energetycznej, zrobił iskrę z pięciu tysięcy

woltów i rąbnął nią w miejski autobus, a na dodatek odłączył światło w sześciu kwartałach na południe od Lincoln Center. Wystarczy?

Rozdział 4

D

rszak przybył z centrum.

Departament Bezpieczeństwa Krajowego reprezentował typowy młody, choć wysoki rangą funkcjonariusz, prawdopodobnie urodzony i wychowany wśród pól golfowych Connecticut albo Long Island, co dla Rhyme'a niekoniecznie oznaczało wadę, ale było zwykłym spostrzeżeniem demograficznym. Wymuskana powierzchowność i przenikliwy wzrok tego człowieka maskowały fakt, że prawdopodobnie nie bardzo się orientował, jakie zajmuje miejsce w hierarchii organów ścigania, lecz dotyczyło to niemal każdej osoby, pracującej w DBK. Nazywał się Gary Noble.

Oczywiście Federalne Biuro Śledcze także było obecne, w osobie agenta specjalnego, z którym Rhyme i Sellitto często pracowali: Freda Dellraya. Afroamerykanin zapewne wprowadziłby w konsternację założyciela FBI J. Edgara Hoovera, nie tyle swoimi korzeniami, choć wyraźnie nie pochodził z Nowej Anglii, ile lekceważeniem „stylu Dziewiętej Ulicy”, nazwanego tak od adresu siedziby FBI w Waszyngtonie. Dellray przywdziewał białą koszulę i krawat tylko wówczas, gdy wymagała tego rola, jaką miał odegrać w konkretnej operacji, traktując ten strój jak jeden z aktorskich kostiumów. Dziś był ubrany w swoje własne rzeczy: ciemnozielony garnitur w szkocką kratę, różową koszulę, kojarzącą się z beztroskim prezesem z Wall Street, oraz pomarańczowy krawat, którego Rhyme pozbyłby się w mgnieniu oka.

Dellrayowi towarzyszył jego nowo mianowany szef - zastępca dyrektora nowojorskiego biura FBI, Tucker McDaniel, który rozpoczął karierę zawodową w Waszyngtonie, a potem wyjeżdżał z misją na Bliski Wschód i subkontynent indyjski. Wiceszef biura był

mocno zbudowany, miał ciemne, gęste włosy, smagłą twarz i niebieskie oczy

0 spojrzeniu, które zdawało się podejrzewać o kłamstwo każdego, kto powiedziałby do niego „dzień dobry”.

Była to umiejętność przydatna dla funkcjonariusza organów ścigania i Rhyme sam przybierał podobną minę, jeżeli tego wymagała sytuacja.

Głównym reprezentantem nowojorskiej policji był tęgi Lon Sellitto w szarym garniturze i nietypowej dla niego jasnoniebieskiej koszuli. Jedyną niepomiętą częścią jego garderoby był krawat w plamy - które były ozdobnym deseniem, nie dowodem niechlujstwa właściciela. Prawdopodobnie prezent od jego dziewczyny Rachel albo jej syna. Detektywa z wydziału specjalnego wspierali Sachs oraz Ron Pułaski, jasnowłosy, wiecznie młody funkcjonariusz ze służby patrolowej, który oficjalnie podlegał Sellittowi, lecz nieoficjalnie pracował głównie z Rhyme'em i Sachs przy kryminalistycznej części śledztwa. Pułaski miał na sobie zwykły granatowy mundur nowojorskiej policji

1 T-shirt widoczny w wycięciu bluzy.

Obaj federalni, McDaniel i Noble, słyszeli naturalnie o Rhymie, ale żaden z nich dotąd go nie poznał, więc na widok sparaliżowanego konsultanta kryminalistyki, poruszającego się zręcznie na wózku po laboratorium, okazywali mieszaninę zdziwienia, współczucia i zakłopotania. Zaskoczenie i niepewność wkrótce jednak zniknęły, jak u wszystkich z wyjątkiem najbardziej przymilnych gości, i po chwili osłupieli, widząc coś jeszcze dziwniejszego: wyłożony boazerią salon ze sztukaterią na suficie, zapchany sprzętem, którego mógłby pozazdrościć wydział kryminalistyki w policji miasta średniej wielkości.

Gdy dokonano prezentacji, głos zabrał Noble, ponieważ Departament Bezpieczeństwa Krajowego stał najwyżej w hierarchii ważności.

- Panie Rhyme...
- Lincoln - poprawił Rhyme. Irytował się, gdy okazywano mu nadmierny szacunek, a ilekroć zwracano się do niego po nazwisku, czuł się, jakby gładząc go po głowie, mówiono mu: „Biedactwo, przykro nam, że zostałeś przykuty do wózka na resztę życia, więc będziemy dla ciebie szczególnie uprzejmi”. Sachs zrozumiała znaczenie tej poprawki i przewróciła oczami. Rhyme starał się powstrzymać uśmiech.
- Zgoda, a więc Lincoln. - Noble odchrząknął. - Sprawa przedstawia się następująco. Co wiesz o sieci - sieci elektroenergetycznej?
- Niewiele - przyznał Rhyme. W college'u zajmował się naukami ścisłymi, lecz nie poświęcał specjalnej uwagi elektryczności, z wyjątkiem zjawisk elektromagnetycznych w fizyce jako jednej z czterech podstawowych sił w naturze, wraz z siłą grawitacji oraz silnymi i słabymi siłami jądrowymi. Była to jednak wiedza teoretyczna. W praktyce zainteresowanie Rhyme'a elektrycznością ograniczało się do dbania, by pompowano jej tyle, żeby wystarczyło do zasilenia sprzętu w laboratorium. Urządzenia były wyjątkowo prądożerne i dwa razy musiał wymieniać instalację w domu, aby wytrzymała dodatkowe obciążenie. Rhyme miał również świadomość, że żyje i funkcjonuje wyłącznie dzięki elektryczności: dzięki niej działał respirator pompujący do jego płuc powietrze tuż po wypadku, a teraz akumulatory wózka i cały sprzęt sterowany panelem dotykowym i reagującym na głos USO, układem sterowania otoczeniem. Oraz oczywiście komputer. Bez instalacji elektrycznej miałby marne życie. Prawdopodobnie nie miałby żadnego życia.
- Sprawa z grubsza wygląda tak - ciągnął Noble - nasz nieznany sprawca dostał się do stacji transformatorowej firmy energetycznej i wyprowadził przewód na zewnątrz budynku.

- Sprawca - w liczbie pojedynczej? - spytał Rhyme.
- Jeszcze nie wiemy.
- Przewód na zewnątrz. Rozumiem.
- Potem dostał się do komputera sterującego siecią i kazał mu wysłać do stacji wyższe napięcie, niż mogła odebrać. - Noble bawił się spinkami koszuli w kształcie zwierząt.
- Moc prądu gwałtownie wzrosła - wtrącił McDaniel z FBI. - W zasadzie próbował przedostać się do ziemi. To się nazywa wyładowanie łukowe. Eksplozja. Jak uderzenie pioruna.
- Iskra pięciu tysięcy woltów...
- Jest tak potężna, że powstaje plazma - dodał wiceszef biura FBI. -To stan skupienia materii...
- ...który nie jest ani gazem, ani cieczą, ani ciałem stałym - przerwał zniecierpliwiony Rhyme.
- Otóż to. Nawet mały łuk ma siłę wybuchu funta trotylu, a ten nie był mały.
- Celem był autobus? - zapytał Rhyme.
- Na to wygląda.
- Ale autobusy mają gumowe opony - włączył się Sellitto. - Pojazdy to najbezpieczniejsze miejsce w czasie burzy z piorunami. Widziałem to w jakimś programie.
- To prawda - zgodził się McDaniel. - Ale nieznany sprawca wszystko przewidział. To był niskopodłogowy autobus z funkcją przykłąku. Albo sprawca liczył na to, że opuszczany stopień dotknie chodnika, albo miał nadzieję, że ktoś postawi nogę na stopniu, a drugą będzie stał na ziemi. To by wystarczyło do wyładowania.
- Noble znów przekręcił maleńkiego srebrnego ssaka na mankiecie.
- Źle jednak wybrał moment. Albo cel. Łuk trafił w słup tuż obok autobusu. Zabił jednego pasażera, ogłuszył kilka osób w pobliżu, na parę innych sypnął odłamkami szkła, wywołał pożar. Gdyby trafił bezpośrednio w autobus, byłyby znacznie większe straty. Zginęłaby

zapewne połowa pasażerów. Albo odniosłaby oparzenia trzeciego stopnia.

- Lon wspomniał coś o wyłączeniu prądu - rzekł Rhyme.

McDaniel ponownie włączył się do rozmowy.

- Sprawca użył komputera, żeby odłączyć cztery inne podstacje w okolicy, więc prąd płynął tylko przez tę jedną na Pięćdziesiątej Siódmej. Kiedy doszło do wyładowania, stacja została wyłączona z sieci, ale Algonquin zdołał uruchomić pozostałe. W tym momencie bez światła jest koło sześciu kwartałów w Clinton. Nie widziałeś tego w wiadomościach?

- Rzadko oglądam wiadomości - odparł Rhyme.

- Czy kierowca albo ktoś inny coś widział? - spytała Sachs.

- Nic istotnego. Na miejscu była ekipa monterów. Dostali polecenie od prezesa Algonquin, żeby wejść do budynku i coś przełączyć. Dzięki Bogu, że nie weszli, zanim to się stało.

- W środku nie było nikogo? - zdziwił się Fred Dellray. Agent sprawiał wrażenie niedoinformowanego. Rhyme przypuszczał, że McDaniel nie zdążył przekazać zespołowi wszystkich szczegółów.

- Nie. Podstacje to prawie wyłącznie sprzęt, nikt tam nie wchodzi poza ludźmi przeprowadzającymi rutynowe konserwacje czy naprawy.

- Jak włamano się do komputera? - spytał Lon Sellitto, siadając z rozmachem na wiklinowym fotelu.

- Nie jesteśmy pewni - odrzekł Gary Noble. - Sprawdzamy właśnie możliwości. Nasi hakerzy próbowali przeprowadzić pozorowany atak terrorystyczny i nie potrafili dostać się do systemu. Ale wiecie, jak to wygląda: bandyci zawsze są o krok przed nami - pod względem techniki.

- Ktoś przyznał się do zamachu? - spytał Ron Pułaski.

- Jeszcze nie - odparł Noble.

- Dlaczego więc zakładacie atak terrorystów? - zapytał Rhyme. - Wydaje mi się, że to po prostu dobry sposób na wyłączenie alarmów i systemów zabezpieczeń. Zgłoszono jakieś morderstwa czy włamania?

- Nie, jak dotąd nie - poinformował Sellitto.

- Sądzimy, że to terroryści, z kilku powodów - powiedział McDaniel. - Przede wszystkim dlatego, że tak sugeruje nasz program analizy wzorców i profili. Zaraz po tym zdarzeniu nasi ludzie sprawdzili sygnały z Marylandu. - Urwał, jak gdyby chciał przestrzec wszystkich obecnych, żeby nikomu nie powtarzali tego, co teraz powie. Rhyme domyślił się, że agent FBI ma na myśli mroczny świat wywiadu - wężących wszędzie rządowych agencji, które formalnie mogły nie mieć uprawnień do prowadzenia inwigilacji w kraju, ale wykorzystując luki w prawie, trzymały rękę na pulsie sytuacji wewnętrznej, szukając przypadków łamania prawa. Tak się składało, że w Marylandzie miała siedzibę Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, najlepszy podsłuchiwacz na świecie. - Nowy system SIGINT dał nam parę ciekawych wyników.

SIGINT, czyli *signal intelligence*, wywiad sygnałowy. Monitorowanie telefonów komórkowych, satelitarnych, e-maili... wydawało się, że to odpowiednie narzędzie w pojedynku z kimś, kto organizuje zamach przy użyciu sieci energetycznej.

- Wykrył wzmianki o działającej w tym rejonie nowej grupie terrorystycznej, tak przypuszczamy. Nigdy dotąd nie mieliśmy o niej żadnych informacji.

- Kto to jest? - spytał Sellitto.

- Nazwa zaczyna się od „Sprawiedliwość” i ma w środku słowo „dla” - wyjaśnił McDaniel. Sprawiedliwość dla...

- Nic więcej? - zdziwiła się Sachs.

- Nic. Może „Sprawiedliwość dla Allacha”. „Sprawiedliwość dla Uciśnionych”. Cokolwiek. Nie mamy pojęcia.
- Nazwa jest angielska? - upewnił się Rhyme. - Nie arabska, somalijska ani indonezyjska?
- Zgadza się - przytaknął McDaniel. - Ale mamy wielojęzyczne i wielodialektowe programy, które monitorują wszystkie formy komunikacji, jakie uda się nam wykryć.
- Zgodnie z prawem - dodał szybko Noble. - Wykrywamy je zgodnie z prawem.
- Ale na ogół komunikują się w strefie cienia - wtrącił McDaniel. Nie wytłumaczył, o co chodzi.
- Hm, co to takiego, proszę pana? - zapytał Ron Pułaski, ubiegając Rhyme'a, który zamierzał sformułować pytanie znacznie mniej uprzejmie.
- Strefa cienia? - odparł wiceszef biura FBI. - To termin używany przez najnowszą informatykę - sytuacja, gdy dane i programy są przechowywane na odległych serwerach, nie na własnym komputerze. Pisałem analizę na ten temat. Mam na myśli nowe protokoły komunikacyjne. Strona negatywna rzadko korzysta ze standardowej telefonii komórkowej i e-maili. Ci ludzie wysyłają do siebie wiadomości za pomocą nowych technik, takich jak błogi, Twitter i Facebook. Szyfrują je także w wysyłanych do sieci plikach muzycznych i wideo. Osobiście podejrzewam też, że mają zupełnie nowe systemy, różne rodzaje zmodyfikowanych telefonów, radio działające na alternatywnych częstotliwościach.
Strefa cienia, strona negatywna...
- Dlaczego sądzicie, że za zamachem stoi ta „Sprawiedliwość dla”? - spytała Sachs.
- Niekoniecznie - odrzekł Noble.
- Po prostu mieliśmy parę trafień w SIGINT o dystrybucjach pieniędzy i przepływach osób w ciągu kilku ostatnich dni - uzupełnił McDaniel. - I zdanie: „To będzie

duża rzecz". Kiedy więc dzisiaj doszło do zamachu, pomyśleliśmy, że może to właśnie to.

- Poza tym zbliża się Dzień Ziemi - zauważył Noble. Rhyme nie był pewien, co to właściwie jest Dzień Ziemi, i nie miał na jego temat żadnego zdania. Myślał tylko o nim z pewnym rozdrażnieniem, jak o wielu świętach i imprezach: kojarzył go z tłumami i demonstrantami, tarasującymi ulice i fatygującymi siły nowojorskiej policji, które powinny prowadzić jego sprawy.

- Możliwe, że to coś więcej niż zbieg okoliczności - dodał Noble.

- Zamach na sieć energetyczną w przeddzień Dnia Ziemi? Sprawa zainteresuje prezydenta.

- Naszego prezydenta? - upewnił się Sellitto.

- Owszem. Jest teraz pod Waszyngtonem na szczycie poświęconym energetyce odnawialnej.

- Ktoś chce przedstawić swoje stanowisko - myślał głośno Sellitto.

- Ekoterrorysty.

Ci byli rzadko spotykani w Nowym Jorku; nie prowadzono tu na większą skalę wyrębu lasów ani eksploatacji odkrywkowej.

- Może to „Sprawiedliwość dla Środowiska”? - podsunęła Sachs.

- Jest jednak jeszcze pewien szkopał - podjął McDaniel. - Jeden z wyników wywiadu powiązał „Sprawiedliwość dla” z jakimś „Rahmanem”. To nie jest nazwisko. Na liście islamistów podejrzanych o terroryzm mamy ośmiu Rahmanów, których los jest nieznany. Uważamy, że może chodzić o jednego z nich, ale nie wiemy o którego.

Noble dał spokój niedźwiedzim czy manatom, zdobiącym jego mankiety, i zaczął się bawić gustownym długopisem.

- W Bezpieczeństwie Krajowym uważamy, że Rahman może należeć do uśpionej komórki, która jest tu od lat, może nawet od jedenastego września. Porzucił

islamski styl życia, chodzi do umiarkowanych meczetów, unika używania arabskiego.

- Uruchomiłem już jeden zespół tech-kom z Quantico - dodał McDaniel.

- Tech-kom? - powtórzył rozdrażniony Rhyme.

- Techniczno-komunikacyjny. Do prowadzenia obserwacji. I specjalistów od nakazów, żeby w razie potrzeby założyć podsłuchy. Dwóch prawników z Departamentu Sprawiedliwości. Ściągamy też dwustu dodatkowych agentów.

Rhyme i Sellitto wymienili znaczące spojrzenie. To zaskakująco liczna grupa jak na jedno zdarzenie, które nie miało związku z żadnym toczącym się śledztwem. I zmobilizowana w niewiarygodnie krótkim czasie. Do ataku doszło niecałe dwie godziny temu.

Agent federalny zauważył ich reakcję.

- Jesteśmy przekonani, że terroryzm przybiera nowe formy. Dlatego musimy korzystać z nowych metod jego zwalczania. Tak jak samoloty bezzałogowe na Bliskim Wschodzie i w Afganistanie. Wiecie, że ich piloci siedzą niedaleko centrów handlowych w Colorado Springs albo Omaha.

Strefa cienia...

-Tech-kom jest już na miejscu, więc niebawem będziemy mogli przechwycić więcej sygnałów. Wciąż jednak są nam potrzebne tradycyjne metody. - Rozejrzał się po laboratorium. Rhyme odgadł, że ma na myśli kryminalistykę. Potem wzrok wiceszefa biura FBI spoczął na Dellrayu. - I praca na ulicach. Chociaż Fred twierdzi, że nie miał szczęścia.

Poza nieprzeciętnym talentem do działania pod przykryciem, Dellray miał równie wielki talent do tworzenia siatek tajnych informatorów. Po jedenastym wrześniu pozyskał względy dużej liczby członków społeczności islamskiej i zorganizował z nich grupę informatorów, nauczony się arabskiego, indonezyjskiego i perskiego. Regularnie współpracował

ze znakomitą jednostką antyterrorystyczną nowojorskiej policji. Czarnoskóry agent potwierdził jednak słowa szefa.

- Nic nie słyszałem o żadnej organizacji „Sprawiedliwość dla” ani o Rahmianie - rzekł z ponurą miną. - Wypytałem moich chłopców w Brooklynie, Jersey, Queens i na Manhattanie.

- To się przecież stało przed chwilą - przypomniał mu Sellitto.

- Owszem - rzekł wolno McDaniel. - Oczywiście coś takiego na pewno planowano przez... ile? Miesiąc?

- Prawdopodobnie - przytaknął Noble. - Co najmniej.

- Widzicie, tak wygląda ta cholerna strefa cienia.

Rhyme usłyszał w głosie McDaniela nutę krytyki pod adresem Dellraya: informatorzy powinni się dowiadywać o pewnych rzeczach, zanim się wydarzą.

-Pracuj nad tym dalej, Fred - rzekł McDaniel. - Dobrze ci to wychodzi.

- Jasne, Tucker.

Noble przestał się bawić długopisem. Spojrzał na zegarek.

- No dobrze, Departament Bezpieczeństwa będzie koordynował działania z Waszyngtonem i Departamentem Stanu, a w razie potrzeby także z ambasadami. Ale policja i FBI poprowadzą sprawę jak każdą inną. Posłuchaj, Lincoln, wszyscy znają twoje kompetencje i doświadczenie w kryminalistyce, więc mamy nadzieję, że będziesz czuwał nad analizą śladów. Właśnie wysyłamy na miejsce zespół techniczny. Powinien być pod stacją transformatorową za dwadzieścia, góra trzydzieści minut.

- Oczywiście, że pomożemy - odparł Rhyme. - Ale sami zabezpieczymy miejsce zdarzenia. Od wejścia do wyjścia. I wszystkie dodatkowe miejsca. Nie tylko ślady. Wszystko od A do Z. - Zerknął na Sellitta, który zdecydowanie pokiwał głową, dając mu do zrozumienia, że ma jego pełne poparcie.

W chwili niezręcznego milczenia, które zapadło po jego słowach, wszyscy zrozumieli podtekst: kto w konsekwencji będzie kierował śledztwem. Specyfika pracy współczesnej policji polega na tym, że ten, kto zajmuje się kryminalistyczną stroną śledztwa, właściwie prowadzi całą sprawę. Taki był w praktyce skutek rozwoju technik kryminalistycznych w ostatnim dziesięcioleciu. Zabezpieczając ślady na miejscu zdarzenia i analizując znalezione dowody, funkcjonariusze mieli najpełniejszy obraz zbrodni, znali potencjalnych podejrzanych i stawiali pierwsze hipotezy.

Decyzje strategiczne należały do triumwiratu-Noble'a i McDaniela z ramienia agencji federalnych oraz Sellitta jako reprezentanta policji. Gdyby się jednak zgodzili, aby Rhyme przejął analizę dowodów, w konsekwencji złożyliby na jego barki prowadzenie śledztwa. To byłoby logiczne. Rhyme wyjaśniał zagadki przestępstw w mieście dłużej niż którykolwiek z nich, a ponieważ na razie nie było żadnych podejrzanych ani tropów z wyjątkiem dowodów, należało się zwrócić do specjalisty kryminalistyka.

Co najważniejsze, Rhyme bardzo chciał dostać tę sprawę. Współczynnik nudy...

No dobrze, trochę też chodziło o polechtanie własnej próżności.

Wysunął więc najlepszy argument, jaki miał w zanadrzu: wybrał milczenie. Utkwił tylko wzrok w twarzy Gary'ego Noble'a, człowieka z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

McDaniel kręcił się niespokojnie - w końcu to jego ekipa kryminalistyczna miała zostać zdegradowana - a Noble posłał mu pytające spojrzenie.

- Co o tym sądzisz, Tucker?

- Znam pracę pana Rhy... Lincolna. Nie mam nic przeciwko temu, żeby zabezpieczył ślady. Pod warunkiem że będzie w stu procentach koordynował z nami każdy krok.

- Oczywiście.

-1 że będzie przy tym ktoś od nas. I natychmiast poznamy wyniki analizy. - Patrzył w oczy Rhyme'a, nie na jego ciało. - Najważniejszy jest szybki czas reakcji. Rhyme podejrzewał, że kryje się za tym pytanie: czy ktoś w twoim stanie podoła takiemu zadaniu? Sellitto wzdrygnął się, ale McDaniel nie chciał upokorzyć kaleki. Zadał po prostu zasadne pytanie. Rhyme sam by o to zapytał.

- Rozumiem - odrzekł.

- To dobrze. O pomoc w każdej sprawie możesz prosić naszych ludzi z zespołu analizy dowodów - zapewnił go wiceszef biura FBI.

- Jeżeli chodzi o media - podjął Noble - na razie staramy się bagatelizować wątek terrorystyczny. Przedstawiamy to jako wypadek. Wyciekła jednak wiadomość, że może chodzić o coś więcej. Ludzie panikują.

- Zgadza się. - McDaniel skinął głową. - Mam w biurze monitoring ruchu internetowego. Lawinowo wzrosło wpisywanie w wyszukiwarkach takich haseł jak „porażenie prądem”, „wyładowanie łukowe” i „awaria sieci energetycznej”. Klipy o łukach elektrycznych w YouTube mają rekordową oglądalność. Sam wszedłem do sieci. Te filmy są przerażające. Dwóch ludzi pracuje przy tablicy rozdzielczej, nagle cały ekran wypełnia błysk, a po chwili jeden z nich leży na ziemi i ma połowę ciała w płomieniach.

- Poza tym - dorzucił Noble - ludzie się boją, że do wyładowania łukowego może dojść nie tylko w takim miejscu jak stacja transformatorowa. Ale na przykład w ich domach i biurach.

-A może? - spytała Sachs.

McDaniel najwyraźniej nie nauczył się wszystkiego o łukach elektrycznych.

- Tak sędzę - przyznał - ale nie jestem pewien, przy jak dużym prądzie. - Zatrzymał wzrok na gniazdku z napięciem 220 woltów.
- Wydaje mi się, że lepiej będzie wziąć się do roboty
- powiedział Rhyme, zerkając na Sachs.

Ruszyła do wyjścia.

- Ron, chodź ze mną. - Pułaski dołączył do niej. Chwilę później zamknęły się za nimi drzwi i Rhyme usłyszał pomruk potężnego silnika jej samochodu.

- Należy jeszcze o czymś pamiętać - dodał McDaniel. - Sprawdziliśmy w komputerach taką ewentualność, że sprawca po prostu badał grunt, sprawdzał, czy sieć energetyczna mogłaby być celem zamachu terrorystycznego. Atak przeprowadzono nieudolnie, zginęła tylko jedna osoba. Wprowadziliśmy tę teorię do systemu i algorytmy wskazują, że następnym razem sprawca może spróbować czegoś innego. Niewykluczona jest też potencjalna jednostkowość.

- Potencjalna...? - powtórzył pytającym tonem Rhyme, zirytowany językiem agenta.

- Jednostkowość, zdarzenie jednorazowe. Nasz program analizy zagrożeń przyznał mu pięćdziesięciopięć procentowy współczynnik niepowtarzalności. To nie najgorzej na świecie.

- Chyba można to ująć inaczej. - odparł Rhyme. - Czyli istnieje czterdziestopięć procentowe prawdopodobieństwo, że ktoś inny w innym miejscu Nowego Jorku może zostać porażony prądem, prawda? Być może nawet w tym momencie.

Rozdział 5

S

tacja MH-10 należąca do Algonquin Consolidated Power była

miniaturowym zamkiem średniowiecznym, znajdującym się w spokojnej okolicy na południe od Lincoln Center. Zbudowano ją z nierównych bloków wapienia, wyblakłych i poranych od nowojorskich zanieczyszczeń i brudu, na jakie były narażone przez dziesiątki lat. Na podniszczonym kamieniu węgielnym można było odczytać datę: 1928.

Tuż przed czternastą przed budynkiem za uszkodzonym autobusem Amelia Sachs zaparkowała swojego

bordowego forda torino cobra. Widok samochodu i basowe dudnienie rury wydechowej przyciągnęły spojrzenia gapiów, policjantów i strażaków, pełne zaciekawienia i podziwu. Wysiadła, rzuciła identyfikator policyjny na deskę rozdzielczą i stanęła z rękami na biodrach, rozglądając się po ulicy. Z drugiej strony wyłonił się Ron Pulaski i z głośnym trzaskiem zamknął drzwi pasażera.

Sachs przyjrzała się osobliwej scenerii. Stację transformatorową, z niewiadomego powodu zwieńczoną wieżyczkami, z obu stron otaczały nowoczesne budynki, liczące co najmniej dwadzieścia pięter. Ściany pokrywały białe zacieki - ślady po miejscowych gołębiach, których parę już wróciło po zamieszczeniu wywołanym wybuchem. Żółtawe szyby w oknach zasłaniały pomalowane na czarno kraty.

Grube metalowe drzwi były otwarte, a w środku panowała ciemność.

Z wyciem elektronicznej syreny nadjechał bus wydziału kryminalistycznego Nowojorskiego Departamentu Policji -NYPD. Samochód zaparkował i wysiadło z niego troje techników z głównego laboratorium wydziału w Queens. Sachs wielokrotnie z nimi pracowała, więc skinieniem głowy powitała Latynosa i Azjatkę oraz ich przełożoną, detektyw Gretchen Sahloff, która w odpowiedzi pomachała do niej ręką i spoglądając posępnie na frontową ścianę stacji, podeszła do tylnych drzwi furgonetki, skąd dwoje funkcjonariuszy zaczęło wyładowywać sprzęt.

Sachs skupiła uwagę na chodniku i ulicy, ogrodzonych żółtą taśmą, zza której akcję obserwowało około pięćdziesięciu osób. Autobus, który wybrano na zamach, stał pusty i przechylony przed budynkiem stacji: w oponach z prawej strony nie było powietrza. Lakier niedaleko przednich drzwi był osmalony, a połowa szyb w oknach szara i mętna.

Podeszła do niej ratowniczką z pogotowia, Afroamerykanka o krępej budowie ciała.

- Dzień dobry - przywitała ją Sachs.

Kobieta niepewnie skinęła głową. Ratownicy widzieli niejedną krwawą masakrę, lecz wyraz jej twarzy zdradzał, że wciąż jest wstrząśnięta.

- Detektywie, lepiej niech pani sama popatrzy.

Sachs poszła za nią do karetki, gdzie na noszach leżały zwłoki, czekając na transport do kostnicy. Były przykryte ciemnozieloną impregnowaną płachtą.

- To był, zdaje się, pasażer. Myśleliśmy, że uda się go uratować. Ale... donieśliśmy go tylko tu.

- Porażenie?

- Niech pani zobaczy - szepnęła. I uniosła przykrycie.

Sachs zamarła, czując zapach spalonej skóry i włosów. Spojrzała na ofiarę, Latynosa w garniturze, a raczej w tym, co z niego zostało. Jego plecy i większa część prawej strony ciała stanowiły amalgamat skóry i zwęglonej tkaniny. Pewnie oparzenia drugiego i trzeciego stopnia. Ale nie to tak ją poruszyło: w swojej pracy widziała już okropne poparzenia, przypadkowe i umyślne. Najbardziej przerażający był widok jego odsłoniętego ciała w miejscu, gdzie ratownicy rozcięli tkaninę garnitur. Sachs miała przed oczyma kilkadziesiąt maleńkich gładkich ran kłutych. Ofiara wyglądała, jak gdyby została trafiona strzałem z wielkiej śrutówki.

- W prawie każdym punkcie jest rana wlotowa i wylotowa - powiedziała ratowniczką.

Przeszły na wylot?

- Co było przyczyną?

- Nie wiem. Pracuję parę lat, ale nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Nagle Sachs uświadomiła sobie coś jeszcze. Wszystkie rany były wyraźnie widoczne.

-Nie ma krwi.

- Rany uległy kauteryzacji. Dlatego... - ściszyła głos.
- Dlatego tak długo zachował przytomność.
Sachs nie potrafiła sobie wyobrazić tego bólu.
- Jak to się stało... - powiedziała na wpół do siebie.
I wkrótce poznała odpowiedź.
-Amelia! - zawołał Ron Pułaski.
Spojrzała w jego stronę.
- Słup na przystanku autobusowym. Zobacz.
Rany...
- Jezu - mruknęła. Podeszła bliżej, do taśmy
wyznaczającej granice miejsca zdarzenia. Na wysokości
około dwóch metrów w metalowym słupie zionął gładki
otwór szerokości ponad dziesięciu centymetrów. Metal
stopił się jak plastik pod działaniem lampy lutowiczej.
Sachs popatrzyła na okna autobusu i stojącego obok
samochodu dostawczego. Z początku myślała, że szyby
zmatowiały od ognia. Ale nie, w pojazdy trafiły drobne
odłamki - te same, które zabiły pasażera. Blacha karoserii
także była podziurawiona.
- Popatrz - szepnęła, wskazując na chodnik i fasadę
stacji transformatorowej. W kamieniu powstały setki
maleńkich kraterów.
- Bomba? - spytał Pułaski. - Może nie zauważyli?
Sachs otworzyła plastikową torebkę i wyciągnęła
niebieskie lateksowe rękawiczki. Nałożywszy je, pochyliła
się i podniosła spod słupa mały krążek metalu w kształcie
łezki. Był tak gorący, że zmiękła od niego rękawiczka.
Kiedy zdała sobie sprawę, co to jest, zadrżała.
- Co to? - zapytał Pułaski.
- Łuk stopił słup. - Rozejrzała się i zobaczyła ponad
setkę podobnych kropelek, leżących na ziemi albo
wbitych w bok autobusu, budynki i stojące w pobliżu
samochody.
Młodego pasażera zabił grad stopionych kropli metalu,
lejących z prędkością trzystu metrów na sekundę.
Młody policjant powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Jak coś takiego trafi w człowieka i przepala go na wylot...

Sachs znów zadrżała - na myśl o bólu ofiary. I na myśl o tym,

jak potworne mogły być skutki zamachu. W tym miejscu ulica była stosunkowo pusta. Gdyby stacja znajdowała się bliżej centrum Manhattanu, zginęłoby dziesięciu czy piętnastu przechodniów.

Unosząc wzrok, Sachs ujrzała broń nieznanego sprawcy: z jednego z okien wychodzących na Pięćdziesiątą Siódmą zwisał ponad- półmetrowy przewód. Pokrywała go czarna izolacja, ale na końcu została zdarta, a goły kabel był przymocowany do osmalonej mosiężnej płyty. Wyglądał jak część zwykłego urządzenia przemysłowego, nie przypominając śmiertelniegroźnego narzędzia, które spowodowało tak straszną eksplozję.

Sachs i Pulaski dołączyli do grupy około dwudziestu agentów Departamentu Bezpieczeństwa, FBI i funkcjonariuszy policji, stojących przy vanie FBI, gdzie zorganizowano stanowisko dowodzenia akcją. Niektórzy mieli na sobie sprzęt bojowy, kilku kombinezony techników kryminalistycznych. Pozostali zwykłe garnitury lub służbowe mundury. Rozdzielali między siebie zadania. Zamierzali znaleźć świadków i sprawdzić, czy nie ma bomb lub innych pułapek, które często pozostawiali terroryści.

Przed stacją stał ze skrzyżowanymi ramionami pięćdziesięciokilku- letni mężczyzna o pociągłej twarzy i z poważną miną patrzył na budynek. Miał zawieszony na szyi identyfikator Algonquin Consolidated. Reprezentował szefostwo firmy: był kierownikiem rejonu, odpowiedzialnym za tę część sieci energetycznej. Sachs poprosiła go, aby szczegółowo opisał, czego Algonquin dowiedział się o zdarzeniu, a gdy mówił, wszystko pilnie notowała.

- Kamery bezpieczeństwa?

- Niestety, nie mamy - odparł chudy mężczyzna. - Nie ma potrzeby. Drzwi są zamykane na kilka zamków. Poza tym naprawdę nie ma stamtąd czego kraść. A prąd działa jak pies obronny. Bardzo duży pies.

- Jak, pana zdaniem, sprawca mógł się dostać do środka? - pytała dalej Sachs.

- Kiedy przyjechaliśmy, drzwi były zamknięte. To są zamki szyfrowe.

- Kto zna kody?

- Wszyscy pracownicy. Ale tędy na pewno nie wszedł. Przy wejściu jest czip, który rejestruje każdy moment otwarcia drzwi. Od dwóch dni nikt nie wchodził tędy do stacji. A tego... - wskazał na przewód zwisający z okna - ...wtedy tam jeszcze nie było. Sprawca musiał się włamać w inny sposób.

Sachs odwróciła się do Pułaskiego.

- Kiedy skończysz, sprawdź za budynkiem, obejrzyj okna i dach. Jest wejście podziemne? - spytała, ponownie zwracając się do pracownika Algonquin.

- O ile wiem, nie ma - odrzekł kierownik rejonu. - Linie biegnące do i od stacji są ułożone w kanałach, w które nikt nie potrafiłby się wcisnąć. Ale być może są inne tunele, o których nic nie wiem.

- W każdym razie sprawdź to, Ron. - Następnie Sachs przesłuchała kierowcę autobusu, którym zajmowali się ratownicy. Pokaleczyły go odłamki szkła i doznał wstrząsu mózgu, miał chwilowe zaburzenia wzroku i słuchu, mimo to upierał się, że zostanie, aby pomóc policji. Okazało się jednak, że nie bardzo potrafi to zrobić. Korpulentny mężczyzna powiedział tylko, że zaciekał go przewód wywieszony przez okno; nigdy przedtem go nie widział. Poczł dym i usłyszał dobiegające ze stacji trzaski. Potem zobaczył przerażającą iskrę.

- Wszystko stało się tak szybko - szepnął. - Nigdy w życiu nie widziałem niczego tak szybkiego.

Rzuciło go na okno i ocknął się dziesięć minut później. Teraz zamilkł, z rozgoryczeniem i żalem patrząc na zniszczony autobus.

Sachs zwróciła się do obecnych na miejscu zdarzenia agentów i funkcjonariuszy, których poinformowała, że razem z Pułaskim zabezpieczą ślady. Zastanawiała się, czy Tucker McDaniel z FBI naprawdę przekazał im wiadomość, że się na to zgadza. Często zdarzało się, że wysoki rangą funkcjonariusz organów ścigania przytakiwał ci z uśmiechem, by potem zapomnieć, że kiedykolwiek odbył taką rozmowę. Ale agenci federalni byli o wszystkim poinformowani. Niektórzy wydawali się rozdrażnieni faktem, że kluczową rolę w dochodzeniu będzie odgrywać policja, ale inni - głównie technicy z federalnego zespołu analizy dowodów - przyjęli to spokojnie, przyglądając się Sachs z ciekawością i podziwem; w końcu należała do zespołu kierowanego przez legendarnego Lincolna Rhyme'a.

- Bierzmy się do roboty - powiedziała do Pułaskiego Sachs. Podeszła do policyjnego busa, zwijając płomiennorude włosy w kok, by włożyć kombinezon. Pułaski wahał się przez chwilę, spoglądając na setkę stygnących krążków metalu, leżących na chodniku i wbitych we frontową ścianę budynku, potem na sztywny przewód, zwisający z okna.

- Wyłączyli tam już prąd, prawda?
Sachs bez słowa dała mu znak, żeby poszedł za nią.

Rozdział 6

M

ężczyzna w brudnym granatowym kombinezonie Algonquin Consolidated Power, czapce bejsbolowej bez żadnego napisu oraz ochronnych okularach pracował przy tablicy rozdzielczej na zapleczu klubu sportowego w Chelsea na Manhattanie.

Montując sprzęt, zdejmując izolację z przewodów, przycinając je i podłączając, myślał o dzisiejszym zamachu. Wiadomości trąbiły o nim bez przerwy.

Dziś rano w wyniku przeciążenia stacji transformatorowej na Manhattanie doszło do silnego wyładowania elektrycznego między stacją a słupem na przystanku autobusowym, w wyniku którego zginęła jedna osoba, a kilka zostało rannych. Łuk omal nie trafił w autobus komunikacji miejskiej.

- To wyglądało zupełnie jak piorun - powiedział nam jeden ze świadków, pasażer autobusu. - Błysk po prostu w jednej chwili wypełnił cały chodnik. Oślepił mnie. No i ten dźwięk. Nie potrafię go opisać. Jakby głośny pomruk, a potem wybuch. Nie mogę spokojnie podejść do żadnego urządzenia na prąd. Naprawdę trzęsę się ze strachu. Chyba każdy, kto to widział, trzęsę się ze strachu.

Nie jesteś sam, pomyślał mężczyzna. Ludzie od ponad pięciu tysiącleci mieli świadomość istnienia elektryczności, która budziła w nich lęk i respekt. Jej nazwa wywodziła się z greckiego słowa, oznaczającego

bursztyn, zestaloną żywicę, której używali starożytni do wytwarzania ładunków elektrostatycznych. W naukowych pismach na długo przed naszą erą wspomiano o paraliżującym działaniu prądu elektrycznego, wytwarzanego przez węgorze i ryby żyjące w rzekach i przy wybrzeżach Egiptu, Grecji i Rzymu.

Na myśl przyszedł mu wodne stworzenia, ponieważ w trakcie pracy ukradkiem przyglądał się pięciorgu ludziom, nieśpiesznie pływającym w klubowym basenie. Trzem kobietom i dwóm mężczyznom w wieku emerytalnym.

Rybą, która szczególnie go zafascynowała, była drętwa; to ona dała swą łacińską nazwę, *Torpedo*, pociskom wystrzeliwanym przez łodzie podwodne. Nazwa pochodziła od łacińskiego słowa *torpor* - usztywnianie albo paraliż. Drętwa miała w ciele dwie baterie, złożone z setek tysięcy galaretowatych płytkowych komórek, generujących prąd, który niczym przez sieć przewodów przepływał przez skomplikowany układ nerwów. Stworzenie wykorzystywało prąd do obrony, ale również do ataku, podczas polowania. Drętwy przyczajały się, aby obezwładnić, a czasem zabić ofiarę ładunkiem elektrycznym - większe drętwy potrafiły generować napięcie do dwustu woltów i więcej amperów, niż potrzebowała wiertarka elektryczna.

Naprawdę fascynujące...

Skończył pracę nad instalacją we wnętrzu tablicy i przyjrzał się swojemu dziełu. Jak każdy monter linii i główny elektryk, odczuwał pewną dumę na widok porządnie wykonanej roboty. Uważał, że zajmowanie się prądem elektrycznym to coś więcej niż zwykły zawód: dla niego to była nauka i sztuka. Zamknął drzwi i ruszył w głąb klubu, zatrzymując się w pobliżu męskiej szatni. Niewidoczny dla nikogo, czekał.

Jak drętwa.

Klub znajdował się na obrzeżach West Side, w dzielnicy mieszkaniowej; wczesnym popołudniem prawie nikt tu nie zaglądał, żeby pobiegać, popływać czy zagrać w squasha, dopiero po zakończeniu pracy klub zaroził się od

setek mieszkańców, pragnących wypocić napięcia całego dnia.

W tym momencie nie potrzebował jednak tłumów. Na to przyjdzie czas później.

Ludzie wezmą go po prostu za jednego ze zwykłych pracowników i nie zwrócą na niego uwagi. Zatrzymał wzrok na tablicy sygnalizacji pożarowej, zdjął z niej pokrywę i bez specjalnego zainteresowania obejrzał wnętrze. Znow pomyślał o drętwach. Ryby żyjące w słonych wodach miały połączenia równoległe i wytwarzały niższe napięcie, ponieważ woda morska lepiej przewodziła prąd niż słodka, więc do zabicia ofiary nie było potrzebne duże wyładowanie. Natomiast drętwy zamieszkujące rzeki i jeziora miały połączenia szeregowo i generowały wyższe napięcie, by zrównoważyć niższą przewodność słodkiej wody.

Dla niego było to nie tylko fascynujące, ale w tym momencie bardzo istotne - przed testem przewodności wody. Zastanawiał się, czy prawidłowo wszystko obliczył. Po zaledwie dziesięciu minutach oczekiwania usłyszał kroki i ujrzał jednego z pływaków, łysiejącego sześćdziesięciokilkuletniego mężczyznę, który minął go i człapiąc klapkami, ruszył pod prysznic.

Mężczyzna w roboczym kombinezonie ukradkiem zerknął na pływaka, który odkręcił kurek i wszedł pod strumień parującej wody, zupełnie nieświadomy, że ktoś go obserwuje.

Minęły trzy minuty, pięć. Człowiek pod prysznicem mydlił się i spłukiwał.

Niecierpliwiąc się i obawiając, że ktoś może go nakryć, ściskając w dłoni pilota - podobnego do samochodowego breloczka - mężczyzna w kombinezonie poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie ramion.

Torpor. Zaśmiał się w duchu i rozluźnił.

Wreszcie członek klubu wyszedł spod prysznicza i wytarł się ręcznikiem. Narzuciwszy szlafrok, z powrotem włożył klapki. Podeszedł do drzwi prowadzących do szatni i ujął w dłoń klamkę.

W tym momencie mężczyzna w kombinezonie nacisnął równocześnie dwa guziki pilota.

Starszy człowiek syknął i zastygł w bezruchu.

Odsunął się, patrząc na klamkę. Spojrzał na swoje palce i szybko dotknął klamki jeszcze raz.

Bez sensu oczywiście. Nikt nie jest szybszy od prądu.

Tym razem jednak nie poczuł wstrząsu, zaczął więc zapewne podejrzewać, że to była ostra krawędź metalu albo nawet artretyczny ból palców.

Natężenie prądu wynosiło zaledwie kilka miliamperów.

Człowiek w kombinezonie nie przyszedł tu nikogo zabić.

Chciał po prostu przeprowadzić eksperyment, aby sprawdzić dwie rzeczy: po pierwsze, czy pilot sterujący skonstruowanym przez niego przełącznikiem zadziała z takiej odległości, przez barierę betonu i stali? Działał bez zarzutu. Po drugie, jaki jest dokładnie wpływ wody na przewodność? Specjaliści od bezpieczeństwa pracy stale o tym mówili i pisali, ale nigdy nikt nie obliczył tego w praktyce - czyli nie zbadał, ile prądu wystarczy do porażenia człowieka w wilgotnym skórzanym obuwiu, aby wywołać migotanie komór serca i śmierć.

Odpowiedź brzmiała: naprawdę bardzo niewiele.

To dobrze.

Trzęsą się ze strachu...

Mężczyzna w kombinezonie ruszył po schodach do tylnego wyjścia.

Znów pomyślał o rybach i elektryczności. Tym razem nie o generowaniu prądu, ale o jego wyczuwaniu. Zwłaszcza przez rekiny. Miały dosłownie szósty zmysł: zdumiewającą zdolność dostrzegania bioelektrycznej aktywności ofiary z odległości wielu mil, zanim ją jeszcze zobaczą.

Zerknął na zegarek, przypuszczając, że na stacji transformatorowej na dobre rozpoczęło się już śledztwo.

Na nieszczęście dla osób badających przyczynę zdarzenia, ludzie nie rozwinęli szóstego zmysłu rekinów.

To samo wkrótce miało się okazać nieszczęściem dla wielu innych biednych nowojorczyków.

Rozdział 7

S

achs i Pułaski włożyli jasnoniebieskie kombinezony z tyveku,

maski, okulary ochronne oraz ochraniacze na buty. Tak jak zawsze instruował ich Rhyme, na podszewkach umieścili gumki, aby łatwiej było odróżnić ich ślady od śladów pozostawionych na miejscu zdarzenia. Następnie Sachs, ściągnawszy kombinezon pasem, na którym miała radiowy nadajnik audio/wideo i broń, przekroczyła żółtą taśmę, czując ból w artretycznych stawach. W wilgotne dni albo po zabezpieczaniu szczególnie trudnego miejsca, czy po pieszym pościgu, gdy kolana i biodra rwały ją nieprzytomnie, skrycie zazdrościła Lincolnowi Rhyme'owi braku czucia. Oczywiście nigdy nie wspomniała o tym ani słowem, nigdy nie myślała o tym dłużej niż dwie sekundy, ale jednak. Każdy stan ma swoje dobre strony.

Przystanąła na chodniku, sama w granicach strefy śmiertelnego niebezpieczeństwa. Gdy Rhyme pracował w wydziale wsparcia dochodzeniowego - komórce policji odpowiedzialnej za przeszukiwanie miejsc zdarzenia - polecał technikom, by zabezpieczali ślady w pojedynkę, chyba że mieli do czynienia ze szczególnie dużym obszarem. Wychodził z psychologicznego założenia, że człowiek staje się mniej uważny i skrupulatny, gdy ma partnerów, ponieważ cały czas pamięta, że mogą znaleźć coś, co przeoczył. Drugą przyczyną był fakt, że technicy, tak jak przestępcy, zostawiają ślady, choćby mieli na sobie najlepszy strój ochronny. Zanieczyszczenia potrafią zrujnować śledztwo. Im więcej osób zabezpiecza miejsce zdarzenia, tym większe ryzyko.

Spojrzała w zionące mrokiem drzwi, z których wciąż wydobywał się dym. Pomyślała o spoczywającym na biodrze pistolecie. Metalowym.

Linie są wyłączone...

No to bierz się do dzieła, pomyślała. Im szybciej przejdziesz po siatce, tym lepsza jakość dowodów. Kropelki potu, pełne ogromnie ważnego DNA, mogły wyparować i nie udałoby się ich zauważyć. Cenne włókna i włosy mogły ulecieć, a na ich miejsce pojawiłyby się inne, niezwiązane ze sprawą, które naprowadziłyby śledztwo na fałszywy trop.

Pod kaptur wsunęła słuchawkę i poprawiła mikrofon. Włączyła nadajnik na pasku i usłyszała głos Rhyme'a:

- ...steś tam, Sachs? Jes... dobra, już cię mam. Nie byłem pewien. Co to jest? - zapytał.

Widział to samo co ona dzięki małej kamerze wysokiej rozdzielczości, którą Sachs miała zamocowaną na opasce na czole. Zorientowała się, że bezwiednie patrzy na dziurę wypaloną w słupie. Wyjaśniła mu, co się stało: opowiedziała o łuku i drobinach stopionego metalu.

Rhyme przez chwilę milczał.

- To ci dopiero broń - powiedział wreszcie. - No to bierz się do roboty. Zrób siatkę.

Było kilka metod zabezpieczania śladów na miejscu zdarzenia. Jeden z popularnych sposobów polegał na rozpoczynaniu przeszukania od zewnętrznego rogu i poruszaniu się spiralnym torem w kierunku środka.

Lincoln Rhyme preferował jednak metodę siatki. Czasami radził studentom, żeby myśleli o niej jak o koszeniu trawnika - tyle że dwukrotnym. Technik przeprowadzający oględziny szedł w linii prostej od jednego końca miejsca do drugiego, po czym odwracał się o sto osiemdziesiąt stopni, robił krok w prawo lub w lewo i wracał w kierunku punktu wyjścia. Skończywszy obchód, odwracał się w kierunku prostopadłym do poprzedniego i powtarzał całą procedurę, chodząc tam i z powrotem.

Rhyme nalegał, by stosować takie dodatkowe zabezpieczenie, ponieważ pierwsze oględziny miejsca uważał za kluczowe. Jeśli wstępne badanie przeprowadziło się pobieżnie, człowiek nabierał

przekonania, że nic się nie da znaleźć i następne oględziny są zbyteczne.

Sachs pomyślała o paradoksie sytuacji: miała zrobić obchód po siatce w węzle innej siatki - sieci energetycznej. Będzie musiała podzielić się tym spostrzeżeniem z Rhyme'em, ale później. Teraz należało się skupić.

Oględziny miejsca zdarzenia przypominały grzebanie w śmieciach. Cel był prosty: znaleźć coś, cokolwiek, pozostawionego przez sprawcę - który z pewnością coś po sobie zostawił. Francuski kryminalistyk Edmond Locard prawie sto lat temu sformułował zasadę, zgodnie z którą ilekroć zostaje popełnione przestępstwo, następuje przeniesienie dowodów między sprawcą a miejscem zbrodni lub ofiarą. Czasem ślad jest niemal niewidoczny, ale zawsze można go znaleźć, pod warunkiem że się wie, jak szukać, i wykonuje się zadanie odpowiednio cierpliwie i sumiennie.

Amelia Sachs rozpoczęła oględziny, zaczynając na zewnątrz stacji, od broni: zwisającego z okna kabla.

- Wygląda na to, że sprawca...

-Albo sprawcy - poprawił ją przez słuchawkę Rhyme. - Jeżeli stoi za tym „Sprawiedliwość dla”, w grę może wchodzić spore towarzystwo.

- Słusznie, Rhyme. - Pilnował, aby nie uległa złudzeniu, które jest największym problemem techników kryminalistycznych, i nie dała się zwieść przez istotny na pozór szczegół. Zwłoki, krew i dymiący pistolet mogły sugerować, że ofiara została zastrzelona. Jeśli jednak człowiek wbije sobie do głowy, że tak było, może nie zauważyć noża, którym w rzeczywistości popełniono morderstwo.

- No więc sprawca lub sprawcy zainstalowali go od środka - ciągnęła. -Ale wydaje mi się, że musiał stać na zewnątrz, gdzieś na chodniku, żeby sprawdzić odległość i kąt.

- Żeby wycelować w autobus?

- Właśnie.
 - Dobra, w takim razie idź po chodniku.
- Ruszyła, patrząc pod nogi.
- Niedopałki, kapsle od piwa. Ale nic nie ma w pobliżu drzwi ani okna z kablem.
 - Nie zawracaj sobie tym głowy. Przy robocie nie będzie palił ani pił. Jest na to za inteligentny - sądząc po tym, jak wszystko zorganizował. Ale muszą być jakieś ślady w miejscu, gdzie stał. Blisko budynku.
 - Tu jest gzyms, widzisz? - Patrzyła na niski kamienny występ muru, około metra nad chodnikiem. Gzyms był zwieńczony kolcami, które miały uniemożliwić siadanie na nim gołębiom i ludziom, lecz ktoś mógłby się na niego wspiąć, gdyby chciał dosięgnąć okna. - Są ślady butów. Za słabe, żeby zdjąć obraz elektrostatyczny.
 - Sprawdźmy.
- Pochyliła się naprzód. Rhyme patrzył na to samo co ona: kształty, które mogły być śladami butów tuż przy budynku.
- Nie możesz zdjąć obrazu?
- Nie, są za mało wyraźne. Wydaje mi się jednak, że prawdopodobnie zostawił je mężczyzna. Szerokie, z kwadratowymi czubkami, ale nic więcej nie widzę. Nie ma śladów pięt ani środkowej części podeszwy. Ale widać z tego, że nawet jeżeli to dzieło „sprawców” w liczbie mnogiej, to pułapkę zmontował jeden sprawca. Kontynuowała badanie chodnika, lecz nie znalazła żadnych dowodów fizycznych, które miałyby jakikolwiek związek ze zdarzeniem.
- Zbierz próbki, Sachs, a potem przeszukaj stację.
- Na jej polecenie dwaj technicy z Queens tuż za drzwiami ustawili silne reflektory halogenowe. Zrobiła zdjęcia, po czym zebrała próbki materiału z chodnika i gzymsu w pobliżu kabla.
- 1 nie zapomnij... - zaczął Rhyme.
- O podłożu.
 - Ach, wyprzedzasz mnie o krok, Sachs.

Niekoniecznie, pomyślała, ponieważ od lat był jej mentorem i gdyby się nie nauczyła jego procedur obchodu po siatce, nie miałyby czego szukać w kryminalistyce. Cofnęła się poza wytyczone granice miejsca zdarzenia, aby wziąć kontrolną próbkę podłoża - materiału, z którą należało porównać pierwszą. Każda różnica między śladami zebranymi w pewnej odległości od miejsca zdarzenia i w punkcie, gdzie stał sprawca, mogła się okazać wyjątkową wskazówką co do jego tożsamości lub miejsca zamieszkania.

Choć oczywiście wcale nie musiała... ale na tym polegała specyfika oględzin. Nie było żadnych pewników, lecz człowiek robił, co mógł, robił, co należało zrobić.

Sachs przekazała technikom próbki w torebkach i wezwała gestem kierownika z Algonquin, z którym wcześniej rozmawiała.

Kierownik podszedł szybko, z tak samo poważną miną jak poprzednio.

- Tak, detektywie?

- Chcę teraz przeprowadzić oględziny w środku. Może mi pan dokładnie powiedzieć, czego mam szukać - jak podłączył ten kabel? Muszę ustalić, gdzie stał, czego dotykał.

- Zaraz znajdę pani kogoś, kto stale przeprowadza tu konserwacje. - Rozejrzał się wśród pracowników i po chwili zawołał monterą w ciemnoniebieskim kombinezonie Algonquin Consolidated Power i żółtym kasku. Robotnik wyrzucił papierosa i zbliżył się do nich. Kierownik przedstawił go i powtórzył mu prośbę Sachs.

- Dobrze - odrzekł mężczyzna, a jego wzrok oderwał się od budynku stacji, by zbłądzić na biust Sachs, choć jej figurę w znacznym stopniu maskował obszerny niebieski kombinezon z tyveku. Miała ochotę zerknąć na jego pokaźny brzuch, lecz oczywiście tego nie zrobiła. Psy zwykle sikają tam, gdzie nie powinny; nie można ich stale upominać.

- Będę mogła zobaczyć, gdzie podłączył kabel do źródła zasilania? - zapytała go Sachs.

- Tak, wszystko będzie na widoku - odrzekł robotnik. - Pewnie podłączył się blisko automatów. Są na głównym poziomie. Będzie je pani miała na prawo od wejścia.

- Zapytaj go, czy linia była pod napięciem, kiedy sprawca podłączył kabel - szepnął jej do ucha Rhyme. - To nam coś powie o jego umiejętnościach. - Powtórzyła pytanie.

- Jasne, podpiął się do gorącej linii.

Sachs była w szoku.

- Jak mu się to udało?

- Wystarczy nałożyć osobisty sprzęt ochronny. Poza tym trzeba mieć cholernie dobrą izolację.

- Mam jeszcze jedno pytanie - dodał Rhyme. - Jak mu się udaje cokolwiek zrobić w pracy, skoro tyle czasu gapi się na kobiece piersi?

Sachs powstrzymała uśmiech.

Ale gdy szła w kierunku wejścia do stacji, mijając leżące na chodniku krople stopionego metalu, opuściły ją resztki wesołości. Przystanęła i odwróciła się do kierownika.

- Chciałam się ostatni raz upewnić. Nie ma napięcia, zgadza się? - Ruchem głowy wskazała stację. - Linia jest odłączona.

- Och, tak.

Sachs odwróciła się.

- Z wyjątkiem akumulatorów - dodał po chwili.

- Akumulatorów? - Zatrzymała się i obejrzała na niego.

- Zasilają wyłączniki automatyczne - wyjaśnił kierownik. - Ale nie są częścią sieci. Nie będą podłączone do kabla.

- No dobrze. Czy te akumulatory mogą być niebezpieczne? - Wciąż miała przed oczami podziurawione jak rzeszoto ciało pasażera autobusu.

- Pewnie. - Najwyraźniej uznał to pytanie za naiwne. - Ale końcówki są osłonięte izolowanymi nakładkami - dorzucił.

Sachs ruszyła do wejścia stacji.

- Wchodzę, Rhyme.

Zbliżając się do otwartych drzwi, zauważyła, że w ostrym blasku reflektorów wewnątrz budynku wygląda jeszcze groźniej, niż gdy tonęło w mroku.

Brama piekła, przemknęło jej przez myśl.

- Zaczyna mi się robić niedobrze, Sachs. Co ty wyrabiasz?

Zorientowała się, że wahając się przed otwartym na oścież wejściem, rozgląda się na boki. Zdała sobie te sprawę, choć Rhyme tego nie widział, że odruchowo drapie kciuk paznokciem wskazującego palca. Czasami robiła to tak mocno, że się kaleczyła, a potem z zaskoczeniem odkrywała na skórze ślady krwi. Mniejsza o to, ale na pewno nie chciała rozerwać lateksowej rękawiczki i zanieczyścić miejsca zdarzenia własnymi śladami. Rozluźniła palce i powiedziała:

- Tylko patrzę.

Ale za dobrze się znali, żeby wciskać sobie taki kit.

- Co jest? - zapytał.

Sachs głęboko nabrała powietrza. Po chwili odrzekła:

- Muszę przyznać, że trochę mam pietra. Ten łuk elektryczny. Ofiara zginęła naprawdę w okropny sposób.

- Chcesz czekać? Wezwać ekspertów z Algonquin? Będą cię mogli przeprowadzić.

Z tonu jego głosu i rytmu słów odgadła, że Rhyme tego nie chce. To była jedna z jego cech, które uwielbiała - nie rozpieszczając jej, okazywał w ten sposób szacunek swojej asystentce. W domu, przy kolacji, w łóżku to było co innego. Tu natomiast stanowili duet - kryminalistyk i technik zabezpieczający ślady.

Powtórzyła w duchu osobistą mantrę, przejętą od ojca: dopadną cię, kiedy jesteś w ruchu". No więc rusz się wreszcie. - Nie, poradzę sobie. Amelia Sachs wstąpiła do piekła.

Rozdział R

D

obrze widzisz?

- Tak - odparł Rhyme.

Sachs włączyła lampę halogenową, przymocowaną do opaski na głowie. Niewielka lampka rzucała mocny snop światła na słabo widoczne miejsca. Mimo halogenowego oświetlenia w budynku znajdowało się sporo ciemnych zakamarków. Wnętrze stacji było ogromne, choć z chodnika wydawało się mniejsze i wąskie w porównaniu z otaczającymi ją z obu stron budynkami.

Szczypały ją oczy i piekł nos od resztek dymu. Rhyme nalegał, by osoba zabezpieczająca ślady zwracała uwagę na zapachy, które mogą sporo powiedzieć o sprawcy i charakterze przestępstwa. Tu jednak unosiła się jedynie mdła woń palonej gumy i metaliczny, olejowy zapach, który kojarzył się jej z silnikiem samochodowym. I przywoływał wspomnienia z czasów, gdy z ojcem spędzali niedzielne popołudnia zgarbieni nad otwartą maską rasowanego chevroleta albo dodge'a, nie myśląc o bólu pleców i próbując przywrócić do życia mechaniczny układ nerwowy i układ krążenia. Ale także wspomnienia znacznie świeższe: razem z Pammy, nastolatką, która stała się jej przyszywaną siostrzenicą, regulowały silnik torino cobry, a mały pies Pammy, Jackson, cierpliwie siedział na stole z narzędziami, obserwując chirurgów przy pracy.

Obracając głowę, by oświetlić czołówką zadymione wnętrze, zobaczyła potężne zespoły urządzeń, beżowych i szarych, które wyglądały na stosunkowo nowe, oraz pochodzące z zeszłego wieku ciemnozielone, opatrzone metalowymi tabliczkami z nazwą producenta i miejscem produkcji. Na niektórych, jak zauważyła, w

adresie nie było kodu pocztowego, co świadczyło o pochodzeniu sprzętu z odległej epoki.

Główny poziom stacji miał kształt okręgu i znajdował się nad otwartą częścią podziemną, około sześciu metrów niżej, widoczną nad rurową balustradą. Na górze była betonowa posadzka, ale część platform i schodów zrobiono ze stali.

Czyli z metalu.

0 prądzie elektrycznym wiedziała tyle, że metal na pewno jest dobrym przewodnikiem.

Zlokalizowała kabel biegnący od okna do urządzenia, które opisał monter. Widziała, gdzie podejrzany musiał stanąć, żeby wywiesić przewód. Zaczęła w tym miejscu obchód po siatce.

- Co jest na podłodze? - spytał Rhyme. - Coś błyszczący.

- Wygląda na smar albo olej - powiedziała, zniżając głos. - Parę urządzeń pękło w pożarze. Albo było tu drugie wyładowanie. - Zwróciła uwagę na kilkanaście wypalonych kręgów na ścianach i urządzeniach obok w miejscach, gdzie prawdopodobnie strzeliły iskry.

- To dobrze.

-Co?

- Ślady jego stóp będą piękne i wyraźne.

Miał rację. Ale patrząc na tłustawy osad na podłodze, zastanawiała się, czy olej, tak jak metal i woda, też jest dobrym przewodnikiem.

1 gdzie te cholerne akumulatory?

Rzeczywiście znalazła niezłe ślady w pobliżu okna, w którym sprawca wybił dziurę, żeby wywiesić na zewnątrz przewód, oraz niedaleko miejsca, gdzie podłączył go do linii Algonquin.

- Mogli je zostawić monterzy - powiedziała, mając na myśli ślady butów. - Kiedy weszli po wyładowaniu.

- Trzeba się będzie przekonać, nie?

Później Sachs albo Pulaski będą musieli zdjąć odciski butów monterów, żeby porównać je ze śladami i

wyeliminować pracowników z kręgu podejrzanych. Gdyby nawet odpowiedzialność za zamach ponosiła organizacja „Sprawiedliwość dla”, niekoniecznie oznaczało to, że nie mogli zwerbować do swoich terrorystycznych planów kogoś z wewnątrz.

Gdy jednak ustawiała numery i fotografowała ślady butów, powiedziała:

- Myślę, że to ślady sprawcy, Rhyme. Wszystkie są takie same. Czubek buta podobny do tego na gzymsie.

- Doskonale - szepnął Rhyme.

Następnie Sachs zdjęła obraz elektrostatyczny śladów i położyła arkusze folii przy drzwiach. Przyjrzała się samemu kablowi, który był cieńszy, niż się spodziewała, miał tylko około centymetra średnicy. Był pokryty jakąś czarną izolacją i- zrobiony ze splecionych srebrnych żyłek. Zdziwiła się, że nie z miedzi. W sumie miał około pięciu metrów długości. Podłączono go do głównej linii Algonquin za pomocą dwóch szerokich śrub z miedzi lub mosiądzu, z otworami średnicy dwóch centymetrów.

- A więc tak wygląda broń? - zapytał Rhyme.

-Tak.

- Ciężki?

Podniosła kabel, chwytając za gumową izolację.

- Nie, to aluminium. - Straszne, że coś tak małego, podobnie jak bomba, potrafi wywołać taki chaos. Sachs obrzuciła wzrokiem urządzenie, oceniając, jakich narzędzi będzie potrzebowała, żeby rozmontować połączenie. Wyszła na zewnątrz zabrać torbę z samochodu. Własne narzędzia, których używała do napraw domowych i samochodowych, lepiej leżały w ręku niż instrumentarium z busa techników kryminalistycznych; traktowała je jak starych dobrych przyjaciół.

- Jak idzie? - spytał Pulaski.

- Jakoś - mruknęła. - Wiesz już, jak się dostał do środka?

- Sprawdziłem dach. Nie ma żadnego wejścia. Bez względu na to, co mówią ludzie z Algonquin, wydaje mi

się, że dostał się dołem. Sprawdzę studzienki i piwnice w okolicy. Nie ma żadnej konkretnej drogi, która od razu rzucałaby się w oczy, ale to chyba dobrze. Mógł się poczuć zbyt pewnie. Jeżeli będziemy mieli szczęście, może uda się znaleźć coś dobrego.

Rhyme stale przypominał członkom swojego zespołu, że z jedną zbrodnią zawsze wiąże się wiele miejsc. Owszem, tylko w jednym z nich faktycznie popełniono przestępstwo, ale zawsze należy wziąć pod uwagę wejście i wyjście - być może dwie różne drogi lub więcej, jeśli sprawców było kilku. Do tego dochodziły punkty zbiórek, miejsca spotkań. Albo motel, w którym potem cieszyli się z triumfu i dzielili łupem. I w dziewięciu wypadkach na dziesięć zwykle w jednym z takich miejsc, drugorzędnych lub trzeciorzędnych, sprawcy zapominali nałożyć rękawiczki i pozacierać za sobą ślady. Czasem nawet zostawiali swoje nazwiska i adresy.

Rhyme usłyszał uwagę Pułaskiego przez mikrofon Sachs.

- Słusznie, nowy. Tylko przestań używać słowa „szczęście”.

-Tak jest.

-1 przestań się tak szczyrzyć. To też widziałem.

Twarz Pułaskiego stężała. Zapomniał, że Amelia Sachs jest oczami, uszami i nogami Rhyme'a. Odwrócił się i ruszył szukać dalej drogi, którą sprawca dostał się do budynku stacji transformatorowej.

Wróciwszy do środka z narzędziami, Sachs oczyściła je ściereczkami pyłochłonnymi, by usunąć wszelkie zanieczyszczenia. Podeszła do wyłącznika automatycznego, gdzie sprawca podłączył kabel śrubami. Wyciągnęła rękę w kierunku odsłoniętego fragmentu przewodu. Zanim go jednak dotknęła, mimowolnie zatrzymała dłoń w rękawiczce. Patrzyła na nagi metal, lśniący w blasku czołówki.

- Sachs?

Wzdrygnęła się na dźwięk głosu Rhyme'a. Nie odpowiedziała. Mignęła jej przed oczami dziura w słupie, drobinki stopionej stali, podziurawione ciało młodej ofiary.

Linia jest odłączona...

A co będzie, jeśli położy dłoń na metalu, a ktoś dwa czy trzy kilometry stąd, w zacisznym centrum sterowania sieci, postanowi ją podłączyć? Wciśnie guzik, nie mając pojęcia o ekipie policyjnej pracującej w budynku?

I gdzie, do cholery, są te akumulatory?

- Musimy mieć dowody - powiedział Rhyme.

- Racja. - Wsunęła nylonową nakładkę na klucz, żeby jej narzędzia nie zostawiły żadnych śladów na śrubach i nakrętkach, które mogliby pomylić ze śladami pozostawionymi przez sprawcę. Pochyliła się i po krótkiej chwili wahania złapała kluczem pierwszą śrubę. Poluzowała ją nie bez trudu, śpiesząc się i spodziewając, że lada moment może poczuć parzący wstrząs, choć przypuszczała, że przy takim napięciu w momencie porażenia nie poczułaby zupełnie nic.

Chwilę później odkręciła drugą śrubę i wyciągnęła kabel. Zwinęła przewód, po czym zapakowała go do plastikowego worka. Śruby i nakrętki trafiły do torebki na dowody. Wystawiła jedno i drugie za drzwi, żeby zabrał je Pułaski albo technicy, a potem wróciła kontynuować oględziny. Patrząc na podłogę, dostrzegła więcej śladów, które na pierwszy rzut oka wyglądały identycznie z odciskami przypuszczalnie pozostawionymi przez sprawcę.

Przechyliła głowę.

- Sachs, zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Co to było? - spytała, nie tyle Rhyme'a, ile sama siebie.

- Coś usłyszałaś?

- Tak, ty nie?

- Gdybym słyszał, nie pytałbym ciebie.

Brzmiało to jak jakieś stukanie. Sachs podeszła do środka stacji i spojrzała ponad balustradą w ciemność kilka metrów niżej.

Figiel wyobraźni?

Nie, nie miała wątpliwości, że dźwięk był rzeczywisty.

- Faktycznie, słyszę - powiedział Rhyme.

- Dochodzi z dołu, z piwnicy.

Miarowy stukot. Odgłos z pewnością nie pochodził od człowieka.

Zapalnik czasowy? Znowu pomyślała o bombie-pułapce. Sprawca był inteligentny. Wiedział, że ekipa techników nie będzie szczeni trudu, by przeszukać stację. Chciał ich powstrzymać. Podzieliła się swoim przypuszczeniem z Rhyme'em.

-Jeżeli naprawdę podłożył bombę, dlaczego nie zrobił tego w pobliżu kabla?

Równocześnie doszli do tego samego wniosku, ale to Rhyme głośno go wypowiedział.

- Bo w piwnicy jest coś, co stanowi dla niego większe zagrożenie. - Po chwili Rhyme zauważył: - Skoro zasilanie jest odłączone, skąd ten odgłos?

- Nie tyka w sekundowych przerwach, Rhyme. Być może to nie zegar. - Patrzyła w dół nad balustradą, uważając, by nie dotknąć metalu.

- Ciemno tam, niewiele widzę - powiedział.

- Sprawdź. - Ruszyła w dół po krętych schodkach.

Metalowych schodkach.

Dwa metry, trzy, pięć. Snopy światła halogenów lizały tu i ówdzie ściany piwnicy, ale tylko ich górną część. Niżej, gdzie wciąż zalegała reszta gęstego dymu, panował nieprzenikniony mrok. Sachs oddychała płytko, starając się nie zakrtusić. Kiedy zbliżała się do końca schodów, dwa piętra poniżej głównego poziomu stacji, trudno było cokolwiek zobaczyć; blask czołówki odbijał się, świecąc jej prosto w oczy. Ale było to jedyne oświetlenie, jakie miała; obracała głową, kierując latarkę na boki i

oglądając niezliczone skrzynki, urządzenia, przewody i tablice rozdzielcze na ścianach.

Zawahała się, poklepała pistolet. Zeszła z ostatnich stopni schodów.

I syknęła, gdy jej ciało nagle przeszył dreszcz.

- Sachs! Co się stało?

Nie zauważyła, że posadzkę pokrywa pół metra lodowatej, słona-wej wody. Zastłaniał ją dym.

- Woda, Rhyme. Nie spodziewałam się jej. Popatrz.

- Skierowała światło i kamerę w stronę przeciekającej rury, około trzech metrów nad własną głową.

To właśnie było źródło tajemniczych dźwięków. Nie stukot, ale odgłos kapania wody. Myśl, że na stacji elektroenergetycznej może być woda, wydawała się tak niedorzeczna - i niebezpieczna - że w ogóle nie przyszła jej do głowy.

- Pękła od wybuchu?

- Nie. Wywiercił dziurę, Rhyme. Widzę ją. Właściwie dwie dziury. Woda płynie też po ścianie - i właśnie ta napętnia pomieszczenie.

Czy woda nie jest tak samo dobrym przewodnikiem prądu jak metal? - zastanawiała się Sachs.

Stała w niej po kolana, tuż obok układu przewodów, przełączników i połączeń nad tablicą z napisem:

Uwaga: 138 000 voltów

Głos Rhyme'a ją zaskoczył.

- Zalewa piwnicę, żeby zniszczyć dowody.

- Racja.

- Sachs, co to jest? Nie widzę wyraźnie. Skrzynka.

Ta duża, popatrz w prawo... Tak, tam. Co to jest?

Och, nareszcie.

-Akumulator, Rhyme. Zapasowy akumulator.

- Naładowany?

- Mówili, że tak. Ale nie...

Brodząc w wodzie, podeszła bliżej i spojrzała na wskaźnik, który pokazywał, że istotnie akumulator jest naładowany. Wydawało się jej nawet, że przeładowany. Wskazówka przekraczała sto procent. Po chwili Sachs przypomniała sobie, co jeszcze mówili jej monterzy z Algonquin: żeby się nie obawiała, bo akumulator jest zabezpieczony izolowanymi nakładkami.

Ale nie był. Sachs wiedziała, jak wyglądają nakładki na akumulator, a ten na pewno ich nie miał. Metalowe bieguny, podłączone do grubych kabli, były odsłonięte.

- Poziom wody się podnosi. Za parę minut dosięgnie biegunów.

- Ma na tyle prądu, żeby wywołać łuk elektryczny?

- Nie wiem, Rhyme.

- Na pewno - szepnął. - Chce zniszczyć coś, co naprowadzi nas na jego ślad. Coś, czego nie mógł zabrać ze sobą albo zniszczyć, kiedy był w budynku. Potrafisz zakręcić wodę?

Obrzuciła wzrokiem pomieszczenie.

- Nie widzę żadnego kurka... Chwileczkę. - Sachs nadal rozglądała się po piwnicy. - Ale nie widzę niczego, co mógłby chcieć zniszczyć. - Po chwili jednak dostrzegła: tuż za akumulatorem, około metra nad podłogą, był kwadratowy właz, niewielki, o boku długości mniej niż pół metra.

- Jest, Rhyme. Tędy się dostał.

- Po drugiej stronie musi być kanał ściekowy albo instalacyjny. Daj spokój, niech Pulaski znajdzie go od ulicy. Wychodź stamtąd.

-Nie, Rhyme, popatrz - to naprawdę ciasne wejście. Musiał się przez nie przeciskać. Tam muszą być dobre ślady. Włókna, włosy, może DNA. Bo inaczej dlaczego chciałby zniszczyć właz?

Rhyme wahał się przez chwilę. Wiedział, że Sachs ma rację, mówiąc o zabezpieczeniu śladów, lecz nie chciał, żeby dosięgną! jej następny łuk.

Przebrnęła przez wodę, podchodząc bliżej wjazdu. Ruch jej nóg wywołał jednak niewielką falę, która o mały włos nie zalała akumulatora.

Zamarła.

- Sachs!

- Cii. - Musiała się skupić. Gdy przesuwiała się powolutku o kilka centymetrów, grzbiet fali nie sięgał źródła prądu. Widziała jednak, że najwyżej za dwie minuty poziom wody sięgnie przewodów.

Za pomocą płaskiego śrubokrętu zaczęła zdejmować ramę mocującą klapę wjazdu.

Woda zbliżała się już do górnej części akumulatora. Ilekroć Sachs wychylała się do przodu, żeby poluzować zamalowane farbą śruby, unosiła się kolejna fala i mętna woda z pluskiem uderzała w akumulator, by po chwili znów się cofnąć.

Napięcie akumulatora z pewnością było niższe niż sto tysięcy woltów, które wywołały wyładowanie łukowe na ulicy, ale sprawcy prawdopodobnie nie była potrzebna aż tak wielka siła rażenia. Zamierzał spowodować eksplozję na tyle dużą, aby zniszczyć wjazd i wszelkie ślady, jakie mógł na nim pozostawić.

Musiała się dostać do tej cholernej dziury.

- Sachs? - szepnął Rhyme.

Nie zwracała na niego uwagi. Ani na wspomnienie otworków, które krople stopionej stali wypaliły w gładkiej skórze ofiary.

Wreszcie puściła ostatnia śruba. Rama trzymała się na starej farbie. Sachs podważyła końcem śrubokrętu krawędź i uderzyła w trzonek narzędzia. Metal z trzaskiem odskoczył. Kłapa i rama okazały się cięższe, niż sądziła, i omal nie straciła równowagi. Zdołała jednak ustać, nie wywołując tsunami, które zalałoby akumulator. Przez otwór zobaczyła wąski kanał, którym podejrzany mógł się przekraść do budynku stacji.

- Do tunelu - polecił jej szeptem Rhyme. - Tam będziesz bezpieczna. Szybko!

- Próbuję.

Tyle że kłapa wjazdu nie chciała się zmieścić do otworu, nawet po przekątnej, ponieważ była połączona z ramą.

- Nie dam rady - powiedziała, tłumacząc, na czym polega problem. - Wrócę po schodach.

- Nie, Sachs. Zostaw kłapę i wchodź do kanału.

- To za dobry dowód.

Ściskając kłapę wjazdu, zaczęła uciekać, brnąc przez wodę w stronę schodów, od czasu do czasu oglądając się za siebie, by spojrzeć na akumulator. Poruszała się naprawdę w żółwym tempie. Mimo to każdy krok wywoływał falę sięgającą krawędzi końcówek akumulatora.

- Sachs, co się dzieje?

- Jestem już prawie na miejscu - szepnęła, jak gdyby się obawiała, że odzywając się zbyt głośno, jeszcze bardziej wzburzy wodę.

Była w połowie stopni, gdy woda podniosła się i tworząc maleńkie wiry, zamknęła się najpierw nad pierwszym, potem drugim biegunem.

Żadnego łuku.

Nic.

Opuściła ramiona, słysząc łomot własnego serca.

- To atrapa, Rhyme. Nie musieliśmy się mar...

Jej oczy poraził rozbłysk białego światła, któremu towarzyszył przeraźliwy trzask. Amelia Sachs runęła do tyłu, znikając pod powierzchnią obrzydliwego oceanu.

Rozdział 9

T

hom!

Opiekun wpadł do pokoju, uważnie przyglądając się Rhyme'owi.

- Co się stało? Jak się czujesz?

- Nie chodzi o mnie - warknął jego szef, spoglądając nań szeroko otwartymi oczami i głową wskazując czarny ekran. - Amelia. Była na miejscu zdarzenia. Akumulator...

znowu łuk. Urwał się obraz i dźwięk. Dzwon do Pułaskiego! Zadzwoń do kogoś!

Thom Reston z troską zmrużył oczy, ale miał długoletnie doświadczenie jako opiekun: bez względu na rozmiary kryzysu zawsze spokojnie wykonywał swoje obowiązki. Opanowany podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego, przyjrzał się klawiszom i wcisnął przycisk szybkiego wybierania.

Panika nie ześrodkowuje się w brzuchu ani nie przebiega po kręgosłupie jak... prąd w podłączonym do sieci przewodzie. Panika wstrząsa całym ciałem i duszą, nawet jeśli człowiek jest pozbawiony czucia. Rhyme był wściekły na siebie. Powinien rozkazać Sachs uciekać natychmiast, gdy tylko zobaczyli akumulator i podchodzącą coraz wyżej wodę. Zawsze robił to samo, zawsze tak się skupiał na sprawie i na celu, którym było odnalezienie włókna, fragmentu odcisku linii papilarnych, czegokolwiek, co zbliżyłoby go do sprawcy, że zapominał o konsekwencjach: że igra z ludzkim życiem.

Świadczył o tym jego obecny stan. Rhyme był kiedyś kapitanem nowojorskiej policji, szefem wydziału wsparcia dochodzeniowego, i sam zabezpieczał miejsce zdarzenia, pochylając się, by podnieść włókno z ciała ofiary, gdy z góry spadła belka i na zawsze zmieniła jego życie.

A teraz ta sama postawa - którą wpoił Amelii Sachs - prawdopodobnie doprowadziła do znacznie gorszych skutków: Amelia mogła już nie żyć.

Thom uzyskał połączenie.

- Kto to? - rzucił ostrym tonem Rhyme. - Z kim rozmawiasz? Nic jej się nie stało?

Thom uniósł dłoń.

- Co to znaczy? Co to w ogóle ma znaczyć? - Rhyme czuł, jak z czoła spływa mu strużka potu. Zdawał sobie sprawę, że szybciej oddycha. Serce waliło mu jak oszalałe, choć nie czuł tego oczywiście w piersi, ale w szczęce i szyi.

- To Ron - odrzekł Thom. - Jest na tej stacji.

- Wiem, gdzie jest, do cholery. Co się dzieje?

-Doszło do jakiegoś... incydentu. Tak mówią.

Incydent...

- Gdzie Amelia?

- Sprawdzają. W środku są jacyś ludzie. Słyszeli wybuch.

- Wiem, że był wybuch. Cholera jasna, widziałem go na własne oczy!

Opiekun skierował wzrok na Rhyme'a.

- Nic ci... jak się czujesz?

- Przestań ciągle o to pytać. Co się tam dzieje?

Thom nadal przypatrywał się twarzy Rhyme'a.

- Jesteś zaczerwieniony.

- Czuję się świetnie - odparł spokojnie kryminalistyk, żeby młody człowiek skupił się wreszcie na rozmowie telefonicznej. - Naprawdę.

Nagle jego opiekun przechylił głowę na bok i ku zgrozie Rhyme'a zeszywniał, lekko unosząc ramiona.

Nie...

- Dobra - powiedział Thom do słuchawki.

- Co „dobra”? - zirytował się kryminalistyk.

Thom zignorował szefa.

- Podaj mi te informacje. - Przytrzymując brodą słuchawkę, zaczął stukać w klawiaturę głównego komputera w laboratorium.

Ekran ożył.

Rhyme porzucił pozory spokoju i już zaczął tracić panowanie nad sobą, gdy na monitorze pojawiła się najwyraźniej cała i zdrowa, choć mokra od stóp do głów Amelia Sachs. Kosmyki rudych włosów oblepiały jej twarz jak wodorosty, pokrywające nurka wynurzającego się na powierzchnię.

- Przepraszam, Rhyme, kiedy poszłam pod wodę, zgubiłam kamerę. - Zakaszła i otarła czoło, z niesmakiem oglądając swoje palce. Jej ruchy na ekranie były rwane.

Panika natychmiast ustąpiła miejsca uldze, choć pozostała złość - na samego siebie.

Sachs patrzyła w obiektyw dziwnie, nie wprost na niego.

- Korzystam z laptopa pracownika Algonquin z zamontowaną kamerą. Dobrze mnie widzisz?

- Tak, tak. Nic ci się nie stało?

- Nic, tylko dostało mi się do nosa trochę paskudnej wody. Ale jestem cała.

- Co się stało? - dopytywał się Rhyme. - Wytworzył się łuk?

- Nie, akumulator nie był po to. Facet z Algonquin powiedział mi, że miał za małe napięcie. Sprawca zrobił bombę. Jak widać, można ją skonstruować nawet z akumulatora. Wystarczy szczelnie zamknąć otwory wlewowe i przeładować. Wtedy wydziela się wodór. Kiedy woda dotknie biegunów, dochodzi do zwarcia i iskra powoduje zapłon wodoru. Coś takiego właśnie się stało.

- Ratownicy cię obejrzeliby?

- Nie, nie było potrzeby. Było dużo huku, ale wybuch niewielki. Dostałam tylko kawałkami plastiku z obudowy. Nie mam nawet sińca. Wybuch rzucił mnie na

ziemię, ale udało mi się utrzymać klapę włazu nad wodą. Nie sądzę, żeby była bardzo zanieczyszczona.

- To dobrze, Ame... - Urwał w pół słowa. Z niewiadomego powodu od wielu lat panował między nimi przesąd: nigdy nie zwracali się do siebie po imieniu. Zaniepokoił się, że omal nie złamał niepisanej zasady. - To dobrze. Czyli tędy się dostał.

- Pewnie tak.

W tym momencie zauważył Thoma, który podszedł w stronę ściany. Opiekun chwycił ciśnieniomierz i zacisnął mankiet na ramieniu Rhyme'a.

- Nie rób tego.

- Cicho - rzucił burkliwie Thom. - Jesteś czerwony i spocony jak mysz.

-Bo właśnie w budynku stacji wydarzył się cholerny incydent, Thom.

- Boli cię głowa?

Bolała.

- Nie - odparł.

- Nie kłam.

- Trochę. To nic takiego.

Thom przyłożył do jego ramienia stetoskop.

- Przepraszam cię, Amelia, musi być cicho przez trzydzieści sekund.

- Nie ma sprawy.

Rhyme znów zaczął protestować, lecz po chwili uznał, że im prędzej opiekun zmierzy mu ciśnienie, tym prędzej będzie mógł wrócić do pracy.

Nie czując nic, przyglądał się, jak Thom pompuje mankiet, słucha i wypuszcza powietrze z ciśnieniomierza. Potem z hałasem zerwał rzep.

- Wysokie. Trzeba się postarać, żeby nie rosło. Zajmę się teraz paroma rzeczami.

Było to eufemistyczne określenie zabiegów, które Rhyme bez ogródek nazywał „akcją gównomoczową”.

- Co się tam dzieje, Thom? - zapytała Sachs. -
Wszystko w porządku?

- Tak. - Rhyme starał się panować nad głosem. I ukryć fakt, że czuje się dziwnie bezbronny i słaby, choć nie wiedział, czy z powodu zagrożenia, w jakim znalazła się Sachs, czy z powodu swojego stanu.

Czuł się też zażenowany.

- Skoczyło mu ciśnienie - wyjaśnił Thom. - Chcę, żeby skończył tę rozmowę.

- Przywieziemy dowody, Rhyme. Powinniśmy być za pół godziny.

Thom ruszył naprzód, by zakończyć połączenie, gdy nagle Rhyme'owi coś zastukało w głowie - nie był to ból, lecz pewna myśl.

- Zaraz - warknął instynktownie, zwracając się do Thoma i Sachs.

- Lincoln! - zaprotestował jego opiekun.

- Proszę cię, Thom, jeszcze dwie minuty. To ważne.

Thom, choć uprzejmość chlebobdawcy wyraźnie wzbudziła w nim podejrzenia, niechętnie skinął głową.

- Ron szukał miejsca, przez które sprawca dostał się do kanału, tak?

- Zgadza się.

- Jest tam z tobą?

Ziarnista sylwetka Sachs na ekranie rozejrzała się.

-Tak.

- Daj go przed kamerę.

Usłyszał, jak Sachs woła młodego funkcjonariusza. Chwilę później Pulaski siedział, patrząc na niego z monitora.

- Słucham.

- Znalazłeś za stacją miejsce, w którym dostał się do kanału?

-Aha.

-Aha? Dyszysz jak pies, nowy.

- Przepraszam. Tak, znalazłem.

- Gdzie?

- W alejce w głębi ulicy jest studzienka włączowa. Algonquin Power. To jest wejście do obsługi rurociągu ciepłowniczego. Kanał nie prowadzi do samej stacji, ale jakieś pięć metrów dalej znalazłem kratę. Ktoś wyciął w niej otwór, na tyle duży, żeby się przez niego przecisnąć. Potem wstawił kratę na miejsce, ale widać, że została przepiłowana.

- Niedawno?

- Zgadza się.

- Na krawędziach cięcia nie było rdzy.

- Aha. To znaczy tak, nie było. Przejście prowadzi do tego kanału. Jest naprawdę stary. Dawno temu być może służył do dostarczania węgla czy czegoś takiego. I kończy się klapą wjazdu, którą otworzyła Amelia. Byłem na końcu kanału i zobaczyłem światło, kiedy zdjęła klapę. Potem usłyszałem wybuch akumulatora i jej krzyk. Przeszedłem przez kanał i zaraz przy niej byłem.

Szorstki ton zniknął bez śladu z głosu Rhyme'a.

- Dzięki, Pulaski.
Niezręczna sytuacja. Rhyme tak rzadko wyrażał komuś uznanie, że pochwalona osoba nie bardzo wiedziała, jak się zachować.
-Ale uważałem, żeby jak najmniej zanieczyścić miejsce.
- Zanieczyszczaj, ile dusza zapagnie, jeżeli masz komuś uratować życie. Zapamiętaj to.
- Jasne.
- Zrobiłeś siatkę przy tej studzience? - ciągnął kryminalistyk. - I tam gdzie przepiłował kratę? I w kanale?
-Tak jest.
- Coś ci się rzuciło w oczy?
- Tylko odciski butów. Ale wziąłem próbki.
- Zobaczymy, co nam powiedzą.
- Lincoln? - upomniał go stanowczo Thom.
- Jeszcze tylko minuta. Nowy, chcę, żebyś zrobił coś jeszcze. Widzisz tę restaurację czy bar naprzeciwko stacji transformatorowej?
Policjant spojrział w prawo.
- Widzę... Zaraz, skąd wiesz, że tam jest lokal?
- Och, pamiętam z przechadzki po dzielnicy - odparł ze śmiechem Rhyme.
-Ale... - Młody człowiek był wyraźnie zbity z tropu.
- Wiem, bo musi tam być. Nasz sprawca chciał widzieć stację w chwili zamachu. Nie mógł się przyglądać z pokoju hotelowego, bo musiałby się zameldować, ani z okna biurowca, bo to mogłoby wyglądać podejrzanie. Musiał być w miejscu, gdzie mógł spokojnie posiedzieć.
- A, rozumiem. To znaczy z psychologicznego punktu widzenia kręci go oglądanie fajerwerków.
Czas pochwał właśnie się skończył.
-Jezu Chryste, nowy, mówisz o profilowaniu kryminalnym. Co sądzę o profilowaniu?
- Hm, raczej nie jesteś jego entuzjastą, Lincoln.
Rhyme dojrzał uśmiech na twarzy stojącej za nim Sachs.
- Chciał sprawdzić, jak działa jego urządzenie.
Stworzył coś wyjątkowego. Swojej łukowej broni nie

mógłby przestrzelać na strzelnicy. Musiał skorygować napięcie i automaty wyłączników. Musiał się upewnić, że wyładowanie nastąpi dokładnie w tym momencie, gdy autobus będzie stał na przystanku. Dwadzieścia po jedenastej zaczął manipulować komputerem sieci energetycznej, a dziesięć minut później było po wszystkim. Idź porozmawiać z szefem restauracji...
-To jest bar.

- ...z szefem baru i sprawdź, czy krótko przed eksplozją ktoś siedział w lokalu niedaleko okna. Pewnie wyszedł zaraz potem, zanim przyjechała policja i straż pożarna. Dowiedz się, czy mają szerokopasmowy Internet i kto jest dostawcą.

Thom, nałożywszy już gumowe rękawiczki, niecierpliwie gestykulował.

Akcja głównomoczowa...

- Jasne, Lincoln - rzekł Pułaski.

-A potem...

- Zamknąć lokal - przerwał mu młody policjant - i zrobić obchód po siatce w miejscu, gdzie siedział.

- Z ust mi to wyjąłeś, nowy. Potem oboje wracajcie.

Migiem!

Szybkim ruchem jednego z funkcjonujących palców Rhyme

zakończył rozmowę, ubiegając o milisekundę Thoma, który już dotykał przycisku.

Rozdział ID

S

trefa cienia, pomyślał Fred Dellray.

Przypomniał sobie, jak nowo mianowany wicedyrektor nowojorskiego biura FBI Tucker McDaniel zebrał agentów i kropnął im wykład, podobny do mowy wygłoszonej przed kilkoma godzinami w domu Rhyme'a. O nowych metodach łączności, używanych przez przestępców, o tym, jak gwałtowny postęp techniczny ułatwia im działanie, a nam utrudnia.

Strefa cienia...

Oczywiście Dellray rozumiał tę koncepcję. Nie można pracować w dzisiejszych organach ścigania i nic nie wiedzieć o nowoczesnej metodzie szukania i łapania sprawców, której hołdował McDaniel. Co wcale jednak nie oznaczało, że mu się podobały. Ani trochę. Przede wszystkim dlatego, że to określenie symbolizowało fundamentalne, wręcz kataklizmowe zmiany w życiu każdego.

Także w jego życiu.

Jadąc metrem do centrum tego bezchmurnego popołudnia, Dellray myślał o swoim ojcu, wykładowcy w manhattańskim Marymount College oraz autorze kilku książek o afroamerykańskich filozofach i krytykach kultury. W wieku trzydziestu lat wszedł w środowisko akademickie i wsiąkł w nie na resztę życia. Zmarł za biurkiem, przy którym spędził kilkadziesiąt lat, nad korektą pamiętnika, który zaczął pisać, gdy świat wciąż miał świeżo w pamięci zabójstwo Martina Luthera Kinga. W ciągu życia jego ojca polityka uległa radykalnym zmianom - umarł komunizm, dogorywała segregacja rasowa, narodzili się wrogowie ponadnarodowi. Komputery zastąpiły maszyny do pisania i biblioteki. Samochody miały poduszki powietrzne. Kanały telewizyjne rozmnożyły się z czterech - plus UHF - do kilkuset. Ale w życiu człowieka, w sensie fundamentalnym, zmieniło się bardzo niewiele. Dellray senior w swoim zamkniętym akademickim światku czuł się jak pączek w maśle. Szczególnie cenił filozofię i gorąco pragnał, by syn poszedł w jego ślady, żeby badał naturę egzystencji i kondycji ludzkiej. Starał się zaszczepić synowi tę samą pasję.

W pewnym stopniu mu się udało. Młodego Freda, dociekliwego, błyskotliwego i spostrzegawczego, rzeczywiście zafascynował rodzaj ludzki we wszystkich wcieleniach: metafizyce, psychologii, teologii, epistemologii, etyce i polityce. Wszystkie uwielbiał. Ale wystarczył mu miesiąc asystentury, aby dojść do wniosku, że zwariuje, jeżeli nie wykorzysta swoich talentów w praktyce.

A ponieważ nigdy się nie wycofywał, znalazł najbardziej intensywne i najbliższe życiu praktyczne zastosowanie filozofii, jakie udało mu się wymyślić.

Wstąpił do FBI.

Zmiany...

Ojciec pogodził się z apostazją syna, umawiał się z nim na kawę i na długie spacery w Prospect Parku, podczas których zrozumieli, że choć korzystają z różnych pracowni i różnych technik, mają takie same poglądy i spostrzeżenia.

Kondycja ludzka... Ojciec obserwował ją i opisywał, a syn doświadczał jej bezpośrednio.

Pracując jako agent pod przykryciem. Dzięki swojej nieposkromionej ciekawości i rozumieniu życia Fred miał naturalny dar odnajdywania się w każdej roli. W przeciwieństwie do większości tajniaków, dysponujących ograniczonymi zdolnościami aktorskimi i skromnym repertuarem, Dellray potrafił naprawdę przedzierzgnąć się w ludzi, których grał.

Raz, gdy przebrany za bezdomnego siedział na ulicy niedaleko budynku federalnego, ówczesny zastępca dyrektora biura FBI na Manhattanie - czyli jego bezpośredni przełożony - przechodząc obok niego, wrzucił mu do kubka ćwierćdolarówkę, nie poznając go. Była to jedna z największych pochwał, jakie kiedykolwiek otrzymał Dellray.

Kameleon. Raz był ćpunem o wypalonym mózgu, spragnionym metamfetaminy. Tydzień później wysłannikiem z RPA, który chciał sprzedać tajemnice nuklearne. Potem przeistaczał się w prawą rękę somalijskiego imama, noszącego w sercu nienawiść do Ameryki i sypiącego setkami cytatów z Koranu.

Miał kilkadziesiąt kostiumów, kupionych albo zrobionych własnoręcznie, upchniętych dziś w piwnicy szeregowego domu na Brooklynie, który kilka lat temu kupili z Sereną. W ciągu lat służby awansował, co było naturalne w przypadku osoby z taką energią i zdolnościami, zupełnie pozbawionej chęci podstawiania nogi współpracownikom. Dziś Dellray przede wszystkim zawiadywał innymi agentami FBI pod przykryciem oraz siecią cywilnych tajnych informatorów - czyli wtyczek -

choć od czasu do czasu nadal wychodził w teren. I uwielbiał to nie mniej niż kiedyś.

Potem jednak zaszły zmiany.

Strefa cienia...

Dellray nie mógł zaprzeczyć, że policjanci i przestępcy są coraz sprytniejsi i coraz sprawniej posługują się nowoczesną techniką. Zmiana proporcji nie budziła wątpliwości: HUMINT - czyli informacje uzyskane dzięki kontaktom między ludźmi - ustępował pola SIGINT, wywiadowi opartemu na środkach technicznych.

Ale Dellray po prostu nie potrafił się w tym swobodnie poruszać. W młodości Serena próbowała swoich sił jako wykonawczynie łzawych piosenek. Miała wrodzony talent do tańca, od baletu, przez taniec jazzowy, do nowoczesnego, ale nie potrafiła śpiewać. Dellray miał to samo z nowymi technikami operacyjnymi, opartymi na danych, liczbach i komputerach.

Wciąż spotykał się ze swoimi wtyczkami i działał jako tajniak, uzyskując niezłe wyniki, jednak przy McDanielu i jego specko- mandach - przepraszam, Tucker, zespołach tech-kom - Dellray czuł się bardzo... oldskulowo. Wiceszef biura był bystrym i ciężko pracującym funkcjonariuszem - pracował sześćdziesiąt godzin na tydzień - i nie bał się wewnętrznych konfliktów; w razie potrzeby był gotów stanąć w obronie swoich agentów, nawet gdyby się miał sprzeciwić samemu prezydentowi. Jego metody przynosiły skutek: w zeszłym miesiącu ludzie McDaniela uzyskali wystarczająco dużo szczegółów z rozmów prowadzonych przez szyfrowane połączenia satelitarne, żeby namierzyć komórkę fundamentalistów pod Milwaukee.

Dla Dellraya i starszych agentów był to czytelny sygnał: wasze czasy się kończą.

Wciąż czuł się dotknięty przytykiem, jaki być może nieumyślnie zrobił pod jego adresem McDaniel podczas narady w laboratorium Rhyme'a.

Pracuj nad tym dalej, Fred. Dobrze ci to wychodzi...

Co oznaczało: nawet nie liczyłem na to, że wpadniesz na jakiś trop „Sprawiedliwości dla” i Rahmana.

Może McDaniel słusznie go krytykował. W końcu Dellray dysponował gęstą siatką tajnych informatorów, od której można było oczekiwać, że wykryje działalność terrorystyczną. Spotykał się z nimi regularnie. Ciężko pracował nad każdym z nich, przydzielając ochronę wystraszoną, wręczając chusteczki tym, których dręczyły wyrzuty sumienia, a pieniądze tym, którzy informowaniem zarabiali na życie, wywierając psychiczny i fizyczny nacisk na tych, którzy, jak mawiała babcia Dellraya, chcieli za szybko wyrosnąć ze swoich gaci.

Mimo to w żadnej z informacji, jakie zebrał na temat planów akcji terrorystycznych, nawet w zarodku, nie było nic o „Sprawiedliwości dla” Rahmana ani o cholernie wielkiej iskrze.

Tymczasem ludzie McDaniela rozpoznali i zidentyfikowali prawdziwe zagrożenie, nie ruszając tyłków.

Tak jak samoloty bezzałogowe na Bliskim Wschodzie i w Afganistanie. Wiecie, że ich piloci siedzą niedaleko centrów handlowych w Colorado Springs albo Omaha...

Dellray miał jeszcze jeden powód do zmartwień, który pojawił się mniej więcej w tym samym czasie, gdy w jego życie wkroczył młody McDaniel: może nie jest już tak dobry jak kiedyś.

Niewykluczone, że miał Rahmana tuż pod nosem. Członkowie komórki „Sprawiedliwość dla” mogli studiować elektronikę na Brooklynie albo w New Jersey, tak jak porywacze samolotów z jedenastego września uczyli się pilotażu.

Było coś jeszcze: musiał przyznać, że ostatnio bywał rozkojarzony. Rzecz dotyczyła jego Drugiego Życia, jak nazywał życie z Sereną, które pieczołowicie oddzielał od życia na ulicy jak ogień od benzyny. I rzecz była bardzo istotna. Fred Dellray został ojcem. Serena rok temu dała

mu syna. Rozmawiali o tym wcześniej i Serena nalegała, by nawet po narodzinach dziecka Dellray niczego nie zmieniał w swojej pracy. Nawet gdyby miał brać udział w niebezpiecznych tajnych operacjach. Rozumiała, że praca stanowi nieodłączny element jego osobowości, tak jak w jej wypadku taniec; przeprowadzka za biurko mogłaby się więc okazać dla niego bardziej niebezpieczna.

Ale czy ojcostwo zmieniło go jako agenta? Dellray cieszył się, mogąc zabrać Prestona do parku czy do sklepu, karmiąc synka i czytając mu. (Serena weszła raz do dziecinnego pokoju i śmiejąc się, delikatnie wyjęła z wielkiej ręki Dellraya egzystencjalistyczny manifest Kierkegaarda „Bojaźń i drżenie”, wkładając w nią „Goodnight Moon” Margaret Wise Brown. Dellray nie zdawał sobie sprawy, że nawet w tak młodym wieku słowa się liczą).

Metro przystało w Village i wagon wypełnił się ludźmi. Jego oko tajniaka instynktownie wyłowiło z tłumu cztery osoby godne uwagi: dwóch niemal stuprocentowych kieszonkowców, chłopaka, który miał przy sobie nóż albo brzytwę, oraz młodego, spoconego biznesmena, przyciskającego dłoń do kieszeni tak mocno, że gdyby nie uważał, mógłby rozedrzeć ukrytą tam torebkę koki.

Ulica... Fred Dellray uwielbiał ulicę.

Ale tych czterech nie miało nic wspólnego z jego zadaniem, więc przestał się nimi interesować. Powiedział sobie: dobra, spieprzyłeś sprawę, przegapiłeś Rahmana i „Sprawiedliwość dla”. Ale straty i ofiary były minimalne. McDaniel potraktował cię protekcjonalnie, jednak nie zrobił z ciebie kozła ofiarnego, w każdym razie jeszcze nie w tym momencie. Ktoś inny pewnie by to uczynił bez zastanowienia.

Dellray mógł jeszcze wpaść na trop N.N. sprawcy i powstrzymać go, zanim nastąpi kolejny straszny atak. Dellray mógł się jeszcze zrehabilitować.

Na następnej stacji wysiadł i ruszył na wschód. W końcu dotarł do czynszówek, latynoskich sklepików, starych, ciemnych klubów i cuchnących taksówek, które miały napisy hiszpańskie, arabskie albo perskie. Nie było tu szybkich profesjonalistów jak w West Village; ludzie właściwie prawie w ogóle się nie ruszali, ale po prostu siedzieli ~ głównie mężczyźni - na trzeszczących krzeselkach albo na schodach, ci młodszy szczuplejsi, ci starsi tężsi. Wszyscy przyglądali się każdemu człowiekowi czujnie i z rezerwą.

Tam odbywała się prawdziwa praca na Ulicy. To było biuro Freda Dellraya.

Podszedł do okna baru i zajrzał do środka - nie bez trudności, ponieważ szyb nie myto od miesięcy.

Ach, jest. Dostrzegł kogoś, kto mógł go albo ocalić, albo doprowadzić do zguby.

Był jego ostatnią szansą.

Pocierając kostką jednej nogi o drugą, aby się upewnić, czy ukryty tam pistolet się nie przesunął, otworzył drzwi i wkroczył do środka.

Rozdział 11

J

ak się czujesz? - spytała Sachs, wchodząc do laboratorium.

- Dobrze. Gdzie dowody? - odparł chłodno Rhyme. W zdaniach trudno było dostrzec interpunkcję.

- Przywiozą je technicy i Ron. Przyjechałam cobra sama.

Czyli zapewne pędziła jak kierowca wyścigowy.

-A ty jak się czujesz? - zapytał Thom.

- Czuję się mokra.

To się rozumiało samo przez się. Włosy już jej trochę podeschły, ale ubranie wciąż było przemoczone. Nie martwili się jej stanem. Już wcześniej upewnili się, że nic się jej nie stało. Rhyme bardzo się przejął, ale widząc, że jest cała i zdrowa, chciał się jak najszybciej zająć dowodami.

Chyba można to ująć inaczej. Czyli istnieje czterdziestopięcioprocentoweprawdopodobieństwo, że ktoś inny w innym miejscu Nowego Jorku może zostać porażony prądem, prawda?... Być może nawet w tym momencie.

-No a gdzie są...

- Co się stało? - spytała Thoma, spoglądając na Rhyme'a.

- Powiedziałem, że nic mi nie jest.

- Ciebie nie pytam. - Sachs też zaczynała tracić nerwy.

- Miał wysokie ciśnienie. Skok ciśnienia.

-Ale już nie jest takie wysokie, mam rację, Thom? - odciął się zirytowanym tonem Lincoln Rhyme. - Całkiem dobre i normalne. To trochę jak gdyby powiedzieć, że Rosjanie wysłali rakiety na Kubę. Przez jakiś czas panowało napięcie, ale skoro Miami nie zmieniło się w radioaktywny krater, chyba sprawa jakoś się rozwiązała, nie? To. Już. Historia. Dzwoni do Pułaskiego, dzwoni do techników z Queens. Chcę mieć te dowody.

Nie zwracając uwagi na Rhyme'a, jego opiekun powiedział do Sachs:

- Nie potrzebował leków, ale cały czas mam go na oku. Jeszcze raz obrzuciła Lincolna badawczym spojrzeniem, a potem

oświadczyła, że idzie się przebrać na górze.

- Jest jakiś problem? - zainteresował się Lon Sellitto, który kilka minut wcześniej przyjechał z centrum. - Dobrze się czujesz, Line?

- Jezus Chryste! - wybuchnął Rhyme. - Czy wszyscy są tu głusi? Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówię? - Zerknął na drzwi. - Ach, nareszcie. Następny w kolejce, żeby wtrącić swoje trzy grosze. Cholera, Pułaski, przynajmniej ty robisz coś pożytecznego. Co mamy?

Młody policjant, z powrotem przebrany w mundur, wnosił plastikowe skrzynki, których funkcjonariusze wydziałów kryminalistycznych zwykle używali do transportu torebek z dowodami.

Chwilę później zjawili się dwaj technicy z centrali w Queens, wnosząc spory przedmiot, zapakowany w plastik: przewód. Najdziwniejsza broń, jaką kiedykolwiek widział Rhyme. I jedna z najmniejbezpieczniejszych. Przywieźli także klapę wjazdu ze stacji transformatorowej, również opakowaną w folię.

- Pułaski? Co z tym barem?

- Rzeczywiście, kapitanie, był. Mam tu coś.

Uniesiona brew kryminalistyka przypomniła mu, że nie powinien go tak tytułować. Rhyme był kapitanem Nowojorskiego Departamentu Policji w stanie spoczynku. Jako zwykłemu człowiekowi nie przysługiwał mu żaden oficjalny służbowy stopień. Starał się rozproszyć obawy Pułaskiego - wynikające oczywiście z młodości, choć nie był to jedyny powód. Podczas ich pierwszej wspólnej sprawy młody funkcjonariusz doznał poważnego urazu głowy, który omal nie zakończył jego policyjnej kariery, lecz pozostał w służbie mimo obrażeń i okresów dezorientacji, które wciąż dręczyły go od czasu do czasu. (W swojej determinacji, by pozostać gliną, w dużym stopniu inspirował się decyzją Rhyme'a, który postanowił uczynić to samo).

Realizując swój cel, aby zrobić z Pułaskiego wybitnego specjalistę kryminalistyki, Rhyme musiał mu wpoić niezwykle ważną cechę - pancerną pewność siebie. Można

posiąść wszystkie umiejętności świata, ale na nic się nie zdadzą, jeśli nie ma się odwagi ich podeprzeć siłą swojej osobowości. Rhyme chciał przed śmiercią być świadkiem wysokiego awansu Pułaskiego w nowojorskim wydziale kryminalistycznym. Wiedział, że to możliwe. Wyobraził sobie nawet przez chwilę spełnienie swoich nadziei: Pułaski i Sachs razem prowadzą wydział. Dziedzictwo Lincolna Rhyme'a.

Podziękował technikom, którzy z szacunkiem skinęli głowami i wyszli, sprawiając wrażenie, jak gdyby szczegółowo starali się zapamiętać wygląd laboratorium. Niewielu osobom z centrali było dane odwiedzić ten dom i osobiście spotkać Rhyme'a. Zajmował szczególne miejsce w hierarchii Nowojorskiego Departamentu Policji; niedawno nastąpiły tam roszady personalne i szef wydziału kryminalistycznego wyjechał do okręgu Miami-Dade. Do czasu powołania nowego naczelnika jednostką kierowało kilku starszych detektywów. Przebąkiwano nawet o ponownym przyjęciu Rhyme'a do służby.

Kiedy zastępca komendanta zadzwonił w tej sprawie, Rhyme zauważył, że może mieć kłopoty z pomyślnym przejściem testu sprawnościowego, jednego z wymogów stawianych przyszłym policjantom. W ramach sprawdzianu kondycji kandydat musiał pokonać tor przeszkód w mierzonym czasie: sprintem podbiec do przeszkody wysokości metra osiemdziesiąt i ją przeskoczyć, obezwładnić przestępcę-pozoranta, wbiec po schodach, odciągnąć w bezpieczne miejsce osiemdziesięciokilogramowy manekin oraz szesnaście razy nacisnąć spust pistoletu palcem ręki, którą posługiwał się na co dzień, i piętnaście razy drugiej.

Rhyme nie zgodził się, tłumacząc wiceszefowi departamentu, który przyszedł się z nim spotkać, że nigdy nie zdałby testu. Mógłby prawdopodobnie pokonać najwyżej półtorametrową przeszkodę. Pochlebilo mu jednak zainteresowanie policji.

Sachs wróciła na dół, ubrana w jasnoniebieski sweter wsunięty do džinsów, z umyтыми, lekko wilgotnymi włosami, które związała czarną gumką w koński ogon.

W tym momencie Thom poszedł otworzyć drzwi i do laboratorium wkroczyła jeszcze jedna postać.

Szczupłym mężczyzną w średnim wieku, którego nieśmiały sposób bycia wskazywałby, że jest księgowym albo sprzedawcą butów, był Mel Cooper, zdaniem Rhyme'a, jeden z najlepszych kryminalistycznych techników laboratoryjnych w kraju. Miał dyplom z matematyki, fizyki i chemii organicznej, był także

we władzach Międzynarodowego Stowarzyszenia Identyfikacji oraz Międzynarodowego Stowarzyszenia Analizy Śladów Krwi, więc stale potrzebowano go w centrali wydziału kryminalistycznego. Ale ponieważ to Rhyme był odpowiedzialny za porwanie technika z północy stanu i sprowadzenie go do Nowojorskiego Departamentu Policji, rozumiało się samo przez się, że gdyby Rhyme i Sellitto życzyli sobie jego pomocy przy sprawie, Cooper ma rzucić wszystko i jechać na Manhattan.

- Mel, cieszę się, że byłeś wolny.

- Hm, „wolny”. Nie dzwoniłeś przypadkiem do mojego porucznika i nie groziłeś mu straszliwymi konsekwencjami, jeżeli nie zgodzi się mnie zwolnić ze sprawy Hanover-Sterns?

- Zrobiłem to dla ciebie, Mel. Marnowałeś się przy tych przekrętach giełdowych.

- Dzięki za ułaskawienie.

Cooper powitał wszystkich obecnych skinieniem głowy, wsunął na nos okulary Harry'ego Pottera i w miękkich brązowych butach Hush Puppies bezgłośnie podszedł do stołu w głębi laboratorium. Choć Mel Cooper wyglądał na najmniej wysportowanego człowieka, jakiego Rhyme kiedykolwiek widział, wyłączając oczywiście siebie, technik poruszał się ze zwinnością piłkarza, co przypomniało Rhyme'owi, że ma do czynienia z mistrzem tańca towarzyskiego.

- Posłuchajmy szczegółów - rzekł Rhyme, zwracając się do Sachs.

Przerzucając notatki, przekazała im informacje uzyskane od przedstawiciela szefostwa firmy.

-Algonquin Consolidated Power zaopatruje w energię elektryczną prawie całą najbliższą okolicę. Pensylwanię, Nowy Jork, Connecticut, New Jersey.

- To te kominy nad East River?

- Zgadza się - powiedziała do Coopera. - Tam jest ich siedziba. Mają elektrownię ciepłą. Kierownik rejonu Algonquin powiedział, że sprawca mógł się włamać do podstacji i zainstalować kabel w każdym momencie w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin- Podstacje są na ogół bezobsługowe. Krótco po jedenastej sprawca albo sprawcy dostali się do komputerów Algonquin i zaczęli odłączać ok* liczne stacje, kierując całą energię przez podstację na Pięćdziesiąt

Siódmej. Kiedy napięcie wzrośnie do określonej wielkości, musi zamknąć obwód. Nie da się tego powstrzymać. Przeskoczy na inny przewód albo jakiś uziemiony przedmiot. Zwykle otwierają się wtedy automatyczne wyłączniki na podstacji, ale sprawca je zresetował, żeby przyjęły dziesięciokrotnie większe obciążenie, tak więc prąd siedział Ui... - wskazała kabel - ...i czekał, żeby wyskoczyć.

To przypomina tamę. Ciśnienie rośnie i energia szuka ujścia. Tutaj mam schemat działania sieci w Nowym Jorku. Narysował mi go jeden z pracowników, schemat bardzo się przydał. - Sachs wyciągnęła arkusz z rysunkiem. Podeszła do białej tablicy i granatowym pisakiem przeniosła na nią schemat.

Elektrownia albo energia wejściowa (345 000 V) | (przez kable wysokiego napięcia)

Podstacja przesyłowa (obniża 345 000 V do 138 000 V) | (przez lokalne linie przesyłowe)

Podstacja rejonowa (obniża 138 000 V do 13 800 V) i (przez linie średniego napięcia)

1. *Sieci lokalne w dużych budynkach komercyjnych (obniżają 13 800 V do 120/208 V) albo*

2. *Transformatory rozdzielcze (obniżają 13 800 V do 120/208 V)*

| (przez linie niskiego napięcia)

Gospodarstwa domowe i biura (120/208 V)

- MH-10 - ciągnęła Sachs - stacja na Pięćdziesiątej Siódmej, to podstacja rejonowa. Na wejściu jest linia wysokiego napięcia. Mógł podłączyć kabel gdziekolwiek do linii przesyłowej, ale to chyba trudne, bo napięcie jest naprawdę wysokie. Dlatego pracował na wyjściu ze stacji, gdzie jest tylko trzynaście tysięcy osiemset woltów.

- Uff- mruknął Sellitto. - Tylko.

- Kiedy przygotował pułapkę, przestawił wyłączniki automatyczne i zalał stację energią.

-1 eksplodowała - dodał Rhyme.

Sachs podniosła torebkę na dowody, w której spoczywały drobiny "ktalu w kształcie łez.

- Eksplodowała - powtórzyła. - To leżało na całej ulicy.

Jak

- Co to jest? - spytał Sellitto.
- Kawalki stopionego metalu ze słupa na przystanku autobusowym. Rozrzuciło je wszędzie. Zryły beton i przebiły karoserie paru samochodów. Ofiara została poparzona, ale to nie była przyczyna śmierci. - Rhyme zauważył, że ściszyła głos. - Ten człowiek wyglądał, jakby dostał z wielkiej śrutówki. Rany uległy kauteryzacji. - Skrzywiła się. - Przez jakiś czas był jeszcze przytomny. Popatrzcie. - Dała znak Pułaskiemu.

Policjant włożył do komputera karty pamięci i utworzył katalogi nowej sprawy. Po chwili na jednym z monitorów ukazały się fotografie. Po wielu latach pracy kryminalistycznej Rhyme był w dużej mierze uodporniony nawet na najstraszniejsze widoki. Te zdjęcia zdołały go jednak poruszyć. Ciało młodej ofiary zostało podziurawione drobinami metalu. Wysoka temperatura pocisków sprawiła, że było niewiele krwi. Czy sprawca wiedział, że użyta przez niego broń wywoła takie skutki i przypali rany, zamykając je? Że ofiara zachowa przytomność i poczuje ból? Czy to element jego *modus operandi*? Rhyme rozumiał już, dlaczego Sachs wyglądała na tak poruszoną.

- Chryste - mruknął tęgi detektyw.

Rhyme przestał kontemplować potworny widok i spytał:

- Kto to był?

- Nazywał się Luis Martin. Zastępca kierownika sklepu muzycznego. Dwadzieścia osiem lat. Nienotowany.

- Żadnych związków z Algonquin, z komunikacją miejską... był jakiś powód, dla którego ktoś chciałby go zabić?

- Żadnego - odrzekła Sachs.

- Niewłaściwy czas i miejsce - podsumował Sellitto.

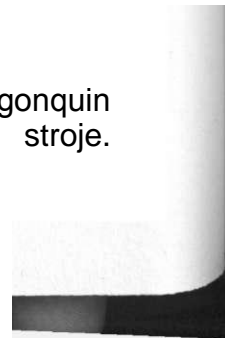
- Ron, co z tym barem? - zwrócił się do Pułaskiego Rhyme. - Czego się dowiedziałeś?

- Około dziesiątej czterdzieści pięć wszedł tam mężczyzna w granatowym kombinezonie. Miał ze sobą laptopa. Podłączył się do Internetu.

- Granatowy kombinezon? - zapytał Sellitto. - Miał na nim jakieś logo? Identyfikator?

1

- Nikt nie widział. Ale wszyscy pracownicy Algonquin na miejscu mieli takie same granatowe stroje.



- Masz rysopis? - dopytywał się wymięty detektyw.
- Prawdopodobnie biały, prawdopodobnie czterdzieści kilka lat, okulary, ciemna czapka. Dwie osoby twierdziły, że nie miał okularów ani czapki. Blondyn, brunet, rudy.
- Świadkowie - mruknął pogardliwie Rhyme. Gdyby facet nagi od pasa w górę zastrzelił człowieka na oczach dziesięciu świadków, każdy z nich zeznałby, że zabójca miał na sobie T-shirt w innym kolorze. W ciągu kilku ostatnich lat zaczął nieco przelamywać nieufność wobec wartości zeznań naocznych świadków - dzięki umiejętnościom prowadzenia przesłuchania przez Sachs i dzięki Kathryn Dance, która udowodniła, że analiza mowy ciała może być na tyle naukową metodą, by przynosić powtarzalne wyniki. Nie potrafił się jednak do końca pozbyć sceptycyzmu.
- Co się stało z tym człowiekiem w kombinezonie? - zapytał.
- Nikt właściwie nie wie. W barze zapanował bałagan. Byli pewni tylko tego, że usłyszeli wielki huk, cała ulica zrobiła się biała od światła i wszyscy wybiegli na zewnątrz. Nikt nie pamięta, żeby go potem widział.
- Zabrał ze sobą kawę? - zapytał Rhyme. Uwielbiał naczynia po napojach. Dzięki DNA i odciskom palców oraz mikrośladowi, które przywierały do nich dzięki lepkości właściwościom mleka, cukru i innych dodatków, przypominały dokumenty tożsamości.
- Niestety, tak - potwierdził Pułaski.
- Niech to szlag. Co znalazłeś przy stoliku?
- To. - Pułaski wyciągnął ze skrzynki plastikową kopertę.
- Pusta. - Sellitto spojrzawszy spod zmrużonych powiek i potarł dłonią imponujący brzuch, może drapiąc się w swędzące miejsce, może myśląc z rozczarowaniem, jak nieskuteczna okazała się jego najnowsza i najmodniejsza dieta.
- Ale Rhyme uśmiechnął się, spoglądając na kopertę.
- Dobra robota, nowy.
- Dobra robota? - mruknął zdumiony porucznik. - Przecież tam nic nie ma.
- To mój ulubiony rodzaj dowodów, Lon. Niewidzialne drobinki. Za chwilę się nimi zajmiemy. Zastanawiam się nad hakerami - dodał^w zadumie Rhyme. - Pułaski, co z bezprzewodowym Internetem^w barze? Myślałem o tym i założę się, że nie mają.

- Masz rację. Skąd wiedziałeś?
- Nie mógł ryzykować, że łącze padnie. Prawdopodobnie używał jakiegoś połączenia komórkowego. W każdym razie musimy się dowiedzieć, jak dostał się do systemu Algonquin. Lon, sprowadź mi kogoś z przestępczości komputerowej. Niech się skontaktuje z ludźmi od bezpieczeństwa sieciowego w Algonquin. Sprawdź, czy Rodney jest wolny.

Wydział przestępczości komputerowej departamentu policji Nowego Jorku był elitarną jednostką, złożoną z około trzydziestu detektywów i personelu pomocniczego. Od czasu do czasu Rhyme współpracował z jednym z nich, detektywem Rodneyem Szarnkiem. Uważał go za młodego człowieka, lecz wiek policjanta pozostawał dla niego zagadką, ponieważ Szarnek zachowywał się i ubierał z chłopięcym luzem i chodził wiecznie rozczochrany, wyglądając w każdym calu jak haker - a taki wizerunek i zajęcie zwykle ujmowały człowiekowi lat.

Sellitto zadzwonił i po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę, informując, że Szarnek natychmiast skontaktuje się z informatykami w Algonquin i zajmie się sprawą włamania do serwerów sieci energetycznej.

Cooper z nabożeństwem przyglądał się kablowi.

- A więc to było to? - Biorąc torebkę ze zdeformowanymi krążkami metalu, dodał: - Szczęście, że nikt tamtędy nie przechodził. Gdyby to się stało na Piątej Alei, mielibyśmy chyba ze dwadzieścia ofiar.

Puszczając mimo uszu niepotrzebną uwagę technika, Rhyme patrzył na Sachs. Zauważył, że gdy spojrzała na małe krążki, oczy jej znieruchomiały.

Głosem nieco bardziej surowym, niż to było konieczne, chcąc odwrócić jej uwagę od metalowych odłamków, zakomenderował:

- No już, bierzmy się do roboty.

Rozdział 12

S

Siadając na kanapie przy stoliku w barze, Fred Dellray zobaczył

naprzeciw siebie bladego, chudego mężczyznę, który równie dobrze mógł być wynędzniałym trzydziestolatkiem, jak i nieźle zakonserwowanym pięćdziesięciolatkiem.

Chudzielec miał na sobie za dużą sportową marynarkę, pochodzącą albo z najtańszego sklepu z używanymi rzeczami, albo porwaną z wieszaka, kiedy nikt nie patrzył.

- Jeep.

- Hm, nie mam już tak na imię.

- Już nie Jeep? Kombi? A może już limuzyna?

-Nie rozu...

- Jak masz teraz na imię? - zapytał Dellray, marszcząc srogo brwi. Grał szczególną rolę, którą przyjmował, mając

do czynienia z ludźmi tego rodzaju. Jeep, czy Nie Jeep, był ćpunem sadystą. Agent FBI zgarnął go w operacji pod przykryciem, udając rozbawionego kumpla, gdy musiał wysłuchać jego drastycznej opowieści o torturowaniu chłopaka z college'u, który nie dotrzymał warunków umowy i nie zapłacił za prochy. Potem Dellray go przytknął, a po negocjacjach i odsiadce chudzielec dołączył do jego trzódki. Czyli należało go trzymać krótko i od czasu do czasu pociągać smycz.

- Byłem Jeepem. Ale postanowiłem zmienić imię, Fred. Teraz jestem Jim.

Zmiana. Magiczne słowo dzisiejszych czasów.

- Skoro mowa o imionach: Fred... Fred?! Jestem twoim ziomem, najlepszym przyjacielem? Nie pamiętam, żebyśmy zostali sobie przedstawieni, żebym ci się wpisał do karnetu czy poznał twoich rodziców.

- Przepraszam pana.

- Wiesz co, niech już będzie „Fred”. Nie wierzę ci, jak mi mówisz „pan”.

Jeep-Jim był obrzydliwą ludzką szumowiną, ale Dellray nauczył się balansować na cienkiej granicy. Pamiętał, żeby nigdy nie okazywać pogardy, lecz równocześnie nie wahał się czasem postraszyć.

Ze strachu rodzi się szacunek. Tak już urządzono ten świat.

- Jest sprawa. Ważna. Przypominam sobie, że zbliża się twoje spotkanie.

Przesłuchanie w sprawie wyjazdu ze stanu. Dellray nie przejmował się, że straci wtyczkę. Jeep właściwie przestał już być mu potrzebny. Taka była specyfika tajnych informatorów: mieli okres przydatności nie dłuższy niż jogurt. Jeep-Jim zamierzał złożyć wniosek do rady zwolnień warunkowych stanu Nowy Jork z prośbą o pozwolenie na przeprowadzkę do Georgii. Akurat do Georgii.

-Gdyby mógł pan... gdybyś mógł, Fred, wtrącić słówko, gdzie trzeba, byłoby świetnie. - Utkwił maślane oczy w agencie.

Wall Street powinno się uczyć od świata tajnych informatorów. Zero instrumentów pochodnych, zero przenoszenia ryzyka kredytowego, zero ubezpieczeń, zero kreatywnej księgowości. Transakcje przebiegały bardzo prosto. Daweś swojej wtyczce coś o wartości X, a w zamian otrzymywałeś coś równie ważnego.

Jeżeli się nie wywiązał, wypadał z gry. Jeżeli nie zapłaciłeś, gównem dostawałeś.

- No dobra - powiedział Dellray. - To, czego chcesz, czeka na załatwienie. Posłuchaj teraz, czego ja chcę. I mówię z góry, że rzecz ma swoje ramy czasowe. Wiesz, co to znaczy, Jim?

- Ktoś dostanie po dupie, i to niedługo.

- Trafieś w dziesiątkę. Patrz mi na usta: muszę znaleźć Brenta.

Chwila milczenia.

- Williama Brenta? Skąd miałbym wiedzieć, gdzie go znaleźć? - Jeep-Jim, Jim Chudzielec zadał to pytanie ze zbyt rosnącą intonacją, która zdradziła Dellrayowi, że jego wtyczka przynajmniej wie, gdzie szukać Brenta.

- *Georgia's on my mind...* - zanucił Dellray.

Minęło okrągłe sześćdziesiąt sekund, które Jeep poświęcił na negocjowanie z samym sobą.

- Może by się udało... No bo jest możliwość...

- Dokończysz te zdania, czy zostawisz to mnie?

- Najpierw coś sprawdzę.

Jeep-James-Jim wstał, odszedł w kąt lokalu i zaczął stukać w klawisze komórki, a Dellray został przy stoliku, rozbawiony jego paranoiczną obawą, że mógłby podsłuchać SMS-a.

Pocziwy Jeepy prawdopodobnie będzie sobie dobrze radził w Georgii.

Dellray pociągnął łyk wody przyniesionej przez kelnera. Miał nadzieję, że chuderlakowi się powiedzie. Jednym z największych sukcesów agenta było zwerbowanie Williama Brenta, białego mężczyzny w średnim wieku, szczupłego i wątlęgo, o wyglądzie kasjera z Wal-Martu. Odegrał on kluczową rolę w wykryciu dość obrzydliwego spisku. Grupa krajowych terrorystów - złożona z rasistów i separatystów - zamierzała wysadzić w piątkowy wieczór kilka synagog i oskarżyć o to islamskich fundamentalistów. Mieli pieniądze, ale nie mieli narzędzi, zwrócili się więc do miejscowej rodziny mafijnej, która także nie darzyła uczuciem żydów ani muzułmanów. Rodzina wynajęła do pomocy Brenta, który dał się podejść postaci granej przez Dellraya - nerwowego handlarza broni z Haiti, sprzedającego granatniki przeciwpancerne.

Brent został zatrzymany i Dellray wciągnął go do swojej siatki. Ku powszechnemu zaskoczeniu, nowy tajny informator okazał się tak skuteczny i kompetentny, jak gdyby całe życie uczył się tej profesji. Infiltrując równocześnie przywództwo grupy rasistowskiej i rodziny, Brent zdekonspirował spisek. Mimo spłacenia długu społeczeństwu kontynuował współpracę z Dellrayem, grając przeróżne postacie - wrednego płatnego mordercę, pomysłodawcę i organizatora skoków na bank i na jubilera, radykalnego działacza ruchu antyaborcyjnego. Okazał się jednym z najzdolniejszych informatorów, jakich agentowi zdarzyło się prowadzić. I prawdziwym kameleonem. Jak gdyby byli z Dellrayem dwiema stronami medalu (kilka lat temu podejrzewano nawet, choć nigdy tego nie udowodniono, że Brent ma własną siatkę wtyczek - działającą wewnątrz nowojorskiej policji).

Dellray prowadził informatora przez rok, dopóki go nie wyeksploatował, po czym Brent schronił się pod przytulną kołderką programu ochrony świadków. Krążyły jednak plotki, że w jednej z granych Przez siebie postaci pozostał ważnym graczem ulicy, z niezłymi koneksjami.

Ponieważ żadne ze stałych źródeł Dellraya nie dostarczyło mu informacji na temat „Sprawiedliwości dla”, Rahmana ani zamachu na sieć energetyczną, agent pomyślał o Williamie Brennie.

Wrócił Jimmy-Jeep i usiadł na skrzypiącej kanapie.

- Chyba mi się uda. Ale o co właściwie biega? Nie chcę, żeby mnie stuknął.

Na tym właśnie polegała jedyna różnica między Wall Street i biznesem tajnych informatorów, pomyślał Dellray.

- Nie, nie, Jimmy, w ogóle nie słyszysz, co mówię - odparł. - Nie proszę cię, żebyś się zmienił w muchę i siedział u niego na ścianie. Proszę cię tylko, żebyś zabawił się w swatkę. Załatwisz mi randkę i zanim się obejrzyysz, będziesz zajadał brzoskwinie w Georgii.

Dellray podsunął mu wizytówkę, na której widniał jedynie numer telefonu.

-Niech zadzwoni tutaj. Idź i załatw to.

- Teraz?

- Teraz.

Jeep wskazał głową kuchnię.

- A co z moim lunchem? Jeszcze nie jadłem.

- Co to za lokal? - warknął nagle Dellray, rozglądając się ze zgrozą.

- To znaczy, Fred?

- Nie możesz dostać nic na wynos?

Rozdział 13

O

d zamachu minęło pięć godzin i w domu Rhyme'a napięcie rosło.

Żaden trop donikąd nie prowadził.

- Kabel - rzucił niecierpliwie kryminalistyk. - Skąd pochodzi?

Cooper ponownie nasunął na nos grube okulary. Nałożył lateksowe rękawiczki, lecz zanim dotknął dowodów, oczyścił dłonie rolką do zbierania sierści i wyrzucił zużytą taśmę. Rhyme kazał to robić wszystkim członkom swojego zespołu, odkąd analizował kiedyś materiał dowodowy dla policji stanowej New Jersey i odkrył, że jedno z włókien nie pochodzi od podejrzanego siedzącego w areszcie, ale z kieszeni marynarki detektywa prowadzącego sprawę. Policjant wsunął tam zwitek gumowych rękawiczek, bo widział, jak kiedyś zrobił to samo detektyw z popularnego serialu kryminalnego. Prawdopodobieństwo zanieczyszczenia dowodów było znikome, lecz zadanie detektywa zabezpieczającego ślady polega nie tylko na znalezieniu i przeanalizowaniu dowodów; śledczy musi także zadbać, aby materiał pozostał w nienaruszonym stanie i doprowadził do skazania sprawców, których na sali sądowej otaczali zawsze czujni adwokaci.

Po niesławnej sprawie włókna z New Jersey Rhyme wymagał od swoich ludzi, aby czyścili rękawiczki po nałożeniu, jeśli nie trzymali ich w sterylnych torebkach czy pudełkach.

Cooper rozciął plastikowe opakowanie za pomocą nożyczek chirurgicznych i odsłonił przewód. Kabel miał około czterech i pół metra długości i prawie w całości okrywała go czarna izolacja. Sam przewód nie był jednolity, ale składał się z wielu żył srebrnego koloru. Do jednego końca zamocowano śrubami grubą, osmaloną mosiężną Płytę. Drugi koniec był zaopatrzony w dwie duże miedziane śruby z otworami w środku.

- Ten facet z Algonquin mówił, że to śruby widelkowe - powiedziała Sachs. - Używane do łączenia przewodów. W ten sposób sprawca podłączył kabel do głównej linii.

Wyjaśniła, że mosiężna płyta, którą wywiesił z okna, to szyno- przewód, jak się dowiedziała od tego samego pracownika Algonquin. Element został przymocowany do kabla za pomocą dwóch ćwierć- calowych śrub. Łuk przeskoczył między płytą a słupem na przystanku, znajdującym się najbliżej uziemionym przedmiotem.

Rhyme zerknął na otarty kciuk Sachs, na którym ciemniała zakrzepła kropla krwi. Sachs miała zwyczaj obgryzania paznokci oraz bolesnego zadrapywania palców i skóry głowy. Rosło w niej napięcie - jak w podstacji Algonquin. Jeszcze raz wbiła paznokieć w kciuk, po czym -jak gdyby sama chciała się powstrzymać - nałożyła lateksowe rękawiczki.

Łon Sellitto rozmawiał przez telefon z funkcjonariuszami szukającymi świadków na całej Pięćdziesiątej Siódmej.

Rhyme posłał mu krótkie pytające spojrzenie, ale grymas detektywa - bardziej bolesny od tego, który zwykle zdołał jego oblicze - powiedział mu, że jak dotąd wysiłki policjantów są bezowocne. Rhyme ponownie skupił się na przewodzie.

- Mel, przesunij po nim kamerę - polecił. - Powoli. Technik przeciągnął ręczne urządzenie wideo nad kablem od początku do końca, następnie obrócił przewód i zrobił to samo w przeciwnym kierunku. Obraz z kamery wyświetlał się w dużej rozdzielczości na wielkim monitorze przed Rhyme'em, który przyglądał się badawczo.

- Bennington Electrical Manufacturing, południowe Chicago, Illinois - mruknął kryminalistyk. - Model AM-MV-60. 0 AWG, maksymalne napięcie sześćdziesiąt tysięcy woltów.

Pulaski parsknął śmiechem.

- Znasz takie szczegóły, Lincoln? Skąd masz taką wiedzę o przewodach?

- Wydrukowali to na boku, nowy.

- Aha. Nie zauważyłem.

- Naturalnie. Sprawca przyciął go do takiej długości.

Mel, jak sądzisz, to chyba nie jest maszynowe cięcie?

- Faktycznie. - Cooper oglądał przez lupę końcówkę kabla, która została podłączona do linii. Następnie skierował obiektyw kamery na przycięte końcówki. - Amelia?

Ich domowy mechanik zerknął na ekran.

- Ręczna piła do metalu - podsunęła.

Śrub widelkowych, jak się okazało, używano tylko w elektroenergetyce, ale mogły pochodzić z dziesiątków źródeł.

Śruby mocujące kabel do szynoprzewodu były równie typowe.

- Zabierzmy się do tablic - polecił Rhyme.

Pulaski z kąta laboratorium wytoczył na środek kilka białych tablic na kółkach. U góry jednej z nich Sachs

napisała: *Miejsce zdarzenia: Podstacja Algonquin Manhattan-10, 57. Zachodnia. Na drugiej: Profil N.N. sprawcy. Zaczęła notować wszystko, co dotychczas ustalili.*

- Wziął przewód ze stacji? - spytał Rhyme.
 - Nie, nie przechowywano tam żadnych kabli - odrzekł młody policjant.
 - No to się dowiedz, skąd go wziął. Dzwon do Bennington Manufacturing.
 - Robi się.
 - No dobrze - ciągnął Rhyme. - Mamy metal i narzędzie, które musiało zostawić na nim ślad. Piła do metalu. Przyjrzyjmy się bliżej kablowi.
- Cooper przesiadł się do mikroskopu przeznaczonego do badania dużych przedmiotów, także podłączonego do komputera, i w niewielkim powiększeniu obejrzał miejsce przecięcia przewodu.
- Nowy brzeszczot, ostry.
- Rhyme zazdrośnie zerknął na ręce technika, wprawnie ustawiające ostrość i manipulujące stolikiem mikroskopu. Po chwili przeniósł wzrok na ekran.
- Owszem, nowy, ale ma złamany ząb.
 - Tuż przy uchwycie.
 - Zgadza się. - Zanim ludzie zaczynają piłować, zwykle trzy czy cztery razy opierają brzeszczot na przedmiocie, który zamierzają ciąć. W wypadku miękkiego aluminium na metalu może pozostać ślad złamanego lub skrzywionego zęba albo innego charakterystycznego szczegółu, który pozwoliłby zidentyfikować narzędzie znalezione u sprawcy jako narzędzie użyte do popełnienia przestępstwa.
 - A śruby widełkowe?
- Cooper znalazł na wszystkich śrubach charakterystyczne zadrapanie, co mogło oznaczać, że prawdopodobnie pozostawił je klucz sprawcy.

- Uwielbiam miękki mosiądz - mruknął Rhyme. -
Naprawdę uwielbiam. Czyli ma mocno wysłużone
narzędzia. Coraz bardziej wygląda mi na kogoś z firmy.
Sellitto odłożył telefon.

- Nic. Może ktoś widział kogoś w granatowym
kombinezonie, ale to mogło być godzinę po zdarzeniu.
Kiedy cała cholerna dzielnica zaroła się od monterów
Algonquin w cholernych „granatowych kombinezonach”.

- Nowy, czego się dowiedziałeś? - burknął Rhyme. -
Chcę znać źródło pochodzenia przewodu.

- Kazali mi czekać przy telefonie.

- Powiedz im, że jesteś gliną.

- Powiedziałem.

- Powiedz im, że jesteś grubą rybą. Komendantem
wszystkich glin.

- Powie...

Ale uwagę Rhyme'a przykuło już coś innego: żelazne
pręty kraty, zasłaniające wejście do kanału
instalacyjnego.

- Mel, jak on je przeciął?

Po dokładnych oględzinach okazało się, że nie zrobił
tego piłką do metalu, ale szczypcami przegubowymi do
druku.

Cooper obejrzał końce prętów pod mikroskopem
wyposażonym w cyfrowy aparat, którym równocześnie
robił zdjęcia. Następnie przeniósł fotografie do
centralnego komputera i wyświetlił je na jednym ekranie.

- Jakieś charakterystyczne znaki? - spytał Rhyme.
Jak w przypadku złamanego zęba piły i zadrapań na
śrubach i nakrętkach, każdy zagadkowy znak na
szczypcach powiązałby ich właściciela z miejscem
zdarzenia.

- Co powiesz o tym? - zapytał Cooper, wskazując
na ekran.

Na powierzchni przecięcia kilku prętów, mniej więcej w
tym samym miejscu, była widoczna maleńka
półksiężycowata rysa.

- W porządku, nada się.
- Po chwili Pulaski przechylił głowę i chwycił długopis, gdy ktoś z Bennington podniósł słuchawkę, by porozmawiać z młodym policjantem w nowej roli imperatora Nowojorskiego Departamentu Policji.
- Po krótkiej rozmowie odłożył telefon.
- Pulaski, co z tym kablem, do cholery?
- Po pierwsze, ten model jest naprawdę popularny. Sprzeda...
- Jak popularny?
- Sprzedają go miliony metrów rocznie. Jest używany głównie do przesyłania prądu o średnim napięciu.
- Sześćdziesiąt tysięcy woltów to średnie?
- Chyba tak. Można go kupić w każdej hurtowni elektrotechnicznej. Ale facet powiedział mi, że jednym z hurtowych odbiorców jest Algonquin.
- Kto w firmie składa zamówienia? - zapytał Sellitto.
- Dział zaopatrzenia technicznego.
- Dzwonię do nich - odrzekł Sellitto. Zrobił to i po chwili się rozłączył. - Sprawdzą, czy w magazynie czegoś nie brakuje.
- Rhyme patrzył na kratownicę.
- Czyli wcześniej wszedł do studzienki i dostał się do kanału Algonquin pod alejką przy budynku stacji.
- Może wszedł zrobić coś przy rurociągu i zobaczył kratę, która prowadziła do kanału - zasugerowała Sachs.
- Wszystko wyraźnie wskazuje na pracownika. - Rhyme miał nadzieję, że to prawda. Robota kogoś z wewnątrz znacznie ułatwiała zadanie policjantom. - Idźmy dalej. Buty.
- Podobne ślady butów w kanale i w budynku stacji w pobliżu miejsca podłączenia kabla.
- Są jakieś ślady z baru?
- Ten - odezwał się Pulaski, wskazując na folię z elektrostatycznym obrazem odcisku podeszwy. - Spod stołu. Wygląda mi na tę samą markę.

Mel Cooper obejrzał ślad i przyznał mu rację.

- Amelia kazała mi sprawdzić buty pracowników Algonquin, którzy tam byli - ciągnął młody funkcjonariusz.

- Wszyscy mieli inne.

Rhyme przyjrzał się śladowi.

- Jak myślisz, Mel, co to za marka?

Cooper przeszukiwał policyjną bazę danych śladów obuwia, zawierającą próbki tysięcy wzorów podeszew, w ogromnej większości męskich. Ciężkie przestępstwa, związane z obecnością na miejscu zbrodni, zwykle popełniali mężczyźni.

Rhyme odegrał zasadniczą rolę w stworzeniu rozbudowanej bazy danych obuwia. Udało mu się przekonać największych producentów, by dobrowolnie przysyłali policji skany każdego swojego nowego modelu.

Po powrocie do pracy kryminalistycznej po wypadku Rhyme nadal interesował się aktualizowaniem i uzupełnianiem baz danych materiałów i produktów, również zbioru informacji o obuwiu. Gdy niedawno wyjaśniał sprawę związaną z eksploracją danych, wpadł na pomysł, który wykorzystano wiele jednostek policji w całym kraju: namówił, a właściwie zmusił Nowojorski Departament Policji do zatrudnienia programisty, aby komputerowo stworzył obrazy przedstawiające podeszwę każdego buta z bazy danych w różnych stadiach zużycia - nowej, po pół roku używania, po roku i dwóch latach. Informatyczny guru miał następnie opracować obraz podeszew obuwia noszonego przez osoby z płaskostopiem i szpotawością. Rhyme polecił mu także przedstawić charakterystykę zużycia jako funkcję wzrostu i wagi właściciela obuwia.

To był kosztowny projekt, ale zaskakująco szybko zastosowano go w bazie i dzięki niemu niemal natychmiast uzyskano odpowiedzi na pytania o markę i wiek obuwia oraz o wzrost, wagę i sposób poruszania się jego użytkownika.

Baza danych pomogła już zidentyfikować trzech czy czterech sprawców.

Śmigając palcami nad klawiaturą, Cooper powiedział:

- Mam trafienie. Buty i Rękawice Albertson-Fenwick, model E-20. - Studiował zawartość ekranu. - Nic dziwnego, mają specjalną izolację. Przeznaczone dla pracowników, którzy mają częsty kontakt ze źródłami energii elektrycznej. Spełniają normę bezpieczeństwa porażeniowego ASTM F2413-05. But numer jedenaście.

Rhyme spojrzął na ślady spod przymrużonych powiek.

- Głęboki protektor. Dobrze. - Oznaczało to, że zachowała się w nim znaczna ilość mikrośladów.

- Są stosunkowo nowe - ciągnął Cooper - więc nie mają specyficznych śladów zużycia, które zdradziłyby nam jego wzrost, wagę czy inne cechy charakterystyczne.

- Mimo to powiedziałbym, że chodzi prosto. Zgadzasz się? - Rhyme patrzył na odbitki śladów na monitorze, pokazującym obraz z kamery nad stołem.

-Tak.

Sachs zapisała to na tablicy.

- Dobrze, Sachs. Nowy, co to za niewidzialne dowody? - Patrzył na plastikową kopertę z napisem „Bar naprzeciwko wybuchu - stolik podejrzanego”.

Cooper badał jej zawartość.

- Jasny włos. Długości dwóch centymetrów. Naturalny, niefarbowany.

Włosy należały do ulubionych narzędzi kryminalistycznych Rhyme'a. Można je było wykorzystać do pobrania próbki DNA - jeśli zachowała się cebulka - a ich kolor, faktura i kształt mogły sporo powiedzieć o wyglądzie podejrzanego. Z większą lub mniejszą dokładnością można było również określić wiek i płeć. Badanie włosów stawało się coraz popularniejszym narzędziem techników kryminalistycznych oraz pracodawców, ponieważ we włosach ślady narkotyków

pozostawały na dłużej niż we krwi i moczu. W dwóch centymetrach włosa kryła się dwumiesięczna historia zażywania narkotyków. W Anglii często używano włosów do wykonywania testów na nadużywanie alkoholu.

- Nie jesteśmy pewni, czy to jego włos - zauważył Sellitto.

- Oczywiście że nie - mruknął Rhyme. - W tym momencie niczego nie jesteśmy pewni.

- Ale to całkiem prawdopodobne - wtrącił Pułaski. - Rozmawiałem z właścicielem. Pilnuje, żeby pomocnik kelnera przecierał stół po każdym kliencie. Sprawdziłem. Po podejrzanym nikt nie ścierał, bo na ulicy doszło do wybuchu.

- Nieźle, nowy.

- Brak naturalnych czy sztucznych skręceń - ciągnął Cooper, mówiąc o włosie. - Prosty. Brak śladów depigmentacji, więc dawałbym mu mniej niż pięćdziesiąt lat.

- Chcę mieć analizę chemiczno-toksykologiczną. Ekspresową.

- Wyślę włos do laboratorium.

- Do komercyjnego laboratorium - polecił z naciskiem Rhyme. - I pomachaj im przed nosem grubą kasą, żeby szybko podali wyniki.
- Nie mamy grubej kasy - odparł gderliwym tonem Sellitto. - Mamy za to bardzo dobre własne laboratorium w Queens.
- Nie jest bardzo dobre, jeżeli nie da mi wyników badań, zanim nasz sprawca zabije następną osobę, Lon.
- Może Uptown Testing? - zaproponował Cooper.
- Dobra. Pamiętaj o kasie.
- Jezu, Line, miasto naprawdę nie obraca się tylko wokół ciebie.
- Nie? - spytał Rhyme ze zdziwieniem w oczach, które było równocześnie udawane i autentyczne.

Rozdział 14

Z

a pomocą SEM-EDS - skaningowego mikroskopu elektronowego, sprzężonego z dyspersyjnym spektrometrem rentgenowskim - Mel Cooper analizował mikroślady zebrane przez Sachs w miejscu, gdzie N.N. sprawca podłączył kabel do sieci.

- Mam jakiś minerał, inny niż podłoże wokół stacji.
- Z czego się składa?
- Ze skałenia w około siedemdziesięciu procentach, dalej z kwarcu, magnetytu, miki, kalcytu i amfiboli. Jest trochę anhydrytu. Dziwne, spory odsetek krzemu. Rhyme dobrze znał geologię obszaru Nowego Jorku. Kiedy się poruszał, wędrował po mieście, zbierając próbki ziemi i kamieni i tworząc bazę danych, która mogła mu pomóc powiązać sprawców i miejsca. Ta kombinacja minerałów stanowiła jednak dla niego zagadkę. Na pewno nie pochodziła stąd.
- Będzie nam potrzebny geolog. - Rhyme zastanowił się przez chwilę, po czym zadzwonił, wybierając numer zapisany w pamięci telefonu.
- Halo? - odezwał się cichy, przyjemny męski głos.

- Cześć, Arthur - powiedział Rhyme do kuzyna mieszkającego niedaleko stąd, w New Jersey.

- Hej. Jak się czujesz?

Rhyme pomyślał, że chyba każdy dopytuje się dziś o jego samopoczucie, choć Arthur po prostu chciał z nim nawiązać rozmowę.

- Dobrze.

- Miło było zobaczyć ciebie i Amelię w zeszłym tygodniu.

Rhyme niedawno odnowił stosunki z Arthurem Rhyme'em, który kiedyś był dla niego jak brat i z którym wychował się pod Chicago.

Choć kryminalistyk nie przepadał za weekendami na wsi, zaskoczył Sachs propozycją, by przyjęli zaproszenie od Arta i jego żony Judy do ich domku letniego nad brzegiem oceanu. Arthur wyjawiał, że zbudował podjazd, aby ułatwić wjechanie do domu wózkiem. Pojechali do niego na kilka dni z Thomem oraz Pammy i jej pieskiem, Jacksonem.

Rhyme miło spędził ten czas. Podczas gdy panie spacerowały z psem po plaży, on i Arthur rozmawiali o nauce, życiu akademickim i zdarzeniach na świecie, wymieniając opinie w coraz mniej zrozumiały sposób, wprost proporcjonalnie do ilości spożytej przez nich jednosłodowej whisky: Arthur tak jak Rhyme miał okazałą kolekcję.

- Art, mówisz przez głośnik do... gromady glin.

- Oglądam wiadomości. Założę się, że pracujecie nad tym incydentem z wielką iskrą elektryczną. Okropność. Dziennikarze mówią, że to prawdopodobnie wypadek, ale... - Zaśmiał się z powątpiewaniem.

- Nie, bynajmniej nie wypadek. Nie wiemy, czy to dzieło niezadowolonego pracownika, czy terrorysty.

- Mogę jakoś pomóc?

Arthur także był naukowcem o nieco szerszym wykształceniu niż Rhyme.

- Prawdę mówiąc, tak. Mam do ciebie jedno krótkie pytanie. Przynajmniej mam nadzieję, że krótkie. Na miejscu zdarzenia znaleźliśmy mikroślady, które nie pasują do żadnego podłoża w okolicy. Ściślej mówiąc, nie pasują do żadnej znanej mi formacji geologicznej w Nowym Jorku.

- Mam długopis. Podyktuj mi skład.

Rhyme podał mu wyniki badań.

Arthur milczał. Rhyme wyobraził sobie kuzyna zapatrzonemu w zamyśleniu w zapisaną przed chwilą listę, analizującego różne możliwości. Wreszcie Arthur spytał:

- Jakiej wielkości są drobiny?

- Mel?
- Cześć, Art, tu Mel Cooper.
- Cześć, Mel. Tańczyłeś gdzieś ostatnio?
- W zeszłym tygodniu wygraliśmy konkurs tanga na Long Island.

W niedzielę jedziemy na turniej regionalny. Chyba że ugrzęznę w tej sprawie.

- Mel? - zniecierpliwiał się Rhyme.
- Drobiny? Owszem, bardzo małe. Około dwudziestu pięciu setnych milimetra.
- Dobra, jestem prawie pewien, że to tefra.
- Co? - nie zrozumiał Rhyme.

Arthur przeliterował nazwę.

- Materiał wulkaniczny. Słowo pochodzi z greki i oznacza popiół. W powietrzu, po wyrzuceniu z wulkanu, to materiał piroklastyczny - okruchy skał - ale na ziemi nazywa się tefra.

- Występuje lokalnie? - zapytał Rhyme.

Z wyraźnym rozbawieniem w głosie Arthur odrzekł:

- Gdzie występuje lokalnie. Pytasz o naszą okolicę? Już nie. Po większej erupcji na Zachodnim Wybrzeżu i przy przeważającym wietrze można znaleźć mikroskopijne ilości na północnym wschodzie, ale ostatnio nic takiego się nie wydarzyło. W takich proporcjach, moim zdaniem, źródło może być w rejonie północno-zachodniego Pacyfiku. Na przykład Hawaje.

- Czyli ten materiał został przyniesiony na miejsce zdarzenia przez sprawcę albo kogoś innego.

- Na to bym stawiał.

- Dobra, dzięki. Niedługo się do ciebie odezwiemy.

- Aha, Judy mówiła, że prześle Amelii e-mailem ten przepis, o który prosiła.

Podczas weekendu za miastem Rhyme nie słyszał tej części rozmowy. Zapewne odbyła się w trakcie jednego ze spacerów na plaży.

- Nie ma pośpiechu! - zawołała Sachs.

Kiedy się rozłączyli, Rhyme spojrział na nią, pytająco unosząc brew.

- Zamierzasz zacząć gotować?

- Pammy mnie naucz. - Wzruszyła ramionami. - Zresztą czy to takie trudne? Przypuszczam, że nie bardziej niż przebudowa gaźnika, tyle że z mniej trwałych części.

Rhyme patrzył na tablicę.

-Tefra... może sprawca był niedawno w Portlandzie, w Seattle albo na Hawajach. Ale wątpię, żeby tyle śladów przetrwało taką podróż. Był raczej w muzeum albo w jego pobliżu, może w szkole albo na jakiejś wystawie geologicznej. Czy jakiś przemysł używa popiołów wulkanicznych? Może do szlifowania kamieni. Jak karborund.

- Jest za bardzo zróżnicowany i nieregularny jak na materiał produkowany przemysłowo - zauważył Cooper. - I, moim zdaniem, za miękki.

- Hm, a biżuteria? Robi się z lawy jakąś biżuterię? Nikt o tym jednak nie słyszał, więc Rhyme doszedł do wniosku, że źródłem materiału była jakaś wystawa, którą sprawca odwiedził albo która znajdowała się niedaleko jego domu lub miejsca pobytu jego przyszłej ofiary.

- Mel, niech ktoś z Queens zacznie dzwonić - szukać wystaw, stałych i objazdowych, które mają coś wspólnego z wulkanami albo lawą. Na początek niech sprawdzą na Manhattanie. - Jego wzrok spoczął na klapie włazu opakowanej w plastik. - Spójrzmy, z czym Amelia poszła popływać. Twoja kolej, nowy. Pokaż, że nie musimy się ciebie wstydzić.

Rozdział 15

O

czyściwszy lateksowe rękawiczki rolką do zbierania sierści - czym zyskał aprobujące spojrzenie Rhyme'a - młody funkcjonariusz dźwignął klapę włazu wraz z framugą, do której wciąż był przymocowany Kwadratowa klapa, pomalowana na ciemnoszary kolor, miała bok

długości mniej niż pół metra, a rama dodawała nie więcej niż pięć centymetrów.

Sachs miała rację. Przejście było naprawdę ciasne. Bardzo możliwe, że gdy sprawca wchodził do budynku stacji, we włazie pozostał jakiś okruch pochodzący z jego ciała.

Kłapa zamykała się na cztery niewielkie zatrzaski po obu stronach. Niewygodnie byłoby je otwierać w rękawiczkach, istniało więc prawdopodobieństwo, że sprawca zrobił to gołymi palcami, zwłaszcza że i tak zamierzał wysadzić właz za pomocą bomby skonstruowanej z akumulatora, żeby zniszczyć ślady.

Odciski palców dzielą się na trzy kategorie. Widzialne (na przykład pozostawione przez zakrwawiony kciuk na białej ścianie), wgłębne (pozostawione w miękkim materiale w rodzaju plastycznego materiału wybuchowego) oraz utajone (niewidoczne dla nieuzbrojonego oka). Istniało kilkadziesiąt sposobów ujawniania utajonych odcisków, ale jednym z najlepszych w wypadku metalowych powierzchni było wykorzystanie kleju Super Glue, cyjanoakrylanu dostępnego w zwykłym sklepie. Przedmiot należało umieścić w szczelnej komorze razem z pojemnikiem kleju, który się rozgrzewało, aby zaczął parować. Opary łączyły się z substancjami pozostawionymi przez ludzki palec - aminokwasami, kwasem mlekowym, glukozą i węglanem potasu - a w wyniku reakcji chemicznych powstawał widoczny odcisk. Ta metoda potrafiła działać cuda, ujawniając zupełnie niewidzialne odciski palców.

Lecz nie tym razem.

-Nic - oznajmił zawiedziony Pulaski, oglądając kłapę włazu przez lupę, której nie powstydziliby się sam Sherlock Holmes. - Tylko smugi po rękawiczkach.

- Nic dziwnego. Dotąd był bardzo uważny. No dobrze, zbierz pył z wewnętrznych krawędzi framugi, gdzie musiał się otrzeć.

Pulaski spełnił polecenie, używając miękkiego pędzla i płachty papieru oraz wymazówek. Wszystko, co znalazł - zdaniem Rhyme'a, bardzo niewiele - zapakował do torebek i przygotował do analizy, którą miał się zająć Cooper.

Sellitto odebrał telefon, po czym powiedział do słuchawki:

- Zaczekaj, przełączę cię na głośnik.

- Halo? - odezwał się czyjś głos.

Rhyme spojrzał na detektywa.

- Kto to?

- Szarnek.

Ekspert z wydziału przestępczości komputerowej.

- Masz coś dla nas, Rodney?

W tle łomotała muzyka rockowa.

- Mogę dać głowę, że gość, który się bawił serwerami Algonquin, znał wcześniej hasła dostępu. Właściwie daję głowę. Po pierwsze, nie znaleźliśmy żadnego dowodu próby włamania. Nie ma śladów użycia algorytmu siłowego. Nie ma śladów zniszczonych rootkitów, podejrzanych sterowników ani modułów jądra, ani...

- Przejdź do sedna, jeżeli można prosić.

- Dobra, obejrzelismy wszystkie porty... - Zawahał się, słysząc westchnienie Rhyme'a. - Do sedna. No więc to była i nie była wewnętrzna robota.

- To znaczy? - burknął Rhyme.

- Atak nastąpił spoza fizycznego budynku Algonquin.

-To już wiemy.

-Ale sprawca musiał je zdobyć w ich siedzibie w Queens. Albo on, albo jego wspólnik. Pochodzą z losowego generatora, odizolowanego od sieci, a przechowywane są na wydrukach.

- Czyli - podsumował kryminalistyk, chcąc się tylko upewnić - nie działał żaden haker, ani zewnętrzny, ani wewnętrzny, ani międzynarodowy.

- To prawie niemożliwe. Mówię serio, Lincoln. Ani jednego root- kity...

- Rozumiem już, Rodney. Macie coś w sprawie jego łącza z baru?

- Komórka na kartę, podłączona do portu USB. Połączenie przez serwer proxy w Europie.

Rhyme znał się na tym na tyle dobrze, by wiedzieć, że odpowiedź na jego pytanie brzmi „nie”.

- Dzięki, Rodney. Jak ty możesz pracować przy takiej muzyce?

Informatyk zachichotał.

- Jakby co, wal jak w dym.

Rozległ się trzask przerywanego połączenia i łomotanina umilkła.

Cooper także rozmawiał przez telefon. Kiedy odłożył słuchawkę, powiedział:

- Znalazłem dziewczynę z wydziału analizy materiałów w centrali. Studiowała geologię. Dużo wie o szkołach, które regularnie organizują publiczne wystawy. Poszuka popiołów wulkanicznych i lawy.

Pulaski, wciąż ślęcząc nad klapą wjazdu, zmrużył oczy.

- Chyba coś mam.

Wskazał na fragment klapy przy górnym zatrzasku.

- Zdaje się, że chciał to zetrzeć. - Chwycił lupę. - Tu jest ostry zadziór metalu. Myślę, że zaciął się do krwi.

- Naprawdę? - ożywił się Rhyme. Dla analizy kryminalistycznej nie ma to jak DNA.

-Ale jeżeli to wyczyścić - odezwał się Sellitto - to będziemy coś z tego mieli?

Zanim Rhyme zdążył odpowiedzieć, Pulaski, wciąż pochylony nad swoim znaleziskiem, mruknął:

-Ale czym mógłby to wyczyścić? Może śliną? Nadaje się tak samo jak krew.

Do tego samego wniosku miał dojść Rhyme.

- Użyj oświetlacza.

Za pomocą oświetlaczy kryminalistycznych - źródeł światła zmiennej długości - można ujawnić obecność

płynów ustrojowych, jak ślady śliny, spermy i potu, z których każdy zawiera DNA.

Wszystkie jednostki organów ścigania pobierały już próbki DNA od podejrzanych o przestępstwa pewnego rodzaju - na przykład przestępstwa seksualne - a wiele z nich posuwało się jeszcze dalej. Jeśli ich N.N. sprawca popełnił przestępstwo kwalifikujące się do pobrania wymazu, powinien figurować w CODIS-ie, systemie baz danych DNA, założonym przez FBI.

Po chwili Pułaski w goglach zatrzymał oświetlacz nad fragmentem włazu, gdzie zauważył plamę. Zaśnił tam żółtawy punkt.

- Mam coś! - zawołał. - Ale niewiele.

- Nowy, wiesz, ile jest komórek w ludzkim ciele?

-No... nie, nie wiem.

- Ponad trzy biliony.

-To masa...

-A wiesz, ilu potrzeba do udanej identyfikacji DNA?

- Według twojej książki, Lincoln, około stu - odrzekł Pułaski.

Rhyme uniósł brew.

- Imponujesz mi. - Po chwili dodał: - Myślisz, że w tej ogromnej plamie znajdzie się sto komórek?

- Chyba tak.

-1 bardzo słusznie. Sachs, wygląda na to, że twoja podwodna ekspedycja nie poszła na marne. Gdyby akumulator eksplodował, zniszczyłby próbkę. Dobra, Mel, pokaż mu, jak zebrać próbkę.

Pułaski przekazał trudne zadanie Cooperowi.

- STR? - spytał technika Rhyme. - Czy próbka się rozłożyła?

Standardowym testem DNA w kryminalistyce było określanie

polimorficznych sekwencji DNA metodą reakcji polimerazy łańcuchowej. Badanie było szybkie i bardzo wiarygodne, ze współczynnikiem trafności jeden do miliarda. Pozwalało także ustalić płeć osoby, od której

pochodziła próbka. Choć próbka mogła być bardzo mała, musiała się znajdować w dobrym stanie. Gdyby uległa zniszczeniu na skutek działania wody albo wysokiej temperatury w budynku podstacji, należałoby wykonać inny test - badanie mitochondrialnego DNA - który trwał znacznie dłużej.

- Wydaje mi się, że wystarczy. - Technik zebrał DNA i zadzwonił do laboratorium z prośbą, by ktoś je odebrał. - Jak najszybciej, wiem - powiedział do Rhyme'a, który właśnie zamierzał go popędzić.

-1 nie liczą się z kosztami.

- Płacisz z własnego honorarium, Linc? - rzucił uszczypliwym tonem Sellitto.

- Jako stały klient masz u mnie rabat, Lon. Dobra robota, Pułaski.

- Dzięki. To tylko...

Wyczerpując na razie limit pochwał, Rhyme przeszedł do kolejnego punktu.

- Co ze śladami z wewnątrz wjazdu, Mel? Za bardzo się z tym grzebiemy.

Cooper wziął próbki i obejrzał nad płachtą papieru i pod mikroskopem.

- Nic, co by się różniło od materiału próbnego z podłoża... z wyjątkiem tego. - Była to mała różowa plamka.

- Do chromatografu - polecił Rhyme.

Chwilę później Mel czytał wyniki z chromatografu gazowego, spektrometru masowego i kilku innych analiz.

- Jest kwaśne pH - około dwóch - kwas cytrynowy i sacharoza. Poza tym... lepiej rzucę to na ekran.

*Ukazały się słowa:
3-0-rutynozyd-7-0-glukozydkwercetyny i 6,8-
C-diglukozyd chryzoeriolu (stellań-2).*

- Świetnie - rzekł ze zniecierpliwieniem Rhyme. - Sok owocowy. Z takim pH prawdopodobnie cytrynowy. Pułaski nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Skąd wiedziałeś? Przepraszam, ale skąd?

- Rozwiązanie zadania zależy od tego, jak się do niego zabierzesz, nowy. Trzeba odrabiać lekcje! Zapamiętaj to sobie. - Spojrzał na Coopera.

- Dalej jest olej roślinny, mnóstwo soli i jakiś związek, którego zupełnie nie potrafię rozgryźć.

- Jaki skład?

- Bogaty w proteiny. Aminokwasy to arginina, histydyna, izoleucyna, lizyna i metionina. Jest też dużo lipidów, głównie cholesterolu i lecytyny, poza tym witamina A, witaminy B₂, B₆, B₁₂, niacyna, kwas pantotenowy i kwas foliowy. Duże ilości wapnia, magnezu, fosforu, Potasu.

-Apetyczne - powiedział Rhyme.

Cooper kiwał głową.

- Jasne, że to jedzenie. Tylko jakie?

Choć po wypadku nie zmienił mu się zmysł smaku, Lincoln Rhyme zasadniczo traktował jedzenie jak paliwo i nie czerpał z niego większej przyjemności, w przeciwieństwie - oczywiście - do whisky.

- Thom? - Nie doczekał się odpowiedzi, więc nabrał głęboko powietrza. Zanim jednak zdążył zawołać drugi raz, w drzwiach ukazała się głowa opiekuna.

- Wszystko w porządku?

- Dlaczego ciągle o to pytasz?

- Czego chcesz?

- Sok cytrynowy, olej roślinny i jajko.

- Jesteś głodny?

- Nie, nie. Gdzie można znaleźć takie składniki?

- W majonezie.

Rhyme spojrział pytająco na Coopera, który pokręcił głową.

- Grudkowate i różowawe.

Opiekun jeszcze raz się zastanowił.

- Wobec tego stawiłbym na taramosalatę.

- Co? To nazwa restauracji?

Thom parsknął śmiechem.

- To grecka przystawka. Pasta.

- Z kawioru, zgadza się? - odezwała się Sachs. - Do pieczywa.

- Owszem, z ikry rybiej - odparł Thom. - Ale nie jesiotra, tylko dorsza, więc formalnie to nie kawior.

Rhyme pokiwał głową.

-Aha, wysokie zasolenie. Ryba, jasne. To popularna potrawa?

- W greckich restauracjach, sklepach i delikatesach.

-A gdzie jest bardziej popularna niż gdzie indziej? W jakiejś greckiej dzielnicy w mieście?

- W Queens - powiedział Pułaski, który tam mieszkał. - W Astorii. Mnóstwo greckich knajpek.

- Mogę już iść? - zapytał Thom.

- Tak, tak, tak...

- Dzięki! - zawołała Sachs.

Opiekun Rhyme'a pomachał ręką w grubej gumowej rękawicy i zniknął.

- Może obserwuje jakiejś miejsce w Queens, szykując się do następnego zamachu - podsunął Sellitto. Rhyme wzruszył ramionami, w jednym z niewielu gestów, jakie wciąż potrafił wykonać. Pomyślał: to prawda, sprawca musiałby przygotować teren. Mimo to skłaniał się ku innej wersji.

Sachs pochwyciła jego spojrzenie.

- Myślisz o siedzibie Algonquin w Astorii, tak?

- Właśnie. Wszystko wskazuje na robotę człowieka z wewnątrz. Kto kieruje firmą? - zapytał.

Ron Pułaski powiedział, że rozmawiał z pracownikami przed budynkiem stacji.

- Wspominali o prezesie i dyrektorze generalnym. Nazywa się Jessen. Andy Jessen. Wszyscy chyba się go trochę boją.

Rhyme przyglądał się przez chwilę tablicom, po czym spytał:

- Sachs, miałabyś ochotę przejechać się swoją nową luksusową bryką?

- Pewnie. - Zadzwoiła i umówiła się za pół godziny na spotkanie z asystentem prezesa.

W tym momencie zadzwonił telefon Sellitta. Detektyw wyciągnął komórkę i spojrział na wyświetlacz.

- Algonquin. - Wcisnął przycisk. - Detektyw Sellitto. - Gdy zaczął słuchać, Rhyme zauważył, jak twarz mu stężała. - Na pewno?... Dobrze. Kto miałby dostęp?... Dziękuję. - Rozłączył się. - Sukinsyn.

- Co się stało?

- Dzwonił kierownik działu zaopatrzenia. Podobno w zeszłym tygodniu była kradzież w magazynie Algonquin w Harlemie. Na Sto Osiemnastej. Uważają, że to zrobił któryś z pracowników. Nie było włamania. Sprawca otworzył magazyn kluczem.

-1 ukradł kabel? - zapytał Pulaski.

Sellitto przytaknął.

-1 te śruby widelkowe.

Rhyme dostrzegł w okrągłej twarzy detektywa coś jeszcze.

- Ile? - spytał szeptem. - Ile ukradł tego przewodu?

- Trafieś, Line. Siedemdziesiąt pięć metrów kabla i dwanaście śrub widelkowych. Co ten McDaniel chrzanił o jednorazowym zdarzeniu? Jedna wielka bzdura. Facet dopiero zaczyna.

Miejsce zdarzenia: Podstacja Algonquin Manhattan-10, 57. Zachodnia

Ofiara (śmiertelna): Luis Martin, zastępca kierownika sklepu muzycznego Brak odcisków palców na jakiegokolwiek powierzchni Odłamki metalu stopionego w wyniku wyładowania łukowego Izolowany kabel wielożyłowy, aluminiowy, 0 AWG

Bennington Electrical Manufacturing, AM-MV-60, maksymalne napięcie 60 000 V Przycięty ręcznie piłą do metalu, nowy brzeszczot, złamany ząb Dwie śruby widelkowe, z otworami średnicy V^* cala

Nie do zidentyfikowania Na śrubach charakterystyczne ślady po narzędziach Mosiężny szynoprzewód, przymocowany do kabla dwiema śrubami 1/4 cala

Żaden z przedmiotów nie do zidentyfikowania Ślady butów

Albertson-Fenwick, model E-20, do pracy przy instalacjach elektrycznych, rozmiar 11 Metalowa kratownica, przecięta przez sprawcę w celu przedostania się do stacji, charakterystyczne ślady po szczypcach przegubowych do drutu Kłapa wtazu z futryną z piwnicy Zebrane DNA, przestane do badania Greckie danie, taramosalata Jasny włos długości 2,5 cm, naturalny, pochodzący od osoby 50-letniej lub młodszej, znaleziony w barze naprzeciw budynku podstacji Wystany do analizy chemiczno-toksykologicznej Ślady mineralne: popiół wulkaniczny

Niewystępujący w Nowym Jorku w stanie naturalnym Wystawy, muzea, instytuty geologii? Wejście do systemu komputerowego w centrum sterowania Algonquin za pomocą wewnętrznych kodów dostępu, brak udziału hakerów z zewnątrz

Profil N.N. sprawcy

Mężczyzna Czterdzieści kilka lat Prawdopodobnie biały Może nosić okulary i czapkę Może mieć krótkie włosy blond

Granatowy kombinezon, podobny do strojów roboczych pracowników Algonquin Świetnie zna się na układach elektrycznych

Ślady butów nie wykazują schorzeń wpływających na postawę ciała i chód prawdopodobnie ta sama osoba, która skradła 75 metrów podobnego przewodu Benningtona i 12 śrub widelkowych. Plan kolejnych zamachów? Magazyn, w którym dokonano kradzieży, otwarty kluczem. Możliwe, że jest pracownikiem Algonquin albo ma kontakt z kimś z personelu Powiązania z terroryzmem? Z organizacją „Sprawiedliwość dla [nieznane]”? Z grupą terrorystyczną? Udział kogoś o imieniu Rahman? Zaszifrowane informacje o nakładach pieniężnych, przepływach osób i czymś „dużym”

Rozdział 16

/

walisty.

Takie słowo przyszło do głowy Amelii Sachs, kiedy wysiadła z forda torino cobra na parkingu Algonquin Consolidated Power and Light w Astorii w Queens. Kompleks składał się z kilku budynków, ale naczelne miejsce zajmował skomplikowany, strzelisty gmach z brudnoczerwonych i szarych tafli, mierzący ponad sześćdziesiąt metrów. W porównaniu z tym ogromem pracownicy kończący właśnie dzień wydawali się maleńcy, wychodząc przez mikroskopijne drzwi w panoramicznych płytach ścian.

W kilkudziesięciu miejscach od budynku odchodziły rury i, tak jak się spodziewała, wszędzie były przewody, choć słowo „przewody” nie wydawało się odpowiednie. Były to grube, sztywne kable, niektóre izolowane, inne lśniące nagim metalem w blasku lamp uruchamianych fotokomórką. Z trzewi budynku musiały przez nie płynąć setki tysięcy voltów, przechodząc przez szereg metalowych i zapewne ceramicznych czy innych izolowanych elementów instalacji, zmierzając do jeszcze bardziej złożonych rusztowań, wsporników i wież. Rozdzielały się i rozgałęziały w wielu kierunkach - jak kości biegnące od ramienia, przez dłoń, do palców.

Odchylając głowę do tyłu, zobaczyła wysoko nad głową cztery kominy, także brudnoczerwone i czarnoszare, mrugające w mglistym zmierzchu światłami ostrzegawczymi. Oczywiście od lat widywała te kominy; każdy, kto choć raz był w Nowym Jorku, nie mógł nie zauważyć ich sylwetek górujących nad nudnym przemysłowym brzegiem East River. Nigdy dotąd nie była jednak tak blisko, patrzyła więc jak zahipnotyzowana w ich iglice, strzelające w pochmurne niebo. Przypomniała sobie, że zimą wydobywa się z nich dym czy para, ale teraz nie ulatywało nic poza ciepłym albo niewidzialnym gazem, marszczącym niedostrzegalnymi falami gładki nieboskłon.

Sachs usłyszała jakieś głosy i spojrzawszy w głąb parkingu, ujrzała sporą grupkę około pięćdziesięciu demonstrantów. Wysoko w górze trzymali transparenty i nieśmiało skandowali, prawdopodobnie skarżąc się na straszego molocha energetycznego, żłowiącego ropę. Nie zauważyli, że przyjechała tu samochodem, który zużywał pięć razy więcej czarnego złota niż któryś z ich priusów.

Wyczuwała pod stopami dudnienie, jak gdyby z niedaleka odjeżdżały właśnie ogromne dziewiętnastowieczne lokomotywy. Jej uszu dobiegł cichy szum.

Zamknęła drzwi samochodu i podeszła do głównego wejścia. Dwaj strażnicy uważnie ją obserwowali. Byli wyraźnie zaciekawieni wysoką rudowłosą piękną oraz starym bordowym wozem, z którego wysiadła, wydawali się też rozbawieni jej reakcją na widok budynku. Ich twarze mówiły: to jest dopiero coś, nie? Chociaż człowiek pracuje tu tyle lat, ciągle jest pod wrażeniem.

Po chwili, gdy mignęła im legitymacją i odznaką, nabrali czujności i spoważnieli. Spodziewając się widocznie policji - choć niekoniecznie w takim wydaniu - natychmiast zaprowadzili ją korytarzem do części Algonquin Consolidated, gdzie urzędowało kierownictwo.

W przeciwieństwie do nowoczesnie eleganckiego biurowca firmy eksplorującej dane, zamieszanej w sprawę, nad którą niedawno pracowała, siedziba Algonquin wyglądała jak diorama z muzeum, przedstawiająca życie z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku: meble z jasnego drewna, oprawione w ramki kiczowate zdjęcia elektrowni i wież przesyłowych, brązowa wykładzina. Pracownicy - niemal wyłącznie mężczyźni - byli ubrani w ultraklasycznym stylu: białe koszule i ciemne garnitury. Dominowały krótkie, niemal rekruckie fryzury. Szli dalej nudnymi korytarzami, ozdobionymi okładkami czasopism, w których ukazały się artykuły o Algonquin. „Wiek energii”. „Przesył energii elektrycznej”. „Sieć”. Mimo że dochodziła osiemnasta trzydzieści, w biurze kręciło się jeszcze kilkudziesięciu pracowników w rozluźnionych krawatach, z podwiniętymi rękawami i zatroskanymi minami.

Na końcu korytarza strażnik zatrzymał się przed drzwiami opatrzonymi tabliczką „A.R. Jessen”. Choć Sachs nie nudziła się w drodze do biurowca - na jednym odcinku autostrady grubo przekroczyła setkę - udało jej się zebrać garść informacji. Jessen nie był Andym, lecz Andi, czyli Andream. Sachs zawsze starała się odrobić zadanie i jak najwięcej wiedzieć o głównych osobach dramatu. Informacje miały duże znaczenie w zachowaniu kontroli nad sytuacją podczas przesłuchań. Ron założył, że prezes jest mężczyzną. Wyobrażała sobie, jak gwałtownie spadłaby jej wiarygodność, gdyby po przyjeździe zapytała o „pana Jessena”.

Zatrzymała się w drzwiach sekretariatu. Sekretarka albo asystentka, w czarnej, obcisłej bluzce bez rękawów i butach na zuchwale wysokim obcasie, wspinała się na palce, szperając w szafce na dokumenty. Niewysoka blondynka, zdaniem Sachs, tuż przed lub po czterdziestce, marszczyła w zdenerwowaniu brwi, nie mogąc znaleźć czegoś, co było potrzebne jej szefowej.

W drzwiach do gabinetu stała kobieta o imponującej sylwetce i przyprószonych siwizną włosach, ubrana w prosty brązowy kostium i bluzkę zapiętej pod szyję. Ona także marszczyła brwi, przyglądając się z założonymi rękami pracom wykopaliskowym w szafce.

- Detektyw Sachs, dzwoniłam do pani - powiedziała Sachs, gdy wysoka kobieta odwróciła do niej srogą twarz. W tym momencie młodsza wyciągnęła z głębi szafki teczkę i podała ją starszej, mówiąc:

- Znalazłam, Rachel. Przez pomyłkę włożyłam to, kiedy byłaś na lunchu. Będę wdzięczna, jeżeli zrobisz mi pięć kopii.

- Tak, pani Jessen - odrzekła. I podeszła do kserokopiarki.

Prezeska zbliżyła się do Sachs na niebezpiecznych obcasach, spojrzała jej w oczy i mocno uściśnęła dłoń.

- Proszę wejść, detektywie - zaprosiła. - Chyba mamy sobie dużo do powiedzenia.

Sachs zerknęła na asystentkę w brązowej garsonce i weszła do gabinetu za prawdziwą Andi Jessen.

No i masz swoje odrobione zadanie, pomyślała zrezygnowana.

Rozdział 17

A

ndrea Jessen chyba zauważyła, że Sachs prawie popełniła *faux*

pas.

- Jestem jedyną w kraju kobietą na stanowisku prezesa koncernu energetycznego i tylko jeden z prezesów jest ode mnie młodszy. Mimo że do mnie należy ostateczna decyzja o zatrudnieniu pracownika, w Algonquin pracuje dziesięciokrotnie mniej kobiet niż w większości dużych przedsiębiorstw w Stanach. Specyfika branżowa.

Sachs miała zapytać, dlaczego Jessen wybrała akurat taką dziedzinę, ale prezeska, jak gdyby czytając jej w myślach, dodała:

- Mój ojciec zajmował się tym biznesem.

Amelia miała ochotę poinformować Jessen, że została policjantką wyłącznie z powodu swojego ojca i przez wiele lat pracowała jako „ruchomy” funkcjonariusz - w pieszej służbie patrolowej. W ostatniej chwili jednak się powstrzymała.

Jessen miała kanciastą twarz, pokrytą cieniutką warstewką makijażu. Wokół zielonych oczu i mało efektownych ust rysowały się delikatne zmarszczki. Poza tym jej cera była doskonale gładka. Prezeska zdecydowanie nie wyglądała na miłośniczkę spędzania czasu na świeżym powietrzu.

Ona także badawczo przyjrzała się Sachs, po czym wskazała jedno z krzeseł ustawionych wokół niskiego stolika. Gdy policjantka usiadła, Jessen chwyciła słuchawkę telefonu.

- Na chwilę panią przepraszę. - Jej wypielęgnowane, lecz niepo- lakierowane paznokcie zastukały w klawiaturę.

Zadzwoiła do trzech osób po kolei - do każdej w sprawie ataku. Najpierw, jak domyśliła się Sachs, rozmawiała z prawnikiem, potem z działem public relations albo zewnętrzną firmą PR. Najwięcej czasu poświęciła na trzeci telefon, najwyraźniej sprawdzając, czy we wszystkich stacjach i innych obiektach firmy zjawił się dodatkowy personel ochrony. Robiąc notatki złożonym ołówkiem, Jessen mówiła urywanymi zdaniami, staccato, nie wtrącając ani jednego niepotrzebnego wyrażenia w rodzaju „to znaczy” albo „no tak”. Podczas gdy szefowa firmy rzuciła przez telefon polecenia, Sachs, rozglądając się po gabinecie, dostrzegła zdjęcie stojące na szerokim biurku z drewna tekowego i przedstawiające nastoletnią Andi Jessen z rodziną. Sądząc po kilku fotografiach dzieci, Jessen miała jednego brata, młodszego od niej o kilka lat. Byli podobni do siebie, choć ona była blondynką, a on miał ciemne włosy. Na aktualnych zdjęciach brat był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną w

mundurze wojskowym. Niektóre przedstawiały go podczas podróży, czasem w towarzystwie dziewczyny, którą obejmował ramieniem - na każdym zdjęciu innej.

Na biurku nie było ani jednej fotografii Jessen z żadnym partnerem.

Ściany, częściowo zasłonięte regałami pełnymi książek, zdobiły stare grafiki i mapy, które mogły pochodzić z muzealnej wystawy na temat historii energetyki. Jedną z map, opatrzona nagłówkiem „Pierwsza sieć”, przedstawiała okolice Pearl Street na dolnym Manhattanie. Sachs zobaczyła czytelny podpis „Thomas A. Edison”. Przypuszczała, że to autentyczny autograf wynalazcy.

Jessen odłożyła słuchawkę i wyprostowała się, opierając łokcie

o blat biurka. Miała zaczerwienione oczy, ale mocno zaciskała szczęki

i wąskie usta.

- Od tego... incydentu minęło siedem godzin. Miałam nadzieję, że już kogoś aresztowaliście. Gdybyście go złapali, zostałabym chyba powiadomiona telefonicznie - mruknęła. - Nie osobiście.

- Przyszłam tylko zadać pani kilka pytań w związku z ustaleniami śledztwa.

Znów uważne, taksujące spojrzenie.

- Rozmawiałam z burmistrzem, gubernatorem i szefem nowojorskiego biura FBI. No i z Departamentem Bezpieczeństwa. Spodziewałam się zobaczyć kogoś od nich, nie z policji.

Nie był to zamierzony przytyk, więc Sachs nie poczuła się urażona.

- Policja zajmuje się badaniem miejsca zdarzenia. Moje pytania dotyczą tej części dochodzenia.

- To wszystko wyjaśnia. - Jej twarz nieco złagodniała. - Między nami, kobietami, przyznam, że trochę się jeżę. Wydawało mi się, że ci ważniacy nie traktują mnie poważnie. - Posłała Sachs odrobinę

konspiracyjny uśmiech. - To się zdarza. Częściej niż pani sądzi.

- Rozumiem.

- Domyślam się. Detektyw, hm?

- Zgadza się. - Pamiętając, że sprawa jest pilna, Sachs spytała: - Możemy przejść do pytań?

- Oczywiście.

Ciągle dzwonił telefon, ale zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od Jessen, jej asystentka, która przed chwilą wróciła do sekretariatu, odbierała połączenia już po pierwszym dzwonku.

- Na wstępie zapytam, czy zmieniliście kody dostępu do systemu sterującego siecią?

Jessen zmarszczyła brwi.

- Naturalnie. To była pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy. Nie mieliście informacji od burmistrza ani Departamentu Bezpieczeństwa?

Nie, nie mieliśmy, pomyślała Sachs.

-1 zainstalowaliśmy dodatkowe firewalle - ciągnęła Jessen. - Hakerzy już nie mają szans się włamać.

- To chyba nie była robota hakerów.

Jessen przechyliła głowę.

-Ależ dzisiaj rano Tucker McDaniel, ten agent FBI, mówił, że to prawdopodobnie terroryści.

- Mamy nowsze informacje.

-No więc jak to się mogło stać? Ktoś z zewnątrz przekierował moc i przestawił wyłączniki automatyczne w MH-10 - podstacji na Pięćdziesiątej Siódmej.

- Jesteśmy prawie pewni, że uzyskał kody wewnątrz, w firmie.

- Niemożliwe. To na pewno terroryści.

- Na pewno istnieje taka możliwość i chcę panią o to spytać. Ale nawet gdyby tak było, wykorzystali kogoś z firmy. Funkcjonariusz naszego wydziału przestępczości komputerowej rozmawiał z waszymi informatykami. Powiedział nam, że nie ma żadnych dowodów na włamanie do komputerów.

Jessen zamilkła i wbiła wzrok w biurko. Nie wyglądała na zadowoloną - słysząc wiadomość o sprawcy w firmie? A może dlatego, że ktoś z jej podwładnych rozmawiał z policją bez jej wiedzy? Zapisła coś, a Sachs przypuszczała, że to notatka z przypomnieniem, by udzielić reprimendy szefowi bezpieczeństwa sieciowego.

- Podejrzanego widziano w ubraniu roboczym Algonquin - ciągnęła Sachs. - A w każdym razie w granatowym kombinezonie, podobnym do waszych.

- Podejrzanego?

- W chwili ataku zauważono jakiegoś człowieka w barze naprzeciwko stacji. Miał laptopa.

- Macie jego rysopis?

- Biały mężczyzna, prawdopodobnie czterdzieści kilka lat. Nic więcej nie wiemy.

- Taki kombinezon można kupić albo uszyć.

- Owszem, ale to nie wszystko. Przygotowując zamach, wykorzystał kabel marki Bennington. Taki sam, jakiego zwykle używa pani firma.

- Tak, wiem. Podobnie jak większość firm energetycznych.

- W zeszłym tygodniu z jednego z waszych magazynów w Harlemie skradziono siedemdziesiąt pięć metrów kabla Benningtona takiego samego przekroju i dwanaście śrub widelkowych. Używa się ich do łączenia...

- Wiem, do czego się ich używa. - Zmarszczki na twarzy Jessen wyraźnie się wyostriły.

- Osoba, która okradła magazyn, otworzyła go kluczem. Przedostała się też do kanału pod stacją przez studzienkę rurociągu ciepłowniczego.

- Czyli nie dostał się do budynku stacji, używając klawiatury elektronicznej? - spytała szybko Jessen.

-Nie.

- A więc są pewne dowody, że to nie był nasz pracownik.

- Jak mówiłam, istnieje taka możliwość. Ale wiemy coś jeszcze. - Sachs poinformowała ją, że znaleźli ślady greckiego dania, sugerujące związek sprawcy z okolicą. Oszolomiona ogromem zdobytych przez nich informacji, prezeska powtórzyła zirytowanym tonem:

- Taramosalata?

- W niewielkiej odległości od siedziby pani firmy jest pięć greckich restauracji. A taksówką można w dziesięć minut dotrzeć do następnych dwudziestu ośmiu. Ponieważ ślad był stosunkowo świeży, należy przypuszczać, że to obecny pracownik Algonquin, a w każdym razie że dostał kody od obecnego pracownika. Być może spotkali się w pobliskiej restauracji.

- Na litość boską, w całym mieście jest mnóstwo greckich restauracji.

- Załóżmy, że kody wyszły z firmy. Kto miał do nich dostęp? - zapytała Sachs. - To naprawdę zasadnicza kwestia.

- Dostęp jest bardzo ograniczony i ściśle kontrolowany - wyrecytowała szybko, jak gdyby stała przed sądem, oskarżona o zaniedbanie obowiązków służbowych Jessen. Zabrzmiało to niby starannie przygotowana formułka.

-Kto?

- Ja. Sześciu członków kierownictwa. Nikt inny. Ale ci ludzie pracują w firmie od lat, detektywie. W żadnym razie nie zrobiliby czegoś takiego. To nie do pomyślenia.

- Podobno kody nie są przechowywane w komputerach.

Znów się zdumiała, słysząc, że o tym też wiedzą.

- To prawda. Są generowane losowo przez kierownika naszego centrum sterowania. I przechowywane w zamkniętym archiwum obok.

- Chciałabym poznać nazwiska i dowiedzieć się, czy ktoś nieupoważniony nie miał dostępu do tego pomieszczenia.

Jessen wyraźnie nie chciała przyjąć do wiadomości, że sprawca jest jej pracownikiem, ale odrzekła:

- Zadzwoń do naszego dyrektora ochrony. Powinien mieć takie informacje.

- Będę też potrzebowała nazwisk wszystkich osób, które w ciągu kilku ostatnich miesięcy były wyznaczane do napraw rurociągu w studzience naprzeciwko stacji. Studzienka jest w alejce, około dziesięciu metrów na północ od budynku.

Prezeska podniosła słuchawkę i poprosiła swoją asystentkę, by wezwała do jej gabinetu dwóch pracowników. Prośba była uprzejma. Niektórzy ludzie na jej stanowisku rzuciliby krótki, suchy rozkaz, a Jessen nie traciła rozsądku i zimnej krwi. Dzięki temu w oczach Sachs wydawała się jeszcze silniejsza. Wrzeszczeli tylko ludzie słabi i niepewni swojej pozycji. W policji spotykało się ich co krok.

Ledwie odłożyła słuchawkę, wszedł jeden z ludzi, których poprosiła. Może miał gabinet tuż obok. Był to krępy biznesmen w średnim wieku, ubrany w szare spodnie i białą koszulę.

- Coś nowego, Andi?

- Parę rzeczy. Usiądź. - Odwróciła się do Sachs. - To Bob Cavanaugh, wiceprezes do spraw operacyjnych. Detektyw Sachs.

Podali sobie ręce.

- Są jakieś postępy? - spytał ją wiceprezes. - Macie podejrzanych?

Zanim Sachs zdążyła odpowiedzieć, Andi Jessen ze stoickim spokojem odrzekła:

- Myślą, że to ktoś od nas, Bob.

- Od nas?

- Wszystko na to wskazuje - potwierdziła Sachs, po czym zrelacjonowała mu dotychczasowy przebieg śledztwa. Cavanaugh też zaniepokoił się wiadomością, że w firmie może się ukrywać zdrajca.

- Mógłbyś się dowiedzieć w konserwacji, kto prowadził inspekcję rurociągu w studzience niedaleko MH-10?

- W jakim okresie?

- Ostatnich dwóch, trzech miesięcy - powiedziała Sachs.

- Nie wiem, czy będziemy mieli jeszcze rejestry przydziału zadań, ale sprawdzę. - Zadzwoił i poprosił o tę informację, po czym odwrócił się do obu kobiet.

- Porozmawiajmy teraz o wątku terrorystycznym - zaproponowała Sachs.

- Wydawało mi się, że oskarżacie naszego pracownika.

- Często się zdarza, że komórka terrorystyczna Werbuje kogoś z wewnątrz.

- Mamy się przyjrzeć pracującym u nas muzułmanom? - spył Cavanaugh.

- Myślałam o demonstrantach przed budynkiem - odparła Sachs - Może ekoterrorystów?
Cavanaugh wzruszył ramionami.

- Prasa krytykuje Algonquin, że jest za mało ekologiczną firing ~ powiedział to ostrożnie, nie patrząc w stronę Jessen. Była to zapewne dobrze znana i nużąca kwestia.

- Mamy swój program energii odnawialnej - wyjaśniła jej Jessen. _ I go realizujemy. Ale realistycznie oceniamy tę sprawę i nie chcemy marnować czasu. Wymachiwanie sztandarem odnawialnych paliw jest znakiem poprawności politycznej, chociaż większość ludzi nie ma na ten temat zielonego, nomen omen, pojęcia. - Lekceważąco machnęła ręką.

Myśląc o ostrych wystąpieniach ekoterrorystów w niedawnej przeszłości, Sachs poprosiła ją o szczegóły. Miała wrażenie, jakby uruchomiła dobrze naoliwioną maszynę.

- Ogniwa wodorowe, biopaliwa, farmy wiatrowe, słoneczne, geotermiczne, wytwarzanie metanu,

generatory wykorzystujące fale oceaniczne... wie pani, ile produkują te źródła? Mniej niż trzy procent energii zużywanej w kraju. Połowa dostaw energii w Stanach pochodzi z węgla. Algonquin wykorzystuje gaz ziemny; to dwadzieścia procent. Elektrownie jądrowe dają około dziewiętnastu, hydroelektrownie siedem procent.

Oczywiście że udział źródeł odnawialnych będzie rósł, ale bardzo wolno. Przez najbliższe sto lat wciąż pozostanie kroplą w morzu energetycznym, że zacytuję własne słowa. - Prezeska coraz bardziej gotowała się ze złości. - Koszty początkowe są nieprzyzwoicie wysokie, gadżety do produkcji energii niedorzecznie drogie, kolejny ogromny wydatek to transport. Weźmy elektrownie słoneczne. Podobno przyszłość należy do nich, tak? Wie pani, że zużywają najwięcej wody w przemyśle energetycznym? I gdzie są lokalizowane? Tam gdzie jest najwięcej słońca, czyli najmniej wody.

Gdybyśmy zaczęli głośno o tym mówić, media nie zostawiłyby ^{na nas} suchej nitki. Tak jak Waszyngton i Albany. Słyszała pani o tych senatorach, którzy przyjeżdżają do miasta na Dzień Ziemi?

-Nie.

- Zasiadają w połączonej podkomisji do spraw zasobów energetycznych - ciągnęła Jessen - która współpracuje z prezydentem sprawach ekologii. W czwartek wieczorem będą na ogromnym ecu w Central Parku. I co tam będą robić? Dobierać się nam do skóry.

Cie nie wymienią z nazwy Algonquin, ale dają głowę, że któryś z nich pokaże nas palcem. Z parku widać nasze kominy. Jestem przekonana, że organizatorzy właśnie dlatego ustawili scenę w tym miejscu... Owszem, to moje własne poglądy. Czy to jednak wystarczy, żeby Algonquin miał się stać celem zamachu? Nie bardzo rozumiem. Jasne, niektórzy fundamentaliści polityczni i religijni chcą zniszczyć amerykańską infrastrukturę. Ale nie ekolodzy.

Cavanaugh przytaknął.

- Ekoterror? Nie pamiętam, żebyśmy mieli kiedykolwiek taki problem. Jestem tu od trzydziestu lat - przedtem pracowałem z ojcem Andi, kiedy prowadził firmę. Wtedy spalaliśmy węgiel. Zawsze spodziewaliśmy się próby sabotażu ze strony Greenpeace czy jakiejś grupy liberałów.

- Cóż, zwykle mamy tylko przypadki bojkotu i demonstrantów - potwierdziła Jessen.

Cavanaugh uśmiechnął się kwaśno.

- Nie dostrzegają nawet paradoksu, że połowa z nich przyjechała tu metrem z New Energy Expo w centrum kongresowym dzięki energii wyprodukowanej przez Algonquin. Albo że wczoraj wieczorem zrobili swoje transparenciki przy świetle, w które zaopatruje ich nasza firma. Zresztą co tam paradoks. Może lepiej pasuje słowo „hipokryzja”?

- Mimo to, dopóki nie dostaniemy od kogoś jednoznacznej wiadomości albo nie poznamy nowych faktów, wciąż brałabym pod uwagę ekoterrorystów - odrzekła Sachs. - Słyszeli państwo coś o grupie, której nazwa zaczyna się od „Sprawiedliwość dla”?

- Dla kogo? - spytał Cavanaugh.

- Nie wiemy.

- Ja nie słyszałam - zaprzeczyła Jessen.

Cavanaugh też nic nie słyszał, obiecał jednak, że zapyta o to w rejonowych biurach Algonquin.

Odebrał telefon. Uniósł wzrok na Andi Jessen. Kiedy się rozłączył, powiedział do Sachs:

- Nikt nie wchodził do studzienki od roku. Rurociąg jest już nieczynny.

- Rozumiem - odparła zawiedziona Sachs.

- Jeżeli nie jestem tu potrzebny - rzekł Cavanaugh - pójdę wypytać biura rejonowe.

Po jego wyjściu w drzwiach gabinetu pojawił się wysoki Afroamerykanin - drugi z wezwanych przez prezeskę pracowników - i Jessen zaprosiła go gestem, by usiadł. Przedstawiła ich sobie. Sachs uświadomiła sobie, że dyrektor działu bezpieczeństwa Bernard Wahl jest jedynym pracownikiem firmy o innym kolorze skóry niż białą, którego nie widziała w kombinezonie roboczym. Atletycznie zbudowany mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur i mocno wykrochma- loną białą koszulę. Stroju dopełniał czerwony krawat. Jego ogolona czaszka lśniła w blasku lamp. Spoglądając do góry, Sachs zobaczyła, że w oprawach na suficie brakuje co drugiej żarówki. Czyżby oszczędność? A może Jessen, zważywszy na swoje antyekologiczne poglądy, uznała, że redukcja zużycia energii będzie korzystna z punktu widzenia public relations?

Wahl uściśnął dłoń Sachs i ukradkiem zerknął na wybrzuszenie na jej biodrze, gdzie spoczywał Glock. Człowiek mający za sobą służbę w organach ścigania nie zdradzałby najmniejszego zainteresowania pistoletem, który był po prostu narzędziem pracy, jak telefon komórkowy czy długopis. Broń fascynowała tylko gliniarzy amatorów.

Andi Jessen streściła mu sprawę i zapytała o kody dostępu do komputerów.

- Kody? Zna je tylko garstka osób. Z samej góry. Moim zdaniem, to by było zbyt czytelne. Na pewno nie wchodzi w grę atak hakerów? Te dzieciaki są teraz naprawdę sprytne.

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie - powiedziała Sachs.

- Bernie, niech ktoś sprawdzi dostęp do archiwum przy centrum sterowania.

Wahl wyciągnął komórkę, zadzwonił i polecił asystentce spełnić prośbę pani prezes. Rozłączywszy się, dodał:

- Czekam na wiadomość o zamachu terrorystycznym. Ale uważacie, że to ktoś z firmy?

-Albo ktoś z firmy, albo działał przy pomocy kogoś z firmy. Chcieliśmy jednak zapytać o groźby ze strony ekoterrorystów.

- W ciągu czterech lat, odkąd tu pracuję, nie było nic takiego. Tylko demonstracje. - Wskazał głową za okno.

- Słyszał pan kiedyś o grupie „Sprawiedliwość dla” kogoś albo czegoś? Mogłaby mieć coś wspólnego z ochroną środowiska.

- Nie, proszę pani. - Wahl był spokojny, nie zdradzał żadnych oznak emocji.

- Były kłopoty z jakimiś pracownikami, którzy zostali niedawno zwolnieni, którzy składali na firmę jakieś zażalenia?

- Na firmę? - zdziwił się Wahl. - Przecież próbowali zniszczyć miejski autobus. Celem zamachu nie była firma.

- Kurs naszych akcji spadł o osiem procent, Bernie - zauważyła Jessen.

-Ach, oczywiście. O tym nie pomyślałem. Rzeczywiście kilku zwolniliśmy. Odszukam ich nazwiska.

- Potrzebuję jeszcze informacji o pracownikach niezrównoważonych emocjonalnie, którzy mieli problemy psychiczne czy skłonności do agresywnych zachowań - dodała Sachs.

- Dział bezpieczeństwa na ogół nie dysponuje nazwiskami takich osób - odparł Wahl. - Chyba że chodzi o poważniejsze przypadki, gdy mogą stanowić zagrożenie dla siebie albo dla innych. Nikt nie przychodzi mi teraz do głowy, ale sprawdzę w personalnym i dokumentacji medycznej. Niektóre szczegóły na pewno są poufne, ale zdobędę nazwiska. Resztą będziecie się musieli zająć sami.

- Dziękuję. Następną rzecz: naszym zdaniem, sprawca mógł skraść kabel i śruby z magazynu Algonquin przy Sto Osiemnastej.

- Pamiętam tę kradzież - rzekł Wahl, krzywiąc twarz.
 - Badaliśmy to, ale strata wyniosła zaledwie kilkaset dolarów i nie było żadnego tropu.
 - Kto mógł mieć klucze do magazynu?
 - Należą do standardowego wyposażenia. Każdy monter w terenie ma własny zestaw. A w rejonie? Osiemset osób plus personel nadzoru.
 - Czy ostatnio zwolniono albo podejrzewano jakichś pracowników o kradzież?
- Wahl zerknął na Jessen, chcąc się upewnić, czy powinien odpowiadać na to pytanie. Otrzymał dyskretny sygnał, że owszem, powinien.
- Nie. W każdym razie mój dział nie ma takich inform³¹ cji. -
Zadzwoń jej komórka i Wahl spojrz⁰²¹ na wyświetla⁰²¹ -
Przepraszam. Wahl, słucham. - Ze zmiany wyrazu jego^{tw} Sachs domyśliła się, że to zła wiadomość. Dyrektor spojrz⁰²¹ na o

kobiety, po czym zakończył rozmowę. Odchrząknął barytonowo. - Niewykluczone... nie jestem pewien... ale niewykluczone, że mamy przypadek naruszenia przepisów bezpieczeństwa.

- Co? - warknęła Jessen, czerwieniejąc ze złości.

- Jest zapis elektroniczny w Dziewiątce Wschód. - Przeniósł wzrok na Sachs. - To skrzydło, w którym mieszczą się centrum sterowania i archiwum.

- Co się stało? - spytały chórem Jessen i Sachs.

- Między centrum sterowania a archiwum są drzwi bezpieczeństwa. Powinny się samoczynnie zamykać, ale z rejestratora elektronicznego zamka wynika, że kilka dni temu były otwarte przez jakieś dwie godziny. Zacięły się czy zepsuły.

- Przez dwie godziny? Bez nadzoru? - Jessen gotowała się z wściekłości.

- Zgadza się, pani prezes - odrzekł, zaciskając wargi. Potarł łśniącą czaszkę. - Ale to nie znaczy, że dostał się tam ktoś z zewnątrz. W holu nie odnotowano wejścia nikogo niepowołanego.

- Są nagrania z kamer wewnętrznych? - spytała Sachs.

- Nie, tam ich nie mamy.

- Ktoś siedzi w pobliżu tego pomieszczenia?

- Nie, drzwi wychodzą na pusty korytarz. Są nawet nieoznakowane ze względów bezpieczeństwa.

- Ile osób mogło wejść do pomieszczenia?

- Tyle, ile ma wstęp do Dziewiątki przez Jedenastkę Wschód.

- Czyli?

- Dużo - przyznał ze spuszczoneym wzrokiem.

Przygnębiająca wiadomość, choć Sachs nie spodziewała się więcej.

- Mogę dostać listę osób, które tego dnia teoretycznie miały tam dostęp?

bić^{Λn<ΛW} za<ΛzwonΛi' a Jessen także chwyciła słuchawkę, by zro- d₀ awantur? z powodu naruszenia przepisów. Kilka

minut później⁰ gabinetu weszła niepewnym krokiem młoda kobieta w mieniającej nie A^otern k^{Uzce} i z tapirowanymi włosami. Posłała lęklive spojrzenie^{di} Jessen, po czym podała Wahlowi plik kartek.

Odw^{TM6} mam t^C chciałeś. Z personalnego też.

rociła się i z ulgą czmychnęła z jaskini lwicy.

Sachs spojrzała na twarz Wahla, gdy przeglądał listę. Ułożenie jej nie trwało długo, ale wyniki nie były dobre. Poinformował ją, że do pomieszczenia mogło mieć dostęp czterdzieści sześć osób.

- Czterdzieści sześć? Boże drogi. - Jessen opadła na oparcie krzesła, spoglądając za okno.

- W porządku. Musimy ustalić, które z nich... - Sachs wskazała listę - ...mają alibi i które potrafiłyby komputerowo przekierować moc i podłączyć przewód obok przystanku autobusowego.

Jessen wpatrywała się w biurko - na blacie panował nienaganny porządek.

- Nie jestem ekspertem technicznym. Po ojcu odziedziczyłam talent do biznesowej strony energetyki - generacja, przesył, pośrednictwo. - Zastanowiła się przez chwilę. - Ale znam kogoś, kto mógłby nam pomóc.

Znów wzięła do ręki słuchawkę i po krótkiej rozmowie podniosła wzrok.

- Powinien tu być za parę minut. Jego biuro jest za Piecem.

- Gdzie?

- Za halą turbin. - Wskazała przez okno na część budynku, zwieńczoną kominami. - Tam wytwarza się parę do generatorów.

Wahl przeglądał krótszą listę.

- To pracownicy, których w ciągu ostatniego pół roku musieliśmy ukarać dyscyplinarnie albo zwolnić - problemy psychiczne, kilka pozytywnych testów antynarkotykowych, picie w pracy.

- Tylko osiem osób - powiedziała Jessen.

Czyżby w jej głosie pobrzmiwała nuta dumy?

Sachs porównała obie listy. Żaden z ludzi na krótszej liście - pracowników z problemami - nie miał dostępu do kodów komputerowych. Była zawiedziona; miała nadzieję natrafić na jakiś ślad.

Jessen podziękowała Wahlowi.

- Jeżeli będę mógł coś jeszcze zrobić, detektywie, proszę zadzwonić.

Sachs także podziękowała szefowi działu bezpieczeństwa, który wyszedł.

- Chciałabym dostać życiorys każdej osoby z listy - powiedziała do Jessen. - Albo kartę pracownika, CV, cokolwiek.

- Dobrze, załatwię to. - Poprosiła asystentkę o skopiowanie listy i zebranie informacji osobowych o wszystkich.

Do gabinetu Jessen wszedł jeszcze jeden mężczyzna, odrobinę zdyszany. Sachs oceniła jego wiek na czterdzieści pięć lat. Miał nieco ziemistą cerę i niesforne ciemne włosy, przetykane siwizną. Dobrze charakteryzowałoby go słowo „fajny”. Miał w sobie coś chłopięcego. Roziskrzona oczy, uniesione brwi i pewną nadpobudliwość. Był ubrany w wygniecioną koszulę w paski z podwiniętymi rękawami. Na spodniach było widać okruchy jedzenia.

-To detektyw Sachs - przedstawiła ją Jessen. - A to Charlie Sommers, nasz menedżer projektów specjalnych. Sommers podał rękę policjantce.

Prezeska spojrzała na zegarek, po czym wstała i włożyła żakiet, który wybrała z dużej szafy z ubraniami. Sachs ciekawiło, czy zdarzało się jej pracować nocami. Jessen strzepnęła z ramion kurz czy ślady łupieżu.

- Muszę się spotkać z naszą firmą PR, a potem zorganizować konferencję prasową. Charles, byłbyś uprzejmy zaprosić detektyw Sachs do siebie? Ma do ciebie kilka pytań. Pomóż jej we wszystkim.

- Oczywiście. Chętnie.

Jessen patrzyła przez okno na dziedzictwo swojej dynastii - masywny gmach i nadbudowę kominów, kabli i rusztowań. Na tle widocznej w oddali połyskującej East River wyglądała jak kapitan wielkiego okrętu. Kobieta obsesyjnie pocierała kciukiem o palec wskazujący - Sachs natychmiast rozpoznała ten gest, czytelny sygnał stresu, który sama często wykonywała.

- Detektywie, ile kabla wykorzystał do tego zamachu?

Sachs powiedziała jej, jaką długość miał przewód.

Prezeska pokiwała głową, nie odwracając się od okna.

- Czyli zostało mu na jeszcze sześć czy siedem. Jeżeli nie uda nam się go powstrzymać.

Wydawało się, że Jessen nie oczekuje odpowiedzi. Wydawało się nawet, jakby w ogóle nie mówiła do osób w gabinecie.

Rozdział 18

P

o pracy w parku Tompkins Square w East Village pojawiał się inny typ społeczny. Pary młodych ludzi, ubranych jak z żurnala Brooks Brothers albo przystrojonych kolczykami i tatuażami, spacerowały z małymi dziećmi. Muzycy, kochankowie, gromadki dwudziestokil- kulatków - wszyscy opuszczali pogardzane miejsca pracy i zacierali do domów, ciesząc się na atrakcje, jakie niósł ze sobą wieczór. W powietrzu unosił się zapach hot dogów, trawki, curry i kadzidełek.

Fred Dellray siedział na ławce przy roslym, rozłożystym wiązcie. Gdy przyszedł, zerknął na pamiątkową tabliczkę i dowiedział się, że w tym miejscu w 1966 roku założyciel ruchu Hare Krysna zaintonował mantrę grupy po raz pierwszy poza granicami Indii.

Nigdy o tym nie słyszał. Dellray nad teologię zdecydowanie przedkładał filozofię świecką, lecz czytał o wszystkich ważnych religiach i wiedział, że sekta Hare Krysna ma cztery podstawowe zasady postępowania w zgodzie z dharma, czyli właściwą drogą: litość, panowanie nad sobą, uczciwość oraz czystość ciała i ducha.

Gdy rozmyślał o tych przymiotach i ich miejscu w dzisiejszym Nowym Jorku w porównaniu z subkontynentem indyjskim, usłyszał za sobą szuranie butów po alejce.

Jego dłoń nie zdążyła pokonać nawet połowy odległości dzielącej ją od broni, kiedy czyjś głos powiedział: - Fred.

Dellray głęboko się zaniepokoił, że dał się zaskoczyć. William Brent nie stanowił wprawdzie zagrożenia, ale z pewnością mógłby. Czyżby kolejny dowód na to, że murszeje? Lekkim skinieniem głowy dał mu znak, by usiadł obok. Ubrany w czarny garnitur, który lata świetności miał już za sobą, Brent nie

wyróżniał się niczym szczególnym. Miał nieco mięsisty podbródek, oczy o szczerym spojrzeniu i zaczesane do tyłu włosy, przylizane lakierem. Nosił okulary w

metalowych oprawkach, które wyszły z mody jeszcze w czasach, kiedy prowadził go Dellray. Były jednak bardzo praktyczne. To było typowe dla Williama Brenta.

Informator założył nogę na nogę i zerknął na drzewo. Miał skarpetki w romby i zdarte mokasyny.

- Wszystko u ciebie w porządku, Fred?
- Aha. Mam dużo roboty.
- Zawsze miałeś.

Dellray nawet nie pytał, czym Brent się zajmował. Ani jak się teraz nazywa. Ani jaki ma zawód. Szkoda było czasu i energii.

- Jeep. Dziwny koleś, nie?
- Dziwny - zgodził się Dellray.
- Jak myślisz, długo jeszcze pożyje?

Dellray zawahał się przez chwilę, po czym szczerze odpowiedział:

- Trzy lata.
- Tu. Ale jeżeli wyjdzie mu z Atlantą, pewnie jeszcze trochę pociągnie. O ile nie zrobi nic głupiego.

Precyzja informacji, jakimi dysponował, była dobrym znakiem. Nawet Dellray nie wiedział dokładnie, dokąd Jeep się wybiera.

- Wiesz, Fred, mam pracę. Legalną. Dlaczego tu przyszedłem?
- Bo słuchasz.
- Słucham?
- Właśnie dlatego lubiłem cię prowadzić. Zawsze słuchałeś. I słyszałeś różne rzeczy. Mam przeczucie, że ciągle słyszysz.

- Chodzi o ten wybuch na przystanku autobusowym?

-Mhm.

- Jakaś awaria sieci. - Brent się uśmiechnął. - Tak mówili w wiadomościach. Zawsze się dziwiłem, skąd u nas ta obsesja na punkcie mediów. Dlaczego mam w cokolwiek wierzyć? Mówią nam, że aktorskie beztalencia i dwudziestodzieciolatek gwiazdy pop z za dużymi

cyckami, które mają problemy z kokainą, źle się zachowują. Dlaczego to ma zasługiwać na więcej niż milisekundę naszej uwagi?... Wybuch na przystanku, Fred. Tam się stało coś innego.

- Tam się stało coś innego. - W rozmowie z Jeepem Dellray grał inną rolę - melodramatyczną, rodem z filmu telewizyjnego. Ale tu, z Williamem Brentem, był aktorem stosującym metodę Stanislawskiego. Subtelnym i prawdziwym. Wszystkie kwestie zostały napisane już dawno, ale gra pochodziła z serca. - Naprawdę muszę wiedzieć co.

-Lubiłem z tobą pracować, Fred. Byłeś... trudny, ale zawsze uczciwy.

A więc jestem w jednej czwartej na drodze do dharmicznego oświecenia.

- Spróbujemy jeszcze raz? - spytał agent.

- Jestem na emeryturze. Zawód wtyczki może być szkodliwy dla zdrowia.

- Ostatnio sporo emerytów wraca do pracy. Gospodarka jest spieprzona. Dostają o wiele mniejsze pieniądze, niż się spodziewali. Spróbujemy jeszcze raz? - powtórzył Dellray.

Brent przez bardzo długie piętnaście sekund wpatrywał się w wiaz.

- Spróbujemy. Daj mi parę szczegółów i sprawdzę, czy sprawa jest warta czasu i ryzyka. Mojego i twojego.

Mojego i twojego? - zdziwił się Dellray.

-Nie mamy prawie żadnych szczegółów. Ale może chodzić o grupę terrorystyczną, która nazywa się „Sprawiedliwość dla” nie wiadomo kogo. Przywódcą może być ktoś o imieniu Rahman.

- Oni stoją za wybuchem na przystanku?

- Całkiem możliwe. I ktoś, kto prawdopodobnie ma związek z firmą. Jeszcze niezidentyfikowany. Mężczyzna, kobieta, nie wiemy.

- Co się tam właściwie stało? O czym nie mówią? Bomba?

- Nie. Gość namieszał w sieci energetycznej.
Brwi Brenta uniosły się ponad archaiczne oprawki okularów.

- W sieci. Prąd elektryczny... pomyśl tylko. To gorsze od przydrożnej miny-pułapki. Dzięki sieci ładunek od razu jest na miejscu, w każdym domu, w każdym biurze. Wystarczy przestawić parę przełączników. Ja nie żyję, ty nie żyjesz. Zresztą dość paskudny koniec.

- Właśnie dlatego tu jestem.

- Sprawiedliwość dla kogoś... Wiesz przynajmniej, o co im chodzi?

- Nie. Islamiści, Aryjczycy, polityczni, ekolodzy, krajowi, zagraniczni. Nie wiemy.

- Skąd się wzięła ta nazwa? Z tłumaczenia?

- Nie. Została przechwycona w takiej formie. „Sprawiedliwość” i „dla”. Po angielsku. Były jeszcze inne słowa, ale nie zrozumieli.

- Nie zrozumieli. - Brent zmarszczył czoło w uśmiechu, a Dellrayowi przemknęło przez myśl, że doskonale wie, co agent tu robi, że został przestawiony na boczny tor przez nowy wspaniały świat elektronicznego wywiadu. - Ktoś się przyznał? - zapytał swoim cichym głosem informator.

- Jeszcze nie.

Brent pograżył się w głębokim namyśle.

- Zorganizowanie takiej akcji to mnóstwo planowania. Koronkowa robota.

- Na pewno.

Drgnienie mięśni twarzy Brenta powiedziało Dellrayowi, że kawałki układanki zaczynają wskakiwać na miejsce. Na ten widok serce zabiło mu mocniej. Ale oczywiście niczego nie dał po sobie poznać.

- Tak, coś słyszałem - potwierdził Brent. - O kimś, kto chce narobić szkody.

- Mów. - Starał się opanować niecierpliwość.

- Za mało wiem. Zero konkretnego. Poza tym - dodał - nie mogę pozwolić, żebyś kontaktował się bezpośrednio z ludźmi, którzy mogą mi coś powiedzieć.

- Związki z terroryzmem?
- Nie wiem.
- Czyli nie możesz stwierdzić, że nie ma takich związków.
- To prawda.

Dellray poczuł trzepot niepokoju w piersi. Od lat prowadził tajnych informatorów i wiedział, że jest o krok od czegoś istotnego.

- Jeżeli ta grupa, czy ktokolwiek to jest, będzie działać dalej... może na tym ucierpieć wielu ludzi. Bardzo poważnie ucierpieć.

William Brent wydał dźwięk jak przy zdmuchiowaniu świecy. Reakcja oznaczała, że nic go to nie obchodzi, że odwoływanie się do jego patriotyzmu czy sumienia jest strzępieniem języka.

Wall Street powinno się uczyć...

Dellray skinął głową. Czyli rozpoczynają się negocjacje.

- Podam ci nazwiska i lokalizacje - ciągnął Brent. - Będziesz miał wszystko, co znajdę. Ale robota należy do mnie.

W przeciwieństwie do Jeepa Brent przejawiał kilka symptomów dharmicznego oświecenia w czasach, gdy Dellray go prowadził. Panowanie nad sobą. Czystość ducha - w każdym razie przynajmniej ciała.

No i niezwykle ważną z tych cech - uczciwość.

Dellray sądził, że może mu ufać. Przygwoździł go ostrym spojrzeniem.

- Posłuchaj. Zgodzę się, żeby robota należała do ciebie. Zgodzę się, żebyś mnie wyłączył. Ale nie zgodzę się czekać.

- Właśnie między innymi za to zapłacisz - odparł Brent. - Za szybkie odpowiedzi.

- Skoro mowa o cenie... - Dellray bez mrugnięcia okiem płacił swoim wtyczkom. Wprawdzie wolał oferować w zamian przysługi - zmniejszenie wyroku, załatwienie układu z radą zwolnień warunkowych, wycofanie zarzutów. Ale pieniądze też się sprawdzały.

Za dobrą cenę jest dobry towar.

- Świat się zmienia, Fred - oznajmił William Brent.

Och, znowu to samo? - pomyślał Dellray.

- Mam nowe widoki na przyszłość. Ale z czym jest problem? Z czym zawsze jest problem?

Oczywiście z pieniędzmi.

- Ile? - spytał Dellray.

- Sto tysięcy. Z góry. I masz gwarancję. Ja na pewno coś znajdę.

Dellray prychnął krótkim śmiechem. Nigdy dotąd nie zapłacił

wtyczce więcej niż pięć kawałków. Za tę zawrotną kwotę kupili akty oskarżenia w sprawie poważnej korupcji w porcie.

Sto tysięcy dolarów?

- Nie da rady, William - powiedział, nie zwracając uwagi na imię, którego Brent prawdopodobnie nie używał od lat. - To więcej niż pula dla całej naszej siatki wtyczek. Nikt nie ma takiej puli dla swojej siatki wtyczek.

- Hm - brzmiała odpowiedź Brenta. Fred Dellray z pewnością udzieliłby takiej samej, gdyby negocjował po drugiej stronie.

Agent wyprostował się na ławce, splatając kościste palce.

- Daj mi chwilę.

Tak jak przedtem Jeep w cuchnącym barze, Dellray wstał i oddalił się, mijając deskorolkarza, dwie rozchichotane Azjatki i człowieka rozdającego ulotki, który wyglądał na zaskakująco roztropnego i radosnego, zważywszy na to, że wieszczyl koniec świata w 2012 roku. Stając przy drzewie dharmy, wyciągnął komórkę i zadzwonił.

- Tucker McDaniel - brzmiało lakoniczne powitanie.
- Tu Fred.
- Masz coś? - W głosie szefa dało się słyszeć zdziwienie.
- Być może. Znalazłem informatora z dawnych czasów. Na razie nic konkretnego. Ale w przeszłości był solidnym źródłem. Rzecz w tym, że chce pieniędzy.

-Ile?

-A ile mamy?

McDaniel zamilkł na chwilę.

- Niewiele. Co on ma takiego cennego?
- Na razie nic.
- Nazwiska, adresy, zdarzenia, liczby? Szcątkowe informacje?... Cokolwiek?

Terkotał jak komputer recytujący listę danych.

- Nie, Tucker. Na razie nic. Potraktujmy to jak inwestycję.

Wreszcie wicedyrektor oznajmił:

- Mógłbym wyłożyć sześć, może osiem tysięcy.
- To wszystko?
- To ile on chce, do cholery?
- Negocjujemy.
- Prawdę mówiąc, musieliśmy wprowadzić małe cięcia, Fred. Rozumiesz, sprawa nas zaskoczyła.

Niechęć McDaniela do wydatków stała się nagle jasna. Przesunął wszystkie pieniądze z rachunków FBI na finansowanie SIGINT i zespołów tech-kom. Oczywiście pierwszy jego łupem padł fundusz na tajnych informatorów.

- Zaczynj od sześciu. Obejrzyj towar. Jeżeli to delikates, może udałoby się wysupłać dziewięć czy dziesięć. To i tak prawie pod kreską.

- Tucker, wydaje mi się, że naprawdę coś wie.

-No to niech pokaże jakiś dowód... Zaczekaj... Słuchaj, Fred, mam tech-kom na drugiej linii. Będę kończył.

Trzask.

Dellray zatrzasnął klapkę telefonu i stał przez chwilę, wpatrując się w więz. Wokół siebie słyszał gwar głosów.

- No więc była napalona, ale jedna rzecz mi w tym nie pasowała... nie, to w kalendarzu Majów, a może u Nostradamusa... kompletnie popieprzone... ej, gdzie się podziewałeś, koleś?...

Naprawdę jednak miał w uszach głos swojego partnera z FBI sprzed paru lat, który mówił:

- Nie ma sprawy, Fred, wezmę to za ciebie. -1 pojechał tam, gdzie powinien służbowo wyjechać Dellray. Potem usłyszał swojego szefa, dyrektora nowojorskiego biura, który dwa dni później zduszonym głosem poinformował Dellraya, że jego partner jest wśród ofiar zamachu bombowego na budynek federalny w Oklahoma City. Agent znalazł się w sali konferencyjnej, gdzie powinien być Dellray.

Wtedy Fred Dellray, siedząc w klimatyzowanej sali konferencyjnej wiele mil od dymiącego krateru, postanowił, że odtąd głównym celem jego służby w biurze śledczym będzie ściganie terrorystów i każdego, kto masowo zabija mężczyzn, kobiety i dzieci w imię jakiegokolwiek ideologii - politycznej, religijnej czy społecznej.

Owszem, wiceszef biura spychał go na margines. Nie traktowano go poważnie. Ale to, co zamierzał zrobić Fred Dellray, miało niewiele wspólnego z próbą udowodnienia, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, ani z walką o dawne metody pracy.

Chodziło o powstrzymanie zła, które uważał za najgorsze ze wszystkich: zabijanie niewinnych ludzi.

Wrócił do Williama Brenta i usiadł na ławce.

- Zgoda - powiedział. - Sto tysięcy.

Wymienili numery komórek - „zimnych” telefonów na kartę, których mieli się pozbyć po jednym czy dwóch dniach. Dellray spojrzął na zegarek.

- Dzisiaj wieczorem-powiedział. - Washington Square. Niedaleko wydziału prawa, przy szachownicach.

- O dziewiątej? - spytał Brent.

- Niech będzie wpół do dziesiątej. - Dellray wstał z ławki i zgodnie z kodeksem świata tajnych informatorów, wyszedł z parku sam, zostawiając Williama Brenta, który mógł udawać, że czyta gazetę, albo kontemplować więz Kryszny.

Albo obmyślać sposób wydania pieniędzy.

Fred Dellray szybko jednak zapomniał o swojej wtyczce i zaczął się zastanawiać, jak najlepiej zaplanować akcję, w jaką rolę kameleona się wcielić, jak operować spojrzeniem, jak przekonywać, nakłaniać i prosić o przysługi. Był prawie pewien, że da sobie radę; od lat szlifował te umiejętności.

Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że wykorzysta swój talent do obrabowania swojego pracodawcy - amerykańskiego rządu i amerykańskiego narodu - ze stu tysięcy dolarów.

Rozdział 19

I

Idąc za Charliem Sommersem do jego biura po drugiej stronie Pieca w Algonquin Consolidated, Amelia Sachs zdawała sobie sprawę, że wzdłuż krętej trasy robiło się coraz cieplej. I z każdym krokiem wzmagало się dudnienie wypełniające korytarze.

Zupełnie się zgubiła. Pokonywali schody prowadzące w górę i w dół. Idąc za Sommersem, wysłała i dostała kilka SMS-ów, gdy jednak schodzili wciąż niżej i niżej, musiała uważnie patrzeć pod nogi; korytarze stawały się coraz bardziej nieprzyjazne. W końcu straciła zasięg i schowała telefon BlackBerry.

Temperatura nadal rosła.

Sommers przystanął przed masywnymi drzwiami, przy których wisiał rząd kasków.

- Boi się pani o włosy? - spytał podniesionym głosem, ponieważ dudnienie zza drzwi było już bardzo głośne.

- Nie chcę ich stracić! - odrzyknęła. - Ale poza tym nie.

- Trochę się zmierzwią. To najkrótsza droga do mojego biura.

- Im krótsza, tym lepsza. Śpieszę się. - Chwyciła kask i wcisnęła go na głowę.

- Gotowa?

- Chyba tak. Przez co właściwie mamy przejść?

Sommers zastanowił się przez chwilę i odparł:

- Przez piekło. - Po czym dał znak, by ruszyli.

W pamięci mignęły jej wypalone kropki na skórze Luisa Martina. Oddychając szybko, uświadomiła sobie, że jej dłoń sięgająca do klamki porusza się coraz wolniej. Chwyliła i gwałtownym szarpnięciem otworzyła stalowe wrota.

Tak, piekło. Ogień, siarka, wszystko się zgadzało.

Temperatura w pomieszczeniu zapierała dech w piersiach, było ponad czterdzieści stopni. Sachs czuła nie tylko bolesne mrowienie skóry, ale z zaskoczeniem zauważyła, że mniej dokuczają jej stawy

- ciepło łagodziło artretyzm.

Było późno - dochodziła ósma wieczorem - mimo to w Piecu wciąż pracowała cała załoga. Głód energii elektrycznej mógł rosnąć i opadać w różnych porach dnia, ale oczywiście nigdy nie ustawał zupełnie.

Ciemną przestrzeń, wysokości chyba sześćdziesięciu metrów, wypełniały rusztowania i setki urządzeń. Centralne miejsce zajmował szereg masywnych, jasnozielonych maszyn. Największa z nich, długa i zaokrąglona u góry, przypominała barak, z którego wyrastała sieć rur, kanałów i przewodów.

-To jest MOM1! - zawołał Sommers, wskazując ją. - M-O-M, Midwest Operating Machinery, Gary, Indiana. Zbudowano ją w latach sześćdziesiątych. - Wykrzykiwał te informacje z pewną czcią. Sommers dodał, że Mama jest największym z pięciu generatorów elektrycznych w kompleksie w Queens. Kiedy zainstalowano Mamę, była największym generatorem na świecie. Poza nią i resztą generatorów - które zamiast nazw miały tylko numery - były jeszcze cztery urządzenia, dostarczające Nowemu Jorkowi parę przegrzaną.

1 Mom (potocznie) - mama.

Olbrzymia maszyneria zrobiła na Amelii Sachs naprawdę wielkie wrażenie. Zwolniła kroku, przyglądając się ogromnym elementom i usiłując zidentyfikować poszczególne części. Fascynujące, co ludzki umysł potrafi zaprojektować, co ludzkie ręce potrafią zbudować.

- To kotły. - Sommers wskazał coś, co dla Sachs wyglądało na oddzielny budynek wewnątrz budynku. Musiały mieć wysokość dziesięciu czy dwunastu pięter. - Wytwarzają parę, trzy tysiące funtów na cal kwadratowy. - Zrobił pauzę dla nabrania oddechu. - Para idzie do dwu turbin, wysokiego i niskiego ciśnienia. - Pokazał część Mamy.

- Potem do generatora. Na wyjściu są stałe parametry - trzydzieści cztery tysiące amperów, osiemnaście tysięcy woltów, ale na zewnątrz przed przesylem są podwyższane do ponad trzystu tysięcy.

Mimo gorąca wciskającego się w każdy zakamarek ciała Sachs zadrżała, słysząc te liczby i przypominając sobie Luisa Martina o skórze posiekanej rozżarzonymi kroplami metalu.

Sommers z niejaką dumą poinformował ją, że moc wyjściowa całego kompleksu w Queens - Mamy plus kilku innych turbin - sięga dwóch i pół tysiąca megawatów. Około dwudziestu pięciu procent zapotrzebowania całego miasta.

Wskazał rząd innych zbiorników.

- Tam skrapla się parę, a wodę pompuje z powrotem do kotłów. Wszystko zaczyna się od początku. - Z dumą w głosie krzyknął: - Ma pięćset osiemdziesiąt kilometrów instalacji rurowej i trzysta pięć kilometrów kabli.

Nagle, mimo fascynacji ogromną skalą maszynerii, Sachs poczuła w brzuchu zimne ukłucie - odezwała się w niej klaustrofobia. Nieustanny hałas i gorąco zrobiły swoje.

Sommers najwyraźniej zrozumiał.

- Chodźmy. - Dał znak, by szła za nim, a po pięciu minutach znaleźli się po drugiej stronie innych drzwi i odwiesili kaski. Sachs głęboko oddychała. Korytarz, choć

wciąż ciepły, stanowił cudowną ochłodę po minutach spędzonych w piekle.

- Może dać w kość, co?

- Może.

- Dobrze się pani czuje?

Rozmazała na czole strużkę potu i skinęła głową. Podał jej papierowy ręcznik z rolki, która zapewne była przeznaczona do osuszania twarzy i szyi. Sachs starła pot.

-Tędy.

Poprowadził ją kolejnymi korytarzami do innego budynku. Pokonawszy następne schody, wreszcie dotarli do jego biura. Sachs stłumiła śmiech na widok panującego tu bałaganu. Pokój był zagracony komputerami i przyrządami, których nie umiała rozpoznać, wszędzie poniewierały się setki elementów urządzeń, narzędzia, przewody, części elektroniczne, klawiatury, metalowe, plastikowe i drewniane przedmioty przeróżnych kształtów i kolorów.

I jedzenie. Tony śmieciowego jedzenia. Czipsy, precle i gazowane napoje, ciastka Ding Dong i Twinkie. I pączki Hostess z cukrem pudrem, które wyjaśniały zagadkę łupieżu na jego ubraniu.

- Przepraszam. Tak pracujemy w projektach specjalnych - powiedział, zgarniając z krzesła plik wydruków, żeby zrobić jej miejsce. - Przynajmniej ja tak pracuję.

- Czym właściwie się pan zajmuje?

Trochę speszony wyjaśnił, że jest wynalazcą.

- Wiem, brzmi to bardzo dziewiętnastowiecznie albo telezaku- powo. Ale naprawdę mam taką pracę. Jestem największym szczęściarzem na świecie. Zarabiam na życie dokładnie tak, jak chciałem w dzieciństwie, kiedy budowałem dynama, silniki, żarówki...

- Robił pan własne żarówki?

- Tylko dwa razy wywołałem pożar w swoim pokoju. Właściwie to trzy, ale tylko dwa razy trzeba było wzywać straż pożarną.

Spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcie Edisona.

- To mój bohater - wyjaśnił Sommers. - Fascynujący człowiek.

-Andi Jessen też ma na ścianie coś związanego z Edisonem.

Zdjęcie sieci.

-To oryginalny podpis Thomasa Alvy. Ale powiedziałbym, że do Jessen bardziej pasuje Samuel Insull.

-Kto?

- Edison był naukowcem, a Insull biznesmenem. Kierował firmą Consolidated Edison i stworzył pierwszą dużą, monopolistyczną elektrownię. Zelektryfikował sieć tramwajową w Chicago, niemal za darmo rozdawał pierwsze urządzenia elektryczne - na przykład żelazka, żeby uzależnić ludzi od prądu. Był geniuszem. Ale skończył w niesławie. Brzmi znajomo? Zadłużył się po uszy, a kiedy nadszedł Wielki Kryzys, przedsiębiorstwo padło i setki tysięcy akcjonariuszy straciły wszystko. Trochę jak w przypadku Enronu. Tu ciekawostka: firma audytorska Arthur Andersen zaangażowała się w sprawach i Enronu, i Insulla.

A ja? Kwestie biznesowe zostawiam innym. Sam tylko tworzę. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest nic niewarte. Ale... zdobyłem dwadzieścia osiem patentów na własne nazwisko i opracowałem prawie dziewięćdziesiąt technologii i produktów w Algonquin. Niektórzy dla

przyjemności siedzą przed telewizorem albo grają w gry wideo. A ja... wymyślam różne rzeczy. - Wskazał duży karton pełen niewielkich kwadratów i prostokątów papieru.

- To jest Archiwum Serwetkowe.

- Co takiego?

- Kiedy jestem w Starbucksie czy jakimś innym barze i wpada mi do głowy pomysł, zapisuję go na serwetce, a potem przychodzę tu i robię porządny projekt. Ale zachowuję oryginał i wrzucam do tego pudła.

- Czyli gdyby kiedyś powstało pańskie muzeum, znajdzie się w nim Sala Serwetkowa.

- Też mi to przyszło do głowy. - Sommers zarumienił się od czoła po obfity podbródek.

- Co pan właściwie wynajduje?

- Moja specjalizacja stanowi przeciwieństwo tego, co robił Edison. On chciał, żeby ludzie używali prądu. Ja chcę, żeby nie używali.

- Czy szefowa zna pański cel?

Zaśmiał się.

- Powinienem raczej powiedzieć, że chcę, żeby ludzie zużywali prąd bardziej efektywnie. Jestem w Algonquin specem od negawatów. Przez „n”.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- Wiele osób nie słyszało, niestety. Pojęcie stworzył znakomity naukowiec i ekolog Amory Lovins. Jego teoria polega na tym, żeby motywować ludzi do zmniejszania zapotrzebowania na energię i używania jej w bardziej efektywny sposób, zamiast budować nowe elektrownie i zwiększać podaż. Typowa elektrownia marnuje niemal połowę wyprodukowanego ciepła - po prostu puszcza je z dymem. Połowę! Proszę tylko pomyśleć. Ale mamy już na rekuperatory i chłodnie kominowe. W Algonquin tracimy tylko dwadzieścia siedem procent.

Chodził mi po głowie pomysł na ruchome reaktory jądrowe

- na barkach, żeby można je transportować między regionami. - Pochylił się, znów spoglądając na nią roziskrzonym wzrokiem. -1 myślałem

0 wielkim nowym wyzwaniu: magazynowaniu energii elektrycznej. To zupełnie inaczej niż z jedzeniem. Nie można jej wyprodukować

1 na miesiąc położyć na półce. Trzeba jej użyć natychmiast albo stracić. Projektuję nowe sposoby jej magazynowania. Akumulatory energii kinetycznej, systemy ze sprężonym powietrzem, nowe technologie akumulatorów chemicznych...

A ostatnio poświęcam połowę swojego czasu najeżdżenie po kraju i łączenie małych producentów energii alternatywnej i odnawialnej, żeby mogły włączyć się do większych sieci, takich jak Northeastern Interconnection - tak nazywa się nasza - i zamiast sprzedawać pr^o małym odbiorcom, mogły sprzedawać go nam.

-Andi Jessen nie jest chyba entuzjastką odnawialnych i alternatywnych źródeł energii.

- Nie, ale nie jest też fanatyczną przeciwniczką. Do nich należy przyszłość. Wydaje mi się, że istnieje między nami różnica zdań co do tego, kiedy ta przyszłość nadejdzie. Ja sądzę, że wcześniej. - Filuterny uśmiech. - Zauważyła pani, że jej gabinet zajmuje tyle miejsca, ile mój cały dział, i jest na dziewiątym piętrze, z widokiem na Manhattan... Ja siedzę w piwnicy. - Spoważniał. - No dobrze, jak mogę pani pomóc?

- Mam listę osób z Algonquin - powiedziała Sachs - które mogły mieć udział w dzisiejszym zamachu.

- Ktoś od nas? - Był wstrząśnięty.

- Na to wygląda. W każdym razie współpracował ze sprawcą. To prawdopodobnie mężczyzna, choć mógł współpracować z kobietą. Miał lub miała dostęp do kodów, które pozwoliły dostać się do systemu sterującego siecią. Wyłączał poszczególne stacje, żeby moc została przekierowana do podstacji przy Pięćdziesiątej Siódmej. I ustawił wyłączniki na wyższą wartość niż zwykle.

- A więc to tak. - Na jego twarzy malował się niepokój. - Komputery. Zastanawiałem się, jak do tego doszło. Nie znałem szczegółów.

-Niektórzy na pewno będą mieli alibi - tym się już sami zajmujemy. Ale chciałabym, żeby mi pan podpowiedział, kto potrafiłby przekierować moc i skonstruować pułapkę z łukiem elektrycznym.

Sommers wydawał się rozbawiony.

- Pochlebia mi ta prośba. Nie sądziłem, że Andi wie, co się dzieje tu na dole. - Cherubinkowa mina zmieniła się w krzywy uśmiech. - Też jestem podejrzany?

Sachs zauważyła jego nazwisko, kiedy tylko Jessen o nim wspomniała. Spojrzała mu w oczy.

- Jest pan na liście.

- Hm. Na pewno chce mi pani zaufać?

- Dzisiaj od dziesiątej trzydzieści prawie do południa, kiedy doszło do zamachu, uczestniczył pan w rozmowie konferencyjnej, a w przemiale czasowym, gdy sprawca prawdopodobnie zdobył kody dostępu - P^u> nie było pana w mieście. Z rejestrów wejść wynika, że w ogóle ^{nie} logował się pan do archiwum.

Sommers uniósł brew.

Sachs postukała palcami w swoją komórkę.

- Właśnie po to wysyłałam po drodze SMS-y. Poleciałam kogoś w centrali pana sprawdzić. Jest pan czysty.

Powiedziała to tonem sugerującym, że jest jej przykro, iż mu nie zaufała. Ale Sommers odparł z błyszczącymi oczyma:

- Thomas Edison na pewno by panią pochwalił.
- Co ma pan na myśli?
- Powiedział kiedyś, że geniusz to po prostu utalentowany człowiek, który dobrze się przygotowuje.

Rozdział 20

A

melia Sachs nie chciała pokazywać Sommersowi listy; mógł znać niektórych pracowników i mieć ochotę wykluczyć ich z kręgu podejrzanych albo - z drugiej strony - mógłby zwrócić jej uwagę na kogoś tylko dlatego, że ta osoba z innych powodów wydawała mu się podejrzana.

Nie wyjaśniła powodów takiej decyzji, mówiąc po prostu, że chce stworzyć profil człowieka, który potrafiłby zorganizować zamach i wykorzystać do tego komputer firmy.

Sommers otworzył paczkę czipsów Doritos i poczęstował Sachs. Kiedy podziękowała, schrupał całą garść. Nie wyglądał na wynalazcę. Przypominał raczej copywritera w średnim wieku, nieuczesanego, z koszulą w biało-niebieskie prążki, wystającą ze spodni, pod którą rysował się brzuszek. Nosił całkiem eleganckie okulary, choć Sachs podejrzewała, że na oprawkach jest napis „Made in”, a potem nazwa któregoś z azjatyckich krajów nad Pacyfikiem. Zmarszczki w kącikach oczu i wokół ust można było dostrzec tylko z bliska. Popił czipsy gazowanym napojem i powiedział: - Zaczniemy od przekierowania prądu do podstacji na Pięćdziesiątej Siódmej. To zawęży listę podejrzanych. Nie każdy, kto tu pracuje, to potrafi. Ściślej mówiąc, w ogóle niewiele osób

to potrafi. Taki ktoś musiałby znać system SCADA. To nasz program zbierania danych i nadzorowania pracy sieci. Działa na uniksowych komputerach. Prawdopodobnie musiałby też znać EMP - programy zarządzania energią. U nas jest Enertrol. Też działa w środowisku Uniksa. Unix to dość skomplikowany system operacyjny. Używany na przykład w dużych ruterach internetowych. Nie przypomina Windowsa czy Apple'a. Nie można po prostu sprawdzić w sieci, jak to zrobić. Ten ktoś musiałby się uczyć systemu SCADA i EMP, skończyć kurs albo przynajmniej odbyć półroczną czy roczną praktykę w centrum sterowania.

Sachs zanotowała te informacje, po czym spytała:

- A łuk elektryczny? Kto mógłby go wywołać?
- Proszę dokładnie opowiedzieć, jak to zrobił.

Sachs powiedziała mu o kablu i szynoprzewodzie.

- Był wycelowany z okna? - zapytał. - Jak lufa armaty?

Przytaknęła.

Sommers zamilkł, patrząc przed siebie.

- Mogło zginąć kilkadziesiąt osób. Z takimi oparzeniami... straszne.

- Kto mógłby to zrobić? - powtórzyła Sachs.

Sommers znów spojrzał w bok, co, jak zauważyła, zdarzało mu się bardzo często. Po chwili rzekł:

- Wiem, że pyta pani o pracowników Algonquin.

Musi pani jednak wiedzieć, że łuki to jedna z pierwszych rzeczy, o jakich uczą się wszyscy elektrycy. Bez względu na to, czy pracują jako wykwalifikowani robotnicy, w budownictwie, w zakładach produkcyjnych, w wojsku czy marynarce... w każdej branży, jeżeli tylko znajdują się w pobliżu linii, którymi płynie na tyle dużo prądu, że istnieje ryzyko łuku, na pewno uczą się zasad bezpieczeństwa.

- Czyli każdy, kto wie, jak uniknąć łuku albo mu zapobiec, wie też, jak go można wywołać.

- Właśnie.

Znów szybko zrobiła notatki. Uniosła wzrok znad notesu.

- Na razie porozmawiajmy o pracownikach.
 - Dobrze, kto mógłby skonstruować coś takiego? W grę wchodzi praca przy liniach pod napięciem, więc musiałby to być człowiek, który jest lub był głównym elektrykiem w prywatnej firmie albo monterem czy specmonterem w zakładzie energetycznym.
 - Kim? Specmonterem?
 - To nadzorcy, którzy kierują naprawą, kiedy się łączy linia czy dojdzie do zwarcia, albo pojawi się inny problem. Proszę pamiętać, że wiele osób dostało kierownicze stanowiska w drodze awansu. Jeżeli siedzą za biurkiem i zajmują się sprzedażą, nie oznacza to, że nie potrafią zamknąć oczami wymienić trójfazowej instalacji.
 - 1 wywołać łuku elektrycznego.
 - Otóż to. Dlatego powinna pani szukać kogoś po szkoleniu komputerowym, ze znajomością środowiska uniksowego i programów zarządzania energią. Kogoś pracującego jako monter czy specmonter albo elektryka z innej firmy. Może być też wojskowym. Armia, marynarka wojenna i lotnictwo kształcą wielu elektryków.
 - Jestem wdzięczna za te informacje.
- Przerwało im pukanie we framugę drzwi. Stała w nich młoda kobieta z dużą i grubą kartonową teczką.
- Pani Jessen mówiła, że chciała to pani dostać. Z personalnego.
- Sachs wzięła życiorysy i akta pracowników, po czym podziękowała kobiecie.
- Sommers zjadł na deser babeczkę Hostess. Potem drugą. Znow popił.
- Chcę coś powiedzieć.
- Sachs pytająco uniosła brew.
- Ma pani ochotę posłuchać wykładu?
 - Wykładu?
 - Na temat bezpieczeństwa.
 - Mam mało czasu.
 - Będę się streszczał. Ale to ważne. Myślę, że sprawca ma nad wami przewagę. Weźmy inną sytuację,

kiedy ścigacie zwykłego przestępcę. Złodzieja, który obrabował bank, mordercę... Wiecie, że może mieć pistolet albo nóż. Jesteście do tego przyzwyczajeni. Wiecie, jak się przed nim zabezpieczyć. Macie swoje procedury postępowania z takim osobnikiem. Ale prąd jako broń czy pułapka... to zupełnie inna historia. Prąd ma to do siebie, że jest niewidzialny. I jest w każdym miejscu, dosłownie wszędzie.

Sachs wróciła pamięcią do widoku drobin gorącego metalu. Potwornych okrągłych otworów w śniadej skórze Luisa Martina.

Do zapachu spalenizny unoszącego się wokół stacji. Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Sommers wskazał tabliczkę na ścianie.

Pamiętaj o normie NFPA 70 Narodowego Związku Ochrony Przeciwpożarowej Przeczytaj, naucz się.

NFPA 70 może ci ocalić życie!

Sachs czuła, że powinna jak najszybciej zająć się sprawą, chciała też jednak posłuchać, co Sommers ma do powiedzenia.

- Mam niewiele czasu, ale zgoda, niech pan mówi.
- Po pierwsze, musi pani wiedzieć, jak niebezpieczna jest energia elektryczna. A to oznacza wiedzę na temat prądu, czyli natężenia. Wie pani, co to jest?

-No... - Sachs uważała dotąd, że wie, dopóki sobie nie uświadomiła, że nie potrafi tego zdefiniować. - Nie.

- Porównajmy obwód elektryczny do instalacji wodociągowej. Rurami płynie woda pod ciśnieniem wytworzonym przez pompę, która przemieszcza pewną ilość wody z pewną prędkością. Woda płynie z większym lub mniejszym trudem, w zależności od przekroju i stanu rur.

W układzie elektrycznym zachodzi to samo zjawisko, tyle że zamiast wody mamy elektrony, zamiast rur przewody albo jakiś materiał przewodzący, a zamiast pompy akumulator albo generator. Ciśnienie, które popycha elektrony naprzód, to napięcie. Ilość elektronów płynących przewodem to natężenie prądu, wyrażane w amperach. Opór - wyrażany w omach - zależy od przekroju i rodzaju przewodów czy materiału przewodzącego strumień elektronów.

Na razie wszystko rozumiała.

- To brzmi logicznie. Nigdy nie słyszałam, żeby to ktoś tłumaczył w taki sposób.

- Mówimy o natężeniu prądu. Proszę pamiętać: to ilość poruszających się elektronów.

- Dobrze.

- Jakie natężenie jest potrzebne, by zabić człowieka? Piętnaście miliamperów wywołuje nieznośny ból i niewydolność oddechową. Przy stu miliamperach prądu zmiennego człowiek umiera w wyniku migotania komór serca. To dopiero jedna dziesiąta ampera. Zwykła

suszarka do włosów z Rite Aid ciągnie dziesięć amperów.

- Dziesięć? - szepnęła Sachs.

-Tak jest. Suszarka. Dziesięć amperów, czyli nawiasem mówiąc tyle, ile potrzebuje krzesło elektryczne.

Jak gdyby miała za mało powodów do lęku.

- Prąd elektryczny przypomina monstrum Frankensteina - ciągnął Sommers - które zresztą zostało ożywione uderzeniem pioruna. Jest głupi i jednocześnie genialny. Głupi, ponieważ od chwili powstania ma tylko jeden cel: wrócić do ziemi. Genialny, bo instynktownie zna najlepszy sposób, żeby to osiągnąć. Zawsze idzie po linii najmniejszego oporu. Może złapać linię, przez którą płynie sto tysięcy woltów, ale jeżeli prądowi łatwiej jest wrócić przewodem, człowiek jest absolutnie bezpieczny. Gdyby jednak był najlepszym przewodnikiem do ziemi... - Znaczące skinienie głową nie pozostawiało wątpliwości co do skutków.

- Dam pani radę. Trzeba przestrzegać trzech zasad postępowania z prądem: po pierwsze, należy go unikać, jeżeli to tylko możliwe. Ten ktoś dowie się, że go ścigacie, i może zastawiać pułapki w postaci linii pod napięciem. Proszę się trzymać jak najdalej od metalu - poręczy, drzwi, klamek, gołych podłóg, sprzętów, urządzeń. Od mokrych piwnic, stojącej wody. Widziała pani kiedyś na ulicy transformatory i rozdzielnice?

-Nie.

- Owszem, widziała pani. Tylko nie zdaje sobie pani z tego sprawy, bo ojcowie miasta ukrywają je i maskują. Pracujące elementy transformatorów są straszne i brzydkie. W mieście są zwykle pod ziemią albo w niewinnie wyglądających budynkach czy za ogrodzeniami pomalowanymi na nieokreślony kolor. Może pani stać tuż obok transformatora przyjmującego trzynaście tysięcy woltów i nic o tym nie wiedzieć. Niech więc lepiej pani uważa na wszystko, co nosi na sobie napis „Algonquin”. I trzyma się od tego jak najdalej.

Musi też pani pamiętać, że nawet jeżeli pani sądzi, że unika pani prądu, wciąż może być pani w niebezpieczeństwie. Jest coś takiego jak praca wyspowa.

- Praca wyspowa?

- Powiedzmy, że sieć nie działa w jakiejś części miasta, tak jak się dzisiaj stało. Myśli pani, że wszystkie obwody są odłączone, prawda? Oczywiście jest pani bezpieczna. Może tak, może nie. Andi Jessen chciałaby, żeby Algonquin był jedynym graczem na rynku w mieście, ^{ale} tak nie jest. Dziś energię dostarcza tak zwany system generacji rozproszonej, w którym do naszej sieci pompują prąd mniejsi Producenci. Sytuacja pracy wyspowej powstaje wtedy, gdy dostawy Algonquin ustają, ale do sieci płynie energia z jakiegoś mniejszego źródła - z wyspy światła na morzu ciemności.

Jest jeszcze prąd wsteczny. Odłącza pani dom od sieci i idzie do pracy, więc linia nie jest pod napięciem. Ale z linii niskonapięciowych może zacząć płynąć prąd z powrotem do transformatora...

Sachs zrozumiała.

- A transformator znów go zwiększy.

- Właśnie. I linia, którą uważała pani za odłączoną, zostaje włączona. Jest pod prądem.

- Na tyle dużym, żeby mi zrobić krzywdę.

- Och, tak. Mamy jeszcze indukcję. Nawet jeżeli jest pani pewna, że obwód jest odłączony - zupełnie, bez możliwości dopływu z wyspy czy dopływu wstecznego, w przewodzie, przy którym pani pracuje, znów może się pojawić śmiertelnie niebezpieczny ładunek, jeżeli w pobliżu znajduje się inny przewód pod napięciem. Dzieje się tak na skutek indukcji. Prąd w jednym przewodzie, jeżeli jest odpowiednio blisko, potrafi naładować inny, nawet odłączony od zasilania.

Tak więc zasada numer jeden: unikać prądu. Jak brzmi druga zasada? Jeżeli nie można go uniknąć, należy się przed nim chronić. Nakładać SOO, sprzęt ochrony

osobistej. Gumowe buty i rękawice, ale nie takie cieniutkie, babskie, jak w „Zagadkach kryminalnych”. Grube, przemysłowe rękawice robocze. Trzeba używać izolowanych narzędzi albo, jeszcze lepiej, drażków izolacyjnych. Są zrobione z włókna szklanego, jak kije hokejowe, z wymiennymi narzędziami. Korzystamy z nich podczas prac na liniach pod napięciem.

- Należy się chronić - powtórzył. - Proszę pamiętać o zasadzie linii najmniejszego oporu. Ludzka skóra jest dość słabym przewodnikiem, pod warunkiem że pozostaje sucha. Kiedy jest mokra, zwłaszcza od potu, jej opór znacznie spada. Gdyby ktoś był ranny czy oparzony, skóra staje się doskonałym przewodnikiem. Suche skórzane podeszwy butów są dość dobrym izolatorem. Mokra zachowują się podobnie jak mokra ludzka skóra - zwłaszcza gdy ktoś stoi na dobrze przewodzącej powierzchni - wilgotnej ziemi albo posadzce w piwnicy. Kałuża wody? Hm, jeszcze gorzej.

Dlatego jeżeli musi pani dotknąć czegoś, co może być pod napięciem - na przykład otworzyć metalowe drzwi - proszę się upewnić, że jest pani sucha i ma na nogach izolowane buty. W miarę możliwości trzeba korzystać z drażka izolacyjnego albo izolowanego narzędzia i używać tylko jednej ręki - prawej, która jest trochę dalej od serca - a drugą rękę trzymać w kieszeni, żeby niczego przypadkiem nie dotknąć i nie zamknąć obwodu. Należy też patrzeć pod nogi.

Widziała pani ptaki na nieizolowanych przewodach wysokiego napięcia? Nie noszą sprzętu ochrony osobistej. Jak mogą siedzieć na metalu przewodzącym sto tysięcy woltów? Dlaczego z nieba nie spadają pieczone gołąbki?

- Nie dotykają drugiego przewodu.

- Otóż to. Nic nie może im się stać, dopóki nie dotkną przewodu zerowego czy słupa. Mają taki sam ładunek jak przewód, ale nie płynie przez nie prąd -

natężenie jest zerowe... Musi się pani zachowywać jak ten ptak na drucie.

Sachs uznała, że czułaby się cholernie bezbronna.

- Przed kontaktem z prądem lepiej zdjąć z siebie cały metal. Zwłaszcza biżuterię. Najlepszym przewodnikiem na świecie jest czyste srebro. Na szczycie listy są też miedź i aluminium. Złoto wcale nie odstaje od pierwszej trójki. Na drugim końcu są dielektryki - izolatory. Szkło, teflon, dalej ceramika, plastik, guma, drewno. Złe przewodniki. Kawałek takiego materiału, nawet bardzo cienki, może oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

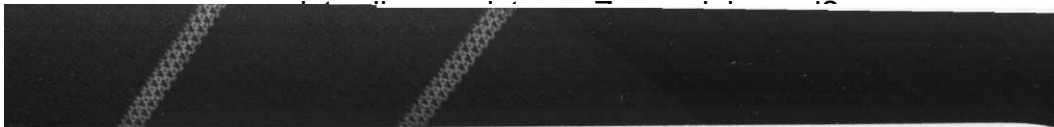
- To zasada numer dwa, ochrona - ciągnął Sommers. - Na koniec zasada numer trzy: jeżeli nie można uniknąć kontaktu z prądem ani się przed nim ochronić, trzeba mu odciąć łeb. Każdy obwód, duży czy mały, ma jakiś sposób, żeby go rozłączyć. Każdy ma wyłącznik czy bezpiecznik. Można natychmiast przerwać prąd, przestawiając wyłącznik albo wyjmując bezpiecznik. Nawet nie trzeba wiedzieć, gdzie są. Co się stanie, gdy wsadzi pani dwa przewody do otworów kontaktu i zetknie ze sobą ich końcówki?

- Wywali bezpiecznik.

- Właśnie. Można zrobić to samo z każdym obwodem. Ale cały czas trzeba pamiętać o zasadzie numer dwa. Chronić się. Bo przy wyższym napięciu zetknięcie dwóch przewodów może wywołać gigantyczną iskrę i łuk elektryczny.

Sommers zabrał się do precli, popijając ogromny kęs.

- Mógłbym rozprawić o tym przez godzinę, ale



Jego rady wydawały się bardzo proste, lecz choć Sachs wysłuchała go uważnie, musiała się przed sobą przyznać, że ten konkretny rodzaj broni nadal jest jej zupełnie obcy.

Jak Luis Martin mógł jej uniknąć, ochronić się przed nią czy odciąć bestii łeb? Odpowiedź brzmiała: nie mógł.

- Gdyby potrzebowała jeszcze pani mojej konsultacji w kwestiach technicznych, proszę po prostu zadzwonić. - Podał jej dwa numery komórkowe. - Aha, chwileczkę... - Wręczył jej czarną plastikową skrzyneczkę z przyciskiem z boku i ciekłokrystalicznym ekranem na przedniej ścianie. Przedmiot wyglądał jak wydłużony telefon komórkowy. - Jeden z moich wynalazków. Bezkontaktowy wykrywacz prądu. Większość rejestruje napięcia do tysiąca woltów i żeby zrobić odczyt, trzeba podejść dość blisko przewodów czy końcówek. Ten ma skalę do dziesięciu tysięcy. Jest bardzo czuły. Wykrywa napięcie z odległości około półtora metra i podaje wartość.

- Dzięki. Też się przyda. - Roześmiała się, oglądając przyrząd. - Szkoda, że nie robi się wykrywaczy, które by nam powiedziały, czy facet na ulicy ma przy sobie broń.

Sachs żartowała. Charlie Sommers pokiwał jednak głową z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy; bardzo poważnie zastanawiał się nad jej słowami. Pożegnawszy ją, wepchnął do ust garść czipsów kukurydzianych i z zapalem zaczął rysować jakiś schemat na kawałku papieru. Sachs zauważyła, że chwycił to, co miał pod ręką - serwetkę.

Rozdział 21

L

Lincoln, to jest doktor Kopeski.

Thom stał z gościem w drzwiach laboratorium.

Lincoln Rhyme w roztertaniu uniósł wzrok. Dochodziło wpół do siódmej wieczorem i choć w pokoju wyczuwało

się rozgorączkowanie wywołane sprawą Algonquin, niewiele mógł zrobić, zanim Sachs wróci ze spotkania z szefem firmy energetycznej. Tak więc niechętnie zgodził się porozmawiać z reprezentantem grupy na rzecz praw niepełnosprawnych, która zamierzała uhonorować go swoją nagrodą.

Kopeski nie będzie sterczał pod drzwiami jak dworzanin czekający na audiencję u króla...

- Proszę mi mówić Arlen.

Gość miał łagodny głos, był ubrany w klasyczny garnitur i białą koszulę oraz krawat w pomarańczowo-czarne paseczki. Podszedł do kryminalistyka i skinął mu głową. Nie podjął próby wyciągnięcia ręki na powitanie. I nie rzucił nawet okiem na nogi Rhyme'a ani na wózek. Ponieważ Kopeski pracował w organizacji na rzecz praw niepełnosprawnych, stan Rhyme'a nie robił na nim żadnego wrażenia. Rhyme cenił taką postawę. Uważał, że wszyscy w taki czy inny sposób jesteśmy niepełnosprawni, bez względu na to, czy chodzi o blizny emocjonalne, artretyzm czy chorobę Lou Gehriga. Życie to jedna wielka niepełnosprawność; pytanie było proste: co z nim zrobiliśmy? Rhyme rzadko rozmyślał na ten temat. Nigdy nie był rzecznikiem praw niepełnosprawnych; uważał, że przeszkadzałoby mu to w pracy. Był kryminalistyką i tak się złożyło, że nie potrafił się poruszać z taką łatwością jak większość ludzi. Rekompensując to, jak potrafił, robił dalej, co do niego należało.

Rhyme zerknął na Mela Coopera i ruchem głowy wskazał pokój po drugiej stronie korytarza, naprzeciw laboratorium. Thom wprowadził tam Kopeskiego, a Rhyme ruszył za nimi wózkami. Potem opiekun częściowo zasunął drzwi i zniknął.

- Niech pan siada, jeżeli pan woli - powiedział Rhyme, mając nadzieję, że gość odmówi, wyłuszczy sprawę na stojąco i się ulotni. Miał w ręku teczkę. Może tam krył się ten przycisk do papieru. Doktor mógł go wręczyć, pstryknąć zdjęcie i wyjść. I cała sprawa mogłaby zostać załatwiona.

Doktor usiadł.

- Od pewnego czasu śledzę pańską karierę zawodową.

- Doprawdy?

- Słyszał pan o Radzie Wsparcia Niepełnosprawnych?

Thom informował go o działalności organizacji. Rhyme niewiele zapamiętał z jego monologu.

- Robicie bardzo dobrą robotę.

- Owszem, dobrą robotę.

Cisza.

Gdybyśmy mogli nieco szybciej... Rhyme bacznie spojrzął przez okno, jak gdyby w kierunku domu frunęło na skrzydłach nowe zadanie, tak jak wcześniej sokół wędrowny. Przepraszam bardzo, musimy kończyć, obowiązki wzywają...

- Przez lata pracowałem z wieloma niepełnosprawnymi osobami. Miały urazy rdzenia kręgowego, rozszczep kręgosłupa, stwardnienie zanikowe boczne, mnóstwo innych schorzeń. Także nowotwory.

Ciekawe. Rhyme nigdy nie uważał tej choroby za niepełnosprawność, choć przypuszczał, że niektóre rodzaje mogą przystawać do tego określenia. Zerknął na zegar ścienny, który odmierzał czas wolniutkim tykaniem. Po chwili wszedł Thom z kawą i... na litość boską, z

ciastkami. Wściekłe spojrzenie, jakie Rhyme mu posłał - mówiące, że to nie jest żadna cholerna proszona herbatka - spłynęło po opiekunie jak woda po gęsi.

- Dziękuję - powiedział Kopeski, biorąc filiżankę. Rhyme był rozczarowany, widząc, że nie dołał mleka, które na tyle ostudziłoby kawę, że doktor mógłby ją szybciej wypić i wyjść.

- A co dla ciebie, Lincoln?

- Dziękuję, nic - dodał lodowatym tonem, który Thom zignorował równie skutecznie jak piorunujące spojrzenie sprzed chwili. Zostawił tacę i prędko wycofał się do kuchni.

Doktor zagłębił się w skrzypiącym skórzanym fotelu.

- Świetna kawa.

Szalenie mi miło. Przechylił głowę.

- Jest pan zajęтым człowiekiem, więc od razu przejdę do rzeczy.

- Będę niezwykle wdzięczny.

- Detektywie Rhyme... Lincoln. Czy jest pan religijny?

Grupa praw niepełnosprawnych musi mieć związki z Kościołem; może nie chcieli honorować poganina.

-Nie, nie jestem.

- Nie wierzy pan w życie pozagrobowe?

- Nie widziałem żadnego obiektywnego dowodu na jego istnienie.

- Bardzo dużo osób tak uważa. A więc dla pana śmierć byłaby równoznaczna z... powiedzmy, spokojem.

- To zależy, jak miałbym skończyć.

Na sympatycznej twarzy zagościł uśmiech.

- Odrobinę wprowadziłem w błąd pańskiego asystenta. 1 pana. Ale nie bez powodu.

Rhyme nie odczuwał żadnego lęku. Jeżeli facet udawał kogoś innego, żeby dostać się do domu i mnie zabić, myślał, już bym nie żył. Uniesiona brew oznaczała: świetnie, przyznaj się i jedźmy dalej.

- Nie należę do RWN.

-Nie?

- Nie. Ale czasem mówię, że reprezentuję taką czy inną grupę, bo na wiadomość o mojej prawdziwej organizacji ludzie czasem wyrzucają mnie z domu.

- Świadkowie Jehowy?

Stłumiony śmiech.

- Umrzeć z Godnością. To organizacja promująca prawo do eutanazji, z siedzibą na Florydzie.

Rhyme słyszał o nich.

- Zastanawiał się pan kiedyś nad wspomaganym samobójstwem?

- Owszem, parę lat temu. Postanowiłem się jednak nie zabijać.

- Ale nie wykluczył pan takiej możliwości?

- Chyba nikt nie wyklucza, niepełnosprawni i sprawni.

Doktor pokiwał głową.

- To prawda.

- To jasne, że nie dostanę nagrody za wybór najskuteczniejszego sposobu odejścia z tego świata - rzekł Rhyme. - Czym więc mogę panu służyć?

- Potrzebujemy głosów poparcia. Ludzi takich jak pan, cieszących się uznaniem opinii publicznej. Którzy mogli rozważyć decyzję o przejściu.

Przejście. To się nazywa eufemizm.

- Mógłby pan nagrać wideo na YouTube. Udzielić jakiegoś wywiadu. Sądziłem, że pewnego dnia być może postanowi pan skorzystać z naszych usług. - Wyciągnął z teczki broszurę. Była wydrukowana na ładnym papierze, utrzymana w pastelowych kolorach, a pierwszą stroną zdobiły kwiaty. Rhyme zwrócił uwagę, że nie są to lilie ani stokrotki, lecz róże. Tytuł nad nimi brzmiał „Wybór”.

Kopeski położył broszurę na stoliku obok Rhyme'a.

- Gdyby był pan zainteresowany i zechciał pozwolić nam wykorzystać pana jako znaną twarz, moglibyśmy nie tylko zaoferować nasze usługi gratis, ale w grę

wchodziłaby również pewna rekompensata. Może trudno w to uwierzyć, ale jak na niewielką organizację radzimy sobie całkiem nieźle.

I prawdopodobnie płacą z góry, pomyślał Rhyme.

- Nie sądzę, żebym był odpowiednim kandydatem.

- Wystarczy tylko, żeby powiedział pan parę słów o tym, że zawsze brał pan pod uwagę wspomagane samobójstwo. Zrobilibyśmy nagranie wideo i...

Rhyme'a zaskoczył głos od drzwi.

- Spieprzaj stąd!

Zauważył, jak Kopeski na ten okrzyk podskoczył w fotelu. Do pokoju wpadł Thom, a doktor gwałtownie się wyprostował, upuszczając filiżankę, która spadła na podłogę i stłukła się z brzękiem.

- Zaraz, przecież...

Opiekun Rhyme'a, zazwyczaj uosobienie spokoju, był czerwony na twarzy. Dygotały mu ręce.

- Powiedziałem, jazda stąd.

Kopeski wstał. Nie tracąc zimnej krwi, odparł opanowanym głosem:

- Proszę pana, rozmawiam z detektywem Rhyme'em. Nie ma powodu się denerwować.

-Jazda! I to już!

- Za chwilę skończę.

- Wyjdiesz teraz.

- Thom... - zaczął Rhyme.

- Cicho - mruknął opiekun.

Spojrzenie doktora mówiło: pozwala pan asystentowi zwracać się do siebie w ten sposób?

- Nie będę powtarzał.

- Wyjdę, kiedy skończymy. - Kopeski wolno zbliżył się do Thoma. Doktor, jak wiele osób związanych z medycyną, był w niezłej kondycji.

Ale Thom przez cały dzień prznosił Rhyme'a z łóżka na wózek, z wózka na sprzęt do ćwiczeń i odwrotnie. Był także rehabilitantem. Spojrzał w twarz Kopeskiemu, gotów rzucić się na niego z pięściami, gdyby został zmuszony.

Konfrontacja trwała jednak tylko kilka sekund. Doktor ustąpił.

- Już dobrze, dobrze. - Uniósł ręce. - Jezu, nie trzeba od razu...

Thom wziął teczkę Kopeskiego, wepchnął ją facetowi do rąk

i wyprowadził go z pokoju. Chwilę później kryminalistyk usłyszał trzaśnięcie drzwi. Zatrzęsły się obrazy na ścianach.

Po chwili opiekun wrócił, wyraźnie speszony. Posprzątał skorupy rozbitej filiżanki, starł rozlaną kawę.

- Przepraszam, Lincoln. Sprawdziłem. To prawdziwa organizacja. Pomyślałem... - Głos mu się załamał. Pokręcił głową. Jego przystojna twarz pociemniała, a ręce znów zaczęły dygotać.

Jadąc wózkami w kierunku laboratorium, Rhyme powiedział:

- Daj spokój, Thom, nie przejmuj się... Zresztą to ma swoją dobrą stronę.

Opiekun zwrócił zatroskany wzrok na Rhyme'a i zobaczył, że jego szef się uśmiecha.

- Nie muszę marnować czasu na pisanie mowy z podziękowaniem za jakąś cholerną nagrodę. Mogę wracać do pracy.

Rozdział 22

Ż

ymy dzięki energii elektrycznej: impuls z mózgu do serca i płuc

to prąd jak każdy inny.

Energia elektryczna potrafi też zabić.

Nie można jej oddzielić od śmierci.

O dwudziestej pierwszej, zaledwie dziewięć i pół godziny po zamachu w podstacji MH-10 Algonquin, mężczyzna w granatowym kombinezonie Algonquin Consolidated oglądał teren przed sobą: swoją strefę rażenia.

Prąd elektryczny i śmierć...

Stał na budowie, na otwartym terenie, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi... bo był robotnikiem wśród innych robotników. Mieli inne stroje, inne kaski, pracowali w różnych firmach. Ale łączyło ich jedno: tych, którzy żyli z pracy własnych rąk, traktowali z pogardą „prawdziwi ludzie”, którzy byli uzależnieni od ich usług, bogaci, opływający w luksusy niewdzięcznicy.

Bezpieczny i niewidzialny, instalował właśnie znacznie potężniejszą wersję urządzenia, które testował wcześniej w klubie sportowym. W nomenklaturze elektrycznej „wysokie napięcie” zaczynało się od siedemdziesięciu tysięcy voltów. Aby jego plan się powiódł, musiał mieć pewność, że wszystkie systemy wytrzymają co najmniej dwa czy trzy razy więcej.

Jeszcze raz przyjrzał się miejscu jutrzejszego ataku. Nie mógł przestać myśleć o napięciu, natężeniu... i śmierci.

W opowieści o Benie Franklinie z kluczem i burzy było sporo przekłamań. W rzeczywistości Franklin w ogóle nie

stał na wilgotnej ziemi, ale chował się w stodole, a jedwabna wstążka, na której trzymał mokry latawiec, była sucha. Sam latawiec w ogóle nie został trafiony piorunem; nastąpiło po prostu wyładowanie elektrostatyczne, gdy zbierało się na burzę. Skutkiem nie był prawdziwy piorun, ale eleganckie błękitne iskry, które przeskoczyły nad grzbietem dłoni Franklina jak stadko ryb żerujących tuż pod powierzchnią jeziora.

Niedługo potem pewien Europejczyk powtórzył jego eksperyment. Nie przeżył.

Od zarania wytwarzania energii elektrycznej robotnicy ciągle doznawali śmiertelnych poparzeń i porażeń mięśni serca. Ofiarami pierwszych sieci padło też mnóstwo koni, które metalowymi podkowami dotykały mokrego bruku.

Thomas Alva Edison i jego słynny asystent Nikola Tesla toczyli nieustającą walkę o wyższość prądu stałego (Edison) nad zmiennym (Tesla), próbując przekonać opinię publiczną do swoich racji mrozącymi krew w żyłach opowieściami o niebezpieczeństwie. O konflikcie, znanym jako Bitwa Prądów, regularnie pisywano na pierwszych stronach gazet. Edison wysuwał argument porażenia, ostrzegając, że każda osoba korzystająca z prądu przemiennego naraża się na wyjątkowo nieprzyjemną śmierć. To prawda, że wystarczyło mniej prądu zmiennego, by spowodować obrażenia, lecz każdy rodzaj odpowiednio silnego prądu mógł zabić.

Pierwsze krzesło elektryczne skonstruował pracownik Edisona, ze względów taktycznych wybierając prąd zmienny Tesli. Pierwszą karę śmierci na tym urządzeniu wykonano w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, pod kierunkiem nie kate, ale „elektryka stanowego”. Skazaniec umarł, choć egzekucja trwała osiem minut. Zanim się zapalił, był już zapewne nieprzytomny.

No i paralizatory. W zależności od tego, kto został trafiony elektrodami i w jaką część ciała, czasem zdarzało się, że człowiek zaatakowany paralizatorem

tracił życie. Wszyscy w branży bali się oczywiście łuków elektrycznych, takich jak dziś rano w zaaranżowanym przez niego ataku.

Prąd i śmierć...

Włóczył się po placu, udając zmęczenie po całym dniu pracy. Na budowie pozostała tylko zredukowana do minimum część załogi - nocna zmiana. Mimo że podszedł bliżej, nadal nikt go nie zauważał. Miał okulary ochronne w grubych ramkach i żółty kask Algonquin. Był niewidzialny jak strumień elektronów w przewodzie.

O pierwszym ataku oczywiście huczało w mediach, choć serwisy ograniczały się do informacji o „incydencie” w podstacji na środkowym Manhattanie. Dziennikarze trajkotali jak nakręceny o zwarcjach, iskrach i chwilowych przerwach w dostawie prądu. Podejrzewano udział terrorystów, ale nikt nie znalazł na to żadnego dowodu.

Na razie.

W pewnym momencie ktoś musiałby wziąć pod uwagę możliwość, że to pracownik Algonquin Consolidated zastawia pułapki, które doprowadzają do bardzo, bardzo nieprzyjemnej i bolesnej śmierci, ale jak dotąd nikt nie wpadł na tę myśl.

Opuścił plac budowy i wciąż niezatrzymywany przez nikogo, zszedł pod ziemię. Kombinezon i identyfikator działały jak magiczne klucze. Wśliznął się do kolejnego brudnego, dusznego kanału i włożywszy strój ochronny, dalej montował przewody.

Prąd i śmierć.

Szalenie elegancki sposób pozbawiania życia w porównaniu na przykład z zastrzeleniem ofiary z pięciuset metrów.

Czysty, prosty i naturalny.

Można zatrzymać prąd elektryczny, można go skierować inną drogą. Nie można go jednak oszukać. Gdy powstanie, będzie instynktownie robił wszystko, aby wrócić do ziemi, a jeżeli na drodze stanie mu człowiek, zabije go błyskawicznie - w dosłownym znaczeniu.

Prąd nie ma sumienia, nie ma poczucia winy.

Była to jedna z cech, za którą podziwiał swoją broń. W przeciwieństwie do istot ludzkich energia elektryczna była zawsze wierna własnej naturze.

Rozdział 23

D

też porze budziło się do życia wieczorne miasto.

Godzina dwudziesta pierwsza przypominała zielone światło do rozpoczęcia wyścigu.

Martwym czasem w Nowym Jorku nie była noc, ale pora, gdy miasto pogrążało się w duchowym letargu, paradoksalnie w trakcie największego nasilenia ruchu: w porannych i popołudniowych godzinach szczytu. Dopiero teraz ludzie zrzucali codzienną apatię, odzyskiwali dobrą formę, budzili się do życia.

Podejmując najważniejsze decyzje: do którego baru, z którymi znajomymi, w jakiej koszuli? W staniku, bez stanika?

Prezerwatywy?...

I wychodzili na ulicę.

Fred Dellray zamaszyście kroczył w wiosennym chłodzie, czując, jak kipi w nim energia podobna do tej, która pulsowała w kablach elektrycznych pod jego stopami. Rzadko prowadził samochód, nawet nie miał swojego, ale jego nastrój przypominał doznanie towarzyszące szalonej jeździe, kiedy wciska się pedał gazu do deski i paląc gumę, pędzi na spotkanie przeznaczenia.

Minął już drugie skrzyżowanie za stacją metra, potem trzecie i czwarte.

Palilo go coś jeszcze. Sto tysięcy dolarów w kieszeni.

Idąc ulicą, Fred Dellray nie mógł się pozbyć myśli: czyżbym wszystko zrujnował? Cóż, z moralnego punktu widzenia robię to, co należy. Jeżeli ten wąty ślad ostatecznie doprowadzi mnie do sprawcy, czy to będzie „Sprawiedliwość dla”, czy ktokolwiek inny, jestem gotów ryzykować karierę i odsiadkę. Za wszelką cenę trzeba ratować życie obywateli. Oczywiście sto tysięcy znaczyło

tyle co nic dla organizacji, której zabrał pieniądze. Dzięki biurokratycznej krótkowzroczności być może nigdy nie zauważono by braku tej kwoty. Gdyby jednak tak się stało, trop Williama Brenta zaowocował i udało im się powstrzymać dalsze ataki, czy wyrzuty sumienia z powodu popełnionego wykroczenia nie będą zżerać Dellraya jak rosnący nowotwór?

Czy poczucie winy nie odmieni na zawsze jego życia, odbierając mu barwę i sens?

Zmiany...

Był bliski decyzji, by zawrócić, wejść do budynku federalnego i odłożyć pieniądze na miejsce.

Nie. Robił to, co powinien. I poniesie wszelkie konsekwencje tego kroku.

Ale, cholera, William, tylko mnie nie zawieź.

Dellray przeciął ulicę w Village i podszedł prosto do Williama Brenta, który spojrzał na niego z lekkim zaskoczeniem, jak gdyby się nie spodziewał, że Dellray przyjdzie. Stali obok siebie. To nie była operacja pod przykryciem ani próba werbunku. Po prostu dwóch facetów spotkało się na ulicy, żeby ubić interes.

Za nimi brudny nastolatek ze świeżo przekłutą, jeszcze krwawiącą wargą, nucił smętną piosenkę, brząkając na gitarze. Dellray dał Brentowi znak, by poszli dalej, zostawiając nieco w tyle zapaszek i śpiewny lament.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej? - spytał agent.

-Tak.

- Czego? - Znów usiłował opanować niecierpliwość.

-Nie ma sensu na razie o tym mówić. To ledwie trop tropu. Gwarantuję ci, że jutro coś będziesz miał.

„Gwarantuję”? Rzadko słyszało się to słowo od wtyczki.

Ale William Brent był Armanim wśród tajnych informatorów.

Poza tym Dellray nie miał wyboru.

- Słuchaj - rzucił jakby mimochodem Brent - skończyłeś już gazetę?

- Jasne. Masz. - Wręczył mu złożony numer „New York Post”.

Oczywiście robili to już setki razy. Informator wsunął gazetę

do teczki, nie sprawdzając nawet, czy w środku jest koperta, ani tym bardziej nie otwierając jej, żeby przeliczyć gotówkę.

Dellray przyglądał się, jak pieniądze znikają w aktówce, jak gdyby obserwował opuszczanie trumny do grobu.

Brent nie pytał o źródło pochodzenia pieniędzy. Po co miałby pytać? To nie było dla niego istotne.

Informator podsumował, mówiąc na wpół do siebie:

- Biały mężczyzna, sporo przeciętnych cech. Pracownik firmy albo ma tam swój kontakt. „Sprawiedliwość dla” kogoś czy czegoś. Rahman. Być może terroryzm, ale może coś innego. Dobry elektryk. I drobiazgowo planuje.

- To wszystko, co na razie mamy.

- Chyba nic więcej nie potrzebuję - odrzekł Brent bez cienia pychy. Dellray wziął jego słowa i ton głosu za dobry znak. Zwykle wręczając wtyczkę nawet zwyczajowy napiwek - czyli około pięciuset dolarów - czuł się, jak gdyby to był rozbój w biały dzień. Teraz miał dziwne przeczucie, że Brent dotrzyma słowa.

- Spotkajmy się jutro - powiedział Dellray. - W „Carmelli”. W Village. Wiesz, gdzie to jest?

-Wiem. Kiedy?

- W południe.

Pomarszczona twarz Brenta zmarszczyła się jeszcze bardziej.

-O piątej.

- O trzeciej?

- Zgoda.

Dellray omal nie dodał „proszę”, czego chyba nigdy nie powiedział żadnej wtyczce. Powściągnął emocje, lecz trudno mu było oderwać wzrok od teczki, która równie dobrze mogła kryć grzyby jego kariery. Czyli w gruncie

rzeczy całego życia. Oczywiście wyobraźni ujrzał rozradowaną twarz swojego synka. Odsunął od siebie ten obraz.

- Miło prowadzić z tobą interesy, Fred. - Brent uśmiechnął się i skinął mu głową na pożegnanie. W jego wielkich okularach błysnęło odbite światło latarni i po chwili zniknął.

Rozdział 24

T

o Sachs.

Za oknem zadudnił silnik samochodu i zaraz umilkł.

Rhyme rozmawiał z Tuckerem McDanielem i Łonem Sellitem, którzy przyjechali niedawno, krótko po nagłym wyjściu Doktora Śmierć.

Sachs pewnie rzuca na deskę rozdzielczą tabliczkę „Pojazd do służbowych celów NYPD” i rusza w kierunku domu. I rzeczywiście, po chwili otworzyły się drzwi i rozległ się tupot - stawiała wielkie kroki z powodu długości nóg i pośpiechu, który towarzyszył jej niczym broń u boku.

Skinieniem głowy powitała obecnych w pokoju i nieco dłużej zatrzymała wzrok na Rhymie. Rozpoznał tę minę: czułość pół na pół z chłodną, rzeczową analizą, typową dla kogoś pozostającego w bliskich związkach z osobą dotkniętą ciężką niepełnosprawnością. Czytała o tetraplegii więcej niż on, umiała sobie poradzić z każdą czynnością, jakiej wymagały jego codzienne, nawet najintymniejsze potrzeby - i od czasu do czasu je wykonywała. Rhyme był tym początkowo skrępowany, ale gdy żartobliwie i może odrobinę zalotnie zauważyła: „Czym to się różni od starego, dobrego małżeństwa, Rhyme?”, wytrąciła mu ten argument. Odparł tylko: „Słusznie”.

Co jednak nie oznaczało, że jej nadopiekuńczość nie doskwierała mu czasem tak, jak nadmierna troskliwość innych. Zerknął na nią przelotnie i zwrócił spojrzenie na tablice dowodów.

Sachs rozejrzała się po laboratorium.

- Gdzie ta nagroda?
- Zostaliśmy nieco wprowadzeni w błąd.
- To znaczy?

Opowiedział jej o wabiku i podstępie doktora Kopeskiego.

-Nie!

Rhyme pokiwał głową.

- Nie będzie przycisku do papieru.

- Wyrzuciłeś go z domu?

- Thom go wyrzucił. I spisał się doskonale. Ale nie chcę o tym teraz rozmawiać, robota czeka. - Zerknął na jej torbę. - Co masz?

Wyjmując kilka grubych teczek, powiedziała:

- Listę osób, które miały dostęp do haseł komputerów Algonquin. Ich życiorysy i akta personalne.

- A co z niezadowolonymi pracownikami? Z ludźmi, którzy mieli problemy psychiczne?

- Żadnego poważniejszego przypadku.

Przekazała im szczegóły spotkania z Andi Jessen: nie było danych o obecności pracowników firmy w kanale rurociągu ciepłowniczego niedaleko podstacji na Pięćdziesiątej Siódmej. Nie odnotowano żadnych zagrożeń terrorystycznych, lecz współpracownik pani prezes miał sprawdzić tę możliwość.

- Rozmawiałam z człowiekiem, który pracuje w dziale projektów specjalnych - zajmują się, mówiąc w skrócie, energią alternatywną. Z Charliem Sommersem. Bardzo w porządku facet. Podał mi ogólny profil człowieka, który potrafiłby skonstruować pułapkę z łukiem elektrycznym. To musi być główny elektryk z firmy, wojskowy elektryk, monter z elektrowni albo specmonter.

- Kto? - zdziwił się Sellitto.

- Ktoś w rodzaju diagnosty i brygadzysty. Żeby wywołać taki łuk, trzeba mieć duże doświadczenie praktyczne. Nie można się tego nauczyć z Internetu.

Rhyme ruchem głowy wskazał tablice i Sachs wypisała najważniejsze punkty.

-Jeżeli chodzi o komputer - dodała - trzeba przejść specjalne szkolenie albo szkolić się w praktyce. To

podobno dość trudne. - Poinformowała ich o systemie SCADA i programach EMP, którymi sprawca musiałby się biegle posługiwać.

Dopisała na tablicy także te szczegóły.

- Ile jest nazwisk na liście? - zapytał Sellitto.
- Ponad czterdzieści.
- Kurczę - mruknął McDaniel.

Rhyme przypuszczał, że wśród osób na liście kryje się sprawca i Sachs albo Sellitto mogliby ją zawęzić do rozsądniejszej liczby. W tym momencie jednak chciał dowodów. Których było bardzo niewiele, w każdym razie niewiele owocnych.

Od ataku upłynęło niemal dwanaście godzin i nawet o krok nie byli bliżsi odnalezienia człowieka, którego widziano w barze, ani innego podejrzanego.

Brak tropów był frustrujący, lecz większym niepokojem napawał krótki wpis na tablicy z profilem N.N. sprawcy: Prawdopodobnie ta sama osoba, która skradła 75 metrów podobnego przewodu Benningtona i 12 śrub widelkowych. Plan kolejnych zamachów?

Może właśnie w tym momencie tamten konstruuje nową pułapkę? Przed zamachem na autobus nie odebrano żadnych ostrzeżeń. Może taki jest jego modus operandi. Lada chwila w telewizjach mogła się pojawić informacja o śmierci kilkudziesięciu osób w eksplozji drugiego wyładowania łukowego.

Mel Cooper zrobił kopię listy i podzielili nazwiska. Sachs, Pulaski i Sellitto wzięli połowę, McDaniel drugą dla swoich agentów federalnych. Sachs przejrzała akta personalne z Algonquin i zatrzymując te z nazwiskami, które jej przypadły, resztę oddała McDanielowi.

- Ufasz temu Sommersowi? - spytał Rhyme.
- Tak. Sprawdziłam go i wszystko się zgadzało. Poza tym dał mi to. - Wyciągnęła niewielkie czarne urządzenie elektroniczne, które wycelowała w przewód niedaleko Rhyme'a. Nacisnęła guzik i odczytała wynik z ekranu. - Hm, dwieście czterdzieści woltów.

-Aja, Sachs? Jestem naładowany?

Ze śmiechem wycelowwała w niego detektor. Potem kokieteryjnie, jak mu się zdawało, uniosła brew. Zadzwoił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz, odebrała i rozłączyła się po krótkiej rozmowie.

- To Bob Cavanaugh, wiceprezes do spraw operacyjnych. Sprawdzał, czy w rejonowych oddziałach firmy były jakieś sygnały o terrorystach. Nie ma dowodów na to, żeby grupy ekoterrorystyczne zagrażały Algonquin czy zamierzały atakować ich siłownie. Było za to jedno zgłoszenie o infiltracji jednej z głównych podstacji firmy w Filadelfii. Dostał się tam biały mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat. Nikt nie wie, kto to był ani co tam robił. Nie zarejestrowała go żadna kamera i uciekł przed przyjazdem policji. To było w zeszłym tygodniu.

Rasa, płeć, wiek...

- To on. Ale czego chciał?

- Nie było więcej przypadków wtargnięcia do obiektów firmy.

Czyżby sprawca zamierzał zebrać informacje o sieci i zabezpieczeniach w podstacjach? Rhyme mógł tylko snuć domysły, więc na razie odnotował ten incydent w pamięci.

McDaniel odebrał telefon. Przez chwilę patrzył w roztargnieniu na białą tablicę, a potem się rozłączył.

-Tech-kom odebrał nowe sygnały o grupie terrorystycznej „Sprawiedliwość dla”.

- Jakie? - spytał niecierpliwie Rhyme.

- Nic wielkiego. Ale mamy coś ciekawego: używają kryptonimów, których dawniej używano do określania broni ciężkiej. Nasze algorytmy wyodrębniły wyrażenie „artykuły papiernicze”.

Wyjaśnił, że to częsta praktyka podziemnych komórek. Niedawno udaremniono zamach we Francji, gdy w rozmowach między znanymi postaciami strony negatywnej pojawiły się słowa *gateau*, *farine* i *beurre*, czyli „ciasto”, „mąka” i „masło”. W rzeczywistości

oznaczały bombę oraz jej składniki, materiały wybuchowe i detonator.

- Według informacji Mossadu, komórki Hezbollahu czasem nazywają pociski rakietowe i kruszące materiały wybuchowe „materiałami biurowymi” albo „materiałami dekoracyjnymi”. Wydaje się nam, że oprócz Rahmana w operacji biorą udział jeszcze dwie osoby. Komputer twierdzi, że to mężczyzna i kobieta.

- Mówiłeś o tym Fredowi? - spytał Rhyme.

- Dobra myśl. - McDaniel wyciągnął telefon BlackBerry, włączył tryb głośnomówiący i zadzwonił.

- Fred, tu Tucker. Mówisz przez głośnik u Rhyme'a. Coś się udało?

- Sprawą zajmuje się mój informator. Sprawdza parę tropów.

- Sprawdza? Nie masz nic konkretniej szego?

Chwila ciszy.

- Nie wiem nic więcej - odrzekł Dellray. - Na razie.

- Tech-kom znalazł kilka rzeczy. - Poinformował agenta o kryptonimach i prawdopodobnym udziale w akcji kobiety i mężczyzny.

Dellray odparł, że przekaze te ustalenia swojemu kontaktowi.

- A więc zgodził się współpracować w ramach budżetu? - zapytał McDaniel.

-Tak.

- Wiedziałem, że na to pójdzie. Ci ludzie wykorzystają cię, jeżeli im na to pozwolisz, Fred. Tak pracują informatorzy.

- Zdarza się - rzekł ponuro Dellray.

- Będziemy w kontakcie. - McDaniel zakończył rozmowę, przeciągnął się. - Cholerna strefa cienia. Stanowczo za mało z niej ściągamy.

Sellitto postukał palcem w plik akt personalnych z Algonquin.

- Jadę do centrum. Każę ludziom zacząć nad tym pracować. Kurczę, zapowiada się długa noc. - Było już dziesięć po jedenastej.

Faktycznie długa, pomyślał Rhyme. Dla niego też. Zwłaszcza że w tym momencie nie miał nic do roboty i pozostawało mu czekać.

Szczerze nie cierpiał czekania.

Błądząc wzrokiem po skąpych informacjach, zapisanych na tablicach, pomyślał: działamy cholernie powoli.

A usiłujemy znaleźć sprawcę, który atakuje z prędkością światła.

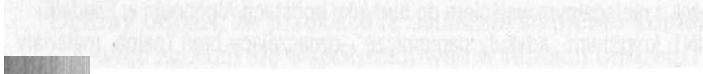
Profil N.N. sprawcy

Mężczyzna Czterdzieści kilka lat Prawdopodobnie biały
Może nosić okulary i czapkę Może mieć krótkie włosy blond

Granatowy kombinezon, podobny do strojów roboczych pracowników Algonquin Świetnie zna się na układach elektrycznych Ślady butów nie wykazują schorzeń wpływających na postawę ciała i chód Prawdopodobnie ta sama osoba, która skradła 75 metrów podobnego przewodu Benningtona i 12 śrub widelkowych. Plan kolejnych zamachów? Magazyn, w którym dokonano kradzieży, otwarty kluczem Możliwe, że jest pracownikiem Algonquin albo ma kontakt z kimś z personelu Powiązania z terroryzmem? Z organizacją „Sprawiedliwość dla [nieznane]”? Z grupą terrorystyczną? Udział kogoś o imieniu Rahman? Zasyfrowane informacje o nakładach pieniężnych, przepływach osób i czymś „dużym”

Możliwy związek z nielegalnym wejściem do budynku podstacji Algonquin w Filadelfii Trafienia SIGINT: kryptonim „artykuły papiernicze”, oznaczający broń (palną, materiały wybuchowe?) Udział mężczyzny i kobiety
Musiał się uczyć obsługi systemu SCADA - programu zbierania danych i nadzorowania pracy sieci; oraz EMP - programów zarządzania energią. Algonquin korzysta z programu Enertrol. Obydwa działają w środowisku Unix
Aby wywołać łuk elektryczny, musiał prawdopodobnie pracować, dawniej lub obecnie, jako monter linii, specmonter, główny elektryk, konstruktor generatorów, elektryk w wojsku

iii
iii.



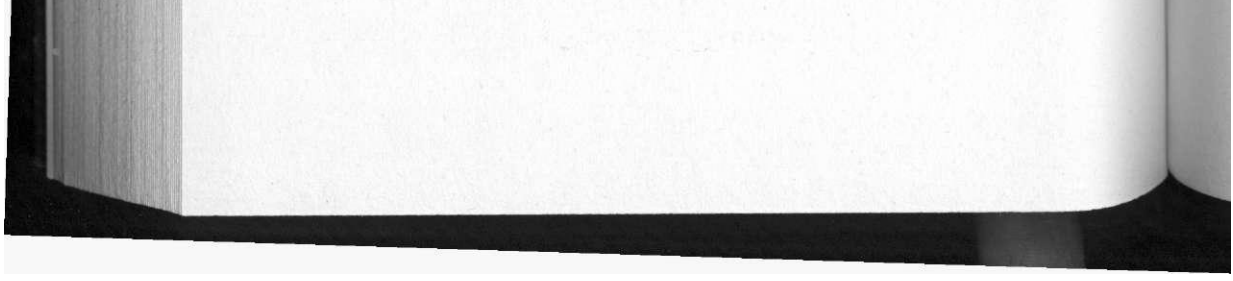
Szesnaście godzin przed Dniem Ziemi

II

Linia najmniejszego oporu

*Pewnego dnia człowiek okiełzna przyływy i
odpływy oceanów, poskromi energią Słońca i
uwolni energią jądrową.*

**Thomas Alva Edison o przyszłości
wytwarzania
energii elektrycznej**



mm m m m, gmtmm*

Rozdział 25

U

sma rano.

Do domu wpadały ukośne promienie porannego słońca. Lincoln Rhyme przymrużył oczy i wyminął plamę oślepiającego światła, wyjeżdżając wózkiem Storm Arrow z małej windy, która łączyła jego sypialnię z laboratorium na parterze.

Godzinę wcześniej w domu zjawili się Sachs, Mel Cooper i Lon Sellitto.

Sellitto rozmawiał przez telefon.

- Dobra, mam. - Wykreślił kolejne nazwisko, po czym się rozłączył. Rhyme nie miał pojęcia, czy detektyw w ogóle się przebierał. Może spał w sąsiednim pokoiku albo drugiej sypialni na dole. Cooper zdążył pojechać do domu i wrócić. A Sachs spała u boku Rhyme'a - przez część nocy. Wstała o wpół do szóstej, aby kontynuować badanie akt pracowników i zawęzić listę podejrzanych.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał Rhyme.

- Właśnie rozmawiałem z McDanielem - mruknął Sellitto. - Mają sześcioro i my mamy sześcioro.

- To znaczy, że zostało nam dwunastu podejrzanych? Trzeba teraz...

- Hm, nie, Linc. Wyeliminowaliśmy dwanaście osób.

- Kłopot w tym - odezwała się Sachs - że wielu pracowników z listy to kadra kierownicza. W CV nie pisali o początkach swojej pracy zawodowej ani o wszystkich kursach komputerowych. Musimy się dokopywać informacji, czy potrafiliby majstrować w sieci i skonstruować pułapkę.

- Cholera, gdzie wynik badania DNA? - burknął Rhyme.

- Niedługo powinien nadejść - odrzekł Cooper. - Obiecali przeprowadzić test ekspresowo.

- Ekspresowo - powtórzył cierpko Rhyme. Nowe testy na ogół można było wykonać w ciągu jednego czy

dwóch dni, w przeciwieństwie do dawnych badań techniką RFPL, które mogły trwać nawet tydzień. Rhyme nie rozumiał, dlaczego jeszcze nie ma wyników.

-1 nic więcej o „Sprawiedliwości dla”?

-Nasi ludzie przeczესali wszystkie kartoteki. Tak samo ludzie McDaniela. I Bezpieczeństwo Krajowe, ATF i Interpol. Nie ma nic o tej organizacji ani o Rahmanie. Zero. Cholerna strefa cienia. Brzmi to jak jakiś koszmar z książki Stephena Kinga.

Rhyme zamierzał zadzwonić do laboratorium, które miało przeprowadzić analizę DNA, ale w chwili, gdy przesunął palec po panelu, by wybrać numer, rozległ się dzwonek telefonu. Kryminalistyk uniósł brew i natychmiast zaznaczył polecenie ODBIERZ.

- Dzień dobry, Kathryn. Wcześniej wstajesz. - W Kalifornii była piąta.

- Trochę wcześniej.

- Coś nowego?

- Znowu widziano Logana - niedaleko miejsca, gdzie zaobserwowano go wcześniej. Właśnie rozmawiałam z Arturo Diazem.

Policjant też wcześniej wstał. To dobry znak.

- Sprawę prowadzi już jego szef, o którym ci wspominałam. Rodolfo Luna.

Okazało się, że Luna jest funkcjonariuszem naprawdę wysokiego szczebla: zastępcą komendanta meksykańskiej Ministerialnej Policji Federalnej, odpowiednika FBI. Dance wyjaśniła, że choć Luna był obarczony mnóstwem zadań związanych z operacjami antynarkotykowymi - i wykorzenianiem korupcji, która pieniała się w agencjach rządowych - skwapliwie skorzystał z szansy, by zatrzymać Zegarmistrza. Prawdopodobieństwo popełnienia zabójstwa w Meksyku nie było żadną sensacją i nie wymagało uwagi kogoś postawionego tak wysoko jak Luna, ale ambitny komendant doszedł do wniosku, że współpraca z

nowojorską policją może mu przynieść punkty u niepewnego sojusznika Meksyku z północy.

- To król życia. Jeździ własnym terenowym lexusem, nosi dwa pistolety... prawdziwy kowboj.

- Ale jest uczciwy?

-Arturo mówił, że czasem wykorzystuje system, ale tak, gra dość uczciwie. I jest dobry. Ma dwadzieścia lat doświadczenia i czasem sam rusza w teren pracować nad sprawą. Sam nawet zbiera dowody.

Rhyme był pod wrażeniem. Kiedy był kapitanem w czynnej służbie i szefował wydziałowi wsparcia dochodzeniowego, robił to samo. Pamiętał wiele sytuacji, gdy jakiś młody technik na dźwięk głosu odwracał się, by z zaskoczeniem ujrzeć szefa szefa swojego szefa w rękawiczkach, trzymającego pęsetę i oglądającego jakieś włókno czy włos.

- Wyrobił sobie reputację, rozpracowując przestępstwa gospodarcze, rozprawiając się z handlarzami żywym towarem i terrorystami. Wsadził za kratki parę grubych ryb.

-1 jeszcze żyje - zauważył Rhyme. Nie była to żartobliwa uwaga. Niedawno zamordowano w Meksyku szefa stołecznej policji.

-Rzeczywiście, ma szczelną ochronę - przyznała Dance.

- Chciałby z tobą porozmawiać - dodała.

- Podaj mi numer.

Dance spełniła prośbę. Dyktowała numer powoli. Poznała Rhyme'a i wiedziała o jego niepełnosprawności. Poruszając palcem wskazującym prawej ręki po panelu dotykowym, wpisywał cyfry, które wyświetlały się na ekranie przed nim.

Następnie Dance poinformowała go, że DE A wciąż przesłuchuje człowieka, który dostarczył Loganowi paczkę.

- Kiedy mówi, że nie wie, co było w środku, kłamie. Oglądałam zapis wideo i dałam agentom kilka rad, jak poprowadzić przesłuchanie. Robotnik podejrzewałby, że

to narkotyki albo pieniądze, i na pewno zajrzały do paczki. Jeżeli jej nie ukradł, to znaczy, że nie było tam ani jednego, ani drugiego. Mają z nim zacząć jeszcze raz.

Rhyme podziękował jej.

- Aha, jeszcze jedno.

-Tak?

Dance podała mu adres strony internetowej. Rhyme wpisał go powoli do przeglądarki.

- Wejdź na tę stronę. Pomyślałam, że chciałbyś zobaczyć Rodolfa. Chyba łatwiej kogoś zrozumieć, gdy potrafisz go sobie wyobrazić.

Rhyme nie wiedział, czy tak naprawdę jest. Ze względu na charakter swojej pracy zwykle widywał niewiele osób. Ofiary nie żyły, a po ich zabójcach zaginął już ślad, gdy Rhyme włączał się do sprawy. Gdyby to od niego zależało, wołałby nikogo nie widywać.

Mimo to, zakończywszy rozmowę z Dance, otworzył jednak stronę. Był to artykuł po hiszpańsku z meksykańskiej gazety na temat, jak się domyślił, dużej akcji przeciw handlarzom narkotyków. Dowodził nią Rodolfo Luna. Na zdjęciu ilustrującym tekst widniał zwalasty mężczyzna w otoczeniu funkcjonariuszy federalnych. Twarze niektórych z nich zasłaniały kominiarki, inni mieli posępne miny i czujne spojrzenie ludzi naznaczonych niebezpieczną pracą.

Luna miał szeroką twarz o ciemnej karnacji. Choć nosił czapkę, wydawało się, że kryje się pod nią ogolona czaszka. Mundur khaki bardziej przypominał wojskowy niż policyjny i był przystrojony mnóstwem błyszczących ozdób. Do tego czarny sumiasty wąs, który ocieniał kanciasto zarysowane szczęki. Paląc papierosa, z groźnym marsem na czole wskazywał na coś z lewej strony.

Rhyme, znów za pomocą panelu, zadzwonił do Meksyku. Mógł skorzystać z systemu rozpoznawania głosu, ale ponieważ częściowo odzyskał zdolność poruszania prawą dłonią, wołał używać środków mechanicznych.

Uzyskanie połączenia wymagało jedynie dodania numeru kierunkowego kraju i po chwili Rhyme rozmawiał już z Luną, który miał zaskakująco łagodny głos z ledwie słyszalnym akcentem, zupełnie niemożliwym do zidentyfikowania. Był oczywiście Meksykaninem, ale jego samogłoski brzmiały nieco z francuska.

-Ach, Lincoln Rhyme. Bardzo mi miło pana słyszeć. Czytałem o panu. I oczywiście mam pana książki. Dopilnowałem, żeby znalazły się w programie szkolenia moich śledczych. - Po krótkiej pauzie spytał: - Proszę wybaczyć, ale czy zamierza pan uaktualnić rozdział o DNA?

Rhyme nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Kilka dni temu właśnie się nad tym zastanawiał.

- Zamierzam. Gdy tylko skończę tę sprawę. Inspektorze... jest pan inspektorem?

- Inspektorem? Przepraszam - odrzekł dobroduszny głos - ale dlaczego wszyscy uważają, że policjanci w każdym kraju poza Stanami Zjednoczonymi to inspektorzy?

- Z najbardziej autorytatywnego źródła informacji o szkoleniu i procedurach organów ścigania - odparł Rhyme. - Z filmów i telewizji.

Chichot.

- Cóż byśmy poczęli, biedni policjanci, gdyby nie kablówka? Ale nie, jestem majorem. W moim kraju stopnie wojskowe i policyjne są często zamienne. Z książki wiem, że pan jest kapitanem w st. sp. Czy to oznacza „w stopniu specjalnym”?

Rhyme parsknął głośnym śmiechem.

- Nie, to oznacza, że jestem w stanie spoczynku.

-Naprawdę? Widzę jednak, że pan pracuje.

- Rzeczywiście. Jestem panu wdzięczny za pomoc przy tej sprawie. To bardzo groźny człowiek.

- Cieszę się, że mogę się przydać. Pana koleżanka, pani Dance, bardzo pomogła w wydaniu nam jednego z

naszych przestępców, mimo silnych nacisków przeciwko ekstradycji.

- Tak, zna się na tym, co robi. - Przeszedł do sedna.

- Podobno widział pan Logana.

- Mój asystent Arturo Diaz i jego zespół zauważyli go wczoraj dwa razy. Wczoraj w hotelu i wcześniej w okolicy - między biurami na alei Bosque de Reforma w dzielnicy biznesowej. Robił zdjęcia budynków. Wzbudził podejrzenia - biurowce trudno uznać za cuda architektury - a funkcjonariusz kierujący ruchem rozpoznał Logana na podstawie fotografii. Ludzie Artura szybko pojechali na miejsce. Ale pański Zegarmistrz ulotnił się, zanim dotarło wsparcie. To nieuchwytny człowiek.

- Dość trafne określenie. Kto zajmuje biura w budynkach, które fotografował?

- Kilkadziesiąt firm. I parę pomniejszych ministerstw. Agencje. Przedsiębiorstwa transportowe i handlowe. Na parterze jednego z nich jest bank. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie przyjechał do Meksyku napadać na banki. Z naszych informacji wynika, że planuje morderstwo.

- Sprawdzamy personel i działalność wszystkich biur, żeby ustalić, czy może tam być potencjalna ofiara. Rhyme wiedział, że świat polityki wymaga subtelnych działań, ale nie miał czasu na finezję, przypuszczał, że Luna także.

- Musi pan nakazać swoim zespołom dyskrecję, majorze. Trzeba zachować dużo większą ostrożność niż zwykle.

- Tak, oczywiście. Ten człowiek ma oko, prawda?

-Oko?

- Coś w rodzaju daru jasnowidzenia. Kathryn Dance mówiła mi, że zachowuje się jak kot. Wyczuje, kiedy grozi mu niebezpieczeństwo.

Nie, pomyślał Rhyme; jest po prostu diablo inteligentny i potrafi przewidzieć ruch swoich przeciwników. Jak arcymistrz szachowy. Odparł jednak:

- Zgadza się co do joty, majorze.

Rhyme patrzył na fotografię Luni na monitorze. Dance miała rację: rozmowę lepiej się prowadzi, gdy ma się przed oczami twarz rozmówcy.

- Też mamy u siebie takich. - Luna znów zachichotał. - Prawdę mówiąc, jestem jednym z nich. Jeszcze żyję, w przeciwieństwie do wielu moich kolegów. Będziemy dalej prowadzić obserwację - dyskretnie. Kiedy go zatrzymamy, może będzie pan chciał przyjechać i uczestniczyć w ekstradycji, kapitanie.

- Rzadko wychodzę z domu.

Chwila ciszy, a potem poważnym tonem:

- Ach, proszę wybaczyć. Zapomniałem o pańskim urazie.

O tym nigdy nie potrafię zapomnieć, pomyślał z równą powagą Rhyme.

- Nie trzeba przepraszać, majorze.

- W każdym razie jesteśmy tu w Meksyku... jak to się mówi?... jesteśmy do usług. Będzie pan tu zawsze mile widziany. Może się pan zatrzymać w moim domu, razem z żoną chętnie pana ugościmy. Nie mam żadnych schodów, które mogłyby sprawić panu kłopot.

- Zobaczymy.

- Żona świetnie gotuje, a ja mam kolekcję mescalalu i tequila.

- Wobec tego uroczysta kolacja może być bardzo na miejscu - rzekł Rhyme, aby go udobruchać.

- Kiedy zatrzymam tego człowieka, zasłużę sobie na pańskie odwiedziny... i być może wygłosi pan wykład dla moich funkcjonariuszy.

Rhyme zaśmiał się w duchu. Nie zdawał sobie sprawy, że to negocjacje. Gdyby się pojawił w Meksyku, Luna uznałby to za swój sukces; był to jeden z powodów, dla których tak chętnie współpracował.

Zapewne w ten sposób funkcjonowało w Ameryce Łacińskiej wszystko - od organów ścigania po handel.

- Z przyjemnością. - Unosząc wzrok, Rhyme zobaczył Thoma, który dawał mu tajemnicze znaki i wskazywał na korytarz.

- Panie majorze, muszę kończyć.

- Jestem wdzięczny, że się pan ze mną skontaktował, kapitanie. Odezwę się, gdy tylko się czegoś dowiem. Nawet gdyby to miało być coś nieistotnego, na pewno zadzwonię.

Rozdział 26

T

hom znów wprowadził do laboratorium energicznego i zadbanego agenta specjalnego, wiceszefa biura FBI Tuckera McDaniela w towarzystwie młodego, świetnie ubranego współpracownika, stanowiącego jego doskonale uzupełnienie, którego nazwiska Rhyme natychmiast zapomniał. Zresztą i tak łatwiej było nazywać go Młodym. Agent zdumiał się na widok sparaliżowanego kryminalistyka i szybko odwrócił wzrok.

- Wyeliminowaliśmy z listy jeszcze kilka nazwisk - oznajmił McDaniel. - Ale mamy coś jeszcze. List z żądaniami.

- Od kogo? - zapytał Lon Sellitto znad stołu do badań, gdzie utkwiał jak sflaczała piłka. - Od terrorystów?

- Autor jest anonimowy i nieustalony - odparł wiceszef biura federalnych, wymawiając z patosem każdą sylabę. Rhyme zastanawiał się, czy rzeczywiście nie lubi tego człowieka tak, jak mu się wydawało. Jedną z przyczyn antypatii był sposób, w jaki McDaniel potraktował Freda Dellraya. Drugą jego sposób bycia. A czasami oczywiście żaden powód nie był potrzebny.

Strefa cienia...

- Brzmi jak wiadomość od jakiegoś ekomaniaka - ciągnął agent - ale kto wie, co się za tym naprawdę kryje.

- To na pewno on? - zapytał doprawdy nieświetnie ubrany Sellitto.

Po zamachu, który z pozoru był pozbawiony motywów, często

przyznawało się do niego wiele osób i groziło powtórny atakiem, jeżeli nie zostaną spełnione ich żądania, mimo że w rzeczywistości nie mieli z nim nic wspólnego.

- Potwierdził szczegóły zamachu na autobus - odparł chłodno McDaniel. - Naturalnie że to sprawdziliśmy.

Jego protekcjonalny ton wyjaśniał niechęć Rhyme'a.

- Kto dostał list i w jaki sposób? - spytał Rhyme.

- Andi Jessen. Sama przekaże wam szczegóły. Chciałem, żebyście go jak najszybciej zobaczyli.

Przynajmniej federalny nie prowadził z nimi wojny o wpływy. Ten fakt nieco złagodził antypatię Rhyme'a.

- Poinformowałem burmistrza, Waszyngton i Bezpieczeństwo Krajowe. W drodze do was odbyliśmy konferencję.

Choć bez naszego udziału, zauważył Rhyme.

Federalny otworzył aktówkę i wyjął arkusz papieru w przezroczystej plastikowej kopercie. Rhyme skinął głową Melowi Cooperowi, który w rękawiczkach wyciągnął list i położył na stole. Najpierw go sfotografował, a po chwili odręcznie napisany tekst ukazał się na wszystkich monitorach w pokoju.

Do Andi Jessen, prezesa Algonquin Consolidated Power Wczoraj około 11.30 doszło do wyładowania łukowego na podstacji MH-10 na Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej na Manhattanie, stało się to w wyniku przymocowania kabla Benningtona z szyno przewodem dwoma śrubami widelkowymi do linii za wyłącznikiem. Po odłączeniu czterech podstacji i zwiększeniu przepustowości wyłączników łuk wywołał przeciążenie prawie dwustu tysięcy woltów.

Incydent stał się wyłącznie z waszej winy, z powodu waszej chciwości i egoizmu. To karygodne zachowanie, typowe dla branży energetycznej. Enron zrujnował ludziom finanse, a wasza firma rujnuje nam życie i życie ziemi. Wykorzystujecie energię elektryczną bez względu na konsekwencje i niszczyacie nasz świat, perfidnie opanowując nasze życie jak wirus, żeby nas uzależnić od tego co nas zabija.

Ludzie muszą się dowiedzieć, że nie potrzebują tyle prądu, ile im wmawiacie. Musicie pokazać im drogę. Dzisiaj o 12.30 na pół godziny przeprowadzicie kontrolowane obniżenie napięcia w sieci dystrybucyjnej w

Nowym Jorku - do poziomu pięćdziesięciu procent obciążenia poza szczytowego. Jeżeli tego nie zrobicie, o pierwszej zginie więcej ludzi.

Rhyme ruchem głowy wskazał telefon i powiedział do Sachs:

- Dzwon do Andi Jessen.

Po chwili w głośniku rozległ się głos prezeski.

- Detektyw Sachs? Słyszała pani?

- Tak, jestem z Lincolnem Rhyme'em i kilkoma osobami z FBI i policji. Przynieśli list.

Rhyme usłyszał ton tłumionego gniewu, gdy Jessen spytała:

- Kto za tym stoi?

- Nie wiemy - odrzekła Sachs.

- Musicie mieć jakieś przypuszczenia.

McDaniel przedstawił się i powiedział:

- Śledztwo jest w toku, ale nie mamy jeszcze żadnego podejrzanego.

- A ten człowiek w kombinezonie, który wczoraj rano był w barze niedaleko przystanku autobusowego?

- Nie znamy jego tożsamości. Sprawdzamy listę, którą otrzymaliśmy od pani. Nie znaleźliśmy jednak jeszcze potencjalnie podejrzaną osobę.

- Pani Jessen, tu detektyw Sellitto, policja Nowego Jorku. Możecie to zrobić?

-Co?

- To, czego żąda. Mówię o zmniejszeniu zasilania.

Rhyme nie widział niczego złego w zabawie w kotka i myszkę z przestępcą, jeśli tylko negocjacje dawały im czas na analizę dowodów albo prowadzenie obserwacji terrorysty. Decyzja nie należała jednak do niego.

- Tu jeszcze raz Tucker, pani Jessen. Zdecydowanie odradzamy negocjacje. To na dłuższą metę zachęca ich do eskalacji żądań. - Wbił wzrok w grubego detektywa, który także patrzył mu prosto w oczy.

- Mielibyśmy chwilę wytchnienia - obstawał przy swoim Sellitto.

Agent wahał się, być może zastanawiając się, czy sensownie będzie ujawniać odrębne stanowisko. Mimo to oznajmił:

- Jednak stanowczo odradzam negocjacje.

-To nawet nie wchodzi w grę - odrzekła Andi Jessen. - Zmniejszenie napięcia do pięćdziesięciu procent obciążenia poza szczytem w całym mieście? To nie to samo co przesunięcie suwaka w regulatorze oświetlenia. Zakłóciłibyśmy rozkład obciążenia w całej sieci Northeastern Interconnection. W kilkudziesięciu miejscach doszłoby do spadku i zaniku napięcia. Mamy miliony klientów z systemami on/off, które wyłączają się przy takim spadku zasilania. Dojdzie do utraty danych i zresetowania urządzeń. Nie można ich po prostu włączyć; przeprogramowanie potrwa parę dni, a wielu danych nigdy nie uda się odzyskać.

Najgorsze jednak jest to, że nie wszystkie systemy, od których zależy ludzkie życie, mają awaryjne zasilanie akumulatorowe czy generatorowe. Niektóre szpitalne systemy nie funkcjonują za dobrze. Mogą umrzeć ludzie. A więc autor listu miał rację w jednym punkcie, pomyślał Rhyme. Energia elektryczna, Algonquin i producenci energii rzeczywiście opanowały nasze życie. Jesteśmy uzależnieni od prądu.

- Sami widzicie - rzekł McDaniel. - Nie można tego zrobić.

Sellitto skrzywił się, a Rhyme spojrzał na Sachs.

- Parker?

Skinęła głową, po czym przewinęła listę kontaktów w komórce, aby znaleźć numer i adres e-mailowy Parkera Kincaida z Waszyngtonu. Były agent FBI pracował jako prywatny konsultant i w opinii Rhyme'a był najlepszym analitykiem dokumentów w kraju.

- Od razu wyślę. - Usiadła przed jednym z komputerów, napisała wiadomość, zeskanowała list i wysłała.

Sellitto otworzył telefon i skontaktował się z policyjnym wydziałem antyterrorystycznym oraz ESU, miejską jednostką specjalną, aby ich poinformować, że na trzynastą jest planowany następny zamach.

Rhyme odwrócił głowę w stronę telefonu.

- Pani Jessen, tu znowu Lincoln. Chodzi o listę pracowników, którą dała pani wczoraj detektyw Sachs.

-Tak?

- Mógłbym dostać próbki ich charakteru pisma?

- Wszystkich?

- Jeżeli można. Jak najszybciej.

- Przypuszczam, że da się to zrobić. Mamy podpisane przez prawie wszystkich oświadczenia o zachowaniu poufności. Może formularze medyczne, wnioski, rozliczenie kosztów.

Rhyme odnosił się sceptycznie do własnoręcznych podpisów jako próbek charakteru pisma. Choć nie był grafologiem, nie można pracować na stanowisku szefa wydziału kryminalistycznego bez przynajmniej pobieżnej wiedzy z tej dziedziny. Wiedział, że ludzie zazwyczaj mało starannie zapisują własne nazwisko (co było bardzo złą praktyką, ponieważ niedbały podpis łatwiej podrobić niż staranny). Notatki i informacje zapisują jednak nieco czytelniej, dlatego stanowiły bardziej miarodajną próbkę ich charakteru pisma. Powiedział o tym Jessen, która obiecała zlecić kilku swoim podwładnym odnalezienie jak największej liczby takich zapisków. Nie była zadowolona, lecz odnosiło się wrażenie, że powoli traci niezachwiane przekonanie, iż żaden pracownik Algonquin nie mógł być zamieszany w zamach.

Rhyme odwrócił się od telefonu i zawołał:

- Sachs! Dodzwoniłaś się do Parkera? Co się dzieje?

Skinęła głową.

- Jest na jakimś spotkaniu. Właśnie mnie łączy.

Kincaid był samotnym ojcem dwojga dzieci, Robby'ego i Stephanie, który starał się zachowywać równowagę

między życiem osobistym a zawodowym - dla dzieci zrezygnował z pracy w FBI i został konsultantem takim jak Rhyme. Rhyme wiedział jednak, że dla takiej sprawy Kincaid natychmiast rzuci wszystko i zrobi, co można, żeby im pomóc.

Kryminalistyk wrócił do rozmowy z prezeską.

- Pani Jessen, czy może pani zeskanować te próbki i wysłać je pod...? - Pytająco uniósł brew, a Sachs podała mu adres e-mailowy Parkera Kincaida.

- Zapisałam - powiedziała Jessen.

- To chyba branżowe terminy, prawda? - spytał Rhyme. - „Kontrolowane obniżenie napięcia”, „zrzut obciążenia”, „sieć dystrybucyjna”, „obciążenie pozaszczytowe”.

- Zgadza się.

- Czy to nam daje bardziej szczegółowe informacje na jego temat?

- Nie bardzo. To techniczne aspekty, ale jeżeli potrafił przestawić komputer i skonstruować pułapkę, musiałyby je znać. Każdy energetyk je zna.

- Jak pani dostała list?

- Przyniesiono mi go do domu.

- Pani adres jest dostępny?

- Nie ma mnie w książce telefonicznej, ale sądzę, że da się mnie znaleźć.

- Proszę opowiedzieć dokładnie, jak go pani dostała - dążył Rhyme.

- Mieszkam w budynku z portierem na Upper East Side. Ktoś zadzwonił do tylnego wejścia do holu. Portier poszedł zobaczyć, a kiedy wrócił, list leżał na jego biurku. Miał adnotację: „Pilne. Natychmiast doręczyć Andi Jessen”.

- W budynku są kamery? - zapytał Rhyme.

- Nie.

- Kto dotykał listu?

- Portier. Ale tylko koperty. Wysłałam po list gońca z firmy, więc on też go dotykał. No i oczywiście ja.

McDaniel chciał coś powiedzieć, ale Rhyme go ubiegł.

- Przesyłka była bardzo pilna, więc osoba, która go dostarczyła, musiała wiedzieć, że ma pani portiera. Żeby list dotarł do pani natychmiast.

McDaniel skinął głową. Widocznie zamierzał wygłosić tę samą uwagę. Młody także z zapalem kiwał głową, jak piesek za tylną szybą samochodu.

- Chyba ma pan rację - odrzekła po chwili. W jej głosie wyraźnie było słychać niepokój. - Czyli coś o mnie wie. Może nawet dużo.

- Ma pani ochroniarza? - zapytał Sellitto.

- Tylko szefa naszego działu bezpieczeństwa, w pracy. Berniego Wahla. Poznała go pani, detektyw Sachs. Ma czterech uzbrojonych strażników na każdej zmianie. Ale w domu nie. Nigdy nie sądziłam...

- Postawimy pod pani mieszkaniem kogoś ze służby patrolowej - obiecał Sellitto. Gdy dzwonił, McDaniel spytał:

- Pani rodzina w okolicy? Powinniśmy też przydzielić im kogoś do ochrony.

W głośniku na moment zaległa cisza.

- Po co?

- Może próbować wykorzystać pani krewnych w celu zwiększenia presji.

- Och. - Szorstki głos Jessen zabrzmiał dość słabo na sugestię, że jej bliskim może się stać krzywda. - Moi rodzice mieszkają na Florydzie.

- Ma pani brata, prawda? - odezwała się Sachs. - Zdaje się, że widziałam go na zdjęciu na pani biurku.
- Brata? Rzadko się kontaktujemy. Poza tym też tu nie mieszka.
- Przerwał jej czyjś głos. Po chwili Jessen odezwała się ponownie:
- Przepraszam, ale dzwoni do mnie gubernator. Właśnie dostał wiadomość. W głośniku rozległ się trzask i prezeska Algonquin się rozłączyła. -No. - Sellitto uniósł dłonie. Jego wzrok prześliznął się po McDanielu, ale spoczął na Rhymie. - To teraz sprawa jest cholernie prosta.
- Prosta? - zdumiał się Młody.
- Aha. - Sellitto wskazał głową cyfrowy zegar na monitorze komputera. - Jeżeli nie możemy negocjować, pozostaje nam tylko jedno. Trzeba go złapać. W ciągu niecałych trzech godzin. Co to dla nas.

Rozdział 27

M

el Cooper i Rhyme pracowali nad analizą listu. Przed kilkoma minutami przyjechał Ron Pulaski. Lon Sellitto popędził do centrum koordynować akcję z ESU, gdyby udało się im zidentyfikować podejrzanego albo znaleźć prawdopodobny cel ataku.

Tucker McDaniel oglądał list z żądaniami jak egzotyczne danie, którego nigdy dotąd nie widział. Rhyme przypuszczał, że zapisana kartka papieru nie leżała w kręgu zainteresowania służb badających strefę cienia. Stanowiła antytezę nowoczesnej komunikacji. Ich komputery i skomplikowane systemy śledzące były bezradne wobec papieru i atramentu.

Rhyme zerknął na odręcznie napisany list. Wiedział ze szkolenia i ze współpracy z Parkerem Kincaidem, że charakter pisma nie ujawnia żadnych cech osobowości, bez względu na to, co twierdziły książki ze stojaka przy kasie w supermarketach i telewizyjni eksperci. Analiza mogła oczywiście rozstrzygnąć wątpliwości, jeśli

dysponowało się inną zidentyfikowaną próbką porównawczą, aby ustalić, czy autor jednego i drugiego dokumentu to ten sam człowiek. Parker Kincaid zapewne właśnie to robił, przeprowadzając wstępne porównanie z próbkami pisma znanych osób, podejrzanych o terroryzm - i porównując je z notatkami sporządzonymi przez pracowników Algonquin, którzy znaleźli się na liście.

Charakter pisma i treść mogły także zdradzić prawo- lub leworęczność, poziom wykształcenia, narodowość i pochodzenie, schorzenia fizyczne i psychiczne oraz stan upojenia alkoholowego lub odurzenia narkotykami.

Rhyme'a interesowały jednak inne aspekty analizy listu: źródło pochodzenia papieru, źródło pochodzenia atramentu, odciski palców i mikroślady osadzone na włóknach.

Gruntowne badanie, przeprowadzone przez Coopera, nie przyniosło absolutnie żadnego istotnego wyjaśnienia w tych sprawach.

Papier i atrament były zwyczajne - mogły pochodzić z jednego z tysięcy sklepów. Na samym liście znaleźli tylko odciski palców Andi Jessen, a na kopercie odcisk gońca i portiera; agenci McTuckera pobrali próbki ich odcisków i przekazali Rhyme'owi.

To na nic, pomyślał z goryczą Rhyme. Jedyne wnioski były takie, że sprawca jest inteligentny. I ma rozwinięty instynkt przetrwania.

Ale dziesięć minut później nastąpiło coś w rodzaju przełomu.

Parker Kincaid zadzwonił ze swojego biura analiz dokumentów w Fairfax w stanie Wirginia.

- Lincoln?

- Parker, co masz?

- Po pierwsze, porównanie charakterów pisma - zaczął Kincaid. - Z Algonquin dostałem bardzo skąpe próbki, dlatego nie mogłem zrobić pełnej analizy.

- Rozumiem.

-Ale zawęziłem listę do dwunastu pracowników.

- Dwunastu. Świetnie.
 - Podyktuję wam nazwiska. Mogę?
- Rhyme zerknął na Coopera, który skinął głową. Technik zapisał wszystkie nazwiska, wymienione przez Kincaida.
- Mogę wam podać o nim kilka szczegółów. Po pierwsze, jest praworęczny. Na podstawie języka i sformułowań, jakich używa, można ustalić parę faktów.
 - Mów.
- Na znak Rhyme'a Cooper podszedł do tablicy z profilem sprawcy.
- Skończył szkołę średnią i prawdopodobnie jakiś college. I uczył się w Ameryce. Jest parę błędów stylistycznych i interpunkcyjnych, ale przede wszystkim w przypadku trudniejszych konstrukcji. Przypuszczam, że z powodu stresu wywołanego tym, co robi. Prawdopodobnie urodził się w Stanach. Nie potrafię ze stuprocentową pewnością wykluczyć obcego pochodzenia, ale jego pierwszym i chyba jedynym językiem jest angielski.
- Cooper zanotował wszystkie informacje.
- Jest też dość inteligentny - ciągnął Kincaid. - Nie pisze w pierwszej osobie i unika konstrukcji osobowych. Rhyme zrozumiał.
- _ Nie zdradza niczego o sobie.
- Otóż to.
 - Sugerując, że ktoś jeszcze może z nim współpracować.
 - Jest taka możliwość. Zauważyłem zróżnicowania elementów **nadlinijnych** i podlinijnych. Świadczy to o pobudzeniu emocjonalnym **piszącego**. Złość czy cierpienie powodują silniejsze zaznaczenie tych **linii**.
 - Dobrze. - Rhyme skinął głową Cooperowi, który zanotował to na tablicy.
 - Dzięki, Parker. Zabieramy się do pracy.
- Rozłączyli się.
- Dwunastu - westchnął Rhyme. Spojrzał na tablice **dowodów** i profilu sprawcy, a potem na nazwiska

podejrzanych. - Nie ma sposobu, żeby szybciej zawęzić listę? - spytał z goryczą, patrząc, jak zegar odlicza kolejną minutę zbliżającą ich do wyznaczonej godziny.

Miejsce zdarzenia: Podstacja Algonquin Manhattan-10, 57. Zachodnia

Ofiara śmiertelna: Luis Martin, zastępca kierownika sklepu muzycznego Brak odcisków palców na jakiegokolwiek powierzchni Odłamki metalu stopionego w wyniku wyładowania łukowego Izolowany kabel wielożyłowy, aluminiowy, 0 AWG Bennington Electrical Manufacturing, AM-MV-60, maksymalne napięcie 60 000 V Przycięty ręcznie piłą do metalu, nowy brzeszczot, złamany żąb Dwie śruby widełkowe, z otworami średnicy ³A cala

Nie do zidentyfikowania Na śrubach charakterystyczne ślady po narzędziach Mosiężny szynoprzewód, przymocowany do kabla dwiema śrubami 'A cala

Żaden z przedmiotów nie do zidentyfikowania ślady butów

Albertson-Fenwick, model E-20 do pracy przy instalacjach elektrycznych, rozmiar 11 Metalowa kratownica, przecięta przez sprawcę w celu przedostania się do stacji, charakterystyczne ślady po szczypcach przegubowych do drutu Kłapa wjazdu z futryną z piwnicy Zebrane DNA, przestane do badania Greckie danie, taramosalata Jasny wtos długości 2,5 cm, naturalny, pochodzący od osoby 50-letniej lub młodszej, znaleziony w barze naprzeciw budynku podstacji Wystany do analizy chemiczno-toksykologicznej Ślady mineralne: popiół wulkaniczny

Niewystępujący w Nowym Jorku w stanie naturalnym Wystawy, muzea, instytuty geologii? Wejście do systemu komputerowego w centrum sterowania Algonquin za pomocą wewnętrznych kodów dostępu, brak udziału hakerów z zewnątrz

List z żądaniami

Dostarczony do domu Andi Jessen Brak świadków
Napisany ręcznie

Przestany do Parkera Kincaida do analizy Zwykły papier i atrament Nie do zidentyfikowania

Brak odcisków palców oprócz odcisków A. Jessen, portiera i gońca Brak zauważalnych mikroślądów na papierze

Profil N.N. sprawcy

Mężczyzna Czterdzieści kilka lat Prawdopodobnie biały
Może nosić okulary i czapkę Może mieć krótkie włosy blond

Granatowy kombinezon, podobny do strojów roboczych pracowników Algonquin Świetnie zna się na układach elektrycznych Ślady butów nie wykazują schorzeń wpływających na postawę ciała i chód Prawdopodobnie ta sama osoba, która skradła 75 metrów podobnego przewodu Benningtona i 12 śrub widełkowych. Plan kolejnych zamachów? Magazyn, w którym dokonano kradzieży, otwarty kluczem Możliwe, że jest pracownikiem Algonquin albo ma kontakt z kimś z personelu Powiązania z terroryzmem? Z organizacją „Sprawiedliwość dla [nieznanej]”? Z grupą terrorystyczną? Udział kogoś o imieniu Rahman? Zaszyfrowane informacje o naktadach pieniężnych, przepływach osób i czymś „dużym” Możliwy związek z nielegalnym wejściem do budynku podstacji Algonquin w Filadelfii Trafienia SIGINT: kryptonim „artykuły papiernicze”, oznaczający broń (palną, materiały wybuchowe?) Udział mężczyzny i kobiety

Musiał się uczyć obsługi systemu SCADA - programu zbierania danych i nadzorowania pracy sieci; oraz EMP - programów zarządzania energią. Algonquin korzysta z programu Enertrol. Obydwa działają w środowisku Unix Aby wywołać tuk elektryczny, musiał prawdopodobnie pracować, dawniej lub obecnie, jako monter linii, specmonter, główny elektryk, konstruktor generatorów, elektryk w wojsku

Profil od Parkera Kincaida na podst. charakteru pisma:
Praworęczny

Co najmniej średnie wykształcenie, prawdopodobnie college Wykształcony w USA

Angielski to pierwszy i prawdopodobnie jedyny język

Pisze bezosobowo, aby nie ujawniać współników

Może być jednym z 12 pracowników Algonquin

Podczas pisania listu pobudzony emocjonalnie, zdenerwowany lub rozgniewany

Rozdział 2R

S

iedzący przed komputerem Md Cooper nagle się wyprostował.

- Chyba mam.

- Co masz?-spytał szorstko Rhyme.

- Sposób na zawężenie listy. - Cooper jeszcze bardziej zbliżył twarz do **monitora** i nasunął okulary na grzbiet nosa, czytając e-mail.

- Włos. **Ten**,który mamy z baru naprzeciwko podstacji.

- Był bez cebulki, więc nie ma DNA - zauważył opryskliwym tonem **Rhyme**. Wciąż się irytował, że nie przysłano jeszcze wyników analizy.

- Nie mówię o tym, Lincoln. Właśnie dostałem wyniki badania **toksykologiczno**-chemicznego tego włosa. Spore ilości winblastyny i prednizonu, są też ślady etopozydu.

- Pacjenlz nowotworem - powiedział Rhyme, wychylając naprzód głowę - odwzorowując na swój sposób zmianę pozycji ciała Coopera.

- Na chemioterapii.

- Nie da się ukryć.

Młody protegowany McDaniela z FBI parsknął krótkim śmiechem.

- Skądpan to wie? - Zwracając się do szefa, dodał: - To nieźle.

- Zdziwilibyście się - powiedział Ron Pulaski.

Rhyme zignorował ich obu.

- **Dzwońcie** do Algonquin i sprawdźcie, czy któraś z tych dwunastu osób na liście składała wniosek do ubezpieczyciela o refundację leczenia raka w ciągu ostatnich pięciu, sześciu miesięcy.

Sachs zadzwoniła do Algonquin. Andi Jessen rozmawiała z kimś przez **telefon**-zapewne z gubernatorem albo burmistrzem - więc Sachs została połączona z szefem ochrony przedsiębiorstwa, Bernardem

Wahlem. Głęboki głos Afroamerykanina w głośniku zapewnił ją, że natychmiast to sprawdzi.

Spełnił obietnicę nie całkiem natychmiast, lecz Rhyme nie zdążył się zniescierpliwzić. Po trzech minutach Wahl odezwał się ponownie.

- Na oryginalnej liście - czterdziestu dwóch nazwisk - jest sześć osób chorych na raka. Ale tylko dwie na liście dwunastu - tych, których charakter pisma może pasować do listu. Jeden z tych ludzi jest menedżerem w dziale sprzedaży i podobno w chwili zamachu wracał samolotem z podróży służbowej. - Wahl podał im niezbędne informacje. Mel Cooper zanotował je i na znak Rhyme'a zadzwonił do linii lotniczych, aby to sprawdzić. Administracja Bezpieczeństwa Transportu stała się mimowolnie partnerem organów ścigania, ponieważ ze względu na wprowadzone przez nią rygorystyczne wymogi identyfikacji pasażerów, można było bez trudu potwierdzić miejsce pobytu podróżujących.

- Wszystko się zgadza.

- A ten drugi człowiek?

- Tak, jest pewne prawdopodobieństwo. Raymond Galt, czterdzieści lat. W ciągu zeszłego roku składał wnioski o refundację leczenia białaczki.

Rhyme posłał krótkie spojrzenie Sachs, która instynktownie zrozumiała jego znaczenie. Często porozumiewali się w ten sposób. Usiadła przy komputerze i zaczęła stukać w klawisze.

- Jak wyglądał przebieg jego pracy zawodowej? - spytał Rhyme.

- Zaczynał u konkurencji na Środkowym Zachodzie - odparł Wahl. - Potem przeszedł do Algonquin.

- Konkurencji?

Chwila ciszy.

- No, to niezupełnie tak jak u producentów samochodów. Tak nazywamy inne firmy energetyczne.

- Co Galt u was robi?

- Jest specmonterem - odparł Wahl.

Rhyme patrzył na profil sprawcy na monitorze. Zdaniem Charliego Sommersa, specmonter miał odpowiednie doświadczenie, by skonstruować broń wywołującą łuk elektryczny, taką jak pułapka w podstacji.

- Mel, zajrzyj do akt Galt - poprosił. - Mógł się znać na systemie SCADA i programie EMP?

Cooper otworzył teczkę personalną.

- Nie ma tu konkretnej informacji na ten temat. Tylko tyle, że brał udział w wielu kursach doszkalających.

- Panie Wahl, Galt jest żonaty, samotny? - pytał dalej Rhyme.

- Samotny. Mieszka na Manhattanie. Chce pan jego adres?

-Tak.

Wahl podał im adres.

- Mówi Tucker McDaniel. Gdzie teraz przebywa Galt? - spytał McDaniel.

- Z tym właśnie problem. Dwa dni temu zawiadomił firmę, że jest chory. Nikt nie wie, gdzie jest.

- Może ostatnio gdzieś wyjeżdżał? Na Hawaje albo do Oregonu? Gdzieś, gdzie jest jakiś wulkan?

- Wulkan? Dlaczego?

Usiłując opanować zniecierpliwienie, Rhyme poprosił:

- Proszę tylko odpowiedzieć. Wyjeżdżał?

- Według jego kart czasu pracy, nie. Brał kilka dni zwolnienia chorobowego - chyba z powodu terapii nowotworowej - ale od zeszłego roku nie był na urlopie.

- Mógłby pan zapytać jego współpracowników, czy wiedzą, w jakich miejscach bywał, z kim spoza firmy się spotykał, czy należy do jakiejś grupy towarzyskiej?

- Oczywiście.

Myśląc o greckim daniu, Rhyme dodał:

-1 czy regularnie jada z kimś lunch.

- Oczywiście.

- Panie Wahl, co wiadomo o najbliższej rodzinie Galta? - zapytał McDaniel.

Wahl odrzekł, że ojciec Galta nie żyje, ale matka i siostra mieszkają w Missouri. Podał im nazwiska, adresy i numery telefonów.

Rhyme - tak jak McDaniel - nie miał już więcej pomysłów, o co spytać szefa ochrony. Kryminalistyk podziękował mu i zakończyli rozmowę.

McDaniel polecił swojemu podwładnemu skontaktować się z agencją FBI w Cape Girardeau w Missouri, aby rozpoczęli obserwację.

- Jest uzasadnione podejrzenie, żeby założyć podsłuch? - spytał Młody.

- Wątpię. Ale spróbuj zdobyć nakaz. Przynajmniej na rejestrator połączeń.

- Robi się.

- Rhyme! - zawołała Sachs.

Uniósł wzrok na ekran, gdzie ukazały się owoce jej gorączkowego stukania w klawiaturę. Zdjęcie z wydziału komunikacji przedstawiało bladego mężczyznę, patrzącego bez uśmiechu w obiektyw. Miał jasne, krótko przycięte włosy. Na długość około dwóch centymetrów.

- No więc mamy podejrzanego - powiedział McDaniel. - Dobra robota, Lincoln.

- Będziemy sobie gratulować, kiedy się znajdzie w areszcie.

Następnie przymrużył oczy, by przeczytać informacje z wydziału komunikacji, które potwierdziły adres.

- Mieszka na Lower East Side?... Niewiele tam college'ow i muzeów. Wydaje mi się, że popiół wulkaniczny pochodzi z okolicy, gdzie zamierza przeprowadzić atak. Może z samego celu. I zależy mu na miejscu publicznym, na mnóstwie ludzi.

Na mnóstwie ofiar...

Rzut oka na zegar. Było wpół do jedenastej.

- Mel, skontaktuj się jeszcze raz ze swoim ekspertem geologiem w centrali. Trzeba działać!

- Robi się.

- Zadzwońę do sędziego w sprawie nakazu - powiedział McDaniel. -1 będę miał w pogotowiu zespół szturmowy, żeby zrobić nalot na mieszkanie Galta.

Rhyme skinął głową i połączył się z Sellitem, który był jeszcze w drodze do ratusza.

- Właśnie zostawiłem za sobą jakieś pięćsetne światła, Line - zadudnił w głośniku głos detektywa. - Jeżeli gnojek wyłączy sieć i światła padną, mamy przerąbane. Nie da rady...

- Słuchaj, Lon - przerwał mu Rhyme. - Mamy nazwisko. Raymond Gait. Jest speemonterem w Algonquin. Nic pewnego, ale możliwe, że to on. Mel wyśle ci e-mailem szczegóły.

Cooper, rozmawiając równocześnie przez telefon o poszukiwaniu materiałów wulkanicznych, zaczął wstukiwać do komputera najważniejsze informacje o podejrzanym.

- Zaraz tam wyślę oddział ESU! - zawołał Sellitto.

- Wysyłamy naszą brygadę - włączył się szybko McDaniel.

Jak uczniaki, pomyślał Rhyme.

- Tu chyba mało istotne, kto pojedzie. Ważne, żeby szybko.

Prowadząc telekonferencję przez głośnik, detektyw i agent uzgodnili wspólną operację, ustalając, że każdy zbierze i wyeksponuje zespoły szturmowe.

- Zbliży się wyznaczona godzina - ostrzegł Rhyme - więc prawdopodobnie nie będzie go w domu. Jeżeli mam rację, chcę, żeby mieszkanie Galta przeszukał tylko członek mojego zespołu.

- Nie ma sprawy - uspokoił go McDaniel.

- Ja? - Sachs pytająco uniosła brew.

- Nie. Jeżeli znajdziemy jakieś wskazówki na temat następnego zamachu, pojedziesz tam. - Zerknął na Pułaskiego.

- Ja? - Ten sam zaimek, lecz zupełnie inny ton.

-Zbieraj się, nowy. I pamiętaj...

- Wiem - odrzekł Pułaski. - Temperatura łuku przekracza dwa i pół tysiąca stopni. Będę ostrożny.

Rhyme parsknął krótkim śmiechem.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś niczego nie spieprzył... No, ruszaj.

Rozdział 29

M

nóstwo metalu. Wszędzie metal.

Ron Pułaski zerknął na zegarek. Jedenasta. Dwie godziny do następnego zamachu.

Metal... cudowny przewodnik, możliwe, że podłączony do przewodów biegnących do niewidzialnych źródeł prądu w trzewiach nędznego budynku mieszkalnego, w którym właśnie stał.

Zespoły FBI i ESU, uzbrojone w nakaz, odkryły - ku rozczarowaniu wszystkich, lecz ku niczyjemu zaskoczeniu - że Galta nie ma w domu. Następnie Pułaski wygonił funkcjonariuszy, aby przeprowadzić

ogłędziny ciemnego mieszkania w suterenie starej, rozpadającej się kamienicy przy Lower East Side. Sprawdził je razem z trzema funkcjonariuszami z brygady specjalnej - zrobili to tylko we czwórkę na polecenie Rhyme'a, by zminimalizować ryzyko zanieczyszczenia miejsca.

Brygada została na zewnątrz, a Pułaski badał niewielkie mieszkanie sam. I widział masę metalu, który mógł być pułapką jak tamten akumulator w podstacji - który omal nie zabił Amelii.

W wyobraźni widział metalowe krążki na chodniku, wryte w beton i zatopione w ciele młodego Luisa Martina. Przypomniawszy sobie coś jeszcze, coś znacznie bardziej niepokojącego: lęk w oczach Amelii Sachs. Nigdy nie widział w nich takiego wyrazu. Jeżeli to elektryczne cholerstwo potrafi ją przestraszyć...

Poprzedniego wieczoru, gdy jego żona Jenny położyła się spać, Ron Pułaski zaczął szukać w Internecie informacji na temat energii elektrycznej. Lincoln Rhyme mówił mu kiedyś, że jeśli coś zrozumiesz, mniej się tego boisz. Wiedza daje kontrolę. Tyle że w wypadku prądu elektrycznego było zupełnie inaczej. Im więcej się dowiadywał, tym większe obawy go ogarniały. Rozumiał podstawowe pojęcia, ale uporczywie wracała do niego myśl, że prąd jest niewidzialny. Nigdy dokładnie nie wiadomo, gdzie jest. Jak jadowity wąż w ciemnym pokoju.

Otrząsnął się z ponurych rozważań. Lincoln Rhyme powierzył mu przeprowadzenie oględzin. Trzeba się brać do pracy. W drodze zadzwonił do Rhyme'a z pytaniem, czy chce mieć z nim łączność audio i wideo podczas przeszukiwania mieszkania, jak czasem z Amelią.

- Jestem zajęty, nowy - odparł Rhyme. - Jeżeli nie umiesz jeszcze zrobić tego sam, nie ma już dla ciebie żadnej nadziei.

Trzask.

Niejeden poczytywałby to sobie za obrazę, ale na twarzy Pułaskiego słowa Rhyme'a wywołały szeroki uśmiech. Miał ochotę zadzwonić do swojego brata bliźniaka, służącego na szóstym posterunku, i o wszystkim mu opowiedzieć. Oczywiście nie zadzwonił; zachowa to na weekend, gdy pójda razem na piwo.

I tak w pojedynkę zaczął oględziny, nałożywszy lateksowe rękawiczki.

Mieszkanie Gal ta było przygnębiającą norą w oplakany stan, wyraźnie należąca do kawalera, który zupełnie nie przejmuje się swoim otoczeniem. Ciemne, małe, zatęchłe. Wszędzie wałało się jedzenie, częściowo świeże, częściowo nieświeże, a czasem bardzo nieświeże. Sterty ubrań. Pierwsze oględziny, jak powtarzał mu Rhyme, miał przeprowadzić nie po to, aby zebrać dowody procesowe - choć „lepiej niczego nie spieprzyć w kartach ewidencyjnych” - ale żeby się dowiedzieć, gdzie Galt mógł zaplanować następny atak i jakie związki miał z Rahmanem i organizacją „Sprawiedliwość dla”.

Pułaski pośpiesznie przeszukiwał rozchwiane, oblepione brudem biurko oraz szafki i pudła, szukając informacji o motelach czy hotelach, innych mieszkaniach, znajomych, domkach letniskowych. Mapy z wielkim, czerwonym znakiem X i notatką: „Tu zaatakuję!”.

Ale, rzecz jasna, nie natrafił na nic tak oczywistego. Właściwie nie było prawie nic, co mogłoby się im przydać. Żadnych notesów z adresami, notatek, listów. Rejestr połączeń telefonu, odebranych i nawiązanych, został wyczyszczony i po wciśnięciu przycisku ponownego wybierania Pułaski usłyszał elektroniczny głos, pytający go, w którym mieście i stanie szuka numeru. Galt zabrał laptop, a w mieszkaniu nie było innego komputera.

Pułaski znalazł kartki i koperty podobne do tych, których użyto do napisania listu z żądaniami. Oraz kilkanaście długopisów. Zebrał wszystko i umieścił w torebkach.

Zakończywszy wstępne oględziny, zaczął obchód po siatce, kładąc odpowiednie numery, fotografując i zbierając próbki mikrośladów.

Pracował szybko, choć - jak nieraz - zmagął się z lękiem, który towarzyszył mu cały czas. Bał się, że znów coś mu się stanie, ogarniał go popłoch i miał ochotę natychmiast się wycofać.

Ta myśl z kolei budziła w nim inny strach: że jeśli nie da z siebie wszystkiego, nie spełni pokładanych w nim nadziei. Zawiedzie żonę, brata, Amelię Sachs.

Zawiedzie Lincolna Rhyme'a.

Ale tak trudno było pozbyć się strachu.

Ręce zaczęły mu dygotać, oddychał coraz szybciej i serce podskakiwało do gardła na dźwięk każdego skrzyknięcia.

Uspokoił się, przypominając sobie cichy głos żony, który szeptał do niego: „Wszystko dobrze, dobrze, dobrze...”.

Wrócił do pracy. Odnalazł szafę w głębi i już miał ją otworzyć. Zauważył jednak metalowy uchwyt drzwi. Wprawdzie stał na linoleum, lecz nie wiedział, czy to wystarczająco bezpieczne. Bał się otworzyć szafę, nawet w lateksowych rękawiczkach. Wziął okrągłą gumową matę, przez nią chwycił gałkę drzwi i pociągnął.

Wewnątrz ujrzał niepodważalny dowód na to, że sprawcą jest Galt: piłkę do metalu ze złamanym brzeszczotem. A także przegubowe szczypce do przecinania drutu. Wiedział, że jego zadanie polega tylko na zrobieniu siatki i zebraniu śladów, ale nie mógł się oprzeć. Wyciągnął z kieszeni małą lupę i obejrzał narzędzie, zauważając, że ma na ostrzu nacięcie, które mogło pozostawić charakterystyczny ślad na kratownicy zabranej z podstacji niedaleko przystanku autobusowego.

Zapakował je i opisał. W innej małej szafce odkrył parę butów Albertson-Fenwick numer jedenaście.

Drgnął na dźwięk dzwonka swojego telefonu. Na wyświetlaczu ukazało się nazwisko Lincolna Rhyme'a. Pułaski odebrał natychmiast.

- Lincoln, właśnie...

- Znalazłeś coś o jego kryjówkach, nowy? Wynajętych samochodach? Znajomych, u których mógł się zatrzymać? Cokolwiek o miejscach planowanych zamachów?

- Nie, wyczyścił mieszkanie. Ale znalazłem narzędzia i buty. Na pewno należą do niego.

- Chcę znać miejsca. Adresy.

- Tak jest, ale...

Trzask.

Pułaski zatrzasnął klapkę telefonu i starannie zapakował dowody, które dotychczas zebrał. Potem dwa razy przeszukał całe mieszkanie, łącznie z lodówką, zamrażarką i wszystkimi szafkami. Nawet kartony po jedzeniu, na tyle duże, że można w nich było coś ukryć.

Nic...

Strach ustąpił miejsca uczuciu zawodu. Znalazł dowody na to, że zamachowcem jest Galt, ale żadnych informacji o nim samym. Gdzie teraz mógł być, jaki jest jego następny cel. Jego wzrok ponownie spoczął na biurku. Stała tam tania drukarka komputerowa. W górnej części obudowy mrugało światelko kontrolne. Podeszedł bliżej. Komunikat brzmiał: „Odblokuj zacięcie”.

Co Galt drukował?

Policjant ostrożnie uniósł pokrywę i zajrzał do wnętrza urządzenia. Dostrzegł kulę zmiętego papieru.

Zobaczył też tabliczkę z ostrzeżeniem: „Uwaga! Niebezpieczeństwo porażenia prądem elektrycznym! Przed odblokowaniem i naprawą odłączyć od zasilania!”. Niewykluczone, że w kolejce do druku czekały następne strony, na których być może krył się klucz do sprawy.

Gdyby jednak odłączył zasilanie, drukarka usunęłaby z pamięci pozostałe strony.

Ostrożnie sięgnął do środka. Nagle znów ujrzał w pamięci kawałki stopionego metalu.

Dwa i pół tysiąca stopni...

Zerknął na zegarek.

Cholera. Amelia przestrzegła go, żeby nie podchodził do źródeł prądu z niczym metalowym. Przeklęty uraz głowy! Dlaczego nie potrafił myśleć bardziej trzeźwo? Zdjął zegarek. Wsunął do kieszeni. Jezu Chryste, co mu z tego? Położył seiko na biurku, daleko od drukarki.

Podjął jeszcze jedną próbę, ale znów dopadł go strach. Był na siebie wściekły za chwilę wahania.

- Psiakrew - mruknął i poszedł do kuchni. Znalazł grube różowe rękawice do zmywania. Nałożył je i rozglądając się, by sprawdzić, czy żaden agent FBI czy funkcjonariusz ESU nie widzi go w tym idiotycznym rynsztunku, wrócił do drukarki.

Otworzył zestaw narzędzi do zabezpieczania śladów i wybrał najlepsze do odblokowania mechanizmu drukarki: pęsetę. Oczywiście była metalowa i mogłaby się świetnie połączyć z każdym odkrytym przewodem elektrycznym, jaki Galt zainstalował wewnątrz drukarki.

Zerknął na zegarek leżący półtora metra dalej. Do następnego ataku zostało mniej niż półtorej godziny.

Ron Pułaski pochylił się i wsunął pęsetę między dwa bardzo grube przewody.

Rozdział 3R

W

wiadomości telewizyjne pokazywały zdjęcie Galta, przesłuchiowano jego byłe dziewczyny, jego kolegów z drużyny kręglarskiej oraz jego onkologa. Nie było jednak żadnych tropów. Galt zapadł się pod ziemię.

Ekspertka z dziedziny geologii, którą Mel Cooper odszukał w centrali wydziału kryminalistycznego w Queens, znalazła dwadzieścia jeden wystaw w Nowym Jorku, gdzie mogły się pojawić materiały wulkaniczne, między innymi wystawę artysty w Queens, który rzeźbił w zastygłej lawie.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów za coś wielkości arbuza - mruknął Cooper. - W dodatku w podobnym kształcie.

Rhyme w roztargnieniu skinął głową, słuchając McDaniela, który wróciwszy na Federal Plaza, relacjonował przez telefon, że matka Galta od kilku dni nie miała wiadomości od syna. Nie było w tym nic

dziwnego. Ostatnio był wytrącony z równowagi z powodu choroby.

- Dostaliście zgodę na podsłuch? - spytał Rhyme.
Agent odparł poirytowanym tonem, iż sędzia nie dał się przekonać, że zachodzi konieczność monitorowania rozmów telefonicznych rodziny Galta.

- Za to mamy rejestrator. - Rejestrator połączeń nie pozwalał agentom słuchać rozmów, lecz ujawniał numer telefonu każdego, kto do nich dzwonił lub do kogo dzwonili.

Zniecierpliwiony Rhyme ponownie skontaktował się z Pułaskim, który odebrał natychmiast i drżącym głosem wyznał, że na dźwięk dzwonka „o mało się nie... sam wiesz co, w spodnie”.

Młody policjant powiedział Rhyme'owi, że właśnie wydobywa informacje z drukarki komputerowej Raymonda Galta.

- Jezu, nowy, nie rób tego sam.

- Wszystko w porządku. Stoję na gumowej macie.

- Nie o to mi chodzi. Pozwól sprawdzić komputer ekspertom. Mógł zainstalować programy kasujące dane...

-Nie, nie, nie ma komputera. Tylko drukarka. Zacięła się, więc...

- Nie masz żadnych adresów, nic o miejscu następnego ataku?

-Nie.

- Zadzwoń w tej samej minucie, w tej samej sekundzie, kiedy coś znajdziesz.

-Ale...

Trzask.

Połączona grupa specjalna nie miała szczęścia do świadków na Pięćdziesiątej Siódmej i dzielnicy, w której mieszkał Raymond Galt. Sprawca - już nie N.N. - zapadł się pod ziemię. Jego komórka była „martwa”. Operator powiadomił ich, że usunięto z niej baterię, więc nie można było zlokalizować telefonu.

Sachs rozmawiała przez telefon, słuchając z pochyloną głową. Podziękowała rozmówcy i rozłączyła się.

- To jeszcze raz był Bernie Wahl. Mówił, że rozmawiał z ludźmi z działu Galta - Pogotowia Energetycznego Nowego Jorku - i każdy twierdzi, że był samotnikiem. Nie prowadził życia towarzyskiego. Nikt nie chodził z nim regularnie na lunch. Lubił samotność pracy przy liniach.

Słyszac to, Rhyme pokiwał głową. Następnie powiedział agentowi FBI o źródłach pochodzenia ławy.

-Znaleźliśmy dwadzieścia jeden miejsc. Zamierzamy...

- Dwadzieścia dwa! - zawołał Cooper, rozmawiając przez telefon z kobietą z Queens. - Jeszcze galeria sztuki na Brooklynie. Na Henry Street.

McDaniel westchnął.

-Aż tyle?

- Niestety. Powinniśmy dać znać Fredowi - zasugerował po chwili Rhyme.

McDaniel nie odpowiedział.

- Fredowi Dellrayowi. - Twojemu podwładnemu, dodał w myśli. - Powinien powiedzieć swojemu informatorowi o Galcie.

- Racja. Zaczekaj. Zaraz zrobimy połączenie konferencyjne.

Rozległy się jakieś trzaski i minęła chwila ciszy. Potem usłyszeli:

- Halo? Tu Dellray.

- Fred, mówi Tucker. Jesteśmy połączeni z Lincolnem. Mamy podejrzanego.

- Kto to jest?

McDaniel milczał, więc Rhyme powiedział mu o Raymondzie Galcie.

- Nie znamy motywu, ale poszlaki wskazują na niego.

- Znaleźliście go?

- Nie. Zaginął. Wysłaliśmy zespół do jego mieszkania.

- Co z ultimatum? Obowiązuje?
- Nie mamy powodu przypuszczać, że nie - odparł McDaniel. - A co u ciebie, Fred? Znalazłeś coś?
- Mój informator ma ważne tropy. Czekam na sygnał od niego.
- Mógłbyś się podzielić? - spytał z przekąsem McDaniel.
- Nie w tym momencie. Spotkam się z nim o trzeciej. Mówi, że coś ma. Zadzwońię do niego i podam mu nazwisko Galta. Może to przyśpieszy mu robotę. Rozłączyli się. Krótką chwilę potem telefon Rhyme'a znów zadzwonił.
- Czy to detektyw Rhyme? - zapytał kobiecy głos.
- Tak, to ja.
- Mówi Andi Jessen. Z Algonquin Consolidated. McDaniel przedstawił się, po czym spytał:
- Miała pani o nim jakieś wiadomości?
- Nie, ale muszę wam powiedzieć o pewnym zdarzeniu. - Jej ochrypli, pełen napięcia głos całkowicie przykuł uwagę Rhyme'a.
- Proszę mówić.
- Tak jak mówiłam, zmieniliśmy kody dostępu. Żeby nie mógł powtórzyć tego, co się stało wczoraj.
- Pamiętam.
- Postawiłam ochronę we wszystkich podstacjach. Pilnują ich dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale jakiś kwadrans temu w jednej z podstacji na górnym Manhattanie wybuchł pożar. W Harlemie.
- Podpalenie? - spytał Rhyme.
- Zgadza się. Strażnicy stali od frontu budynku. Wygląda na to, że ktoś wrzucił przez tylne okno bombę zapalającą czy coś w tym **rodzaju**. Pożar ugaszono, ale powstał problem. Ogień zniszczył rozdzielnicę. To oznacza, że nie możemy ręcznie odłączyć podstacji. Jest poza kontrolą. Nie można przerwać przepływu prądu przez linie przesyłowe bez wyłączenia całej sieci.

Rhyme wyczuwał jej niepokój, lecz nie bardzo rozumiał konsekwencji. Poprosił ją, aby to wyjaśniła.

- Wydaje mi się, że postanowił zrobić coś szalonego - powiedziała. - Podłączył się bezpośrednio do linii wysokiego napięcia, wychodzącej z podstacji, w której wybuchł pożar. To prawie sto pięćdziesiąt tysięcy woltów.

- Jak mógł to zrobić? - zdumiał się Rhyme. - Myślałem, że wczoraj urządził zamach w podstacji, bo podłączenie się do głównej linii było zbyt niebezpieczne.

- To prawda, ale nie wiem, może skonstruował jakąś zdalnie sterowaną rozdzielnicę, żeby podpiąć się do linii, a potem ją włączyć.

- Wiadomo gdzie? - zapytał McDaniel.

- Linia, o której myślę, ma ponad kilometr długości. Biegnie pod środkowym i zachodnim Harlemem w kierunku rzeki.

- Jest pani absolutnie pewna, że nie da się jej odłączyć?

- Dopóki nie zostanie naprawiona rozdzielnica w spalonej stacji. To potrwa kilka godzin.

- Może powstać tak niebezpieczny łuk jak wczoraj? - spytał Rhyme.

- Co najmniej. Tak.

- Dobrze, sprawdzimy to.

- Detektywie Rhyme? Tucker? - Jej głos brzmiał mocniej niż przedtem.

- Tak? - odezwał się agent FBI.

- Przepraszam. Wczoraj byłam chyba trudną rozmówczynią. Ale naprawdę nie wierzyłam, żeby któryś z naszych pracowników mógł to zrobić.

- Rozumiem - odparł McDaniel. - Teraz przynajmniej znamy nazwisko. Jeżeli szczęście nam dopisze, zatrzymamy go, zanim ucierpi więcej ludzi.

Kiedy się rozłączyli, Rhyme krzyknął:

- Mel, słyszałeś? Górny Manhattan, Morningside Heights, Harlem. Muzeum, rzeźbiarz, wszystko jedno. Znajdź mi prawdopodobny cel!

- Następnie zadzwonił do tymczasowego szefa wydziału kryminalistycznego w Queens - człowieka pełniącego jego poprzednią funkcję

- i poprosił go o wysłanie zespołu do podstacji zamkniętej z powodu podpalenia. -1 niech przywiozą wszystko, co znajdują, cito.

- Mam prawdopodobny cel! - zawołał Cooper znad telefonu. - Uniwersytet Columbia. Jeden z największych zbiorów lawy i skał magmowych w kraju.

Rhyme spojrzął na Sachs. Skinęła głową.

- Dojadę w dziesięć minut.

Oboje zerknęli na cyfrowy zegar nad monitorem komputera Rhyme'a.

Pokazywał 11.29.

Rozdział 31

A

melia Sachs stała w kampusie Uniwersytetu Columbia w Morningside

Heights w północnej części Manhattanu.

Właśnie wyszła z dziekanatu Wydziału Sozologii i Nauki o Ziemi, gdzie uczynna sekretarka poinformowała ją:

-Nie mamy wystawy materiałów wulkanicznych jako takiej, ale za to setki próbek popiołów wulkanicznych, lawy i innych skał magmowych. Kiedy przychodzą studenci z zajęć w terenie, pył jest dosłownie wszędzie.

- Jestem na miejscu, Rhyme - powiedziała do mikrofonu i przekazała mu, czego się dowiedziała o popiołach wulkanicznych.

- Rozmawiałem jeszcze raz z Andi Jessen - odpowiedział. - Linia przesyłowa biegnie pod ziemią właściwie od samej Piątej Alei aż do Hudsonu. Mniej więcej wzdłuż Sto Szesnastej. Ale pył oznacza, że pułapka została zastawiona gdzieś niedaleko kampusu. Co jest w okolicy, Sachs?

- Głównie sale wykładowe. Administracja.
 - Celem może być wszystko.
- Sachs rozejrzała się w prawo i w lewo. Bezchmurny, chłodny wiosenny dzień, studenci włączyli się po kampusie albo biegali. Siedzieli na trawie, na schodach biblioteki.
- Nie widzę zbyt wielu potencjalnych celów, Rhyme. Uczelnia jest stara, na oko przede wszystkim kamień i drewno. Żadnej stali, przewodów, niczego w tym rodzaju. Nie wiem, jak mógłby tu zainstalować pułapkę, żeby porazić dużą liczbę ludzi.
 - W którą stronę wieje wiatr? - zapytał nagle Rhyme.
- Sachs zastanowiła się przez chwilę.
- Zdaje się, że na wschód i północny wschód.
 - Logicznie rzecz biorąc, pyłu nie mogło ponieść za daleko, nie? Najwyżej parę skrzyżowań dalej.
 - Chyba tak. To by wskazywało na Morningside Park.
 - Zadzwoń do Andi Jessen albo kogoś innego z Algonquin - rzekł Rhyme. - Dowiem się, gdzie są linie pod parkiem. I... Sachs?
- Tak?
- Zawahał się. Przypuszczała - nie, miała pewność - że chce jej powiedzieć, żeby uważała. Ale to było zupełnie niepotrzebne.
- Nic - odrzekł.
- I szybko się rozłączył.
- Amelia Sachs wyszła jedną z głównych bram od strony, w którą wiał wiatr. Przecięła Amsterdam i ruszyła ulicą w Morningside Heights na wschód od kampusu, w kierunku beżowych apartamentowców i ciemnych domów szeregowych z solidnego granitu i cegły.
- Gdy zadzwonił telefon, zerknęła na wyświetlacz.
- Rhyme, co masz?
 - Właśnie rozmawiałem z Andi. Powiedziała, że linia zakręca na północ w okolicy Sto Siedemnastej, a potem biegnie na zachód pod parkiem.
 - Jestem prawie w tym miejscu. Nie widzę... och, nie.
 - Co jest, Sachs?
- Miała przed sobą Morningside Park, który w zbliżającej się porze lunchu był pełen ludzi. Dzieci, nianie, biznesmeni, studenci z Columbii, muzycy... setki spacerowiczów korzystających z pięknej pogody. Na chodnikach także byli ludzie. Ale nie tylko liczba potencjalnych ofiar przeraziła Sachs.
- Rhyme, na Morningside Drive, po zachodniej stronie parku...
- Co?

- Tam jest budowa. Wymieniają magistrale wodociągowe. Widzę wielkie metalowe rury. Boże, jeżeli podłączył je do linii...

- .. .wtedy łuk trafi każdego na ulicy - dokończy Rhyme. - Do diabła, może sięgnąć do wewnątrz każdego budynku, biura, akademika, sklepu... a może i parę kilometrów dalej.

- Muszę znaleźć miejsce, gdzie podłączył prąd, Rhyme. - Wsunęła telefon do futerału i pobiegła w kierunku budowy.

Rozdział 32

P

obył w Nowym Jorku budził w Samie Vetterze mieszane uczucia.

Sześćdziesięcioośmiolatek był tu pierwszy raz w życiu. Zawsze chciał tutaj przyjechać ze Scottsdale, gdzie mieszkał od urodzenia, Ruth też zawsze pragnęła zobaczyć miasto, ale tak się składało, że na urlop wyjeżdżali do Kalifornii, na Hawaje albo w rejs na Alaskę. Jak na ironię, w pierwszą służbową, w pełni opłaconą podróż po jej śmierci wysłano go do Nowego Jorku.

Cieszył się, że tu jest.

Szkoda, że nie mógł tej radości dzielić z Ruth.

Jadł lunch w eleganckiej, utrzymanej w stonowanych barwach restauracji hotelu Battery Park, gawędząc z kilkoma mężczyznami, popijającymi piwo, którzy przyjechali na spotkanie w sprawie finansowania budownictwa.

Rozmowy biznesmenów. Wall Street, sporty zespołowe. Była też mowa o sporcie indywidualnym, ale tylko o golfie. Nikt nie wspominał o tenisie, w którego grał Vetter. Owszem, Federer, Nadal... ale tenis nie był sportem, o którym snuło się opowieści wojenne. Panowie niewiele mówili o kobietach; wszyscy byli w podobnym wieku.

Vetter rozejrzał się, spoglądając przez panoramiczne okna i podsumowując wrażenia, jakie dotychczas zrobił na nim Nowy Jork, ponieważ sekretarka i współpracownicy będą chcieli wiedzieć, co sądzi o mieście. Jak dotąd uznał, że jest bardzo ruchliwe, bardzo bogate, bardzo głośne i bardzo szare - nawet przy bezchmurnym niebie. Jak gdyby słońce wiedziało, że nowojorczyki nie przepadają za światłem.

Mieszane

uczucia...

A wśród nich pewne wyrzuty sumienia z powodu rozrywki, jakiej zamierzał się oddać. Chciał obejrzeć musical „Wicked” i sprawdzić, jak wypadnie w porównaniu z wersją z Phoenix, może też „Billy'ego Elliotta” i sprawdzić, jak wypadnie w porównaniu ze zwiastunami. Chciał zjeść kolację w Chinatown z dwoma bankowcami, których poznał rano, jednym stąd i jednym z Santa Fe.

Być może za tymi rozrywkami kryła się odrobina niewierności.

Oczywiście Ruth nie miałyby nic przeciwko temu.

Mimo wszystko...

Vetter musiał też przyznać, że czuł się tu trochę nieswojo. Jego przedsiębiorstwo zajmowało się budownictwem ogólnym, specjalizując się w podstawach: fundamentach, podjazdach, pomostach, kładkach, niczym efektownym, lecz koniecznym i bardzo dochodowym. Jego firma była dobra, terminowa i etyczna... w branży, w której te przymioty nie zawsze w pełni wykorzystywano. Ale też niewielka; pozostałe firmy, uczestniczące w projekcie, należały do znacznie poważniejszej ligi. Ich ludzie poruszali się w świecie biznesu i przepisów prawnych sprytniej niż on.

Przy stole, poza osiągnięciami Arizona Diamondbacks i New York Mets, rozmawiano o zabezpieczeniach kredytowych, stopach procentowych i nowoczesnych systemach, ale Vetter uznał tę tematykę za zbyt zawiłą. Znowu powędrował spojrzeniem za okna, patrząc na dużą budowę obok hotelu, gdzie stawiano jakiś wielki biurowiec czy apartamento wiec.

Jego wzrok przyciągnął zwłaszcza jeden z robotników. Był ubrany inaczej niż pozostali - w granatowy kombinezon i żółty kask - i niósł na ramieniu zwój przewodu czy kabla. Wyszedł ze studzienki włączowej w głębi placu budowy i stał, rozglądając się spod przymrużonych powiek. Wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił. Następnie zatrzasnął kłapkę i ruszył przez plac, a potem, zamiast wyjść, zbliżył się do budynku obok budowy. Szedł swobodnym, sprężystym krokiem. To, co robił, sprawiało mu widoczną przyjemność.

malnie. Człowiek w granatowym kombinezonie i żółtym kasku był Vetterem sprzed trzydziestu lat. Jeden z jego dzisiejszych pracowników.

Znajomy widok podzielał na biznesmena uspokajająco - z sympatią przyglądał się mężczyźnie w granatowym kombinezonie i żółtym kasku i innym

w kurtkach roboczych i kombinezonach Carhartt, noszącym narzędzia i materiały, żartującym i roześmianym. Myślał o własnej firmie i jej pracownikach, których traktował jak rodzinę. Starsi biali, milczący, chudzi i spaleni słońcem, wyglądali, jak gdyby całe życie mieszały beton, a nowi robotnicy, Latynosi, gadali jak nakręceny, pracując z większą dokładnością i wyraźną dumą.

Widząc to, Vetter doszedł do wniosku, że może Nowy Jork i ludzie, z którymi miał ubić interes, w rzeczywistości są pod wieloma względami podobni do jego świata.

Spokojnie.

Śledził spojrzeniem mężczyznę w granatowym kombinezonie i żółtym kasku, który zniknął w budynku naprzeciwko placu budowy. To była uczelnia. Sam Vetter dostrzegł w oknie kilka ogłoszeń.

DOBROCZYNNY MARATON NA DRAŻKACH POGO, 1 MAJA SKACZ Z NAMI PO ZDROWIE!

Kolacja dla transseksualnych studentów, 3 maja. Zapisujcie się!

WYDZIAŁ S0Z0L0GIII NAUKI 0 ZIEMI ZAPRASZA: „WULKANY: Z BLISKA I PRYWATNIE” 20 KWIETNIA - 15 MAJA. WSTĘP WOLNY KRATERY OTWARTE DLA ZWIEDZAJĄCYCH!

No dobrze, przyznał ze śmiechem, może jednak Nowy Jork odrobinę się różni od Scottsdale.

Rozdział 33

R

hyme wciąż oglądał dowody - zebrane w różnych miejscach

i na pierwszy rzut oka niepowiązane ze sobą drobiny metalu, plastiku i pyłu - usiłując znaleźć wśród nich jakąś wskazówkę, która pobudziłaby jego wyobraźnię i pomogłaby Sachs ustalić, gdzie dokładnie Galt podłączył śmiercionośny kabel do wodociągu biegnącego przez Morningside Heights i Harlem.

Jeżeli rzeczywiście to zrobił.

Sachs wciąż przeszukiwała Morningside Park, szukając przewodu biegnącego od linii przesyłowej do rur. Wiedział, że jest niespokojna - aby znaleźć kabel, musiałyby podejść blisko i znaleźć miejsce, gdzie został podłączony do wodociągu. Przypomniał sobie ton jej głosu, jej szklany wzrok, gdy opisywała odłamki metalu stopionego przez łuk, które podziurawiły ciało Luisa Martina.

W okolicy krążyły dziesiątki umundurowanych funkcjonariuszy z najbliższego posterunku, przeszukując park oraz budynki w pobliżu miejsca wymiany wodociągu. Ale przecież prąd mógł się dostać żeliwnymi

zurami dokądkolwiek. Czy mógłby wywołać łuk w kuchni dwa kilometry dalej?

Może w jego własnej kuchni, gdzie Thom właśnie stał przy zlewie?

Rhyme zerknął na zegar na ekranie monitora. Jeżeli nie znajdą linii w ciągu sześćdziesięciu minut, będą znali odpowiedź.

Odezwała się Sachs.

- Nic nie ma, Rhyme. Może się mylę. Przyszło mi do głowy, że linia musi gdzieś przecinać metro. A jeżeli łuk ma uderzyć w wagon? Tam też będę musiała sprawdzić.

- Cały czas wisimy na telefonie z Algonquin, Sachs, próbuje-

my ograniczyć pole poszukiwań. Oddzwonię. Jest coś? - krzyknął do Mela Coopera.

Technik rozmawiał z kierownikiem w centrum sterowania Algonquin. Zgodnie z instrukcjami Andi Jessen starali się wykryć wahania napięcia w poszczególnych częściach linii. Mogli to zrobić dzięki czujnikom rozmieszczonym co trzydzieści metrów, które alarmowały centrum o problemach z izolacją lub uszkodzeniach samej linii przesyłowej. Istniało prawdopodobieństwo, że odnajdą punkt, w którym Galt podpiął się pod linię, by wyprowadzić śmiercionośny kabel na powierzchnię.

Ale Cooper odrzekł krótko:

- Przykro mi, nic.

Rhyme na moment zamknął oczy. Ból głowy, którego dotąd nie przyjmował do wiadomości, zaczynał się wzmacniać. Zastanawiał się, czy gdzieś coś go może boleć. Tetraplegikowi zawsze towarzyszy taka obawa. Nie czując bólu, nie zna się planów zbuntowanego ciała.

Kiedy w lesie pada drzewo, oczywiście rozlega się łoskot, choć w pobliżu nikogo nie ma. Ale czy ból istnieje, jeśli nie można zlokalizować jego źródła?

Te myśli mają niezdrowy posmak, uznał Rhyme, zdając sobie równocześnie sprawę, że ostatnio miewa bardzo podobne. Nie był pewien dlaczego. Nie potrafił się ich jednak pozbyć.

Co dziwniejsze, w przeciwieństwie do wczorajszej utarczki z Thomem mniej więcej o tej samej porze, nie miał ochoty na szkocką. Na samo wspomnienie whisky prawie zrobiło mu się niedobrze.

A to zaniepokoiło go bardziej niż ból głowy.

Przesuwał wzrokiem po tablicach z dowodami, ale jego oczy prześlizgiwały się po słowach, jak gdyby były w obcym języku, którego uczył się w szkole, ale od lat nie używał. Zatrzymał się na wykresie przedstawiającym etapy przepływu prądu z generatora do gospodarstwa domowego. W coraz niższych napięciach.

Sto trzydzieści osiem tysięcy woltów...

Rhyme poprosił Mela Coopera, żeby zadzwonił do Sommersa z Algonquin.

- Projekty specjalne.

- Charlie Sommers?

- Zgadza się.

- Mówi Lincoln Rhyme. Pracuję z Amelią Sachs.

- Ach, tak. Wspominała o panu. - Zniżając głos, spytał: - Słyszałem, że to Ray Galt. To prawda?

- Na to wygląda. Panie Sommers...

- Proszę mi mówić Charlie. Czuję się jak gliniarz honoris causa.

- Zgoda, Charlie. Śledzisz to, co się teraz dzieje?

- Na laptopie mam w tym momencie sieć. Andi Jessen - nasza prezeska - poleciła mi monitorować rozwój akcji.

- Jak długo będą naprawiać... jak to się nazywało? Rozdzielnicę w podstacji, gdzie wybuchł pożar?

- Dwie, trzy godziny. Linia jest ciągle poza kontrolą. Nie uda się jej odłączyć bez odcięcia zasilania w większej części Nowego Jorku. Mogę jakoś pomóc?

- Tak. Muszę wiedzieć coś więcej o łukach elektrycznych. Wygląda na to, że Galt podpiął się do głównej linii, linii przesyłowej, i podłączył kabel do magistrali wodociągowej, a potem...

- Nie, na pewno by tego nie zrobił.

- Dlaczego?

- Doziemienie. W chwili gdyby się zetknęły, doszłoby do zwarcia.

Rhyme zastanowił się przez chwilę. Przyszła mu do głowy kolejna myśl.

- A gdyby tylko sugerował, że zamierza się podłączyć do linii przesyłowej? Może skonstruował mniejszą pułapkę, zupełnie gdzie indziej? Jakie napięcie jest potrzebne do łuku?

- Sto trzydzieści tysięcy to łuk masowego rażenia, ale oczywiście można go wywołać przy znacznie niższych wartościach. Najważniejsze, żeby napięcie przekroczyło pojemność linii albo zacisku. Łuk przeskakuje między przewodem czy końcówką a innym przewodem - między fazą a fazą. Albo do ziemi. Faza do ziemi. W przypadku zasilania w domu powstanie najwyżej iskra, ale nie łuk. Tam mamy najwyżej około dwustu woltów. Jeżeli mamy blisko czterysta, owszem, jest możliwy mały łuk. Przy ponad sześciuset prawdopodobieństwo rośnie. Ale naprawdę dłuższe wyładowanie można zobaczyć dopiero przy średnich i wysokich napięciach.

- Czyli tysiąc woltów mogłoby wystarczyć?

- W sprzyjających warunkach tak.

Rhyme patrzył na mapę Manhattanu, koncentrując się na okolicy, w której była teraz Sachs. Informacje od Sommersa znacznie zwiększały liczbę miejsc, gdzie Galt mógł zaplanować atak.

- Ale dlaczego pyta pan o łuki? - zainteresował się Sommers.

- Bo Galt zamierza kogoś zabić za niecałą godzinę - odrzekł w zamyśleniu Rhyme.

- W liście Galta była mowa o łuku?

Rhyme uświadomił sobie, że nic takiego nie przeczytał.

-Nie.

- Czyli tylko przypuszczacie, że chce to zrobić.

Rhyme nie cierpiał czasownika „przypuszczać” i jego wszelkich derywatów. Był na siebie wściekły, zastanawiając się, czy przeoczyli coś istotnego.

- Mów dalej, Charlie.

- Łuk jest widowiskowy, ale to jeden z najmniej skutecznych sposobów wykorzystania prądu jako broni. Trudno nad nim zapanować, nigdy nie wiadomo, gdzie dokładnie trafi. Tak jak wczoraj rano. Galt celował w autobus i spudłował. Chce pan wiedzieć, jak ja zabiłbym kogoś prądem?

-Tak, bardzo chętnie - powiedział szybko Lincoln Rhyme i pochylił się nad telefonem, by wysłuchać Sommersa w absolutnym skupieniu.

Rozdział 34

P

rzewody napowietrzne, te szpetne słupy energetyczne, wprowadził Thomas Edison w New Jersey w 1883 roku, ale pierwsza sieć biegła pod ulicami dolnego Manhattanu, od jego elektrowni na Pearl Street. Miała zawrotną liczbę pięćdziesięciu dziewięciu odbiorców.

Niektórzy monterzy nie znosili podziemnej sieci - ciemnej sieci, jak ją czasem nazywano - ale Joey Barzan ją uwielbiał. W Algonquin Power pracował zaledwie dwa lata, lecz w branży elektrycznej dziesięć, ponieważ podjął pracę w wieku osiemnastu lat. Przed przejściem do

konsorcjum pracował w firmie budowlanej, awansując z praktykanta na wykwalifikowanego robotnika. Miał ambicje zostać kiedyś głównym elektrykiem, ale na razie podobała mu się praca w dużej firmie.

Czy znalazłby większą niż Algonquin Consolidated, jedno z najlepszych przedsiębiorstw energetycznych w kraju?

Pół godziny wcześniej razem z partnerem dostali wiadomość od specmontera o zagadkowych wahaniach napięcia w zasilaniu systemu w metrze niedaleko Wall Street. Niektóre linie komunikacji miejskiej miały własne generatory, miniaturowe wersje Mamy pracującej w Algonquin. Ta linia jednak, której pociąg dudnił właśnie niedaleko, była zasilana wyłącznie przez Algonquin, który przesyłał 27 500 woltów z Queens do podstacji rozmieszczonych wzdłuż linii; zmniejszały one napięcie i przetwarzały je na prąd stały o napięciu 625 woltów, zasilając trzecią szynę.

Według wskaźnika na podstacji metra na ułamek sekundy doszło do zaniku napięcia. Za krótko, by spowodować zakłócenia w funkcjonowaniu kolei miejskiej, ale wystarczyło, by wzbudzić niepokój - zważywszy na wczorajszy incydent na przystanku autobusowym.

W dodatku, cholera, to była robota pracownika Algonquin, Raya Galta, starszego specmontera z Queens.

Barzan widział łuki elektryczne - każdy w branży kiedyś je widział - i spektakl złożony z oślepiającej błyskawicy, eksplozji i upiornego buczenia wystarczył, by Barzan obiecał sobie, że nigdy nie będzie ryzykował z prądem. Ochronne buty i rękawice, drążki izolacyjne, żadnego metalu na sobie podczas pracy. Wielu ludziom wydawało się, że potrafią przechytrzyć prąd.

Mylili się. Nikt nie potrafił też prześcignąć prądu.

W tym momencie - jego partner na krótko wyszedł na górę - Barzan szukał przyczyny zakłóceń zasilania. W

tunelu było chłodno i pusto, lecz bynajmniej nie cicho. Huczały silniki, a wagony metra wprawiały wszystko w drganie jak trzęsienie ziemi. Tak, lubił tu być, wśród kabli, otoczony zapachem rozgrzanej izolacji, gumy, oleju. Nowy Jork przypominał statek, o równie złożonej strukturze pod powierzchnią, jak i na niej. Barzan znał wszystkie pokłady tak dobrze, jak swoją dzielnicę na Bronksie.

Nie potrafił znaleźć przyczyny wahania napięcia. Wszystkie linie Algonquin wyglądały normalnie. Może to...

Znieruchomiał, widząc coś zagadkowego.

Co to? Jak każdy monter pracujący na górze czy w ciemnej sieci, świetnie znał swój teren, a na ledwie widocznym końcu korytarza dostrzegł coś nietypowego: bez żadnego logicznego powodu podłączono kabel do tablicy rozdzielczej, zasilającej system metra. I zamiast biec do ziemi, w kierunku metra, kabel prowadził w górę, w poprzek sufitu tunelu. Połączenie było porządne - umiejętności montera można poznać po tym, jak łączy przewody - więc musiał je wykonać fachowiec. Ale kto? I po co?

Ruszył tropem kabla.

I nagle wzdrygnął się, tłumiąc okrzyk. W tunelu stał inny pracownik Algonquin. Mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony spotkaniem. Barzan nie poznał go w półmroku.

- Cześć. - Barzan skinął mu głową. Nie podali sobie rąk. Mieli na nich wielkie rękawice ochronne, na tyle grube, by można było w nich pracować przy przewodach pod napięciem, o ile człowiek miał właściwą ochronę dielektryczną.

Drugi monter otarł pot z czoła.

- Nie spodziewałem się tu nikogo.

- Ja też nie. Słyszałeś o wahaniach napięcia?
- Taa. - Mężczyzna powiedział coś jeszcze, lecz Barzan prawie go nie słuchał. Zastanawiał się, co właściwie robi tutaj ten facet, który patrzył w ekran laptopa - oczywiście korzystali z nich wszyscy monterzy, ponieważ cała sieć była skomputeryzowana. Ale nie sprawdzał poziomu napięć ani połączeń rozdzielnicy. Monitor pokazywał obraz wideo z jakiejś budowy, gdzieś wysoko na górze. Jak gdyby z kamery przemysłowej o dobrej rozdzielczości.

Barzan zerknął na jego firmowy identyfikator.

Jasna cholera.

Raymond Galt, starszy operator obsługi technicznej.

Barzan poczuł, że powietrze ucieka mu z płuc. Przypomniał sobie, jak kierownik wezwał rano wszystkich monterów i poinformował ich, kim Galt jest i co zrobił.

Uświadomił sobie, że podłączony kabel to pułapka, która ma wywołać następny łuk!

Spokojnie. Było dość ciemno i Galt nie mógł wyraźnie zobaczyć jego twarzy; być może nie zauważył reakcji Barzana. Firma i policja wydały komunikat niedawno. Możliwe, że Galt siedzi tu od kilku godzin i nie wie, że gliny go poszukują.

- Czas na lunch, umieram z głodu. - Barzan poklepał się po brzuchu, ale uznał, że chyba przesadza. - Lepiej wrócę na górę. Mój partner będzie się zastanawiał, co tu robię tak długo.

- Cześć, trzymaj się - odrzekł Galt i ponownie utkwiał wzrok w ekranie komputera.

Barzan także się odwrócił i ruszył w kierunku najbliższego wyjścia, opanowując pokusę, by rzucić się do ucieczki.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że powinien jej ulec.

Kiedy tylko Barzan się odwrócił, kątem oka dostrzegł, jak Galt szybko sięga ku ziemi i unosi coś zza pleców.

Zaczął wtedy biec, lecz Galt był szybszy. Gdy Barzan obejrzał się za siebie, mignął mu tylko drążek izolacyjny z

włókna szklanego, który z impetem uderzył go w kask. Ogłuszony ciosem, padł na brudną posadzkę. Piętnaście centymetrów przed swoją twarzą ujrzał kabel pod napięciem stu trzydziestu ośmiu tysięcy woltów i wtedy drążek spadł na niego jeszcze raz.

Rozdział 35

A

melia Sachs robiła coś, co wychodziło jej najlepiej.

Może nie najlepiej.

Ale robiła coś, co po prostu uwielbiała. Wtedy czuła, że żyje.

Jechała samochodem.

Wyciskając wszystko z metalu i własnego ciała, mknęła ulicami miasta, wybierając trasy na pozór niemożliwe do przebycia - zważywszy na gęsty ruch, ludzki i samochodowy. Lawirowała, kluczyła zygzakami. Kiedy jedzie się szybko, nie można elegancko trzymać się kursu ani tańczyć na jezdni; trzeba przeć naprzód jak taran, szarpiąc, piłując i katując wóz.

Nie bez powodu nazywano je *muscle cars* - mięśniakami.

Pod maską fordą torino cobra 428 z 1970 roku, spadkobiercy modelu Fairlane, krył się silnik o mocy 405 koni mechanicznych i doskonałym momencie obrotowym 447 stopofuntów. Sachs oczywiście, przy swojej ciężkiej nodze, miała czterobiegową skrzynię biegów. Dźwignia chodziła bardzo ciężko, i jeżeli nie wrzuciło się dobrze biegu, trzeba było wielokrotnie poprawiać, ryzykując wyłamanie zębów z zębatek. Skrzynia różniła się od dzisiejszych wytrzymałych przekładni z synchronizatorem, przeznaczonych dla biznesmenów dotkniętych kryzysem wieku średniego, którzy siadają za kierownicę ze słuchawką bluetooth w uchu, myśląc o rezerwacji stolika na kolację.

Cobra dudniła, rzęziła i skowyczała; potrafiła wydawać różne głosy.

Sachs zeszywniała. Wcisnęła klakson, ale zanim dźwięk zdążył dotrzeć do uszu leniwego kierowcy, który

zamierzał zmienić pas ruchu, nie patrząc w lusterko, już go wyprzedziła.

Sachs musiała przyznać, że tęskni za swoim poprzednim samochodem, chevroletem camaro SS, przy którym pracowała jeszcze ze swoim ojcem. Auto padło ofiarą sprawcy w prowadzonej przez nich niedawno sprawie. Ojciec zawsze jej jednak powtarzał, że nie należy przypisywać samochodowi zbyt wielu ludzkich cech. Owszem, jest częścią ciebie, ale to nie ty. Ani twoje dziecko, ani najlepszy przyjaciel. Korbowody, koła, cylindry, bębny hamulców, skomplikowana elektronika mogą się rozleniwic albo spłatać figla, pozostawiając cię na środku drogi. Mogą cię też zdradzić albo zabić, a jeśli uważasz, że konglomerat stali, plastiku, miedzi i aluminium czymkolwiek się przejmuje, jesteś w błędzie.

- Amie, samochód ma tylko tyle duszy, ile mu sama dasz. Ani mniej, ani więcej. Nigdy o tym nie zapominaj.

No więc było jej żal po stracie camaro i wiedziała, że zawsze będzie go jej brakowało. Jeździła teraz jednak świetnym wozem, który odpowiadał jej potrzebom. Kierownicę natomiast zdobyło logo chevroleta, prezent od Pammy, która ze czcią wydłubała je z wraka camaro, by Sachs mogła mieć ten symbol w fordzie.

Przed skrzyżowaniem zahamowała, zredukowała bieg z między- gazem, aby zwiększyć obroty silnika, rozejrzała się w lewo i prawo, puściła sprzęgło i znów zaczęła wrzucać biegi po kolei. Wskazówka prędkościomierza dobiła do osiemdziesiątki. Po chwili przesunęła się na dziewięćdziesiąt pięć i sto dziesięć. Niebieska lampka na desce rozdzielczej, na którą Sachs prawie nie zwracała uwagi, migiała z szybkością bijącego serca.

Mknęła autostradą West Side, szacowną Drogą 9A, zjechawszy kilka mil wcześniej z autostrady Henry'ego Hudsona. Kierując się na południe, śmigała obok dobrze znanych miejsc: lądowiska dla helikopterów, Hudson River Park, przystani dla jachtów, skomplikowanego wjazdu do tunelu Holland. Potem, mając po prawej

budynki centrum finansowego, minęła olbrzymi plac budowy, gdzie stały wieże World Trade Center, z myślą, że jeśli gdziekolwiek pustka potrafi rzucać cień, to na pewno tu.

Cobra z kontrolowanym poślizgiem skręciła w Battery Place i pognąła na wschód, w głąb labiryntu dolnego Manhattanu.

Sachs miała wsunięty do ucha koniuszek słuchawki i jakiś trzask wyrwał ją ze skupienia, gdy zręcznie wyprzedziła dwie taksówki, dostrzegając szok na twarzy pod sikhijskim turbanem.

_ Sachs!

- Co jest, Rhyme?

- Gdzie jesteś?

- Prawie na miejscu.

Z piskiem wszystkich czterech opon wykonała skręt pod kątem prostym i wcisnęła forda między krawężnik i inny samochód; jedna wskazówka nie schodziła poniżej 70, a druga poniżej 5000.

Celem podróży Sachs była Whitehall Street. Niedaleko Stone. Rhyme odbył rozmowę z Charliem Sommersem, która przyniosła nieoczekiwane rezultaty. Menedżer projektów specjalnych podejrzewał, że Galt może spróbować czegoś innego niż łuk elektryczny: był niemal pewien, że sprawca po prostu zamontuje instalację elektryczną w jakimś publicznym miejscu pod takim napięciem, by zabić przechodniów. Włączy ich do obwodu i w jakiś sposób przepuści przez nich prąd. Sommers wyjaśnił, że to prostsze i dużo skuteczniejsze, w dodatku nie wymaga aż takiego napięcia.

Rhyme doszedł do wniosku, że pożar w podstacji w Harlemie w rzeczywistości miał odwrócić ich uwagę od ataku Galt na prawdziwy cel: prawdopodobnie na drugim końcu Manhattanu. Przejrzał listę wystaw związanych z lawą i wulkanami i znalazł najbardziej oddaloną od Harlemu, który właśnie przeczesywano: Amsterdam College. Była to dwuletnia szkoła, specjalizująca się w kształceniu urzędników i przyznająca dyplomy na kierunkach biznesowych, ale ich wydział nauk humanistycznych zorganizował wystawę formacji geologicznych, gdzie znalazła się ekspozycja na temat wulkanów.

- Jestem, Rhyme. - Sachs zatrzymała torino przed budynkiem szkoły, zostawiając na szarym asfalcie bliźniacze czarne pasy. Wskoczyła z wozu, zanim jeszcze rozwiął się dym unoszący się znad opon. Zapach przywiódł jej na myśl podstację Algonquin MH-10... i - choć starała się odsunąć od siebie ten obraz - widok

czarno-czerwonych kropek na ciele Luisa Martina. Biegając do wejścia, przynajmniej raz cieszyła się z artretycznego bólu w kolanach, który częściowo odwrócił jej uwagę od makabrycznych wspomnień.

- Oglądam budynek, Rhyme. Jest duży. Większy niż przypuszczałam. - Sachs nie zabezpieczyła śladów, więc zrezygnowała z łącza wideo.

- Masz osiemnaście minut do godziny zamachu. Obrzuciła badawczym spojrzeniem sześciopiętrowy college, który pośpiesznie opuszczali studenci, wykładowcy i pracownicy z niepokojem malującym się na twarzach. Tucker McDaniel i Lon Sellitto postanowili ewakuować szkołę. Ludzie wybiegali na zewnątrz, kurczowo ściskając torebki, laptopy i książki, po czym oddalali się od budynku i niemal jak jeden mąż unosili głowy, patrząc w górę.

Po jedenastym września zawsze każdy patrzył w górę. Nadjechał drugi samochód i wysiadła z niego kobieta w ciemnej marynarce. Detektyw Nancy Simpson. Podbiegła do Sachs.

-Co jest, Amelia?

- Wydaje się nam, że Galt zainstalował w tej szkole pułapkę. Nie wiemy jeszcze, co to jest. Chcę wejść i się rozejrzeć. Mogłabyś ich przesłuchać... - wskazała ewakuowanych - ..i sprawdzić, czy ktoś widział Galta? Masz jego zdjęcie?

- W palmtopie.

Sachs skinęła głową i ponownie spojrzała na szkołę, nie bardzo wiedząc, jak się do tego zabrać. Pamiętała, co mówił Sommers. Wiedziała, gdzie znaleźć podłożoną bombę, gdzie mógłby się ukryć snajper. Zagrożenie prądem elektrycznym czyhało jednak wszędzie.

- Co powiedział Charlie? - zapytała Rhyme'a. - Co właściwie Galt mógł zainstalować?

-Najskuteczniej byłoby wykorzystać ofiarę jako włącznik. Pewnie podłączył klamkę u drzwi albo poręcz schodów do źródła prądu, a podłogę do uziemienia. Podłoga

mogła też być naturalnym uziemieniem, jeżeli jest mokra. Obwód jest otwarty, dopóki ofiara nie dotknie klamki czy poręczy. Wtedy przepływa przez nią prąd. Żeby zabić człowieka, nie trzeba wcale wysokiego napięcia. Inny sposób to dotknięcie obiema rękami źródła prądu. Przez serce przepływnie wtedy dość prądu, żeby zabić. Ale to mniej skuteczne.

Skuteczne... w tych okolicznościach słowo brzmiało okropnie.

Za jej plecami zawyły syreny. Nadjeżdżała straż pożarna, oddział antyterrorystów i karetki pogotowia.

Sachs pomachała do Bo Haumanna, szefa jednostki ESU, szczupłego, siwego byłego instruktora szkolenia. Przywitał ją skinieniem głowy i zaczął rozdzielać funkcjonariuszom zadania: mieli przeprowadzić ewakuowanych do bezpiecznego miejsca i sformować zespoły szturmowe, by odnaleźć Raymonda Galta i ewentualnych współników.

Po chwili wahania pchnęła szklaną część drzwi, nie dotykając metalowej klamki, i weszła do holu, naprzeciw tłumowi uciekających ludzi. Chciała krzyknąć, żeby nikt nie dotykał niczego metalowego, ale bała się, że wywołałaby panikę i ludzie mogliby się nawzajem stratować. Poza tym wciąż mieli piętnaście minut do zapowiedzianej godziny zamachu.

Wewnątrz zobaczyła mnóstwo metalowych poręczy, klamek, schodków i płyt na posadzce. Nie było jednak żadnej widocznej wskazówki, by któraś z tych części została podłączona do jakiegoś przewodu.

- Nie wiem, Rhyme - powiedziała niepewnie. - Jest sporo metalu, ale prawie na całej podłodze jest wykładzina albo linoleum. To słaby przewodnik.

Może po prostu zamierzał wzniecić pożar i spalić budynek?

Trzydzieści minut.

- Szukaj, Sachs.

Włączyła bezkontaktowy wykrywacz prądu od Charliego Sommersa, który gdzieniegdzie wykazywał napięcie, ale nie wyższe niż w zwykłej domowej sieci zasilania. A źródło nie znajdowało się w miejscach, które nadawałyby się najlepiej, by kogoś zranić lub zabić.

Jej wzrok przyciągnęło migające żółte światło za oknem. To była furgonetka Algonquin Consolidated z napisem POGOTOWIE TECHNICZNE na boku. Rozpoznała dwie z czterech osób w środku, Berniego Wahla, szefa ochrony w firmie, oraz Boba Cavanaugh, wiceprezesa do spraw operacyjnych. Podbiegli do grupki funkcjonariuszy, wśród których była Nancy Simpson.

Patrząc przez szybę na nich troje, Sachs nagle zauważyła, co jest obok college'u. Plac budowy dużego wieżowca. Robotnicy pracowali nad stalową konstrukcją, skręcając i spawając dźwigary.

Metal. Cała konstrukcja była wyłącznie z metalu.

- Rhyme - powiedziała cicho. - Chyba w ogóle nie chodzi o college.

- Jak to?

Wyjaśniła.

- Stal... jasne, Sachs, to ma sens. Spróbuj sprowadzić robotników na dół. Zadzwoń do Lona, żeby skoordynował akcję ESU.

Pchnęła drzwi i pobiegła w stronę baraku, gdzie znajdowało się biuro głównego wykonawcy. Spojrzała na dwadzieścia czy dwadzieścia pięć pięter, które miały się wkrótce zmienić w obwód pod napięciem. Na szkielecie wieżowca było w tym momencie co najmniej dwustu robotników. Doliczyła się tylko dwóch wind, które mogły ich uratować.

Do pierwszej pozostało dziesięć minut.

Rozdział 36

C

o się dzieje? - spytał kelnera Sam Vetter w hotelowej restauracji. Razem ze współbiednikami przy stole patrzył przez okno na ewakuację szkoły i budowy między college'em a hotelem. Podjeżdżały policyjne radiowozy i wozy strażackie.

- Tu jest bezpiecznie? - zapytał jeden z gości. - W hotelu?

- Oczywiście, proszę pana, bardzo bezpiecznie - zapewnił go kelner.

Vetter wiedział, że kelner nie ma pojęcia, gdzie jest bezpiecznie, a gdzie nie. Jako przedstawiciel branży budowlanej, Vetter natychmiast sprawdził liczbę wyjść awaryjnych w stosunku do liczby gości.

- Słyszeliście o tym wczorajszym zdarzeniu? - spytał biznesmen z Santa Fe. - O tej eksplozji w stacji transformatorowej? Może to ma jakiś związek. Mówili coś o terrorystach.

Vetterowi obity się o uszy jakieś wiadomości.

- Co się stało?

- Jakiś facet zmajstrował coś w sieci. Energetycznej. - Biznesmen wskazał głową za okno. - Może zrobił to samo w szkole. Albo na budowie.

- Ale nie w hotelu? - zaniepokoił się jeden z klientów.

- Nie, tu na pewno nie. - Kelner uśmiechnął się i znikł. Vetter zastanawiał się, którym wyjściem wybiegnąć.

Ludzie wstawali od stołu i podchodzili do okien. Z restauracji doskonale było widać całe zamieszanie.

- Nie, to nie terroryści - usłyszał Vetter. - Tylko jakiś niezadowolony pracownik. Podobno monter z przedsiębiorstwa energetycznego. W telewizji pokazywali jego zdjęcie.

Nagle Samowi Vetterowi coś przyszło do głowy. Spytał jednego z biznesmenów przy stoliku:

- Wiesz, jak on wygląda?

- Ma, zdaje się, czterdzieści parę lat. I być może nosi firmowy kombinezon i żółty kask. Kombinezon jest granatowy.

- O Boże. Chyba go widziałem. Przed chwilą.

-Co?!

-Widziałem robotnika w niebieskim kombinezonie i żółtym kasku. Niósł na ramieniu zwinięty kabel elektryczny.

- Lepiej powiedz o tym glinom.

Vetter wstał. Chciał odejść, ale przystanął i sięgnął do kieszeni. Jeszcze jego nowi przyjaciele pomyślą, że chce się wykręcić od zapłacenia rachunku. Słyszał, że nowojorczyki traktują ludzi bardzo podejrzliwie, i nie chciał, by jego pierwsze kroki w świecie wielkomięjskiego biznesu zepsuło coś takiego. Wyciągnął dziesięć dolarów za swoją kanapkę i piwo, zaraz przypomniał sobie jednak, gdzie jest, i dorzucił jeszcze dziesięć.

- Nie przejmuj się tym, Sam! Pośpiesz się.

Próbował sobie przypomnieć, gdzie dokładnie mężczyzna w kombinezonie wyszedł ze studzienki i gdzie stał, rozmawiając przez telefon, zanim wszedł do szkoły. Gdyby mniej więcej pamiętał godzinę rozmowy, może policji udałoby się ją namierzyć. Od operatora dowiedzieliby się, z kim rozmawiał.

Vetter zbiegł po ruchomych schodach, przesadzając po dwa stopnie. Wpadł do holu i ujrzał policjanta stojącego niedaleko recepcji.

-Przepraszam pana, ale właśnie słyszałem... szukacie kogoś, kto pracuje w firmie energetycznej? Człowieka odpowiedzialnego za wczorajszą eksplozję?

- Zgadza się. Wie pan coś o tym?

- Chyba go widziałem. Nie jestem pewien, może to nie był on. Ale wydaje mi się, że powinienem o czymś zawiadomić.

- Chwileczkę. - Funkcjonariusz uniósł nieporęczne radio i powiedział do niego: - Patrol pieszy, siedem osiem siedem trzy do stanowiska dowodzenia. Chyba mam świadka. Być może widział podejrzanego, odbiór.

- Zrozumiałem - zatrzeszczało w głośniku. - Zaraz... Dobra, siedem osiem, wyprowadź go na Stone Street. Detektyw Simpson chce z nim porozmawiać, odbiór.

- Zrozumiałem. Siedem osiem, bez odbioru. - Policjant odwrócił się do Vettera i powiedział: - Proszę wyjść od frontu i skręcić w lewo. Jest tam detektyw, kobieta. Nancy Simpson. Proszę o nią zapytać.

Idąc szybkim krokiem przez hol, Vetter pomyślał: jeżeli ten człowiek jest jeszcze w pobliżu, złapią go, zanim zdąży coś komuś zrobić.

Pierwszy raz jestem w Nowym Jorku i może nawet napiszą o mnie w gazetach. Będę bohaterem.

Co by na to powiedziała Ruth?

Rozdział 37

A

melia! - krzyknęła z chodnika Nancy Simpson. - Mam świadka.

Z hotelu obok. - Sachs podbiegła do Simpson, która dodała: - Idzie do nas.

Sachs przez mikrofon przekazała tę informację Rhyme'owi.

- Gdzie widziano Galta? - spytał niecierpliwie Rhyme.

- Jeszcze nie wiem. Będziemy rozmawiać ze świadkiem. Za moment.

Razem z Simpson podbiegły do drzwi hotelu spotkać się ze świadkiem. Sachs spojrzała w górę na stalowy szkielet wznoszonego budynku. Robotnicy opuszczali go szybko. Do zapowiedzianej godziny zamachu pozostało zaledwie kilka minut.

Nagle usłyszała za sobą męski głos:

- Halo? Detektywie!

Odwróciła się i zobaczyła biegnącego do niej wiceprezesa Boba Cavanaugh. Zwalisty mężczyzna dyszał ciężko i gdy stanął przed nią, był zlany potem. Jego mina mówiła: przepraszam, zapomniałem, jak się pani nazywa.

-Amelia Sachs.

- Bob Cavanaugh.

Skinęła głową.

- Słyszałem, że ewakuujecie budowę?

- Zgadza się. Nie znaleźliśmy w szkole żadnego miejsca, gdzie mógłby zaatakować. Wszędzie wykładzina i...

-Ale zamach na budowę nie ma sensu - przerwał jej Cavanaugh, gorączkowym gestem pokazując stalową konstrukcję.

- Wydawało mi się... przecież dźwigary są metalowe.

- Sachs, kto tam jest? - wtrącił Rhyme.

- Dyrektor operacyjny z Algonquin. Nie sądzi, żeby atak miał **nastąpić** na budowie. Właściwie dlaczego? - zwróciła się do wiceprezesa.

- Niech pani popatrzy! - odparł zdenerwowany, wskazując stojącą niedaleko grupkę robotników.

- O co panu chodzi?

-Buty!

- Sprzęt ochrony osobistej - wyszeptła. - Są izolowani.

Jeżeli nie można go uniknąć, należy się przed nim chronić...

Niektórzy mieli też na sobie grube kurtki i rękawice.

- Galt na pewno by wiedział, że robotnicy mają SSO
- rzekł Cavanaugh. - Musiałby podłączyć do konstrukcji
tyle prądu, że w tej części miasta siadłaby sieć.

- Jeżeli to nie college ani budowa - powiedział
Rhyme - to gdzie w takim razie ma być zamach? Może
już na początku popełniliśmy błąd, i to wcale nie tam.
Może chodziło o inną wystawę wulkaniczną.
Nagle Cavanaugh chwycił jej ramię i wskazał za ich
plecy.

- Hotel!

- Jezu - wykrztusiła Sachs, patrząc na budynek. Był
to jeden z tych minimalistycznych, eleganckich hoteli z
surowymi kamieniami, marmurem, fontannami... i
metalem. Mnóstwem metalu. Miedziane drzwi, stalowe
schody i podłogi.

Nancy Simpson też się odwróciła, by spojrzeć na
budynek.

- Co? - odezwał się w uchu Sachs zniecierpliwiony
głos Rhyme'a.

- To hotel, Rhyme. Tam zaatakuje. - Złapała radio,
by połączyć się z dowódcą antyterrorystów. Zbliżyła
nadajnik do ust i razem z Simpson puścili się sprintem. -
Bo, tu Amelia. Jestem pewna, że zaatakuje hotel. Nie
budowę. Bierz tam natychmiast ludzi! Ewakuujcie go!

- Zrozumiałem, Amelia. Idę...

Ale Sachs nie słyszała dalszego ciągu. A raczej zupełnie
przestała słuchać tego, co mówił, gdy zajrzała do hotelu
przez masywne okna.

Choć nie wybiła jeszcze pierwsza, kilka osób w hotelu
Battery Park stanęło jak wrytych. Ich ożywione twarze w
ułamku sekundy stężały. Zmieniły się w karykaturalne,
groteskowe twarze lalek. W kącikach napiętych ust
pojawiła się ślina. Palce, stopy i podbródki zaczęły
dygotać.

Obserwatorzy wstrzymali oddech, a po chwili wrzasnęli w
panice na widok zjawiska nie z tej ziemi - zobaczyli, jak
ludzie zmieniają się w stwory z koszmarnych horrorów, w
zombi. Dwie czy trzy osoby, które zastygły z rękami

zaciśniętymi na metalowych uchwytach obrotowych drzwi, wiły się w drgawkach w zamkniętej przestrzeni. Jakiś mężczyzna przebił zeszywniałą nogą szybę w drzwiach, która przecięła mu tętnicę udową. Trysnęła struga dymiącej krwi. Inny młody mężczyzna, prawdopodobnie student, stał pochylony, trzymając się kurczowo mosiężnych drzwi do sali bankietowej, dygocząc i oddając mocz. Dwie inne osoby, z dłońmi na poręczy niskich stopni w barze w holu, trzęsły się w miejscu, jak gdyby z ich ciał uleciało życie.

Nawet z zewnątrz Sachs słyszała makabryczny skowyt, wyrrywający się z tlejącego gardła kobiety, która zamarła w pół kroku.

Jakiś mocno zbudowany mężczyzna rzucił się naprzód, by uratować jednego z gości - odepchnąć go od panelu przy drzwiach windy, do którego przykleiła się dymiąca dłoń ofiary. Samarytanin miał zapewne nadzieję, że uda mu się powalić mężczyznę na ziemię i ocalić. Nie wziął jednak pod uwagę szybkości i mocy prądu. W momencie gdy dotknął ofiary, sam stał się częścią obwodu. Grymas bólu pokrył siecią głębokich zmarszczek jego twarz, która po chwili zmieniła się w maskę upiornej lalki i mężczyzna także zaczął się wic w okropnych drgawkach.

Z przegryzionych języków i warg płynęła krew. Oczy wyrzuciły się białkami na wierzch.

Palce pewnej kobiety musiały wyjątkowo mocno opleść klamkę drzwi; wygięła plecy w łuk pod nieprawdopodobnym kątem, wlepiając szklany wzrok w sufit. Z jej siwych włosów buchnęły płomienie.

- Rhyme... - szepnęła Sachs. - To wygląda bardzo źle. Odezwe się później. - Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Sachs i Simpson zaczęły gestem przywoływać karetki. Sachs była przerażona widowiskiem: widokiem rąk i nóg wstrząsanych konwulsjami, drżących mięśni, nabrzmiewających żył, śliny i krwi, parujących z rozgrzanych do czerwoności twarzy.

-Trzeba ich powstrzymać, żeby nie uciekali! - krzyknął Bob Cavanaugh. - Niech niczego nie dotykają!

Sachs i Simpson podbiegły do okien i zaczęły dawać ludziom znaki, żeby cofnęli się od drzwi, ale wszyscy w panice wciąż płynęli w kierunku wyjść, zatrzymując się tylko na widok potwornej sceny w holu.

Trzeba mu odciąć łeb...

Obróciła się do Boba, krzycząc:

- Jak tu można odciąć prąd?

Wiceprezes rozejrzał się dookoła.

- Nie wiemy, do czego go podłączył. Niedaleko są linie metra, linie przesyłowe i i średniego napięcia... Zadzwoń do Queens. Wyłączymy całą okolicę. Odetnę zasilanie giełdzie, ale nie ma innego wyjścia. - Wyciągnął telefon. - Tylko że to potrwa kilka minut. Proszę zabronić ludziom opuszczać hotel. I czegokolwiek dotykać!

Sachs przypadła do dużej szyby i rozpaczliwie dawała ludziom znaki, żeby zostali w środku. Niektórzy zrozumieli i pokiwali głowami. Ale innych ogarnęła panika. Sachs widziała, jak młoda kobieta odrywa się od swoich znajomych i pędzi do tylnego wyjścia awaryjnego, zagrodzonego przez dymiące ciało mężczyzny, który przed chwilą usiłował uciec z budynku. Sachs załomotała pięściami w okno.

-Nie! - wrzasnęła. Kobieta spojrzała w jej stronę, lecz biegła dalej, wyciągając przed siebie ręce.

- Nie, nie dotykaj!

Kobieta ze szlochem biegła dalej.

Od drzwi dzieliły ją trzy metry, dwa...

Nie ma innego sposobu, uznała policjantka.

-Nancy, okna! Trzeba je wybić! - Sachs wyszarpnęła z kabury glocka. Upewniła się, czy nikt nie stoi na linii strzału, a potem, mierząc wysoko, sześcioma pociskami roztrzaskała trzy masywne szyby w holu.

Na dźwięk wystrzałów kobieta krzyknęła i w ostatniej chwili padła na ziemię, nie dotykając klam a.

Nancy Simpson wyflukła szyby po drugiej stronie drzwi.

Obie policjantki wpadły do środka. Zakazały ludziom dotykać czegokolwiek metalowego i zaczęły organizować exodus przez ramy okien, najeżone odłamkami szkła. Hol wypełniał niewiarygodnie obrzydliwy dym.

Rozdział 3R

i

asilanie wyłączone! - zawołał Bob Cavanaugh.

Sachs skinęła głową i wskazała ratownikom ofiary, po czym zaczęła się rozglądać w tłumie ludzi na zewnątrz, szukając Galta.

- Detektywie!

Amelia Sachs odwróciła się na dźwięk głosu. W jej kierunku biegł jakiś człowiek w stroju roboczym Algonquin Consolidated. Widząc białego mężczyznę w granatowym kombinezonie, natychmiast przyszło jej na myśl, że to może być Galt. Świadek w hotelu podobno zeznał, że podejrzany jest w pobliżu, a żeby zidentyfikować napastnika, policja miała tylko kiepskiej jakości zdjęcie z prawa jazdy.

Ale gdy mężczyzna się zbliżył, okazało się, że jest dużo młodszy od Galta.

- Detektywie - wykrztusił zdyszonym głosem. - Tamten policjant powiedział, że mam z panią porozmawiać. Chyba powinna pani o czymś wiedzieć. - Skrzywił się, gdy w nozdrza uderzył go zapach dymu z hotelu.

- Proszę mówić.

-Pracuję w firmie energetycznej. Algonquin. Mój **partner** jest w jednym z naszych tuneli, tu pod nami. - Wskazał na Amsterdam College. - Próbuję się z nim skontaktować, ale nie odpowiada. Tyle że radio działa normalnie.

Pod ziemią. Tam gdzie biegnie sieć elektryczna.

- Pomyślałem sobie, że może był tam ten Raymond Galt i Joey na niego wpadł. No, martwię się o niego.

Sachs zawołała dwóch funkcjonariuszy z patrolu. Razem z monterem z Algonquin ruszyli biegiem do college'u.

- Mamy wejście przez piwnicę. To najlepsza droga do tunelu.

A więc stąd wzięły się ślady popiołu wulkanicznego - Galt dostał się do tunelu przez salę wystawową college'u. Sachs połączyła się z Rhyme'em i opowiedziała, co się stało. - Spróbuję go zdjąć, Rhyme - dodała. - Możliwe, że jest w tunelu. Odezwę się, kiedy będę coś wiedziała. Znalazłeś w dowodach coś nowego?

-Nic więcej, Sachs.

- No to wchodzę.

Rozłączyła się, zanim odpowiedział, i w asyście dwóch funkcjonariuszy podeszła z monterem do drzwi prowadzących do piwnicy. W budynku odłączono zasilanie, lecz światła awaryjne lśniły jak czerwono-białe oczy. Robotnik zrobił krok w kierunku drzwi.

- Nie - powstrzymała go Sachs. - Proszę tu zaczekać.

- Dobrze. Trzeba zejść piętro w dół i zobaczy pani czerwone drzwi. Jest na nich tablica „Algonquin Consolidated”. Za drzwiami są schody do tunelu. Tu jest klucz. - Podał jej.

- Jak się nazywa pana partner?

- Joey Barzan.

-1 gdzie dokładnie miał być?

- Jak zejdzie pani po schodach, trzeba skręcić w lewo. Pracował jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów dalej. Mniej więcej pod hotelem.

- Jaka tam jest widoczność?

- Nawet po odcięciu prądu palą się lampy robocze, zasilane z akumulatorów.

Z akumulatorów. Świetnie.

-Ale i tak jest ciemno. Zawsze mamy latarki.

- Są tam linie pod napięciem?

- Tak, przecież to tunel zasilania. Linie rozdzielcze są odłączone, ale inne nie.

- Odkryte?

Wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- O napięciu stu trzydziestu tysięcy voltów? Nie, nie są odkryte.

Chyba że odłonił je Galt.

Po krótkim wahaniu Sachs sprawdziła klamkę wykrywaczem prądu, wzbudzając zaciekawienie montera Algonquin. Nie tłumacząc mu, co to za wynalazek, dała znak pozostałym, żeby się cofnęli, i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi z dłonią na rękojeści pistoletu. Pusto.

Sachs i dwaj policjanci ruszyli w głąb ciemnej klatki schodowej - natychmiast odezwała się jej klaustrofobia, ale przynajmniej okropny zapach palonej gumy i skóry był tu mniej odrażający.

Sachs szła pierwsza, dwaj funkcjonariusze za nią. Mocno ścisnęła w dłoni klucz, ale gdy dotarli do czerwonych drzwi do tunelu, zobaczyli, że są uchylone. Wymienili spojrzenia. Sachs wyciągnęła broń. Policjanci zrobili to samo. Dała im znak, żeby powoli szli za nią, po czym cicho pchnęła drzwi ramieniem.

Zatrzymała się na progu, patrząc w dół.

Cholera. Schody prowadzące do tunelu - na oko dwa piętra w dół - były metalowe. Niemalowane. Jej serce znów zatrzepotało.

Należy unikać prądu, jeżeli to tylko możliwe.

Jeżeli nie można go unikać, należy się przed nim chronić.

Jeżeli nie da się tego zrobić, trzeba mu odciąć łeb.

Nie mogła tu zastosować żadnej z magicznych zasad Charliego Sommersa.

Pociła się jak mysz. Pamiętała, że mokra skóra jest o wiele lepszym przewodnikiem niż sucha. Czy Sommers nie wspominał, że słony pot jeszcze pogarsza sytuację?

- Widzi pani coś, detektywie? - usłyszała szept.

- Mam iść pierwszy? - spytał drugi policjant.

Nie odpowiadając na pytania, odrzekła szeptem:

- Nie dotykajcie niczego metalowego.

- Jasne. Dlaczego?

- Sto tysięcy voltów. Dlatego.

-Aha. Jasne.

Zanurzyła się w mrok, niemal spodziewając się usłyszeć przerażający trzask i zobaczyć oślepiający błysk iskry. Pokonała pierwszy ciąg schodów, potem drugi.

Pomyliła się w swojej ocenie. Od tunelu dzieliły ją trzy piętra bardzo stromych stopni.

Zbliżając się do celu, usłyszeli głośnie dudnienie i szumy. Zrobiło się też o mniej więcej pięć stopni cieplej niż na zewnątrz, a temperatura rosła z każdym schodkiem.

Następny piekielny krąg.

Tunel był większy, niż się spodziewała, miał blisko dwa metry szerokości i ponad dwa wysokości, było tu jednak ciemniej. Brakowało wielu żarówek w oświetleniu awaryjnym. Z prawej, w odległości około piętnastu metrów majaczył niewyraźnie koniec tunelu. Nie widziała żadnych drzwi, przez które Galt mógłby uciec, żadnego miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Z lewej natomiast, gdzie miał pracować Joey Barzan, odchodziła kręta odnoga korytarza.

Kiedy weszli w pierwszy zakręt, Sachs gestem nakazała policjantom trzymać się za nią. Przystanęli. Sachs nie sądziła, żeby Galt wciąż tu był - zapewne ulotnił się i schował najdalej, jak się dało - ale obawiała się pułapek. Było to jednak tylko przypuszczenie, nie pewność. Kiedy więc wyjrzała zza zakrętu, przykucnęła, trzymając glocka w pogotowiu, lecz niezbyt daleko przed sobą, by Galt nie mógł wytrącić ani wyrwać jej broni.

Nic.

Spojrzała na wodę, która pokrywała betonową posadzkę. Woda. Naturalnie. Mnóstwo świetnie przewodzącej wody.

Zerknęła na ścianę tunelu, gdzie zamontowano grube czarne kable.

UWAGA!!! WYSOKIE NAPIĘCIE!

**PRZED PRZYSTĄPIENIEM DO PRACY SKONTAKTUJ
SIĘ Z ALGONQUIN CONSOLIDATED POWER**

Przypomniała sobie słowa montera sprzed chwili o napięciu.

- Czysto - szepnęła.

I dała znak funkcjonariuszom, żeby szli szybciej. Oczywiście martwiła się o montera z Algonquin, Joeya Barzana, ale przede wszystkim miała nadzieję znaleźć jakieś wskazówki, dokąd Galt mógł uciec.

Tylko czy to możliwe? Te tunele zapewne ciągną się kilometrami. Doskonała droga ucieczki. Na betonowej posadzce leżała ziemia, ale nie odznaczały się żadne ślady stóp. Ściany pokrywała sadza. Nawet gdyby Sachs zbierała ślady przez wiele dni, mogłaby nie znaleźć ani jednego, który naprowadziłby ją na trop Galta. Może...

Rozległo się jakieś skrzypnięcie.

Zamarła. Skąd dobiegł dźwięk? Czyżby były jakieś boczne odgałęzienia, gdzie mógłby się schować?

Jeden z policjantów uniósł rękę. Wskazał na swoje oczy, a potem przed siebie. Skinęła głową, choć uznała, że ten wojskowy sygnał nie jest tu wcale potrzebny.

Ale w takich sytuacjach człowiek uspokaja się, jak potrafi. Sachs natomiast nie bardzo potrafiła się uspokoić. Znow w pamięci usłyszała świst pocisków ze stopionego metalu.

Nie mogła się jednak wycofać.

Jeszcze jeden głęboki oddech.

Jeszcze jedno spojrzenie... Odcinek tunelu przed nimi znow był pusty. A także ciemniejszy od poprzedniego. Zobaczyła dlaczego: tu też brakowało większości żarówek, ale te zostały wytłuczone.

Sachs wyczuła, że to pułapka.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie korytarz skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, Sachs pomyślała, że muszą się znajdować bezpośrednio pod hotelem.

Znow szybko wyrzała, lecz tym razem trudno było cokolwiek zobaczyć z powodu jeszcze gęstszych ciemności.

Po chwili znowu usłyszała jakieś dźwięki.

Jeden z funkcjonariuszy przysunął się bliżej.

- Głos?

Skinęła głową.

- Trzymajcie się nisko - szepnęła.
Wysunęli się zza rogu i skuleni ruszyli dalej w głąb tunelu.
Nagle Sachs się wzdrygnęła. To nie był głos. To był jęk.
Rozpaczliwy ludzki jęk.

- Latarka! - szepnęła. Jako detektyw nie nosiła pasa ze sprzętem, tylko broń i kajdanki. Poczowała bolesne uderzenie w bok, gdy policjant za nią dźgnął ją latarką pod żebro.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Na ziemię - poleciła im cicho. - Na brzuchu. Bądźcie gotowi do strzału. Ale tylko na mój rozkaz... chyba że wcześniej mnie stuknie.
Położyli się na brudnej posadzce, z bronią skierowaną w ciemną czeluść.
Sachs też wycelowwała w tę stronę. Trzymając latarkę w wyciągniętej ręce, daleko od ciała, by nie stanowiła zagrożenia dla życia, gdyby miała się stać celem, włączyła ją i mroczny korytarz zalało oślepiające światło.
Nie padł strzał, nie błysnął łuk elektryczny.
Ale Galt zapisał na swoim koncie kolejną ofiarę.

W odległości około dziesięciu metrów leżał na boku monter Algonquin, z ustami zaklejonymi taśmą izolacyjną i rękami związanymi z tyłu. Ze skroni i zza ucha sączyła się krew.

- Chodźmy!

Policjanci poderwali się z ziemi i wszyscy troje podbiegli do mężczyzny, którym zapewne był Joey Barzan. W blasku latarki zobaczyła, że to nie Galt. Robotnik był ciężko ranny i mocno krwawił. Gdy jeden z policjantów przypadł do niego, żeby zatamować krwotok, Barzan zaczął gwałtownie potrząsać głową i jęczeć pod taśmą. W pierwszej chwili Sachs pomyślała, że umiera i jego ciałem wstrząsają drgawki przedśmierne. Kiedy jednak podeszła bliżej, spojrzała w jego szeroko otwarte oczy i podażyła za jego wzrokiem. Nie leżał na nagiej posadzce, ale na grubej warstwie czegoś, co wyglądało na teflon czy plastik.

- Nie! - krzyknęła do policjanta, który wyciągał ręce, żeby pomóc mężczyźnie. - To pułapka!

Funkcjonariusz znieruchomiał.

Przypomniała sobie, co Sommers mówił o krwi i ranach, które znacznie zmniejszają opór elektryczny ciała.

Nie dotykając montera, obeszła go z drugiej strony.

Miała skrępowane ręce, ale nie taśmą czy sznurem, tylko gołym miedzianym drutem, który był podłączony do jednego z kabli na ścianie. Chwyciła wykrywacz Sommersa i wycelowała w przewód związany na przegubach Barzana.

Wskazówka licznika skoczyła na koniec skali, pokazując 10 000 woltów. Gdyby policjant dotknął Barzana, prąd przepłynąłby przez nich obu do ziemi, zabijając ich w ułamku sekundy.

Sachs cofnęła się i podkręciła głośność radia, żeby wezwać Nancy Simpson, kazać jej znaleźć Boba Cavanaugh i poinformować go, że musi odciąć kolejny łeb hydrze.

Rozdział 39

R

on Pułaski zdołał przywrócić do życia uszkodzoną drukarkę

Raymonda Galta i teraz wyciągał gorące kartki, spływające na tacę z wydrukami.

Młody policjant studiował je gorączkowo, szukając informacji

o prawdopodobnym miejscu pobytu podejrzanego, jego współników, siedziby organizacji „Sprawiedliwość dla...”, jakiegokolwiek śladu, który mógłby doprowadzić do powstrzymania zamachów.

Dostał SMS-a od detektywa Coopera z wiadomością, że nie udało się zatrzymać Galta w hotelu w centrum. Wciąż poszukiwano mordercy w okolicach Wall Street. Czy Pułaski znalazł jakiś trop?

„Jeszcze nie. Mam nadzieję, że niedługo” - wysłał, po czym wrócił do wydruków.

Na ośmiu kartkach czekających w kolejce do druku nie znalazł nic, co mogłoby pomóc odnaleźć i zatrzymać mordercę. Pułaski dowiedział się jednak czegoś istotnego: poznał motyw Raymonda Galta.

Były to wydruki wpisów Galta na blogach i forach internetowych oraz ściągniętych z sieci materiałów na temat badań medycznych, niektórych bardzo szczegółowych, autorstwa utytułowanych lekarzy, innych napisanych przez szarlatanów, w języku i stylu typowym dla teorii spiskowych.

Jeden z tekstów, napisany przez samego Galta, pochodził z blogu dotyczącego związku środowiska z poważną chorobą.

Moja historia jest typowa. Byłem monterem, a potem specmon-terem (kimś w rodzaju inspektora) w kilku firmach energetycznych

1 miałem bezpośredni kontakt z liniami pod napięciem ponad stu tysięcy woltów. To pola elektromagnetyczne generowane przez nie izolowane linie przesyłowe doprowadziły do mojej białaczki, jestem przekonany. Na dodatek udowodniono, że linie energetyczne przyciągają cząsteczki aerozolu, które

prowadzą między innymi do raka, ale media w ogóle o tym nie mówią.

Trzeba uświadomić to zagrożenie wszystkim firmom energetycznym, a przede wszystkim opinii publicznej. Energetycy sami z siebie niczego nie zrobią, bo i po co? Gdyby ludzie przestali zużywać przynajmniej połowę prądu, moglibyśmy ocalić życie tysiącom osób rocznie i obciążyć ich (energetyków) większą odpowiedzialnością. A ci mogliby popracować nad bezpieczniejszymi sposobami przesyłania energii. I przestać niszczyć ziemię.

Ludzie, trzeba wziąć sprawy we własne ręce!

Raymond Galt

A więc o to chodziło. Uważał, że jest chory z winy takich firm jak Algonquin, i wykorzystywał czas, jaki mu pozostał, żeby je zwalczać. Pulaski wiedział, że Galt to morderca, mimo to nie potrafił mu nie współczuć. W jednej z szafek znalazł butelki alkoholu, w większości do połowy opróżnione. I tabletki nasenne. Oraz środki antydepresyjne. Śmiertelna choroba i obojętność osób odpowiedzialnych za nią nie były usprawiedliwieniem dla zabójstwa, lecz Pulaski rozumiał źródło jego gniewu.

Dalej czytał wydruki, ale znalazł to samo: płomienne tyrady przeciwko energetykom i informacje medyczne. Ani jednego e-maila, którego adres pozwoliłby namierzyć znajomych Galt czy dał wskazówkę co do jego miejsca pobytu.

Pulaski przejrzał kartki jeszcze raz, myśląc o dziwacznej teorii agenta Tuckera McDaniela o komunikacji w strefie cienia i szukając ukrytych w tekstach kryptonimów i tajnych wiadomości. Po chwili uznał jednak, że zmarnował dość czasu, i zebrał wszystkie wydruki. Poświęcił jeszcze kilka minut na spakowanie reszty dowodów, zebranie próbek i wypisanie kart ewidencyjnych. Następnie rozstawił numery i dokładnie sfotografował całe mieszkanie.

Kiedy skończył, spojrzął przez korytarz na drzwi wejściowe i poczuł, jak znów ogarnia go niepokój. Ruszył

do wyjścia, spoglądając na metalową klamkę i metalowe drzwi. Co jest? - pomyślał ze złością. Godzinę temu otworzyłeś je, żeby wejść! Nie zdejmując lateksowych rękawiczek, ostrożnie wyciągnął rękę i uchylił drzwi. Oddychając z ulgą, wyszedł z mieszkania.

Przed wejściem do budynku zobaczył dwóch policjantów i agenta FBI. Skinął im głową.

- Słyszałeś? - zapytał agent.

Pułaski zatrzymał się w progu, a po chwili odsunął się od stalowych drzwi.

- O zamachu? Tak, słyszałem, że uciekł. Nie znam szczegółów.

- Zabił pięć osób. Zginęłoby jeszcze więcej, gdyby nie uratowała ich twoja partnerka.

- Partnerka?

- Ta detektyw, Amelia Sachs. Są obrażenia. Sporo ludzi zostało poważnie poparzonych.

Pułaski pokręcił głową.

- To pech. Tak samo, łuk elektryczny?

- Nie wiem. Ale poraził ich prądem. Tylko tyle słyszałem.

- Jezu. - Pułaski rozejrzał się po ulicy. Nigdy nie zauważył, ile metalu jest w typowym budynku mieszkalnym. Przeszył go dreszcz paranoicznego lęku. Wszędzie metalowe słupki, pręty i kraty. Schody pożarowe, kanały wentylacyjne, rury biegnące do ziemi, metalowe klapy na chodniku, zasłaniające podnośniki. Wszystko można było podłączyć do prądu, by porazić człowieka albo wybuchnąć lawiną metalowych odłamków.

Zabił pięć osób...

Oparzenia trzeciego stopnia...

- Dobrze się czujesz?

Pułaski zaśmiał się odruchowo.

- Tak. - Chciał wytłumaczyć przyczynę swojego lęku, choć oczywiście nic nie powiedział. - Jest jakiś trop Galta?

- Nie, facet zniknął.

- Muszę to zawieźć do Lincolna Rhyme'a.
- Znalazłeś coś?
- Tak. To na pewno on. Ale nie mam nic o tym, gdzie może teraz być ani gdzie planuje następny atak.
- Kto będzie prowadził obserwację? - spytał agent FBI. Wskazał mieszkanie. - Chcecie tu postawić swoich ludzi?

Dawał do zrozumienia, że federalni bardzo chętnie się zjawiają na aresztowanie, ale ponieważ Gaita nie było w domu i prawdopodobnie nie wróci - musiał słyszeć w wiadomościach, że został zidentyfikowany - nie zamierzali poświęcać swoich ludzi na pilnowanie mieszkania.

- Nie ja o tym decyduję - odparł młody policjant. Połączył się przez radio z Lonem Sellitem i powiedział mu, co znalazł. Porucznik miał polecić dwóm funkcjonariuszom zostać na miejscu, ale w ukryciu, dopóki oficjalnie nie zostanie utworzony zespół obserwacyjny, na wypadek gdyby Galt próbował się ukradkiem dostać do domu.

Pułaski skręcił do pustej alejki za budynkiem, otworzył bagażnik i schował wszystkie dowody.

Zatrzasnął klapę i niespokojnie rozejrzał się dookoła.

Patrzył na metal otoczony przez metal.

Cholera, przestań o tym myśleć! Wsiadł do samochodu i już chciał włożyć kluczyk do stacyjki. Nagle się zawahał.

Samochód stał zaparkowany za murem, niewidoczny z okien mieszkania, na wypadek gdyby Galt jednak wrócił.

Jeżeli sprawca wciąż jest na wolności, możliwe, że zainstalował w wozie Pułaskiego jakąś pułapkę.

Nie, to zbyt przekombinowane.

Pułaski skrzywił się. Uruchomił samochód i wrzucił wsteczny.

Usłyszał dzwonek komórki. Zerknął na wyświetlacz. To była jego żona, Jenny. Zastanawiał się, co począć. Nie, zadzwoni do niej później. Wsunął telefon do kieszeni.

Spoglądając przez okno, ujrzał elektryczną tablicę rozdzielczą na bocznej ścianie budynku i odchodzące od niej trzy grube przewody. Wzdrygnął się na ten widok i przekręcił kluczyk. Rozległ się okropny zgrzyt, który słyszeć, gdy silnik już pracuje. W panice, sądząc, że zaraz zostanie porażony prądem, policjant złapał klamkę i otworzył drzwi. Jego stopa zsunęła się z hamulca i wylądowała na pedale gazu. Ford crown victoria z piskiem opon ruszył do tyłu. Pułaski wdusił hamulec.

Wcześniej jednak usłyszał głuchy łomot i wrzask. Zdołał dojrzeć mężczyznę w średnim wieku, który przecinał alejkę, niosąc zakupy. Przechodzień odbił się od muru i upadł na bruk, krwawiąc z głowy.

Rozdział 4f1

A

melia Sachs przyglądała się badawczo Joeyowi Barzanowi.

- Jak się pan czuje?

- Aha. Chyba.

Nie była pewna, co to znaczy, nie sądziła też, że sam wie. Zerknęła na ratownika, który pochylał się nad Barzanem. Wciąż byli w tunelu pod hotelem Battery Park.

- Wstrząs mózgu, stracił trochę krwi. - Zwracając się do pacjenta, który siedział niepewnie oparty o ścianę, powiedział: - Wyjdzie pan z tego.

Bobowi Cavanaugh udało się znaleźć źródło prądu i odłączyć linię, którą Galt wykorzystał do przygotowania pułapki. Korzystając z wykrywacza Sommersa, Sachs upewniła się, że zasilanie jest odłączone, po czym szybko - bardzo szybko - rozplątała drut podłączony do linii średniego napięcia.

- Co się stało? - spytała Barzana.

- To był Ray Galt. Znalazłem go w tunelu. Uderzył mnie drążkiem izolacyjnym, straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem, że mnie przydrutował do linii. Jezu. To było sześćdziesiąt tysięcy woltów, linia zasilania metra. Gdybyście mnie dotknęli albo gdybym się przekręcił parę centymetrów na bok... Jezu. - Obrócił na nią zdziwione spojrzenie. - Słyszałem syreny na ulicy. I poczułem zapach. Co się stało?

- Galt przeprowadził jakiś kabel do hotelu obok.

- Boże, nie. Ktoś jest ranny?

- Są ofiary. Szczegółów jeszcze nie znam. Dokąd poszedł Galt?

- Nie wiem, byłem nieprzytomny. Jeżeli nie wyszedł przez college, musiał pójść tędy, przez tunel. - Skierował

wzrok w lewo. - Tam jest sporo przejść do tuneli metra i na perony.

- Mówił coś? - spytała Sachs.
- Właściwie nie.
- Gdzie był, kiedy go pan widział?
- Dokładnie tu. - Wskazał punkt w odległości około trzech metrów.

Widać, gdzie się podłączył do linii. Jest tam jakaś skrzynka. Nigdy

jej nie widziałem. I oglądał w laptopie budowę i hotel. Jakby się podpiął pod kamerę monitoringu.

Sachs wstała i obejrzała kabel, tej samej marki co wczoraj na przystanku - Bennington. Ani śladu komputera ani drążka izolacyjnego, o którym mówił jej Sommers - pręta z włókna szklanego do pracy przy przewodach pod napięciem.

- Żyję tylko dlatego, że chciał mnie wykorzystać do zabicia ludzi, prawda? - rzekł cicho Barzan. - Chciał, żebyście go przestali szukać.

- Zgadza się.

- Sukinsyn. Na dodatek to jeden z nas. Monterzy i specmonterzy trzymają się razem. Jak bracia. Musimy. Prąd jest bardzo niebezpieczny. - Widać było, że jest wściekły z powodu zdrady Galta.

Sachs zdjęła z dłoni, rąk i nóg Barzana ślady, po czym dała znak ratownikom. - Jest już wolny. - Dała Barzanowi wizytówkę, prosząc go, żeby zadzwonił, gdyby przypomniał sobie coś jeszcze. Ratownik poinformował kolegę przez radio, że tunel jest już czysty i można wnieść nosze, aby ewakuować poszkodowanego robotnika. Barzan oparł się o ścianę tunelu i zamknął oczy.

Sachs skontaktowała się z Nancy Simpson i opowiedziała jej, co się stało.

- Sprowadź ludzi ESU do tuneli Algonquin w promieniu kilometra. I do metra.

-Jasne, Amelia. Zaczekaj. - Po chwili Simpson odezwała się ponownie. - Już idą.

- Co z naszym świadkiem z hotelu?
- Ciągle go szukam.

Oczy Sachs coraz bardziej przyzwyczajały się do ciemności. Przymrużyła powieki.

- Odezwę się, Nancy. Coś widzę. - Ruszyła tunelem w kierunku wskazanym przez Barzana, w którym prawdopodobnie uciekł Galt.

W odległości około dziesięciu metrów, w niewielkiej wnęce za kratownicą, znalazła wciśnięty granatowy kombinezon Algonquin, kask i torbę z narzędziami. Z oddali dostrzegła tylko żółty fragment kasku. Galt oczywiście wiedział już, że wszyscy go szukają, więc zdjął strój roboczy i ukrył go razem z narzędziami.

Sachs jeszcze raz połączyła się z Simpson i poprosiła ją, żeby przekazała Bo Haumannowi i oddziałom ESU, że Galt jest już inaczej ubrany. Następnie nałożyła lateksowe rękawiczki i sięgnęła za kratownicę, by wyciągnąć dowody.

Zaraz jednak znieruchomiała.

Musi też pani pamiętać, że nawet jeżeli pani sądzi, że unika pani prądu, wciąż może być pani w niebezpieczeństwie.

W głowie rozbrzmiały jej słowa Sommersa. Wzięła wykrywacz i skierowała na narzędzia.

Wskazówka podskoczyła: 603 wolty.

Wstrzymując oddech, Sachs zamknęła oczy i poczuła, że nogi się pod nią uginają. Przyjrząwszy się uważniej, dostrzegła przewód biegnący od kratownicy pod ziemią do kanału kablowego, za którym ukryto dowody. Żeby wyciągnąć rzeczy, musiałaby dotknąć rury. Zasilanie w tunelu w zasadzie zostało odłączone, ale może w grę wchodziła praca wyspowa czy prąd wsteczny, o ile dobrze pamiętała, co jej mówił Sommers.

Jakie natężenie jest potrzebne, by zabić człowieka?

Mniej niż jedna dziesiąta ampera.

Wróciła do Barzana, który przyglądał się jej zmęczonym wzrokiem, wciąż opierając zabandażowaną głowę o ścianę tunelu.

- Potrzebuję pomocy. Muszę zabrać pewne dowody, ale w jednej linii ciągle jest napięcie.

-Wjakiej linii?

-Tam. Sześćset voltów. Podłączył ją do jakiejś rury.

- Sześćset? To prąd stały, wsteczny z zasilania trzeciej szyny metra. Niech pani weźmie mój drążek. Tam leży. - Wskazał. - I rękawice. Najlepiej puścić inny przewód z rury do ziemi. Wie pani, jak to zrobić?

-Nie.

- Nie jestem w formie, żeby pomóc. Przepraszam.

-Nie szkodzi. Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić z tym drążkiem. - Nałożyła rękawice Barzana na lateksowe i wzięła osłonięte gumą narzędzie z końcówką przypominającą kleszcze. Dawało jej odrobinę poczucia bezpieczeństwa.

- Niech pani stanie na gumowej macie i wyciągnie po kolei, co tam pani widziała. Nic się pani nie stanie. Dla bezpieczeństwa lepiej to robić jedną ręką. Prawą.

Dalszą od serca...

Które tłuło się w jej piersi, kiedy szła do wnęki, kładła kawałki teflonu na posadzce i powoli zaczynała wyciągać dowody.

Jeszcze raz wyobraziła sobie zmasakrowane ciało Luisa Martina i dygoczące istoty, umierające w hotelowym holu.

Nie cierpiała, gdy coś ją dekoncentrowało.

Nie cierpiała walczyć z przeciwnikiem, którego nie widziała.

Wstrzymując oddech - choć nie wiedziała dlaczego - wyciągnęła kombinezon i kask. Potem torbę z narzędziami. Na czerwonym płótnie widniał niedbały napis, wykonany flamastrem, „R. Galt”.

Przeciągle odetchnęła.

Na koniec zebrała i zapakowała dowody.

Z Queens przyjechał technik kryminalistyczny z walizką ze sprzętem. Mimo że miejsce zostało znacznie zanieczyszczone, Sachs ubrała się w niebieski kombinezon z tyteku i kontynuowała zabezpieczanie

śladów. Rozstawiła tabliczki z numerami, zrobiła zdjęcia i obchód po siatce. Za pomocą wykrywacza od Sommersa jeszcze raz sprawdziła linie, a potem szybko odkręciła kabel Benningtona oraz czarną plastikową skrzyneczkę, podłączoną do głównej linii zasilania. Przewód Galt biegł do stalowego dźwigara hotelu, przez który prąd popłynął do metalowych klamek u drzwi, drzwi obrotowych i poręczy schodów. Zapakowała wszystko, co znalazła, potem wzięła próbki z miejsca, w którym stał Galt, montując kabel, oraz z miejsca, gdzie zaatakował Joeya Barzana.

Szukała jeszcze drążka izolacyjnego, którym Galt uderzył montera, lecz nie potrafiła go odnaleźć. Nie umiała też ustalić, gdzie podłączył się do przewodu wideo, żeby oglądać miejsce ataku z kamery monitoringu college'u czy budowy, jak mówił Barzan.

Kiedy skończyła, połączyła się z Rhyme'em i przekazała mu najnowsze informacje.

- Wracaj jak najszybciej, Sachs. Potrzebujemy tych dowodów.

- Co znalazł Ron?

- Z tego, co mówi Lon, nic nadzwyczajnego. Hm. Ciekawe, co się dzieje. Powinien już tu być. - W jego głosie wyraźnie było słychać zniecierpliwienie.

- Zostanę tu jeszcze parę minut. Chcę znaleźć tego świadka. Jeden gość w restauracji podobno dobrze widział Galt'a. Mam nadzieję, że powie nam coś konkretnego.

Rozłączyli się, a Sachs wyszła z tunelu i znalazła Nancy Simpson. Detektyw była w holu hotelowym, teraz prawie pustym. Sachs ruszyła do drzwi obrotowych, nieodgradzonych policyjną taśmą, ale przystanęła, skręciła i weszła przez wybite okno.

Ze stężonych rysów twarzy Simpson wyczytała, że policjantka jest nadal wstrząśnięta.

- Rozmawiałam właśnie z Bo. Nie ma pojęcia, którądy Galt się wydostał. Przy wyłączonym zasilaniu

mógł pójść torami do Canal Street i zgubić się w Chinatown. Nikt nic nie wie.

Sachs popatrzyła na plamy krwi i ślady spalenizny na marmurowych podłogach, znaczące miejsca, gdzie leżały ofiary.

- Jaki jest bilans?

- Pięć ofiar śmiertelnych, chyba jedenaście osób odniosło obrażenia, poważne. Oparzenia w większości trzeciego stopnia.

- Szukacie świadków?

- Tak, ale nikt niczego nie widział. Większość gości hotelowych po prostu zniknęła. Nawet się nie wymeldowali. - Simpson dodała, że po prostu uciekli, zabierając małżonków, dzieci, współpracowników i walizki. Personel hotelu nawet nie próbował ich zatrzymać. Wyglądało na to, że połowa pracowników też wyszła.

- Co z naszym świadkiem?

- Próbuję go namierzyć. Rozmawiałam z ludźmi, którzy jedli z nim lunch. Mówili, że widział Galta. Dlatego naprawdę bardzo chcę go znaleźć.

-Kto to jest?

- Nazywa się Sam Vetter. Przyjechał tu służbowo ze Scottsdale. Pierwszy raz jest w Nowym Jorku.

Minął ich funkcjonariusz patrolu.

- Przepraszam, czy słyszałem nazwisko Vetter?

- Zgadza się. Sam Vetter.

- Podeszedł do mnie w holu. Mówił, że ma jakieś informacje o Galcie.

- Gdzie on jest?

- Och, nie wiecie? - zdziwił się policjant. - Jest jedną z ofiar. Utknął w drzwiach obrotowych. Nie żyje.

Rozdział 41

W

róciła Amelia Sachs z dowodami.

Gdy szybkim krokiem weszła do domu, Rhyme przymrużył oczy. Wionął za nią ohydny zapach - spalonych włosów, spalonej gumy, spalonego ciała.

Niektórzy inwalidzi sądzili, że z powodu niepełnosprawności mają wyostrzony zmysł powonienia; Rhyme nie był pewien, czy to prawda, w każdym razie wyczuł ten smród bez trudu.

Przyjrzał się dowodom, które wnieśli do laboratorium Sachs i technik z Queens. Ogarnęła go przemożna chęć, by osiąść tajemnice, do których klucz mogły w sobie kryć te przedmioty. Kiedy Sachs i Cooper wykładali je na stół, Rhyme spytał:

- ESU ustaliło, którędy Galt wydostał się z tunelu?
- Przepadł jak kamień w wodę. - Rozejrzała się po pokoju. - Gdzie Ron?

Rhyme odparł, że nowy jeszcze nie przyjechał.

- Dzwoniłem, zostawiłem mu wiadomość. Nie odezwał się. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, mówił, że znalazł motyw Galta, ale nie wchodził w szczegóły. Co jest, Sachs?

Zauważył, że z nieruchomą twarzą patrzy przez okno.

- Pomyliłam się, Rhyme. Straciłam czas na ewakuację budowy i zupełnie nie zauważyłam prawdziwego celu.

Wyjaśniła, że to Bob Cavanaugh domyślił się, że celem zamachu jest hotel. Westchnęła.

- Gdybym to lepiej przemyślała, mogłabym ich ocalić. - Podeszła do białej tablicy i zamazyście napisała u góry: *Miejsce zdarzenia: hotel Battery Park i okolice*, a pod spodem nazwiska śmiertelnych ofiar, najprawdopodobniej małżeństwa oraz biznesmena ze Scottsdale w Arizonie, kelnera i pracownika firmy reklamowej z Niemiec.

- Mogło ich być o wiele więcej. Podobno wybiłaś okna i dlatego ludzie mogli uciec.

Odpowiedziała wzruszeniem ramion.

Rhyme uważał, że w policyjnej robocie nie ma miejsca na gdybanie. Człowiek robi, co może, tyle, na ile pozwala sytuacja.

Ale czuł to samo co Sachs - złość, że mimo karkołomnego wyścigu z czasem i prawidłowego

wniosku co do ogólnej lokalizacji planowanego ataku, nie tylko nie udało się im uratować ludzi, ale zmarnowali okazję złapania Galta.

Nie był jednak tak przybity jak Sachs. Bez względu na to, ile osób ponosiło odpowiedzialność i jaką część winy ponosili, zawsze najczęściej pretensji miała do siebie. Mógłby jej powtarzać, że gdyby jej tam nie było, z pewnością zginęłoby więcej osób, a Galt już wiedział, że został zidentyfikowany i prawie przechytrzony. Że być może da za wygraną i przestanie atakować. Ale takie słowa zdawały się protekcjonalne i gdyby ktoś skierował je do Rhyme'a, na pewno nie chciałby ich w ogóle słuchać.

Poza tym okrutna prawda była taka, że istotnie sprawca uciekł w wyniku ich pomyłki.

Sachs wróciła do układania dowodów na stole.

Miała bledszą twarz niż zwykle; jeżeli chodzi o makijaż, była mini- malistką. Rhyme nie miał też wątpliwości, że wstrząsnął nią widok miejsca zdarzenia. Incydent z autobusem wystraszył ją - ten lęk wciąż kładł się cieniem w jej oczach, jak patyna niepokoju. To jednak był inny strach, wywołany jeszcze żywym obrazem ludzi umierających w hotelu okropną śmiercią.

- Rhyme, to wyglądało... jakby tańczyli - opisywała. Przyniosła kombinezon Algonquin Galta, kask, torbę z narzędziami i materiałami oraz kolejny kabel, taki sam, jakiego Galt użył wczorajszego przedpołudnia do przygotowania pułapki z łukiem elektrycznym. Zebrała też kilka torebek śladów. Rhyme zobaczył jeszcze jeden przedmiot w grubej, plastikowej torebce: Sachs wyjaśniła, że podłączył kabel do głównej linii trochę inaczej niż w podstacji Algonquin na Pięćdziesiątej Siódmej. Galt użył śrub widełkowych, ale między dwoma przewodami znalazła się plastikowa skrzyneczka wielkości książki w twardej oprawie.

Cooper przeskanował ją, sprawdzając, czy nie ma w niej materiałów wybuchowych, po czym otworzył skrzyneczkę.

- Wygląda na własnej roboty, ale nie mam pojęcia, co to jest.

- Porozmawiajmy z Charliem Sommersem - zaproponowała Sachs.

Pięć minut później mieli na linii wynalazcę z Algonquin, Sachs opowiedziała mu o zamachu na hotel.

- Nie wiedziałem, że to tak źle wyglądało - powiedział cicho.

- Jesteśmy wdzięczni za wcześniejsze wskazówki - rzekł Rhyme. - Że zamiast łuku mógł wykorzystać prąd do innej pułapki.

- Jednak nie na wiele się zdały - mruknął Sommers.

- Mógłbyś rzucić okiem na tę skrzyneczkę, którą znaleźliśmy? - spytała Sachs. - Była podłączona między linią Algonquin a kablem biegnącym do hotelu.

- Oczywiście.

Cooper podał Sommersowi adres internetowy zabezpieczonego strumienia wideo, a potem skierował kamerę wysokiej rozdzielczości na wnętrze skrzyneczki.

-Jest. Zobaczmy... Pokażcie drugą stronę... Ciekawe. Nie jest seryjnej produkcji. Zrobiona ręcznie.

- Nam też się tak wydaje - powiedział Rhyme.

-Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie w takim małym rozmiarze. To rozdzielnica. Tak nazywamy układy wyłączników w podstacjach i systemach przesyłowych.

- Po prostu włącza i wyłącza obwód?

- Zgadza się. Jak zwykły wyłącznik w ścianie, tyle że na moje oko poradziłby sobie ze stu tysiącami woltów. Wbudowany wentylator, cewka i odbiornik. Zdalnie sterowany.

- Czyli połączył kable, nie przesyłając żadnego prądu, a kiedy był w bezpiecznej odległości, zdalnie włączył obwód. Andi Jessen wspominała, że mógłby spróbować zrobić coś takiego.

- Wspominała? Hm, ciekawe. Ale nie wydaje mi się, żeby chodziło o bezpieczną odległość - dodał Sommers.

- Każdy specmonter wie, jak bezpiecznie łączyć przewody. Zrobił to z innego powodu.

Rhyme zrozumiał.

- Żeby zaatakować w najlepszym momencie - chciał włączyć prąd, kiedy w holu znajdzie się jak najwięcej osób.

- Chyba tak.

- Jeden z robotników, który go widział, mówił, że oglądał miejsce zamachu na laptopie - dodała Sachs. - Prawdopodobnie podłączył się do pobliskiej kamery monitoringu. Ale nie mogłam ustalić, gdzie się podpiął.

- Może dlatego włączył prąd kilka minut wcześniej - zasugerował Rhyme. - Miał okazję zaatakować więcej osób. Poza tym wiedział, że Algonquin i tak nie spełni jego żądań.

- Ma prawdziwy talent - oznajmił Sommers z wyraźnym uznaniem w głosie. - Bardzo pomysłowe urządzenie. Wyłącznik jest niby prosty, ale znacznie trudniej go zrobić, niż się wydaje. Takie linie zasilania wytwarzają dużą siłę elektromagnetyczną, musiałby też ekranować elektronikę. Jest inteligentny, a to, jak sądzę, zła wiadomość.

- Skąd mógłby wziąć części, cewkę, odbiornik, wentylator?

- Z któregokolwiek sklepu elektrycznego w okolicy. Jest ich ze sto, dwieście... Są jakieś numery seryjne? Cooper uważnie obejrzał elementy.

- Nie, tylko numery modeli.

- No to macie pecha.

Rhyme i Sachs podziękowali Sommersowi i zakończyli rozmowę.

Sachs i Cooper zbadali zestaw narzędzi Galta oraz kombinezon i kask. Nie znaleźli żadnych notatek ani map, niczego, co mogłoby wskazać jego kryjówkę czy cel następnego ataku. Nie byli zaskoczeni, ponieważ Galt celowo porzucił rzeczy, wiedząc, że zostaną znalezione. Detektyw Gretchen Sahloff z centrali wydziału kryminalistycznego w Queens pobrała próbki odcisków palców Galta z jego biura i odcisk kciuka z akt personalnych Algonquin. Cooper badał wszystkie

przedmioty i porównywał z odciskami palców. Na dowodach znalazł tylko odciski Galta. Rhyme był zawiedziony. Gdyby znaleźli inne, mogłyby ich naprowadzić na trop kolegi czy współnika Galta albo kogoś z komórki „Sprawiedliwości dla”, jeśli organizacja była zamieszana w zamachy.

Rhyme zwrócił uwagę, że wśród narzędzi w torbie nie było piłki do metalu ani szczypców do drutu. Zestaw składał się z mniejszych ręcznych narzędzi.

Był tam jednak klucz francuski z nacięciami, które dokładnie pasowały do zadrapań na śrubach w podstacji na Pięćdziesiątej Siódmej.

Przyjechał zespół zabezpieczający ślady w podpalonej stacji w Harlemie. Mieli niewiele. Galt użył zwykłego koktajlu Mołotowa — szklanej butelki, napełnionej benzyną i zaczopowanej szmatą. Rzucono nią w zakratowane, ale otwarte okno budynku, i od płonącej benzyny zajęły się gumowe i plastikowe elementy izolacyjne. Butelka była po winie - bez gwintu po nakrętkę - i wyprodukowano ją w hucie szkła, która sprzedawała swoje wyroby kilkudziesięciu winiarniom, które z kolei sprzedawały wina tysiącom sklepów i lokali. Naklejka została zmyta. Nie do wykrycia.

Była to zwykła benzyna produkcji BP, a lont zrobiono z kawałka T-shirtu. Nie można było ustalić źródła pochodzenia ani jednego, ani drugiego, ale w torbie Galta znaleźli okrągły pilnik ze szklanym pyłem, który prawdopodobnie pochodził z butelki - nadciętej, żeby na pewno pękła.

Przed budynkiem podstacji ani wewnątrz nie było żadnej kamery.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Thom poszedł otworzyć, a po chwili wszedł Ron Pułaski z dowodami zebranymi w mieszkaniu Galta - kilkoma skrzynkami, pełnymi różnych przedmiotów, wśród których była piłka do metalu, przegubowe szczypce oraz para butów.

Nareszcie, pomyślał Rhyme, zirytowany spóźnieniem, choć zadowolony z pojawienia się nowych dowodów. Pułaski, nie patrząc na nikogo, z ponurą miną postawił skrzynki na stole. Rhyme zauważył, że drżą mu ręce.

-Nowy, dobrze się czujesz?

Młody człowiek, zwrócony do nich plecami, znieruchomiał z dłońmi leżącymi płasko na stole. Po chwili odwrócił się i głęboko nabrał powietrza.

- Doszło do wypadku. Potrąciłem kogoś samochodem. Niewinnego człowieka, który przypadkiem znalazł się na miejscu zdarzenia. Jest w śpiączce. Lekarze przypuszczają, że może umrzeć.

Rozdział 42

M

łody policjant opowiedział, co się stało.

- Po prostu przestałem myśleć. Albo myślałem za dużo. Bałem się, że Galt dostał się do mojego samochodu i założył w nim jakąś pułapkę.

- Jak mógłby to zrobić? - zdumiał się Rhyme.

- Nie wiem - odrzekł z przejęciem Pułaski. - Nie pamiętałem, że odpaliłem już silnik, przekręciłem kluczyk jeszcze raz i ten hałas... po prostu się przestraszyłem. Chyba stopa ześliznęła mi się z hamulca.

- Kto to był?

- Jakiś facet. Nazywa się Palmer. Pracuje na nocną zmianę w firmie przewozowej. Szedł skrótem ze sklepu spożywczego... Dość mocno go potrąciłem.

Rhyme pomyślał o urazie głowy, którego doznał sam Pułaski. Pewnie się martwił, że jego nieuwaga spowodowała poważne obrażenia u kogoś innego.

- Chce ze mną rozmawiać wydział wewnętrzny. Powiedzieli, że prawdopodobnie podadzą do sądu miasto. Kazali mi się skontaktować ze związkami policyjnym w sprawie adwokata. W ogóle... - Zabrakło mu słów. Wreszcie powtórzył nerwowo: - Noga ześliznęła mi się z hamulca. Nie pamiętałem nawet, że wrzuciłem wsteczny i że odpaliłem silnik.

- Nowy, możesz sobie robić wyrzuty, ale faktem jest, że Palmer nie ma nic wspólnego ze sprawą Galta, prawda?

- Nie ma.

-No więc zajmiesz się nim po pracy - oświadczył stanowczo Rhyme.

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

- No, to co znalazłeś?

Opowiedział o stronach, jakie udało mu się wydobyć z drukarki Galta. Rhyme pochwalił go za tę cenę zdobycza, ale policjant chyba **nawet** tego nie usłyszał. Pułaski powiedział im jeszcze o białaczce Galta i jej związku z liniami wysokiego napięcia.

- Zemsta - zastanawiał się na głos Rhyme. - Stały, rezerwowy motyw. Nie należy do moich ulubionych. A twoich? - Zerknął na Sachs.

-Nie - odparła poważnie. - Ja stawiam na chciwość i żądzę. Zemsta zwykle oznacza osobowość socjopatyczną, ale tu może chodzić o coś więcej niż zemsta, Rhyme. Z listu z żądaniami wynika, że to bojownik o sprawę. Chce ratować ludzi przed złą firmą energetyczną. Fanatyk. Poza tym ciągle myślę, że możemy trafić na terrorystyczny trop.

Oprócz motywu i dowodów łączących Galta z miejscami zdarzeń Pułaski nie znalazł jednak nic, co wskazywałoby na jego obecne miejsce pobytu lub prawdopodobny cel następnego zamachu. Rhyme był rozczarowany, lecz nie zaskoczony; ataki były dobrze zaplanowane, a Galt sprytny. Od początku musiał zakładać, że jego tożsamość zostanie odkryta, więc starannie przygotował sobie kryjówkę.

Rhyme przewinął listę numerów telefonicznych i zadzwonił.

- Gabinet Andi Jessen - odezwał się w głośniku znużony głos.

Rhyme przedstawił się i po chwili rozmawiał z prezeską firmy.

- Właśnie rozmawiałam z GarymNoble'em' agentem McDanielem - poinformowała ich. - Słyszałam, że jest pięć ofiar śmiertelnych. 1 jeszcze więcej poszkodowanych w szpitalu.

- Zgadza się.

- Bardzo mi przykro, to okropne. Przeglądam akta personalne Raya Galta. Mam przed sobą jego zdjęcie. Nie wygląda na człowieka, który byłby zdolny do takich rzeczy.

Nigdy nie wyglądają.

- Jest przekonany, że dostał raka od pracy przy liniach elektrycznych - wyjaśnił Rhyme.

- I dlatego to robi?

- Wydaje się, że tak. Prowadzi krucjatę. Uważa, że praca przy liniach wysokiego napięcia stanowi poważne ryzyko.

Westchnęła.

- W tej sprawie toczy się kilka procesów przeciwko nam. Kable wysokiego napięcia generują pola elektromagnetyczne. Izolacja i ściany chronią przed polem elektrycznym, ale nie magnetycznym. Niektórzy twierdzą, że to może wywoływać białaczkę.

Czytając na monitorze zeskanowane strony z drukarki Galta, Rhyme powiedział:

- Galt wspomina też o tym, że linie przyciągają unoszące się w powietrzu cząsteczki, które mogą wywołać raka płuc.

- Nikt tego nie udowodnił. Nie zgadzam się z tym. Podobnie jak z przyczyną białaczki.

- Galt ma w każdym razie inne zdanie.

- Czego od nas chce?

- Dowiemy się chyba dopiero z następnego listu z żądaniami albo jeżeli skontaktuje się z wami w inny sposób.

- Wydam oświadczenie - poproszę go, żeby dobrowolnie oddał się w ręce policji.

- Nie zaszkodzi. - Choć Rhyme sądził, że Galt posunął się za daleko, żeby się tak po prostu poddać.

Należało zakładać, że nie zaspokoił jeszcze żądzdy odwetu.

Siedemdziesiąt pięć metrów kabla i dwanaście śrub widełkowych. Na razie wykorzystał około trzydziestu metrów skradzionego przewodu.

Rozłączywszy się, Rhyme zauważył, że Pułaski z opuszczoną głową rozmawia przez telefon. Policjant uniósł wzrok i napotkał spojrzenie szefa. Szybko - i z poczuciem winy - zakończył rozmowę, po czym podszedł do stołu z dowodami. Sięgnął po jedno z narzędzi i nagle zamarł, zdając sobie sprawę, że nie ma lateksowych rękawiczek. Nałożył je, rolką oczyścił okryte gumą palce i dłoń. Wziął przegubowe szczypce do drutu.

Badanie porównawcze wykazało, że szczypce i piłka do metalu to te same narzędzia, których użyto do przygotowania pułapki na przystanku autobusowym, a buty są tej samej marki i rozmiaru.

To tylko potwierdziło, co już wiedzieli: sprawcą był Raymond Galt.

Przyjrzeni się też papierowi i długopisom, które policjant zabrał z mieszkania Galta. Nie potrafili określić źródła pochodzenia, ale papier i tusz w długopisach Bic były niemal takie same jak materiały użyte do napisania listu z żądaniami.

Cooper czytał wyniki badania z chromatografu gazowego, sprzężonego ze spektrometrem masowym.

- Mam jakieś mikroślady - powiedział. - Znalezione w dwóch różnych miejscach: na sznurowadłach butów i na uchwycie szczypców do drutu z mieszkania Galta. A potem na rękawie robotnika, którego Galt zaatakował w tunelu, Joeya Barzana.

- No i? - spytał Rhyme.

- Substancja ropopochodna, z mikroskopijnymi ilościami fenolu i kwasu dinonylnaftalenosulfonowego.

- Paliwo do silników odrzutowych - zawyrokował Rhyme. - Fenol to substancja obniżająca lepkość, a kwas to środek antyelektrostatyczny.

- Jest coś jeszcze - ciągnął Cooper. - Coś dziwnego, jakaś forma naturalnego gazu. Skroplony, ale stabilny w szerokim zakresie temperatur. I... słuchaj, ślady biodiesla.

- Sprawdź bazę danych paliw, Mel.

Po chwili technik oznajmił:

- Mam. To zastępcze paliwo lotnicze, które się ostatnio testuje. Głównie w myśliwcach. Jest czystsze i ogranicza wykorzystanie paliw kopalnych. Podobno do niego należy przyszłość.

- Energia alternatywna - rzekł w zamyśleniu Rhyme, zastanawiając się, gdzie w układance jest miejsce tego elementu. Jedno wiedział na pewno. - Sachs, dzwoń do Departamentu Bezpieczeństwa i Departamentu Obrony. I administracji nadzoru lotniczego. Powiedz im, że nasz ptaszek może węszyć w magazynach paliwa albo bazach lotniczych.

Sam łuk elektryczny był niebezpieczny. Rhyme nie potrafił sobie wyobrazić zniszczeń, jakich dokonałby w połączeniu z materiałem wybuchowym w postaci paliwa do odrzutowców.

Miejsce zdarzenia: hotel Battery Park i okolice

Ofiary (śmiertelne):

Linda Kepler, Oklahoma City, turystka

Morris Kepler, Oklahoma City, turysta

Samuel Vetter, Scottsdale, biznesmen

Ali Mamoud, Nowy Jork, kelner

Gerhard Schiller, Frankfurt, Niemcy, pracownik agencji reklamowej Zdalny sterownik do włączenia prądu

Źródło pochodzenia elementów nie do wykrycia Kabel Benningtona i śruby widełkowe, identyczne jak w pierwszym zamachu Kombinezon Algonquin, kask i torba z narzędziami Galta, tylko jego odciski palców Klucz z nacięciami, które odpowiadają śladom na śrubach z pierwszego miejsca zdarzenia

Okrągły pilnik ze szklanym pyłem odpowiadającym butelce znalezionej w podstacji

w Harlemie Prawdopodobnie pracował sam Ślady zebrane z ubrania pracownika Algonquin, Joeya Barzana, którego zaatakował Galt Paliwo do silników odrzutowych i alternatywne paliwo lotnicze Zamach na bazę wojskową?

Miejsce zdarzenia: mieszkanie Galta, Suffolk Street 227, Lower East Side

Długopisy Bic Soft Feel, niebieski tusz, odpowiadający tuszowi, którym napisano list z żądaniami

Zwykły biały papier do drukarek papier formatu 8 1/2 x 11 cali, odpowiadający listowi z żądaniami

Zwykła koperta, rozmiar 10, odpowiadająca kopercie z listem z żądaniami Przegubowe szczypce do drutu, pitka do metalu z nacięciami odpowiadającymi narzędziom użytym w pierwszym miejscu zdarzenia Wydruki komputerowe:

Artykuły o badaniach medycznych nad związkami raka z liniami wysokiego napięcia Wpisy na blogach autorstwa Galta na ten sam temat Buty Albertson-Fenwick, model E-20 do pracy przy przewodach pod napięciem, rozmiar 11, z takim samym protektorem jak ślady w pierwszym miejscu zdarzenia Dodatkowe ślady paliwa do silników odrzutowych i lotniczego biopaliwa

Atak na bazę militarną? Brak jednoznacznych wskazówek na temat kryjówki sprawcy i celów następnym zamachów

Miejsce zdarzenia: Podstacja Algonquin MH-7, 119 Wschodnia, Harlem

Koktajl Mototowa: butelka 750 ml, brak źródła pochodzenia

paliwo: benzyna BP

Lont paski bawetny, prawdopodobnie z białego T-shirtu,
źródło pochodzenia nieustalone

Profil

Zidentyfikowany jako Raymond Galt, 40 lat, samotny,
zamieszkały na Manhattanie, Suffolk Street 227

Powiązania z terroryzmem? Z organizacją
„Sprawiedliwość dla [nieznanej]”? Z grupą ter-
rorystyczną? Udział kogoś o imieniu Rahman?
Zaszyfrowane informacje o nakładach pieniężnych,
przeptywach osób i czymś „dużym”

Możliwy związek z nielegalnym wejściem do budynku
podstacji Algonquin w Filadelfii

Trafienia SIGINT: kryptonim „artykuły papiernicze”
oznaczający broń (palną, materiały
wybuchowe?) Udział mężczyzny i kobiety Rola Galt
nieznana

Cierpi na nowotwór: obecność winblastyny i prednizonu
w znacznych ilościach, ślady etopozydu. Białaczka

Rozdział 43

U

Lincolna Rhyme'a zadzwonił telefon głównej linii.

Na wyświetlaczu ukazał się numer, który miał nadzieję
zobaczyć, choć może nie akurat w tym momencie. Mimo
to natychmiast kliknął ODBIERZ.

- Co masz, Kathryn?

Nie była to pora na wymianę uprzejmości. Ale Dance na
pewno zrozumiała. Kiedy chodziło o sprawę,
zachowywała się tak samo.

- Ludziom z DEA w Meksyku udało się namówić do
zwierzeń robotnika - tego, który przekazał paczkę
Loganowi zaraz po tym, jak przedostał się do kraju.
Rzeczywiście, tak jak myśleliśmy, zajrzał do środka. Nie
jestem pewna, czy to się do czegoś przyda, ale w paczce
była granatowa książeczka z napisem na okładce.
Robotnik nie pamięta treści. Przypuszcza, że były tam
dwie litery „C”. Być może też logo jakiejś firmy. I arkusz

papieru, na którym była duża litera „I”, a po niej sześć kresek. Jakby luk do uzupełnienia.

- Domyślał się, co to mogło być?

-Nie... Poza tym widział kartkę z jakimiś liczbami. Pamiętał tylko pięćset siedemdziesiąt i trzysta siedemdziesiąt dziewięć.

- „Kod Leonarda da Vinci” - odparł ze zniechęceniem Rhyme.

- Właśnie. Lubię zagadki, ale nie w pracy.

- To prawda.

I

Uzupełnij puste miejsca.

I jeszcze pięćset siedemdziesiąt i trzysta siedemdziesiąt dziewięć.

- Znalazł coś jeszcze - ciągnęła Dance. -

Drukowaną płytkę montażową. Małą.

- Do komputera?

- Nie wie. Był rozczarowany. Powiedział, że ukradłby to, gdyby mógł to łatwiej sprzedać.

- Wtedy już by nie żył.

- Chyba się cieszy, że siedzi za kratkami. Właśnie z tego powodu... Rozmawiałam z Rodolfem. Chciałby, żebyś do niego zadzwonił.

- Oczywiście.

Rhyme podziękował Dance i rozłączył się, a następnie zadzwonił do komendanta Rodolfa Luny ze stolicy Meksyku.

- Ach, kapitan w stanie spoczynku Rhyme, tak. Właśnie rozmawiałem z agentką Dance. O zagadce... o liczbach.

- To adres?

- Być może. Ale... - Urwał, co oznaczało, że w ośmiomilionowym mieście trzeba więcej niż paru liczb, aby znaleźć konkretne miejsce.

- Być może są powiązane ze sobą, być może nie.

- Dwa różne znaczenia.

- Tak - rzekł Rhyme. - Czy mają jakikolwiek związek z miejscami, w których go widziano?

-Nie.

-A te budynki? Co mówią najemcy?

- Arturo Diaz i jego ludzie rozmawiają z nimi, wyjaśniają sytuację. Ci, którzy legalnie prowadzą interesy, dziwią się, bo nie mogą uwierzyć, że grozi im niebezpieczeństwo. Ci, którzy sami są przestępcami, dziwią się, bo są lepiej uzbrojeni niż moi funkcjonariusze i nie wierzą, żeby ktoś odważył się ich zaatakować.

Pięćset siedemdziesiąt i trzysta siedemdziesiąt dziewięć...

Numery telefonów? Współrzędne? Fragmenty adresu?

- Zrekonstruowaliśmy trasę pikapu z lotniska do stolicy. Raz został zatrzymany. Ale pewnie pan słyszał o naszej policji drogowej? Bez zbędnych pytań zapłacono „mandat”. Arturo mówi, że ci funkcjonariusze - którzy, nawiasem mówiąc, już szukają pracy - zidentyfikowali

pańskiego Zegarmistrza. W samochodzie nie było nikogo poza kierowcą i oczywiście nawet nie obejrżeli jego prawa jazdy. A z tyłu nie było żadnego sprzętu czy kontrabandy, które mogłyby nas naprowadzić na jakiś ślad. No więc pozostaje nam mieć na oku budynki, które on ma na oku. I mieć nadzieję...

- ...że nie podkrada się właśnie do prawdziwej ofiary pięć mil dalej.

- Z ust mi pan to wyjął.

- Ma pan jakieś przypuszczenia, co to za płytka drukowana, którą dostał Logan?

- Jestem żołnierzem, kapitanie Rhyme, nie hakerem. I nie mam szesnastu lat. Dlatego pomyślałem naturalnie, że to nie część do komputera, ale zdalny detonator ładunku wybuchowego. Ta książeczka mogła być instrukcją.

- Tak, też mi się tak wydaje.

-Nie chciał podróżować z takim urządzeniem. To logiczne, że lepiej wziąć to na miejscu. Z tego, co mówią w naszych wiadomościach, wnioskuję, że macie tam pełne ręce roboty. Jakaś grupa terrorystyczna, tak?

- Nie wiemy.

- Szkoda, że nie mogę wam pomóc.

- Dziękuję, komendancie, ale lepiej niech pan poświęci całą uwagę Zegarmistrzowi.

- Dobra rada. - Luna wydal z siebie ni to pomruk, ni to śmiech. - Sprawy prowadziłyby się o wiele łatwiej, gdyby zaczynało się od jednego czy dwóch trupów. Nie cierpię, kiedy ofiary jeszcze chodzą po ziemi i są nieuchwytnie.

Rhyme uśmiechnął się. Nie mógł się z nim nie zgodzić.

Rozdział 44

0

czternastej czterdzieści szef ochrony Algonquin Bernard Wahl

szedł chodnikiem w Queens, wracając ze swojego śledztwa. Tak lubił myśleć: to było jego śledztwo w

sprawie jego firmy, największego dostawcy energii na wschodzie, a może w całej północnoamerykańskiej sieci. Chciał pomóc. Zwłaszcza teraz, po tym strasznym ataku tego popołudnia na hotel Battery Park.

Odkąd usłyszał, jak detektyw Sachs wspomina w rozmowie z Andi Jessen o greckim jedzeniu, zaczął opracowywać strategię.

Swoje przedsięwzięcie nazywał w myślach „mikrośledztwem”. Właśnie gdzieś o tym czytał, a może widział na kanale Discovery. Chodziło o zwracanie uwagi na drobiazgi, małe związki. Trzeba zapomnieć o geopolityce i terroryzmie. Wystarczy jeden odcisk palca czy włos, żeby nad nim pracować. Dopóki nie złapie się sprawcy. Albo okaże się, że to ślepy zaułek i trzeba iść w innym kierunku.

Tak więc wyruszył z misją do pobliskich greckich restauracji w Astorii w Queens, dowiedziawszy się, że Galt gustuje w tej kuchni.

I pół godziny temu dopiął celu.

Kelnerka Sonja, bardziej niż urocza, za dwudziestodolarowy napiwek poinformowała go, że w zeszłym tygodniu dwa razy jadł u nich lunch mężczyzna w ciemnych spodniach i koszulce polo z logo Algonquin Consolidated - takie nosili menedżerowie średniego szczebla. Restauracja nazywała się „Leni's”, słynęła z musaki i grillowanej ośmiornicy... a przede wszystkim z własnej roboty tarta- mosalaty, której miseczkę podawano każdemu gościowi do lunchu i kolacji razem z kawałkami pity i cytryną.

Sonja „nie mogłaby przysiąc”, ale gdy pokazał jej zdjęcie Raymonda Galta, powiedziała:

- Tak, tak, wygląda jak on.

Mężczyzna cały czas siedział w sieci - miał przed sobą laptopa Sony VAIO. Kelnerka zwróciła uwagę, że choć większość jedzenia tylko skubał, to zjadł całą porcję taramosalaty.

Cały czas w sieci...

Co podsunęło Wahlowi myśl, że może jest sposób, by ustalić, czego Galt szukał albo co przesyłał e-mailem. Wahl oglądał seriale kryminalne i we własnym zakresie doksztalał się w tematyce ochrony. Może policji uda się zdobyć numer identyfikacyjny komputera Galta i odnaleźć jego kryjówkę.

Sonja dodała, że morderca często rozmawiał przez komórkę.

Ciekawe. Galt był samotnikiem. Atakował ludzi, bo był wściekły, że od linii wysokiego napięcia zachorował na białaczkę. Do kogo mógł dzwonić? Do współnika? Po co mu współnik? To też policja mogłaby ustalić.

Pośpiesznie wracając do biura, Wahl zastanawiał się, jak to najlepiej rozegrać. Oczywiście musiałyby jak najszybciej zawiadomić policję. Serce waliło mu na myśl, że odegra główną rolę w ujęciu mordercy. Może detektyw Sachs będzie pod takim wrażeniem, że załatwi mu rozmowę kwalifikacyjną w nowojorskim departamencie policji?

Zaraz, spokojnie, nie bądź taki cwany, skarcił się w duchu. Zrób to, co będzie najlepsze, a przyszłością zajmiesz się w przyszłości. Zadzwoń do wszystkich: do detektywa Sachs, do Lincolna Rhyne'a i pozostałych - do agenta FBI McDaniela i porucznika Lona Sellitta.

I, oczywiście, daj znać Andi Jessen.

Szedł szybkim krokiem w radosnym podnieceniu, widząc przed sobą czerwono-szare kominy Algonquin Consolidated. A przed budynkiem tych cholernych demonstrantów. Przez chwilę wyobraził sobie, jak kieruje

w ich stronę armatkę wodną. Albo jeszcze lepiej paralizator. Firma, która produkowała tasery, miała też rodzaj strzelby- -paralizatora, używanej do poskramiania tłumów i strzelającej kolcami.

Kiedy z uśmiechem myślał, jak tańczyliby przed nim na ziemi, mężczyzna zaskoczył go od tyłu.

Z gardła Wahla wyrwał się krótki okrzyk.

Przy jego prawym policzku pojawiła się lufa.

- Nie odwracaj się - usłyszał szept. Poczutł, jak broń wbija mu się w plecy. Głos kazał mu wejść do alejki między zamkniętym warsztatem samochodowym a ciemnym magazynem.

- Rób, co mówię, Bernie, a nie zrobię ci krzywdy - rozkazał mu surowy szept.

- Znasz mnie?

- To ja, Ray - odrzekł szept.

- Ray Galt? - Serce Wahla załomotało. Bał się, że zwymiotuje. - No co ty, przecież...

- Cii. Idź dalej.

Weszli piętnaście metrów w głąb alejki i skręcili do tonącej w półmroku niszy.

- Kładź się, twarzą do ziemi. Ręce wzdłuż ciała.

Wahl zawahał się, z jakiegoś idiotycznego powodu myśląc o drogim garniturze, który z dumą włożył tego ranka. „Zawsze noś się lepiej, niż wymaga tego twoja posada”, powtarzał mu ojciec.

Czterdziestkapiątka szturchnęła go w plecy. Padł plackiem na lepką ziemię.

-Nie chodzę już do „Leni's”, Bernie. Myślisz, że jestem głupi?

A więc Galt od jakiegoś czasu go śledził.

A ja nawet nie zauważyłem. Och, byłaby ze mnie dupa, nie gliniarz. Jezu.

-1 nie korzystam z ich łącza internetowego. Używam komórki na kartę.

- Zabiłeś tych ludzi, Ray. Za...

- Nie zginęli przeze mnie. Zginęli, bo zabili ich Algonquin i Andi Jessen! Dlaczego mnie nie posłuchała? Dlaczego nie zrobiła, o co prosiłem?

- Chcieli to zrobić. Po prostu było za mało czasu na wyłączenie sieci.

- Bzdura.

- Posłuchaj, Ray. Poddaj się. To, co robisz, to szaleństwo.

Gorzki śmiech.

- Szaleństwo? Myślisz, że to ja oszalałem?

-Nie to chciałem powiedzieć.

- Powiem ci, kto naprawdę oszalał: firmy, które palą gaz i ropę i puszczają z dymem całą planetę. I tłoczą prąd drutami, które zabijają nasze dzieci. Tylko dlatego, że lubimy cholerne miksery, suszarki do włosów, telewizory i mikrofalówki... Nie sądzisz, że to prawdziwe szaleństwo?

- Tak, masz rację, Ray. Masz rację. Przepraszam. Nie wiedziałem o tych paskudnych rzeczach, które przeszedłeś. Współczuję ci.

- Naprawdę, Bernie? Mówisz serio czy próbujesz po prostu ocalić tyłek?

Chwila ciszy.

- Trochę jedno, trochę drugie, Ray.

Ku zaskoczeniu Bernarda Wahla, morderca parsknął śmiechem.

- Szczera odpowiedź. Pewnie jedna z niewielu szczerych odpowiedzi, jakie można usłyszeć od pracownika Algonquin.

- Ray, robię tylko to, co do mnie należy.

Poczuł do siebie odrazę za tak tchórzliwe słowa, ale w tym momencie myślał o swojej żonie, trojgu dzieciach i matce, która mieszkała z nimi na Long Island.

- Osobiście nic przeciwko tobie nie mam, Bernie.

Wtedy Wahl uznał, że już po nim. Usiłował powstrzymać płacz. Drżącym głosem zapytał:

- Czego chcesz?

- Musisz mi coś powiedzieć.

Ujawnić szyfr dostępu do domu Andi Jessen? W jakim garażu parkuje samochód? Wahl nie wiedział ani jednego, ani drugiego.

Morderca miał jednak zupełnie inną prośbę.

- Muszę wiedzieć, kto mnie szuka.

-Kto... - Wahlowi załamał się głos. - No, policja, FBI, Departament Bezpieczeństwa... wszyscy. Setki ludzi.

-Nie mów mi czegoś, co wiem, Bernie. Pytam o nazwiska. W Algonquin też. Wiem, że pomagają im pracownicy.

Wahl był bliski płaczu.

- Nie wiem, Ray.

- Oczywiście, że wiesz. Muszę znać nazwiska.

Podaj mi nazwiska.

- Nie mogę, Ray.

- Mało brakowało, żeby zdążyli się zorientować, że chcę zaata- j[^]wać hotel. Skąd wiedzieli? Prawie mnie tam złapali. Kto za tym stoi?

-Nie wiem. Nie rozmawiają ze mną, Ray. Jestem tylko ochroniarzem.

- Jesteś szefem ochrony, Bernie. Oczywiście, że z tobą rozmawiają-

_ Nie, naprawdę nie...

Poczuł, jak dłoń Galt wyłuskuje mu portfel z kieszeni.

Och, tylko nie to...

Po chwili Galt odczytał na głos adres Wahla i wcisnął portfel z powrotem.

- Jaki masz prąd w domu, Bernie? Dwieście amperów?

- Och, daj spokój, Ray. Przecież moja rodzina nic ci nie zrobiła.

- Ja też nikomu nic nie zrobiłem, a zachorowałem. Jesteś częścią systemu, przez który zachorowałem, a twoja rodzina korzysta z tego systemu... Dwieście amperów? Za mało na łuk. Ale prysznic, wanna, kuchnia... Wystarczyłoby pomajstrować przy wyłącznikach różni- cowoprądowych, a cały dom zamieni

się w jedno wielkie krzesło elektryczne, Bernie. No więc mów.

Rozdział 45

f

red Dellray szedł ulicą w East Village, mijając szpaler gardenii,

sklepik z kawą dla koneserów i sklep odzieżowy.

O rany... trzysta dwadzieścia pięć dolarów za koszulę?

Bez garnituru, krawata i butów?

Mijał kolejne witryny, w których widział skomplikowane ekspresy do kawy, kosmicznie drogie dzieła sztuki i skrzące się buty, jakie dziewczyny gubią o czwartej nad ranem w drodze z jednego klubu do drugiego.

Myślał, jak bardzo Village zmieniła się w ciągu lat, jakie upłynęły od jego początków jako agenta.

Zmiany...

Kiedyś trwał tu nieustanny karnawał, ulice tętniły radością, rozbrzmiewały gwarem i śmiechem, mieniły się od krzykliwych strojów, kochankowie stali spleceni w namiętym uścisku albo wrzeszczeli na siebie, albo z ponurymi minami sunęli zatłoczonym chodnikiem... cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dziś ta część East Village miała scenografię i ścieżkę dźwiękową homogenizowanego sitcomu.

Kurczę, ależ tu się zmieniło. I nie chodziło tylko o pieniądze i nie- widzące spojrzenia profesjonalistów pochłoniętych swoimi sprawami, którzy tu teraz mieszkali, ani o kartonowe kubki, które zastąpiły wyszczerbioną porcelanę...

Nie, Dellray zwracał uwagę na coś innego.

Wszyscy ściskali w dłoniach cholerne komórki.

Rozmawiali, pisali SMS-y... a tuż przed nim, na rany Zbawiciela, dwoje turystów szukało restauracji, używając GPS-u.

W East Village, niech ich szlag.

Strefa cienia...

Wszędzie miał coraz więcej dowodów, że świat, nawet ten - świat **Dellraya** - należy już do Tuckera McDanieli. Dawniej Dellray mógłby się przebrać za bezdomnego, za alfonsa, za dilerę narkotyków. Jako alfons był naprawdę niezły, uwielbiał fioletowe i zielone koszule. Nie dlatego, że pracował w obyczajówce, bo służby federalne nie **zajmowały** się przestępstwami tego rodzaju, ale dlatego, że wiedział, jak się wtopić w otoczenie.

Kameleon.

Pasował do takich miejsc. Co oznaczało, że ludzie chętnie z nim rozmawiali.

Ale dziś większość ludzi gadała przez komórki. A każdy z tych telefonów - w zależności od upodobań sędziego federalnego - można było podsłuchać i zdobyć informacje, których uzyskanie kosztowałoby Dellraya wiele dni pracy. Jeśli nawet nie były na podsłuchu, najwyraźniej istniały sposoby zdobycia tych informacji, a przynajmniej ich części.

Znikąd, ze strefy cienia.

A może był po prostu przewrażliwiony, powiedział sobie, używając słowa, które rzadko gościło w jego psychice. Zobaczył przed sobą Carmella's - stary lokal, który dawno temu mógł być burdelem, a obecnie stanowił ostoję tradycji w dzielnicy. Wszedł i usiadł przy rozchwianym stoliku. Zamówił zwykłą kawę, zauważając, że w karcie istotnie jest espresso, cappuccino i latte, ale oczywiście zawsze je tu podawano. Na długo przed Starbucksem.

Dzięki Bogu za Carmellę.

Spośród dziesięciu osób w lokalu - policzył - przez komórki rozmawiały tylko dwie.

To był świat, w którym za kasą siedziała mama, kelnerowali jej ukochani synkowie i nawet teraz, o tej popołudniowej godzinie, klienci nawijali na widelce makaron ociekający pomarańczowym sosem, nie czerwonym prosto z supermarketu. I popijali wino z

małych, półkolistych kieliszków. Restaurację wypełniał gwar ożywionych rozmów, gęsto okraszanych wyrazistymi gestami.

Lokal poprawił mu samopoczucie. Uważał, że robi to we właściwy sposób. Wierzył w zapewnienia Williama Brenta. W zamian za sto tysięcy dolarów podejrzanego pochodzenia miał coś dostać, towar o pewnej wartości. Nikły trop, ale i tak powinno wystarczyć. Na tym polegał kolejny atut Dellraya z Ulicy. Potrafił utkać pierwszorzędny materiał z cienkich nitczek, dostarczonych mu przez informatorów, którzy zwykle nie mieli pojęcia o wartości swojego znaleziska.

Potrzebował jednego twardego faktu, który doprowadziłby go do Galta. Albo do miejsca następnego zamachu. Albo do nieuchwytej grupy „Sprawiedliwość dla”.

Miał świadomość, że ten fakt, to znalezisko... pozwolą oczyścić z jakichkolwiek zarzutów jego samego, oldskulowego agenta, któremu strefa cienia była zupełnie obca.

Dellray pociągnął łyk kawy i dyskretnie zerknął na zegarek. Dokładnie trzecia po południu. Nie pamiętał, żeby William Brent kiedykolwiek się spóźniał, nawet o sześćdziesiąt sekund („To psuje skuteczność”, oświadczył kiedyś informator, mówiąc o przychodzeniu na spotkania za wcześnie albo za późno. „I może być cholernie niebezpieczne”).

Czterdzieści pięć minut później, nie doczekawszy się choćby telefonu od Brenta, Fred Dellray z posępną miną jeszcze raz sprawdził, czy na „zimnym” telefonie nie ma żadnych wiadomości. Nic. Szósty raz wybrał numer Brenta. Znowy połączył się z nagrany głosem, który polecił mu zostawić wiadomość.

Dellray odczekał jeszcze dziesięć minut, jeszcze raz zadzwonił do Brenta, a potem poprosił o wielką przysługę kolegę pracującego u jednego z operatorów komórkowych i dowiedział się, że z telefonu Brenta

została usunięta bateria. Jedynym powodem takiego kroku było, rzecz jasna, uniemożliwienie lokalizacji aparatu.

Podeszło do niego dwoje młodych ludzi i dziewczyna spytała, czy drugie krzesło przy stoliku Dellraya jest zajęte. Jego spojrzenie musiało podzielać wyjątkowo odstraszająco, bo błyskawicznie się wycofali, a chłopak nawet nie próbował popisać się rycerską zuchwałością. Brent zniknął.

Zostałem okradziony, a on zniknął.

Odtwarzał w pamięci jego przekonanie, jego zapewnienia.

Mam gdzieś jego gwarancje...

Sto tysięcy dolarów... Powinien się domyślić, że coś jest nie tak, kiedy Brent upierał się przy tak wielkiej sumie - wystarczyło popatrzeć na jego sfatygowany garnitur i przetarte skarpetki w romby.

Dellray zastanawiał się, czy Brent za niespodziewany prezent finansowy postanowił osiedlić się na Karaibach, czy w Ameryce Południowej.

Rozdział 46

Mamy następne żądania.

Z monitora Rhyme'a spoglądała na nich ponura twarz Andi Jessen, z którą prowadzili wideokonferencję. Blond włosy prezeski były sztywne od lakieru. Może spędziła całą noc w biurze i nie zdążyła rano wziąć prysznica.

- Następne? - Rhyme zerknął na Lona Sellitta, Coopera i Sachs, którzy zastygli w różnych pozach i w różnych miejscach laboratorium.

Gruby detektyw cisnął na stół połowę babeczki, którą przed chwilą wziął z talerza przyniesionego przez Thoma.

- Właśnie mieliśmy zamach i grozi nowym?

- Pewnie nie był zadowolony, że go zignorowaliśmy

- odparła szorstko Jessen.

- Czego chce? - zapytała Sachs, a Rhyme w tym samym momencie powiedział:

- Chcę natychmiast dostać ten list.

Jessen najpierw odpowiedziała Rhyme'owi:

- Dałam go agentowi McDanielowi. List jest w drodze do was.

- Jaki termin wyznaczył?

- Szóstą po południu.

- Dzisiaj?!

-Tak.

- Jezu - mruknął Sellitto. - Za dwie godziny.

- A żądania? - powtórzyła Sachs.

- Chce, żebyśmy o szóstej na godzinę przerwali przesył prądu stałego do innych sieci

północnoamerykańskich. Jeżeli tego nie zrobimy, zabije jeszcze więcej ludzi.

- Co to oznacza? - spytał Rhyme.

- Nasza sieć to Northeastern Interconnection, a Algonquin jest w niej największym producentem energii. Jeżeli jakaś firma energetyczna w innej sieci potrzebuje zasilenia, sprzedajemy im energię. Jeżeli są dalej niż pięćset mil od nas, przesyłamy prąd stały, nie zmienny. To bardziej opłacalne. Energia zwykle trafia do małych firm w terenach wiejskich.

-A jakie... znaczenie ma jego żądanie? - odezwał się Sellitto.

- Nie wiem, po co tego chce. Moim zdaniem, to nie ma sensu. Może chodzi mu o zmniejszenie ryzyka zachorowania na raka u ludzi mieszkających w pobliżu linii przesyłowych, ale wydaje mi się, że w Ameryce Północnej dotyczy to mniej niż tysiąca osób.

- Galt niekoniecznie zachowuje się racjonalnie - zauważył Rhyme.

- To prawda.

- Możecie to zrobić? Spełnić jego żądania?

- Nie, to niemożliwe. Dla sieci nowojorskiej to taka sama sytuacja jak poprzednio, tyle że jeszcze gorsza. Odciełlibyśmy zasilanie tysięcy miasteczek w całym kraju. Są jeszcze bezpośrednie linie do uaz wojskowych i placówek badawczych. Departament Bezpieczeństwa twierdzi, że ich odłączenie będzie zagrożeniem bezpieczeństwa państwa. Departament Obrony jest tego samego zdania.

-1 zapewne stracilibyście miliony dolarów - dodał Rhyme. Chwila ciszy.

- Owszem. Naruszylibyśmy warunki setek umów. Dla firmy oznaczałoby to katastrofę. W każdym razie rozważania, czy spełnić żądanie, czy nie, są bezprzedmiotowe. Nie moglibyśmy fizycznie tego zrobić w czasie, który nam wyznaczył. Przy siedmiuset

tysiącach woltów nie pstryka się po prostu wyłącznikiem w ścianie.

- No dobrze - rzekł Rhyme. - Jak dostała pani list?

- Galt dał go jednemu z naszych pracowników.

Rhyme i Sachs wymienili spojrzenie.

Jessen wyjaśniła, że Galt zaczepił szefa ochrony Bernarda Wahla, kiedy ten wracał do biura po lunchu.

- Czy Wahl jest tam z panią? - spytała Sachs.

- Chwileczkę - odrzekła Jessen. - Właśnie przesłuchiwało go FBI...

- Zaraz sprawdzę.

- Nie raczą nas nawet gnojki poinformować, że z nim rozmawiają¹) - szepnął Sellitto. - Musimy się dowiadywać od niej?

Po chwili na ekranie ukazała się barczysta sylwetka Bernarda Wahla, który usiadł obok Andi Jessen. Jego czarna, gładka czaszka lśniła.

- Dzień dobry - powiedziała Sachs.

Przystojna twarz lekko się pochyliła.

- Nic się panu nie stało?

- Nic, detektywie.

Rhyme widział, że coś się jednak stało. Wahl miał pusty wzrok. Nie patrzył w kamerę.

- Proszę opowiedzieć, co się stało.

- Wracalem z lunchu. Galt zaszedł mnie z tyłu z bronią i zaciągnął mnie do bocznej alejki. Potem wepchnął mi list do kieszeni i powiedział, żebym go od razu zaniósł do pani Jessen. I zniknął.

- To wszystko?

Chwila wahania.

- Właściwie tak.

- Mówił coś, co mogłoby nam wskazać jego kryjówkę albo cel następnego zamachu?

- Nie. Przede wszystkim rozwodził się nad tym, że energia wywołuje raka, jest niebezpieczna i nikogo to nie obchodzi.

Rhyme'a zaciekał pewien szczegół.

- Panie Wahl, widział pan broń? Czy może Galt tylko blefował?

Znów wahanie. Wreszcie szef ochrony odparł:

- Udało mi się zobaczyć. Czterdziestkapiątka. MI911. Stary wojskowy model.

- Złapał pana? Moglibyśmy zebrać ślady z pańskiego ubrania.

- Nie. Dotykał mnie tylko pistoletem.

- Gdzie do tego doszło?

- W alejce niedaleko warsztatu samochodowego B&R. Nie pamiętam dokładnie. Byłem naprawdę zdenerwowany.

-1 to wszystko? - włączyła się Sachs. - W ogóle nie pytał pana o śledztwo?

- Nie, nie pytał. Chyba zależało mu tylko na tym, żeby list jak najszybciej dotarł do pani Jessen. Nie wpadł na żaden lepszy pomysł, więc zatrzymał pracownika firmy.

Rhyme nie miał do niego więcej pytań. Zerknął na Sellitta, który **pokręcił** głową.

Podziękowali mu i Wahl zniknął z kadru. Jessen uniosła głowę, witając kogoś, kto zapewne pojawił się w drzwiach gabinetu. Po chwili ponownie spojrzała w kamerę.

- Gary Noble i ja mamy spotkanie z burmistrzem. Potem idę na konferencję prasową. Zwrócę się z osobistą prośbą do Galta. Uważacie, że to podziała?

Nie, Rhyme nie sądził, żeby podziałało. Powiedział jednak:

- Przyda się wszystko, co może pani zrobić - nawet gdybyśmy mieli tylko zyskać na czasie.

Kiedy się rozłączyli, Sellitto spytał:

- Co Wahl przed nami ukrył?

- Boi się. Galt mu groził. Pewnie ujawnił mu jakieś informacje. Nie bardzo się tym martwię. Wahl nie był na bieżąco. Ale wszystko jedno, co mu wygadał, naprawdę nie możemy teraz sobie tym zawracać głowy.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. Weszli Tucker McDaniel i Młody.

Rhyme był zaskoczony. Agent FBI musiał wiedzieć o zbliżającej się konferencji prasowej, a jednak przyszedł, nie usiłując wpełznąć się na podium. Ustąpił miejsca Departamentowi Bezpieczeństwa, żeby osobiście dostarczyć dowód Rhyme'owi.

Wiceszef biura FBI zdobył kolejny mały punkt.

Po wysłuchaniu sprawozdania Pułaskiego z ustalenia motywu Galta, zapytał go:

- W jego mieszkaniu nie było niczego na temat „Sprawiedliwości dla” ani Rahmana? Nic o komórkach terrorystycznych?

- Nie, nic.

Agent wyglądał na rozczarowanego, lecz powiedział:

- To nie wyklucza układu symbiotycznego.

- Czyli? - zapytał Rhyme.

- Mówię o tradycyjnej operacji terrorystycznej z wykorzystaniem pozoranta, przy wzajemnie zbieżnych celach. Mogą się nawet nie lubić, ale w gruncie rzeczy chodzi im o to samo. Istotny aspekt polega na tym, że profesjonalna komórka terrorystyczna zupełnie izoluje się od głównego negatywnego gracza. A komunikacja odbywa się...

- W strefie cienia? - upewnił się Rhyme, odnotowując spadek akcji agenta.

- Otóż to. Muszą ograniczyć kontakty do minimum. Są dwa różne plany. Im zależy na rozpadzie społecznym. Jemu na zemście. - McDaniel wskazał na tablicę z profilem sprawcy. - Tak jak mówił Parker Kincaid. Galt pisze bezosobowo - nie chce ujawniać, że z kimś współpracuje.

- Z fundamentalistami ekologicznymi czy polityczno-religijnymi?

- W grę mogą wchodzić jedni albo drudzy.

Trudno było sobie wyobrazić al Kaidę czy talibów w sojuszu z niezrównoważonym pracownikiem, dyszącym żądzą zemsty na firmie, przez którą zachorował na raka. Ale grupa ekoterrorystów miałaby sens. Potrzebowałiby kogoś, kto pomógłby im dostać się do systemu. Rhyme uznałby tę hipotezę za bardziej prawdopodobną, gdyby były na nią jakieś dowody.

McDaniel dodał, że dostał wiadomość o uzyskaniu dla tech-komu nakazu rewizji e-maila Galta i jego kont w serwisach społecznościowych. Galt wysyłał e-maile i na

wielu stronach zamieszczał komentarze o swoim raku i jego związku z liniami wysokiego napięcia. Ale wśród setek zapisanych przez niego stron nie znalazła się ani jedna informacja, gdzie może przebywać i co chowa w zanadrzu.

Rhyme'a zaczynały niecierpliwie te domysły.

- Tucker, chciałbym zobaczyć list.

- Oczywiście. - Agent dał znak Młodemu.

Błagam, niech to będzie gęste od śladów. Niech znajdę jakąś wskazówkę.

Minutę później patrzyli na drugi list z żądaniami.

Do Andi Jessen, prezesa Algonquin Consolidated Power

Postanowiliście zignorować moją poprzednią prośbę, a to niedopuszczalne. Mogliście zareagować na moją prośbę o obniżenie napięcia, ale tego nie zrobiliście. To WY podnieśliście stawkę, nikt inny. Wasza nieczułość i chciwość doprowadziły do tego, że dziś popołudniu zginęli ludzie. MUSICIE pokazać ludziom, że nie potrzebują narkotyku, od którego ich uzależniacie. Mogą wrócić do CZYSTSZEGO życia. Wydaje im się, że nie potrafią, ale można im pokazać sposób.

Dzisiaj o szóstej wieczorem na godzinę przerwiecie cały wysokonapięciowy przesył prądu stałego do innych sieci North American Interconnection. To ostateczny warunek.

Cooper zaczął analizować list. Po dziesięciu minutach powiedział:

-Nic nowego, Lincoln. Taki sam papier, taki sam długopis. A ze śladów znowu paliwo lotnicze. I to prawie wszystko.

- Cholera. - Jak gdyby otworzyć pięknie zapakowane pudło na Boże Narodzenie i zobaczyć, że jest puste.

Rhyme zauważył Pułaskiego w kącie pokoju. Rozmawiał przez komórkę, wychylając do przodu głowę z nastroszonymi blond włosami. Prowadził rozmowę

ukradkiem, więc Rhyme domyślił się, że nie ma żadnego związku ze sprawą Galta. Pewnie dzwonił do szpitala, pytając o stan mężczyzny, którego potrącił. A może zdobył nazwisko najbliższego krewnego i składał kondolencje.

- Pułaski, jesteś tu? - zawołał ostro Rhyme.

Policjant błyskawicznie zatrasnął telefon.

- Oczywiście, tylko...

- Bo naprawdę jesteś nam potrzebny.

- Jestem, Lincoln.

-To dobrze. Dzwon do agencji nadzoru lotnictwa i administracji bezpieczeństwa transportu, powiedz mi, że mamy następane żądania i znaleźliśmy ślady paliwa lotniczego na drugim liście. Powinni zwiększyć środki bezpieczeństwa na wszystkich lotniskach. Zadzwoń też do Departamentu Obrony. To może być zamach na jakieś lotnisko wojskowe, zwłaszcza gdyby potwierdziła się teoria Tuckera o terrorystach. Dasz sobie radę? Porozmawiasz z Pentagonem? Uświadomisz im zagrożenie?

- Tak, dam sobie radę.

Rhyme z westchnieniem odwrócił się do tablic z dowodami. Symbiotyczne komórki terrorystyczne, cienista komunikacja i niewidzialny podejrzany z niewidzialną bronią.

A w drugiej sprawie, próbie zastawienia pułapki na Zegarmistrza w Meksyku? Nic poza tajemniczą płytką drukowaną, instrukcją jej właściciela i dwiema bezsensownymi liczbami.

Pięćset siedemdziesiąt i trzysta siedemdziesiąt dziewięć...

Co przypomniało mu o innych cyfrach. Na zegarze obok, odliczającym czas do następnej wyznaczonej godziny.

Drugi list z żądaniami

Dostarczony Bernardowi Wahlowi, szefowi ochrony w Algonquin Wahl zaatakowany przez Galta Brak kontaktu fizycznego; brak śladów Brak wskazówek co do miejsca pobytu i celu następnego zamachu Papier i tusz odpowiadają materiałom znalezionym w mieszkaniu Galta Na papierze dodatkowe ślady paliwa do silników odrzutowych i alternatywnego paliwa lotniczego
Zamach na bazę wojskową?

Profil

Zidentyfikowany jako Raymond Galt, 40 lat, samotny, zamieszkały na Manhattanie, Suffolk Street 227
Powiązania z terroryzmem? Z organizacją „Sprawiedliwość dla [nieznane]”? Z grupą terrorystyczną? Udział kogoś o imieniu Rahman?
Zaszyfrowane informacje o nakładach pieniężnych, przepływach osób i czymś „dużym”?
Możliwy związek z nielegalnym wejściem do budynku podstacji Algonquin w Filadelfii
Trafienia SIGINT: kryptonim „artykuły papiernicze”, oznaczający broń (palną, materiały wybuchowe?)
Udział mężczyzny i kobiety Rola Galta
nieznana
Cierpi na nowotwór: obecność winblastyny i prednizonu w znacznych ilościach, ślady etopozydu. Białaczką Galt uzbrojony w pistolet wojskowy Colt M1911, kaliber .45

Rozdział 47

laboratorium Rhyme'a włączono telewizor.

W Jako preludium do konferencji prasowej Andi Jessen, która miała się rozpocząć za kilka minut, nadawano materiał o Algonquin Consolidated i samej pani prezes. Rhyme'a bardzo ciekawiła ta kobieta, więc uważnie słuchał każdego słowa prowadzącego, gdy opowiadał o poszczególnych etapach kariery Jessen. O tym, jak przed nią prezesem i dyrektorem generalnym firmy został jej ojciec. Nie wchodził tu jednak w grę nepotyzm; Andi Jessen, mając dyplom z inżynierii i zarządzania, samodzielnie pięła się po szczeblach kariery, zaczynając jako zwykły monter na północy stanu Nowy Jork.

Od początku związała się z Algonquin i cytowano jej słowa, że jest całym sercem oddana pracy i ma jeden cel - uczynić z firmy największego producenta i dystrybutora energii. Rhyme nie wiedział, że w wyniku deregulacji tego sektora, jaka nastąpiła kilka lat temu, przedsiębiorstwa energetyczne coraz częściej zajmują się pośrednictwem: kupowaniem od innych firm i sprzedażą energii elektrycznej i gazu ziemnego. Niektóre nawet sprzedały swoje udziały w rynku energetycznym, zmieniając się w przedsiębiorstwa handlowe, których jedynym majątkiem były biura, komputery i telefony.

A za ich plecami kryły się wielkie banki.

Dziennikarz wyjaśnił, że to efekt sprawy Enronu.

Andi Jessen nigdy jednak nie przeszła na ciemną stronę mocy, unikała rozrzutności, arogancja i chciwość były jej obce. Niewysoka, mocno zbudowana kobieta prowadziła Algonquin ze staroświecką prostotą, stroniąc od luksusów na pokaz. Była rozwiedziona i nie miała dzieci. Wydawało się, że Algonquin to całe jej życie. Całą jej rodzinę stanowił brat, Randall Jessen, mieszkający w Filadelfii - żołnierz odznaczony za udział w operacji w

Afganistanie, zwolniony ze służby, gdy został ranny w wyniku wybuchu miny-pułapki.

Andi należała do zdeklarowanych zwolenników stworzenia mega- sieci - jednej sieci energetycznej, łączącej całą Amerykę Północną. W jej opinii był to znacznie efektywniejszy sposób produkcji energii elektrycznej i dostarczania jej do odbiorców. (Rhyme przypuszczał, że z Algonquin w roli głównej).

Przydomek pani prezes - którego chyba nikt nie używał w rozmowach z nią ani w jej obecności - brzmiał „Wszech-Moc”. Odnosił się zapewne do bezkompromisowego stylu i ambicji tej kobiety, związanych z pozycją Algonquin.

W jednym z wywiadów bez ogródek wyraziła swoje zastrzeżenia wobec energii ekologicznej.

- Po pierwsze, chcę powiedzieć, że w Algonquin Consolidated jesteśmy bardzo zaangażowani w pracę nad odnawialnymi źródłami energii. Musimy jednak zarazem myśleć o nich realistycznie. Ziemia istniała już miliardy lat, zanim straciliśmy skrzela i ogony, zaczęliśmy palić węgiel i jeździć samochodami z silnikami spalinowymi, i będzie jeszcze długo istniała, gdy nasz gatunek odejdzie do historii.

Kiedy ludzie mówią, że chcą ocalić Ziemię, tak naprawdę chcą ocalić własny styl życia. Musimy przyznać, że chcemy energii, i to energii w dużych ilościach. Potrzebujemy jej - dla rozwoju cywilizacji, dla zaspokojenia głodu, żeby móc się uczyć, używać przeróżnych urządzeń, żeby mieć na oku dyktatorów, żeby pomagać krajom Trzeciego Świata dołączyć do Pierwszego. Najlepszą metodą generowania energii jest wykorzystanie ropy, węgla, gazu ziemnego i energii jądrowej.

Po zakończeniu materiału głos zabrali eksperci, by poddać jej poglądy miażdżącej krytyce albo entuzjastycznie im przyklaskiwać. Zgodnie z

poprawnością polityczną i dla zwiększenia oglądalności było jednak rozdzierać ją na strzępy.

Wreszcie ukazał się obraz na żywo, z kamery zainstalowanej w ratuszu. Na podium siedziały cztery osoby: Jessen, burmistrz, komendant policji i Gary Noble z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Po krótkim słowie wstępnym burmistrz oddał mikrofon. Andi Jessen, z surową i jednocześnie uspokajającą miną, oświadczyła, że **Algonquin** robi wszystko, by **opanować** sytuację. Podjęto **wiele** środków **bezpieczeństwa**, choć **nie wspominała** jakich.

Zaskakując Rhyme'a i wszystkie zgromadzone w sali osoby, grupa na podium postanowiła upublicznić drugi list z żądaniami. Decyzja wynikała zapewne z założenia, że gdyby nie udało się powstrzymać Galta i w następnym zamachu zginąłby ktoś jeszcze, wizerunek Algonquin ległby w gruzach, a konsekwencje prawne mogłyby być dla firmy katastrofalne.

Dziennikarze natychmiast rzucili się na list i zasypali ją gradem pytań. Prezeska spokojnie ich uciszyła, wyjaśniając, że spełnienie ultimatum szantażysty jest niemożliwe. Zmniejszenie dostaw energii, którego żądał, spowodowałoby szkody liczone w milionach dolarów. I najprawdopodobniej doprowadziłoby do śmierci wielu ludzi.

Jessen dodała, że taka sytuacja byłaby zagrożeniem bezpieczeństwa państwa, ponieważ spełnienie żądań przeszkodziłoby w wojskowych i innych operacjach rządowych.

-Algonquin stanowi istotny element systemu obrony narodowej, dlatego nie zrobimy niczego, co mogłoby mu zagrozić.

Sprytnie, pomyślał Rhyme. Odwraca kota ogonem.

Na koniec Jessen wygłosiła osobisty apel do Galta, aby oddał się w ręce policji, a zostanie uczciwie potraktowany.

- Proszę nie dopuścić do tego, żeby pańska rodzina czy ktokolwiek inny ucierpiał z powodu tragedii, jaka pana dotknęła. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ulżyć panu w cierpieniu. Ale proszę zrobić pierwszy krok i dobrowolnie oddać się w ręce organów ścigania.

Nie odpowiadając na żadne pytanie, kilka sekund po zakończeniu oświadczenia wycofała się z podium, głośno stukając wysokimi obcasami.

Rhyme zwrócił uwagę, że choć jej współczucie było szczere, ani razu nie przyznała, że firma popełniła jakikolwiek błąd ani że linie wysokiego napięcia rzeczywiście mogły wywołać raka u Galta czy kogokolwiek innego.

Następnie głos zabrał komendant policji, który starał się uspokoić opinię publiczną konkretami. Funkcjonariusze i agenci federalni prowadzą intensywne poszukiwania Galta, a oddziały Gwardii

Narodowej są w pogotowiu, żeby im pomóc, gdyby doszło do kolejnych ataków lub zagrożenia sieci energetycznej.

Zakończył prośbą do mieszkańców miasta, by informowali policję o wszystkim, co wydawałoby się niecodzienne.

To dopiero przydatna wskazówka, pomyślał Rhyme. Niecodzienne zjawiska to jedyna rzecz na porządku dziennym w Nowym Jorku.

I wrócił do nędznych dowodów.

Rozdział 4R

17.45 Susan Stringer opuściła biuro na ósmym piętrze
0 wiekowego

budynku na środkowym Manhattanie.

Przywitała dwóch mężczyzn, którzy również zmierzali do windy. Jednego z nich trochę знаła, bo od czasu do czasu wpadali na siebie w korytarzu. Larry codziennie wychodził mniej więcej o tej porze. Różnica była taka, że potem wracał do biura, by pracować do późna.

Susan natomiast wracała do domu.

Atrakcyjna trzydziestopięcioletnia kobieta była redaktorką czasopisma poświęconego specjalistycznej dziedzinie: renowacji dzieł sztuki i antyków, pochodzących głównie z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Pisywała też poezję, którą publikowano. Obie pasje dawały skromny dochód, ale jeżeli kiedykolwiek zwątpiła w słuszność wyboru swojej drogi zawodowej, wystarczyło jej, by posłuchała rozmowy takiej jak ta, którą Larry właśnie prowadził ze swoim towarzyszem - i wiedziała, że nigdy nie mogłaby się zająć tą stroną biznesu - prawem, finansami, bankowością i księgowością.

Mężczyźni mieli na sobie bardzo drogie garnitury, eleganckie buty i gustowne zegarki. Wyglądali jednak na

przygniecionych mnóstwem problemów. I podminowanych. Wydawało się, jak gdyby nie przepadali za swoją pracą. Towarzysz Larry'ego skarżył się, że szef stale zagląda mu przez ramię. Larry skarżył się na audyt, który był „w głębokiej dupie”.

Stres, niezadowolenie.

No i ten język.

Susan cieszyła się, że nie musi mieć z tym nic wspólnego. Jej świat to było rokoko i neoklasycystyczne wzornictwo od Chippendale'a i George'a Hepplewhite'a po Sheratona.

Ich dzieła nazywała praktycznym pięknem.

- Wyglądasz na wykończonego - powiedział kolega do Larry'ego.

Rzeczywiście tak wyglądał.

- Bo jestem. Kawał drogi.

- Kiedy wróciłeś?

- We wtorek.

- Pojechałeś jako starszy audytor?

Larry skinął głową.

- Te księgi to był koszmar. Dłubanina po dwanaście godzin dziennie. Na golfa mogłem wyskoczyć tylko w niedzielę, ale było czterdzieści pięć stopni.

- O kurczę.

- Muszę tam wracać. W poniedziałek. Ale po prostu nie wiem, dokąd idą te pieniądze. Coś mi tam śmierdzi.

- Jest tak gorąco, pewnie wyparowują.

- Bardzo śmieszne - odrzekł Larry mało rozbawionym tonem.

Mężczyźni kontynuowali pogawędkę o sprawozdaniach finansowych i znikających pieniądzach, ale Susan przestała ich słuchać. Zobaczyła idącego w ich stronę innego mężczyznę, w brązowym roboczym kombinezonie oraz czapce i okularach. Idąc ze spuszczonego wzrokiem, niósł torbę z narzędziami i dużą konewkę, choć pewnie pracował w innym biurze, ponieważ ani tu w korytarzach, ani w jej biurze nie było żadnych roślin ozdobnych. Jej wydawca nie zapłaciłby za żadne kwiaty, a już na pewno nie zapłaciłby nikomu za ich podlewanie.

Nadjechała winda i dwaj biznesmeni przepuścili Susan pierwszą. Pomyślała, że do dwudziestego pierwszego wieku przetrwała przynajmniej szcątkowa forma galanterii. Człowiek w kombinezonie także wsiadł do windy i nacisnął guzik szóstego piętra. Ale w przeciwieństwie do biznesmenów, bezceremonialnie przepchnął się obok niej, by dostać się w głąb kabiny.

Ruszyli. Po chwili Larry zerknął w dół i powiedział:

- Ej, uważaj pan. Cieknie panu.

Susan podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Robotnik niechcący przechylił konewkę i na stalową podłogę windy płynął strumień wody.

- Och, przepraszam - mruknął bez cienia skruchy.

Susan zauważyła, że zalał całą podłogę.

Drzwi otworzyły się i robotnik wyszedł. Wsiadł inny mężczyzna.

Kolega Larry'ego powiedział głośno:

- Ostrożnie, ten facet właśnie rozlał tu wodę. Nie raczył nawet posprzątać.

Susan nie wiedziała, czy winowajca go słyszał. Jeśli tak, wątpiła, by w ogóle się tym przejął.

Drzwi zasunęły się i winda kontynuowała drogę w dół.

Rozdział 49

Rhyme patrzył na zegar. Do następnej wyznaczonej godziny zostało dziesięć minut.

Przez ostatnie kilkadziesiąt minut trwała koordynowana akcja przeszukiwania miasta, prowadzona przez policję i FBI, a w laboratorium w jego domu powtórna gorączkowa analiza dowodów. Gorączkowa... i daremna. Nie byli bliżsi odnalezienia Galta ani jego następnego celu niż po pierwszym zamachu. Wzrok Rhyme'a błądził po tablicach, które wciąż pozostawały bezładną mieszaniną elementów nieznanego układu.

Kątem oka zauważył, że McDaniel odebrał telefon. Agent słuchał przez chwilę, energicznie kiwając głową. Posłał spojrzenie swojemu protegowanemu. Następnie podziękował rozmówcy i rozłączył się.

- Jeden z moich zespołów tech-komu ma kolejne trafienie w sprawie tej grupy terrorystycznej. Małe, ale za to w dziesiątkę. Następne słowo w nazwie to „Ziemia”.

- „Sprawiedliwość dla Ziemi” - powiedziała Sachs.

- Może jest coś więcej, ale tych słów jesteśmy pewni. „Sprawiedliwość”, „dla” i „Ziemia”.

- Przynajmniej wiemy, że chodzi o ekoterrorystów - mruknął Sellitto.

- Nie ma nic w żadnej bazie danych? - zastanawiał się na głos Rhyme.

- Nie, ale pamiętaj, że poruszamy się w strefie cienia. Jeszcze jedna rzecz. Zastępca Rahmana prawdopodobnie nazywa się Johnston.

- Anglosaskie nazwisko.

Tylko jak to nam może pomóc? - zastanawiał się ze złością Rhyme. Jak jedno i drugie może nam pomóc znaleźć cel zamachu, do którego ma dojść za kilka minut?

I jaką broń tym razem wymyślił? Znowu łuk? Znowu śmiercionośny obwód elektryczny w publicznym miejscu?

Rhyme nie odrywał oczu od białych tablic.

- Zadzwoń do Dellraya - poleciał Młodemu McDaniel.

Po chwili w głośniku odezwał się głos agenta.

- Tak, kto mówi?

- Tu Tucker, Fred. Jest ze mną Lincoln Rhyme i parę osób z policji.

-U Rhyme'a?

-Tak.

- Jak leci, Lincoln?

- Bywało lepiej.

- To tak jak u nas wszystkich.

- Fred, słyszałeś o nowych żądaniach i wyznaczonej godzinie - włączył się McDaniel.

- Dzwoniła do mnie twoja asystentka. Powiedziała mi też o motywie. O raku Galta.

- Mamy potwierdzenie, że to prawdopodobnie grupa terrorystów. Ekoterrorystów.

- No to jaka jest rola Galta?

- Symbioza.

-Co?

-Układ symbiotyczny. Napisałem o tym w notatce... Pracują razem. Grupa nazywa się „Sprawiedliwość dla Ziemi”. A zastępca Rahmana nazywa się Johnston.

- Zdaje się, że mają zupełnie inne zamiary - zauważył Dellray. - Jak się spiknęli? Galt i Rahman?

- Nie wiem, Fred. To nieważne. Może oni się z nim skontaktowali, przeczytali jego komentarze na temat raka. Wszystko się działo w Internecie.

-Aha.

- Do godziny ultimatum zostało parę minut. Czy twoja wtyczka coś ma?

Chwila ciszy.

- Nie, Tucker. Nic.

-A raport? Mówiłeś, że umówiliście się na trzecią.

Znów krótkie wahanie.

- Zgadza się. Ale na razie nie ma nic konkretnego. Musi się zapuścić głębiej do podziemia.

- Kurwa, ten cały świat działa w podziemiu - warknął McDaniel, zaskakując Rhyme'a, który nie potrafił sobie dotąd wyobrazić, by z łagodnych ust agenta padło jakiegokolwiek przekleństwo. - Zadzwoń do tego faceta i powiedz mu o „Sprawiedliwości dla Ziemi”. I o nowym graczu, Johnstone.

- Zadzwonię.

- Fred?

-Tak?

-Ten twój informator to jedyny człowiek, który ma jakiś trop?

- Zgadza się.

-1 nic nie słyszał, żadnego nazwiska, tak?

- Niestety.

-No dobra, dzięki, Fred - rzekł w roztagnieniu McDaniel. - Zrobiłeś, co mogłeś. - Jak gdyby od początku nie spodziewał się usłyszeć niczego istotnego.

Chwila ciszy.

- Jasne.

Rozłączyli się. Rhyme i Sellitto zauważyli kwaśną minę McDaniela.

- Fred to dobry człowiek - odezwał się detektyw.

- Dobry - przytaknął szybko agent. Za szybko.

Ale temat Freda Dellraya i opinii McDaniela na jego temat zszedł na dalszy plan, ponieważ w ciągu pięciu sekund zadzwoniły nagle komórki wszystkich obecnych w domu, z wyjątkiem Thoma.

Informacja pochodziła z różnych źródeł, ale brzmiała identycznie.

Choć do wyznaczonej godziny pozostało jeszcze siedem minut, Ray Galt znów zaatakował, zabijając następnych niewinnych ludzi na Manhattanie.

Szczegóły podał rozmówca Sellitta. Mówiąc przez głośnik, funkcjonariusz patrolu policji, sądząc po głosie, młody i mocno przejęty, zaczął relacjonować przebieg zamachu przeprowadzonego na windę biurowca na środkowym Manhattanie, którą jechały cztery osoby.

-Wygląda to... bardzo źle. - Po chwili policjant zakrztusił się i jego słowa utonęły w kaszlu - być może wywołanym dymem, który powstał po zamachu. A może po prostu chciał zamaskować przyływ emocji.

Funkcjonariusz przeprosił i powiedział, że zadzwoni za kilka minut.

Już nie zadzwonił.



Rozdział 5f1

nowu ten zapach.

² Czy Amelii Sachs uda się kiedykolwiek przed nim uciec?

Gdyby się nawet długo szorowała i wyrzuciła przesiąknięte nim ubranie, czy mogłaby go kiedykolwiek zapomnieć? Najwidoczniej rękaw i włosy jednej z ofiar w windzie zajęły się ogniem. Pożar nie był duży, ale pozostawił gęsty dym o ohydny zapachu.

Sachs i Pułaski wkładali kombinezony. Policjantka spytała jednego z funkcjonariuszy ESU:

- Zginęli na miejscu?

- Zgadza się.

- Gdzie są ciała?

- W korytarzu. Wiem, że spieprzyliśmy ślady w windzie, detektywie, ale było tyle dymu, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Musieliśmy sprawdzić, czy jest czysto.

Uspokoila go, mówiąc, że niesienie pomocy ofiarom jest najważniejsze. Poza tym nic nie niszczy śladów na miejscu zdarzenia lepiej niż ogień. Kilka śladów stóp policjanta nie robi wielkiej różnicy.

- Jak zadziałała pułapka? - spytała antyterrorysty.

- Nie jesteśmy pewni. Administrator budynku powiedział, że winda zatrzymała się tuż nad parterem. Potem zaczął się z niej wydobywać dym. I rozległy się krzyki. Zanim sprowadzili kabinę na dół i otworzyli drzwi, już było po wszystkim.

Sachs wzdygnęła się, wyobrażając sobie tę scenę. Krążki stopionego metalu były wystarczająco okropne, ale jako osobę cierpiącą na klaustrofobię wyjątkowo poruszyła ją myśl o czterech osobach uwięzionych w zamkniętej przestrzeni i porażonych prądem... w dodatku jedna z nich się paliła.

Funkcjonariusz ESU spojrział w notatki.

- Ofiarami byli redaktorka czasopisma o sztuce, prawnik i księgowy z ósmego piętra. Sprzedawca części komputerowych z szóstego. Jeżeli to panią interesuje.

Sachs zawsze interesował każdy szczegół, dzięki któremu ofiary stawały się prawdziwymi ludźmi. Częściowo dlatego, żeby nie stracić wrażliwości, żeby nie zobojętnieć na to, z czym stykała się w pracy. Ale częściowo dlatego, że wpoił jej to Rhyme. Swój talent eksperta kryminalistyki Rhyme zawdzięczał nie tylko racjonalizmowi stuprocentowego naukowca, ale również niezwyklej zdolności przenikania umysłu sprawcy.

Przed laty, kiedy współpracowali ze sobą w pierwszym miejscu zbrodni - gdzie człowiek został uśmiercony także

za pomocą instalacji, w tamtym przypadku parowej - Rhyme szepnął do niej coś, co rozbrzmiewało jej w głowie, ilekroć robiła obchód po siatce. „Chcę, żebyś była nim”, powiedział, mając na myśli sprawcę. „Musisz mu wejść do głowy. Dotąd myślałaś tak jak my. Masz myśleć tak jak on”.

Rhyme uważał, że choć kryminalistyki można nauczyć, to ten rodzaj empatii jest zdolnością wrodzoną. Sachs uważała, że najlepszy sposób, by podtrzymać ten związek - zamknięty obwód, pomyślała teraz, między sercem a biegłością techniczną, to nigdy nie zapominać o ofierze.

- Gotowy? - spytała Pułaskiego.

-Raczej.

- Zrobimy obchód po siatce, Rhyme - powiedziała do mikrofonu.

- Dobra, ale zróbcie to beze mnie, Sachs.

Zaniepokoiła się. Mimo jego wcześniejszych zaprzeczeń, Rhyme nie czuł się dobrze. Odgadła to bez trudu. Okazało się jednak, że zamierza się rozłączyć z innego powodu.

- Chcę, żebyś zrobiła siatkę z tym facetem z Algonquin.

- Z Sommersem?

-Tak.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim dlatego, że podoba mi się jego umysł. Myśli szeroko. Może to wynika z natury wynalazcy, nie wiem. Ale poza tym coś mi tu nie pasuje, Sachs. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Mam wrażenie, że nie umiemy czegoś zauważyć. Galt musiał to wszystko planować co najmniej miesiąc. A teraz to wygląda, jakby przyśpieszał - dwa zamachy jednego dnia. Nie umiem tego rozgryźć.

- Może dlatego, że wpadliśmy na jego trop wcześniej, niż się spodziewał - podsunęła.

- Możliwe. Nie wiem. Ale jeżeli tak, to znaczy, że nas też by się chętnie pozbył.

- To prawda.

- Dlatego potrzebuję świeżego spojrzenia. Dzwoniłem już do Charliego i jest gotów nam pomóc... Czy on zawsze je, kiedy rozmawia przez telefon?

- Lubi śmieciowe jedzenie.

- W każdym razie, kiedy będziesz robić siatkę, lepiej niech ma coś, co nie chrupie. Połączą cię, jak tylko będziesz gotowa. A potem zaraz przyjeżdżaj z tym, co znajdziesz. Niewykluczone, że Galt już teraz szykuje następny zamach.

Rozłączyli się. Sachs zerknęła na Pułaskiego, który wciąż miał wyraźnie nieobecny minę.

Naprawdę jesteś nam potrzebny, nowy...

Zawołała go.

- Ron, główne miejsce jest na dole, tam pewnie podłączył przewody i to swoje urządzenie. - Klepnęła dłonią w radio. - Będę połączona z Charliem Sommersem. Zabezpieczysz windę. - Umilkła na chwilę. - I zbierzesz ślady z ciał. Pewnie nie będzie tego dużo. Staraj się nie mieć bezpośredniego kontaktu z ofiarami. Ale trzeba to zrobić. Dasz radę?

Młody policjant skinął głową.

- Zrobię wszystko, czego będziesz potrzebować, Amelia. - Wydawał się do bólu szczery. Pewnie starał się odpokutować za wypadek pod domem Galta.

- Chodźmy. Weź VapoRub.

-Co?

- Jest w zestawie. Maść Vick VapoRub. Wetrzyj odrobinę pod nos. Żebyś nie czuł tego zapachu.

Pięć minut później była już połączona z Charliem Sommersem, wdzięczna, że zgodził się pomóc w zabezpieczeniu miejsca i udzielić „wsparcia technicznego”, choć w swoim drwiącym stylu oznajmił, że „pomaga jej ocalić tyłek”.

Sachs włączyła światelko na kasku i ruszyła po schodach do piwnicy biurowca, dokładnie opisując Sommersowi, co widzi w brudnej, wilgotnej okolicy szybu windy. Miała z nim tylko połączenie audio, nie wideo, którego zwykle używali z Rhyme'em.

Budynek gruntownie sprawdził oddział ESU, ale Sachs dobrze pamiętała, co powiedział Rhyme - że Galt mógł postanowić wziąć na cel tych, którzy go ścigali. Rozglądała się przez chwilę, zbaczając nieco z drogi, żeby oświetlić cienie, odrobinę przypominające sylwetki ludzi.

Okazało się, że to tylko cienie, odrobinę przypominające sylwetki ludzi.

- Widzisz coś przykręconego do szyn, po których jeździ winda? - spytał Sommers.

Znów skupiła się na poszukiwaniach.

- Nie, na szynach nic nie ma. Ale... widzę kawałek kabla Benningtona, przykręcony do ściany. Zaraz...

- Najpierw sprawdź napięcie!

- Właśnie miałam to powiedzieć.

- Ach, urodzony elektryk.

- Nic podobnego. Kiedy to się skończy, nie zamierzam nawet dotykać akumulatora w samochodzie. - Wycelowwała w kabel wykrywacz napięcia. - Zero.

- Świetnie. Dokąd biegnie przewód?

- Na jednym końcu jest szynoprzewód, który zwisa w szybie windy. Opiera się o dno kabiny. W miejscu styku jest poczerniały. Drugi koniec biegnie do grubego kabla, który wchodzi do beżowego panelu na ścianie, wyglądającego jak duża apteczka. Kabel Benningtona jest podłączony do głównej linii zdalnie sterowanym wyłącznikiem, takim jak ostatnim razem.

- To linia zasilająca. - Wyjaśnił, że biurowiec taki jak ten odbiera energię inaczej niż budynek mieszkalny. Przyjmował znacznie większe napięcie, jak uliczny transformator; 13 800 woltów, które obniżano i rozdzielano do biur. Była to sieć lokalna. - Czyli

zjeżdżając, kabina windy miała się zetknąć z szynoprzewodem pod napięciem... Ale gdzieś musi być jeszcze jeden wyłącznik, zasilania windy. Musiał przecież zatrzymać kabinę, zanim zjechała na poziom holu. Żeby ofiary w środku wcisnęły przycisk alarmowy. Wtedy ręka pasażera na kasecie z przyciskami i jego stopy na podłodze zamykają obwód i prąd poraża jego i każdego, kto go o dotyka albo się o niego ociera.

Sachs rozejrzała się i znalazła drugie urządzenie. Poinformowała o tym Sommersa.

Dokładnie wytłumaczył jej, jak rozmontować kable i czego szukać. Zanim jednak Sachs zabrała dowody, rozstawiła numery i sfotografowała miejsce. Następnie podziękowała Sommersowi, mówiąc, że na razie nie będzie potrzebowała jego pomocy. Kiedy się rozłączyli, zrobiła obchód po siatce, łącznie z wejściem i wyjściem - którym najprawdopodobniej były drzwi prowadzące do bocznej alejki. Wyposażone w kiepski zamek, niedawno zostały wyważone łomem. Drzwi też sfotografowała.

Miała już wracać na górę i dołączyć do Pułaskiego, ale przystanęła.

Cztery ofiary w windzie.

Sam Vetter i jeszcze dwie ofiary śmiertelne w hotelu, Luis Martin.

I błądy strach w całym mieście, strach przed niewidzialnym zabójcą.

Usłyszała w wyobraźni głos Rhyme'a: „Musisz stać się nim”.

Sachs złożyła dowody przy schodach i wróciła do dna szybu windy.

Jestem nim, jestem Raymondem Galtem...

Sachs miała kłopoty z wczuciem się w rolę fanatyka prowadzącego obłąkańczą krucjatę, ponieważ odnosiła wrażenie, że takie emocje w ogóle nie pasują do zimnej kalkulacji, którą wykazywał się dotąd sprawca. Ktoś inny po prostu zastrzeliłby Andi Jessen albo podłożył bombę pod kompleks energetyczny w Queens. Ale Galt włożył

wiele trudu i drobiazgowej pracy, by posłużyć się niezwykle skomplikowaną bronią.

Co to mogło oznaczać?

Jestem nim...

Jestem Galtem.

Jej myśli zatrzymały się na moment, by w następnej chwili odnaleźć odpowiedź: nie obchodzi mnie motyw. Nie obchodzi mnie, dlaczego to robię. Liczy się tylko technika, liczy się wykonanie doskonałego złącza czy wyłącznika, aby wyrządzić jak najwięcej szkód.

Wokół tego obraca się cały mój świat.

Uzależniłem się od tego procesu, uzależniłem się od prądu...

Po tej myśli zjawiała się następna: wszystko sprowadza się do odpowiednich kątów. Musiał... muszę umieścić szynoprzewód we właściwym miejscu, żeby musnął podłogę windy, gdy będzie blisko poziomu parteru, ale tuż przed zatrzymaniem.

Co oznacza, że muszę obserwować jeżdżącą windę z każdego punktu na dole, żeby mieć pewność, że przeciwwaga, przekładnie, silnik i liny nie przesuną szynoprzewodu czy w inny sposób nie uszkodzą kabla.

Muszę obejrzeć szyb ze wszystkich stron. Naprawdę muszę.

Sachs, chodząc na czworakach po brudnej piwnicznej posadzce, okrążyła dno szybu windy - sprawdzając każde miejsce, z którego Galt mógł widzieć kabel, szynoprzewód i styki. Nie znalazła żadnych śladów stóp ani odcisków palców, znalazła jednak miejsca, gdzie niedawno coś ruszono na ziemi i słusznie można było przypuszczać, że Galt przykucnął tu, by oglądać swoje dzieło.

Pobrała próbki z tych punktów i umieściła w oddzielnych torebkach na dowody, oznaczając je zgodnie ze wskazaniem kompasu: „10' od północnego zachodu”, „7' od południa”. Następnie zebrała pozostałe dowody i wróciła na górę, czując artretyczny ból w

kolanach podczas wspinaczki po schodach. Stając obok Pułaskiego, zajrzała do wnętrza windy. Kabina nie została bardzo zniszczona. Jedynym śladem po zamachu były okopcone ściany i ta okropna woń. Sachs nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by to było, jechać windą i nagle zostać porażonym trzynastoma tysiącami woltów. Przynajmniej po kilku pierwszych sekundach ofiary już niczego nie czuły.

Zobaczyła, że Pułaski rozstawił tabliczki z numerami i zrobił zdjęcia.

- Znalazłeś coś?

- Nie. Przeszukałem też kabinę, ale kasetę z przyciskami nie była ostatnio otwierana.

- Wszystko zainstalował na dole. Co z ciałami?

Z jego znękaney twarzy wyczytała, że to było trudne zadanie. Policjant odrzekł jednak spokojnie:

- Żadnych śladów. Ale zauważyłem coś ciekawego. Wszyscy trzej mieli mokre podeszwy. Każdej pary butów.

- Straż pożarna?

-Nie, zanim przyjechała, pożar już został ugaszony.

Woda. Rzeczywiście ciekawe. Żeby zmniejszyć opór. Ale jak udało mu się zmoczyć im buty? Nagle Sachs zapytała:

- Powiedziałeś, że są tylko trzy ciała?
- Zgadza się.
- Przecież facet z ESU mówił o czterech ofiarach.
- Bo są cztery, ale tylko trzy śmiertelne. Masz. - Podał jej kartkę.
- Co to jest? - Na kartce było zapisane nazwisko i numer telefonu.
- Kobieta, która przeżyła. Pomyślałem, że będziesz chciała z nią porozmawiać. Nazywa się Susan Stringer. Jest w szpitalu St. Vincent. Nawdychała się dymu, ma trochę oparzeń. Ale nic jej nie będzie. Za jakąś godzinę ją zwolnią.

Sachs ze zdumieniem pokręciła głową.

-Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógł ocaleć. W windzie było trzynaście tysięcy voltów.

- Jest niepełnosprawna - odparł Ron Pułaski. - Jeździ na wózku. Wiesz, gumowe opony. Chyba ją izolowały.

Rozdział 51

ak sobie poradził? - zapytał Rhyme, gdy Sachs wróciła do laboratorium.

- Ron? Jest trochę nieswój. Ale dał sobie radę. Obejrzał ciała. To nie było łatwe. Ale znalazł coś ciekawego. Nie wiadomo dlaczego, wszystkie ofiary miały mokre buty.

- Jak Galt to zrobił?
- Nie wiem.
- Nie sądzisz, że Ron za bardzo się przejmuje?
- Nie powiedziałabym, że za bardzo. Ale bardzo. Jest młody. To się zdarza.
- To nie jest usprawiedliwienie.
- Nie jest. To uzasadnienie.

- Dla mnie jedno i to samo - mruknął Rhyme. - Gdzie on jest?

Było już po ósmej.

- Pojechał jeszcze raz do mieszkania Galta, chciał sprawdzić, czy czegoś nie przegapił.

Rhyme uznał, że to niezły pomysł, choć był pewien, że młody policjant już za pierwszym razem dokładnie przeszukał mieszkanie.

- Miej go na oku - poprosił. - Nie chcę ryzykować niczyjego życia tylko dlatego, że jest nieswój.

- Zgoda.

Poza nimi i Cooperem w laboratorium nie było już nikogo. McDaniel i Młody wrócili do budynku federalnego na spotkanie z przedstawicielami Departamentu Bezpieczeństwa, a Sellitto był na dolnym Manhattanie w Centrali, czyli w nowojorskiej komendzie głównej. Rhyme nie wiedział, z kim detektyw miał się spotkać, ale niewątpliwie była długa lista osób, które chciałyby usłyszeć wyjaśnienia, dlaczego podejrzany nie siedzi jeszcze w areszcie.

Cooper i Sachs rozkładali na stole dowody zebrane przez Sachs w biurówcu. Technik zbadał kabel i resztę przedmiotów z dna szybu windy.

- Jest jeszcze jedna rzecz. - Sachs sądziła zapewne, że jej głos brzmi swobodnie i naturalnie, lecz Rhyme zrozumiał, co naprawdę oznacza ten ton. Trudno się rozmawia z najbliższą osobą; od razu wyczuje, do czego się zmierza.

- Co? - Utkwił w niej inkwizytorskie spojrzenie.

- Mamy świadka zamachu, kobietę. Była w windzie, gdy tamci trzej zginęli.

- Bardzo ucierpiała?

- Podobno nie. Przede wszystkim nawdychała się dymu.

- Musiał być nieprzyjemny. Spalone włosy. - Lekko rozszerzył nozdrza.

Sachs powąchała swoją rudą czuprynę i też się skrzywiła.

- Wezmę dzisiaj naprawdę długi prysznic.

- Co miała do powiedzenia?

- Nie miałam okazji jej przesłuchać. Przyjedzie tu, gdy tylko wypuszczą ją ze szpitala.

- Tu? - zdumiał się Rhyme. Nie chodziło tylko o to, że sceptycznie odnosił się do świadków w ogóle, ale wpuszczanie obcej osoby do laboratorium mogło stanowić ryzyko. Gdyby za zamachy odpowiadała komórka terrorystyczna, zapewne chętnie wprowadziłaby swojego człowieka do sanktuarium ekipy śledczej.

Ale Sachs roześmiała się, odgadując jego myśli.

- Sprawdziłam ją, Rhyme. Jest czysta. Nienotowana. Długoletnia redaktorka jakiegoś pisma o meblach. Poza tym uznałam, że to całkiem niezły pomysł - nie będę musiała tracić czasu na odwiedziny w szpitalu. Mogę zostać i popracować nad dowodami.

- Coś jeszcze?

Uśmiechnęła się po chwili wahania.

- Za dużo tłumaczę?

- Mhm.

- No dobrze. Jest niepełnosprawna.

- Doprawdy? To ciągle nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Chce cię poznać, Rhyme. Jesteś sławny. Rhyme westchnął.

- Świetnie.

Sachs odwróciła się do niego i przymrużyła oczy.

- Nie spierasz się ze mną. Teraz to on się zaśmiał.

- Nie jestem w nastroju. Niech przyjedzie. Sam ją przesłucham. Pokażę ci, jak to się robi. Szybko i przyjemnie.

Sachs postąpiła mu podejrzliwe spojrzenie.

- Co masz, Mel? - zwrócił się do technika Rhyme.

Patrząc w okular mikroskopu, Cooper odparł:

- Nic, co mogłoby nam pomóc go uprzynależnić.

- „Uprzynależnić”. Nie pamiętam takiego słowa z kursu czasowników - rzekł kwaśno Rhyme.

- Ale coś mam - odparł Cooper, puszczać uwagę Rhyme'a mimo uszu i czytając wyniki z chromatografu. - Ślady substancji, które baza danych identyfikuje jako żeń-szeń i jagoda licyjska.

- Chińskie rośliny lecznicze, może herbata - oznajmił Rhyme. Przed kilku laty prowadził sprawę „grzechotnika” - przemytnika nielegalnych imigrantów, a prawie całe śledztwo toczyło się w Chinatown. Pomagający w sprawie funkcjonariusz policji z Chin uczył Rhyme'a ziołolecznictwa, wychodząc z założenia, że medycyna naturalna poprawi jego stan zdrowia. Zioła w niczym oczywiście nie pomogły, lecz wiedza o nich okazała się pożyteczna w śledztwie. W tym momencie Rhyme odnotował jedynie skład znaleziska, ale musiał przyznać rację Cooperowi, że to żaden trop. Kiedyś takie substancje można było znaleźć tylko w specjalistycznych azjatyckich i „newage'owych” sklepikach. Dziś podobne produkty kupowało się w każdej aptece Rite Aid i każdym sklepie sieci Food Emporium w całym mieście.

- Bądź łaskawa umieścić to na tablicy, Sachs.

Kiedy pisała, spojrział na szereg ułożonych na stole małych torebek na dowody, opatrzonych kartami ewidencyjnymi, na których Sachs zanotowała wskazania kompasu.

- Dziesięciu małych Murzynków - rzekł zaintrygowany Rhyme. - Co to?

-Wkurzyłam się, Rhyme. Nie, raczej wściekłam się jak diabli.

- Świetnie. Uważam, że gniew ma właściwości wyzwalające. Dlaczego?

- Bo nie potrafimy go znaleźć. Wzięłam próbki podłoża z miejsc, w których mógł być. Czołgałam się w strasznym syfie, Rhyme.

- Stąd ta smuga. - Popatrzył na jej czoło.
Dostrzegła spojrzenie.
- Umyję się później. - Uśmiechnęła się - uznał, że uwodzicielsko.

Uniósł brew.

- No to bierz się do badania i mów, co znalazłaś.

Sachs włożyła rękawiczki i przesyłała próbki do dziesięciu szalek Petriego. Nałożywszy gogle powiększające, za pomocą sterylnej bagietki zaczęła przeglądać zawartość każdej torebki po kolei. Ziemia, niedopałki papierosów, skrawki papieru, śrub i nakrętek, drobiny czegoś, co przypominało odchody gryzoni, włosy, skrawki tkanin, opakowań po cukierkach i jedzeniu, okruchy betonu, metalu i kamienia. Naskórek podziemnego Nowego Jorku.

Rhyme już dawno nauczył się, że kluczowym zadaniem w poszukiwaniu dowodów na miejscu zdarzenia jest znalezienie wzorców. Tego, co się często powtarza. Obiekty z tej kategorii należy hipotetycznie wykluczyć. Istotne mogą być rzeczy unikatowe, niepasujące do pozostałych. Statystycy i socjologowie nazywali je elementami odstającymi.

Prawie wszystko, co znalazła Sachs, powtarzało się w każdym naczyniu z próbkami. Ale jedna rzecz należała do odrębnej kategorii: małeńki pasek wygiętego prawie w kółko metalu, o średnicy dwa razy większej niż grafit w ołówku. Mimo obecności wielu innych kawałków metalu - ścinków śrub i wkrętów - żaden nie przypominał tego.

Pasek metalu był czysty, co sugerowało, że pozostawiono go niedawno.

- Gdzie to było, Sachs?

Podnosząc się znad stołu, nad którym siedziała zgarbiona, przeciągnęła się i przeczytała etykietkę na torebce leżącej obok szalki.

- Sześć metrów od szybu windy, na południowym zachodzie, pod belką. Stamtąd Galt miał widok na całą swoją instalację.

A więc musiał kucać. Kawalek metalu mógł pochodzić z mankietu albo ubrania. Rhyme poprosił Sachs, aby pokazała mu z bliska tajemniczy kawałek metalu. Nałożyła mu gogle, a następnie pęsetę podniosła krążek i zbliżyła do jego oczu.

-Ach, oksydowane żelazo - powiedział. - Jak w broni palnej. Potraktowane wodorotlenkiem sodu i azotanem. Przeciw korozji. I duża ciągliwość. To jakaś sprężyna. Mel, jak wygląda wasza baza danych części mechanicznych?

- Nie jest tak często aktualizowana jak w czasach, gdy byłeś szefem, ale da się coś znaleźć.

Rhyme wszedł do sieci, mozolnie wpisując hasło. Mógł skorzystać z rozpoznawania mowy, ale trudno było głosowo przedstawić znaki w rodzaju @% \$ * - które stosowano w celu zwiększenia bezpieczeństwa.

Gdy na ekranie ukazała się główna strona bazy danych wydziału kryminalistycznego, Rhyme przeszedł do kategorii „Metale różne - sprężyny”.

Po dziesięciu minutach przeglądania setek próbek oznajmił:

- Chyba sprężyna włosowa.
- Co to jest? - spytał Cooper.

Rhyme skrzywił się.

- Obawiam się, że to zła wiadomość. Jeżeli należy do niego, to oznacza, że prawdopodobnie zmienia metodę.

- Jak? - zastanawiała się na głos Sachs.

- Takich włosów używa się w urządzeniach zegarowych. Boi się, że depczemy mu po piętach. I zamiast zdalnych włączników zaczniesz używać zegarowych. Przy następnym zamachu równie dobrze może być w innej dzielnicy.

Rhyme polecił Sachs włożyć sprężynę do torebki i opisać kartę ewidencyjną.

- Spryciarz - zauważył Cooper. - Ale popełni błąd. Sprawca zawsze popełnia jakiś błąd.

Sprawca często popełnia błąd, poprawił go w myśli Rhyme.

- Mam niezły odcisk palca na jednym ze zdalnych wyłączników - dodał technik.

Rhyme miał nadzieję, że pozostawił go ktoś inny, ale nie, to był odcisk Galta - skoro poznali jego nazwisko, nie musiał już tak starannie ukrywać swojej tożsamości.

Zabrzęczał telefon. Rhyme zdziwił się, widząc numer kierunkowy. Natychmiast odebrał.

- Komendant Luna?

- Kapitanie Rhyme, chyba mamy nowe zdarzenie.

- Proszę mówić.

- Godzinę temu mieliśmy fałszywy alarm pożarowy w skrzydle budynku, który obserwował Zegarmistrz. Na tym piętrze jest biuro pośrednika kredytowego, który działa na rynku nieruchomości w Ameryce Łacińskiej. Właściciel to barwna postać. Kilka razy był pod obserwacją. Zacząłem coś podejrzewać. Prześwieciłem tego człowieka i okazało się, że już kiedyś grożono mu śmiercią.

- Kto mu groził?

- Klienci, których interes okazał się mniej lukratywny, niżby sobie życzyli. Ten człowiek zajmuje się czymś jeszcze, ale trudno mi się dowiedzieć czym. A jeżeli trudno się tego dowiedzieć, to odpowiedź jest prosta: to kanciarz. Co oznacza, że ma duży i kompetentny personel ochrony.

- Czyli jest celem, którego likwidacja wymagałaby takiego mordercy jak Zegarmistrz.

- Tak jest.

- Nie wykluczałbym jednak - ciągnął Rhyme - że cel może się znajdować na przeciwległym końcu kompleksu.

- Uważa pan, że alarm pożarowy był zmyłką.

- Możliwe.

- Powiem ekipie Artura, żeby wzięła to pod uwagę. Obserwację prowadzą jego najlepsi i najbardziej niewidzialni ludzie.

- Dowiedział się pan czegoś jeszcze o zawartości paczki, którą dostał Logan? O liście z literą „I” i pustymi miejscami? O płytce montażowej, książeczce i tych liczbach?

- Mamy tylko domysły. A ja, zapewne tak samo jak pan, kapitanie, uważam, że domysły to strata czasu.

- To prawda, komendancie.

Rhyme jeszcze raz mu podziękował i zakończyli rozmowę. Zerknął na zegar. Była dziesiąta. Od zamachu na podstacji upłynęło trzydzieści pięć godzin. Rhyme miał mętlik w głowie. Z jednej strony czuł ogromną presję, by dalej pracować nad sprawą, której postęp zdawał się irytująco wolny. Z drugiej strony był wyczerpany. Bardzo dawno nie czuł takiego zmęczenia. Potrzebował snu. Nie chciał się jednak do tego przyznać, nawet przed Sachs. Patrzył na milczący telefon, myśląc o tym, co przed chwilą powiedział mu meksykański policjant, gdy nagle zauważył, że ma krople potu na czole. To go rozwścieczyło. Chciał go zetrzeć, zanim ktokolwiek zdąży zauważyć, ale oczywiście nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Szarpnął głową z boku na bok. Wreszcie krople opadły.

Ale jego ruch nie umknął uwadze Sachs. Domyślał się, że zaraz go zapyta, czy dobrze się czuje. Nie chciał mówić, że nie, ani nie chciał jej okłamywać. Podjechał nagle do tablic z dowodami i zaczął studiować zapisy, w ogóle nie widząc słów.

Sachs ruszyła w jego stronę, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Po chwili usłyszeli jakiś ruch w korytarzu i wszedł Thom z gościem. Rhyme bez trudu odgadł tożsamość tej osoby; siedziała na wózku tej samej firmy, która wyprodukowała jego wózek.

HWJFT M M WL HM MIK

Rozdział 52

usan Stringer miała ładną, nieco trójkątną twarz i śmielisty głos. Na jej widok przychodziły na myśl dwa przymiotniki: miła i sympatyczna.

Jej oczy spoglądały jednak czujnie, a usta zaciskały się, nawet kiedy się uśmiechała, co nie dziwiło u osoby, która musiała pokonywać ulice Nowego Jorku, używając tylko siły rąk.

- Dom z dostępem dla wózków na Upper West Side.

Rzadkość. Rhyme odpowiedział uśmiechem - traktował gościa z rezerwą.

Miał dużo pracy, w której było niewiele miejsca na świadków; mówiąc Sachs o przesłuchaniu Susan Stringer, oczywiście żartował.

Mimo wszystko omal nie zginęła z ręki Raya Galta - wyjątkowo okropną śmiercią - i być może mogła im udzielić ważnych informacji. I jeżeli rzeczywiście, jak twierdziła Sachs, chciała się z nim spotkać osobiście, specjalnie mu to nie przeszkadzało.

Ze zrozumieniem skinęła głową Thomowi Restonowi, wiedząc, jak ważną - i ciężką - pracę mają opiekunowie niepełnosprawnych. Thom spytał, czy czegoś sobie życzy, ale odparła, że nie.

-Nie zostanę długo. Jest późno, poza tym nie czuję się dobrze.

- Miała pusty, niewidzący wzrok; na pewno myślała o strasznych chwilach w windzie. Podjechała do Rhyme'a. Ręce Susan funkcjonowały bez zarzutu; miała paraplegię, prawdopodobnie spowodowaną uszkodzeniem rdzenia kręgowego w odcinku piersiowym.

- Nie ma pani oparzeń? - spytał Rhyme.

- Nie. Prąd mnie nie poraził. Tylko dym dał mi się we znaki, dym z... ludzi, którzy jechali ze mną w windzie. Jeden z nich się zapalił.

- Ostatnie zdanie wypowiedziała szeptem.

- Jak to się stało? - zapytała Sachs.

Kobieta posłała jej cierpliwe spojrzenie.

- Zbliżaliśmy się do parteru, gdy nagle winda stanęła. Zgasły światła z wyjątkiem światła awaryjnego. Jeden z biznesmenów stojących za mną sięgnął do przycisku alarmowego. Kiedy go dotknął, zaczął jęczeć i podrygiwać.

Zaczęła kaszleć. Po chwili odchrząknęła.

- To było okropne. Nie mógł oderwać ręki od guzika. Kolega złapał go czy otarł się o niego. Wyglądało to jak reakcja łańcuchowa. Wszyscy dygotali. Jeden z nich zaczął się palić. Włosy... dym, ten zapach. - Susan znów mówiła szeptem. - Potworne, po prostu potworne. Umierali na moich oczach, po prostu umierali. Krzyczałam. Zdałam sobie sprawę, że to jakaś awaria elektryczna, i nie chciałam dotykać metalowego uchwytu wózka ani metalowej futryny. Po prostu siedziałam. - Susan wzdrygnęła się i powtórzyła: - Po prostu siedziałam. Potem winda ruszyła w dół i na parterze otworzyły się drzwi. W korytarzu było chyba kilkadziesiąt osób, wyciągnięto mnie... Próbowałam tych ludzi ostrzec, żeby niczego nie dotykali, ale już wyłączono prąd. - Przez chwilę cicho kaszłała. - Kto to jest ten Ray Galt? - spytała.

- Sądzi, że dostał raka od linii energetycznych - odrzekł Rhyme. - Teraz się mści. Ale z zamachami mogą mieć związek ekoterrorysty. Być może został zwerbowany przez grupę zwalczającą tradycyjną energetykę. Jeszcze nie wiemy. Na sto procent.

-1 w imię takiej sprawy zabija niewinnych ludzi? - wykrzyknęła Susan. - Co za obłuda!

- To fanatyk - wyjaśniła Sachs - więc nawet nie zdaje sobie sprawy z własnej hipokryzji. Dobrze jest, czego on chce. Wszystko, co przeszkadza mu to zrobić, jest złe. To bardzo prosty świat.

Rhyme zerknął na Sachs, która zrozumiała znak i spytała Susan:

- Mówiła pani, że wie o czymś, co nam może pomóc?

- Tak, chyba go widziałam.

Mimo nieufności wobec świadków Rhyme zachęcił ją skwapliwie:

- Proszę mówić.

- Wsiadł do windy na moim piętrze.

- Myśli pani, że to był on? Dlaczego?

- Bo rozlał wodę na podłogę. Wydawało się, że przypadkiem, ale teraz wiem, że zrobił to celowo. Żeby poprawić połączenie.

- To dlatego Ron znalazł wodę na podeszwach ich butów - powiedziała Sachs. - No jasne. Zastanawialiśmy się, skąd się wzięła.

- Był ubrany jak pracownik techniczny i niósł konewkę. Miał na sobie brązowy kombinezon. Jakby brudny. Facet wydawał się dziwny. A w budynku nie ma żadnych roślin do podlewania - ani w korytarzach, ani w naszych biurach.

- Na miejscu jest jeszcze zespół? - zwrócił się do Sachs Rhyme.

Odparła, że powinien ktoś być.

- Może ze straży. Z policji już nie.

- Niech zadzwonią do administratora budynku, nawet gdyby go mieli obudzić. I niech się dowiedzą, czy pracuje tam jakaś obsługa zieleni. Dobrze by było sprawdzić zapis z kamer monitorujących.

Kilka minut później znali odpowiedź: budynek ani żadna z firm na ósmym piętrze nie zatrudniali nikogo do podlewania kwiatów. Kamery były tylko w holu, ale miały szerokokątne obiektywy, które pokazywały jedynie „tłum ludzi wchodzących i wychodzących”, jak poinformował ich jeden ze strażaków. - Nie da się rozróżnić pojedynczych twarzy.

Rhyme wyświetlił na ekranie zdjęcie Galta z prawa jazdy.

- Czy to on? - zapytał Susan.

- Możliwe. Nie patrzył na nas, ja też właściwie na niego nie patrzyłam. - Posłała Rhyme'owi znaczące

spojrzenie. - Jego twarz nie była na poziomie moich oczu.

- Pamięta pani jeszcze jakiś szczegół na jego temat?

- Kiedy szedł do windy i kiedy wsiadał, co chwilę patrzył na zegarek.

- Sprawdzał, ile mu zostało do ataku - zauważyła Sachs. - Ale włączył prąd wcześniej.

- Tylko o parę minut - odrzekł Rhyme. - Może się bał, że ktoś w budynku go rozpoznał. Chciał dokończyć dzieła i zniknąć. Prawdopodobnie monitorował sieć Algonquin i wiedział, że nie zdążą wyłączyć zasilania przed wyznaczoną godziną.

- Miał rękawiczki - ciągnęła Susan. - Beżowe. Ze skóry... Te akurat miałam na wysokości oczu. Pamiętam je, bo pomyślałam, że pewnie pocałował mi się rękę. W kabinie było gorąco.

- Miał jakiś napis na kombinezonie?

-Nie.

- Coś jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

- To chyba mało ważne, ale był niegrzeczny.

- Niegrzeczny?

- Kiedy wsiadał do windy, popchnął mnie i w ogóle nie przeprosił.

- Dotknął pani?

- Mnie nie. - Ruchem głowy pokazała w dół. - Dotknął wózka. Było dość ciasno.

- Mel!

Głowa technika obróciła się w ich stronę.

- Susan, czy pozwoliłaby nam pani zbadać to miejsce na wózku? - poprosił Rhyme.

- Ależ oczywiście.

Cooper przez lupę uważnie obejrzał wskazany przez nią bok wózka. Rhyme nie widział dokładnie, co znalazł, ale technik ze śrub łączących elementy oparcia zdjął dwie drobiny.

- Co to?

- Włókna. Ciemnozielone i brązowe. - Cooper obejrzał je pod mikroskopem, po czym znalazł podobne włókna w komputerowej bazie danych. - Bawełna, bardzo wytrzymała. Być może wojskowa, z nadwyżek armii.

- Wystarczy do testu?

- W zupełności. - Technik i Sachs zbadali część każdego włókna w chromatografii gazowej, sprzężonej ze spektrometrem masowym.

Wreszcie czekający niecierpliwie Rhyme usłyszał:

- Są wyniki! - Z maszyny wysunął się wydruk i Cooper zaczął go czytać. - Na zielonym włóknie znowu paliwo lotnicze. Ale coś jeszcze. Na brązowym są ślady oleju napędowego. I znowu te chińskie rośliny.

- Olej napędowy - zamyślił się Rhyme. - Może to wcale nie lotnisko. Może planuje zamach na rafinerię.

- To by był koszmar - powiedział Cooper.

Na pewno.

- Sachs, dzwoń do Gary'ego Noble'a. Powiedz mu, że trzeba wzmocnić środki bezpieczeństwa w portach. Szczególnie w rafineriach i na tankowcach.

Chwyliła telefon.

- Meł, dopisz to wszystko na tablicy.

Miejsce zdarzenia: biurowiec na 54. Zachodniej 235

Ofiary (śmiertelne):

Larry Fishbein, Nowy Jork, księgowy Robert Bodine,
Nowy Jork, prawnik Franklin Tucker, Paramus, New
Jersey, pośrednik handlowy Ślad linii papilarnych
Raymonda Galta

Kabel Benningtona i śruby widelkowe, takie same jak w poprzednich miejscach Dwa wyłączniki ze zdalnym przekaźnikiem własnej roboty: Jeden do odłączenia zasilania windy Jeden do zamknięcia obwodu w kabinie windy Śruby i mniejsze przewody, łączące kasetę z kabiną windy, źródło pochodzenia nie do ustalenia

Ofiary miały wodę na butach Ślady:

Chińskie rośliny lecznicze, żeń-szeń i jagoda licyjska
Sprężyna włosowa (plan użycia w następnych
zamachach urządzenia czasowego
zamiast zdalnego włącznika?)
Ciemnozielone włókno z wytrzymałej bawełny
Zawierające ślady paliwa i biopaliwa lotniczego
Zamach na bazę wojskową?
Ciemnobrązowe włókno z wytrzymałej bawełny
Zawierające ślady oleju napędowego
Zawierające chińskie rośliny lecznicze

Profil

Zidentyfikowany jako Raymond Galt, 40 lat, samotny,
zamieszkały na Manhattanie, Suffolk Street 227
Powiązania z terroryzmem? Z organizacją
„Sprawiedliwość dla Ziemi”? Podejrzana grupa
ekoterrorystyczna? Brak profilu w krajowych i
międzynarodowych bazach danych. Nowa?
Podziemna? Udział kogoś o imieniu Rahman. Także
Johnston. Zaszyfrowane informacje o nakładach
pieniężnych, przepływach osób i czymś „dużym”

Możliwy związek z nielegalnym wejściem do budynku podstacji Algonquin w Filadelfii
Trafienia SIGINT: kryptonim „artykuły papiernicze”
oznaczający broń (palną, materiały
wybuchowe?) Udział mężczyzny i kobiety Rola Galta
nieznana

Cierpi na nowotwór: obecność winblastyny i prednizonu w
znacznych ilościach, ślady
etopozydu. Białaczka Gait uzbrojony w pistolet
wojskowy Colt M1911, kaliber .45 Uduje pracownika
technicznego w ciemnobrązowym kombinezonie. Może
też ciemnozielonym? Nosi beżowe skórzane rękawiczki

Cooper posegregował dowody i podpisał karty
ewidencyjne, podczas gdy Sachs rozmawiała z
Departamentem Bezpieczeństwa o potencjalnym
zagrożeniu portów w Nowym Jorku i New Jersey.

Rhyme i Susan Stringer zostali sami. Patrząc na
tablicę, Rhyme czuł na sobie badawcze spojrzenie
kobiety. Z niepokojem zwrócił się w jej stronę, próbując
wymyślić sposób, jak skłonić ją do wyjścia. Przyszła,
pomogła, poznała słynnego policjanta. Czas wrócić do
swoich zajęć.

- Ma pan uraz na poziomie C4? - zapytała Susan.

Oznaczało to, że rdzeń kręgowy został uszkodzony w
okolicy

czwartego kręgu szyjnego, cztery kości od podstawy
czaszki.

- Tak, chociaż potrafię trochę poruszać dłońmi. Nie
mam czucia. Formalnie rzecz biorąc, jego uraz był
„całkowity”, czyli Rhyme

zupełnie stracił funkcje sensoryczne poniżej
uszkodzonego miejsca (pacjenci „niecałkowici” mogli
zachować znaczną zdolność moto- ryczną). Ale ludzkie
ciało miewa swoje dziwactwa, więc kilka impulsów
elektrycznych pokonało barykadę. Instalacja była
uszkodzona, lecz nie do końca przerwana.

- Jest pan w bardzo dobrej formie - zauważyła. - Mam na myśli mięśnie.

Ponownie kierując wzrok na tablice, odparł w roztargnieniu:

- Codziennie mam ćwiczenia ruchowe i elektrostymulację funkcjonalną, żeby utrzymać napięcie mięśniowe.

Rhyme musiał przyznać, że lubi tę gimnastykę. Wyjaśnił, że ćwiczy na bieżni do treningu lokomotorycznego i rowerze ergometrycznym. Wprawdzie to sprzęt poruszał nim, a nie odwrotnie, ale to dzięki niemu zwiększyła się masa mięśni Rhyme'a i prawdopodobnie wróciła częściowa zdolność poruszania prawą dłonią, podczas gdy po wypadku funkcjonował tylko serdeczny palec lewej ręki.

Był teraz w lepszej formie niż przed urazem.

Powiedział o tym Susan, której wyraz twarzy świadczył, że świetnie go rozumie. Naprężyła mięśnie.

- Zaproponowałabym, żebyśmy spróbowali się na ręce, ale...

Z ust Rhyme'a wyrwał się serdeczny śmiech.

Nagle twarz jej spoważniała i Susan rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś ich może słyszeć. Kiedy się upewniła, że nikt, odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

- Lincoln, wierzysz w przeznaczenie?

Rozdział 53

świecie niepełnosprawnych panuje pewien duch
Wsolidarności.

Niektórzy pacjenci przyjmują postawę „kompanii braci” - my i oni. Lepiej z nami nie zadzieraj. Inni stawiają na serdeczność. Jeżeli chcesz się komuś wypłakać w mankiet, wal jak w dym. Przecież ty i ja jesteśmy towarzyszami niedoli, przyjacielu.

Lincoln Rhyme nie miał jednak czasu ani na jedno, ani na drugie. Był kryminalistyką, którego ciało

zrządzeniem losu nie funkcjonowało tak, jakby sobie życzył. Podobnie Amelia Sachs była policjantką cierpiącą na artretyzm, zakochaną w szybkich samochodach i broni palnej.

Rhyme nie patrzył na siebie przez pryzmat niepełnosprawności. Uważał swój stan za sprawę drugorzędną. Wśród inwalidów byli ludzie sympatyczni i dowcipni, ale także nieznośni idioci. Rhyme oceniał każdego indywidualnie, jak wszystkich innych.

Uważał Susan Stringer za niezwykle miłą kobietę i szanował jej odwagę, ponieważ zjawiła się tu, zamiast zostać w domu, lizać rany i rozczulać nad własną traumą. Ale nie łączyło ich nic poza uszkodzeniem rdzenia kręgowego, a Rhyme myślami był z powrotem przy sprawie Galta; podejrzewał, że Susan miał wkrótce spotkać srogi zawód, kiedy się przekona, że sławny kryminalistyk kaleka, którego chciała poznać, ma dla niej niewiele czasu.

I jako żywo nie był osobą, z którą można rozmawiać o przeznaczeniu.

- Nie - odpowiedział. - Prawdopodobnie nie w tym sensie, o jakim myślisz.

- Mam na myśli sytuację, która wygląda na zbieg okoliczności, ale która tak naprawdę miała się zdarzyć.

- W takim razie nie wierzę - potwierdził.

- Tak sądziłam. - Uśmiechała się. - Ale dobra wiadomość dla ludzi takich jak ty jest taka, że są ludzie tacy jak ja, którzy wierzą w przeznaczenie. Wydaje mi się, że nie bez powodu znalazłam się w tej windzie, a teraz jestem tutaj. - Uśmiech przerodził się w śmiech. - Nie musisz się obawiać. Nie zamierzam cię prześladować. - Szepcem dodała: - Nie chodzi mi o datek... ani o twoje ciało. Jestem szczęśliwą żoną i widzę, że jesteście razem z detektyw Sachs. Nic z tych rzeczy. Chodzi wyłącznie o ciebie.

Już miał... choć właściwie nie był pewien, co zamierzał zrobić. Chciał tylko, żeby wyszła, ale nie bardzo wiedział, jak to zaaranżować. Z wahaniem uniósł pytająco brew.

- Słyszałeś o Centrum Urazów Rdzenia Kręgowego Pembroke w Lexington? - zapytała.

- Chyba tak. Nie jestem pewien. - Wiecznie dostawał informacje o rehabilitacji, produktach i najnowszych wiadomościach medycznych dla pacjentów z urazem rdzenia kręgowego. Przestał zwracać szczególną uwagę na zalew materiałów; nawał pracy dla FBI i policji znacznie ograniczał jego czas na dodatkową lekturę, a tym bardziej na uganianie się po kraju w poszukiwaniu nowych terapii.

- Uczestniczyłam w kilku tamtejszych programach - ciągnęła Susan. - Parę osób z mojej grupy wsparcia URK też.

Grupa wsparcia URK. Ogarnęło go przygnębienie. Wiedział, co się święci.

Ale znów wyprzedzała go o krok.

- Nie obawiaj się, nie zamierzam cię prosić, żebyś się do nas przyłączył. Chyba nie nadawałbyś się na członka.

- W jej oczach błysnęły wesołe iskierki. - Członka czegokolwiek.

- Rzeczywiście.

- Proszę tylko, żebyś mnie wysłuchał.

- To mogę zrobić.

- Pembroke to przełom w leczeniu urazów rdzenia. Robią tam dosłownie wszystko.

Opracowano wiele obiecujących metod pomocy osobom z dużym stopniem niepełnosprawności, ale były trudności w ich finansowaniu. Mimo że chodziło o ciężkie urazy, których skutki pozostawały na całe życie, to w porównaniu z innymi schorzeniami poważne problemy z rdzeniem kręgowym były stosunkowo rzadkie. Co oznaczało, że pieniądze rządowe i prywatne trafiały gdzie indziej, na opłacanie zabiegów i leków, które mogły pomóc większej liczbie ludzi. Dlatego większość metod,

które mogły dać pacjentom nadzieję na znaczną poprawę stanu, pozostawała w fazie eksperymentów i nie była oficjalnie zatwierdzona w kraju.

Niektóre badania przyniosły nadzwyczajne wyniki. W laboratoriach szczury z uszkodzonym rdzeniem kręgowym naprawdę z powrotem nauczyły się chodzić.

- Mają oddział nagłych przypadków, ale nam oczywiście w niczym nie pomoże.

Aby zminimalizować skutki spowodowane uszkodzeniem rdzenia kręgowego, trzeba jak najszybciej po wypadku podać leki, które zapobiegają obrzękowi i późniejszej śmierci komórek nerwowych w uszkodzonym obszarze. Jest na to jednak bardzo niewiele czasu, który zwykle liczy się w godzinach, a najwyżej w dniach po wypadku.

Jako pacjenci weterani Rhyne i Susan Stringer mogli skorzystać jedynie z metod naprawy uszkodzenia, które zawsze zderzały się z nierozwiązywalnym problemem: komórki centralnego układu nerwowego - w mózgu i rdzeniu kręgowym - nie regenerują się tak jak skaleczona skóra na palcu.

Tę bitwę codziennie toczyli lekarze zajmujący się urazami rdzenia kręgowego i badacze, a Centrum Pembroke walczyło na pierwszej linii. Susan opisywała imponujący wachlarz metod oferowanych przez centrum. Tamtejsi specjaliści wykorzystywali komórki macierzyste, tworzyli połączenia nerwowe - używając nerwów układu obwodowego (spoza rdzenia kręgowego, które potrafią się regenerować) - i stosowali terapię farmakologiczną, wspomagającą regenerację. Budowali nawet bezkomórkowe „mosty” wokół uszkodzonego miejsca, które miały przewodzić impulsy nerwowe między mózgiem a mięśniami.

Centrum dysponowało również dużym oddziałem protetycznym.

- To niesamowite - mówiła Susan. - Widziałam film o paragle- giczce, której wszczepiono komputerowy układ

sterujący i mnóstwo przewodów. Potrafiła prawie normalnie chodzić.

Rhyme patrzył na odcinek kabla Benningtona, którego Galt użył do pierwszego zamachu.

Przewody...

Opisała coś, co nazwano systemem „Freehand” i podobne techniki, polegające na wszczepieniu do rąk stymulatorów i elektrod. Wzruszając ramionami albo poruszając w określony sposób szyją, pacjent mógł wywołać skoordynowane ruchy ramienia i dłoni. Według relacji Susan, niektórzy tetraplegicy potrafili nawet samodzielnie jeść.

- To w niczym nie przypomina oszustw różnych szarlatanów i pseudolekarzy, żerujących na zdesperowanych ludziach. - Susan ze złością opowiedziała o pewnym doktorze w Chinach, który za dwadzieścia tysięcy dolarów wiercił pacjentom dziury w głowie i kręgosłupie, by wszczepić tam tkanki embrionów. Terapia, rzecz jasna, nie przyniosła żadnych dostrzegalnych efektów - poza narażeniem pacjenta na ryzyko śmierci, powikłań i bankructwa.

Susan dodała, że personel Centrum Pembroke pochodzi z najlepszych uczelni medycznych na całym świecie.

Nadzieje były realistyczne - czyli skromne. Tetraplegik taki jak Rhyme nie będzie chodzić, ale mógł liczyć na poprawę funkcjonowania płuc, być może na odzyskanie zdolności poruszania innymi palcami, a co najważniejsze - na odzyskanie kontroli nad pęcherzem i pracą jelit. To z kolei pomogłoby zmniejszyć ryzyko wystąpienia ataków dysrefleksji autonomicznej - skoków ciśnienia krwi, które mogły prowadzić do udaru i w konsekwencji do jeszcze większej niepełnosprawności. Albo śmierci.

- To mi bardzo pomogło. Myślę, że za kilka lat znowu będę mogła chodzić.

Rhyme kiwał głową. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie pracuję dla nich. Nie jestem rzeczniczką praw niepełnosprawnych. Jestem redaktorką, której przydarzyła się paraplegia. - Rhyme uśmiechnął się lekko, słysząc echo własnych słów. Susan ciągnęła: - Ale gdy detektyw Sachs wspomniała, że z tobą pracuje, pomyślałam sobie, to przeznaczenie. Było mi pisane tu przyjść i opowiedzieć o Pembroke. Naprawdę mogą ci pomóc.

- Jestem... wdzięczny.

- Oczywiście czytałam o tobie. Zrobiłeś dla miasta wiele dobrego. Może przyszedł czas zrobić coś dla siebie.

- To skomplikowane. - Nie miał pojęcia, co to miało znaczyć ani dlaczego to powiedział.

- Wiem, boisz się ryzyka. I nic dziwnego.

Rzeczywiście, operacja byłaby bardziej niebezpieczna dla niego niż dla niej. Mając uraz na poziomie C4, był narażony na powikłania w postaci problemów z ciśnieniem krwi, oddychaniem i infekcjami. Pytanie tylko, czy warto? Przed kilku laty był bliski poddania się operacji, ale plany pokrzyżowała mu pewna pilna sprawa. Dlatego odłożył na później wszelkie zabiegi medyczne tego rodzaju.

Ale teraz? Zastanawiał się: czy jego życie wygląda tak, jak by sobie tego życzył? Oczywiście, że nie. Był jednak zadowolony. Kochał Sachs, a ona jego. Żył swoją pracą. Nie miał ochoty rzucać tego wszystkiego w imię nierealistycznego marzenia.

Choć zwykle nie puszczał pary z ust na temat własnych uczuć, powiedział o tym Susan Stringer, która zrozumiała.

A potem, zaskakując sam siebie, dodał coś, co mówił bardzo niewielu ludziom:

- Mam wrażenie, że jestem przede wszystkim umysłem. Tam mieszkam. I czasem myślę, że to jeden z powodów, dla których jestem takim kryminalistyką, jakim jestem. Nic mnie nie rozprasza. Moja siła pochodzi

z niepełnosprawności. Gdybym miał się zmienić, gdybym stał się „normalny”, czy to wpłynęłoby na mnie jako eksperta kryminalistyki? Nie wiem. Ale nie chcę ryzykować i sprawdzać.

Susan zamyśliła się nad jego słowami.

- Ciekawa myśl. Ale wydaje mi się, że to pretekst. Podpierasz się tym jak kulą, żeby uniknąć ryzyka.

Rhyme docenił jej szczerość. Lubił nazywać rzeczy po imieniu. Wskazał głową swój wózek.

- Kula w moim przypadku to byłby duży krok naprzód. Roześmiała się.

- Cieszę się, że usłyszałem twoje zdanie - dodał, czując, że powinien to powiedzieć, a Susan znów utkwiała w nim znaczące spojrzenie. Mniej go już irytowało, lecz nadal wprawiało w zakłopotanie.

Cofnęła się z wózkiem i oznajmiła:

- Misja wykonana.

Zmarszczył brwi.

- Znalazłam ci dwa włókna, których byś nie miał, gdyby nie ja - powiedziała Susan. Uśmiechnęła się. - Żałuję, że tylko dwa. - Znów spojrzała na Rhyme'a. - Ale czasem drobiazgi potrafią wszystko zmienić. Powinnam już iść.

Sachs podziękowała jej, a Thom odprowadził kobietę do drzwi.

Po jej wyjściu Rhyme rzekł:

- To była zasadzka, zgadza się?

- W pewnym sensie - przytaknęła Sachs. - I tak musieliśmy ją przesłuchać. Kiedy zadzwoniłam, żeby się z nią umówić, zaczęłyśmy rozmawiać. Usłyszała, że z tobą pracuję, i chciała mi zareklamować te nowe terapie. Powiedziałam jej, że będzie mogła opowiedzieć wszystko samemu prezesowi.

Rhyme posłał jej przelotny uśmiech.

Który po chwili zniknął, gdy Sachs przykucnęła obok niego i powiedziała cicho, by nie słyszał jej Mel Cooper:

- Nie chcę, żebyś był inny, niż jesteś, Rhyme. Ale chcę mieć pewność, że jesteś zdrowy. Tylko to się dla mnie liczy. Będzie, jak zdecydujesz.

Rhyme przypomniał sobie tytuł broszurki, którą zostawił mu doktor Kopeski z organizacji Umrzeć z Godnością.

Wybór.

Sachs pochyliła się i pocałowała go. Poczuł, że jej dłoń dotyka jego głowy, ale trochę za mocno jak na czuły gest.

- Mam temperaturę? - zapytał z uśmiechem, ciesząc się, że ją przytępał.

- Wszyscy mamy jakąś temperaturę, Rhyme. Nie wiem tylko, czy masz gorączkę, czy nie. - Jeszcze raz go pocałowała. - Idź się prześpij. Mel i ja jeszcze trochę posiedzimy. Niedługo też przyjdę się położyć. - Wróciła do znalezionych dowodów.

Rhyme wahał się przez chwilę, ale uznał, że jest zbyt zmęczony, by w jakikolwiek sposób im pomóc. Wjechał do windy, gdzie zaraz dołączył do niego Thom, i miniaturowa kabina ruszyła w górę. Pot wciąż perlił mu się na czole i czuł, że ma rozpalone policzki. Symptomy dysrefleksji. Nie bolała go jednak głowa i nie miał charakterystycznego uczucia poprzedzającego atak. Thom przygotował go do snu i dokonał wieczornych zabiegów. Ciśnieniomierz i termometr leżały pod ręką.

- Trochę wysokie - rzekł opiekun o ciśnieniu. Co do drugiego parametru, okazało się, że Rhyme jednak nie ma gorączki.

Thom płynnie przetransportował go na łóżko, a Rhyme odtworzył w pamięci uwagę Sachs sprzed kilku minut. *Wszyscy mamy jakąś temperaturę, Rhyme...* Przyszło mu na myśl, że obiektywnie rzecz biorąc, to prawda. Wszyscy mamy jakąś temperaturę. Nawet martwi.

Rozdział 54

budził się gwałtownie z jakiegoś snu.

D próbował go sobie przypomnieć. Za mało pamiętał, by wiedzieć, czy to był zły sen, czy po prostu dziwny. Na pewno wyrazisty. Najprawdopodobniej jednak zły, bo obficie się pocił, jak gdyby szedł przez halę turbin w Algonquin Consolidated.

Dochodziła północ, o czym poinformowało go blade światło elektronicznego budzika. Spał krótko, więc był półprzytomny; dopiero po chwili zorientował się, gdzie jest.

Po zamachu na hotel pozbył się kombinezonu, kasku i torby z narzędziami, ale zatrzymał jeden element swojego ekwipunku, który wisiał na oparciu krzesła: identyfikator. Spojrzał na niego w przyćmionym odbitym świetle. Na swoją ponurą twarz na fotografii, wydrukowaną bezosobową czcionką napis „R. Gait”, a u góry, jakby bardziej przyjaznym krojem liter:

ALGONQUIN CONSOLIDATED POWER
NAPEŁNIAMY TWOJE ŻYCIE ENERGIA™

Paradoksalny slogan, zważywszy na to, co robił przez kilka ostatnich dni.

Wyciągnął się na wznak i wbił wzrok w odrapany sufit mieszkania w East Village, za które płacił co tydzień. Wynajął je pod fałszywym nazwiskiem, wiedząc, że policja prędzej czy później znajdzie ten adres.

Okazało się, że prędzej.

Odrzucił pościel. Miał ciało lepkie od
potu.

Myślał o przewodnictwie ludzkiego ciała. Opór naszych oślizłych organów wewnętrznych może wynosić zaledwie 85 omów, były więc wyjątkowo podatne na prąd. Mokra skóra - tysiąc albo mniej. Ale sucha skóra ma opór rzędu stu tysięcy omów lub więcej. To tyle, że potrzeba naprawdę wysokiego napięcia, by przez ciało przepłynął prąd, zwykle około dwóch tysięcy voltów.

Pot znacznie ułatwia sprawę.

Jego skóra schła i stygła, a jej opór elektryczny rósł.

Przeskakiwał myślami z tematu na temat: myślał o swoich planach na jutro, zastanawiał się, jakich napięć należy użyć, jak podłączyć się do linii. Myślał o ludziach, z którymi pracował. I o ludziach, którzy go ścigali. O tej detektyw Sachs. Młodym Pułaskim. I oczywiście o Lincolnie Rhymie.

Potem przed oczami stanął mu zupełnie ktoś inny: chemicy z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, Stanley Miller i Harold Urey z Uniwersytetu Chicagowskiego. Przeprowadzili oni bardzo ciekawy eksperyment. W laboratorium stworzyli swoją wersję biologicznego prabulionu i atmosfery, która okrywała Ziemię miliardy lat temu. Mieszaninę wodoru, amoniaku i metanu poddali działaniu wyładowań elektrycznych, imitujących pioruny, które wówczas raziły Ziemię.

I co się stało?

Kilka dni później odkryli coś fascynującego: w próbkach były ślady aminokwasów, tak zwanych cegiełek życia.

Odkryli dowód wskazujący na to, że życie na Ziemi powstało za sprawą iskry elektrycznej.

Kiedy zegar pokazał północ, ułożył następny list z żadaniami do Algonquin i miasta Nowy Jork. Następnie, walcząc ze snem zasnu- wającym mu głowę, znów pomyślał o prądzie i paradoksie dziejów - to, co w trwającej milisekundę błyskawicy przed wielu laty stworzyło życie, jutro równie szybko je odbierze.

...tożsamość...
...związek...
...wzrost...
...ciężar...
...praca...
...życie...
...kochać...
...długość...

...związek...
...wzrost...
...ciężar...
...praca...
...życie...
...kochać...
...długość...

...związek...
...wzrost...
...ciężar...
...praca...
...życie...
...kochać...
...długość...

...związek...
...wzrost...
...ciężar...
...praca...
...życie...
...kochać...
...długość...

...związek...
...wzrost...
...ciężar...
...praca...
...życie...
...kochać...
...długość...

...związek...
...wzrost...
...ciężar...
...praca...
...życie...
...kochać...
...długość...

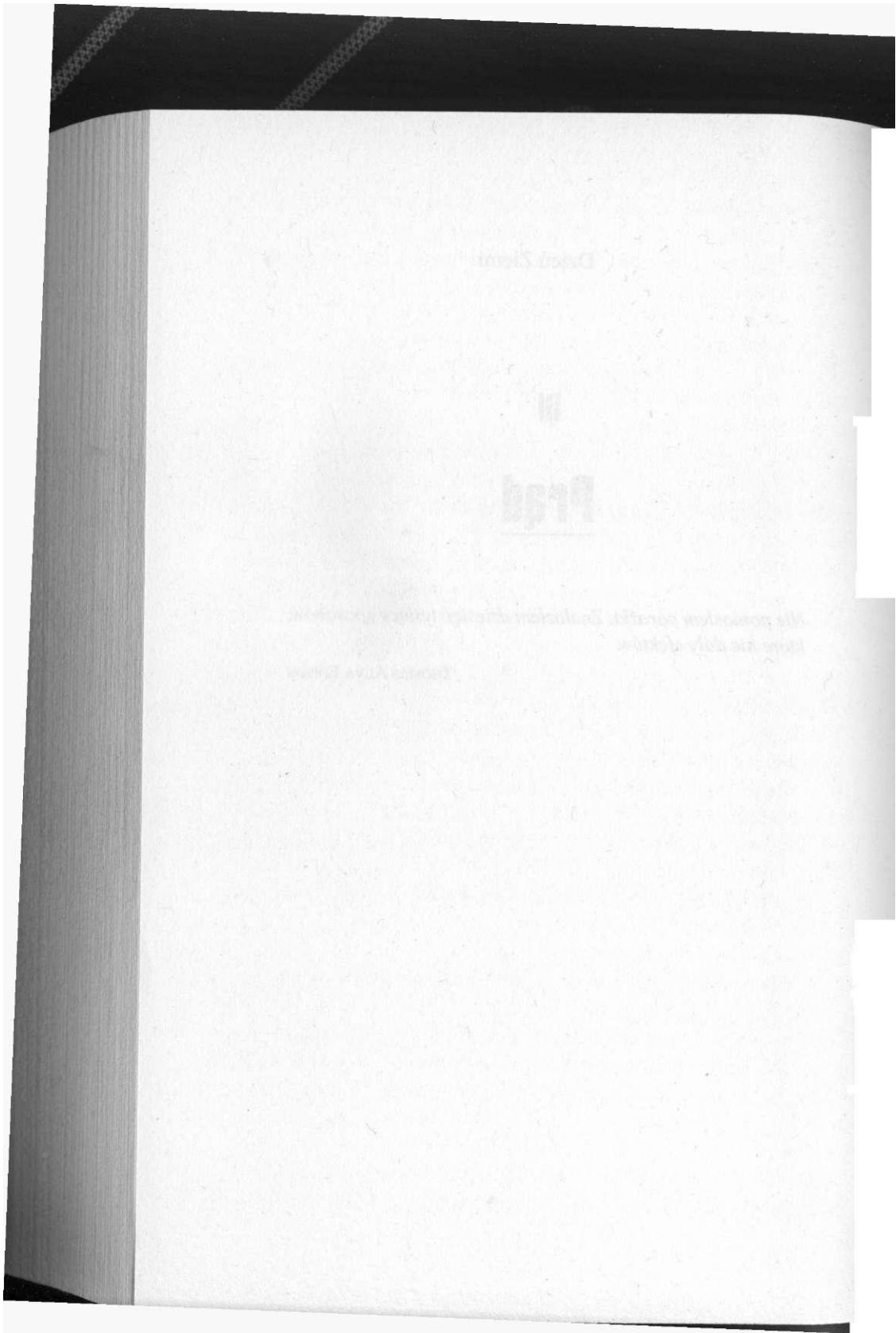
Dzień Ziemi

!

Prąd

Nie poniosłem porażki. Znalazłem dziesięć tysięcy sposobów, które nie dały efektów.

**THOMAS ALVA
EDISON**



Rozdział 55

o sygnale proszą zostawić wiadomość.

Siedząc w swoim brooklyńskim domu o wpół do ósmej rano, Fred Dellray popatrzył na telefon, po czym go zamknął. Nie chciało mu się zostawiać kolejnej wiadomości, po dwunastu, jakie wcześniej nagrał w poczcie głosowej „zimnego” numeru Williama Brenta.

Tkwiąc po uszy w gównie, pomyślał.

Istniało prawdopodobieństwo, że Brent nie żyje. Mimo że sformułowanie McDaniela było idiotyczne („układ symbiotyczny?”), to sama teoria niekoniecznie. Całkiem możliwe, że Ray Gait był wtyczką w Algonquin, zwerbowaną przez Rahmana i Johnstona i ich grupę „Sprawiedliwość dla Ziemi”, żeby pomóc im zaatakować przedsiębiorstwo energetyczne i sieć. Gdyby Brent natknął się na tę komórkę, zabiliby go w jednej chwili.

Ślepa, ograniczona polityka, pomyślał ze złością Dellray. Puste kalorie terroryzmu.

Ale Dellray działał w tej branży od dawna i przecucie mówiło mu, że William Brent żyje i ma się świetnie. Nowy Jork jest mniejszy, niż się ludziom wydaje, zwłaszcza jego ciemna strona. Dellray uruchomił mnóstwo innych kontaktów: zadzwonił do innych wtyczek i kilku tajnych agentów, których prowadził. Nikt nie miał wiadomości o Brennie. Nawet Jimmy Jeep nic nie wiedział - a miał powody, żeby ponownie wytropić Brenta, jeśli chciał sobie zapewnić poparcie Dellraya dla swoich planów marszu na Georgię. Nikt jednak nie słyszał o żadnym zleceniu. I żadni śmieciarze, stawiając kubeł przy śmieciarce, nie zostali zaskoczeni widokiem niezidentyfikowanych zwłok, tkwiących w cuchnącym sarkofagu.

Nie, uznał Dellray. Była tylko jedna odpowiedź i nie mógł jej dłużej ignorować: Brent zrobił go w cholernego balona.

Skontaktował się z Departamentem Bezpieczeństwa, żeby sprawdzić, czy informator- albo jako Brent, albo pod jednym z kilku pseudonimów - rezerwował bilet na samolot. Okazało się, że nie, lecz każda profesjonalna wtyczka wiedziała, gdzie kupić stuprocentowo pewne fałszywe dokumenty.

- Kochanie?

Dellray drgnął na dźwięk głosu i zobaczył w drzwiach Serenę trzymającą na rękach Prestona.

- Wyglądasz, jakby coś cię gryzło - powiedziała. Dellray wciąż nie mógł się nadziwić, że do złudzenia przypomina Jadę Pinkett Smith, aktorkę i producentkę. - Zanim się położyłeś, byłeś zamyślony, i kiedy się obudziłeś, dalej jesteś. Pewnie jak spałeś, też się czymś dręczyłeś.

Otworzył usta, żeby zbyć ją jakąś bajeczką, lecz po chwili rzekł:

- Chyba wczoraj dałem się wywalić.

- Co? - Na jej twarzy odmalował się szok. - McDaniel cię wywalił?

- Nie nadużywał słów - po prostu mi podziękował.

-Ale,...

- Czasem „dziękuję” znaczy tylko „dziękuję”. A czasem „pakuj manatki”... Powiedzmy, że chce mnie wykolegować.

- Chyba niepotrzebnie doszukujesz się w tym czegoś więcej.

- Ciągle zapomina zadzwonić do mnie z nowymi informacjami o sprawie.

- O sprawie sieci?

- Tak. Dzwoni Lincoln, dzwoni Lon Sellitto. Dzwoni do mnie asystentka Tuckera.

Dellray nie wspomniał o innej przyczynie swojej pochmurnej miny: prawdopodobnym oskarżeniu o kradzież stu tysięcy.

Bardziej niepokoił go jednak fakt, że naprawdę wierzył, iż William Brent miał solidny trop, dzięki któremu mogliby powstrzymać te straszne zamachy. Trop, który zniknął wraz z nim.

Serena podeszła, usiadła obok niego i podała mu Prestona, który z zapalem chwycił paluszkami długi kciuk Dellraya, odrobinę rozchmurzając ojca.

- Przykro mi, kochanie - powiedziała.

Dellray spojrział przez okno na skomplikowaną strukturę budynków i widoczny w oddali fragment kamiennej konstrukcji mostu Brooklyńskiego. Na myśl przyszedł mu urywek wiersza Walta Whitmana „Przeprawiam się promem brooklyńskim”.

Moje najlepsze uczynki zdały mi się czcze i podejrzone;

Myśli, które miałem za wielkie, czyż w istocie nie były nędzne?

Te słowa dotyczyły także jego. Maską Freda Dellraya: elegant, uparty twardziel z ulicy. Czasami myślący, częściej niż czasami myślący. A jeżeli się mylę?

Haczyk krył się jednak w pierwszych wersach następnej strofy wiersza Whitmana:

*Nie tylko wy wiecie, co znaczy być niegodziwym;
To ja wiem, co znaczy być niegodziwym...*

- Co mam robić? - zastanawiał się.

Sprawiedliwość dla Ziemi...

Z żalem przypomniał sobie, jak odrzucił propozycję uczestnictwa w konferencji na temat wywiadu satelitarnego i informatycznego oraz analizy danych

wywiadowczych. W notatce podano jej tytuł, „Kierunek przyszłości”.

Dellray, zdeklarowany zwolennik Ulicy, powiedział wtedy: „Oto kierunek przyszłości”, po czym zmiął notatkę i rzutem za trzy punkty umieścił w koszu na śmieci.

- Czyli jesteś... w domu? - spytała Serena, wycierając Prestonowi buzię. Chłopczyk zachichotał i zaczął się domagać więcej. Spełniła jego prośbę i połaskotała go.

- Miałem swój punkt zaczepienia w sprawie. I zniknął. Właściwie sam go zgubiłem. Zaufałem komuś, komu nie powinienem ufać. Wypadłem z gry.

- Informator? Wystawił cię do wiatru?

Był o krok od powiedzenia jej o stu tysiącach. Ale nie zrobił tego kroku.

- Uciekł i zginął - mruknął Dellray.

- Uciekł i zginął? - Twarz Sereny przybrała wyraz teatralnej powagi. - Chcesz powiedzieć, że nie tylko zbiegł, ale i zniknął?

Agent nie mógł dłużej powstrzymać uśmiechu.

- Korzystam tylko z wyjątkowo utalentowanych informatorów. - Spoważniał. - Przez dwa lata ani razu nie zaważył raportu ani umówionego telefonu.

Oczywiście przez te dwa lata ani razu nie zapłaciłem mu z góry.

- No to co zamierzasz zrobić? - zapytała Serena.

- Nie wiem - odparł szczerze.

- Wobec tego mógłbyś wyświadczyć mi przysługę.

- Raczej tak. O co chodzi?

- O te rzeczy w piwnicy. Chciałeś je uporządkować, prawda?

W pierwszym odruchu Fred Dellray chciał powiedzieć: „Chyba żartujesz”. Ale zaraz pomyślał o sprawie Galta, w której nie miał już żadnego tropu, więc trzymając dziecko na biodrze, wstał i ruszył za nią po schodach.

Rozdział 5fi

on Pułaski wciąż słyszał ten dźwięk. Głuchy łomot, a potem trzask.

Och, ten trzask. Potworny.

Wrócił myślą do pierwszej sprawy, przy której pracował z Lincolnem i Amelią: gdy przez własną nieostrożność dostał w głowę jakąś pałką czy kijem bejsbolowym. Wiedział o tym incydencie, choć nic z niego nie pamiętał. Zwykła nieostrożność. Skręcił za róg, nie sprawdzając, gdzie może się znajdować podejrzany, i facet porządnie go rąbnął.

Z powodu tamtych obrażeń często się bał, czuł się dezorientowany i tracił głowę. Starał się nad tym panować - próbował z całych sił - choć uraz wciąż się odzywał. Doszło jednak do czegoś gorszego - co innego przez własną nieuwagę skręcić za róg zamiast zachować ostrożność, a co innego popełnić błąd i skrzywdzić drugiego człowieka.

Pułaski zaparkował radiowóz przed szpitalem. To był inny samochód - tamten został skonfiskowany w celu zabezpieczenia śladów. Gdyby ktoś pytał, zamierzał powiedzieć, że przyjechał odebrać zeznania od kogoś, kto mieszkał niedaleko sprawcy zamachów terrorystycznych na sieć energetyczną.

Próbują ustalić miejsce pobytu podejrzanego...

Mniej więcej coś takiego mówili do siebie razem z bratem bliźniakiem, który też był gliną, i pękali ze śmiechu. Tym razem jednak sytuacja nie była zabawna. Bo Pułaski wiedział, że człowiek, którego potrafił i którego ciało runęło z głuchym łomotem na bruk i którego czaszka wydała ten okropny trzask, był tylko niewinnym przechodniem.

Gdy wchodził do szpitala, w którym panowała gorączkowa bieganina, ogarnęła go fala paniki.

A jeżeli go zabił?

Przypuszczał, że postawią mu zarzut spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Albo nieumyślnego zabójstwa.

To może oznaczać koniec jego kariery.

Gdyby nawet nie został oskarżony, gdyby nawet prokurator był skłonny umorzyć sprawę, Pułaskiego mogła pozwać rodzina ofiary. A gdyby ten człowiek skończył tak jak Lincoln Rhyme - został sparaliżowany? Czy departament policji jest ubezpieczony od takich wypadków? Ze swojej polisy na pewno nie mógłby zapłacić za żadną dożywotnią opiekę. Czy ofiara mogłaby pozwać Pułaskiego i oskubać co do grosza? On i Jenny musieliby pracować przez resztę życia na spłatę wyroku sądu. Dzieci być może nie mogłyby pójść do college'u; fundusz, na który zaczęli wpłacać skromne sumy, zniknąłby bez śladu.

- Przyszedłem porozmawiać ze Stanleyem Palmerem - poinformował dyżurną za biurkiem. - Z wczorajszego wypadku samochodowego.

- Oczywiście. Jest na sali czterysta dwa.

W mundurze, niezatrzymywany przez nikogo, minął kilkoro drzwi, dopóki nie odnalazł sali.

Przystanął przed nią, zbierając się na odwagę. A jeżeli w środku siedzi cała rodzina Palmera? Żona i dzieci? Intensywnie myślał, co miałby wtedy powiedzieć.

Słyszał jednak tylko *tup*. A potem *trach*.

Ron Pułaski głęboko nabrał powietrza i wkroczył na salę. Palmer był sam. Leżał nieprzytomny, podłączony do przerażającej liczby przewodów i rurek, obstawiony sprzętem elektronicznym równie skomplikowanym jak urządzenia w laboratorium Lincolna Rhyme'a.

Rhyme...

Ależ zawód sprawił swojemu szefowi! Człowiekowi, który zainspirował go do decyzji, by pozostać w służbie, bo Rhyme zrobił to samo po swoim wypadku. Człowiekowi, który dawał mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Lincoln Rhyme w niego wierzył.

Co ja narobiłem?

Pułaski patrzył na Palmera, który leżał zupełnie nieruchomo - bardziej nawet niż Rhyme, ponieważ żadna część ciała pacjenta się nie poruszała, z wyjątkiem płuc, choć nawet linie na monitorze zachowywały się dość leniwie. Pułaski zapytał przechodzącej pielęgniarki:

- Jak on się czuje?

- Nie wiem - odparła z wyraźnym obcym akcentem, którego nie potrafił rozpoznać. - Musi pan... no, porozmawiać z lekarzem.

Przypatrzawszy się nieruchomej sylwetce Palmera, Pułaski uniósł wzrok i ujrzał mężczyznę w średnim wieku, nieokreślonej rasy, ubranego w niebieski strój chirurga. Na piersi miał wyhaftowany przed nazwiskiem skrót „dr n. med.". Zapewne znów widok munduru sprawił, że lekarz udzielił Pułaskiemu informacji, których nie ujawniłby nikomu obcemu. Palmer przeszedł operację z powodu rozległych obrażeń wewnętrznych. Był w śpiączce i na razie trudno było określić, jakie są rokowania.

Wyglądało na to, że nie ma w okolicy żadnej rodziny. Był samotny. W Oregonie mieszkali jego rodzice i brat, z którymi już się skontaktowano.

- Brat - powtórzył szeptem Pułaski, myśląc o swoim bracie bliźniaku.

- Zgadza się. - Nagle lekarz opuścił trzymaną w ręku kartę pacjenta i zerknął na młodego policjanta. Po chwili powiedział z porozumiewawczym spojrzeniem: - Nie przyszedł pan go przesłuchiwać. Ta wizyta nie ma nic wspólnego ze śledztwem. Proszę przyznać.

- Co...? - zaniepokojony Pułaski nie potrafił wykrztusić ani słowa więcej.

Twarz doktora rozjaśnił życzliwy uśmiech.

- Zdarza się. Niech się pan tym nie martwi.

- Zdarza się?

- Długo już pracuję na izbie przyjęć w mieście. Starzy policjanci nigdy nie przychodzą z wizytą do ofiary, zawsze tylko młodzi.

- Naprawdę nie. Chciałem się upewnić, czy może złożyć zeznanie.

- Oczywiście... Ale mógł pan zadzwonić i spytać, czy jest przytomny. Niech pan nie gra twardziela. Ma pan dobre serce.

Które właśnie waliło jak młotem.

Wzrok lekarza spoczął na nieporuszonej postaci Palmera.

- Sprawca zbiegł z miejsca wypadku?

- Nie. Wiemy, kto był kierowcą.

- To dobrze. Zatrzymaliście drania. Mam nadzieję, że przysięgli nie będą mieli dla niego litości. - Powiedziawszy to, lekarz w poplamionym fartuchu wyszedł.

Pułaski zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek i kolejny raz magia munduru pozwoliła mu poznać adres i numer ubezpieczenia Palmera. Postanowił dowiedzieć się wszystkiego o nim, jego rodzinie i osobach na jego utrzymaniu. Nawet jeśli Palmer był samotny, to jako człowiek w średnim wieku mógł mieć dzieci. Pułaski postanowił, że do nich zadzwoni i spyta, czy przyda im się jakaś pomoc. Miał niewiele pieniędzy, ale chętnie służyłby wsparciem moralnym.

Przede wszystkim młody policjant chciał zrzucić z serca ciężar winy za cierpienie, jakie spowodował.

Pielęgniarka przeprosiła go i odwróciła się, by odebrać telefon.

Pułaski też się odwrócił, jeszcze szybciej, i zanim odszedł od stanowiska pielęgniarek, włożył ciemne okulary, aby nikt nie zobaczył też w jego oczach.

Rozdział 57

rótka po dziewiątej rano Rhyme poprosił Mela Coopera, Kżeby

włączył telewizor w laboratorium, ale bez fonii.

Ponieważ federalni zaczęli chyba bardziej opieszale dzielić się najświeższymi wiadomościami z policją, a w każdym razie z Rhyme'em, chciał mieć pewność, że jest na bieżąco.

Czy było lepsze źródło niż CNN?

Sprawa stała się oczywiście głównym tematem. Milion razy pokazano zdjęcie Galta i prawie tak samo często padała nazwa tajemniczej grupy ekoterrorystycznej „Sprawiedliwość dla Ziemi”. I cytowano antyekologiczne wypowiedzi Andi Jessen.

Ale większość czasu antenowego poświęconego sprawie Galta zajmowała lawina domysłów. A wielu prowadzących zastanawiało się, rzecz jasna, czy zamachy mają coś wspólnego z Dniem Ziemi.

Który także był tematem wielu reportaży. W mieście odbywały się liczne uroczystości: parada, akcja sadzenia drzewek przez dzieci, manifestacje, wystawa New Energy Expo w centrum kongresowym oraz ogromny wiec w Central Parku, na którym mieli wystąpić dwaj świetnie zapowiadający się senatorowie z Zachodu, należący do grupy kluczowych sojuszników prezydenta. Potem zaplanowano koncert kilku słynnych zespołów rockowych. W parku miała się zgromadzić blisko półmilionowa publiczność. W kilku materiałach była mowa o zwiększonych środkach bezpieczeństwa na wszystkich imprezach w związku z ostatnimi zamachami.

Gary Noble i Tucker McDaniel poinformowali Rhyme'a, że nie tylko wyznaczono do ochrony dwustu dodatkowych agentów i funkcjonariuszy policji, ale personel techniczny FBI współpracował z Algonquin, aby zabezpieczyć przed sabotażem wszystkie linie energetyczne w parku i wokół niego.

Unosząc głowę, Rhyme zobaczył wchodzącego do laboratorium Rona Pułaskiego.

- Gdzieś ty był, nowy?

- Hm... - Pokazał białą kopertę. - Wyniki DNA.

Był gdzie indziej - Rhyme domyślał się gdzie. Nie zamierzając jednak niczego dociekać, powiedział:

- To nie było najważniejsze. Wiemy, kim jest sprawca. Test będzie potrzebny na procesie, ale najpierw musimy go złapać.

- Jasne.

- Znalazłeś coś wczoraj u Galta?

- Sprawdziłem jeszcze raz wszędzie, Lincoln. Niestety, nic.

Przyjechał też Sellitto, bardziej wymięty niż zwykle. Był chyba

w tym samym ubraniu co poprzedniego dnia - w jasnoniebieskiej koszuli i granatowym garniturze. Rhyme przypuszczał, że spał w biurze. Detektyw pokrótce zrelacjonował rozwój sytuacji w centrum - sprawa przeciekła do świata public relations. Stawką mogły być polityczne kariery i choć instytucje lokalne, stanowe i federalne wysyłały ludzi na ulice i „koncentrowały wszystkie wysiłki”, równocześnie każda dyskretnie dawała do zrozumienia, że robi więcej niż inne.

Sadowiąc się w skrzypiącym wiklinowym fotelu, głośno siorbnął kawę i mruknął:

- Sęk tylko w tym, że nikt nie wie, jak przeprowadzić taką akcję. Mamy patrole, federalnych i Gwardię Narodową na lotniskach, w metrze i na stacjach kolejowych. W rafineriach i portach. Tankowce otaczają specjalne patrole portowe - chociaż nie mam zielonego pojęcia, jak mógłby zaatakować statek jakimś łukiem elektrycznym. Ludzie są na wszystkich podstacjach Algonquin...

-Nie zaryzykuje już ataku na podstację - burknął zrzędliwie Rhyme.

- Wiem. Wszyscy to wiedzą, ale nikt nie wie, gdzie dokładnie można się go spodziewać. Przecież to jest wszędzie.

-Co?

- Pieprzony prąd. Elektryczność. - Machnął ręką, pokazując najprawdopodobniej całe miasto. - W każdym domu. - Przyjrzał się gniazdkom w ścianie i dodał: - Przynajmniej nie ma nowych żądań. Chryste, wczoraj dwa listy w ciągu kilku godzin. Myślałem, że po prostu się wkurzył i tak czy inaczej postanowił zabić tych ludzi w windzie. - Gruby policjant westchnął. - Mówię wam, przez jakiś czas będę korzystał ze schodów. Można przynajmniej dbać o linię.

Przebiegając wzrokiem tablice dowodów, Rhyme musiał się zgodzić z konstatacją, że w tej sprawie dryfują. Galt był inteligentny, ale nie genialny, i zostawiał za sobą liczne ślady. Kłopot w tym, że donikąd nie prowadziły, wskazując tylko ogólnie cel jego ataków.

Lotnisko?

Skład ropy?

Lincoln Rhyme nie wykluczał jednak innej możliwości: może po prostu nie dostrzegam tropów, wyraźnych jak na dłoni.

Znów poczuł swędzący pot i nawrót lekkiego bólu głowy, który dręczył go ostatnio. Przez jakiś czas skutecznie go ignorował, ale ból wrócił. Tak, nie było wątpliwości, że czuł się gorzej. Czy to miało wpływ na jego zdolności umysłowe? Nie przyznałby się do tego przed nikim, nawet przed Sachs, że to była chyba najbardziej przerażająca myśl na świecie. Tak jak powiedział wczoraj w rozmowie z Susan Stringer, nie miał nic poza umysłem.

Uświadomił sobie, że patrzy na drzwi pokoiku po drugiej stronie korytarza. Leżała tam na stoliku broszura stowarzyszenia Umrzeć z Godnością doktora Arlena Kopeskiego.

Wybór...

Szybko odtrącił od siebie tę myśl.
W tym momencie Sellitto odebrał telefon, a słuchając, szybko odstawił kawę.
- Tak...? Gdzie? - Zapisał coś w wygniecionym notesie.
Wszyscy w pokoju wpatrywali się w niego z napięciem.
Nowe
żądania? - pomyślał Rhyme.
Rozległ się trzask zamykanego telefonu. Detektyw uniósł wzrok znad notatek.
- Dobra, może coś mamy. Zgłosił się człowiek z patrolu w centrum, niedaleko Chinatown. Podeszła do niego jakaś kobieta, która twierdzi, że chyba widziała naszego ptaszka.
- Galta? - spytał Pułaski.
- A interesuje nas ktoś inny, posterunkowy? - padła kwaśna odpowiedź.
- Przepraszam.
- Kobieta sądzi, że rozpoznała człowieka ze zdjęcia.
- Gdzie? - warknął Rhyme.
- Niedaleko Chinatown jest opuszczona szkoła. -
Sellitto podał adres.
Sachs zanotowała.
- Patrol sprawdził. Nikogo tam teraz nie ma.
- Ale jeżeli był, musiał coś po sobie zostawić - zauważył Rhyme.
Gdy lekko skinął głową, Sachs wstała.
- Idziemy, Ron.
- Lepiej weźcie ze sobą jakiś zespół. Może zostało nam paru gliniarzy, którzy nie pilnują bezpieczników i kabli w mieście - dodał cierpkim tonem Sellitto.
- Wyślij w rejon oddział ESU - powiedziała. - Niech będą w pobliżu, ale niewidoczni. Najpierw wejdziemy z Ronem sami. Jeżeli on tam jednak jest i trzeba go będzie zdjąć, dam znać. Ale jeżeli jest pusto, lepiej niech żaden zespół tam nie włązi, żeby nie schrzanić dowodów.
Oboje wyszli.

Sellitto zadzwonił do Bo Haumanna z jednostki antyterrorystycznej i przedstawił mu sytuację. Szef ESU miał zabrać ludzi do rejonu i koordynować akcję z Sachs. Detektyw rozłączył się i rozejrzał po pokoju, zapewne w poszukiwaniu czegoś do kawy. Znalazł przygotowany przez Thoma talerz ciastek. Chwycił drożdżowe z rodzynkami, zanurzył w kawie i zjadł. Nagle zmarszczył brwi.

- Co jest? - spytał Rhyme.

- Właśnie sobie uświadomiłem, że zapomniałem zadzwonić do McDaniela i federalnych, żeby im powiedzieć o akcji w Chinatown - w szkole. - Skrzywił się i teatralnym gestem uniósł telefon. - O, cholera, nie mogę. Nie zapłaciłem za kartę SIM do strefy cienia. Chyba będę musiał mu powiedzieć później.

Rhyme zaśmiał się, nie zwracając uwagi na piekący ból, który na chwilę przeszył mu głowę.

W tym momencie odezwał się jego telefon i zaraz zniknęła wesołość i ból.

Dzwoniła Kathryn Dance.

Jego palec z trudem przesunął się po panelu.

- Tak, Kathryn? Co się dzieje?

- Rozmawiam właśnie z Rodolfem - powiedziała. - Znaleźli cel Zegarmistrza.

Wspaniale, pomyślał, choć inny wewnętrzny głos mówił: dlaczego teraz? Uznał jednak, że Zegarmistrz jest najważniejszy, przynajmniej w tej chwili. Galtem zajęli się Sachs, Pułaski i kilkunastu funkcjonariuszy ESU. Kiedy ostatni raz miał okazję zająć się Zegarmistrzem, jego uwagę odciągnęło coś innego, a on tymczasem zabił swoją ofiarę i uciekł.

Nie tym razem. Tym razem Richard Logan nie umknie.

- Mów - poprosił agentkę CBI, zmuszając się do oderwania wzroku od tablic z dowodami.

Usłyszał trzask.

- Rodolfo - powiedziała Dance. - Na linii jest Lincoln. Zostawiam was, muszę porozmawiać z TJ-em.

Pożegnali ją.

- Witam, kapitanie.

- Co pan ma, komendancie?

- Arturo Diaz ma czterech ludzi pod przykryciem w kompleksie biurowym, o którym panu mówiłem. Jakies dziesięć minut temu Zegarmistrz przebrany za biznesmena wszedł do budynku. Z holu zadzwonił z automatu do firmy na szóstym piętrze - po drugiej stronie od miejsca, gdzie był wczoraj alarm pożarowy, właśnie tak, jak pan przypuszczał. W środku spędził mniej więcej dziesięć minut, a potem wyszedł.

- Zniknął? - zaniepokoił się Rhyme.

- Nie. Jest teraz w małym parku między dwoma głównymi budynkami kompleksu.

-1 co, po prostu tam siedzi?

- Na to wygląda. Kilka razy rozmawiał z kimś przez komórkę. Ale Arturo twierdzi, że korzysta z nietypowej częstotliwości albo rozmowy są szyfrowane, więc nie możemy nic przechwycić.

Rhyme przypuszczał, że zasady prowadzenia podsłuchu w Meksyku być może są mniej surowe niż w Stanach.

- Są pewni, że to Zegarmistrz?

- Tak. Ludzie Artura widzieli go wyraźnie. Ma przy sobie torbę na ramię. Ciągłe ją trzyma.

- Ciągłe?

- Tak. Nadal nie wiemy, co to jest. Być może bomba. Z detonatorem z płytką drukowaną. Nasi ludzie otaczają kompleks. Wszyscy w cywilu, ale mam w pogotowiu oddział żołnierzy. I ekipę pirotechników.

- Gdzie pan jest, komendancie?

Śmiech.

- Bardzo miło ze strony pańskiego Zegarmistrza, że wybrał akurat to miejsce. Jest tu konsulát Jamajki. Mają zapory przeciwbombowe i kryjemy się za nimi. Logan nas nie widzi.

Rhyme miał nadzieję, że to prawda.

- Kiedy chcecie wejść?

- Gdy tylko ludzie Artura dadzą sygnał, że jest czysto. W parku jest pełno niewinnych ludzi. Dużo dzieci. Ale nie uciekną. Zablokowaliśmy większość dróg.

Po skroni Rhyme'a ściekła strużynka potu. Skrzywił się i przechylił głowę na bok, żeby otrzeć ją o zagłówek.

Zegarmistrz...

Był tak blisko.

Błagam, niech to się powiedzie, błagam...

Znów zdusił w sobie złość, że musi pracować nad tak ważną sprawą na odległość.

- Niedługo damy panu znać, kapitanie.

Rozłączyli się i Rhyme zmusił się, by z powrotem skupić uwagę na Raymondzie Galtie. Czy trop prowadzący do szkoły w Chinatown rzeczywiście jest wiarygodny? Galt wydawał się zupełnie zwykłym człowiekiem, zbliżającym się do wieku średniego, ani za grubym, ani za szczupłym. Przeciętnego wzrostu. A stworzył tak paranoiczną atmosferę, że ludzie, ulegając jej, z pewnością byli skłonni widzieć rzeczy, których nie było. Elektryczne pułapki, zagrożenie łukiem... i samego mordercę.

Drgnął zaskoczony, gdy w radiu zatrzeszczał głos Sachs.

- Rhyme, jesteś tam, odbiór? - Zakończyła tradycyjnym komunikatem, informującym odbiorcę, że

może już nadawać. Zwykle obywali się bez tej formalności, która z jakiegoś powodu zaniepokoiła Rhyme'a.

- Mów, Sachs. Co jest?
- Dopiero przyjechaliśmy. Zaraz wchodzimy. Dam ci znać.

Rozdział SR

ordowy ford torino cobra niespecjalnie nadawał się na pojazd

do tajnej operacji, więc Sachs zatrzymała wóz dwa skrzyżowania przed szkołą, w której widziano Galta.

Szkołę zamknięto wiele lat temu i według tablicy informacyjnej, wkrótce miała zostać rozebrana, by zbudować na jej miejscu budynek mieszkalny.

- Niezła kryjówka - powiedziała do Pułaskiego, gdy podbiegli bliżej, widząc dwumetrowe ogrodzenie wokół szkoły, pokryte graffiti i oblepione plakatami reklamującymi alternatywne kino, teatr i zespoły muzyczne, pogrążające się w oceanie zapomnienia. „Siódma pieczęć”. „The Right Hands”. „Bolo”.

Pułaski skinął głową, ale sprawiał wrażenie, jak gdyby się zmuszał do koncentracji. Będzie musiała go mieć na oku. W windzie poradził sobie z zabezpieczeniem śladów, ale wydawało się, że znów dręczą go myśli o wypadku pod domem Galta i potrąconym człowieku.

Przystanęli przed ogrodzeniem. Rozbiórka jeszcze się nie rozpoczęła; bramę stanowiły dwa kawałki sklejk na zawiasach zamknięte na kłódkę, między którymi było dość luzu, by się przecisnąć do środka. Prawdopodobnie w ten sposób dostał się do wewnątrz Galt, jeśli rzeczywiście tu był. Sachs stanęła po prawej stronie szpary i zajrzała przez nią do środka. Budynek szkoły był niemal nienaruszony, choć wyglądało na to, że zapadł się fragment dachu, a szyby w większości okien zostały

powybijane kamieniami, ale w środku nie można było prawie nic zobaczyć.

Tak, to naprawdę była niezła kryjówka. I koszmarnie trudny cel, gdyby trzeba ją było szturmować. Osaczony sprawca miałby setkę świetnych stanowisk obronnych.

Wezwać oddział ESU? Jeszcze nie teraz. Każda minuta zwłoki mogła być minutą, w której Galt kończył montować nową broń. I każdy krok każdego antyterrorysty mógł zniszczyć cenne ślady.

-A jak założył pułapkę? - szepnął drżącym głosem Pułaski, patrząc na metalowy łańcuch. - Może jest pod prądem.

- Nie, nie ryzykowałby. Gdyby ktoś przypadkiem dotknął i został porażony, zaraz wezwano by policję. - Nie wykluczała jednak, że mógł założyć jakiś obwód, który poinformowałby go o obecności intruzów. Westchnęła i krzywiąc się, spojrzała w głąb ulicy. - Dasz radę się na to wdrapać?

-Na co?

- Na ogrodzenie.

- Chybabym dał. Gdybym kogoś gonił albo mnie gonili.

-Ja nie dam rady, jeżeli mnie nie podsadzisz. Potem wszedłbyś za mną.

- Dobra.

Podeszli do miejsca, gdzie przez szparę w ogrodzeniu Sachs wypatrzyła po drugiej stronie gęste krzaki, które miały zamortyzować skok i zapewnić im dobrą osłonę. Przypomniała sobie, że Galt jest uzbrojony - w czterdziestkępiątkę, pistolet o dużej sile rażenia. Sprawdziła, czy kabura glocka jest mocno przypięta do paska, po czym skinęła głową. Pułaski pochylił się i splótł dłonie.

Chcąc go jakoś uspokoić, szepnęła z poważną miną:

- Pamiętaj o jednej rzeczy. To ważne.

- Co takiego? - Z niepokojem spojrzał jej w oczy.

- Przytyłam o parę kilo - oznajmiła wysoka policjantka.

- Uważaj na plecy.

Uśmiechnął się. Wprawdzie na krótką chwilę, ale to był uśmiech.

Stawiając stopę na jego rękach, skrzywiła się z bólu i odwróciła w stronę ściany budynku.

Jeśli Galt nie podłączył łańcucha do prądu, to wcale nie oznaczało, że nie zainstalował niczego po drugiej stronie. Znów w pamięci stanęła jej podziurawiona skóra Luisa Martina. I osmalona podłoga w kabinie windy, i rozdygotane ciała hotelowych gości.

- Bez wsparcia? - szepnął Pułaski. - Na pewno?

- Na pewno. Na trzy. Raz... dwa... trzy.

Pułaski okazał się znacznie silniejszy, niż przypuszczała, i choć miała blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, dźwignął ją bez najmniejszego trudu. Jej dłonie chwyciły się szczytu ogrodzenia. Wdrapała się i przycupnęła tam na moment. Spojrzała na szkołę. Ani śladu nikogo. Zerkając w dół, zobaczyła tylko krzaki - nic, co mogłoby poparzyć ją łukiem o temperaturze dwóch i pół tysiąca stopni, żadnych metalowych przewodów czy płyt.

Sachs odwróciła się plecami do budynku, złapała się szczytu ogrodzenia i zsunęła jak najniżej. Kiedy wiedziała, że musi otworzyć dłonie, otworzyła.

Zeskoczyła i padła na bok, czując ból przeszywający kolana i uda. Znała jednak swój artretyzm równie dobrze jak Rhyme swoje ułomności cielesne, wiedziała więc, że to tylko chwilowy protest. Zanim schowała się za kępą najgęstszych krzaków, wyciągając broń i rozglądając się czujnie, ból zdążył już zelżeć.

- Czysto - szepnęła przez ogrodzenie.

Rozległ się łomot i ciche stęknienie i Pułaski wylądował obok niej, bezszelestnie i zwinnie jak aktor z filmu kung-fu. W jego dłoni także tkwiła broń.

Nie mogli podejść do frontu budynku niezauważeni, gdyby Galt właśnie wyglądał przez okno. Musieli obejść szkołę i dostać się z drugiej strony, ale Sachs najpierw musiała coś zrobić. Rozejrzała się po dziedzińcu i dając Pułaskiemu znak, by szedł za nią, ruszyła w prawo, trzymając się za zasłonę z krzewów i kublów na śmieci, czekających na napełnienie.

Ubezpieczana przez Rona, podbiegła do dwóch dużych, pokrytych rdzą metalowych skrzynek, przymocowanych do ceglanego muru. Na obydwu był naklejony dawno temu, łuszczący się już napis „Algonquin Consolidated” wraz z numerem, pod który należało dzwonić w razie awarii. Sachs wyciągnęła z kieszeni wykrywacz prądu Sommersa, włączyła i skierowała urządzenie na skrzynki. Wskazówka pokazała zero.

Nic dziwnego, skoro budynek stał opuszczony chyba od paru lat. Wołała to jednak potwierdzić.

- Patrz - szepnął Pułaski, dotykając jej ramienia.

Sachs spojrzała we wskazanym przez niego kierunku, w brudne okno. W środku panował półmrok i trudno było cokolwiek wyraźnie zobaczyć, ale po chwili dostrzegła jakiś błysk, chyba latarki, która wolno omiatała wnętrze. Być może - cienie bywały zwodnicze - patrzyła na człowieka studiującego jakiś dokument. Mapę? Schemat systemu elektrycznego, który zamierzał zmienić w śmiertelną pułapkę?

- Jest - szepnął w podnieceniu Pułaski.

Sachs nałożyła słuchawkę z mikrofonem i połączyła się z Bo Haumannem, szefem jednostki ESU.

- Co jest, detektywie? Odbiór.

- Ktoś tu jest. Nie wiem, czy to Galt, czy nie. W środkowej części głównego budynku. Ron i ja zajdziemy go z dwóch stron. Kiedy możecie być na miejscu? Odbiór.

-Za osiem, dziewięć minut. Podejdziemy cicho. Odbiór.

- Dobrze. Będziemy z tyłu. Odezwij się, kiedy będziecie gotowi. Wejdziemy z drugiej strony.

- Zrozumiałem, bez odbioru.

Następnie skontaktowała się z Rhyme'em i powiedziała, że być może mają sprawcę i wejda, gdy tylko zjawi się oddział ESU.

- Uważajcie na pułapki³⁴ostrzegł Rhyme.

- Zasilanie jest odłączone. Nic nam nie grozi.

Rozłączyła się i zerknęła na Pułaskiego.

- Gotowy?

Skinął głową.

Skulona ruszyła szybko na tyły szkoły, mocno ściskając pistolet i myśląc: no dobra, Galt, tu nie masz swojego prądu, żeby się bronić. Masz broń. Tak jak ja. Teraz zagramy według moich zasad.

Rozdział 5R

akończywszy rozmowę z Sachs, Rhyme znów poczuł z strużkę potu.

Musiał się w końcu poddać, wezwać Thoma i poprosić, żeby mu otarł czoło. To było chyba najtrudniejsze dla Rhyme'a. Powierzanie komuś innemu dużych zadań nie było wcale takie złe: ćwiczenia ruchowe, wypróżnienie i oddawanie moczu, przenosiny z wózka na łóżko i odwrotnie. Karmienie.

Najbardziej irytujące... i zarazem krępujące były drobiazgi. Kiedy było trzeba odgonić muchę, zdjąć jakiś kłaczek ze spodni.

Zetrzeć z czoła strumyczek potu.

Pojawił się opiekun i niewiele myśląc, błyskawicznie zajął się tym problemem.

- Dziękuję - powiedział kryminalistyk.

Thom zawahał się, zaskoczony niespodziewanym przejawem wdzięczności.

Rhyme odwrócił się do tablic z dowodami, ale prawdę mówiąc, nie myślał o Galcie. Możliwe, że Sachs i brygada specjalna za chwilę zgarną oszalałego pracownika Algonquin w szkole w Chinatown.

Jego rozgorączkowany umysł całkowicie pochłaniał Zegarmistrz w Meksyku. Do diabła, dlaczego Luna albo Kathryn Dance czy ktokolwiek inny nie zadzwoni, żeby zdać mu szczegółową relację z zatrzymania?

Może Zegarmistrz już podłożył bombę w biurowcu i swoją obecnością chce po prostu odwrócić uwagę? W torbie mogą być cegły. Po co właściwie miałby się węszać po parku jak jakiś turysta, który zastanawia się, gdzie dostać margaritę? A jeżeli wziął na cel zupełnie inne biuro?

- Mel - powiedział Rhyme - chcę zobaczyć, gdzie się toczy ta akcja. W Google Earth... czy jak to się nazywa. Znajdź mi Meksyk.

- Nie ma sprawy.

-Aleja Bosque de Reforma... Jak często uaktualniają te zdjęcia?

- Nie wiem. Pewnie co parę miesięcy. Ale to nie jest w czasie rzeczywistym, nie sądzę.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Kilka minut później oglądali satelitarne zdjęcie okolicy: szeroką aleję Bosque de Reforma i biurowce rozdzielone parkiem, w którym siedział właśnie Zegarmistrz. Po drugiej stronie ulicy był konsul Jamajki, osłonięty rzędem betonowych barier - zapór przeciwbombowych - i bramą. Rodolfo Luna i jego ludzie mieli być po drugiej stronie linii zabezpieczeń. Za nimi stały służbowe samochody, zaparkowane przed samą placówką dyplomatyczną.

Patrząc na fotografię barier, nagle zmarszczył brwi. Bariera po lewej stała prostopadle do drogi, a z prawej było sześć ustawionych równolegle.

Konsul
at
Jamaj
ki

Aleja Bosque de Reforma

Układ zapór imitował literę „I” oraz puste miejsca z paczki dostarczonej Zegarmistrzowi na lotnisku stolicy Meksyku. Złote litery... Granatowa książeczka... - Tajemnicze liczby...

- Mel - rzucił ostro. Słyszając ton jego głosu, technik raptownie uniósł głowę. - Jest jakiś paszport, który ma na okładce litery „CC”? Granatowy?

Po chwili Cooper oderwał wzrok od archiwum Departamentu Stanu.

- Faktycznie, jest. Granatowy z połączonymi literami C u góry. To paszport Caribbean Community, Wspólnoty Karaibskiej. Należy do niej około piętnastu państw i...

- Jest wśród nich Jamajka?

-Tak.

Uświadomił sobie też, że liczby „pięćset siedemdziesiąt” i „trzysta siedemdziesiąt dziewięć” mogą oznaczać coś więcej niż tylko liczby.

- Szybko, sprawdź mi modele terenowe Lexusa. Czy któryś z nich ma oznaczenie pięć siedem zero albo trzy siedem dziewięć?

Znalazł jeszcze prędzej niż informacje o paszporcie.

- Zobaczmy... Zgadza się, LX 570. Luksusowy...

- Dzwonź do Luny. Natychmiast! - Nie chciał ryzykować i samodzielnie wybierać numeru, bo robiłby to dłużej i mógłby się pomylić.

Znów poczuł krople potu, ale je zignorował. -Si?

- Rodolfo! Tu Lincoln Rhyme.

-Ach, kapitanie...

-Niech pan posłucha! To pan jest jego celem. Zamach na biurowiec to podstęp! A paczka dostarczona Loganowi i kreski na rysunku? To był schemat terenu konsulatu Jamajki, gdzie właśnie pan jest. Te kreski to zapory przeciwbombowe. Jeździ pan lexusem LX pięć siedemdziesiąt?

-Tak... czyli stąd to pięćset siedemdziesiąt?

- Tak sędę. Zegarmistrz dostał jamajski paszport, żeby wejść na teren konsulatu. Czy jest tam zaparkowany jakiś samochód z numerem trzy siedem dziewięć na tablicy rejestracyjnej?

-Nie wi... Ach, jest. Mercedes na tablicach służb dyplomatycznych.

- Niech pan natychmiast ewakuuje teren! Tam jest bomba! W mercedesie!

- Bomba?

- Uciekajcie, Rodolfo!

- Tak, tak!

Rhyme usłyszał okrzyki po hiszpańsku, tupot stóp, ciężkie dyszenie.

I nagle ogłuszający wybuch.

Rhyme zamrugał oczami na dźwięk przerażającego huku, od którego zatrzęsy się głośniki telefonu.

- Komendancie? Jest pan tam?... Rodolfo?
 Znów krzyki, zakłócenia, wrzaski.

- Rodolfo!
 Po długiej chwili:

- Kapitanie Rhyme? Halo? - Komendant krzyczał, zapewne dlatego, że eksplozja częściowo go ogłuszyła.

- Komendancie, nic się panu nie stało?
 - Halo!
 Jakieś syczenie, jęki, sapanie. Krzyki.
 Syreny i znów krzyk.

- Może powinniśmy zadzwonić... - zaczął Cooper.

Nagle:

- *Quel...* Kapitanie, jest pan tam?
 - Tak. Jest pan ranny, Rodolfo?
 - Nie, nie. Żadnych poważnych obrażeń. Drobne skaleczenia, trochę mnie ogłuszyło. - Mówił zdyszczanym głosem. - Przeleźliśmy przez bariery na drugą stronę. Ludzie mają drobne rany i krwawią, ale z tego, co widzę, nie ma ofiar śmiertelnych. Mogłem zginąć razem z funkcjonariuszami obok mnie. Skąd pan wiedział?
 - Potem panu opowiem, komendancie. Gdzie jest Zegarmistrz?
 - Chwileczkę... No tak, zaraz po wybuchu uciekł.

Eksplozja odwróciła uwagę Artura i jego ludzi - zgodnie z jego planem, oczywiście. Arturo powiedział, że zabrał go jakiś samochód, który wjechał do parku. Teraz jadą na południe. Nasi ludzie ruszyli za nim... Dziękuję, kapitanie Rhyme. Nie wiem, jak panu dziękować. Ale muszę kończyć. Zadzwonię, kiedy tylko się czegoś dowiemy.

Robiąc głęboki wdech i starając się nie zwracać uwagi na ból głowy i krople potu, Rhyme pomyślał: no dobra, Logan, powstrzymaliśmy cię. Pokrzyżowaliśmy twoje plany. Ale ciągle nie mamy ciebie. Jeszcze nie.

Proszę, Rodolfo, nie trać go z oczu.

Myśląc o tym, błędził wzrokiem po tablicach dowodów w sprawie Galta. Może obie akcje zakończą się tak samo.

Zegarmistrz zostanie zatrzymany w Meksyku, a Ray Galt w opuszczonej szkole niedaleko Chinatown.

Nagle zatrzymał oczy na jednym zapisie.

Chińskie rośliny lecznicze, żeń-szeń i jagoda licyjska.

I na kolejnej pozycji, wymieniającej substancję znalezioną blisko chińskich roślin.

Olej napędowy.

Rhyme z początku przypuszczał, że paliwo pochodzi z miejsca planowanego zamachu, być może z rafinerii. Przyszło mu jednak do głowy, że olej napędowy jest też przecież paliwem silników.

Na przykład do generatora prądu.

Po chwili zaświtała mu kolejna myśl.

- Mel, ten telefon...
- Dobrze się czujesz?
- Świetnie - warknął Rhyme.
- Masz rumieńce.

Ignorując tę uwagę, polecił:

- Znajdź numer telefonu tego policjanta, który zgłosił, że Galt jest w szkole.

Technik odwrócił się i zadzwonił. Po kilku minutach spojrzał na Rhyme'a.

- Zabawne. Dostałem numer ze służby patrolowej. Ale jest nieaktywny.

- Podaj mi go.

Cooper powoli podyktował mu numer, a Rhyme wpisał go do telefonicznej bazy danych departamentu policji.

Figurował tam jako telefon na kartę.

- Głina z komórką na kartę? I to nieaktywną? Niemożliwe.

Szkoła znajdowała się w Chinatown; to stamtąd Galt wziął ślady

chińskich roślin. Nie była to jednak baza wypadowa ani kryjówka. To była pułapka! Galt podłączył przewody do spalinowego generatora, żeby zabić każdego, kto chciał go odnaleźć, a potem, udając policjanta, zadzwonił, żeby zadenuncjować sam siebie. Ponieważ budynek został

odłączony od sieci, Sachs i inni w ogóle nie spodziewali się zagrożenia porażenia prądem.

Zasilanie jest odłączone. Nic nam nie grozi.

Musiał ich ostrzec. Zaczął naciskać „Sachs” na klawiaturze szybkiego wybierania na ekranie komputera. Ale w tym momencie dokuczliwy ból głowy sięgnął zenitu i eksplodował. Rhyme zobaczył wirujące przed oczami światełka jak tysiąc elektrycznych iskier. Skóra pokryła się lepkiem potem i atak dysrefleksji zaczął się na dobre.

Lincoln Rhyme szepnął:

- Mel, musisz zadzwonić...

I stracił przytomność.

Rozdział fifl

otarli na tył szkoły, niezauważeni przez nikogo. Kiedy
Sachs

i Pulaski przyczaili się, szukając wejść i wyjść z budynku, usłyszeli pierwszy jęk.

Pulaski obrócił ku niej zaniepokojoną twarz. Sachs uniosła palec i zaczęła nasłuchiwać.

Głos należał chyba do kobiety. Wyraźnie cierpiała, może trzymał ją jako zakładniczkę i torturował? Kobieta, która widziała Galta? Ktoś inny?

Odgłosy ustały. Po chwili wróciły. Słuchali przez długie dziesięć sekund. Amelia Sachs dała znak Ronowi Pułaskiemu, żeby podszedł bliżej. Byli za szkołą, otoczeni zapachem moczu, gnijących płyt gipsowych i pleśni.

Jęki przybierały na sile. Co ten Galt jej robił? Może ofiara znała informacje potrzebne mu do przygotowania następnego zamachu?

-Nie, nie, nie...

A może Galt jeszcze bardziej oderwał się od rzeczywistości. Porwał jakąś pracownicę Algonquin i torturował ją, żeby zaspokoić żądzę zemsty. Może kobieta była odpowiedzialna za sieć wysokiego napięcia.

Och, nie, pomyślała Sachs. A jeżeli to sama Andi Jessen? Poczwała na sobie załęczniony wzrok Pułaskiego.

-Nie... błagam! - krzyknęła kobieta.

Sachs wdusiła przycisk nadawania i połączyła się z brygadą antyterrorystyczną.

- Bo? Tu Amelia, odbiór.

- Mów.

- Ma zakładniczkę. Gdzie jesteście?

- Zakładniczkę? Kogo?

- Niezidentyfikowana.

- Zrozumiałem. Będziemy za pięć minut, odbiór.

-Torturuje ją. Nie zamierzam czekać. Wchodzimy z Ronem.

- Zrobiliście rozpoznanie?

- Wiemy tylko tyle, ile ci powiedziałam. Galt jest w środku budynku. Na parterze. Uzbrojony w M1911, kaliber .45. Nic nie jest pod napięciem. Zasilanie jest wyłączone.

-No, to chyba jedyna dobra wiadomość. Bez odbioru.

Rozłączyła się i szepnęła do Pułaskiego, wskazując:

- Idziemy! Ustalimy szczegóły przy tylnych drzwiach.

- Jasne - odrzekł młody policjant. - W porządku. -

Niespokojnie spojrział w cień zalegający pod ścianą szkoły, z której dobiegł kolejny jęk, niosąc się w cuchnącym powietrzu.

Sachs przyjrzała się drodze do drzwi i rampy z tyłu budynku. Na zniszczonym asfalcie walały się rozbite butelki, papiery i puszki. Nie sposób było ją pokonać bezszelestnie, nie mieli jednak wyboru.

Dała Pułaskiemu znak, by ruszył naprzód. Ostrożnie stawiali krok za krokiem, starając się iść jak najciszej, choć nie mogli uniknąć chrzęstu szkła pod butami.

Ale gdy podchodzili bliżej, okazało się, że mają szczęście, w które Sachs wierzyła - w przeciwieństwie do Lincolna Rhyme'a. Gdzieś w pobliżu zawarczał głośno jakiś diesel, skutecznie tłumiąc inne dźwięki.

Czasem można liczyć na uśmiech losu, pomyślała Sachs. Nam na pewno bardzo się teraz przyda. nasilił stres związany z prowadzeniem dwóch spraw jednocześnie. Powinien był częściej sprawdzać.

Powiniennem dokładniej obliczyć. Powiniennem być bardziej stanowczy...

Strata Rhyme'a oznaczałaby stratę najlepszego kryminalistyka w mieście, jeżeli nie najlepszego na całym świecie. I stratę niezliczonych ofiar, których zabójcy nigdy nie zostaliby wykryci.

Strata Rhyme'a oznaczałaby dla niego stratę jednego z najbliższych przyjaciół.

Mimo to zachował spokój. Opiekunowie szybko się tego uczą. Szybkich i trudnych decyzji nie można podejmować w panice.

Wreszcie twarz Rhyme'a zaczęła odzyskiwać normalną barwę i posadzili go na wózku. Zresztą i tak nie mogliby go dłużej utrzymać.

- Lincoln! Słyszysz mnie?

Brak reakcji.

Chwilę później zwiesił głowę. I coś szepnął.

- Lincoln, nic ci nie grozi. Doktor Metz wysłał już zespół.

Znów niewyraźny szepł.

- Już wszystko dobrze, Lincoln. Nic ci nie będzie.

Słabym głosem Rhyme rzekł:

-Musiciej jej powiedzieć...

- Lincoln, spokojnie.

- Sachs.

- Pojechała do tej szkoły, do której ją wysłałeś - odezwał się Cooper. - Jeszcze nie wróciła.

- Musicie powiedzieć Sachs... - Głos zamarł.

- Powiem, Lincoln, powiem, jak tylko zadzwoni - obiecał Thom.

- Teraz lepiej jej nie przeszkadzać - dodał Cooper. -

Właśnie próbuje zatrzymać Galta.

- Powiedz jej...

Rhyme wywrócił oczy białkami na wierzch i znów zemdłał. Thom ze złością spojrział przez okno, jak gdyby to mogło przyspieszyć przyjazd ambulansu. Ale zobaczył tylko ludzi - spacerujących na zdrowych nogach, biegających, jeżdżących na rowerze po parku, którzy wyglądali na wolnych od wszelkich trosk.

Rozdział 62

on Pułaski zerknął na Sachs, która zaglądała przez
Okno z tyłu
szkoły.

Uniosła palec, mrużąc oczy i starając się znaleźć najdogodniejsze stanowisko obserwacyjne, by zobaczyć, gdzie jest Galt. Z tego miejsca trudno było usłyszeć jęki, ponieważ silnik Diesla pracował blisko, tuż za ogrodzeniem.

Nagle rozległ się głośniejszy krzyk.

Sachs odwróciła się i wskazując głową drzwi, szepnęła:

- Uwolnimy ją. Ubezpieczaj mnie krzyżowo. Jedno idzie górą, drugie dołem. Chcesz wejść tędy czy po drabince pożarowej?

Pułaski spojrział w prawo, gdzie zardzewiała metalowa drabina prowadziła na podest przed otwartym oknem. Wiedział, że nie może być pod napięciem. Amelia już sprawdziła. Ale naprawdę nie miał ochoty tamtędy wchodzić. Zaraz jednak pomyślał o swoim błędzie pod domem Galta. O Stanleyu Palmerze, który mógł umrzeć. A gdyby przeżył, mógł już nigdy nie być taki jak przed wypadkiem.

- Pójdę górą - powiedział.

- Na pewno?

-Tak.

- Pamiętaj, za wszelką cenę trzeba go dostać żywego. Jeżeli zastawił następną pułapkę, mógł użyć zegara, więc będzie nam potrzebny, żeby powiedzieć, gdzie i kiedy ją włączy.

Pułaski skinął głową. Pochylony ruszył przez pokruszony, zaśmiecony przez różnymi odpadkami asfalt.

Skup się, powiedział sobie. Masz zadanie do wykonania. Więcej się nie dasz przestraszyć. Nie popełnisz błędu.

Gdy skradał się cicho do drabiny, poczuł, że boi się o wiele mniej niż poprzednio. Właściwie już wcale się nie boi.

Ron Pułaski był wściekły.

Galt zachorował. Cóż, przykra sprawa. Cholernie niedobra. Do diabła, on, Pułaski, doznał urazu głowy i do nikogo nie miał o to pretensji. Tak jak Lincoln Rhyme, który nie siedział i nie rozczulał się nad sobą. Niewykluczone zresztą, że Galt wyzdrowieje, przecież jest tyle nowych terapii i metod zwalczania raka. A ten rozkapryszony gnojek za swoje nieszczęście wyżywa się na niewinnych ludziach. Chryste Panie, co on robi tej kobiecie w budynku? Pewnie miała informacje, których Galt potrzebował. A może była lekarką, która postawiła złą diagnozę, i też się na niej mści.

Myśląc o tym, trochę przyśpieszył kroku. Oglądając się za siebie, zobaczył Sachs czekającą przy uchylonych drzwiach. Trzymała oburącz glocka, z lufą skierowaną w dół.

Coraz bardziej kipiąc ze złości, Pułaski dotarł do grubego ceglanego muru, gdzie mógł się ukryć. Pobiegł dalej, kierując się w stronę drabinki wyjścia pożarowego. Farba prawie zupełnie się z niej starła, ustępując miejsca rdzy. Przystanął przed kałużą wody, otaczającą beton u stóp drabiny. Woda... prąd. Ale przecież prądu nie ma. Zresztą i tak nie miał innej drogi. Przebrnął przez kałużę.

Trzy metry.

Uniósł wzrok, wybierając okno, przez które najlepiej będzie wejść. Miał nadzieję, że stopnie i podest nie brzękną pod jego stopami. Galt nie mógł być dalej niż dziesięć metrów od nich.

Warkot silnika powinien jednak zagłuszyć prawie każde skrzypnięcie.

Półtora metra.

Pułaski wsłuchał się w swoje serce i stwierdził, że bije miarowo i spokojnie. Chciał, żeby Lincoln Rhyme znów był z niego dumny.

Cholera, sam zgarbie tego stukniętego drania.

Wyciągnął rękę do drabiny.

Zanim się zorientował, usłyszał trzask i wszystkie mięśnie w jego ciele skurczyły się jednocześnie. W głowie rozbłysnął mu blask niebios, a potem przed oczami zawirowały żółte kręgi, by zaraz rozpląnąć się w czerni.

Rozdział R3

tojąc za szkołą, Amelia Sachs i Lon Sellitto przyglądali się, jak

oddział ESU przeszukuje budynek.

- Pułapka - rzekł porucznik.

- Zgadza się - odparła ponuro. - Galt miał duży generator w szopie za szkołą. Uruchomił go i uciekł. Generator był podłączony do metalowych drzwi i drabiny pożarowej.

- Do drabiny. Tamtędy miał wejść Pułaski.

Skinęła głową.

- Biedny chłopak. Kiedy...

Przerwał im funkcjonariusz ESU, wysoki Afroamerykanin.

- Detektywie, poruczniku, skończyliśmy przeszukanie. Cały budynek czysty. Niczego nie dotykaliśmy, tak jak pani prosiła.

- Dyktafon cyfrowy? - spytała. - Założę się, że użył czegoś w tym rodzaju.

-Zgadza się, detektywie. Z nagraniem fragmentem jakiegoś serialu. Latarka wisiała na sznurku. Żeby wyglądało, jak gdyby ktoś ją trzymał.

Nie było zakładniczki. Nie było Galt. Nikogo.

- Za chwilę zabezpieczę ślady.

- To nie patrol dzwonił ze zgłoszeniem? - spytał policjant.

- Nie - mruknął Sellitto. - To Galt. Pewnie z telefonu na kartę. Sprawdzę to.

-1 przygotował to wszystko... - machnął ręką w stronę szkoły - ..żeby zabić kogoś z nas.

- Zgadza się - przytaknęła ponuro Sachs.

Członek brygady specjalnej skrzywił się i odszedł zebrać swój zespół. Zaraz po akcji Sachs zadzwoniła do Rhyme'a, żeby przekazać mu wiadomość o szkole. I o Ronie Pułaskim.

Dziwne, ale od razu włączyła się poczta głosowa.

Może wypłynęło coś pilnego w sprawie albo w operacji przeciwko Zegarmistrzowi z Meksyku.

Zbliżał się do niej ratownik, patrząc pod nogi i ostrożnie stąpając między śmieciami; dziedziniec za szkołą przypominał plażę, na której przytyływ pozostawił górę odpadków. Sachs wyszła mu naprzeciw.

- Jest już pani wolna? - spytał ratownik.
- Oczywiście.

Poszła za nim pod boczną ścianę budynku, gdzie stałyambu- lansy.

Na betonowym ganku siedział Ron Pułaski z głową w dłoniach. Sachs zatrzymała się, głęboko nabrała powietrza i podeszła do niego.

- Przepraszam, Ron.

Masował sobie rękę, zginając palce.

- Nie ma o czym mówić. - Uśmiechnął się. - Powinienem ci raczej dziękować.

- Zrobiłabym to inaczej, gdyby tylko było jak. Nie mogłam krzyżeć. Zakładałam, że Galt ciągle jest w środku. I ma broń.

- Domyśliłem się.

Piętnaście minut wcześniej, czekając przy drzwiach, Sachs postanowiła dla pewności jeszcze raz sprawdzić budynek wykrywaczem Sommersa.

Ze zgrozą zobaczyła, że metalowe drzwi, które miała parę centymetrów przed sobą, są pod napięciem 220 woltów. A beton, na którym stała, był zalany wodą. Zrozumiała, że bez względu na to, czy Galt jest w środku, czy nie, podłączył do prądu metalowe instalacje w budynku. Prąd prawdopodobnie pochodził z generatora spalinowego; to był ten warkot, który słyszeli.

Jeżeli drzwi były pod napięciem, to przypuszczalnie wyjście pożarowe także. Sachs zerwała się na nogi i popędziła za Pułaskim, który zbliżał się już do drabiny. Nie odważyła się go zawołać, nawet szeptem, bo gdyby Galt był w szkole, usłyszałby i zacząłby strzelać.

Dlatego poraziła Pułaskiego paralizatorem.

Nosiła przy sobie taser X26, który generował zarówno wysokie, jak i niskie napięcie. Model X26 miał zasięg około dziesięciu metrów i gdy Sachs zobaczyła, że nie zdąży dobiec do młodego policjanta, wystrzeliła do niego dwiema elektrodami. Porażenie nerwowo-mięsniowe zważyło go z nóg. Runął na ziemię tam, gdzie stał, padając

na ramię, ale - dzięki Bogu - nie uderzył się znowu w głowę. Kiedy dygotał, z trudem łapiąc powietrze, Sachs zaciągnęła go w bezpieczne miejsce. Potem znalazła i wyłączyła generator, a chwilę później przyjechał oddział ESU, wysadzając zamkniętą na łańcuch bramę i szturmując szkołę.

- Wyglądasz na trochę zamroczonego.

- Dostałem niezłego kopa - odrzekł Pułaski, oddychając głęboko.

- Spokojnie - powiedziała.

- Nic mi nie jest. Pomogę po śladach. - Zamrugał oczami jak pijany. - To znaczy, pomogę ci zabezpieczać ślady.

- Dasz radę?

- Jeżeli nie będę się za szybko ruszać. Ale wiesz co, miej zawsze pod ręką ten aparat, ten wykrywacz od Charliego Sommersa, dobra? Nie dotknę niczego, dopóki tego nie sprawdzisz.

Zaczęli od obchodu po siatce wokół generatora za budynkiem. Pułaski zebrał i zabezpieczył wszystkie przewody, doprowadzające prąd do drzwi i drabinek pożarowych. Sachs przeszukała teren wokół generatora. Było to duże urządzenie, wysokości ponad półtora metra i długości około metra. Według tabliczki umieszczonej na boku obudowy, jego maksymalna moc wynosiła pięć tysięcy watów, a natężenie wytworzonego prądu czterdzieści jeden amperów.

Czteryście razy więcej, niż wystarczyłoby do zabicia człowieka.

Wskazała urządzenie.

- Moglibyście to zapakować i przewieźć do Rhyme'a?

- zapytała ekipę techników z Queens, która właśnie przyjechała. Generator ważył blisko sto kilogramów.

- Nie ma sprawy, Amelia. Zaraz zabieramy.

- Chodźmy zrobić siatkę w środku - powiedziała do Pułaskiego.

Kiedy szli do szkoły, zadzwonił telefon Sachs. Ekran wyświetlił „Rhyme”.

- W samą porę - powiedziała wesoło, odbierając. - Mam dla ciebie...

- Amelia. - To był Thom, ale nigdy nie mówił do niej takim tonem. - Lepiej będzie, jak przyjedziesz. Przyjedź jak najszybciej.

Rozdział R4

achs, dysząc, wbiegła po podjeździe dla wózka i gwałtownie otworzyła drzwi do domu Rhyme'a.

Biegiem pokonała hol, tupiąc ciężkimi butami, i wpadła do pokoiku po prawej, naprzeciwko laboratorium.

Thom spojrzał na nią znad wózka Lincolna Rhyme'a, który miał zamknięte oczy i bladą, wilgotną twarz. Między nimi stał jeden z lekarzy Rhyme'a, mocno zbudowany Afroamerykanin, który w college'u był gwiazdorem piłki nożnej.

- Doktorze Ralston - wykrztusiła, łapiąc oddech.

Skinął głową.

- Witam, Amelio.

Wreszcie Rhyme otworzył oczy.

-Ach, Sachs. - Mówił ledwie słyszalnym głosem.

- Jak się czujesz?

- Nie, powiedz lepiej, jak ty się czujesz.

- W porządku.

- A nowy?

- Mało brakowało, żeby były kłopoty, ale skończyło się dobrze.

- To był generator, prawda? - zapytał urywanym głosem Rhyme.

- Tak, skąd wiedziałeś? Dzwonili z wydziału kryminalistycznego?

- Nie, sam się domyśliłem. Olej napędowy i rośliny z Chinatown. No i fakt, że w szkole nie było prądu. Doszedłem do wniosku, że to pułapka. Ale nie zadzwoniłem, bo miałem mały problem.

- Nie szkodzi, Rhyme - powiedziała. - Też się domyśliłam.

I nie powiedziałam, jak bliski porażenia prądem był Pułaski.

- To dobrze... dobrze.

Zrozumiała, że myśli o tym, jak pokpił sprawę i o mały włos nie doprowadził do poważnych obrażeń albo śmierci jednego z nich albo obojga. W innej sytuacji byłby zły; dostałby ataku wściekłości. Miałby ochotę na drinka, obrażałby ludzi, rzucałby sarkastyczne komentarze, w rzeczywistości tylko i wyłącznie pod swoim adresem, o czym Sachs i Thom świetnie wiedzieli.

Tym razem jednak było inaczej. Miał w oczach coś, co jej się bardzo nie podobało. Dziwne, ale jak na osobę z tak poważną niepełnosprawnością, Lincoln Rhyme rzadko wydawał się bezbronny. Teraz, po tej porażce, był ucieleśnieniem słabości.

Poczuła, że musi się odwrócić, i spojrzała na lekarza, który rzekł:

- Nic mu już nie grozi. Ciśnienie spadło. - Następnie skierował wzrok na Rhyme'a, pacjenci z urazem rdzenia kręgowego bardziej niż inni nie lubią, gdy mówi się o nich w trzeciej osobie. Co się często zdarza. - W miarę możliwości wybieraj wózek zamiast łóżka i postaraj się, żeby regularnie opróżniano pęcherz i jelita. Nie wkładaj ciasnego ubrania ani butów.

Rhyme skinął głową.

- Dlaczego to się stało?

- Prawdopodobnie stres w połączeniu z jakimś uciskiem. Wewnętrzny albo butów czy ubrania. Wiesz, jak to bywa z dysrefleksją. Zwykle jest zagadką.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Czterdzieści minut - odrzekł Thom. - Z przerwami.

Odchylił głowę, opierając ją o zagłówek.

- Czterdzieści - powtórzył szeptem.

Sachs zrozumiała, że znowu przeżywa przegraną z własnym organizmem, którą ona i Pułaski omal nie przypłacili życiem.

Rhyme patrzył w kierunku laboratorium.

- Gdzie dowody?

- Pojechałam przodem. Ron jest w drodze. Generator przywożą ludzie z Queens. Waży ze sto kilo.

- Ron tu jedzie?

- Zgadza się - przytaknęła, uświadamiając sobie, że właśnie mu o tym powiedziała, i zastanawiając się, czy atak nie spowodował u niego dezorientacji. Może lekarz

podał mu środek przeciwbólowy. Dysrefleksji towarzyszą potworne bóle głowy.

- To dobrze. Będzie niedługo? Ron?

Zerknęła niepewnie na Thoma.

- Lada chwila - powiedziała.

- Lincoln, wolałbym, żebyś się nie przemęczał przez resztę dnia - oznajmił doktor Ralston.

Rhyme wahał się, spuściwszy wzrok. Czyżby naprawdę był skłonny ulec takiej prośbie?

Odrzekł jednak cicho:

- Przykro mi, doktorze, ale naprawdę nie mogę. Prowadzimy sprawę... to bardzo ważne.

- Ta historia z siecią energetyczną? Z terrorystami?

- Tak. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy. - Wciąż wbijał wzrok w podłogę. - Przykro mi. Musimy nad tym pracować.

Sachs i Thom wymienili spojrzenia. Skrucha była u Rhyme'a czymś, mówiąc oględnie, nietypowym.

1 znów ta bezbronność w oczach.

- Wiem, że to ważne, Lincoln. Nie mogę cię do niczego zmuszać. Ale pamiętaj, co powiedziałem: musisz jak najwięcej przebywać w pozycji pionowej i unikać jakichkolwiek ucisków ciała, wewnątrz i na zewnątrz. Rada, żebyś unikał stresu, chyba na nic się nie zda. Przynajmniej dopóki ten szaleniec jest na wolności.

- Dziękuję. Tobie też dziękuję, Thom.

Opiekun zrobił zaskoczoną minę i niepewnie skinął głową.

Rhyme wciąż się wahał, nie podnosząc wzroku. Nie ruszył do laboratorium z maksymalną prędkością, jaką mógł wycisnąć z wózka, co z pewnością zrobiłby w innych okolicznościach. Nawet gdy otworzyły się drzwi i usłyszeli Pułaskiego i techników z Queens, którzy wpadli do domu z dowodami, Rhyme pozostał w tym samym miejscu, ze spuszczonego wzrokiem.

- Lin... - zaczęła Sachs, ale urwała - znów ten przesąd.

- Rhyme? Chcesz jechać do laboratorium?

- Tak, jasne.

Ale nadal patrzył w podłogę. Wózek ani drgnął.

Zaniepokojona pomyślała, że zbliża się drugi atak.

Nagle przełknął ślinę i dotknął panelu sterującego wózkiem. Na jego twarzy odmalowała się ulga i Sachs zrozumiała, o co chodziło. Rhyme obawiał się - był przerażony - że atak dysrefleksji spowodował większe uszkodzenia, być może pozbawiając go niedawno odzyskanej szczątkowej zdolności poruszania prawą dłonią.

Właśnie na nią cały czas patrzył: na swoją prawą rękę. Najwyraźniej jednak nic takiego się nie stało.

- Chodź, Sachs - powiedział, choć nadal cicho. - Praca czeka.

Rozdział 65

.C. uznał, że klub bilardowy wygląda jak meta dilerów Hprochów.

Będzie o tym musiał pogadać z ojcem.

Trzydziestolatek zacisnął białe dłonie na butelce piwa, przyglądając się rozgrywkom przy stołach. Ukradkiem zapalił papierosa i wydmuchał dym w kierunku kratki wentylatora. Debilne są te zakazy palenia. Ojciec mówił, że to wina tych socjalistów z Waszyngtonu. Nie przeszkadzało im, że wysyła się chłopaków na śmierć do miejsc, których nazwy nie da się wymówić, ale musieli, skurwiele, zabronić palenia.

Nie odrywał oczu od stołów bilardowych. Z tym szybkim na końcu mogą być kłopoty - stawiano tam grubą forszę - ale Stipp trzymał za barem kij bejsbolowy. I lubił go używać.

A właśnie. Cholerni Metsi. Chwycił pilota.

Boston Red Sox nie zdołali mu poprawić samopoczucia.

Przełączył na wiadomości, gdzie mówili o tym stukniętym gościu, który świrował z prądem. Brat R.C. był złotą rączką i sporo dłubał w elektryce, ale zawsze się bał zakładać instalacji.

A teraz w całym mieście fajczyli się ludzie.

- Słyszałeś o tej popieprzonej historii? - spytał Stippa.

- No, o jakiej? - Stipp miał zez na jedno oko, które nie patrzyło prosto na ciebie, jeżeli to się nazywa zez na jedno oko.

- O tych jajach z prądem. Jakiś koleś podłączył kabel do hotelu. Łapiesz za klamkę i nagle zzzzzzzzzzz i po tobie. Słyszałeś?

-A, o tej popieprzonej historii. - Stipp parsknął niesmacznym śmiechem. - Coś tak jakby krzesło elektryczne.

- Tak jakby. Tylko że to mogą być schody, kałuża albo metalowa kłapa w chodniku. Taka od windy do piwnicy.

- Wchodzisz na nią i cię kopie?

- Zdaje się. Kurwa. Albo wciskasz guzik na przejściu dla pieszych. Metalowy, nie? I wystarczy. Po tobie.

- Po co on to robi?

- Chuj jeden wie... Na krzesło elektrycznym lejesz w gacie i palą ci się włosy. Wiedziałaś? Czasem to cię właśnie zabija. Ogień. Spalasz się na śmierć, bracie.

- Teraz prawie każdy stan robi zastrzyki. - Stipp zmarszczył brwi. - Pewnie też lejesz w gacie.

R.C. przypatrywał się Janie w obcistej bluzce i próbował sobie przypomnieć, kiedy ma przyjść jego żona po pieniądze na zakupy, gdy otworzyły się drzwi i weszli dwaj ludzie. Dwóch facetów w uniformach firmy kurierskiej, może po porannej zmianie. Dobrze, bo po pracy chętniej będą wydawać kasę.

Zaraz za nimi wcisnął się jakiś bezdomny.

Kurwa.

Czarny mężczyzna, w brudnych ciuchach, zostawił na chodniku wózek na zakupy pełen pustych butelek i prawie wbiegł do klubu. Stał teraz odwrócony plecami, patrząc przez okno i drapiąc się w nogę. A potem w głowę nakrytą obrzydliwą czapką.

R.C. pochwycił wzrok barmana i lekko pokręcił głową.

- Hej! - zawołał Stipp. - Czym możemy służyć?

- Dziwna rzecz - mruknął bezdomny. Przez chwilę mówił do siebie. Potem dodał głośniejszym głosem: - Widziałem coś

dziwnego, nie podobało mi się. - Zaśmiał się piskliwym głosem, który sam w sobie wydał się R.C. dziwny.

- W takim razie zabierz to stąd, dobra?

- Widzieliście? - zapytał menel, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

-No już, kolego.

Ale czarny chwiejnym krokiem podszedł do baru i usiadł. Przez chwilę wygrzebywał z kieszeni wilgotne banknoty i tonę bilonu. Starannie odliczył monety.

- Przepraszam, ale chyba ma pan już dość na dzisiaj.

- Nic nie piłem. Widzieliście tego faceta? Faceta z kablem?

-Z kablem?

R.C. i Stipp spojrzeli po sobie.

- W tym mieście dzieją się jakieś popieprzone historie.

- Zwrócił oszalały wzrok na R.C. - Widziałem skurwiela na ulicy. Przy tej... no, latarni. Bawił się kablami. Słyszeliście, co się dzieje w mieście? Prąd smaży ludziom tyłki.

R.C. podszedł do okna, mijając bezdomnego, który tak strasznie cuchnął, że miało się ochotę rzygać. Ale wyjrzał na ulicę i zobaczył latarnię. Czyżby był podłączony do niej jakiś kabel? Nie widział wyraźnie. Terrorysta tutaj?! Na Lower East Side?

Właściwie czemu nie?

Jeżeli chciał zabijać niewinnych obywateli, miejsce równie dobre jak inne.

- Słuchaj no, kolego, spadaj stąd - powiedział do menela R.C.

- Chcę drinka.

-Nie dostaniesz drinka. - R.C. znów skierował wzrok za szybę. Chyba faktycznie widział jakieś cholerne kable czy przewody. Co się dzieje? Skurwysyn chce zaatakować bar? R.C. pomyślał o wszystkich metalowych przedmiotach w lokalu. Podnózek przy barze, umywalki, klamki, kasa. Cholera, pisuar też jest metalowy. Jak ktoś sika, to prąd przeskoczy po strumieniu na fiuta?

-Nie rozumie pan, nic nie rozumie! - lamentował bezdomny, zachowując się jeszcze dziwniej. - Tam nie jest bezpiecznie. Patrz pan na ulicę. Niebezpiecznie. Ten skurwiel z kablami... Zaczekam tu, aż będzie bezpiecznie.

R.C., barman, Janie, bilardziści i faceci z firmy kurierskiej - wszyscy patrzyli przez okno. Gra przy stołach została zawieszona. R.C. stracił zainteresowanie osobą Janie.

- Niebezpiecznie. Poproszę wódkę z colą.
- Wynocha. Nie będę powtarzał.
- Myślicie, że nie zapłacę. Patrzcie, mam pieniądze.

Co to jest, nie forsa?

Jego zapach rozszedł się w całym barze. Był odrażający.

Czasem możesz się spalić na śmierć...

- Facet z kablami, facet z kablami...
- Wypieprzaj stąd. Ktoś ci jeszcze ukradnie ten cholerny wózek.
- Nigdzie nie idę. Nie możecie mnie wyrzucić. Nie dam się spalić prądem.
- Wynocha.

- Nie! - Obleśny gnojek rąbnął pięścią w bar. - Nie chcecie mnie obsługi... nie chcecie mi nic podać - poprawił - bo jestem czarny.

R.C. dostrzegł jakiś błysk na ulicy. Wstrzymał oddech. Ale zaraz się uspokoił. To był tylko refleks na szybkie przejeżdżającego samochodu. Świadomość, że tak się dał nastraszyć, jeszcze bardziej go zdenerwowała.

- Nie chcemy cię obsłużyć, bo jesteś śmierdzącą gnidą. Wynocha.

Bezdomny zebrał wszystkie wymięte banknoty i lepkie monety. W sumie miał pewnie ze dwadzieścia dolarów.

- Sam jesteś gnida - mruknął. - Wyrzucisz mnie, wyjdę na ulicę i mnie spali.

- Zabieraj swoją forszę i spadaj. - Stipp wyciągnął kij bejsbolowy i pokazał lumpowi.

Ten w ogóle się nie przejął.

- Jak mnie wyrzucicie, opowiem wszystkim, co się tutaj dzieje. Myślicie, że nie wiem? Widziałem, jak się gapisz na pannę Cycatkę. Wstydzilibyś się, przecież nosisz obrączkę. Ciekawe, co na to pani Gnidowa...

R.C. złapał go obiema rękami za obrzydliwą kurtkę.

Bezdomny skrzywił się i wrzasnął:

-Nie, nie bij mnie! Nie wolno ci mnie bić. Jestem gliną, rozumiesz, agentem!

- To bardzo miło, bydlaku. Żaden z ciebie gliniarz. - R.C. zaśmiał się złowrogo i odsunął, żeby uderzyć go bykiem.

Ale zanim zdążył zadać cios, zobaczył przed nosem legitymację FBI. Tuż za nią pojawiła się lufa glocka.

- O żeż kurwa mać - mruknął R.C.

Jeden z dwóch białych, którzy weszli do baru tuż przed bezdomnym, powiedział:

- Byliście świadkami, Fred. Próbował czynnej napaści, mimo że przedstawiłeś się jako funkcjonariusz organów ścigania. Możemy już wracać do pracy?

- Dzięki, panowie. Resztą sam się zajmę.

Rozdział 66

red Dellray usiadł w kącie klubu bilardowego na rozchwianym

krześle, które odwrócił oparciem do chłopaka. Był dzięki temu trochę mniej groźny - dzieliło ich oparcie - i tyle wystarczyło, ponieważ agent nie chciał, by strach odebrał R.C. zdolność logicznego myślenia.

Musiał jednak napędzić mu lekkiego stracha.

- Wiesz, kim jestem, R.C.?

Westchnienie wstrząsnęło całym chudym ciałem chłopaka.

- Nie, to znaczy, wiem, że jest pan tajnym agentem FBI, ale nie wiem, dlaczego się pan na mnie uwziął.

Dellray ciągnął, jak gdyby go nie słyszał:

- Otóż jestem chodzącym wykrywcą kłamstw. Pracuję w tej branży tak długo, że wystarczy mi popatrzeć na dziewczynę, jak mówi: „Chodźmy do domu się pobzykać”, i od razu wiem, że myśli sobie: „Zanim tam dojdziemy, będzie taki urżnięty, że będę sobie mogła pospać”.

- Tylko się broniłem. Zmusił mnie pan do tego.

- Jasne, zmusiłem. Możesz teraz nie puszczać pary z ust i zaczekać na adwokata, żeby przyszedł i potrzymał cię za rączkę. Możesz nawet zadzwonić do budynku federalnego i złożyć na mnie skargę. Ale tak czy inaczej, wiadomość dotrze do twojego tatusia w Sing-Sing, że synuś dokucza agentowi FBI. I tatuś pomyśli, że chociaż zostawił ci tylko ten zapluty bar, żebyś miał na niego oko, dopóki on nie wyjdzie z pudła, i ma nadzieję, że nie dasz dupy, to dałeś.

Dellray patrzył, jak chłopak się wije.

- Rozumiemy się?

- Czego pan chce?

Żeby R.C. nie poczuł się zbyt swobodnie, wiedząc, że rozdziela ich oparcie krzesła, Dellray walnął go dłonią w udo i mocno zacisnął palce.

-Au! Czemu pan to robi?

- Badali cię kiedyś wariografem, R.C.?

- Nie, adwokat ojca mówił, żeby nigdy...

- To pytanie re-to-rycz-ne - wyjaśnił Dellray, choć wcale nie było. Chciał po prostu zasiał w nim ziarno strachu, które eksplodowałyby jak granat z gazem łzawiącym, rzucony w tłum demonstrantów.

Agent jeszcze raz zacisnął rękę na nodze chłopaka. Nie mógł powstrzymać myśli: no i co, McDaniel, nie da się tego zrobić, kiedy podsłuchujesz strefę cienia, co?

Szkoda. Bo to znacznie fajniejsze.

Fred Dellray znalazł się w klubie dzięki jednej osobie: Serenie. Przysługa, o którą go poprosiła, nie miała nic wspólnego ze sprzątnięciem piwnicy. Chodziło o to, żeby się ruszył. Serena zaprowadziła go na dół, do zagraconego składziku, gdzie trzymał swoje kostiumy z czasów pracy pod przykryciem. Znalazła jeden, zapakowany szczelnie w pokrowiec, w jakim przechowuje się suknie ślubne. Był to kostium Bezdomnego Menela, nasączony stosownym zapachem pleśni i odpowiednią dozą ludzkich woni - plus odrobina kociego moczu. Wystarczyłoby usiąść w tym stroju obok podejrzanego, żeby sam przyznał się do winy.

- Straciłeś informatora - powiedziała Serena. - Przestać użalać się nad sobą i idź go wytropić. Jeżeli nie będziesz go mógł znaleźć, to dowiedz się tego, czego on się dowiedział.

Dellray uśmiechnął się, przytulił ją i poszedł się przebrać. Gdy wyszedł w kostiumie, Serena powiedziała:

- Ale zalatujesz, synu. -1 figlarnie trzepnęła go w tyłek. Naprawdę bardzo niewielu ludziom było dane wykonać kiedykolwiek ten gest wobec Freda Dellraya.

Wyszedł na ulicę.

William Brent był mistrzem zacierania śladów, lecz Dellray był mistrzem ich odnajdywania. Dowiedział się, że Brent być może naprawdę zajął się sprawą, co nie wróżyło źle. Odtwarzając jego poczynania, odkrył, że informator istotnie natrafił na trop prowadzący do Galta albo „Sprawiedliwości dla Ziemi”, albo do czegoś związa-

- No, R.C., mój przyjacielu, co mi jeszcze o nim powiesz? Biały van, dopiero co przyjechał do miasta, wielka czterdziestkapią^a Stuknął kogoś z niewiadomych przyczyn.

- Może najpierw go porwał... Z kimś takim lepiej nie zadzierać To się rozumiało samo przez się.

- No więc ten cały Bill - ciągnął R.C. - słyszał, że mam znajomości, i trafił do mnie. Proste jak drut.

-Drut.

- Tak. Ale nie taki, jakim ten gnojek puszcza prąd i zabija ludzi. -Ach, nie taki? - odrzekł Dellray, ale R.C. nie zwrócił uwagi

na jego ironiczny ton. - Bo masz znajomości, prawda, synu? Wiesz wszystko o tej dzielnicy, tak? Jesteś Ethel Mertz na Lower East Side. -Kto?

- Mów dalej.

- No dobra, rzeczywiście coś słyszałem. Lubię wiedzieć, kto tu bywa, jakie historie może wykręcić. W każdym razie słyszałem o tym koleśiu, jak mówił Bill. Wysłałem go tam, gdzie koleś mieszkał.

1 tyle. To wszystko.

Dellray wierzył chłopakowi.

- Daj mi ten adres.

Spełnił polecenie. Facet mieszkał na zapyziałej uliczce niedaleko stąd.

- Mieszkanie jest w suterenie.

- Dobra, to mi na razie

wystarczy. -Ale...

- Nic nie powiem tatusiowi. Nie martw się. Chyba że robisz mnie w konia.

- Nie, naprawdę.

Kiedy Dellray stał u drzwi, R.C. zawołał:

- To nie było tak, jak pan

myśli! Agent odwrócił się.

-Nie chcieliśmy pana obsłużyć, bo pan cuchnął. Nie dlatego, że jest pan czarny.

Pięć minut później Dellray zbliżał się do budynku, który wskazał mu R.C. Zastanawiał się, czy wezwać wsparcie, ale uznał, że na **razie** nie. Praca na ulicy wymagała finezji, nie syren, oddziałów **szturmo- ^rych** i Tuckera McDaniela. Dellray kroczył ulicami na swoich długich nogach, przedzierając się przez gęsty tłum. Jak zwykle myślał: **jest** środek dnia. Gdzie, do cholery, ci wszyscy ludzie pracują? Skręcił za róg, potem za następny i dał nura w alejkę, aby podejść do **mieszkania** od tyłu.

Spojrzał w głąb ciemnego, zalatującego zgnilizną kanionu.

Zobaczył białego mężczyznę w czapce i workowatej koszuli, który niedaleko zamiatał bruk. Dellray policzył numery; był tuż za domem, **do** którego R.C. wysłał Williama Brenta.

Dziwne, pomyślał agent. Ruszył w głąb alejki. Mężczyzna z miotłą **obrócił** w jego stronę lustrzane okulary, po czym wrócił do zamiatania. Dellray przystanął obok niego, marszcząc brwi i rozglądając się **dookoła**. Próbował coś z tego zrozumieć.

Wreszcie zamiatacz burknął:

- Co tu, kurwa, robisz?

- Powiem ci - odparł Dellray. - Po pierwsze, patrzę na gliniarza **w** cywilu, który z diabli wiedzą jakiego powodu próbuje się nie rzucać **w** oczy, zamiatając bruk w dzielnicy, gdzie przestali zamiatać bruk jakieś sto trzydzieści lat temu. - Dellray pokazał legitymację.

- Dellray? Słyszałem o tobie. - Obronnym tonem policjant dodał: - Robię tylko to, co mi kazali. Prowadzimy tu obserwację.

- Obserwację? Dlaczego? Co to za mieszkanie?

- Nie wiesz?

Dellray przewrócił oczami.

Kiedy policjant mu powiedział, Dellray zamarł. Ale tylko **na** moment. Kilka sekund później zerwał z siebie cuchnący kostium i wrzucił go do kubła na śmieci. Ruszając biegiem w kierunku stacji metra, dostrzegł

osłupiałą minę gliniarza. Przypuszczał, że zaskoczył **go** albo sam akt striptizu, albo fakt, że pod spodem miał jasnozielony welurowy dres. Przypuszczał, że jedno i drugie.

Rozdział 67

ów, Rodolfo.

M - Być może mamy dobre wieści, Lincoln. Ludzie Artura Diaza jechali za Zegarmistrzem do Gustavo Madero. To jest *delegación* na północy miasta - czyli dzielnica jak na przykład wasz Bronx. Mało przyjemna i Arturo sądzi, że tam są wspólnicy, którzy mu pomagają.

-Ale wiecie, gdzie jest?

- Przypuszczają, że tak. Znaleźli samochód, którym uciekł - byli najwyżej trzy, cztery minuty za nim, ale nie mogli się przebić przez ruch, żeby zatrzymać jego wóz. Widziano go w dużym apartamentowcu niedaleko centrum *delegación*. Właśnie je zamykają. Przeprowadzimy dokładne przeszukanie. Niedługo będę mógł przekazać więcej informacji.

Rhyme rozłączył się, usiłując opanować niecierpliwość i niepokój. Uwierzył, że Zegarmistrz został aresztowany, dopiero gdy zobaczy go przed obliczem nowojorskiego sądu.

Nie podniosła go na duchu rozmowa z Kathryn Dance. Gdy zadzwonił do niej z najnowszymi wieściami, odrzekła:

- Gustavo Madero? Parszywe miejsce, Lincoln. Byłam w Meksyku w sprawie ekstradycji. Jechaliśmy przez tę dzielnicę. Cieszyłam się, że samochód się nie zepsuł, mimo że obok siebie miałam dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy federalnych. Przypomina labirynt. Łatwo się tam ukryć. Ale dobra wiadomość jest taka, że **mieszkańcy** dzielnicy absolutnie nie życzą sobie policji. Jeżeli więc Luna pošle tam autobus oddziałów prewencji, miejscowi szybko wydadzą mu Amerykanina.

Rhyme obiecał, że będzie ją informował na bieżąco, i zakończył **rozmowę**. Zmęczenie i oszołomienie

wywołane atakiem dysrefleksji **znów** dały znać o sobie. Oparł głowę na zagłówku wózka.

No już, skup się! - rozkazał sobie. Od siebie, tak samo jak **od** innych, zawsze wymagał studziesięcioprocentowego zaangażowania. Ale zupełnie nie czuł się na tyle.

Zerknął na Rona Pułaskiego siedzącego przy stole z dowodami i myśli o Zegarmistrzu zeszły na drugi plan. Młody funkcjonariusz **poruszał** się dość powoli. Rhyme przyglądał mu się z troską. Porażenie paralizatorem musiało być naprawdę silne.

Z uczuciem troski mieszało się jednak inne, które towarzyszyło mu przez ostatnią godzinę: wyrzuty sumienia. Pułaski i Sachs omal nie wpadli w pułapkę zastawioną przez Galta w szkole tylko z winy Rhyme'a. Sachs bagatelizowała to zdarzenie, Pułaski również.

- Poraziła mnie, bracie - powiedział ze śmiechem. Miał to być chyba jakiś żart, bo wywołał uśmiech na twarzy Mela Coopera, lecz Rhyme nie rozumiał, o co chodzi. Nie był też bynajmniej w nastroju do żartów. Był oszołomiony i zdezorientowany... nie tylko z powodu niedawnego ataku dysrefleksji. Nie potrafił się otrząsnąć z poczucia porażki, że zawiódł Sachs i nowego.

Siłą woli skoncentrował się na dowodach zebranych w szkole. Kilka torebek próbek, parę części elektronicznych. I najważniejszy dowód - generator. Lincoln Rhyme uwielbiał duże, masywne urządzenia. Ich transport wymagał kontaktu fizycznego, po którym na przedmiocie pozostawały liczne odciski palców, włókna, włosy, kropelki potu i komórki skóry oraz inne ślady. Generator zamocowano na wózku na kółkach, mimo to,

2 Aluzja do zdarzenia z udziałem Andrew Meyera, studenta Uniwersytetu ^{na} Florydzie, który brał udział w spotkaniu z kandydatem na urząd prezydenta Johnem Kerrym. Policja uznała, że zbyt natarczywie zadaje pytania, i wyprowadziła studenta z sali, używając paralizatora. Meyer miał krzyknąć do jednego z obezwładniających go funkcjonariuszy: „Nie porażaj mnie, bracie” (przyp. tłum.).

aby go na nim umieścić, trzeba było włożyć sporo wysiłku.

Zadzwoił telefon Rona Pułaskiego. Nowy zerknął na Rhyme'a, Po czym ruszył do kąta, aby odebrać. Mimo wyraźnego osłabienia jego twarz zaczęła się rozjaśniać. Rozłączył się i przez chwilę stał, patrząc przez okno. Choć Rhyme nie znał treści rozmowy, nie zdziwił się, gdy młody człowiek podszedł do niego z miną skruszonego winowajcy.

- Muszę ci coś powiedzieć, Lincoln. - Zerknął także na Lona Sellitta.

- Aha? - rzucił w roztargnieniu Rhyme. Gdyby to słowo padło z ust młodego policjanta, zapewne zgromiłby go wzrokiem.

- Wcześniej nie bardzo byłem z tobą szczery.

- Nie bardzo?

- No dobra, nie byłem.

- W jakiej sprawie?

Przebiegając spojrzeniem tablice z dowodami i profilem Raya Galta, rzekł:

- W sprawie wyników testu DNA. Wiem, że nie były nam potrzebne. To był pretekst. Pojechałem zobaczyć Stanleya Palmera.

- Kogo?

- Tego człowieka w szpitalu, którego potrąciłem samochodem.

Rhyme'a ogarnęło zniecierpliwienie. Dowody czekały. Wydawało

się jednak, że to ważne dla chłopaka. Skinął głową.

- Dobrze z nim?

- Jeszcze nie wiedzą. Po pierwsze, chciałem cię przeprosić, że nie powiedziałem prawdy. Zamierzałem, ale to mi się wydawało takie... nieprofesjonalne.

-1 słusznie.

- Ale to nie wszystko. Kiedy byłem w szpitalu, poprosiłem pielęgniarkę o jego numer ubezpieczenia i

inne dane osobiste. Wiesz, co się okazało? Był skazany.
Trzy lata odsiadki w Attica. Miał długą listę.

- Naprawdę? - zdumiała się Sachs.
- Aha... to znaczy, tak. I jest na niego nakaz.
- Poszukiwany - powiedział w zamyśleniu Rhyme.
- Za co? - spytał Sellitto.
- Napad, kradzież i paserstwo.

Wymięty detektyw parsknął gromkim śmiechem.

- Puknąłeś go wozem za kratki. Dosłownie. - Znowu się zaśmiał i spojrzał na Rhyme'a, który nie zamierzał mu zawtórować.

- Dlatego tak nagle poweselałeś? - spytał kryminalistyk.

- Nie cieszę się, że zostałem ranny. Nawaliłem tak czy inaczej.

-Ale gdybyś musiał kogoś potraścić, to wolałbyś jego niż ojca czworga dzieci.

- No, tak - odrzekł Pułaski.

Rhyme miał coś więcej do powiedzenia na ten temat, ale nie było to odpowiednie miejsce i czas.

- Ważne, że nie będziesz już taki rozkojarzony, tak?

- Nie będę.

- Dobrze. Skoro mamy za sobą tę łzawą operę mydlaną, może wreszcie weźmiemy się do pracy. - Spojrzał na cyfrowy zegar. Była trzecia po południu. Rhyme czuł presję czasu, która wywoływała w laboratorium... napięcie jak w liniach przesyłowych. Znali tożsamość sprawcy i jego adres, ale nie mieli żadnych konkretnych tropów co do miejsca jego pobytu. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi.

Chwilę później pojawił się Thom z Tuckerem McDanielem, któremu tym razem nie towarzyszył adiutant przyboczny. Rhyme natychmiast odgadł, co agent ma im do przekazania. Odgadli zapewne wszyscy obecni.

- Nowe żądania? - spytał Rhyme.

- Tak. I tym razem naprawdę podbił stawkę.

Rozdział 68

aka jest godzina ultimatum? - zapytał Sellitto.

J - Wpół do siódmej wieczorem.

- Mamy trochę ponad trzy godziny. Czego chce?

- Chyba zwariował. Żąda znacznie więcej niż w pierwszych dwóch listach. Mogę skorzystać z komputera?

Rhyme ruchem głowy wskazał mu terminal.

Agent postukał w klawiaturę i po chwili list ukazał się na ekranie. Rhyme nie widział go zbyt wyraźnie. Zamrugał oczami i pochylił się w stronę monitora.

Do Algonquin Consolidated Power i prezesa And i Jessen

Wczoraj około 18.00 w biurówcu na 54. Zachodniej 235 zdalnie sterowany przełącznik skierował prąd o napięciu 13 800 woltów z lokalnej sieci rozdzielczej do podłogi windy, a przewód zerowy podłączono do kasety z przyciskami w kabinie. Kiedy kabina zatrzymała się nad poziomem parteru, jeden z pasażerów dotknął kasety, żeby wcisnąć przycisk alarmowy, obwód został zamknięty i osoby w kabinie zginęły.

Dwa razy prosiłem was, żebyście okazali dobrą wolę i zredukowali moc. Dwa razy odmówiliście. Gdybyście spełnili to, czego się słusznie domagałem, nie ściągęlibyście takich cierpień na ludzi, których nazywacie swoimi klientami. Bez skrupułów zlekceważyliście moje prośby, a zapłacił za to ktoś inny.

W1931 roku, gdy zmarł Thomas A. Edison, jego współpracownicy poprosili o wyłączenie zasilania w mieście na sześćdziesiąt sekund, aby w ten sposób uczcić pamięć człowieka, który stworzył sieć energetyczną i dał światło milionom ludzi. Miasto nie wyraziło zgody.

Zwracam się z taką samą prośbą - nie z szacunku dla człowieka, który STWORZYŁ sieć, ale dla ludzi, których sieć NISZCZY - którzy chorują przez linie przesyłowe i zanieczyszczenia spowodowane spalaniem węgla i promieniowaniem, którzy tracą domy z powodu trzęsień ziemi, wywołanych wierceniami w poszukiwaniu źródeł geotermalnych i budową zapór w naturalnych korytach naszych rzek, którzy padają ofiarą oszustw takich firm jak Enron. Lista jest nieskończenie długa.

Inaczej niż w 1931 roku, domagam się, żebyście zamknęli całą sieć Northeastern Interconnection na cały dzień. Dzisiaj o 18.30.

Jeżeli to zrobicie, ludzie przekonają się, że nie potrzebują tyle energii, ile co dzień zużywają. Przekonają się, że kieruje nimi chciwość i pazerność, które chętnie wykorzystujecie. Dlaczego? Oczywiście dla ZYSKU.

Jeżeli tym razem zignorujecie moją prośbę, konsekwencje będą o wiele poważniejsze niż te drobne zdarzenia z wczoraj i przedwczoraj, a życie straci dużo więcej osób.

*R.
Galt*

- Absurd - powiedział McDaniel. - Dojdzie do chaosu, zamieszek, plądrowania sklepów. Gubernator i prezydent pozostają niewzruszeni. Żadnych ustępstw.

- Gdzie list? - spytał Rhyme.

- Tu, gdzie go widzicie. Przyszedł e-mailem.

- Do kogo go wysłał?

- Do Andi Jessen - osobiście. I do firmy. Do skrzynki biura ochrony.

- Da się ustalić źródło?

- Nie. Użył serwisu proxy w Europie. Wygląda na to, że planuje jakiś zmasowany atak. - McDaniel uniósł wzrok. - Waszyngton zaangażował się już poważnie. Ci senatorowie - którzy współpracują z prezydentem w

sprawie energii odnawialnej - przyjeżdżają do miasta wcześniej. Chcą się spotkać z burmistrzem. Przyjeżdża też wicedyrektor FBI. Wszystko koordynuje Gary Noble. Wysłaliśmy na ulice jeszcze więcej agentów i żołnierzy. Komendant policji zmobilizował dodatkowy tysiąc funkcjonariuszy. - Przetarł oczy. - Lincoln, mamy ludzi i broń, ale potrzebujemy jakiegokolwiek wskazówki, gdzie może być następny zamach. Co masz? Musimy mieć jakiś konkret.

McDaniel przypominał w ten sposób Rhyme'owi, że oddał mu sprawę w zamian za zapewnienia, że jego stan zdrowia nie będzie przeszkodą dla śledztwa.

Od wejścia do wyjścia...

Rhyme dostał to, czego chciał - śledztwo. Mimo to nie udało mu się znaleźć sprawcy. Co więcej, to właśnie przez stan jego zdrowia, który, jak zapewniał McDaniela, nie będzie żadnym problemem, omal nie zginęli Sachs, Pułaski i kilkunastu funkcjonariuszy ESU.

Spoglądając w ugrzecznioną twarz agenta i jego oczy drapieźnika, odrzekł spokojnie:

- Mam kolejne dowody do zbadania.

Po krótkim wahaniu McDaniel machnął ręką w niejasnym geście.

- W porządku. Badaj.

Rhyme już odwrócił wózek w stronę Coopera. Wskazał głową dyktafon cyfrowy, na którym nagrano jęki „ofiary”.

-Analiza fonoskopijna.

Technik wziął aparat w lateksowych rękawiczkach, podłączył go do komputera i wstukał odpowiednie polecenia. Po chwili, patrząc na sinusoidy na ekranie, powiedział:

- Głośność i jakość sygnału wskazują, że to nagranie z programu telewizyjnego. Z kablówki.

- Marka dyktafonu?

- Sanoya. Chiński. - Znów zaczął stukać w klawisze i spojrzął w nową bazę danych. - Sprzedawany w około

dziesięciu tysiącach sklepów w kraju. Brak numeru seryjnego.

- Coś jeszcze?

- Żadnych odcisków palców i innych śladów z wyjątkiem taramo- salaty.

- Generator?

Cooper i Sachs starannie zbadali urządzenie, tymczasem McDaniel rozmawiał przez telefon i kręcił się w kącie laboratorium. Generator, model Power Plus, wyprodukowała firma Williams-Jonas z New Jersey.

- Skąd pochodzi? - zapytał Rhyme.

- Zobaczmy - odrzekła Sachs.

Po dwóch rozmowach telefonicznych - z miejscowym reprezentantem handlowym firmy oraz przedsiębiorstwem budowlanym, do którego ich odesłano - okazało się, że urządzenie zostało skradzione z budowy na Manhattanie. Zdaniem miejscowego posterunku, nie natrafiono na żaden trop złodzieja. Na budowie nie było kamer.

- Mam tu jakiś ciekawy ślad - oznajmił Cooper. Umieścił próbkę w chromatografie. Maszyna zaczęła szumieć.

- Coś wychodzi... - Cooper nachylił się nad ekranem. - Hmm.

Na takie monosylaby Rhyme zwykle reagował zgryźliwym spojrzeniem, mówiąc: „Co to znaczy?”. Wciąż jednak czuł się zmęczony i roztrzęsiony po ataku, więc cierpliwie czekał na wyjaśnienia technika.

- Chyba niczego takiego wcześniej nie widziałem - odezwał się w końcu Cooper. - Duża ilość kwarcu i trochę chlorku amonu. W proporcji dziesięć do jednego.

Rhyme znał odpowiedź.

- Preparat do czyszczenia miedzi.

- Do przewodów miedzianych? - podsunął Pułaski. - Galt je czyści?

- Niezła myśl, nowy. Ale nie jestem pewien. - Nie przypuszczał, żeby elektrycy czyścili przewody. Poza tym, jak wyjaśnił, na ogół używa się tego środka do czyszczenia miedzianych elementów budynków. - Co jeszcze, Mel?

- Jakiś kamienny pył, którego zwykle nie spotyka się na Manhattanie. Terakota. - Cooper patrzył w okulary mikroskopu. -1 granulki, które wyglądają mi na biały marmur.

- Zamieszki policji z pięćdziesiątego siódmego - wypalił Rhyme. - Z tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego.

- Co? - zdumiał się McDaniel.

- Pamiętacie sprawę Delgado? Tę sprzed kilku lat?

- Och, jasne - powiedziała Sachs.

- Pracowaliśmy nad nią? - zapytał Sellitto.

Grymas Rhyme'a był czytelny: nieważne, kto nad nią pracował. Ani kiedy. Funkcjonariusze kryminalistyki - właściwie wszyscy funkcjonariusze policji - muszą znać wszystkie duże sprawy w mieście, dawne i obecne. Im więcej danych wprowadza się do mózgu, tym większe prawdopodobieństwo skojarzenia, które pomoże w obecnym śledztwie.

Zadanie

domowe...

Wyjaśnił: przed kilku laty cierpiący na schizofrenię paranoidalną Stephen Delgado zaplanował serię morderstw, które miały naśladować zdarzenia z 1857, gdy starły się dwie konkurencyjne policje nowojorskie. Szaleniec wybrał to samo miejsce, w którym sto pięćdziesiąt lat wcześniej doszło do walk: City Hall Park. Złapano go już po pierwszym zabójstwie, ponieważ Rhyme wytropił go w mieszkaniu na Upper West Side, gdzie Delgado pozostawił ślady środka do czyszczenia miedzi, terakoty z budynku Woolworth oraz pyłu z białego marmuru, pochodzące z gmachu sądów miejskich, gdzie wówczas, tak samo jak teraz, przeprowadzano remont.

- Myślisz, że chce urządzić zamach na ratusz? - spytał rozgorączkowany McDaniel, opuszczając bezwładnie rękę, w której trzymał telefon.

- Myślę, że jest jakiś związek. Tylko tyle można powiedzieć. Zapiszcie to na tablicy i zastanowimy się nad tym. Co jeszcze masz z generatora?

- Znowu włos. - Cooper pokazał pęsetę. - Jasny, ponad dwadzieścia centymetrów długości. - Wsunął włos pod mikroskop, wolno przesuwając w górę i w dół płytkę na stoliku. - Niefarbowany. Naturalny blond. Brak odbarwień i śladów przesuszenia. Moim zdaniem, należał do kogoś poniżej pięćdziesiątki. Na jednym końcu lekkie załamanie światła. Mógłbym sprawdzić w chromatografie, ale jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że to...

- Lakier do włosów.

- Zgadza się.

- Prawdopodobnie kobieta. Co jeszcze?

- Jeszcze jeden włos. Brązowy, krótszy. Przyszyty. Też ktoś poniżej pięćdziesiątki.

-Czyli nie Galta - rzekł Rhyme. - Może mamy człowieka ze „Sprawiedliwości dla Ziemi”. Albo pojawił się ktoś inny. Jedź dalej.

Następne wiadomości były mniej optymistyczne.

- Latarkę mógł kupić w tysiącu sklepów. Żadnych śladów ani odcisków palców. Sznurek też zwykły. Wiesz, jaki kabel podłączył do drzwi szkoły? Benningtona, taki sam, jakiego używa od początku. Śruby zwykłe, ale też podobne do tamtych.

Patrząc na generator, Rhyme uświadomił sobie, że jego myśli wirują z zawrotną prędkością. Jednym z powodów był atak, jaki niedawno przeszedł. Drugi jednak miał związek ze sprawą. Coś tu było nie tak. Brakowało kawałków układanki.

Odpowiedź musiała się kryć w dowodach. Równie ważne było ustalenie, czego w nich nie ma. Rhyme przeglądał zapisy na tablicach, starając się zachować spokój. Nie dlatego, żeby zgodnie z zaleceniem lekarza zapobiec kolejnemu napadom dysrefleksji; chodziło o to, że nic skuteczniej nie zaślepia niż stan desperacji.

Profil

Zidentyfikowany jako Raymond Galt, 40 lat, samotny, zamieszkały na Manhattanie, Suffolk Street 227

Powiązania z terroryzmem? Z organizacją „Sprawiedliwość dla Ziemi”? Podejrzana grupa ekoterrorystyczna? Brak profilu w krajowych i międzynarodowych bazach danych. Nowa? Podziemna? Udział kogoś o imieniu Rahman. Także Johnston. Zaszifrowane informacje o nakładach pieniężnych, przepływach osób i czymś „dużym”
Możliwy związek z nielegalnym wejściem do budynku podstacji Algonquin w Filadelfii Trafienia SIGINT: kryptonim „artykuły papiernicze”, oznaczający broń (palną, materiały wybuchowe?)

Udział

mężczyzny i

kobiety Rola

Galta nieznana

Cierpi na nowotwór: obecność winblastyny i prednizonu w znacznych ilościach, ślady etopozydu. Białaczka Galt uzbrojony w pistolet wojskowy Colt M1911, kaliber .45

Udaje pracownika technicznego w ciemnobrązowym kombinezonie. Może też ciemnozielonym?

Nosi beżowe skórzane rękawiczki

**Miejsce zdarzenia: Podstacja Algonquin
Manhattan-10, 57. Zachodnia**

Ofiara (śmiertelna): Luis Martin, zastępca kierownika sklepu muzycznego Brak odcisków palców na jakiegokolwiek powierzchni Odłamki metalu stopionego w wyniku wyładowania łukowego Izolowany kabel wielożyłowy, aluminiowy, 0 AWG Bennington Electrical Manufacturing, AM-MV-60, maksymalne napięcie 60 000 V Przycięty ręcznie piłą do metalu, nowy brzeszczot, złamany ząb Dwie śruby widełkowe, z otworami średnicy % cala

Nie do zidentyfikowania Na śrubach
charakterystyczne ślady po narzędziach
Mosiężny szynoprzewód, przymocowany do kabla
dwoma śrubami 1/4 cala

Żaden z przedmiotów nie do
zidentyfikowania Ślady butów

Albertson-Fenwick, model E-20 do pracy przy
instalacjach elektrycznych, rozmiar 11 Metalowa
kratownica, przecięta przez sprawcę w celu przedostania
się do stacji, charakterystyczne ślady po szczypcach
przegubowych do drutu Kłapa w fazy z futryną z piwnicy
Zebrane DNA, przestane do badania Greckie danie,
taramosalata Jasny wtos długości 2,5 cm, naturalny,
pochodzący od osoby 50-letniej lub młodszej, znaleziony
w barze naprzeciw budynku podstacji Wystany do analizy
chemiczno-toksykologicznej Ślady mineralne: popiół
wulkaniczny

Niewystępujący w Nowym Jorku w stanie naturalnym
Wystawy, muzea, instytuty geologii? Wejście do systemu
komputerowego w centrum sterowania Algonquin za
pomocą wewnętrznych kodów dostępu, brak udziału
hakerów z zewnątrz

List z żądaniami

Dostarczony do domu
Andi Jessen Brak
świadków Napisany
ręcznie
Przestany do Parkera
Kincaida do analizy Zwykły
papier i atrament Nie do
zidentyfikowania
Brak odcisków palców oprócz odcisków A.
Jessen, portiera i gońca Brak zauważalnych
mikrośladów na papierze

Miejsce zdarzenia: hotel Battery Park i okolice

Ofiary (śmiertelne): Linda Kepler, Oklahoma City, turystka Morris Kepler, Oklahoma City, turysta Samuel Vetter, Scottsdale, biznesmen Ali Mamoud, Nowy Jork, kelner Gerhard Schiller, Frankfurt, Niemcy, pracownik agencji reklamowej Zdalny sterownik do włączenia prądu

Źródło pochodzenia elementów nie do wykrycia Kabel Benningtona i śruby widełkowe, identyczne jak w pierwszym zamachu Kombinezon Algonquin, kask i torba z narzędziami Galta, tylko jego odciski palców Klucz z nacięciami, które odpowiadają śladom na śrubach z pierwszego miejsca zdarzenia Okrągły pilnik ze szklanym pyłem odpowiadającym butelce znalezionej w podstacji

w Harlemie prawdopodobnie pracował sam Ślady zebrane z ubrania pracownika Algonquin, Joeya Barzana, którego napadł Galt Paliwo do silników odrzutowych i alternatywne paliwo lotnicze Zamach na bazę wojskową?

Miejsce zdarzenia: mieszkanie Galta, Suffolk Street 227, Lower East Side

Długopisy Bic Soft Feel, niebieski tusz, odpowiadający tuszowi, którym napisano list z żądaniami Zwykły biały papier do drukarek papier formatu 8 1/2 x 11 cali, odpowiadający listowi z żądaniami Zwykła koperta, rozmiar 10, odpowiadająca kopercie z listem z żądaniami Przegubowe szczypce do drutu, pitka do metalu z nacięciami odpowiadającymi narzędziom użytym w pierwszym miejscu zdarzenia Wydruki komputerowe: Artykuły o badaniach medycznych nad

związkiem raka z liniami wysokiego napięcia Wpisy na blogach autorstwa Galta na ten sam temat Buty Albertson-Fenwick, model E-20 do pracy przy przewodach pod napięciem, rozmiar

11, z takim samym protektorem jak ślady w pierwszym miejscu zdarzenia Dodatkowe ślady paliwa do silników odrzutowych i lotniczego biopaliwa

Atak na bazę militarną? Brak jednoznacznych wskazówek na temat kryjówki sprawcy i celów następnym zamachów

Miejsce zdarzenia: Podstacja Algonquin MH-7, 119. Wschodnia, Harlem

Koktajl Molotowa: butelka 750 ml, brak źródła pochodzenia Paliwo: benzyna BP

Lont: paski bawełny, prawdopodobnie z białego T-shirtu, źródło pochodzenia nieustalone

Drugi list z żądaniami

Dostarczony Bernardowi Wahlowi, szefowi ochrony w Algonquin

Zaatakowany przez Galta

Brak kontaktu fizycznego; brak śladów

Brak wskazówek co do miejsca pobytu i celu następnego zamachu

Papier i tusz odpowiadają materiałom znalezionym w mieszkaniu Galta

Na papierze dodatkowe ślady paliwa do silników odrzutowych i alternatywnego paliwa lotniczego

Zamach na bazę wojskową?

Miejsce zdarzenia: biurowiec na 54. Zachodniej 235

Ofiary (śmiertelne):

Larry Fishbein, Nowy Jork, księgowy Robert Bodine, Nowy Jork, prawnik Franklin Tucker, Paramus, New

Jersey, pośrednik handlowy Ślad linii papilarnych
Raymonda Galta
Kabel Benningtona i śruby widełkowe, takie same jak w
poprzednich miejscach Dwa wyłączniki ze zdalnym
przełącznikiem własnej roboty: Jeden do odłączenia
zasilania windy Jeden do zamknięcia obwodu w kabinie
windy Śruby i mniejsze przewody łączące kasetę z
kabiną windy, źródło pochodzenia nie do ustalenia
Ofiary miały wodę na butach Ślady:
Chińskie rośliny lecznicze, żeń-szeń i jagoda licyjska
Sprężyna włosowa (plan użycia w następnych
zamachach urządzenia czasowego
zamiast zdalnego włącznika?) Ciemnozielone
włókno z wytrzymałej bawełny Zawierające ślady paliwa
i biopaliwa lotniczego Ciemnobrązowe włókno z
wytrzymałej bawełny Zawierające ślady oleju
napędowego Zawierające chińskie rośliny lecznicze

**Miejsce zdarzenia: opuszczona szkoła,
Chinatown**

Kabel Benningtona, identyczny jak w poprzednich
miejscach Generator: Power Plus produkcji firmy
Williams-Jonas, skradziony z budowy na Manhattanie

Dyktafon cyfrowy, marki Sanoya, na którym nagrano fragment programu telewizyjnego albo filmu. Telewizja kablowa «olejne ślady taramosalaty Latarka Brite-Beam

Źródło pochodzenia nie do wykrycia Ślady, związane z okolicą ratusza: Środek do czyszczenia miedzi z kwarcu i chlorku amonu Pyt z terakoty podobnej do materiału użytego w fasadach budynku w okolicy Pyt z białego marmuru Włos: długości 20 cm, jasny, lakierowany, osoby poniżej 50 lat, prawdopodobnie kobiety Włos: długości 1 cm, brązowy, osoby poniżej 50 lat

Trzeci list z żądaniami

Wystany e-mailem

Źródło pochodzenia nie do wykrycia: użył serwisu proxy w Europie

Okazało się jednak, że Rhyme był w błędzie.

To prawda, że tak jak uważał od początku, dowody w tej sprawie -jak wiele innych rzeczy - nie trzymały się kupy. Ale mylił się, przypuszczając, że klucz do rozwiązania zagadki kryje się między wierszami na ustawionych wokół tablicach. Klucz w tym momencie wpadł jak burza do laboratorium, w towarzystwie Thoma, w postaci wysokiego i chudego, spoconego mężczyzny o czarnej skórze, ubranego w jasnozielony dres.

Łapiąc oddech, Fred Dellray przywitał obecnych pośpiesznym skinieniem głowy, po czym ignorując ich, podszedł prosto do Rhyme'a.

- Muszę ci coś podzucić, Lincoln. A ty mi powiesz, czy to ma sens, czy nie.

- Fred - zaczął McDaniel. - Co ty, do cholery...

- Lincoln? - nie ustępował Dellray.

- Oczywiście, Fred, mów.

- Co myślisz o teorii, że Gait to kozioł ofiarny? Nie żyje, pewnie już od paru dni. Wszystko od początku organizuje ktoś inny.
- Rhyme milczał przez chwilę - z powodu dezorientacji po niedawnym ataku analiza koncepcji Dellraya trwała nieco dłużej. Wreszcie uśmiechnął się blado i rzekł:
- Co myślę? Myślę, że to genialne.

Rozdział 69

dpowiedź Tuckera McDaniela brzmiała jednak inaczej.
 0 - Idiotyzm. Przecież całe śledztwo opiera się na Galcie.

Sellitto go zignorował.

- Jaką masz hipotezę, Fred? Chcę ją usłyszeć.

- Mój informator nazywa się William Brent. Trafił na trop kogoś powiązanego z zamachami na sieć, może nawet kogoś, kto za tym stał. I nagle zniknął. Dowiedziałem się, że Brent zainteresował się kimś, kto niedawno przyjechał do miasta, był uzbrojony w czterdziestkę- piątkę i jeździł białym vanem. Niedawno kogoś porwał i zabił. Przez parę ostatnich dni mieszkał na Lower East Side. Dowiedziałem się gdzie. Okazało się, że to miejsce zdarzenia.

- Miejsce zdarzenia? - zdziwił się Rhyme.

- No. Mieszkanie Raya Galta.

- Ale Galt nie przyjechał niedawno do miasta - zauważyła Sachs. - Mieszka tu przez całe dorosłe życie.

- O-tóż to.

- Co ten Brent ma do powiedzenia? - spytał sceptycznie McDaniel.

- Och, nikomu nic nie powie. Bo wczoraj był w alejce za domem Galta i dał się przejechać policyjnemu radiowozowi. Leży w szpitalu, ciągle nieprzytomny.

- O Boże - wyszeptał Ron Pulaski. - W St. Vincent's?

- Zgadza się.
- To ja go potrąciłem - wykrztusił cicho Pulaski.
- Ty? - podniósł głos Dellray.
- Ale nie, to niemożliwe - dodał młody policjant. - Ten facet nazywa się Stanley Palmer.
- Aha, to on. „Palmer” to jedna z przykrywek Brenta.
- To znaczy, że nie było na niego nakazów? Że nie siedział za usi- lowanie morderstwa, za napaść z bronią?
Dellray pokręcił głową.
- Miał fałszywą kartotekę, Ron. Wrzuciliśmy ją do systemu, żeby **każdy**, kto go sprawdza, dowiedział się, że jest notowany. Najgorszą **rzeczą**, za jaką go przymknęliśmy, był współudział, i wtedy go zwerbowałem. Brent to swój człowiek. Donosił głównie dla pieniędzy. **Jeden** z najlepszych w branży.
- Co w takim razie robił z zakupami? W alejce?
- Wielu z nas używa tej techniki operacyjnej. Kiedy taszczysz ze sobą zakupy czy torby, wyglądasz mniej podejrzanie. Najlepszy jest wózek dziecięcy. Oczywiście, z lalką.
- Aha - mruknął Pulaski. - Ale... Och.
Rhyme nie miał jednak czasu zajmować się psychiką swojego policjanta. Dellray nakreślił wiarygodną teorię, wyjaśniającą niekonsekwencje, które Rhyme wyczuwał od początku śledztwa.
Szukał wilka, a powinien polować na lisa.
Ale czy to możliwe? Czy autorem zamachów rzeczywiście był ktoś inny, a Galt tylko kozłem ofiarnym?
McDaniel wyraźnie miał wątpliwości.
- Przecież byli świadkowie...
Utkwiwszy brązowe oczy w niebieskich oczach szefa, Dellray spytał:
- Wiarygodni?

- Co chcesz przez to powiedzieć, Fred? - W uprzejmym głosie agenta zabrzmiał ostry ton.

- A może ci ludzie sądzili, że to był Galt, bo powiedzieliście mediom, że to on? A media powiedziały całemu światu?

-Wkładasz okulary ochronne, kask i firmowy kombinezon... - dodał Rhyme. - Jeżeli jesteś tej samej rasy, podobnej budowy ciała i nosisz fałszywy identyfikator z własnym zdjęciem i nazwiskiem Galta... jasne, to mogło tak działać.

Sachs też zastanawiała się nad dowodami.

- Ten monter w tunelu, Joey Barzan, mówił, że zidentyfikował go na podstawie nazwiska na identyfikatorze. Nigdy nie wcześniej nie spotkał Galta. A tam było naprawdę ciemno.

- Szef ochrony Bernie Wahl - podjął Rhyme - w ogóle go nie widział, gdy przekazał mu drugi list z żądaniami. Sprawca zaszedł go od tyłu... To Galt został porwany i zamordowany - dodał. - Tak jak dowiedział się twój informator.

- Zgadza się - przytaknął Dellray.

- A dowody? - upierał się McDaniel.

Rhyme utkwiał wzrok w tablicy i pokręcił głową.

- Cholera jasna, jak mogłem tego nie zauważyć?

- Czego, Rhyme?

- Butów w mieszkaniu Galta. Pary Albertson-Fenwick.

- Przecież marka i rozmiar się zgadzają - powiedział Pułaski.

- Pewnie, że się zgadzają. Ale nie w tym rzecz, nowy. Buty były w mieszkaniu Galta. Gdyby należały do niego, nie byłyby ich tam, tylko na nogach! Monter nie miałby dwóch par nowych butów. Są drogie, a robotnicy zwykle sami je muszą kupować... Nie, prawdziwy sprawca dowiedział się, jakie buty nosi Galt, i kupił takie same. Podobnie ze szczypcami do drutu i piłą do metalu. Prawdziwy sprawca zostawił je w mieszkaniu, żebyśmy

je znaleźli. A reszta dowodów obciążających Galta, na przykład włos w barze naprzeciwko podstacji na Pięćdziesiątej Siódmej? Też był podrzucony.

- Popatrzcie na wpis z blogu - ciągnął Rhyme, wskazując głową na dokumenty, które Pułaski wydarł z drukarki Galta.

Moja historia jest typowa. Byłem monterem, a potem specmon-terem (kimś w rodzaju inspektora) w kilku firmach energetycznych i miałem bezpośredni kontakt z liniami pod napięciem ponad stu tysięcy woltów. To pola elektromagnetyczne, generowane przez nie izolowane linie przesyłowe, doprowadziły do mojej białaczki, jestem przekonany. Na dodatek udowodniono, że linie energetyczne przyciągają cząsteczki aerozolu, które prowadzą między innymi do raka, ale media w ogóle o tym nie mówią.

Trzeba uświadomić to zagrożenie wszystkim firmom energetycznym, a przede wszystkim opinii publicznej. Energetycy sami z siebie niczego nie zrobią, bo i po co? Gdyby ludzie przestali zużywać przynajmniej połowę prądu, moglibyśmy ocalić życie tysiącom osób rocznie i obciążyć ich (energetyków) większą odpowiedzialnością. A ci mogliby popracować nad bezpieczniejszymi sposobami przesyłania energii. I przestać niszczyć ziemią.

ludzie, trzeba wziąć sprawy we własne ręce!

*Raymond
Galt*

-A teraz popatrzcie na dwa pierwsze akapity pierwszego listu z żądaniami.

Wczoraj około 11.30 doszło do wyładowania łukowego na podstacji UH-10 na Pięćdziesiątej Siódmej Zachodniej na Manhattanie, stało się to w wyniku przymocowania kabla Benningtona z szyno przewodem

dwoma śrubami widelkowymi do linii za wyłącznikiem. Po odłączeniu czterech podstacji i zwiększeniu przepustowości wyłączników luk wywołał przeciążenie prawie dwustu tysięcy woltów.

Incydent stał się wyłącznie z waszej winy, z powodu waszej chciwości i egoizmu. To karygodne zachowanie, typowe dla branży energetycznej. Enron zrujnował ludziom finanse, a wasza firma rujnuje nam życie i życie ziemi. Wykorzystujecie energię elektryczną bez względu na konsekwencje i niszczyacie nasz świat, perfidnie opanowując nasze życie jak wirus, żeby nas uzależnić od tego co nas zabija.

- Jest coś charakterystycznego? - zapytał Rhyme.

Sachs wzruszyła ramionami.

- Na blogu nie ma błędów ortograficznych - zauważył Pułaski.

- Rzeczywiście, nowy, ale nie o to mi chodzi. Komputerowa korekta pisowni mogła je wyłapać i poprawić. Mówię o słownictwie.

Sachs energicznie pokiwała głową.

- Jasne. Język na blogu jest prostszy.

- Otóż to. Na blogu pisał sam Galt. Listy zostały napisane jego ręką, ale podyktowane przez prawdziwego sprawcę, człowieka, który porwał Galt'a i zmusił go do ich napisania. Sprawca mówił swoim językiem, którego Galt nie używał, bo na blogu nie napisałby słów w rodzaju „perfidny” i „karygodny”... W ostatnim liście nie ma błędów, ponieważ sprawca napisał go sam i wysłał e-mailem.

Sellitto spacerował po pokoju; podłoga skrzypiała.

- Pamiętajcie, co mówił Parker Kincaid, nasz ekspert od pisma? Że list napisał ktoś pobudzony emocjonalnie, zdenerwowany - bo mu

grożono i kazano pisać pod dyktando. Każdy by się zdenerwował. Zmusił też Galt'a, żeby dotykał kasku i

wyłączników i w ten sposób zostawił na nich swoje odciski palców.

Rhyme skinął głową.

- Założyłbym się, że wpisy na blogu są autentyczne. Cholera może właśnie dzięki nim sprawca wybrał Galta. Przeczytał, jaki Galt jest wściekły na przemysł energetyczny.

Spojrzał na dowody fizyczne: kable, śruby, nakrętki.

I na generator. Na dłuższą chwilę zatrzymał na nim wzrok.

Następnie uruchomił edytor tekstów i zaczął pisać. Czuł łupanie w skroniach i karku - tym razem jednak nie było to preludium do nadchodzącego ataku, ale znak, że serce wali mu z podniecenia.

Instynkt łowcy.

Polowanie na lisy, nie wilki...

- No tak - mruknął McDaniel, nie zwracając uwagi na dzwonek telefonu. - Jeżeli to prawda, chociaż nie sądzę, ale jeżeli tak, to kto za tym stoi?

Pisząc powoli, kryminalistyk ciągnął:

- Popatrzmy na fakty. Najpierw trzeba wykluczyć wszystkie dowody, wyraźnie związane z Galtem; założmy przez chwilę, że zostały podzucone. Czyli pomijamy krótki jasny włos, narzędzia, buty, kombinizon, torbę, kask, odciski palców. Wszystko skreślamy.

No więc co zostaje? Mamy powiązanie z Queens - taramosala- ta. Próbował zniszczyć klapę wjazdu, na której znaleźliśmy te ślady, wiemy więc, że to prawdziwy dowód. Mamy pistolet. Wynika z tego, że prawdziwy sprawca ma dostęp do broni. Mamy geograficzny związek z okolicą ratusza - ślady znalezione na generatorze. Mamy dwa włosy - długi blond i krótki brązowy. To wskazuje na dwójkę sprawców. Jeden to na pewno mężczyzna, przygotowujący zamachy. Drugi nieznany, ale prawdopodobnie kobieta. Co jeszcze wiemy?

- Jest spoza miasta - zauważył Dellray.
- Zna się na łukach elektrycznych i zakładaniu pułapek - dorzucił Pulaski.
- Dobrze - rzekł Rhyme.
- Jeden z nich ma dostęp do urządzeń Algonquin - odezwał się Sellitto.
- Możliwe, ale mogli w tym celu użyć Galta.

Salon wypełniał szum i trzaski sprzętu kryminalistycznego, w czyjejs kieszeni brzęknęły monety.

- Mężczyzna i kobieta - powiedział McDaniel. - Tego dowiedzieliśmy się już od tech-komu. „Sprawiedliwość dla Ziemi”.

Rhyme przeciągle westchnął.

-Tucker, mógłbym to kupić, gdybyśmy mieli jakikolwiek dowód na istnienie tej grupy. Ale nie mamy. Ani jednego włókna, odcisku, odrobiny mikrośladu.

- Wszystko jest w strefie cienia.

- Jeżeli istnieją - odburknął Rhyme - to gdzie są obecni fizycznie. Na to nie mam nawet poszlaki.

- No więc jak to, twoim zdaniem, wygląda?

Rhyme uśmiechnął się.

Amelia Sachs niemal w tej samej chwili pokręciła głową.

- Rhyme, chyba nie sądzisz, że to możliwe?

- Wiesz, co mówię: kiedy wyeliminujesz wszystkie inne możliwości, to odpowiedzią musi być tylko ta, która została, choćby najbardziej nieprawdopodobna.

- Nie rozumiem, Lincoln - powiedział Pułaski. Mina McDaniela wyrażała to samo. - Co masz na myśli?

- Otóż wystarczy zadać sobie kilka pytań, nowy. Po pierwsze, czy Andi Jessen ma jasne włosy mniej więcej takiej długości jak ten, który znalazłeś? Po drugie, czy ma brata, byłego żołnierza, który mieszka poza miastem i mógłby mieć dostęp do broni w rodzaju wojskowego kolta M1911 kaliber .45? I po trzecie, czy Andi Jessen w ciągu dwóch ostatnich dni nie zaglądała przypadkiem do ratusza, żeby, powiedzmy, wziąć udział w konferencji prasowej?

Rozdział 7f

Andi Jessen?

A

Nie przerywając pisania, Rhyme odpowiedział McDanielowi:

-A czarną robotę odwała jej brat. Randall. To właśnie on organizował zamachy, ale koordynowali wszystkie działania. Stąd przeniesienie dowodów. Pomagała mu wyciągnąć generator z białego vana i ukryć za szkołą w Chinatown.

Sachs skrzyżowała ręce, zastanawiając się nad tym.

- Pamiętajcie? Charlie Sommers mówił, że armia uczy żołnierzy, jak unikać ryzyka wywołania łuku elektrycznego. Randall tam mógł poznać wszystkie potrzebne szczegóły.

- A włókna na wózku Susan? - odezwał się Cooper. - Według bazy danych, mogły pochodzić z wojskowego munduru.

Rhyme wskazał głową jedną z tablic.

- Było zgłoszenie o nielegalnym wejściu do podstacji Algonquin w Filadelfii. W telewizji słyszeliśmy, że Randall Jessen mieszka w Pensylwanii.

- Zgadza się - przytaknęła Sachs.

- Ma ciemne włosy? - spytał Pulaski.

- Tak. W każdym razie miał, kiedy był mały - widziałam zdjęcia na biurku Andi. Andi podkreślała, że brat tu nie mieszka. I jeszcze jedno. Mówiła, że nie jest ekspertem technicznym. I że ma po ojcu talent do biznesowej strony energetyki. Ale pamiętacie reportaż o niej? Przed konferencją prasową?

Cooper skinął głową.

- Zanim weszła do kierownictwa i przejęła stanowisko po ojcu, przez jakiś czas pracowała jako monter. - Wskazał profil sprawcy na tablicy. - Kłamała.

- Ślady greckiego jedzenia - dodała Sachs - też mogły pochodzić od Andi. Albo spotkała się z bratem w restauracji niedaleko firmy.

Patrząc na pisany przez siebie tekst, Rhyme zmarszczył brwi, zastanawiając się nad jeszcze jedną rzeczą.

- Dlaczego Bernie Wahl jeszcze żyje?

- Szef ochrony Algonquin? - powiedział w zamyśleniu Sellitto. - Psiakrew, w ogóle mi to nie przyszło do głowy. Jasne, przecież byłoby logiczne, gdyby Galt - to znaczy sprawca - go zabił.

- Randall mógłby dostarczyć drugi list z żądaniem na kilkanaście różnych sposobów. Rzecz w tym, żeby przekonać Wahla, że to Galt. Wahl w ogóle nie widział twarzy sprawcy.

- Nic dziwnego, że nikt go nie widział - wtrącił Dellray. - Prawdziwego Galt'a, nawet kiedy w telewizji i Internecie zaczęli pokazywać jego zdjęcie. To był ktoś zupełnie inny.

McDaniel wydawał się już trochę mniej sceptyczny.

- No więc gdzie teraz jest Randall Jessen?

- Wiemy tylko, że planuje coś dużego na osiemnastą trzydzieści.

Przypatrując się ostatnim dowodom, Rhyme na chwilę pogrążył

się w myślach, a potem wrócił do pisania - wstukiwał litera po literze listę instrukcji dalszych posunięć w śledztwie.

Nagle na twarz wiceszefa biura regionalnego FBI wrócił wyraz powątpiewania.

- Przepraszam bardzo, chwileczkę. Jak dotąd wszystko rozumiem, ale jaki miałaby motyw? Przecież podgryza własną firmę. Popelnia morderstwo. To bez sensu.

Rhyme poprawił literówkę i pisał dalej. *Klik, klik...*

Po chwili uniósł wzrok i powiedział cicho:

- Ofiary.

-Co?

- Gdyby sprawcy chodziło tylko o deklarację, jak się wydawało, mógł założyć urządzenie zegarowe - zamiast ryzykować i być na miejscu. Wiemy, że mógł to zrobić; na jednym z miejsc znaleźliśmy sprężynę włosową. Ale nie zrobił. Użył zdalnie sterowanego wyłącznika i był niedaleko, kiedy ofiary ginęły. Dlaczego?

Sellitto prychnął krótkim śmiechem.

- Cholera, Line. Andi i jej bratu chodziło o kogoś konkretnego.

Po prostu chciała, żeby to wyglądało, jakby zginęli przypadków ludzie. Dlatego przeprowadzili wszystkie zamachy przed godzin ultimatum.

- Otóż to...! Nowy, natychmiast ustaw tu tablice!

Pułaski spełnił polecenie.

- Ofiary. Spójrzcie na ofiary.

Luis Martin, zastępca kierownika sklepu muzycznego

Linda Kepler, Oklahoma City, turystka

Morris Kepler, Oklahoma City, turysta

Samuel Vetter, Scottsdale, biznesmen

Ali Mamoud, Nowy Jork, kelner

Gerhard Schiller, Frankfurt, Niemcy, pracownik
agencji reklamowej

Larry Fishbein, Nowy Jork, księgowy

Robert Bodine, Nowy Jork, prawnik

Franklin Tucker, Paramus, New Jersey, pośrednik
handlowy

- Wiemy coś o rannych?

Sachs odrzekła, że nic nie wie.

-Niewykluczone, że celem ataku była jedna z tych osób. Trzeba się dowiedzieć. A co wiemy przynajmniej o nich, o ofiarach śmiertelnych? - zapytał Rhyme, patrząc

na listę nazwisk. - Jest jakiś powód, dla którego Andi Jessen wolałaby, żeby któraś z nich nie żyła?

- Keplerowie byli na zorganizowanej wycieczce w mieście - powiedziała Sachs. - Na emeryturze od dziesięciu lat. Vetter był świadkiem. Może dlatego zginął.

- Nie, wszystko zostało zaplanowane co najmniej miesiąc temu. Gdzie pracował?

Sachs przerzuciła kartki w notesie.

- Prezes firmy Southwest Concrete.

- Mel, sprawdź ich.

Po niecałej minucie Cooper referował:

- Posłuchajcie. Firma ma siedzibę w Scottsdale.

Budownictwo ogólne ze specjalizacją w infrastrukturze. Według informacji na ich stronie internetowej, Vetter uczestniczył w seminarium na temat finansowania alternatywnej energii w hotelu Battery Park. - Uniósł głowę

znad ekranu. - Ostatnio zaangażowali się w budowę fundamentów pod baterie fotoogniw.

- Energia słoneczna. - Rhyme nadal lustrował dowody

- A ofiary w biurówcu? Sachs, zadzwoń do Susan Stringer i spytaj, czy coś o nich wie.

Sachs wyciągnęła telefon i porozmawiała z niepełnosprawną kobietą. Kiedy się rozłączyła, powiedziała:

- Nie zna prawnika ani mężczyzny, który wszedł na szóstym. Ale trochę znała Larry'ego Fishbeina, księgowego. Słyszała, jak narzekał, że znalazł coś dziwnego w księgach firmy, w której właśnie robił audyt. Zniknęły jakieś pieniądze, ł tam, gdzie pojechał, było bardzo gorąco. Za gorąco, żeby grać w golfa.

- Może w Arizonie. Zadzwoń i sprawdź.

Sellitto wziął od Sachs numer firmy ofiary, zadzwonił i przeprowadził kilkuminutową rozmowę.

- Bingo. Fishbein był w Scottsdale. Wrócił we wtorek.

-Ach, Scottsdale.. .Tam gdzie Vetter miał swoją firmę budowlaną.

- Co to znaczy, Lincoln? - włączył się McDaniel. -
Wciąż nie widzę motywu.
Po chwili Rhyme odrzekł:
- Andi Jessen jest przeciwniczką energii alternatywnej, tak?
- To trochę za dużo powiedziane - zauważyła Sachs. -
Ale na pewno nie jest entuzjastką.
- A jeżeli dawała łapówki firmom związanym z
wytwarzaniem energii alternatywnej, żeby ograniczyły
produkcję albo w inny sposób sabotowała ich
działalność?
- Żeby utrzymać wysoki popyt na energię z
Algonquin? - spytał McDaniel. Objasniwszy sobie motyw,
wyglądał już na bardziej przekonanego.
- Zgadza się. Vetter i Fishbein mogli mieć informacje,
które by ją pogrążyły. Gdyby zostali zamordowani w
oddzielnych zdarzeniach, tylko oni dwaj, policja mogłaby
zacząć się zastanawiać nad ich powiązaniem. Ale Andi
zaaranżowała wszystko w taki sposób, żeby zostali na
pozór przypadkowymi ofiarami, więc nikt niczego by nie
skojarzył. Dlatego nie sposób było spełnić żądań. Nie
chciała ich spełnić. Chciała, żeby doszło do tych
zamachów.
- Zdobądź nazwiska rannych - polecił Sachs Rhyme - i
sprawdź, kim są. Może któraś z tych osób też była celem.

390



- Jasne, Rhyme.
- Ale jest trzeci list z żądaniem - zauważył Sellitto z
nietypową dla niego nutą niepokoju w głosie. - Czyli musi
zabić kogoś jeszcze Kto jest następną ofiarą?
Rhyme nadal pisał na swojej klawiaturze najszybciej,
jak potrafił. Unosząc na moment wzrok, spojrzął na
ścienny zegar.
- Nie wiem. I mamy niecałe dwie godziny, żeby to
ustalić.

Rozdział 71

imo budzących grozę zamachów Raya Galta, Charlie M Sommers nie mógł zaprzeczyć, że przepełnia go radosne... i elektryzujące podniecenie.

Zrobił sobie przerwę na kawę, którą spędził na szkicowaniu schematów potencjalnego wynalazku (oczywiście na serwetce): sposobu dostarczania wodoru do domowych ogniw paliwowych. Właśnie wracał na główne piętro New Energy Expo w centrum kongresowym na Manhattanie, na West Side niedaleko Hudsonu. Na wystawie roiło się od ludzi z najbardziej nowatorskimi pomysłami na świecie, wynalazców, naukowców, profesorów, także szalenie ważnych inwestorów, a wszyscy byli oddani tylko jednej rzeczy: energii alternatywnej. Zajmowali się jej wytwarzaniem, dostarczaniem, magazynowaniem i wykorzystaniem. Była to największa konferencja tego rodzaju na świecie, zorganizowana w takim terminie, aby zbiegła się z Dniem Ziemi. Zgromadziła ludzi, którzy mieli świadomość znaczenia energii, ale mieli także świadomość, że należy ją produkować i wykorzystywać w zupełnie inny sposób, niż się przyzwyczailiśmy.

Idąc przez sale futurystycznego centrum kongresowego, które otwarto zaledwie przed miesiącem, Sommers czuł przyśpieszone bicie własnego serca, niczym u ucznia na pierwszej prezentacji projektu naukowego.

Jak oszołomiony kręcił głową we wszystkie strony, oglądając stoiska: tu właściciele farm wiatrowych, tam organizacje non profit, poszukujące sponsorów budowy mikro sieci w odległych zakątkach Trzeciego Świata, tu wytwórcy energii słonecznej, tam spółki prowadzące poszukiwania źródeł geotermalnych i mniejsze

przedsiębiorstwa, produkujące lub instalujące baterie fotoogniw, akumulatory energii kinetycznej, systemy magazynowania ciekłego sodu, nadprzewodnikowe linie przesyłowe, inteligentne sieci energetyczne... H_{sta} była nieskończenie długa.

I nieskończenie fascynująca.

Dotarł do stoiska swojej firmy na końcu sali, które miało zaledwie trzy metry szerokości.

ALGONQUIN
CONSOLIDATED
POWER DZIAŁ
PROJEKTÓW
SPECJALNYCH
INTELIGENTNIEJSZA
ALTERNATYWA™

Mimo że Algonquin był prawdopodobnie większy od pięciu największych wystawców razem wziętych, jego firma wykupiła najmniejsze stoisko, jakie było dostępne na New Energy Expo, a Sommers dyżurował w nim w pojedynkę.

Co wyraźnie świadczyło o stosunku prezesa Andi Jessen do odnawialnych źródeł energii.

Sommers się tym jednak nie przejmował. Oczywiście, reprezentował przedsiębiorstwo, ale przyszedł tu także poznać ludzi i nawiązać osobiste kontakty. Pewnego dnia - miał nadzieję, że niebawem - opuści Algonquin i poświęci się tworzeniu własnej firmy. Nie ukrywał przed przełożonymi swojej prywatnej pracy. Nikt w Algonquin nigdy nie wytykał mu tego, czym się zajmuje w wolnym czasie. I tak nie interesowałyby ich wynalazki, jakie opracował w domu, jak na przykład kuchenny system oszczędzania wody Synchro-Zmyw albo Wolto-Kolektor, przenośny aparat, który wykorzystywał ruch pojazdu do wytwarzania prądu, a potem magazynował go w akumulatorze, do którego można było podłączyć lampę

w domu czy w biurze, ograniczając w ten sposób pobór energii od miejscowego dostawcy.

Król negawatów...

Zarejestrowana już spółka, Sommers Illuminating Innovations, składała się z niego, jego żony i jej brata. Nazwa była aluzją do korporacji Thomasa Edisona, Edison Illuminating Company, pierwszego prywatnego przedsiębiorstwa użyteczności publicznej i operatora pierwszej sieci energetycznej.

Mając być może odrobinę - maleńką odrobinę - talentu Edisona, Sommers zupełnie nie nadawał się na biznesmena. W **sprawach** finansowych bujał w obłokach. Kiedy wpadł na pomysł stworzenia regionalnych sieci, by mali producenci mogli sprzedawać nadwyżki energii Algonquinowi i innym dużym firmom energetycznym, kolega i branży wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego Algonquin miałby kupować prąd, skoro go sprzedaje?

- Jak to? - odparł Sommers, dziwiąc się naiwności kolegi. - Bo to wydajniejsze. Tańsze dla odbiorcy i zredukuje ryzyko przerw w dostawach.

Śmiech w odpowiedzi niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że to Sommers jest naiwny.

Zajmując miejsce na stoisku, włączył światła i zdjął tabliczkę ZARAZ WRACAM. Nasypał do miseczki jeszcze trochę słodyczy. (Algonquin stanowczo zaprotestował przeciwko zatrudnieniu hostessy w minispódnicy, która miałaby stać przed stoiskiem i się uśmiechać, jak u niektórych wystawców).

Nie, zadanie rozdawania uśmiechów przypadło Sommersowi, więc szczerzył się zapamiętane, zachęcał ludzi gestem i rozmawiał

o energii.

W chwilach zastoju rozsiadał się wygodniej i rozglądał, zastanawiając się, o czym pomyślałby Thomas Edison,

chodząc po salach. Sommers przypuszczał, że słynny wynalazca byłby zafascynowany i zachwycony, ale niekoniecznie zdumiony. Przecież wytwarzanie energii i sieć nie zmieniły się tak bardzo w ciągu stu dwudziestu pięciu lat. Skala była większa, wydajność lepsza, ale każdy system, wykorzystywany dziś, istniał już w tamtych czasach.

Edison prawdopodobnie z zazdrością patrzyłby na żarówki halogenowe, wiedząc, jak trudno było znaleźć odpowiedni żarnik do jego wynalazku. I roześmiałby się na widok ekspozycji minireaktora jądrowego, który można przewozić na barkach w miejsce, gdzie jest potrzebny (już w XIX wieku Edison przewidywał, że pewnego dnia będziemy używać energii jądrowej do generatorów prądu). Z pewnością podziw wzbudziłby w nim sam budynek centrum kongresowego. Architekt nie próbował ukryć elementów konstrukcji: dźwigary, ściany, przewody, nawet części podłogi lśniły miedzią i nierdzewną stalą.

Sommers uznał, że czuje się tu jak wewnątrz gigantycznej rozdzielnicy elektrycznej.

Szef działu projektów specjalnych miał się jednak na baczności. Wynalazki mają też swoją ciemną stronę. Stworzenie żarówki poprzedziła zażarta walka - nie tylko na polu technologii, ale i prawa Kilkadziesiąt osób prowadziło morderczą i wyniszczającą wojnę o autorstwo wynalazku i zyski, jakie miał przynieść. Zwycięzcami okazali się Thomas Edison i Anglik Joseph Wilson Swan, którzy ocalili z pobojuwiska usłanego procesami sądowymi, urazami, szpiegami i sabotażystami. A także złamanymi karierami.

Sommers rozmyślał o tym, ponieważ niedaleko stoiska Algonquin zobaczył jakiegoś człowieka w okularach i czapce. Wydawał mu się podejrzany, bo kręcił się przy dwóch stoiskach obok. Jedno należało do firmy produkującej sprzęt do poszukiwań geotermalnych,

urządzeń, które wykrywały gorące źródła głęboko w ziemi. Na drugim wystawiał się producent silników hybrydowych do małych pojazdów. Sommers wiedział jednak, że ktoś zainteresowany geotermią prawdopodobnie nie będzie się interesował hybrydami.

To prawda, że mężczyzna prawie nie zwracał uwagi na Sommersa ani Algonquin, ale z łatwością mógł zrobić zdjęcia niektórym wynalazkom i makietom na stoisku. Dzisiejsze aparaty szpiegowskie były wyjątkowo wyrafinowane.

Sommers odwrócił się, żeby odpowiedzieć na pytanie jakiejś kobiety. Gdy ponownie spojrział w tę stronę, mężczyzny - szpiega, biznesmena czy po prostu zaciekawionego widza - już nie było.

Dziesięć minut później znów nastąpił zastój. Sommers postanowił skorzystać z toalety. Poprosił człowieka z sąsiedniego stoiska, by miał oko na wszystkie rzeczy, po czym ruszył niemal pustym korytarzem. Jedną z zalet siedzenia w tańszym sektorze małych stoisk był fakt, że miało się toalety prawie do własnej dyspozycji. Skręcił do korytarza, którego stalową podłogę zdobiły wytłaczane guzy, przypuszczalnie naśladujące podłogę statku kosmicznego czy rakiety.

Kiedy pokonał pięć metrów, zaczęła dzwonić jego komórka.

Nie rozpoznał numeru - kierunkowy wskazywał na lokalne połączenie. Po krótkim namyśle wcisnął przycisk ODRZUĆ.

Szedł dalej w kierunku toalety, zwracając uwagę na lśniący miedziany uchwyt na drzwiach. Na pewno nikt tu nie liczył się z kosztami. Nic dziwnego, że tyle musimy bulić za stoisko.

Rozdział 72

łagam - mruzczała Sachs, pochylając się nad głośnomówiącym telefonem. - Odbierz, Charlie!

Przed chwilą zadzwoniła do Sommersa, ale po zaledwie jednym dzwonku włączyła się poczta głosowa. Postanowiła spróbować jeszcze raz.

- No, odbierz! - ponaglił Rhyme.

Drugi dzwonek... trzeci...

Wreszcie w głośniku rozległ się trzask.

- Halo?

- Charlie, tu Amelia Sachs.

- Ach, to ty dzwoniłaś przed chwilą? Właśnie szedłem...

- Charlie - przerwała mu. - Jesteś w niebezpieczeństwie. I - Co?

- Gdzie jesteś?

- W centrum kongresowym. I zaraz... Jak to w niebezpieczeństwie?

- Stoisz w pobliżu czegoś metalowego, co może spowodować łuk elektryczny albo mogło zostać podłączone do linii pod napięciem?

Nieoczekiwanie parsknął śmiechem.

- Stoję na metalowej podłodze. Właśnie miałem otworzyć drzwi toalety z metalową klamką. - Po chwili głos mu spoważniał. - Mówisz, że to może być pułapka?

- Możliwe. Natychmiast zejź z metalowej podłogi.

- Nie rozumiem.

- Jest następne żądanie i nowy termin. Osiemnasta trzydzieści. Ale naszym zdaniem, ataki - na hotel i windę - nie mają nic wspólnego z groźbami ani żądaniem. To przykrywką dla zamachów na konkretne osoby. Ty możesz być jedną z nich.

- Ja? Dlaczego?

- Najpierw znajdź jakieś bezpieczne miejsce.

- Wróć na salę. Tam jest betonowa podłoga. Zaczekaj. - Po chwili powiedział: - Dobra, już. Wiesz, widziałem tu kogoś, kto mnie obserwował. Ale nie wydaje mi się, żeby to był Galt.

- Charlie, mówi Lincoln - odezwał się Rhyme. - Naszym zdaniem, Ray Galt został wrobiony. Prawdopodobnie nie żyje.

- Zamachy organizował ktoś inny?

-Tak.

-Kto?

- Andi Jessen. Człowiekiem, którego widziałeś, mógł być jej brat, Randall. Z dowodów wynika, że pracują razem.

- Co? To jakaś bzdura. Dlaczego coś ma mi grozić?

- Niektóre z ofiar były zaangażowane w produkcję energii alternatywnej - ciągnęła Sachs. - Tak jak ty. Być może Andi dawała łapówki firmom wytwarzającym energię odnawialną, żeby zmniejszyły produkcję i żeby utrzymać popyt na prąd z Algonquin.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Rzeczywiście miałem projekt konsolidacji sieci regionalnych, tak żeby stały się bardziej samowystarczalne i zaczęły dostarczać prąd większym producentom takim jak Algonquin. Pewnie jej by się nie spodobał.

- Wyjeżdżałeś ostatnio do Scottsdale?

- Tak, pracuję tam między innymi nad projektem elektrowni słonecznych. W Kalifornii lepiej się sprawdza geotermia i farmy wiatrowe. W Arizonie ogniw słoneczne.

- Przypomniałam sobie, co mówiłeś, kiedy cię poznałam - powiedziała Sachs. - Dlaczego poprosiła akurat ciebie, żebyś pomógł w śledztwie?

- Masz rację. Mogła się zwrócić do kilkunastu innych osób.

- Wydaje mi się, że próbowała cię wrobić.

Nagle Sommers krzyknął zduszonym głosem:

-Jezu!

- Co się stało? - zapytał Rhyme.

- Może to nie chodzi tylko o mnie. Pomyślcie: wszyscy w centrum kongresowym stanowią zagrożenie dla Algonquin. Cała impreza dotyczy energii alternatywnej, mikrosieci, decentralizacji. Jeżeli Andi ma taką obsesję na punkcie Algonquin i chce zrobić z niego dostawcę numer jeden w Ameryce Północnej, to każdy wystawca jest dla niej zagrożeniem.

- Jest w Algonquin ktoś, komu możemy zaufać? Ktoś, kto odetnie tam zasilanie i nie poinformuje Andi?

- Centrum nie korzysta z usług Algonquin. Tak jak niektóre linie metra, samo wytwarza prąd na własne potrzeby. Siłownia jest obok budynku. Nie powinniśmy ewakuować centrum?

- Czy ludzie, żeby się wydostać, musieliby przejść po metalowej podłodze?

- Tak, w większości. Główny hol i rampy są ze stali. Niemalowanej, czystej stali. Wiecie, ile tu się zużywa mocy? Obciążenie w taki dzień jak dzisiaj sięga dwudziestu milionów watów. Słuchajcie, mógłbym zejść na dół, znaleźć przyłączy. Może uda mi się otworzyć wyłączniki. Mógłbym...

-Nie, musimy się dowiedzieć, co zamierzają zrobić. I jak. Zadzwoń, kiedy będziemy mieli więcej informacji. Nie ruszaj się z miejsca.

Rozdział 73

pocony Charlie Sommers rozglądał się gorączkowo, patrząc

na dziesiątki tysięcy odwiedzających New Energy Expo. Niektórzy szukali okazji zarobienia fortuny, inni szukali możliwości, by ocalić planetę, a przynajmniej jej pomóc, jeszcze inni przyszli, bo uznali, że fajnie będzie na chwilę wstąpić.

Wśród gości byli nastoletni chłopcy, dla których tak jak dla niego przed laty niektóre ekspozycje staną się źródłem inspiracji do wyboru przedmiotów w szkole średniej. Więcej przedmiotów ścisłych, mniej języków obcych i historii. I zostaną Edisonami swojego pokolenia.

Wszyscy znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Nie ruszaj się z miejsca, rozkazali mu policjanci.

Ludzie przepychali się przez tłum, taszcząc kolorowe torby - upominki od wystawców, ozdobione wyraźnymi logo firm: Volt Storage Technologies, Next Generation Batteries, Geothermal Innovations.

Nie ruszaj się...

Tyle że jego umysł odplynął do krainy nazywanej przez jego żonę Charlielandią. Myśli wirowały bez udziału jego woli jak dynamo, jak koło zamachowe w akumulatorze energii kinetycznej. Dziesięć tysięcy obrotów na minutę. Myślał o poborze mocy przez centrum kongresowe. Dwadzieścia megawatów.

Dwadzieścia milionów watów.

Jeden wat równa się jeden volt razy jeden amper...

Dość prądu, by porazić tysiące osób, gdyby popłynął przez tę przewodzącą superbudowlę. Powstaną łuki albo dojdzie do zwarć doziemnych, potężny prąd przeszyje ciała, pozbawiając je życia i pozostawiając dymiące kupki ciała, ubrań i włosów.

Nie

ruszaj

się...

Jak każdy wynalazca, Sommers zastanowił się nad szczegółami technicznymi. Randall Jessen i Andi zapewne w jakiś sposób zabezpieczyli siłownię. Nie mogli ryzykować, że policja zadzwoni do personelu obsługi i po prostu odetnie zasilanie. Ale do budynku musiała biec główna linia, w której napięcie, tak jak w lokalnej sieci przesyłowej, prawdopodobnie wynosiło 13 8000 woltów. Zapewne podłączyli się pod linię, żeby doprowadzić prąd do podłóg, schodów albo klamek u drzwi. Może znów do wind.

Sommers doszedł do następujących wniosków:
Zwiedzający nie mogą uniknąć zetknięcia z prądem.
Nie mogą się przed nim ochronić.
Musi więc urwać mu łeb.

Nie było więc mowy o nieruszaniu się z miejsca.

Gdyby Sommers znalazł przyłączy linii, zanim Randall Jessen się pod nią podepnie, mógłby doprowadzić do zwarcia. Przeprowadziłby kabel bezpośrednio od fazy do uziemienia. W wyniku zwarcia, któremu towarzyszyłby łuk równie potężny jak ten przedwczoraj na przystanku autobusowym, zadziałałyby automatyczne wyłączniki w siłowni centrum kongresowego, eliminując zagrożenie. Włączyłby się system oświetlenia awaryjnego, ale zasilanego niskim napięciem - prawdopodobnie ze zwykłych dwunastowoltowych akumulatorów ołowio-wapniowych. Przy tak słabym prądzie nie będzie żadnego niebezpieczeństwa porażenia. Kilka osób zapewne utknie w windach, może będzie trochę paniki, ale jeśli ktoś odniesie obrażenia, to minimalne.

Nagle jednak wrócił na ziemię. Żeby spowodować zwarcie w systemie, musiałby przeprowadzić najniebezpieczniejszą procedurę w branży elektroenergetycznej: gołymi rękami pracować przy linii o napięciu 138 000 woltów. Takie próby podejmowali tylko najlepsi monterzy. Pracując na izolowanych kosztach

podnośników albo z helikopterów, by uniknąć ryzyka jakiegokolwiek kontaktu z ziemią, ubrani w kombinezony Faradaya - metalowy strój - monterzy stykali się bezpośrednio z przewodem wysokiego napięcia. W ten sposób sami stawali się jego częścią i po ich ciele przepływały setki tysięcy woltów.

Charlie Sommers nigdy nie próbował pracować przy wysokim napięciu gołymi rękami, ale wiedział, jak tego dokonać - teoretycznie.

Jak ptak na drucie...

Chwycił żałośnie szczupły zestaw narzędzi, jaki miał ze sobą na stoisku Algonquin, i pożyczył kawałek lekkiego przewodu wysokiego napięcia od wystawcy obok. Pobiegnął do ciemnego korytarza poszukać służbowych drzwi. Zerknął na miedzianą klamkę i po trwającym ułamek sekundy wahaniu szarpnął drzwi, pograżając się w mroku piwnic centrum.

Nie ruszać się z miejsca?

Raczej

nie.

Rozdział 74

Wiedział na przednim siedzeniu białego vana, pocąc się z żęgorąca, ponieważ miał wyłączoną klimatyzację. Nie chciał uruchamiać silnika i zwracać na siebie uwagi. Zaparkowany samochód to jedno, ale zaparkowany samochód z pracującym silnikiem budzi znacznie więcej podejrzeń.

Po policzku spłynęła mu strużka potu. Prawie tego nie zauważył. Mocniej przycisnął słuchawkę do ucha. Ciągle nic. Podkręcił głośność. Szum zakłóceń. Jakiś brzęk. Trzask.

Myślał o słowach, które wysłał dziś e-mailem.

*Jeżeli tym razem zignorujecie moją prośbę,
konsekwencje będą
o wiele poważniejsze niż te drobne zdarzenia z wczoraj i
przedwczoraj, a życie straci dużo więcej osób...*

I tak, i nie.

Przechylił głowę, czekając na kolejne dźwięki z mikrofonu ukrytego w generatorze, który podrzucił w szkole niedaleko Chinatown. Koń trojański, przewieziony wprost do domu Lincolna Rhyme'a przez uczynnych funkcjonariuszy z wydziału kryminalistycznego. Zdążył już zebrać informacje o obsadzie postaci pomagających Rhyme'owi

i wiedział, gdzie w tym momencie jest każda z nich. Lon Sellitto, detektyw policji, i Tucker McDaniel, wicedyrektor regionalnego biura FBI, pojechali do ratusza, gdzie mieli koordynować obronę centrum konferencyjnego.

Amelia Sachs i Ron Pułaski pędzili tam teraz, by sprawdzić, czy uda im się odłączyć zasilanie. Strata czasu, pomyślał.

Nagle zeszywniał, słysząc głos Lincolna Rhyme'a.
- *Dobra, Mel, musisz zabrać ten kabel do laboratorium w Queens.*

- *Zabrać...*

- *Kabel!*

- *Który?*

- *Ile, do cholery, mamy tu kabli?*

- *Chyba ze cztery.*

- *No to ten, który Sachs i Pułaski znaleźli w szkole w Chinatown. Chcą, żeby wydłubali ślady spomiędzy izolacji i drutu i obejrzeliby w swoim mikroskopie skaningowym.*

Po chwili rozległ się szelest plastiku i papieru. A potem odgłos kroków.

- *Wróć za jakieś czterdzieści minut, do godziny.*

- *Nie obchodzi mnie, kiedy wrócisz. Obchodzi mnie, kiedy zadzwonisz z wynikami.*

Zadudniły kroki.

Mikrofon był bardzo czuły.

Trzasnęły drzwi. Cisza. Tylko stukot komputerowych klawiszy.

Nagle Rhyme krzyknął:

- *Niech to szlag, Thom!... Thom!*

- *Co, Lincoln? Nic się nie...*

- *Mel już pojechał?*

- *Zaczekaj.*

Chwilę później ten sam głos zawołał:

- *Tak, nie ma już jego samochodu. Mam do niego zadzwonić?*

- *Nie, daj spokój. Słuchaj, potrzebny mi jest jakiś przewód. Chcę sprawdzić, czy uda mi się powtórzyć coś, co zrobił Randał... Długi przewód. Mamy w domu coś takiego?*

- *Przedłużacz?*

- *Nie, dłuższy. Jakies osiem, dziesięć metrów.*

- *Skąd miałbym wziąć w domu taki długi przewód?*

- *Pomyślałem po prostu, że może masz. W takim razie idź poszukać.*

- *Gdzie mam znaleźć przewód?*

- *W jakimś cholernym sklepie z przewodami. Sklepie żelaznym. Jest taki na Broadwayu, nie? Kiedyś był.*

- *I ciągle jest. Czyli ile, dziesięć metrów? i _ Powinno wystarczyć... Co?*

- *No, nie wyglądasz najlepiej, Lincoln. Nie jestem pewien, czy powinienem cię zostawiać.*

- *Owszem, powinieneś. Powinieneś robić, o co cię proszę. Im wcześniej wyjdiesz, tym wcześniej wrócisz i będziesz mnie mógł niańczyć do woli. Ale teraz idź!*

Nie było słycać żadnego ruchu.

- *Dobrze, ale najpierw zmierzę ci ciśnienie.*

Znów chwila ciszy.

- *Mierz.*

Stłumione dźwięki, cichy syk, chrzęst rzepa.

-*Nie takie złe. Ale chcę mieć pewność, że się nie zmieni... Jak się czujesz?*

- *Jestem po prostu zmęczony.*

- *Wracam za pół godziny.*

Rozległ się cichy odgłos kroków. Drzwi znów otworzyły się i zamknęły.

Nasłuchiwał jeszcze chwilę, po czym wstał. Włożył uniform serwisanta telewizji kablowej. Kolta wsunął do torby, którą zarzucił na ramię.

Wyjrzał przez okna i sprawdził lusterka wsteczne, a gdy stwierdził, że alejka jest pusta, wysiadł. Upewnił się, że nie ma żadnych kamer monitoringu, po czym podszedł do tylnego wejścia do domu Lincoln Rhyme'a. W ciągu trzech minut sprawdził, czy alarm jest wyłączony, i otworzył zamek wytrychem, wślizgując się do piwnicy.

Znalazł tablicę rozdzielczą i cicho zabrał się do pracy, montując kolejną ze swoich zdalnie sterowanych rozdzielnic do linii zasilania, którą płynęło czterysta amperów, czyli dwukrotnie więcej niż w innych domach w okolicy.

Ciekawe, choć oczywiście niezbyt istotne, ponieważ wiedział, że do spowodowania niemal natychmiastowej śmierci wystarczy tylko maleńki ułamek takiego prądu.

Jedna dziesiąta ampera...

Rozdział 75

Rhyme patrzył na tablice dowodów, gdy nagle w jego domu zabrakło prądu. Ekran monitora poczerniał, maszyny umilkły. Czerwone, zielone i żółte oczy diod otaczającego go sprzętu zgasły.

Obrócił głowę w lewo i prawo.

Z piwnicy dobiegło skrzypnięcie drzwi. Potem usłyszał kroki. Nie sam tupot, ale słaby jęk protestu starego, suchego drewna, uginającego się pod ciężarem człowieka.

- Halo? - krzyknął. - To ty, Thom? Coś się stało z prądem.

Skrzypnęło gdzieś bliżej. Potem ucichło. Rhyme obrócił wózek dookoła własnej osi. Zlustrował cały pokój, kierując wzrok tam, gdzie zwykle go kierował na miejscach zdarzenia zaraz po przybyciu, zwracając uwagę na wszystkie istotne dowody, koncentrując się na pierwszym wrażeniu. Szukając też zagrożeń: miejsc, gdzie sprawca wciąż mógł się ukrywać, może ranny, może przerażony, może spokojnie czekający na okazję, by zabić funkcjonariusza policji.

Znów to skrzypnięcie.

Jeszcze raz wykonał wózkiem pełny obrót, trzysta sześćdziesiąt stopni, niczego jednak nie zobaczył. Nagle, na drugim końcu laboratorium, zauważył leżący na jednym ze stołów do badań telefon komórkowy. Choć w domu nie było prądu, aparat oczywiście działał.

Baterie...

Rhyme przesunął palec po panelu sterującym i wózek szybko zareagował. Podjechał do stołu i zatrzymał się, zwrócony tyłem do drzwi. Popatrzył na telefon, który leżał nie dalej niż pięćdziesiąt centymetrów od jego twarzy.

Ciekłokrystaliczny wskaźnik jarzył się na zielono. Naładowany, gotów do odbierania i nawiązywania rozmów.

- Thom? - zawołał
znowu. Nic.

Przez telegraf swoich skroni i pulsujących żył na szyi Rhyme czuł, jak wali mu serce.

Sam w laboratorium, niemal całkowicie unieruchomiony. Niecałe pół metra od telefonu. Rhyme lekko skręcił wózek w bok, po czym szybko skręcił go z powrotem, uderzając w stół. Telefon poruszył się, ale został dokładnie w tym samym miejscu.

Nagle Rhyme uświadomił sobie, że zmieniła się akustyka w pomieszczeniu, i już wiedział, że intruz tu wszedł. Jeszcze raz stuknął wózką w stół. Ale zanim telefon zdążył się przysunąć bliżej niego, za jego plecami rozbrzmiały ciężkie kroki. Ręka w rękawiczce sięgnęła ponad jego ramieniem i chwyciła komórkę.

- To ty? - spytał ostrym tonem Rhyme osoby za sobą. - Randall? Randall Jessen?

Nie było odpowiedzi.

Tylko jakieś ciche stuki za jego plecami. A potem wyczuł ramionami szarpnięcie. Wskaźnik naładowania akumulatora wózka na panelu zgasł. Intruz ręcznie zwolnił hamulec i popchnął wózek do miejsca oświetlonego słabymi promieniami słońca wpadającymi przez okno.

Następnie powoli odwrócił wózek do siebie.

Rhyme otworzył usta, żeby się odezwać, lecz nagle zmrużył oczy, przyglądając się badawczo twarzy mężczyzny. Przez chwilę milczał. Potem szepnął:

- Niemożliwe.

Operacja plastyczna była bardzo udana. Mimo to na twarzy intruza bez trudu można było dostrzec charakterystyczne detale. Poza tym jak Rhyme mógłby nie rozpoznać Richarda Logana, Zegarmistrza, człowieka, który w tym momencie rzekomo ukrywał się w podejrzanej dzielnicy Meksyku?

Rozdział 7fi

Logan wyłączył telefon komórkowy, który Lincoln Rhyme w rozpaczliwym wysiłku próbował aktywować taranem.

- Nie rozumiem - rzekł kryminalistyk.

Logan zrzucił z ramienia torbę na narzędzia, po czym kucnął i ją otworzył. Zwinnym ruchem wyciągnął z niej laptopa i dwie bezprzewodowe kamery. Jedną wziął do kuchni i skierował w stronę alejki. Drugą postawił przed oknem. Uruchomił komputer i postawił go na stole. Wstukał jakieś polecenia. Na ekranie ukazał się widok alejki z boku domu Rhyme'a i chodnika prowadzącego do drzwi wejściowych. Był to ten sam system, którego Logan użył w hotelu Battery Park, żeby szpiegować Vettera i wcisnąć guzik dokładnie w tym momencie, gdy ciało zetknęło się z metalem.

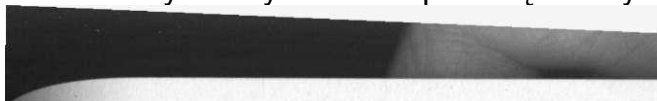
Logan uniósł wzrok i zaśmiał się cicho. Podeszedł do ciemnej, dębowej półki nad kominkiem, gdzie na stojaku spoczywał zegarek kieszonkowy.

- Ciągłe masz prezent ode mnie - szepnął. - Masz... i trzymasz go na wierzchu, na honorowym miejscu. - Był w szoku. Zakładał, że stary breuget został rozebrany, a każda z jego części gruntownie zbadana podczas prób ustalenia, gdzie Logan mieszka.

Choć byli wrogami i Logan wkrótce miał go zabić, szczerze podziwiał Lincolna Rhyme'a, a fakt, że kryminalistyk zatrzymał jego zegarek w nietkniętym stanie, sprawił mu zagadkową przyjemność.

Kiedy o tym myślał, doszedł jednak do wniosku, że Rhyme rzeczywiście kazał swojej ekipie rozebrać breugeta do ostatniej sprężyny i kamienia, lecz potem kazał go pieczołowicie złożyć z powrotem.

Czyli Rhyme też po części był zegarmistrzem.



Obok zegarka leżał list dołączony do prezentu. Były w nim wyrazy uznania dla Rhyme'a oraz złowróżbna obietnica, że jeszcze się spotkają.

Dziś obietnica została spełniona.

Kryminalistyk powoli otrząsał się z szoku.

- Lada chwila wrócą tu ludzie - powiedział.

- Nie, Lincoln, nie wrócą. - Logan podał mu informacje o obecnym miejscu pobytu wszystkich osób, które były w laboratorium jeszcze przed piętnastoma minutami.

Rhyme zmarszczył brwi.

- Skąd... Och, nie. Jasne, generator. Wsadziłeś tam pluskwę. - Z niesmakiem zamknął oczy.

- Zgadza się. I wiem, ile mam czasu.

Richard Logan pomyślał, że bez względu na to, co go w życiu spotykało, zawsze dokładnie wiedział, ile ma czasu.

Wyraz niepokoju na twarzy Rhyme'a ustąpił miejsca konsternacji.

- Czyli to nie Randall Jessen udawał Raya Gaita. To ty.

Logan z czułością oglądał breugeta. Porównał godzinę z własnym zegarkiem.

- Każesz go nakręcać. - Odłożył go na miejsce. - Tak. Przez ostatni tydzień byłem Raymondem Galtem, elektrykiem i specmonterem.

-Przecież widziałem cię na nagraniu z kamery na lotnisku... Dostałeś zlecenie na Rodolfa Lunę z Meksyku.

-Niezupełnie. Jego kolega, Arturo Diaz, pracował dla jednego z większych karteli narkotykowych z Puerto Vallarta. Luna to jeden z niewielu uczciwych gliniarzy, jacy zostali w Meksyku. Diaz chciał mnie wynająć, żebym go zabił. Byłem jednak zbyt zajęty. Ale za odpowiednie honorarium zgodziłem się udawać, że to moje dzieło, żeby Diaz był poza podejrzeniem. Zresztą miałem w tym swój cel. Musiałem przekonać wszystkich - zwłaszcza ciebie - że nie jestem w Nowym Jorku, ale zupełnie gdzieś indziej.

-Ale lotnisko... - Głos Rhyme'a przeszedł w szept. - Byłeś w samolocie. Kamera to pokazała. Widzieliśmy, jak wsiadasz do pika- pa i chowasz się pod plandeką. Widziano cię w Meksyku i na drodze z lotniska. Godzinę temu widziano cię w Gustavo Madero. Twoje odciski palców i... - Słowa uwięzły mu w gardle. Kryminalistyk

pokręcił głową i uśmiechnął się z rezygnacją. - Boże. Ty zostałeś na lotnisku.

- Zostałem.

- Wzięłeś tę paczkę i wsiadłeś do samochodu pod okiem kamery - wiedziałeś, że tam jest. Ale kiedy tylko pikap wyjechał za kadr wysiadłeś. Oddałeś paczkę komuś innemu i poleciałeś na Wschodnie Wybrzeże. Ludzie Diaza kłamali. Cały czas informowali, co robisz w Meksyku - żeby wszyscy myśleli, że naprawdę tam jesteś. Ilu ludzi Diaza brało łapówki?

- Około dwudziestu.

- Żaden samochód nie uciekł do Gustavo Madero?

- Nie. - Litość była dla Logana uczuciem nieskutecznym, a tym samym bezcelowym. Mimo to widział, choć nie poruszało go to osobiście, że Lincoln Rhyme w tym momencie budził litość. Wydawał się drobniejszy niż podczas ich ostatniego spotkania. Wątki. Może chorował. Logan uznał, że to nawet lepiej; prąd będzie mógł szybciej unicestwić jego ciało. Nie chciał przecieżyć, żeby Rhyme cierpiał.

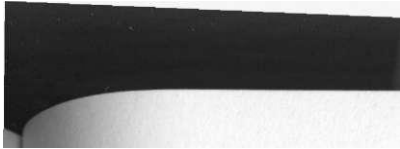
- Przewidziałeś zamach na Lunę - dodał jak gdyby na pocieszenie. - Przeszkodziłeś Diazowi w zabójstwie. Nie sądziłem, że w porę się domyślisz. Ale po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że nie powinienem się dziwić.

- Ale tobie nie przeszkodziłem.

W trakcie swojej długiej kariery płatnego mordercy Logan zabił wielu ludzi. Większość z nich, kiedy już wiedziała, że umrze, uspokajała się, godząc się z tym, co nieuniknione. Rhyme posunął się jeszcze dalej. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nadchodząca śmierć miała mu przynieść ulgę. Może przyczyną były symptomy śmiertelnej choroby, jakie Logan dostrzegł w twarzy Rhyme'a. A może, zważywszy na jego stan, po prostu stracił wolę życia. Szybki koniec byłby dla niego błogosławieństwem.

- Gdzie jest ciało Gaita?

- W Piecu - w kotle parowym w Algonquin Power. Nic po nim nie zostało. - Logan zerknął na ekran laptopa. Nadal pusto. Wyciągnął kawałek kabla średniego napięcia Benningtona i podłączył jego końcówkę do najbliższego gniazdka w ścianie. Wiele miesięcy poświęcił na zgłębienie tajników prądu elektrycznego. Znał się już na nim równie doskonale jak na mechanizmach i sprężynach zegarów.



m l

m

Logan czuł w kieszeni ciężar pilota, którym miał włączyć zasilanie i porazić kryminalistykę prądem o takim natężeniu, by zginął w ułamku sekundy.

Zaczął owijać odcinkiem kabla rękę Rhyme'a, który powiedział:

- Ale skoro wsadziłeś pluskwę do generatora, musiałeś słyszeć to, co mówiliśmy wcześniej. Wiemy, że Ray Galt nie jest prawdziwym sprawcą, że został wrobiony. I wiemy, że Andi Jessen chciała zabić Sama Vettera i Lary'ego Fishbeina. Wszystko jedno, czy zamachy przygotował jej brat, czy ty, i tak ją przymkniemy i...

Logan patrzył na niego bez słowa. W oczach Rhyme'a odmalowało się zrozumienie i całkowita rezygnacja.

- Ale nie o to tu chodzi, prawda? Nie o to chodzi.

- Nie, Lincoln, nie o to.

Rozdział 77

tak nie na drucie, ale nad nim.

P W najgłębiej położonej piwnicy centrum kongresowego Charlie Sommers wisiał w powietrzu w zaimprovizowanej pętli, pół metra od linii pod napięciem stu trzydziestu ośmiu tysięcy woltów, okrytej czerwoną izolacją.

Gdyby prąd elektryczny był wodą, w kablu panowałoby takie ciśnienie jak na dnie morza, dziesiątków milionów atmosfer, czekających na dogodną okazję, by zgnieść łódź podwodną na zakrwawiony placek metalu.

Główna linia, podwieszona na izolowanych szklanych wspornikach trzy metry nad podłogą, biegła od ściany w poprzek piwnicy do własnej podstacji centrum na drugim końcu ciemnego pomieszczenia.

Nie mogąc dotknąć równocześnie gołego przewodu i niczego połączonego z ziemią, zrobił z węża gaśniczego pętlę, którą przywiązał do pomostu nad kablem wysokiego napięcia. Wyężając wszystkie siły, zlął po wężu i z trudem wsunął się w pętlę. Miał głęboką nadzieję, że węże gaśnicze robi się wyłącznie z gumy i płótna; gdyby z jakiegoś powodu wąż był wzmocniony metalowymi włóknami, w ciągu kilku minut zagrałby główną rolę w zwarciu doziemnym i zmieniłby się w obłoczek pary.

Na szyi miał kawałek kabla 1/0 AWG - pożyczonego ze stoiska obok stoiska Algonquin. Scyzorykiem

metodycznie zdzierał z niego ciemnoczerwoną izolację. Następnie zamierzał w podobny sposób usunąć ochronną powłokę z linii wysokiego napięcia i odsłonić wiązkę aluminiowych przewodów. I gołymi rękami połączyć kable ze sobą.

Potem możliwe były dwa scenariusze.



Albo nie stanie się nic.

Albo dojdzie do zwarcia doziemnego... i Sommers wyparuje.

Gdyby miał się sprawdzić pierwszy scenariusz, chciał potem rozwinąć kabel i drugą odsłoniętą końcówką dotknąć najbliższego uziomu - jednej z metalowych belek, połączonych z fundamentami centrum kongresowego. W rezultacie nastąpiłoby widowiskowe zwarcie, które wywaliłoby automatyczne wyłączniki w siłowni centrum.

Jeśli chodziło o niego... Charlie Sommers nie był uziemiony, ale tak wysokie napięcie wywołałoby duży łuk, który najprawdopodobniej śmiertelnie by go poparzył.

Wiedząc, że wyznaczona godzina ultimatum nie ma żadnego znaczenia i że Randall i Andi Jessenowie mogą w każdej chwili zamknąć obwód, pracował w gorączkowym pośpiechu, zdrapując z kabla krwistoczerwoną izolację. Skręcone paski dielektryku spadały na podłogę i Sommers nie mógł się oprzeć

wrażeniu, że przypominają płatki opadające ze zwiędłych
róż w domu pogrzebowym, gdy wszyscy żałobnicy wrócili
już do domów.

Rozdział 7R

Richard Logan przyglądał się Lincolnowi Rhyme'owi, który patrzył przez okno w kierunku East River. Gdzieś w oddali nad ponurym nadbrzeżem rzeki królowały szaro-czerwone wieże Algonquin Consolidated Power. Kominów nie było stąd widać, ale Logan przypuszczał, że w chłodniejsze dni Rhyme mógł dojrzeć skłębiony dym unoszący się nad horyzontem.

Kryminalistyk pokręcił głową i szepnął:

- Andi Jessen w ogóle cię nie wynajęła.
- To prawda.
- To ona jest prawdziwym celem, tak? Chcesz ją zrobić.
- Zgadza się.

Rhyme wskazał głową na torbę u stóp Logana.

- Masz tam dowody obciążające ją i jej brata. Chcesz je tu podrzucić, żeby ślady wskazywały, że mnie też zabili Andi i Randall. Tak jak podrzuciłeś resztę dowodów. Ślady z ratusza, jasny włos, greckie jedzenie. Ktoś cię wynajął, żebyś pogrążył Andi, która rzekomo wykorzystwała Raya Galta, żeby się pozbyć Sama Vettera i Larry'ego Fishbeina... Dlaczego oni?

- Nie chodziło konkretnie o nich. Ofiarą mógł być ktokolwiek z seminarium w hotelu Battery Park albo z firmy rachunkowej Fishbeina. Każdy, kto mógł mieć informacje o jakimś przekręcie, który Andi Jessen chciała zatuszować.

- Mimo że nie mieli żadnych informacji.

- Tak. W ogóle nie mieli nic wspólnego z Andi Jessen.

- Kto za tym stoi? - Marszcząc brwi, Rhyme przebiegał wzrokiem
tablice dowodów, jak gdyby przed śmiercią musiał poznać odpowiedź. -
Nie potrafię tego rozgryźć.

Logan popatrzył na jego wymizerowaną twarz.

Budzi litość...

Wyciągnął drugi przewód i założył na Rhyme'a.
Zamierzał go podłączyć do najbliższego uziemienia, czyli
kaloryfera.

Pod względem moralnym Richarda Logana nie
obchodziło, **dłaczego** jego klienci chcieli śmierci ofiar, ale
starał się poznać motyw, bo ta informacja pomagała mu
zaplanować zadanie, a potem uciec. Dlatego słuchał z
zainteresowaniem, kiedy mu wyjaśniano, czemu Andi

Jessen ma zostać skompromitowana i na długie lata trafić za kratki.

- Andi jest zagrożeniem dla nowego porządku - powiedział. - Zgodnie z jej poglądem - wyrażanym bardzo otwarcie - ropa, gaz, węgiel i paliwo jądrowe jeszcze przez najbliższe sto lat będą jedynymi znaczącymi źródłami energii. Odnawialne źródła to dziecięce zabawki.

- Co pokazuje tylko, że król jest nagi.

- Właśnie.

- Czyli stoi za tym jakaś grupa ekoterrorystyczna?

Logan skrzywił się.

- Ekoterrorystyci? Boże, nie. Brodaci, nieumyślni idioci, którzy nie potrafią nawet spalić budowanego ośrodka narciarskiego i dają się złapać na gorącym uczynku? - Logan parsknął śmiechem. - Nie, Lincoln. Chodzi o pieniądze.

Rhyme chyba zaczynał rozumieć.

- Ach, oczywiście... Nieważne, że w ogólnym rozrachunku czysta energia i odnawialne źródła stanowią jeszcze niewielki procent; można sporo zarobić, budując elektrownie wiatrowe i słoneczne, regionalne sieci i urządzenia przesyłowe.

- Właśnie. Rządowe dotacje i zwolnienia podatkowe. Nie mówiąc o tym, że za zieloną energię odbiorcy są gotowi zapłacić każdy rachunek, bo są przekonani, że ratują Ziemię.

- Kiedy znaleźliśmy mieszkanie Galta i jego e-maile o raku - powiedział Rhyme - doszliśmy do wniosku, że zemsta nigdy się nie sprawdza jako motyw.

- Nie, ale chciwość jest wieczna.

Kryminalistyk najwyraźniej nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- A więc stoi za tym zielony kartel. Co za pomysł. - Przyjrzał się białym tablicom. - Chyba uda mi się odgadnąć jednego z uczestników... Bob Cavanaugh?

- Dobrze. Tak. Prawdę mówiąc, gra główną rolę. Jak się domyśliłeś?

- Podał nam informacje wskazujące na Randalla Jessena. - Rhyme przymrugał oczy. -1 pomógł nam w hotelu Battery Park. Mogliśmy ocalić Vettera... Ale, oczywiście, nie miało znaczenia, czy zabiłeś jego, czy Fishbeina, czy kogokolwiek innego.

- Nie. Ważne było tylko to, żeby Andi Jessen została aresztowana za zamachy. Skompromitowana i wysłana za kratki. Był jeszcze jeden motyw: Cavanaugh był współpracownikiem ojca Andi i nigdy się nie cieszył, że został pominięty przy wyborze nowego prezesa i stanowisko objęła córka tatusia.

- Nie może być jedyny.

- To prawda. Do kartelu należą prezesi kilku dostawców sprzętu do produkcji energii alternatywnej na całym świecie, głównie ze Stanów, Chin i Szwajcarii.

- Zielony kartel. - Rhyme pokręcił głową.

- Czasy się zmieniają - zauważył Logan.

-Ale dlaczego nie można było po prostu zabić Andi?

- Też się zastanawiałem - odrzekł Logan. - Ale w grę wchodził element ekonomiczny. Cavanaugh i reszta chcieli usunąć Andi, ale jednocześnie potrzebowali spadku cen akcji Algonquin. Kartel zamierza przejąć firmę.

- A zamach na autobus?

- Musiałem zwrócić na siebie uwagę. - Logan poczuł ukłucie żalu. I bez zażenowania wyznał Rhyme'owi: -Nie chciałem, żeby tam ktoś zginął. Temu pasażerowi nic by się nie stało, gdyby zamiast się wahać, od razu wszedł do autobusu. Ale nie mogłem dłużej czekać.

- Rozumiem, dlaczego wybrałeś Vettera i Fishbeina na rzekome ofiary Andi - byli zaangażowani w projekty produkcji energii alternatywnej w Arizonie. To byłoby logiczne. Ale dlaczego kartel chciał zabić Charliego

Sommersa? Przecież zajmował się rozwojem energii alternatywnej?

- Sommers? - Logan wskazał na generator. - Słyszałem, jak wymieniacie to nazwisko. Bernie Wahl wydał go, kiedy dawałem mu drugi list. Nawiasem mówiąc, ciebie też zakapował...

- Bo mu zagroziłeś? Że porazisz prądem jego rodzinę?

-Tak.

- Nie mogę mu tego mieć za złe.

- Ale kimkolwiek jest ten Sommers - ciągnął Logan - nie figuruje w planie.

-Ale wysłałeś do Algonquin trzeci list z żądaniami. Czyli musiałeś zabić kogoś jeszcze. Nie założyłeś pułapki w centrum kongresowym? - Rhyme wyglądał na zaskoczonego.

- Nie.

Po chwili ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Oczywiście... to ja jestem następną ofiarą.

Logan znieruchomiał, trzymając w dłoniach napięty przewód.

- Zgadza się.

- Przyjąłeś to zlecenie ze względu na mnie.

- Miałem sporo potencjalnych klientów. Ale cały czas czekałem na taką robotę, żeby móc przyjechać do Nowego Jorku. - Logan spuścił głowę. - Kiedy tu byłem kilka lat temu, prawie mnie złapałeś - i pokrzyżowałeś mi plan. Po raz pierwszy komuś udało się mnie powstrzymać przed wykonaniem zlecenia. Musiałem zwrócić honorarium... Ale nie chodziło o pieniądze, tylko o wstyd. Potem też niewiele brakowało, żebyś mnie złapał w Anglii. Następnym razem... mógłbyś mieć szczęście. Dlatego kiedy zadzwonił do mnie Cavanaugh, przyjąłem tę robotę. Musiałem się do ciebie zbliżyć.

Zastanawiał się, dlaczego użył tego słowa. Nie chcąc o tym dłużej myśleć, skończył mocować przewód do uziemienia. Wstał.

- Przykro mi, ale muszę to zrobić - przeprosił. Następnie polał wodą pierś Rhyme'a, mocząc mu koszulę. To było niegodne, ale nie miał wyboru. - Przewodnictwo.

- A „Sprawiedliwość dla Ziemi”? Też nie mają z tobą nic wspólnego?

- Nie. Nigdy o nich nie słyszałem.

Rhyme przyglądał mu się badawczo

- Gdzie ten zdalnie sterowany włącznik? Na dole w skrzynce rozdzielczej?

-Tak.

-Prąd elektryczny... - rzekł w zamyśleniu Rhyme. - Dużo się o nim dowiedziałem przez tych kilka dni.

- Zajmowałem się nim przez parę miesięcy.

- Gait cię nauczył, jak sterować systemem komputerowym Algonquin?

- Nie, Cavanaugh. Dał mi kody dostępu.

-Ach, jasne.

- Ale przeszedłem też kurs obsługi SCADA, w szczególności systemu Algonquin.

- Oczywiście, to rozumiałe.

- Sam byłem zaskoczony, jak mnie to zafascynowało - ciągnął Logan. - Nigdy nie doceniałem prądu.

- Dlatego, że byłeś zegarmistrzem?

- Właśnie. Zwykła bateria i układ scalony masowej produkcji ma takie same możliwości jak najbardziej finezyjne ręcznie robione zegarki.

Rhyme ze zrozumieniem skinął głową.

- Zegary elektroniczne wydawały ci się tandetne. Jak gdyby bateria w jakiś sposób ujmowała piękna zegarkowi. Umniejszała jego wartość artystyczną.

Logan czuł ogarniające go podniecenie. Rozmowa go pasjonowała; tak niewielu ludzi mu dorównywało. A kryminalistyk naprawdę rozumiał, co czuje!

- Tak, właśnie tak. Ale w trakcie pracy nad tym zleceniem zacząłem zmieniać zdanie. Dlaczego zegarek,

który pokazuje czas za pomocą drgającego kryształu kwarcu, ma być mniej niezwykły niż zegarek poruszany kółkami zębatymi, dźwigniami i sprężynami? W końcu wszystko sprowadza się do fizyki. Jako naukowiec zapewne to docenisz. .. A komplikacje? Wiesz, co to są komplikacje.

- Wszystkie dzwonki i gwizdki wbudowane w zegarki - odrzekł Rhyme. - Datowniki, wskaźniki faz Księżyca, równonocy, repetier.

Logan spojrział na niego zaskoczony.

- Też zajmowałem się zegarmistrzostwem - dodał Rhyme.

Musiąłem się do ciebie zbliżyć...

- Zegarki elektroniczne powielają wszystkie te funkcje i mają setkę innych. Na przykład timex datalink. Słyszałeś o nim?

-Nie.

- To już klasyczny model - zegarek, który podłącza się do komputera. Wskazywanie czasu to tylko jedna ze stu rzeczy, jakie potrafi- Kosmonauci nosili je w drodze na Księżyc.

Znowu rzut oka na ekran laptopa. Nikt nie zmierzał w kierunku domu.

-Nie przeszkadzają ci te zmiany, ta nowoczesność? - zapytał Rhyme.

- Nie, to tylko potwierdza, jak integralną częścią naszego życia jest czas. Zapominamy, że zegarmistrze byli innowatorami, Krzemową Doliną swoich czasów. Pomyśl na przykład o tym projekcie. Cóż to za niezwykła broń - prąd. Dzięki niemu mogę na kilka dni wyłączyć całe miasto. To już element naszej natury, naszego bytu. Nie moglibyśmy bez niego żyć... Czasy się zmieniają. My też musimy się zmieniać. Bez względu na ryzyko. Bez względu na to, z czym musimy się pożegnać.

- Mam prośbę - powiedział Rhyme.

- Przetawilem bezpieczniki automatyczne w skrzynce rozdzielczej. Wytrzymaja trzykrotnie wieksze obciazenie. To bedzie bardzo szybkie. Niczego nie poczujesz.

-1 tak niewiele czuje - odparl Rhyme.

-Ach... - Logan poczul sie, jak gdyby popelnil niewybaczalna gafę. - Przepraszam. Nie pomyslałem.

Niechętne skinienie glowa.

- Moja prosba ma zwiazek z Amelia.

- Sachs?

- Nie masz powodow, zeby ja scigać.

Logan zastanawial sie nad tym wzescniej i podjal juz decyzje.

- Nie mam zamiaru. Bedzie chciala mnie znalezc. Nie zabraknie jej wytrwalosci i determinacji. Ale nie moze sie ze mna rownac. Bedzie bezpieczna.

Na twarzy Rhyme'a pojawil sie slaby usmiech.

- Dziękuje... chcialem powiedziec, Richard". Bo jesteś Richardem Loganem, prawda? Czy to tez falszywe nazwisko?

- Prawdziwe. - Logan znów zerknal na ekran. Chodnik przed domem byl pusty. Zadenych policjantow. Nie wracal zaden ze wspolpracownikow Rhyme'a. Byli zupełnie sami. Juz czas.

- Jesteś wyjątkowo spokojny.

- Co w tym dziwnego? - odparl Rhyme. - To prawdziwy cud, ze przez tyle lat pozostalem przy zyciu. Codziennie jestem zaskoczony, kiedy sie budze.

Logan pogrzebal w torbie i rzucil na podloge jeszcze jeden zwój przewodu z odciskami palcow Randalla Jessena. Następnie otworzy} foliowa torebkę z zamkiem i odwrócił ją do góry dnem, wysypując z niej kilka włosow Randalla. Używając jednego z butow brata Andi zrobil odcisk podeszwy w rozlanej wodzie. Potem podrzucil pare jasnych włosow Andi Jessen wraz z włóknami z jej kostiumu, które wyciągnal z szafy w jej gabinecie.

Jeszcze raz sprawdził wszystkie połączenia elektryczne. Dlaczego się wahał? Może śmierć Rhyme'a oznaczała dla niego koniec pewnej epoki. Zabójstwo kryminalistyka będzie dla niego ogromną ulgą, a jednocześnie będzie dla niego stratą, którą już zawsze będzie odczuwał. Przypuszczał, że doświadcza teraz czegoś podobnego jak człowiek, który podejmuje decyzję, by odłączyć bliską osobę od aparatury podtrzymującej życie.

Musiałem się zbliżyć...

Wyciągnął z kieszeni pilota, odsunął się od wózka.

Lincoln Rhyme przyglądał mu się spokojnie. Potem westchnął i rzekł:

- No to chyba tyle.

Logan zawahał się i patrząc na Rhyme'a, podejrzliwie zmrużył oczy. W tonie głosu kryminalistyka zabrzmiało coś zupełnie innego. Wyraz jego twarzy też się zmienił. I oczy... nagle przybrały wygląd oczu drapieżnika.

Richard Logan naprawdę zadrżał, zrozumiałszy nagle, że niedorzeczne zdanie wygłoszone w niedorzeczny sposób w ogóle nie jest skierowane do niego.

To była wiadomość. Przeznaczona dla kogoś innego.

- Co ty robiłeś? - szepnął Logan z mocno bijącym sercem. Wpatrywał się w niewielki monitor komputera. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek wracał do domu.

A jeżeli... jeżeli w ogóle z niego nie wychodzili?

Och, nie...

Logan przez chwilę patrzył na Rhyme'a, a potem wcisnął palcem dwa guziki na pilocie włącznika.

Nic się nie stało.

- Jak tylko wyszedłeś z piwnicy, jeden z naszych funkcjonariuszy odłączył twój aparat.

- Nie - wykrztusił Logan.

Za jego plecami skrzyknęła podłoga. Obrócił się na pięcie. -Nie ruszaj się, Richardzie Logan! - To była detektyw policji,

o której przed chwilą rozmawiali, Amelia Sachs. - Ręce na widoku. Jeżeli poruszysz rękami, strzelę.

Za nią stali dwaj mężczyźni. Logan domyślał się, że też są policjantami. Jeden, tęgawy, miał na sobie wymięty niebieski garnitur. Drugi, szczuplejszy, bez marynarki, miał okulary w czarnych oprawkach.

Wszyscy troje mierzyli do niego z broni.

Ale Logan patrzył tylko na Amelię Sachs, która wyraźnie miała największą ochotę strzelić. Uświadomił sobie, że Rhyme zadał pytanie o Sachs, aby ich ostrzec, że jest gotowy wypowiedzieć magiczne słowa i zatrzasać pułapkę. *No to chyba tyle...*

Skutek był taki, że musiała usłyszeć niepochebny komentarz Logana na temat jej umiejętności.

Kiedy jednak podeszła do niego, żeby założyć mu kajdanki, zrobiła to z najwyższym profesjonalizmem, niemal delikatnie. Potem posadziła go na podłodze i towarzyszył temu minimalny dyskomfort.

Tęgawy funkcjonariusz zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę w stronę przewodów owiniętych wokół Rhyme'a.

- Rękawiczki, bardzo proszę - powiedział spokojnie kryminalistyk.

Gruby gliniarz zawahał się, ale nałożył lateksowe rękawiczki

izdjął kable. Powiedział do nadajnika:

- U nas czysto. Możecie włączać zasilanie.

Chwilę później pokój wypełnił się światłem i w akompaniamencie stuków ozywających urządzeń i mrugania czerwonych, zielonych i białych diod Richardowi Loganowi, Zegarmistrzowi, odczytano przysługujące mu prawa.

Rozdział 73

rzyszedł czas na heroizm.

^P Na ogół nie była to domena wynalazców.

Charlie Sommers uznał, że usunął już wystarczająco dużo izolacji z przewodu i jest gotów do próby wywołania zwarcia.

Teoretycznie powinno się udać.

Niebezpieczeństwo polegało na tym, że w chwili, gdy zbliży kabel do uziomu, potężne napięcie, w swojej determinacji, by przedostać się do ziemi, przeskoczy łukiem na przewód i jego ciało pochłonie gorąca plazma. Sommers wisiał zaledwie trzy metry nad betonową posadzką; widział filmy wideo z łukami o długości piętnastu metrów.

Ale dłużej już nie zamierzał czekać.

Krok pierwszy: podłączyć kabel do głównej linii.

Myśląc o żonie, myśląc o dzieciach - oraz o innych dzieciach: wynalazkach, które w życiu spłodził - nachylił się nad przewodem wysokiego napięcia i wstrzymując oddech, dotknął jej trzymanym w rękach kablem.

Nic się nie stało. Na razie jest dobrze. Jego ciało i przewody miały teraz ten sam potencjał. Charlie Sommers stał się po prostu elementem linii o napięciu stu trzydziestu tysięcy woltów.

Przełożył odsłoniętą część przewodu wokół linii zasilania i chwycił końcówkę pod spodem. Okręcił ją, tworząc mocne połączenie.

Ściskając izolowaną część przewodu, wycofał się ostrożnie w swojej niepewnej uprzęży z węża gaśniczego i spojrzął na punkt, w którym postanowił zamknąć obwód: dźwigar, który wznosił się do sufitu, ale także, co ważniejsze dla jego planu, sięgał głęboko do ziemi.

Dokąd każdemu prądowi kazał wracać pierwotny instynkt.

Dźwigar był w odległości niecałych dwóch metrów.
Charlie Sommers cicho się zaśmiał.
Przecież to idiotyczne. W chwili, gdy odsłonięta końcówka przewodu zbliży się do metalowej belki, prąd, przewidując kontakt z ziemią, wystrzeli potężnym łukiem. Eksplozja, plazma, błysk, kawałki stopionego metalu, latające z prędkością stu metrów na sekundę...
Nie miał jednak wyboru.
Teraz!
Musi mu odciąć łeb...
Zaczął wysuwać kabel w kierunku dźwigara.
Dwa metry, półtora, metr...
-Halo! Charlie? Charlie Sommers?
Omal nie krzyknął. Kabel zakołysał się w powietrzu, ale Sommers szybko go skrócił.
- Kto tam? - zawołał, zanim zdążył sobie uświadomić, że to może być brat Andi Jessen, który przyszedł go zastrzelić.
- Ron Pułaski. Jestem policjantem, pracuję z detektyw Sachs.
- O co chodzi? - krzyknął zduszonym głosem Sommers. - Co pan tu robi?
- Od pół godziny próbujemy się do pana dodzwonić.
- Niech pan stąd idzie. To niebezpieczne.
- Telefon nie odpowiada. Zadzwoniliśmy zaraz po tym, jak skończył pan rozmowę z Amelią i Lincolnem.
Sommers odzyskał panowanie nad głosem.
- Cholera, nie mam komórki przy sobie. Właśnie odłączam zasilanie całego centrum. To jedyny sposób, żeby go powstrzymać. To grozi wielkim...
- Już został zatrzymany.
-Co?
- Tak jest, przysłali mnie, żeby pana znaleźć. Przez telefon mówili panu nieprawdę. Wiedzieli, że podsłuchuje ich morderca, więc nie mogli powiedzieć, co naprawdę planują. Musieliśmy mu dać do zrozumienia, że wierzymy

w zamach na centrum kongresowe. Kiedy tylko wyszedłem od Lincoln, próbowałem się do pana dodzwonić. Ale pan nie odbierał. Ktoś mi powiedział, że widział, jak schodzi pan na dół.

Chryste

Panie.

Sommers patrzył na zwisający pod nim kabel. W każdej chwili prąd w linii zasilania mógł uznać, że chce wrócić do domu na skróty i Sommers po prostu zniknie.

- Co pan tam właściwie robi? - zawołał Pułaski.

Popelniam samobójstwo.

Sommers wolno wciągnął kabel, a potem sięgnął do linii zasilania i zaczął rozplątywać złącze, spodziewając się - nie, święcie przekonany - że lada chwila usłyszy króciutkie buczenie i huk, zobaczy błysk i umrze.

Rozplątywanie pęt bestii zdawało się trwać wiecznie.

- Mogę coś zrobić, proszę pana?

Tak, zamknąć się wreszcie.

- Niech pan się nie zbliża i da mi jeszcze chwileczkę.

- Jasne.

Wreszcie kabel puścił i Sommers zrzucił go na podłogę. Następnie wysunął się z pętli z węża gaśniczego, przez moment wisiał w powietrzu, a potem zeskoczył na leżący kabel. Przewrócił się przy lądowaniu, poczuł ból, lecz zaraz wstał i sprawdził, czy jakaś kość nie została złamana. Ale nie wyczuwał złamania.

- Co pan mówi? - zapytał Pułaski.

Sommers powtarzał jak mantrę: Nie ruszać się z miejsca, nie ruszać się, nie ruszać się...

- Nic - powiedział jednak do policjanta. Strzepnął kurz ze spodni i rozejrzał się dookoła.

- Mam pytanie - zwrócił się do gliny.

- Słucham.

- Czy po drodze nie mijał pan przypadkiem toalety?

Rozdział Rf1

harliemu Sommersowi już nic nie grozi! - zawołała Sachs, chowając telefon. - Właśnie dzwonił Ron.

Rhyme zmarszczył brwi.

- Nie wiedziałem, że coś mu groziło.

- Wygląda na to, że próbował zostać bohaterem. Zamierzał odłączyć zasilanie w centrum kongresowym. Ron znalazł go w piwnicy z przewodem i narzędziami. Charlie zwisał z sufitu.

- Co tam robił?

- Nie wiem.

- Miał kłopot z poleceniem „nie ruszaj się z miejsca”? Sachs wzruszyła ramionami.

- Nie mogłaś po prostu do niego zadzwonić?

- Nie miał przy sobie telefonu. Z powodu jakichś stu tysięcy woltów.

Brat Andi Jessen też był zdrow i cały, tyle że brudny, głodny i wściekły. Wyciągnięto go z białej furgonetki Logana, zaparkowanej w alejce za domem Rhyme'a. Logan o niczym mu nie mówił, trzymając go w nieświadomości i ciemności. Randall Jessen przypuszczał, że został porwany w celu wymuszenia okupu od jego bogatej siostry - prezeski. Randall nie słyszał nic o zamachach, a Logan najprawdopodobniej zamierzał porazić go prądem w piwnicy Rhyme'a, pozorując wypadek, jak gdyby Randall przypadkiem dotknął przewodu pod napięciem, demontując zdalny włącznik, który zainstalował w skrzynce rozdzielczej, by zabić kryminalistykę. Pojechał już do siostry, którą Gary Noble na bieżąco informował o rozwoju sytuacji.

Rhyme zastanawiał się, czy Andi zareaguje na fakt, że spisek zawiązał świat energii alternatywnej, czyli cel jej prasowych ataków.

-A Bob Cavanaugh? - spytał Rhyme. - Człowiek od spraw operacyjnych?

- Zgarnęli go ludzie McDaniela. Był w swoim gabinecie. Nie stawiał oporu. Miał tony dokumentów biznesowych początkujących producentów energii alternatywnej, z którymi spiskowcy zamierzali robić interesy po przejęciu Algonquin. FBI zdobędzie nazwiska

z jego komputera i rejestrów połączeń telefonicznych - jeżeli nie będzie chciał współpracować.

Zielony kartel...

Rhyme uświadomił sobie, że Richard Logan, który siedział ze skutymi rękami i nogami na krześle między dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami, mówi do niego. Spokojnym, przeraźliwie analitycznym tonem morderca powtórzył:

- Pułapka? Udawałeś. Wiedziałeś od początku.

- Wiedziałem. - Rhyme przyglądał mu się badawczo. Choć morderca potwierdził, że nazywa się Richard Logan, nie potrafił tak o nim myśleć. Dla Rhyme'a na zawsze pozostanie Zegarmistrzem. Owszem, po operacji plastycznej twarz wyglądała inaczej, ale oczy należały do tego samego człowieka, który okazał się równie inteligentny jak Rhyme. Czasami nawet go przewyższał. Nie krępowały go drobiazgi w rodzaju prawa i sumienia.

Łańcuchy u nóg były solidne, a kajdanki ciasne, mimo to Lon Sellitto wolał siedzieć w pobliżu, mając go na oku, jak gdyby detektyw sądził, że Logan używa swojej sprawności umysłowej, by planować ucieczkę.

Rhyme w to jednak nie wierzył. Przenikliwy wzrok więźnia zlustrował pomieszczenie i funkcjonariuszy i Logan wyraźnie doszedł do wniosku, że oporem nic nie wskóra.

-No więc jak to zrobisz? - zapytał spokojnie Logan. Chyba naprawdę go to interesowało.

Gdy Sachs i Cooper pakowali i oznaczali nowe dowody, Rhyme, który nie grzeszył przesadną skromnością, chętnie zaspokoił jego ciekawość.

- Kiedy nasz agent FBI powiedział mi, że to nie Galt, ale ktoś inny, dałem sobie spokój z rutynowym myśleniem. Znasz ryzyko przyjmowania hipotez... od początku zakładałem, że **sprawcą** jest Galt. Ale kiedy ta teoria przewróciła się do góry nogami, zacząłem myśleć o całym... - Rhyme uśmiechnął się, znajdując przypadkowo

zgrabne słowo - ...o całym łuku zbrodni. Weźmy pułapkę w szkole: jaki był sens porażenia najwyżej dwóch czy trzech funkcjonariuszy? I to za pomocą hałaśliwego generatora? Przyszło mi na myśl, że to dobry sposób na podrzucenie do laboratorium fałszywych dowodów - i dobre miejsce na ukrycie mikrofonu.

Zaryzykowałem tezę, że założyłeś podsłuch w generatorze. Zacząłem więc pleść bzdury o nowych hipotezach na temat Andi Jessen i jej brata, bo to na nich jednoznacznie wskazywały dowody. Równocześnie pisałem instrukcje dla wszystkich w laboratorium, a oni czytali mi przez ramię. Poleciałem Melowi - swojemu współpracownikowi - sprawdzić, czy w generatorze jest pluskwa... i była. Jeżeli chciałeś, żebyśmy znaleźli generator, to oznaczało, że wszystkie dowody na nim są podzucone. Wniosek: każda osoba, na którą wskazywały, nie była zamieszana w zbrodni. Andi Jessen i jej brat są niewinni.

Logan marszczył brwi.

-Ale w ogóle jej nie podejrzewałeś?

- Owszem, podejrzewałem. Sądziłem, że nas okłamała. Słyszałeś to przez mikrofon?

- Tak, chociaż nie byłem pewien, co miałaś na myśli.

- Mówiła Sachs, że odziedziczyła zdolności po ojcu. Jak gdyby ukrywała fakt, że była monterem i potrafiła wywołać łuk elektryczny. Ale jeżeli się zastanowić nad tym, co powiedziała, to wcale nie zaprzeczała, że pracowała na liniach, tylko mówiła, że ma talent przede wszystkim do biznesu... Jeżeli to nie Andi ani jej brat, to kto? Ciągle wracałem do dowodów. - Zerknął na tablice. - Parę rzeczy pozostawało zagadką. Szczególnie chodziła mi po głowie sprężyna.

- Sprężyna? Tak, wspomniałeś.

- Na jednym z miejsc znaleźliśmy sprężynę włosową. Prawie niewidoczną. Uznaliśmy, że może pochodzić z urządzenia zegarowego, zamontowanego w jakimś

wyłączniku. Ale doszedłem do wniosku, że jeżeli mogła pochodzić z timera, to mogła być też wykorzystana w zegarku. Wtedy oczywiście pomyślałem o tobie.

- Sprężyna włosowa? - Loganowi mina zrzedła. - Zawsze przed wyjściem czyszcę ubranie rolką... - głową wskazał stojak z rolkami do usuwania sierści zwierząt - ...żeby się pozbyć wszystkich mikrośladów. Włos musiał mi wpaść za mankiet. Chcesz usłyszeć ' coś zabawnego, Lincoln? Sprężyna znalazła się tam zapewne dlatego że chowałem dużo dawnych materiałów i narzędzi. Mówiłem ci ' zafascynowało mnie elektroniczne mierzenie czasu. Właśnie tego chciałem spróbować. Chciałem skonstruować najdoskonalszy zegar na świecie. Lepszy nawet od zegara atomowego instytutu standaryzacji. Ale elektroniczny.

- Wtedy wszystkie kawałki układanki wskoczyły na miejsce - ciągnął Rhyme. - Moja teoria, że ktoś groźbą zmusił Galta do napisania listów, była słuszna, jeżeli to tyje dyktowałeś. Alternatywne paliwo lotnicze? Testowano je przede wszystkim w wojskowych odrzutowcach - ale to oznacza, że testowano je też podczas co najmniej kilku prywatnych i cywilnych lotów. Uznałem, że zamach na lotnisko czy bazę wojskową nie miałby sensu; instalacje elektryczne są tam za dobrze zabezpieczone. Skąd więc pochodził ślad? Jedyne trop lotniczy, jaki się ostatnio pojawił, w ogóle nie był związany z tą sprawą; był związany z twoim pobytem w Meksyku. Znaleźliśmy też zielone włókno... w identycznym odcieniu jak umundurowanie policji meksykańskiej. Na włóknie był ślad paliwa lotniczego.

- Zostawiłem włókno? - Wyraźnie był zły na siebie. Wściekły.

- Przypuszczam, że zostało na twoim ubraniu po spotkaniu z Arturem Diazem na lotnisku przed twoim odlotem do Filadelfii, gdzie porwał Randall Jessena, a potem pojechałeś do Nowego Jorku.

Logan mógł tylko westchnąć, potwierdzając słusność teorii Rhyme'a.

-No więc przyjąłem hipotezę, że jesteś w to zamieszany. Ale to były jedynie spekulacje - dopóki nie zdałem sobie sprawy, że mam odpowiedź pod nosem. Ostateczną odpowiedź.

- To znaczy?

- DNA. Mieliśmy wynik analizy krwi znalezionej na kłapie wjazdu niedaleko podstacji, gdzie doszło do pierwszego zamachu. Ale nie sprawdziłem profilu w CODIS - bazie danych DNA. Po co mielibyśmy to robić? Przecież wiedzieliśmy, że to Galt.

Był to rozstrzygający test. Rhyme napisał instrukcje Cooperowi - nie mógł przekazać mu ich ustnie z powodu pluskwy w generatorze - aby polecił laboratorium przesłać próbkę DNA do CODIS.

- Mieliśmy próbkę twojego DNA z zadania w Nowym Jorku sprzed kilku lat. Kiedy się zjawiałeś, właśnie czytałem potwierdzenie, że są takie same. Musiałem szybko przełączyć ekrany.

Twarz Logana napięła się ze złości na samego siebie.

-Tak, tak... w podstacji rozciąłem sobie palec o zadziór metalu na kłapie wjazdu. Dokładnie starłem krew, ale bałem się, że ją znajdziecie. Dlatego zrobiłem pułapkę z akumulatora, żeby spalić DNA.

- Zasada Locarda - zauważył Rhyme, cytując dziewiętnastowiecznego kryminalistykę. - „W każdym przestępstwie dochodzi do przeniesienia dowodów...

- .. .między sprawcą a ofiarą lub sprawcą a miejscem popełnienia przestępstwa" - dokończył Logan. - „Ślad może być niewielki, ale związek między nimi istnieje. Zadaniem każdego technika zabezpieczającego ślady jest znalezienie tego wspólnego dowodu, który doprowadzi do ustalenia tożsamości sprawcy. Jeśli nie bezpośrednio do jego drzwi".

Rhyme nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu. Ten cytat pochodził z jego tekstu, w którym parafrazował zasadę Locarda. Tekst ukazał się w artykule na temat kryminalistyki, który napisał zaledwie dwa czy trzy miesiące temu. Najwyraźniej Richard Logan też się dobrze przygotował.

A może to było coś więcej niż sumienne przygotowanie?

Dlatego przyjąłem tę robotę. Musiałem się do ciebie zbliżyć...

- Jesteś nie tylko dobrym kryminalistyką - powiedział Logan - ale i świetnym aktorem. Dałem się nabrać.

- Częściowo sam jesteś sobie winien, prawda?

Ich oczy skrzyżowały się i wytrzymali swoje spojrzenia. Nagle zadzwonił telefon Sellitta, który odebrał i rozłączył się po krótkiej rozmowie.

- Mamy transport.

W drzwiach stanęli trzej policjanci: dwaj umundurowani i jeden ciemnowłosy detektyw w niebieskich dżinsach, niebieskiej koszuli i beżowej sportowej marynarce. Jego twarz rozjaśniał beztroski uśmiech, który mącił fakt, że na biodrach nosił dwa duże pistolety automatyczne.

- Cześć, Roland - powiedziała z uśmiechem Amelia.

- Dawno cię nie widzieliśmy - dorzucił Rhyme.

- Siemacie. Widzę, że połów się udał. - Roland Bell był nabytkiem z biura szeryfa w Karolinie Północnej. Od paru dobrych lat służył w policji nowojorskiej, ale wciąż nie pozbył się nosowego tonu rodem z Południa. Specjalizował się w ochronie świadków i pilnowaniu podejrzanych, żeby nie uciekli. W departamencie nie było nikogo lepszego. Rhyme ucieszył się, że to Roland ma eskortować Zegarmistrza do aresztu.

- Będzie w dobrych rękach.

Na znak Bella policjanci pomogli Loganowi wstać. Bell sprawdził łańcuchy i kajdanki, a potem sam zrewidował zatrzymanego. Skinął głową i wszyscy ruszyli do drzwi. Zegarmistrz odwrócił się i tajemniczo powiedział:

- Jeszcze się zobaczymy, Lincoln.

- Wiem. Już się nie mogę doczekać.

Uśmiech podejrzanego zmienił się w zaskoczoną minę.

- Na twoim procesie będę biegłym w dziedzinie kryminalistyki - ciągnął Rhyme.

- Może tam. Może gdzie indziej. - Logan spojrzał na bregueta. - Nie zapominaj go nakręcać.

Po tych słowach wyszedł.

Rozdział 81

rzykro mi to mówić, Rodolfo.

p Jowialny ton w jego głosie zniknął bez śladu.

- Arturo? Nie, nie mogę w to uwierzyć.

Rhyme opowiedział mu o spisku zaplanowanym przez Diaza - by zabić szefa i upozorować zabójstwo na skutek uboczny zamachu dokonanego przez Logana w Meksyku.

W ciszy, jaka potem zapadła, Rhyme zapytał:

- Czy to był przyjaciel?

- Ach, przyjaźń... Powiem tak: żona, która sypia z innym mężczyzną i wraca do domu, żeby zająć się

dziećmi i przygotować mężowi ciepły posiłek, mniej grzeszy niż przyjaciel, który cię zdradzi z chciwości. Co pan na to, kapitanie Rhyme?

- Zdrada to symptom prawdy.

-Ach, kapitanie Rhyme, jest pan buddystą? Hindusem?

Rhyme musiał się roześmiać.

-Nie.

-Ale uderza pan w filozoficzne nuty. Odpowiedź chyba jest taka, że Arturo Diaz był funkcjonariuszem meksykańskich organów ścigania, i to wystarczający powód tego, co zrobił. Życie tu jest nie do wytrzymania.

-Ajednak pan wytrzymuje. Ciągłe pan walczy.

-Walczę. Ale jestem głupi. Podobnie jak pan, przyjacielu. Nie lepiej byłoby zarabiać miliony, pisząc raporty o bezpieczeństwie dla wielkich korporacji?

- Tylko co to za przyjemność? - odparł kryminalistyk.

Odpowiedział mu szczerzy i gromki śmiech.

- Co się z nim teraz stanie? - zapytał Meksykanin.

- Z Loganem? Zostanie skazany za morderstwa w tych sprawach i za przestępstwa, które tu popełnił kilka lat temu.

- Dostanie karę śmierci?

- Mógłby dostać, ale wyrok nie zostanie wykonany.

- Dlaczego? Przez tych liberałów w Ameryce, o których tyle słyszę?

- To trochę bardziej skomplikowane. W grę wchodzi doraźne cele polityczne. W tym momencie gubernator nie chce przeprowadzać żadnych egzekucji, bo byłoby to nie na rękę.

- ..zwłaszcza skazanemu.

- Jego opinia jest mało znacząca.

- Przypuszczam. Mimo takiej pobłażliwości, wydaje mi się, kapitanie, że Ameryka by mi się spodobała. Może przekradnę się przez granicę i zostanę nielegalnym imigrantem. Mógłbym pracować w McDonalddie, a wieczorami wyjaśniać zbrodnie.

- Zostanę pańskim sponsorem, Rodolfo.
- Ha. Moja wyprawa jest równie prawdopodobna jak pański przyjazd do Meksyku na kurczaka w sosie czekoladowym i tequilę.
- To prawda. Chociaż wolałbym tequilę.
- Obawiam się, że będę musiał posprzątać szczerze gniazdo, w jakie zmienił się mój departament. Może... - urwał.
- Co takiego, komendancie?
- Może będę miał parę pytań na temat dowodów. Wiem, że to bezczelne z mojej strony, ale prawdopodobnie zechcę pana wykorzystać.
- Z przyjemnością pomogę, jeżeli tylko potrafię.
- Doskonale. - Znów zachichotał. - Jeżeli szczęście mi dopisze, może za kilka lat też dodam sobie do nazwiska ten czarodziejski skrót.
- Czarodziejski skrót?
- W st. sp.
- Pan, komendancie, w stan spoczynku?
- Żartuję, kapitanie. Stan spoczynku nie jest dla ludzi takich jak my. My umieramy na służbie. Módlmy się, żebyśmy mieli przed sobą jeszcze dużo czasu. Żegnam pana, przyjacielu.
Rozłączyli się, a Rhyme polecił telefonowi zadzwonić do Kathryn Dance w Kalifornii. Przekazał jej wiadomość o aresztowaniu Richarda

Logana. Rozmowa była krótka. Nie dlatego, że nie miał ochoty udzielać się towarzysko - wprost przeciwnie. Był bardzo przejęty swoim zwycięstwem.

Ale skutki ataku dysrefleksji zaczynały na nim osiadać jak chłodna rosa. Przekazał telefon Sachs - niech sobie dziewczyny pogadają - a sam poprosił Thoma, żeby przyniósł mu glenmorangie.

- Osiemnastoletniej, jeżeli będziesz łaskaw. Bardzo proszę i dziękuję.

Thom nalał mu sporą miarkę i umieścił plastikowy kubeczek w uchwycie w pobliżu ust szefa. Rhyme pociągnął łyk przez słomkę. Zanim przełknął, przez chwilę delektował się aksamitnym, dymnym smakiem. Ogarnęło go ciepło i ulga, choć whisky wzmocniła też przekłute uczucie zmęczenia, jakie dręczyło go przez cały tydzień. Zmusił się, by o tym nie myśleć.

Kiedy Sachs odłożyła słuchawkę, zapytał:

- Przyłączysz się, Sachs?
- No pewnie.
- Mam ochotę na muzykę - oznajmił.
- Jazz?
- Może być.

Wybrał nagranie z koncertu Dave'a Brubecka z lat sześćdziesiątych. Głośniki zatrzeszczały i zaczęły pulsować charakterystycznym, wciągającym rytmem „Take Five” z metrum pięć czwartych.

Gdy Sachs nalała sobie whisky i usiadła obok niego, jej wzrok spoczął na tablicach z dowodami.

- Zapomnieliśmy o czymś, Rhyme.
- O czym?
- O tej domniemanej grupie terrorystycznej. „Sprawiedliwość dla Ziemi”.

- To już sprawa McDaniela. Gdybyśmy znaleźli jakiś dowód, bardziej bym się martwił. Ale... nie mamy nic. - Rhyme pociągnął jeszcze jeden łyk i poczuł następną falę zmęczenia, natarczywie zaćmiewającą myśli. Mimo to

zdobył się na delikatny żart. - Osobiście uważam, że to po prostu była pomyłka ze strefy cienia.

Rozdział R2

Wychody Dnia Ziemi w Central Parku trwały w najlepsze. Do osiemnastej dwadzieścia tego przyjemnego, choć chłodnego i pochmurnego wieczoru, agent FBI stał na skraju Sheep Meadow, przyglądając się tłumowi, który w większości składał się z osób protestujących przeciwko temu i owemu. Było trochę wycieczkowiczów, trochę turystów. Ale pięćdziesięciotysięczna publiczność wydawała się wkurzona z tego czy innego powodu: globalnego ocieplenia, ropy, wielkiego biznesu, dwutlenku węgla, gazów cieplarnianych.

i metanu.

Agent specjalny Timothy Conradt zdumiał się na widok grupy osób protestujących przeciwko wzdęciom u bydła. Najwyraźniej metan wydzielany przez zwierzęta hodowlane też wypalał dziury w warstwie ozonowej.

Krowie bąki.

Świat zupełnie zwariował.

Conradt paradował z doklejonym wąsem i przebraniem złożonym z dżinsów i workowatej koszuli, zasłaniającej radio i broń. Rano żona wprasowała mu zagniecenia do ubrania, stanowczo sprzeciwiając się jego pomysłowi, by spać w kostiumie i nabrać „wytrawnego” wyglądu.

Nie był fanem zdeklarowanych, ograniczonych liberałów i ludzi, którzy byliby gotowi zaprzedać kraj w imię... czego właściwie? Samozadowolenia, Europy, globalizmu, socjalizmu... tchórzostwa.

Jedyną rzeczą, jaka łączyła go z tymi ludźmi, było środowisko naturalne. Conradt uwielbiał ruch na świeżym

powietrzu. Polowanie, wędkarstwo, piesze wędrówki. Dlatego w pewnym sensie się z nimi solidaryzował.

Uważnie przyglądał się twarzom w tłumie, bo choć sprawca znany jako Zegarmistrz został zatrzymany, to wicedyrektor Tucker McDaniel wciąż był pewien, że grupa „Sprawiedliwość dla Ziemi” będzie próbowała coś zrobić. Nawet człowiek tak słabo znający się na technice jak Conradt musiał przyznać, że trafienia SIGINT są nie do odparcia. „Sprawiedliwość dla Ziemi”. Albo, jak zgodnie z instrukcją McDaniela agenci nazywali organizację, „Esdez”.

Całe miasto obstawiono zespołami agentów i policjantów, którzy mieli ochraniać centrum kongresowe niedaleko Hudsonu, paradę w Battery Park oraz to zgromadzenie w Central Parku.

McDaniel miał teorię, według której błędnie zinterpretowano związki między Richardem Loganem, Algonquin Consolidated Power oraz Esdezem, ale grupa prawdopodobnie weszła we współpracę z jakąś komórką islamskich fundamentalistów.

Układ symbiotyczny.

Określenie, które miało dać agentom mnóstwo argumentów na kilka najbliższych miesięcy, gdy będą szli na drinka.

Conradt, który spędził parę lat na ulicach, przypuszczał, że Esdez być może istniał, ale składał się z niegroźnych dla nikogo fanatyków. Przechadzał się spokojnie po parku, cały czas szukając jednak osób pasujących do profilu. Zwracał uwagę, czy ręce wyglądają na proporcjonalne w stosunku do ciał, zwracał uwagę na pewien rodzaj plecaków, na chód, który mógłby zdradzać, że człowiek ma broń albo ładunek wybuchowy. Zwracał uwagę na blade podbródki, z których niedawno zgolono brodę, na bezwiedne gesty kobiet dotykających włosów, jak gdyby skrępowanych, że po raz pierwszy od lat młodości pojawiają się publicznie bez hedżabu.

I zawsze obserwował oczy.

Jak dotąd Conradt widział oczy, w których malowało się pobożne oddanie, obojętność albo zaciekawienie.

Żadne spojrzenie nie wskazywało jednak na mężczyznę czy kobietę, pragnących zamordować ogromną liczbę ludzi w imię boże. Albo w imię wielorybów, drzew czy puszczyków plamistych. Conradt krążył jeszcze przez jakiś czas i w końcu zatrzymał się obok swojej partnerki, poważnej trzydziestopięcioletniej agentki, ubranej w długą hipi-sowską spódnicę i bluzkę równie obszerną jak koszula Conradta.

- Masz coś?

Niepotrzebne pytanie, bo gdyby „coś” zauważyła, zaraz by go zawiadomiła - podobnie jak każdego z rzeszy policjantów i agentów w parku.

Przeznaczając pokręciła głową.

Zdaniem Barb, na niepotrzebne pytania nie warto odpowiadać głośno.

Nie Barb, tylko Bar-ba-ra, poprawił się. Tak jak ona go poprawiała, kiedy zaczęli razem pracować.

- Są już? - Conradt wskazał na scenę ustawioną na południowym końcu Sheep Meadow, mając na myśli mówców, którzy zgodnie z planem wychodzili o wpół do siódmej - dwóch senatorów z Waszyngtonu. Mieli współpracować z prezydentem, przedstawiając projekty ustaw o ochronie środowiska, które uszczęśliwią ekoliberałów, a połowę spółek w Stanach roześlą do tego stopnia, że będą miały ochotę poprzetrzącać im karki.

Potem miał się rozpocząć koncert. Conradt nie potrafił odgadnąć, czy większość ludzi przyszła tu dla muzyki, czy dla przemówień. Sądząc po tłumie, pewnie pół na pół.

- Dopiero przyjechali - powiedziała Barbara.

Oboje przez chwilę przyglądali się publiczności. Wreszcie Conradt się odezwał:

- Dziwny akronim. Esdez. Powinni ich chyba nazwać Esdezet.

- Esdez to nie akronim.

- Jak to?

- Z definicji akronim to słowo utworzone z pierwszych liter - wyjaśniła Barbara.

- Po angielsku?

Westchnęła, jak mu się wydawało, z lekceważeniem.

- W każdym razie na pewno w kraju anglojęzycznym.

- Czyli NFL to nie jest akronim?

- Nie, to skrótowiec. Akronim to na przykład NATO.

Conradt pomyślał: Barbara agentka idealna...

-A BAI? - spytał.

- Pewnie tak. Nie znam się na markach. Co oznacza ten skrót?

- Zapomniałem.

Ich nadajniki zatrzeszczały jednocześnie. Oboje nacyli się nad nimi.

- Uwaga, goście wchodzą na scenę. Powtarzam, goście wchodzą na scenę.

Goście - eufemizm oznaczał senatorów.

Agent na stanowisku dowodzenia rozkazał Conradtowi i Barbarze zająć pozycje na zachodnim skrzydle sceny. Ruszyli naprzód.

- Wiesz, że tu kiedyś naprawdę były owce 3? - powiedział do BIC Conradt. - Ojcowie miasta pozwalali im się paść do lat trzydziestych. Potem zostały przeniesione do Prospect Park na Brooklynie.

Barbara zmierzyła go obojętnym spojrzeniem, które mówiło: co to w ogóle ma do rzeczy?

Conradt przepuścił ją przodem wąską ścieżką.

Rozległy się burzliwe oklaski. I krzyki.

Senatorowie stanęli na podium. Ten, który miał zacząć, nachylił się nad mikrofonem i zaczął mówić wolno i donośnie, a jego głos rozbrzmiewał echem na całej Sheep Meadow. Tłum wkrótce ochrypl od oszalałych krzyków, którymi wyrażał aprobatę mniej więcej co dwie minuty, przerywając zalew frazesów.

Nawracali rzeszę nawróconych.

W tym momencie Conradt zauważył coś z boku sceny, co zaczęło się przesuwac do środka, tam gdzie stali senatorowie. Zesztywniał i nagle skoczył naprzód.

- Co jest? - zawołała Barbara, sięgając po broń.

- Esdez - szepnął. I chwycił radio.

Rozdział R3

siódmej wieczorem Fred Dellray wrócił do budynku federalnego na Manhattanie ze szpitala, gdzie odwiedził Williama Brenta alias Stanleya Palmera alias wiele innych nazwisk. Informator miał poważne obrażenia, ale

3 Sheep Meadow - owcza łąka (przyp. tłum.).

odzyskał przytomność. Za trzy albo cztery dni mieli go wypisać.

Z Brentem skontaktowali się już miejscy prawnicy z propozycją ugody. Sprawa była bezdyskusyjna, ponieważ ewidentną winę za wypadek ponosił funkcjonariusz nowojorskiej policji, który potracił go służbowym radiowozem. Zaoferowano mu kwotę pięćdziesięciu tysięcy dolarów plus zwrot kosztów za leczenie.

Tak więc William Brent miał bardzo dobre kilka dni, przynajmniej pod względem finansowym, otrzymując wolne od podatku odszkodowanie z tytułu odniesionych obrażeń oraz sto tysięcy od Dellraya - również wolne od podatku, ale tylko dlatego, że ani urząd skarbowy, ani nowojorski wydział podatkowy nigdy nie miał się o tym dowiedzieć.

Dellray był w biurze, delectując się wiadomością o aresztowaniu Richarda Logana, czyli Zegarmistrza, gdy jego asystentka, dwudziestokilkuletnia inteligentna Afroamerykanka zapytała:

- Słyszałeś o tej historii z Dniem Ziemi?
- Jakiej?
- Nie znam szczegółów. Podobno ta grupa, Esdez...
- Co?
- SDZ, „Sprawiedliwość dla Ziemi”, ci ekoterrorysty. Dellray odstawił kawę, czując, jak wali mu serce.
- Naprawdę istnieje?
- Aha.

- Co się stało? - spytał niecierpliwie.
- Słyszałam tylko, że dostali się do Central Parku, blisko tych dwóch senatorów, których przysłał prezydent, żeby przemawiali na wiecu. Szef chce się z tobą zobaczyć. Natychmiast.
- Są zabici, ranni? - szepnął ze zgrozą Dellray.
- Nie wiem.

Chudy agent z ponurą miną wstał i szybko ruszył korytarzem, stawiając wielkie kroki. W ten sposób zawsze chodził ulicą.

Z którą niebawem miał się pożegnać. Odnalazł ważny ślad i pomógł złapać Zegarmistrza. Nie wykonał jednak głównego zadania: nie wytropił grupy terrorystycznej.

Teraz McDaniel wykorzysta to, żeby się z nim rozprawić... z pogodnym uśmiechem, a zarazem posępnie, energicznie, a zarazem subtelnie. Pewnie już to zrobił, skoro wzywał go dyrektor biura.

Pracuj nad tym dalej, Fred. Dobrze ci to wychodzi...

Po drodze zaglądał do pokoi, szukając kogoś, kto mógłby mu coś powiedzieć o incydencie w parku. Biura były jednak puste. Dzień pracy już skończył, ale przypuszczał, że wszyscy pognali do Central Parku, kiedy namierzono „Sprawiedliwość dla Ziemi”. To był chyba najbardziej czytelny znak, że to koniec jego kariery. Nikt nawet nie zadzwonił, żeby poprosić go o udział w akcji.

Był też oczywiście inny powód tej obojętności i wezwania do gabinetu szefa - skradzione sto tysięcy.

Co on sobie wyobrażał? Zrobił to dla miasta, które kochał, dla mieszkańców, których przysięgał chronić. Ale naprawdę wierzył, że taki numer ujdzie mu płazem? Zwłaszcza gdy zastępca szefa chciał się go pozbyć i ślęczał nad papierami swoich agentów z pasją nałogowego krzyżówkowicza?

Czy dałoby się drogą negocjacji uniknąć pudła?

Nie był pewien. Jeśli dodać plamę ze „Sprawiedliwością dla Ziemi”, jego akcje stały naprawdę nisko.

Minął jeden korytarz nijakiego biurowca. Minął kolejny. Wreszcie dotarł do sekretariatu szefa biura regionalnego. Jego asystentka zapowiedziała Dellraya i agent wkroczył do dużego narożnego gabinetu.

- Cześć, Fred.

- Witaj, Jon.

Agent specjalny, pięćdziesięciokilkuletni Jonathan Phelps, przy. gładził siwe, zaczesane do tyłu włosy, odgarniając je jeszcze bardziej do tyłu, po czym wskazał Dellrayowi krzesło naprzeciwko zarzuconego papierami biurka.

Nie, pomyślał Dellray, to nie było odpowiednie słowo. Na biurku panował porządek, tyle że przykrywały je trzy warstwy teczek z dokumentami. To był w końcu Nowy Jork. Działo się wiele rzeczy, które wymagały interwencji kogoś takiego jak szef biura regionalnego FBI.

Dellray próbował wyczytać coś z jego twarzy, która była jednak nieprzenikniona. Phelps w początkach kariery też pracował pod przykryciem. Ale ta wątpliwość wspólnej przeszłości nie mogła dać Dellrayowi żadnej nadziei na współczucie. Na tym polegała specyfika FBI: prawo federalne i przepisy stanowione zgodnie z nim przebijały wszystko. Szef był jedyną osobą w gabinecie, co nie zdziwiło Dellraya. Tucker McDaniel pewnie już odczytuje prawa terrorystom w Central Parku.

- No więc, Fred, przejdę od razu do rzeczy.

- Jasne.

- Chodzi o ten Esdez, czy jak mu tam.

- „Sprawiedliwość dla Ziemi”.

- Zgadza się. - Znów przygładził bujne włosy. Gdy oderwał od nich palce, były tak samo nienagannie uczesane, jak w chwili, gdy ich dotknął.

- Chcę tylko wszystko zrozumieć. Nie znalazłeś niczego o tej grupie, prawda?

Dellray nie zostałby tym, kim był, gdyby nie potrafił stawić czoła prawdzie.

- Nie, Jon. Dałem ciała. Sprawdziłem u swoich wszystkich stałych źródeł i u paru nowych. U wszystkich, których teraz prowadzę, i u kilkunastu byłych. W sumie ponad dwudziestu. Ani widu, ani słyhu. Przykro mi.

- Mimo to zespół inwigilacyjny Tuckera McDaniela miał dziesięć czystych trafień.

Strefa cienia...

Dellray nie zamierzał też mieszać z błotem McDaniela, nawet ochlapać go choćby kropelką.

- Podobno. Jego ludzie znaleźli kupę szczegółów. Znają nazwiska - tego Rahmana i Johnstona. I kryptonimy broni. - Westchnął. - Podobno doszło do jakiegoś incydentu, Jon. Co się stało?

- Ach, tak. Esdez wykonał ruch.

- Są ofiary?

- Mamy wideo. Chcesz obejrzeć?

Dellray pomyślał: nie, na bank nie chcę. Ostatnią rzeczą, jaką chciałbym oglądać, jest relacja z masakry, do której doszło przeze mnie. Albo widok Tuckera McDaniela na czele oddziału interwencyjnego, który wkracza, żeby ratować sytuację. Mimo to powiedział:

- Jasne. Możesz puścić.

Szef pochylił się nad laptopem, wcisnął kilka klawiszy i obrócił ekran w stronę Dellraya. Agent spodziewał się zobaczyć typowy materiał operacyjny Biura, kręcony szerokokątnym obiektywem, z niskim kontrastem dla wyodrębnienia szczegółów, z informacją u dołu o miejscu i czasie nagrania, dokładnym co do sekundy.

Zobaczył natomiast serwis informacyjny CNN.

CNN?

Uśmiechnięta i ufiyzowana reporterka z plikiem notatek w ręku rozmawiała z trzydziestokilkuletnim

mężczyznę ubranym w marynarkę źle dobraną do spodni. Miał ciemną cerę i krótko obcięte włosy. Uśmiechał się niepewnie, spoglądając nerwowo to w kamerę, to na reporterkę. Obok niego stał rudowłosy, piegowaty chłopiec, wyglądający na osiem lat.

Reporterka mówiła do mężczyzny:

- Słyszałam, że pańscy uczniowie przez kilka miesięcy przygotowywali się na Dzień Ziemi.

- Zgadza się - odparł mężczyzna, onieśmielony, ale wyraźnie dumny.

- W Central Parku jest dziś wiele grup, które działają na rzecz takiej czy innej sprawy. Czy pańscy uczniowie mają jakiś konkretny cel, związany z ochroną środowiska?

- Niezupełnie. Interesują się różnymi rzeczami: energią odnawialną, zagrożeniem lasów tropikalnych, globalnym ociepleniem i dwutlenkiem węgla, ochroną warstwy ozonowej, recyklingiem.

- A kim jest pański młody asystent?

- To mój uczeń, Tony Johnston.

Johnston?

- Witaj, Tony. Możesz powiedzieć naszym widzom, jak się nazywa wasz szkolny klub ochrony środowiska?

- Mhm. „Mała Drużyna Sprawiedliwych dla Ziemi”.

- Jakie wspaniałe afisze. Zrobiliście je sami z kolegami?

-Mhm. Ale trochę pomagał nam nasz nauczyciel... - Zerknął

na stojącego obok mężczyznę. - Pan Rahman.

- Brawo, Tony. Dziękuję ci, tobie i wszystkim uczniom Petera Rahmana z trzeciej klasy szkoły podstawowej imienia Ralpa Waldo Emersona w Queens, którzy wierzą, że nigdy nie jest się za małym, by zaangażować się w sprawy środowiska... Kathy Brigham z...

Szef dźgnął palcem w klawiaturę i ekran zgasł. Phelps oparł się o oparcie fotela. Dellray nie potrafił odgadnąć, czy chce się roześmiać, czy bluznąć przekleństwem.

- Sprawiedliwość dla Ziemi - powiedział, starannie wymawiając każdą głoskę. - Mała Drużyna. - Westchnął. - Domyślasz się, Fred, w jakie gówno wdepnęło nasze biuro?

Dellray uniósł krzaczastą brew.

- Błagaliśmy Waszyngton o dodatkowe pięć milionów dolarów, oprócz funduszy na wysłanie do akcji czterystu agentów. U sędziów w Nowym Jorku, Westchester, Filadelfii, Baltimore i Bostonie przepchnięto ponad dwadzieścia nakazów... Mieliśmy stuprocentowo pewne dane SIGINT o grupie ekoterrorystycznej, gorszej od Timothy'ego McVeigha, gorszej od Ibn Ladina, która zamachem wszech czasów zamierza rzucić Amerykę na kolana.

I okazało się, że to gromadka ośmio- i dziewięciolatków. A kryptonim „artykuły papiernicze”, który miał oznaczać broń? Oznaczał artykuły papiernicze. Nie komunikowali się ze sobą w strefie cienia, ale rozmawiali osobiście, budząc się z drzemki w szkole. Kobieta współpracująca z Rahmanem? To pewnie mały Tony, bo jest jeszcze przed mutacją... Dobrze, że nie było trafień SIGINT o kimś „wypuszczającym gołębie” na wiecu w Central Parku, bo mogliśmy jeszcze sprowadzić rakiety ziemia-powietrze.

Na moment zapadła cisza.

- Jakoś nie widzę, żebyś triumfował, Fred.

Wzruszył chudymi ramionami.

- Chcesz posadę Tuckera?

-A dokąd on...

-Gdzie indziej. Do Waszyngtonu. Zresztą co za różnica... No? Posada zastępcy szefa? Jak chcesz, możesz zacząć już od dzisiaj.

Dellray nie wahał się ani chwili.

- Nie, Jon. Dziękuję, ale nie.

- Jesteś jednym z najbardziej szanowanych agentów w tym biurze. Podziwiają cię. Proszę cię, żebyś to jeszcze przemyślał.

-Wolę być na ulicy. Nigdy nie chciałem niczego więcej. To dla mnie ważne. - Zabrzmiało to wyjątkowo „nieulicznie”.

- Ech, kowboje. - Szef zachichotał. - Lepiej będzie, jak wrócisz do siebie. Umówiłem się na rozmowę z McDanielem. Przypuszczam, że nie masz ochoty go spotkać.

- Pewnie nie.

Kiedy Dellray stał już w drzwiach, Phelps powiedział:

-Aha, Fred, jeszcze jedno.

Agent zatrzymał się w pół długiego kroku.

- To ty pracowałeś przy sprawie Gonzaleza, prawda? Dellray miał okazję przyskrzytnąć najniebezpieczniejszych drani w mieście i nigdy puls nie przyspieszył mu ani na jotę. Teraz serce zaczęło pompować krew w szalonym tempie i był pewien, że widać, jak tętni mu szyja.

- Sprawa prochów. Na Staten Island. Zgadza się.

- Coś się chyba komuś pomyliło.

- Pomyliło?

- Tak, z dowodami.

- Naprawdę?

Szef biura przetarł oczy.

- Twoi ludzie zgarnęli trzydzieści kilo heroiny, ze dwadzieścia sztuk broni i parę grubych paczek gotówki.

-Tak.

- W komunikacie prasowym napisali, że zarekwirowano milion sto tysięcy. Ale przygotowujemy sprawę do posiedzenia wielkiej ławy i wygląda na to, że w magazynie dowodów jest tylko milion.

- Ktoś się walnął o sto tysięcy?

Szef przechylił głowę.

- Nie, nikt się nie walnął.
-Mhm. - Dellray głęboko nabrał powietrza. Jasny
gwint... już wiadomo.

-Zajrzałem do papierów... zabawna rzecz, drugie zero na karcie ewidencyjnej, to zero zaraz po milionie, było bardzo cieniutkie. Na pierwszy rzut oka można je było wziąć za jedynekę. Ktoś spojrzął i napisał do prasy „milion sto tysięcy”.

- Rozumiem.

- Chciałem tylko, żebyś na wszelki wypadek wiedział, gdyby padło pytanie. To była literówka. Dokładna suma, jaką Biuro odebrało w sprawie Gonzaleza, to okrągły milion. Tak brzmi wersja oficjalna.

- Jasne. Dzięki, Jon.

Zmarszczył brwi.

- Za co?

- Za wyjaśnienia.

Szef skinął głową. Było to znaczące skinienie, a jego wymowa nie pozostawiała wątpliwości.

- Przy okazji - dodał Phelps. - Nieźle się spisales, pomagając przymknąć Richarda Logana. Parę lat temu planował zlikwidowanie kilkudziesięciu żołnierzy i ludzi z Pentagonu. Naszych też. Cieszę się, że resztę życia spędzi w pudle.

Dellray odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Wróciwszy do siebie, parsknął nerwowym śmiechem.

Trzecioklasiści?

Zaraz wyciągnął komórkę, aby napisać SMS do Sereny, że niedługo będzie w domu.

Rozdział R4

incoln Rhyme uniósł wzrok i zobaczył w drzwiach L Pułaskiego.

- Nowy, co ty tu robisz? Myślałem, że opisujesz dowody w Queens.

- Byłem w Queens. Tylko... - Jego głos zwolnił jak samochód, który natrafił na kłęb gęstej mgły.

- Tylko?

Dochodziła dziewiąta i w salonie byli sami. Z kuchni dobiegały przyjemne domowe odgłosy. Sachs i Thom przygotowywali kolację. Rhyme zauważył, że już dawno minęła pora koktajlu, i czuł się nieco dotknięty, że nikt nie dolał mu szkockiej do plastikowego kubeczka.

Poprosił Pułaskiego, by naprawił ten błąd. Młody policjant spełnił prośbę.

- To nie jest podwójna - mruknął Rhyme, ale Pułaski zdawał się nie słyszeć. Podeszedł do okna, spoglądając na zewnątrz.

Szykuje się przejmująca scena rodem z powolnych brytyjskich dramatów, uznał Rhyme i pociągnął przez słomkę łyk szlachetnego trunku.

- Podjąłem tak jakby decyzję. Chciałem, żebyś wiedział pierwszy.

- Tak jakby? - upomniał go surowym tonem Rhyme.

- To znaczy podjąłem decyzję.

Rhyme uniósł brew. Nie chciał go zbyt zachęcać. Ciekawe, co usłyszę? - zastanawiał się, choć przypuszczał, że chyba wie. Wprawdzie Rhyme poświęcił życie nauce, ale kiedyś kierował też zespołem złożonym z setek pracowników i policjantów. Mimo swojej niecierpliwości, szorstkości, wybuchów gniewu, był rozsądnym i sprawiedliwym szefem.

O ile ktoś nie dał ciała.

- Słucham, nowy.

- Odchodzę.

- Od rodziny?

- Ze służby.

- Ach, tak.

Odkąd Rhyme poznał Kathryn Dance, zaczął zwracać uwagę na mowę ciała. Wyczuł, że Pułaski wygłasza kwestie, które już przećwiczył. Wielokrotnie.

Policjant przejechał dłonią krótkie jasne włosy.

- William Brent.
- Informator Dellraya?
- Tak jest.
Rhyme znów chciał mu przypomnieć, że nie musi stosować takich oficjalnych formułek, ale powiedział tylko:
- Mów dalej, Pułaski.
Z posępną miną i niepokojem w oczach Pułaski usiadł na skrzypiącym fotelu wiklinowym obok wózka Rhyme'a.
- W mieszkaniu Galta przestraszyłem się, spanikowałem. Popeliłem błąd w ocenie sytuacji. Nie pamiętałem o wszystkich procedurach. - Jak gdyby chcąc podsumować, dodał: - Niewłaściwie oceniłem sytuację i nie dostosowałem zachowania odpowiednio do okoliczności.
Jak uczeń, który nie bardzo zna odpowiedź i recytuje wszystko, co mu przyjdzie na myśl, w nadziei, że coś będzie pasować.
- Ocknął się ze śpiączki.
- Ale mógł umrzeć.
- Dlatego chcesz porzucić służbę?
- Popeliłem błąd, który prawie kosztował życie człowieka... nie sądzę, żebym dalej mógł funkcjonować, wykorzystując cały swój potencjał.
Jezu, skąd on wziął takie sformułowania?
- Nowy, to był wypadek.
- Ale nie powinien się wydarzyć.
- Są inne rodzaje wypadków?
- Wiesz, o czym mówię, Lincoln. Dobrze to przemyślałem.
- Mogę ci udowodnić, że musisz zostać i postąpiłbyś źle, odchodząc.
- No i co, powiesz mi, że mam talent, że mogę dużo wnieść od siebie? - Na twarzy policjanta malowało się powątpiewanie. Był młody, ale wyglądał na dużo

starszego niż wówczas, gdy Rhyme go poznał. Takie piętno odciska służba w policji.

I praca z Lincolnem Rhyme'em.

- Wiesz, dlaczego nie możesz odejść? Bo okazałbyś się hipokrytą.

Pułaski spojrział na niego z zaskoczeniem.

- Straciłeś szansę - ciągnął ostrym tonem Rhyme.

- To znaczy?

- No dobrze, coś spieprzyłeś i ktoś został ciężko ranny.

Ale kiedy się okazało, że Brent może być przestępcą z mocno obciążonym kontem, uznałeś to za ułaskawienie, tak?

-No... chyba tak.

-I nagle przestało cię obchodzić, że go potrafiłeś. Bo co, był gorszym człowiekiem?

-Nie, po prostu...

- Daj mi dokończyć. W chwili gdy wjechałeś radiowozem w tego faceta, miałeś do wyboru dwie możliwości. Albo uznać, że ryzyko wypadków i ubocznych strat to dla ciebie za duży ciężar, i od razu zrezygnować. Albo odłożyć to na półkę i nauczyć się żyć z tym, co się stało. Nie ma żadnego znaczenia, czy facet był seryjnym mordercą, czy członkiem diakonatu w swoim Kościele. I żalenie się teraz z tego powodu jest intelektualnie nieuczciwe.

Oczy nowego zwężyły się ze złością, jak gdyby chciał powiedzieć coś na swoją obronę, ale Rhyme go ubiegł:

- Popeliłeś błąd. Nie popełniłeś przestępstwa... Błędy często się zdarzają w tej robocie. Problem w tym, że sprawa wygląda inaczej niż u księgowego czy szewca. Kiedy my coś spieprzymy, istnieje ryzyko, że ktoś może zginąć. Ale gdybyśmy rzucili pracę i zaczęli się tym zamartwiać, niczego byśmy nie dokonali. Cały czas oglądalibyśmy się przez ramię i jeszcze więcej osób mogłoby stracić życie, bo nie robilibyśmy tego, co do nas należy.

- Łatwo ci mówić - burknął ze złością Pułaski.
Słusznie, pomyślał Rhyme, zachowując jednak powagę.

- Byłeś kiedyś w takiej sytuacji? - spytał Pułaski.
Oczywiście, że był. Rhyme popełniał błędy. Dziesiątki, jeśli nie setki. Przed laty to właśnie błąd, przez który zginęli niewinni ludzie, doprowadził do sprawy, przy której Rhyme poznał Sachs. Nie chciał jednak powoływać się w tym momencie na żadną solidarność.

- Nie w tym rzecz, Pułaski. Rzecz w tym, że już podjąłeś decyzję. Przywołując tu dowody z mieszkania Gałta, kiedy już potrafiłeś Brenta, straciłeś prawo do odejścia ze służby. Kwestia jest bezprzedmiotowa.

-Ale to mnie gryzie.

- Więc czas kazać temu czemuś, żeby przestało cię gryźć. Robota policjanta wymaga też stawiania takich murów.

- Lincoln, nie słuchasz mnie.

- Słuchałem. Rozważyłem twoje argumenty i wszystkie odrzuciłem. Są nielogiczne.

- Dla mnie są logiczne.

- Nie są. Powiem ci dlaczego. - Rhyme zawahał się. - Bo dla mnie nie są logiczne... a ty i ja jesteśmy bardzo podobni, Pułaski. Cholernie mi ciężko przyznać się do tego, ale to prawda.

To osadziło młodego człowieka w miejscu.

- No więc daj spokój tym bzdurom, którymi mnie zanudzasz. Cieszę się, że tu jesteś, bo musisz zrobić coś jeszcze w sprawie. W Biurze...

Pułaski spojrzał na kryminalistykę i zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Niczego już nie zrobię. Odchodzę. W ogóle mnie nie słuchasz.

- Teraz nie odchodzisz. Będziesz to mógł zrobić za parę dni. Jesteś mi potrzebny. Sprawa - twoja tak samo jak moja - jeszcze się nie skończyła. Musimy być absolutnie pewni, że Logan zostanie skazany. Zgadzasz się ze mną?

Westchnienie.

- Zgadzam się.

- Zanim McDaniel został usunięty ze stanowiska i wysłany do jakiejś strefy cienia, kazał swoim ludziom przeszukać biuro Boba Cavanaugh. Nie zadzwonił do nas, żebyśmy sami to zrobili. Zespół kryminalistyczny Biura jest niezły - pomagałem go zakładać. Ale

powinniśmy zrobić tam swój obchód po siatce. Chcę, żebyś to teraz zrobił. Logan mówił, że w sprawę był zamieszany kartel, więc chcę mieć pewność, że wyłapiemy wszystkich.

Pełen rezygnacji grymas.

- Dobrze. Ale to będzie moje ostatnie zadanie.

Młody człowiek pokręcił głową i wybiegł z pokoju.

Lincoln Rhyme, powstrzymując uśmiech, poszukał ustami słomki wystającej z kubeczka whisky.

Rozdział 85

Lincoln Rhyme został sam.

↳ Ron Pulaski robił obchód po siatce w Algonquin Consolidated. Mel Cooper i Lon Sellitto wrócili do domów. Roland Bell zameldował, że Richard Logan został zamknięty na cztery spusty w specjalnie strzeżonym skrzydle aresztu w centrum.

Amelia Sachs też była w centrum, pomagając w papierkowej robocie, ale już wróciła do Brooklynu. Rhyme miał nadzieję, że poświęci trochę czasu samej sobie, może na przejażdżkę swoją cibrą torino. Od czasu do czasu zabierała ze sobą Pammy. Według relacji dziewczyny, przejażdżki były „zajefajne”, co przetłumaczył sobie jako „bardzo emocjonujące”.

Wiedział jednak, że dziewczynie nie grozi żadne niebezpieczeństwo. W przeciwieństwie do sytuacji, gdy Sachs jeździła sama, z Pammy zawsze wyczuła moment, w którym powinna powściągnąć swoją naturę. Thom też wyszedł ze swoim partnerem, dziennikarzem z „New York Timesa”. Chciał wprawdzie zostać i mieć na oku szefa, czekając na straszne skutki uboczne dysrefleksji albo na... nie wiadomo co. Ale kryminalistyk nalegał, żeby spędził wieczór poza domem.

- Wyznaczam godzinę policyjną na dwunastą - burknął.

- Lincoln, na pewno wrócę przed...

- Nie. Masz wrócić po północy. To antygodzina policyjna.

-Oszalałeś. Nie zostawię...

- Wypieprzę cię z roboty, jeżeli wrócisz wcześniej.

Opiekun przyjrzał mu się badawczo, po czym rzekł:

- Zgoda. Dzięki.

Rhyme nie miał cierpliwości do wyrazów wdzięczności, więc nie zwracając uwagi na opiekuna, zajął się komputerem, układając

listy dowodów dla prokuratora w ramach przygotowań do procesu, w wyniku którego Zegarmistrz miał trafić do więzienia za imponujący zestaw przestępstw, włącznie z morderstwem zagrożonym karą śmierci. Nie było wątpliwości, że zostanie skazany, lecz Nowy Jork, w przeciwieństwie do Kalifornii i Teksasu, traktował karę śmierci jak krępujące znamię pośrodku czoła. Tak jak powiedział Rodolfo Lunie, nie sądził, by Logan miał umrzeć.

Inne stany też zapewne będą chciały postawić go przed sądem, ale Zegarmistrz został aresztowany w Nowym Jorku; pozostali będą musieli czekać w kolejce.

W głębi duszy Rhyme nie miałby nic przeciwko wyrokowi dożywocia. Gdyby Logan zginął podczas konfrontacji w jego domu - na przykład sięgając po broń, żeby strzelić do Sachs albo Sellitta - byłby to sprawiedliwy i uczciwy koniec. Wystarczyło mu to, że go złapał i że Logan spędzi resztę życia w więzieniu. Śmiertelny zastrzyk wydawał się tandetny. I obraźliwy. Rhyme nie miałby ochoty uczestniczyć w śledztwie, po którym skazaniec wyruszyłby w ostatnią drogę na noszach na kółkach.

Ciesząc się samotnością, Rhyme podyktował kilka stron raportów z oględzin miejsc zdarzenia. Niektórzy funkcjonariusze pisali raporty liryczne, dramatyczne albo poetyckie. To nie było w stylu Rhyme'a. Używał oszczędnego, twardego języka - zamiast rzeźbić w

drewnie, odlewał metal. Z zadowoleniem przejrzał swoją pracę, choć irytowały go pewne luki. Nadal czekał na wyniki kilku analiz. Przypomniawszy sobie jednak, że niecierpliwość też jest grzechem, choć nie tak ciężkim jak niedbalstwo, a sprawa nie ucierpi, jeśli końcowy raport zostanie złożony o dzień czy dwa później.

No i w porządku, pomyślał. Będzie jeszcze coś do zrobienia - zawsze jest coś do zrobienia - ale dobrze.

Rhyme obrzucił spojrzeniem swoje laboratorium, pozostawione w nieskazitelnym stanie przez Mela Coopera, który był już w domu swojej matki w Queens, gdzie mieszkał, a może po krótkiej rozmowie z mamą pognął ze swoją skandynawską dziewczyną do jakiejś sali balowej na środkowym Manhattanie i już królowali na parkiecie.

Czując lekki ból głowy, podobny do wcześniejszego, zerknął na półkę z lekarstwami. I zauważył fiolkę klonidyny, środka rozkurczającego naczynia krwionośne, który prawdopodobnie ocalił mu życie. Przyszło mu do głowy, że gdyby w tym momencie miał atak, być może by go nie przeżył. Fiolka stała kilkanaście centymetrów od jego rąk. Równie dobrze mogła stać parę mil dalej.

Rhyme przyjrzał się znajomym tablicom z dowodami wypełnionym pismem Sachs i Mela Coopera. Były na nich smugi, skreślone słowa, starte pomyłki, literówki i rażące błędy.

Ślady drogi, którą posuwa się każde śledztwo.

Potem popatrzył na sprzęt: na wirówkę, kleszcze, fiolki, rękawiczki, kolby, narzędzia do zbierania śladów i główną broń pancerną: elektronowy mikroskop skaningowy i chromatograf gazowy ze spektrometrem gazowym, masywny i cichy. Wrócił pamięcią do wielu godzin spędzonych przy tych maszynach i ich poprzednikach, przypominał sobie ich dźwięk, zapach towarzyszący złożeniu próbki w ofierze na płonącym ołtarzu chromatografu, gdy chciał się dowiedzieć, czym

naprawdę jest tajemniczy związek. I częste rozterki: jeżeli zniszczysz jedyną próbkę, żeby ustalić tożsamość i miejsce pobytu sprawcy, możesz przegrać proces, bo próbka przestała istnieć.

Lincoln Rhyme zawsze decydował się na jej spalenie.

Przypomniawszy sobie wibracje maszyny pod dłonią, gdy jego dłonie potrafiły jeszcze czuć wibracje.

Jego wzrok spoczął na plątaninie kabli pokrywających całą podłogę jak pajęczna sieć. Czuł - oczywiście tylko szczęką i głową - każdy podskok wózka, kiedy przejeżdżał po nich, zmierzając od jednego stołu z dowodami do drugiego albo do monitora.

Kable...

Potem pojechał do pokoiku po drugiej stronie korytarza i popatrzył na zdjęcia rodziny. Myślał o kuzynie Arthurze, o wuju Henrym. O swoich rodzicach.

I oczywiście o Amelii Sachs. Zawsze o Amelii.

Dobre wspomnienia usunęły się w cień i zaczął myśleć, że przez jego słabość omal nie straciła dziś życia. Jego zbuntowane ciało zdradziło ich wszystkich. Rhyme'a, Sachs i Rona Pułaskiego. Kto wie, ilu funkcjonariuszy ESU mogło zostać porażonych prądem, gdyby przypuścili szturm na szkołę w Chinatown?

Jego myśli wirowały dalej. Rhyme uświadomił sobie, że to zdarzenie jest symbolem ich związku. Owszem, łączyło ich uczucie, ale nie mógł zaprzeczyć, że ją ogranicza. Że jest tylko częściowo osobą, którą mogłaby być z kimś innym albo nawet sama.

Wcale się nad sobą nie rozczulał, wręcz przeciwnie, kierunek, w jakim podążały jego myśli, podziałał na niego dziwnie ożywczo.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby miała dalej iść przez życie sama. Chłodno wyobraził sobie taki scenariusz. I doszedł do wniosku, że Amelia Sachs poradziłaby sobie doskonale. Znów oczyma duszy

zobaczył Sachs i Rona Pułaskiego kierujących za kilka lat wydziałem kryminalistycznym.

W cichym pokoiku naprzeciw laboratorium, otoczony zdjęciami rodziny, Rhyme zerknął na coś, co leżało na stoliku obok. Było kolorowe i błyszczące. Broszura pozostawiona przez rzecznika wspomaganego samobójstwa, Arlena Kopeskiego.

Wybór...

Rhyme z rozbawieniem zauważył, że broszurę zaprojektowano specjalnie z myślą o niepełnosprawnych. Nie trzeba było jej otwierać i przeglądać. Numer telefonu organizacji promującej eutanazję wydrukowano dużą czcionką na okładce - na wypadek gdyby jednym ze skutków choroby, która doprowadziła kogoś do decyzji o samobójstwie, było pogorszenie wzroku.

Patrząc na broszurę, rozmyślał gorączkowo. Plan, jaki układał mu się w głowie, wymagał kilku zabiegów organizacyjnych.

Wymagał też dyskrecji.

Wymagał konspiracji. I paru łapówek.

Jednak tak wyglądało życie tetraplegika, w którym myślało się łatwo i swobodnie, ale działanie nie mogło się obejść bez współdziałania kogoś innego.

Plan będzie też wymagał czasu. Ale nic, co w życiu ważne, nie dzieje się szybko. Rhyme'a ogarnęła radość, która przychodzi po podjęciu niezłomnej decyzji.

Bardzo zależało mu na tym, aby ława przysięgłych mogła wysłuchać jego zeznania w sprawie dowodów przeciw Zegarmistrzowi bez jego obecności. Była do tego przewidziana odpowiednia procedura: pisemne zeznanie, złożone pod przysięgą. Poza tym Sachs i Mel Cooper byli doświadczonymi świadkami oskarżenia. Wierzył, że Ron Pułaski też do nich dołączy.

Jutro porozmawia prywatnie z prokuratorem i poprosi, żeby przyjechała do niego protokolantka sądowa spisać zeznanie. Thom niczego nie będzie podejrzewał.

Lincoln Rhyme z uśmiechem wrócił wózkiem do pustego laboratorium, do elektroniki, programów i - tak jest - mnóstwa kabli, dzięki którym mógł zadzwonić. O tym telefonie myślał, wręcz obsesyjnie, niemal od chwili aresztowania

Zegarmistrza.
Dziesięć dni po Dniu Ziemi

IV

Ostatnia sprawa

Moja gimnastyka to przede wszystkim całodzienne stanie i przechodzenie od jednego stołu laboratoryjnego do drugiego. Mam z tego więcej korzyści i radości niż niektórzy moi znajomi i konkurenci z uprawiania takich gier jak golf.

**THOMAS ALVA
EDISON**

:

■

1. The first step in the process of identifying a problem is to define the problem clearly. This involves identifying the symptoms and the underlying causes of the problem. Once the problem has been defined, the next step is to gather information about the problem. This can be done through a variety of methods, including interviews, surveys, and focus groups. The information gathered should be used to identify the root causes of the problem and to develop a plan of action to address the problem.

2. The second step in the process of identifying a problem is to analyze the information gathered. This involves identifying the key factors that are contributing to the problem and determining the relationships between these factors. This can be done through a variety of methods, including SWOT analysis, PEST analysis, and Porter's Five Forces. The information gathered should be used to identify the root causes of the problem and to develop a plan of action to address the problem.

✓

Rozdział 86

melia Sachs i Thom Reston wpadli do szpitala. Żadne z nich
Asię
nie odzywało.

W holu i na korytarzach zalegała cisza, dziwna jak na takie
miejsce w sobotni wieczór w Nowym Jorku. Zazwyczaj w
placówkach leczniczych panował chaos, którego powodem były
wypadki, zatrucia alkoholowe, przedawkowania narkotyków, a
czasem, rzecz jasna, rany postrzałowe albo kłute.

Tu atmosfera była dziwnie, upiornie spokojna.

Sachs z posępną miną przystanęła i obejrzała tabliczki.
Wskazała drogę i ruszyli w głąb jeszcze ciemniejszego
korytarza, prowadzącego do suterenu szpitala.

Znów przystanęli.

- Tędy? - szepnęła Sachs.

- Oznakowanie jest słabe. Powinno być lepsze.

Usłyszała w głosie Thoma nutę złości, ale wiedziała, że
ukrywa się pod nią paniczny strach.

-Tam.

Szli dalej, mijając stanowisko pielęgniarek, które spokojnie
gawędziły za wysokim blatem. Znajdowało się na nim mnóstwo
medycznych akcesoriów, dokumentów i teczek, ale także kubki
z kawą, przybory do makijażu i pismo z łamigłówkami. Sachs
zauważyła, że to zbiór sudoku, zastanawiając się, dlaczego ta
zabawa zyskała taką popularność. Sama nie miała do niej
cierpliwości.

Przypuszczała, że na tym oddziale personel nie musi się zbyt
często rzucać do działania jak lekarze z izby przyjęć w serialach
medycznych.

Przy drugim stanowisku Sachs podeszła do siedzącej
tam samotnie pielęgniarki, kobiety w średnim wieku, i
powiedziała tylko jedno słowo.

- Rhyme.

-Ach, tak - odparła pielęgniarka, unosząc głowę. Nie
musiała zaglądać do karty ani innych dokumentów. - A
pani to...?

- Jego partnerka - przedstawiła się. Wiele razy
używała tego określenia w sensie zawodowym i
osobistym, ale dopiero teraz zorientowała się, jakie jest
niedoskonałe. Nie podobało się jej. Było okropne.

Thom przedstawił się jako „opiekun”.

Też zabrzmiało plastikowo.

- Niestety, nie znam żadnych szczegółów - powiedziała pielęgniarka, ubiegając pytanie, które Sachs zamierzała właśnie zadać. - Proszę za mną.

Mocno zbudowana kobieta zaprowadziła ich do następnego korytarza, jeszcze bardziej ponurego niż pierwszy. Ładnego, nieskazitelnie czystego. I wstrętnego.

Czy istnieje lepsze słowo, by opisać szpital?

Kiedy zbliżali się do otwartych drzwi jakiegoś pomieszczenia, pielęgniarka zwróciła się do nich całkiem życzliwym tonem:

- Proszę tu poczekać. Zaraz ktoś do państwa przyjdzie.

I natychmiast zniknęła, jak gdyby się bała, że któreś z nich popchnie ją na krzesło i zacznie przesłuchiwać. Sachs miałyby zresztą na to ochotę.

Skręcili z Thomem za róg i weszli do poczekalni. Była pusta. Lon Sellitto oraz kuzyn Rhyme'a Arthur i jego żona Judy byli już w drodze. Także Rosę, matkę Sachs. Zamierzała przyjechać metrem; Sachs nalegała, żeby wzięła taksówkę.

Siedzieli w milczeniu. Sachs wzięła jeszcze jeden zbiór sudoku i przejrzała. Thom popatrzył na nią. Ścisnął jej rękę i ciężko opadł na krzesło. Dziwnie było widzieć, jak porzuca swoją zwykle doskonale wyprostowaną postawę.

- Nic mi nie powiedział - rzekł. - Ani słowa.

- Dziwisz się?

Chciał przytaknąć, ale osunął się jeszcze niżej.

-Nie.

Do poczekalni wszedł mężczyzna w garniturze i krzywo zawiązanym krawacie, przyjrzał się twarzom ich obojga i postanowił poczekać gdzie indziej. Sachs nie mogła mu się dziwić.

W takich momentach człowiek nie chce dzielić przestrzeni publicznej z nieznanymi.

Sachs oparła głowę o Thoma, który mocno ją przytulił. Zapomniała, jaki jest silny.

Wieczór był kulminacją chyba najdziwniejszych i pełnych największego napięcia dwunastu godzin z lat jej znajomości z Rhyme'em. Tego ranka, gdy przyjechała z Brooklynu, zobaczyła Thoma, który wyczekująco patrzył na drzwi. Opiekun zajrzał za jej plecy i podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Co? - spytała, oglądając się za siebie.
- Nie było go z tobą?
- Kogo?
- Lincolna.
- Nie.
- Niech to szlag. Zniknął.

Dzięki szybkiemu i niezawodnemu wózkowi Storm Arrow Rhyme był mobilny jak każdy czterokołowiec i nieraz zdarzało się, że sam jeździł do Central Parku. Chociaż było też prawdą, że świat poza domem nie bardzo go interesował. Wolał siedzieć w laboratorium otoczony sprzętem i toczyć intelektualne zapasy ze sprawą.

Zgodnie z poleceniem Rhyme'a, opiekun wcześniej wyciągnął go z łóżka, ubrał i posadził na wózku. Kryminalistyk oświadczył:

- Umówiłem się z kimś na śniadanie.
- Dokąd jedziemy? - zapytał Thom.
- Umówiłem się. Ja. To pierwsza osoba liczby pojedynczej, Thom. „My” to liczba mnoga. Też pierwsza osoba i zaimek, ale poza tym mają ze sobą niewiele wspólnego. Nie jesteś zaproszony, i to dla twojego dobra. Zanudziłbyś się.
- Z tobą nigdy się nie nudzę, Lincoln.
- Ha. Niedługo wrócę.

Szef był w tak świetnym nastroju, że Thom się zgodził. Ale Rhyme nie wrócił. Minęła kolejna godzina od przyjazdu Sachs. Ciekawość przerodziła się w niepokój. Ale w tym momencie oboje dostali e-maila, o czym poinformował ich sygnał z komputera i komórki. List był zwięzły i konkretny, jak można się było spodziewać po Lincolnie Rhymie.

*Thom, Sachs,
Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że nie chcę dalej żyć w swoim obecnym stanie.*

- Nie - wykrztusił Thom.
-Czytaj dalej.

Ostatnie wydarzenia uświadomiły mi jasno, że nie potrafię dłużej akceptować braku pewnych zdolności. Do działania skłoniły mnie dwie rzeczy. Wizyta Kopeskiego, dzięki której dowiedziałem się, że chociaż nigdy nie popełnię samobójstwa, bywają chwile, gdy ryzyko śmierci nie powinno nikogo zniechęcać do podjęcia decyzji.

Drugą rzeczą było spotkanie z Susan Stringer. Powiedziała, że nie ma przypadków i że, jej zdaniem, los chciał, żeby powiedziała mi o Centrum Urazów Rdzenia Kręgowego Pembroke. (Wiecie, jak bardzo wierzę w COŚ TAKIEGO - i jeżeli w tym miejscu powinienem wstawić roześmiany emotikon, to na pewno tego nie zrobię).

Jestem w stałym kontakcie z Centrum i na najbliższe osiem miesięcy ustaliłem cztery terminy różnych zabiegów. Pierwszy z nich odbędzie się niebawem.

Oczywiście, istnieje możliwość, że nie uda mi się dożyć trzech następnych, ale trzeba się uzbroić w cierpliwość. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, za dzień czy dwa przekażę Wam wszystkie krwawe

szczegóły operacji. Jeżeli nie, Thom, wiesz, gdzie są wszystkie papiery. Zapomniałem dopisać do testamentu jeden punkt. Całą swoją szkocką zostawiam Arthurowi. Na pewno będzie ją umiał docenić.

Sachs, jest jeszcze jeden list do Ciebie. Thom Ci przekaże.

Przepraszam, że załatwiam to w taki sposób, ale oboje macie lepsze rzeczy do roboty w taki piękny dzień, niż tracić czas na prowadzenie do szpitala krnąbrnego pacjenta. Poza tym znacie mnie. Są rzeczy, które wolę robić sam. W ciągu kilku ostatnich lat miałem do tego niewiele okazji.

Ktoś zadzwoni z informacją późnym popołudniem albo wieczorem.

Jeżeli chodzi o naszą ostatnią sprawą, Sachs, mam nadzieję, że będą mógł osobiście zeznawać na procesie Zegarmistrza. Gdyby jednak coś poszło nie tak, złożyłem u prokuratora pisemne zeznanie. Ty, Meł i Ron zajmiecie się resztą. Dopilnujcie, żeby pan Logan spędził resztą życia za kratkami.

Na koniec myśl usłyszana od bliskiej mi osoby, która świetnie oddaje to, co czują: „ Czasy się zmieniają. My też musimy się zmieniać. Bez względu na ryzyko. Bez względu na to, z czym musimy się pożegnać ”.

L
R

A teraz czekali we wstrętnym szpitalu.

Wreszcie pojawiła się osoba urzędowa. Do poczekalni wkroczył wysoki, szczupły mężczyzna o siwiejących włosach, w zielonym stroju chirurga.

- Pani Amelia Sachs.
 - Zgadza się.
 - 1 Thom?
- Skinienie głowy.

Okazało się, że to naczelny chirurg Centrum Urazów Rdzenia Kręgowego Pembroke.

- Przeszedł operację, ale nadal jest nieprzytomny.

Następnie objaśnił im szczegóły techniczne. Sachs kiwała głową, odnotowując wszystko w pamięci. Niektóre informacje wydawały się dobre, inne nieco mniej. Zauważyła jednak, że lekarz nie odpowiada na najistotniejsze pytanie - nie o powodzenie operacji pod względem technicznym, ale kiedy, jeżeli w ogóle, Lincoln Rhyme odzyska przytomność.

Kiedy bez ogródek o to spytała, lekarz mógł tylko powiedzieć:

- Nie wiemy. Musimy czekać.

Rozdział 87

różwymiarowe, kręte linie papilarne rozwinęły się nie po to, żeby

pomóc technikom kryminalistycznym identyfikować i skazywać przestępców, ale po prostu po to, by dać naszym palcom pewny chwyt, by trzymany w dłoniach cenny, niezbędny czy nieznanany przedmiot nie wysliznął się ze słabych ludzkich rąk.

Przecież nie mamy pazurów, a nasze napięcie mięśniowe - wybaczcie, zapaleni entuzjaści klubów fitness - jest naprawdę żalosne w porównaniu z dzikimi zwierzętami o podobnej wadze.

Lincoln Rhyme zerknął przelotnie na Amelię Sachs, która zwinięta w kłębek na krześle trzy metry od niego spała w dziwnie skromnej i spokojnej pozie. Jej gęste, rude włosy opadły, przysłaniając połowę twarzy.

Dochodziła północ.

Wrócił do kontemplowania linii papilarnych. Występują na palcach rąk i nóg, a także na powierzchniach oporowych dłoni i stóp. Człowiek może zostać skazany na podstawie odcisku stopy tak samo jak odcisku palca, choć okoliczności przestępstwa, którego sprawca pozostawia taki ślad, z pewnością byłyby niezwykle.

Ludzie od dawna wiedzieli o niepowtarzalności linii papilarnych - już osiemset lat temu używano ich do oznaczania urzędowych dokumentów - ale dopiero w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku dostrzeżono w nich sposób powiązania przestępcy z przestępstwem. Pierwszy wydział analizy daktyloskopijnej w organach ścigania powstał w Kalkucie, utworzony przez sir Edwarda Richarda Henry'ego, który dał swoje nazwisko systemowi

klasyfikacji odcisków palców, używanemu przez policję przez następne stulecie.

Rhyme rozmyślał o odciskach palców, ponieważ w tym momencie oglądał własne. Po raz pierwszy od lat.

Po raz pierwszy od wypadku w metrze.

Jego prawa ręka była uniesiona i zgięta w łokciu, a dłoń odwrócona wewnętrzną stroną do niego, więc Rhyme mógł w skupieniu oglądać wzory linii papilarnych. Przepęłniała go radość, podobna jak w chwilach, gdy znajdował maleńkie włókno, drobinę mikrośladu, niewyraźny odcisk buta w błocie, dzięki którym mógł ustalić związek między podejrzanym a miejscem zdarzenia.

Operacja się udała: wszczepienie przewodów i układu elektronicznego, sterowanego ruchami głowy i ramion powyżej poziomu uszkodzenia rdzenia kręgowego. Zaczął już napinać mięśnie szyi i ramion, by ostrożnie unieść rękę i obrócić nadgarstek. Od dawna marzył, by zobaczyć swoje linie papilarne, i postanowił, że gdyby kiedykolwiek odzyskał zdolność poruszania rękami, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie dokładne obejrzenie wirów kresek i bruzd na skórze.

Oczywiście, czekała go długa terapia. I następne operacje. Tworzenie mostów nerwowych, które będą miały niewielki wpływ na zdolność poruszania się, lecz mogą poprawić pewne funkcje fizjologiczne. Terapia z wykorzystaniem komórek macierzystych. A także rehabilitacja: bieżnia, rower ergometryczny i bierne ćwiczenia ruchowe.

Nie pozbędzie się też ograniczeń - Thomowi nie groziła utrata pracy. Nawet jeśli jego ręce i dłonie zaczęły się poruszać, nawet jeśli płuca pracowały lepiej niż kiedykolwiek, a aparatura poniżej pasa działała nie gorzej niż u pełnosprawnego mężczyzny, Lincoln Rhyme nadal nie miał czucia, nadal był narażony na sepsę, nadal nie

mógł chodzić - i prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł, a przynajmniej jeszcze przez wiele lat. Ale to mu nie przeszkadzało. Praca eksperta kryminalistycznego nauczyła go, że poszukiwania rzadko kończą się stuprocentowym sukcesem. Ale zwykle dzięki ciężkiej pracy i korzystnemu splotowi okoliczności - Rhyme nigdy nie użyłby słowa „szczęście” - można było zdobyć dostatecznie dużo... wystarczająco dużo do identyfikacji, aresztowania, skazania. Poza tym Lincoln Rhyme był człowiekiem, który potrzebował celu. Żył po to, żeby uzupełniać luki, żeby ciągle - Sachs świetnie wiedziała, co to znaczy - drapać swędzące miejsce. Jego życie nie miałoby sensu, gdyby nie miał dokąd iść, gdyby stale nie miał dokąd iść.

Ostrożnie, poruszając lekko mięśniami szyi, odwrócił dłoń i położył ją na łóżku z koordynacją nowo narodzonego żrebaka, który odkrywa, że ma nogi.

Wkrótce jednak pokonało go zmęczenie i skutki działania leków. Rhyme był gotów do snu. Mimo to zdołał opóźnić o kilka minut moment zaśnięcia, zatrzymując wzrok na twarzy Amelii, bladej i na wpół widocznej zza zasłony włosów jak Księżyc w środkowej fazie zaćmienia.

PODZIĘKOWANIA

kładam serdeczne dzięki magazynowi „Crimespree”, bibliotece w Muskego w stanie Wisconsin i wszystkim uczestnikom spotkania „Murder and Mayhem” w listopadzie zeszłego roku, którzy dzięki swojemu entuzjazmowi i miłości do książek wygrali ten product placement!

Dziękuję też Julie, Madelyn, Willowi, Tinie, Ralphowi, Kay, Adriano i Lisie...

